

JACEK TRZNADEL

HAŃBA DOMOWA

Rozmowy z pisarzami

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

HAŃBA DOMOWA

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 422

ISBN 2-7168-0087-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JACEK TRZNADEL

HANBA DOMOWA

Rozmowy z pisarzami

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1986

NOTA REDAKCYJNA

Między pierwszym a ostatnim nagraniem tego cyklu minęły cztery lata, lata ważne, wypełnione szczególnie wypadkami i zdarzeniami historycznymi w Polsce. Dlatego ułożyłem te rozmowy w porządku chronologicznym, według daty ich odbycia.

Wszystkie rozmowy zostały zarejestrowane na taśmie magnetofonowej. Przepisane z taśmy teksty zostały przystosowane do wymagań stylistycznych wersji drukowanej, jednak zasadniczy charakter rozmów został zachowany. W toku autoryzacji teksty uległy nieznacznym poprawkom lub wprowadzono niewielkie uzupełnienia. Nie zdążyłem autoryzować rozmów ze Zbigniewem Kubikowskim, Jerzym Andrzejewskim i Witoldem Wirpszą, ze względu na śmierć tych pisarzy. Tytuły rozmów pochodzą z wypowiedzi poszczególnych autorów, zostały jednak wybrane przeze mnie.

Taśmy i maszynopisy egzemplarzy roboczych rozmów, z poprawkami autorów, znajdują się w archiwum, którego miejsca ze zrozumiałych względów nie mogę tu podać.

J. T.

HAŃBA DOMOWA

Po zgonie jeszcze w swym ukrywa łonie
Hańbę — domową!

Cyprian Kamil Norwid — *Duch Adama
i skandal.*

Nie chcę się tu zajmować etyką czy fenomenologią historii i próbować odpowiedzi na pytanie, czy naród może się zawsze oprzeć duchowo obcej przemocy. Karl Jaspers ostrzega nas przed traktowaniem narodu jako osoby i całości (kiedy mówimy naród, dokonujemy i tak wyboru z punktu widzenia pewnej własnej idei narodu). Przenosi to problem odpowiedzialności za stan narodu na jednostki i stawia nas poza problemem zbiorowej odpowiedzialności i posłannictwa w dobrym czy w złym. Cóż więc mówi tytuł tej książki, odnoszący się do dziejów społeczeństwa polskiego po wojnie? Że mianowicie w latach powojennych dokonywało się to, co nazwałem za Norwidem hańbą domową, to jest hańbą w Polsce przez Polaków spowodowaną. Ale zarazem oznacza to tylko ocenę poszczególnych czynów, które zakładały i rozprzestrzeniały idee, uważane przeze mnie za hańbiące. Nie ma tu generalizacji. Przypomnijmy, że Norwid jest autorem także innego powiedzenia: żadnego narodu nie można zniewolić bez udziału członków tego narodu.

Jak pokazał bieg czasu i historii, zasadnicze zniewolenie narodu polskiego nie udało się, jakkolwiek dokonywały się i dokonują zniewolenia częściowe — osób, grup społecznych, funkcji społecznych i społecznej myśli, instytucji i praw. I choć materia przedstawionych tu rozmów z pisarzami wybiega często — i tak być musi — poza sprawy kultury i literatury, to jednak one właśnie są zasadniczym tematem tej książki. Mówi ona o pró-

bach zniewolenia literatury polskiej, zwłaszcza na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Ten zakres czasowy nie krępował jednak moich rozmówców bezwzględnie — i często spojrzenie było szersze.

Pragnąłem odwołać się do doświadczeń pisarzy czynnych w tamtym okresie, nie wyznaczając ram problemom i wspomnieniom. Nie chodziło tylko o odtworzenie tamtej świadomości, ale i o jej ocenę aktualną, na miarę obecnego doświadczenia. Oczywiście o zawartości rozmów decydowały przede wszystkim zainteresowania moich rozmówców. Ten szkic jednak ma wysunąć na pierwszy plan moje własne doświadczenie i wnioski. Postaram się też zebrać wypowiedziane tu i ówdzie własne sądy, a także zbadać w jakimś sensie siebie z tamtych lat. Nim to uczynię, jeszcze jedno pytanie, związane z kształtem tej książki: jaka zasada kierowała wyborem nazwisk pisarzy tu prezentowanych? Od razu powiem: zbiór to nieprzypadkowy, ale i niepełny. Jest to tylko niewielka część pisarskich nazwisk, które mogłyby się tu znaleźć, osób, z którymi miałbym chęć na ten temat rozmawiać. Różnego rodzaju powody zadecydowały o redukcji takiej idealnej listy nazwisk, poza sprawą samej wykonalności takiego zamiaru. Chodziło mi tutaj raczej o twórców tak zwanej literatury pięknej niż o krytyków i filozofów, i raczej o świadków bezpośrednich przełomu powojennego i lat pięćdziesiątych.

Nie zaskoczy nikogo, gdy powiem, że część osób, do których się zwróciłem, odmówiła mi tych rozmów. Mogło chodzić o moją osobę, ale decydowały też zapewne różne inne względy. Mogę podać kilka przykładów. Andrzej Kijowski, z którym miałem długą rozmowę jeszcze w maju 1985 roku, odroczył nasze spotkanie, związane z nagrywaniem rozmowy, do jesieni. Nie przewidywałem tego, co się stało. Rozmowa z Mieczysławem Jastrunem nie odbyła się z mojej winy, nie zdążyłem. Plan i wykonanie tej książki narastały powoli, dopiero mój powrót z Francji przyspieszył jej opracowanie. Natomiast Adam Ważyk odmówił mi zdecydowanie. To była moja ostatnia z nim rozmowa, przelotny deszcz wrześniowy '81 roku zaciął, gdy szedłem Aleją Róż. Ważyk powiedział: to jest nieinteresujące! — Potraktowałem to zrazu jako ironiczny wykręt i *façon de dire*. Potem zrozumiałem jednak, że odmawiał wszelkiego znaczenia okresowi, gdy był teoretykiem socrealizmu i budowanej w tym duchu tradycji. Uznał tamten czas za swoją przegraną i jednoznaczną klęskę literatury. Sam słyszałem z jego ust te słowa: oszalałem, zwariowałem. Było to na jego wieczorze autorskim, na którym w formie wprowadzenia mówiłem o jego poezji, w styczniu 1978 roku w Warszawie, w studenckim klubie „Hybrydy”. Ale potem, w Alei

Róż, rozmawiał jednak ze mną na temat tego, co „nieinteresujące”. Tylko nie chciał niczego nagrywać. Mówił, że liberałów w okresie dwudziestolecia międzywojennego pchnęło w objęcia komunizmu to, że zachodnia demokracja nie potrafiła ocalić Europy od klęsk. Ten sąd jest o tyle ciekawy, że — dla pewnych przynajmniej ludzi — odejmuje idei komunistycznej jej świeżość i oryginalność, czyniąc jej przyjęcie li tylko *resentymen-tem*.

Wróć do tego, co uważam za ideę, a może szereg pytań przewodnich tej książki. Dlaczego postawy myślowe fałszywe i hańbiące, unicestwiające literaturę, stały się w pewnym momencie udziałem tak wielu ludzi z elity polskiej literatury? W powiedzeniu „aż tylu” kryje się zresztą niewiadoma, którą koniecznie trzeba zasygnalizować. Jesteśmy wciąż pod ukrytą presją propagandy tamtego okresu, która dbała o wywołanie wrażeń, że udział w nowej ideologii był masowy. To po pierwsze. Po drugie: czeka na weryfikację także okres dwudziestolecia międzywojennego, w którym literacka inteligencja lewicująca — ta, która licznie poszła później na „koncesje” — zapewniła sobie szczególnie rozgłos. Po trzecie wreszcie, wciąż brak obiektywnych badań środowisk kultury powojennej. Mówiąc to wszystko, nie mogę uchylić jednak pytania: dlaczego idee te i formy instytucjonalne zdominowały jakby na jakiś czas tylu piszących i określiły w takim stopniu społeczne funkcjonowanie literatury? Dlaczego krytyka nie rozliczyła bardziej szczegółowo tego okresu i różnych jego pochodnych?

Nie ma to sprawić wrażenia, że uważam tamten okres za ziemię niczyją historyka, nie dotkniętą intelektualnym opisem i krytyką. Od wczesnych wypowiedzi i polemik krajowych i emigracyjnych przez dziesiątki lat aż po chwilę obecną pojawiają się książki i eseje, próby analizy, brak jednak szerokiego i całościowego obrazu, uwzględniającego także zmiany ocen okresu, a „świadkowie” tamtego czasu tak mało wypowiedzieli się w sposób osobisty. Szkic obecny nie jest przeglądem istniejących już głosów na ten temat, czy ustosunkowaniem się do nich. Zresztą wytknięty tu brak głębokiej samooceny nie jest tylko właściwością naszej epoki.

Powiedział mi ktoś, że z losów poszczególnych ludzi i powodów jednostkowych decyzji nie da się uzyskać wiedzy o uwarunkowaniach ogólniejszych. Sądzę wprost odwrotnie. I zdaje mi się, że zebrane tutaj wypowiedzi ukazują, jak odbijały się te różne ogólne cechy epoki w poszczególnych osobowościach. Powstaje tylko pytanie, dlaczego różne osobowości, reagujące na różne cechy epoki, jej podniety w różnych „zestawach”, co praw-

da w ramach jednego ogólnego modelu — mogły reagować podobnymi ostatecznie zachowaniami? Zachowania były, oczywiście, też jakoś zróżnicowane, ale ogólne podobieństwo istniało: wprężenie się w służbę *establishment'u* i jego ideologii, często w unifikujących instytucjach. A działa się tak, gdyż istniał wspólny element nacisku, najogólniej mówiąc: nie było prawie innego wyboru, jeśli chciało się dobrze funkcjonować w społecznym obiegu literatury, w warunkach coraz bardziej despotycznego kontrolowania tego obiegu przez władzę. To twierdzenie jest na tyle oczywiste, że można się już nim dalej nie zajmować, musiało być jednak wysunięte. Ale przecież to hańba dla intelektualisty ugiąć się przed rzeczywistością kłamliwą i despotyczną, tylko dlatego, że jest, że zewsząd otacza. Tak jednak się stało. Jeśli nie była to zawsze rzecz jasno uświadamiana przez pisarzy, tworzyła zapewne najczęściej podświadomą motywację wyborów.

Nie dotyczy to oczywiście wszystkich, nie wszyscy byli — nazywamy to umownie — socrealistami, a i „socrealiści” byli nimi w sposób różny. Zaś ci, co w to weszli, nie weszli na ogół świadomie — tak sądzę — dla wymienionego wyżej powodu głównego, to znaczy nacisku brutalnej rzeczywistości, lecz dla różnych, ładnie często wyglądających uzasadnień fasadowych. Wiadomo zresztą, że o powodzie głównym, brutalnym i prymitywnym, wiele powiedzieć się nie da. A dla zrozumienia kultury ważne jest poznanie konkretne i szczegółowe. Jeśli tak spojrzeć na tę sprawę, wypowiedzi i samooceny pisarzy staną się nie aktami samooskarżenia czy oskarżania innych, lecz właściwie mowami obrończymi, wymienianiem okoliczności łagodzących, jak działania w afekcie. Nie brzmi to zbyt pocieszająco, jeśli zważyć, że okoliczność łagodząca jest motywem prowadzącym do hańby. To prawda. Przypomina mi się jedna z nowel w *Grze szklanych paciorków* Hermana Hesse — o świętych pustelnikach, słuchających spowiedzi różnych prostych ludzi, grzeszników a nawet zbrodniarzy. Oni są jak dzieci, mówi jeden z pustelników, prawdziwi grzesznicy to my, ludzie pokus i rozjątrzonej, żywej świadomości. Sądzę, że Hesse — w obliczu faszyzmu — myślał tu o odpowiedzialności intelektualisty, dla którego nie ma właściwie wymówek. Ostrości wymagań wobec intelektualisty nie można po prostu przeliczować. Taka jest esencja tego zawodu, a może powołania. Nie jeden Hesse przypomina o tym w swej parabolii, także Tomasz Mann — w *Doktorze Faustusie* przede wszystkim: obłęd jest tutaj i nie jest okolicznością łagodzącą. Los prawdziwego intelektualisty przynosi poniekąd tortury moralne. Ale jest przecież jednocześnie radością wyzwalać się, procesu nieustannego i stanowiącego pociechę intelektualisty, w dążeniu do praw-

dy. Odcina nas to od komunizmu, w którym chodzi o dostosowywanie się do wzorca, a najczęściej, i praktycznie, jeszcze gorzej: do panującego *establishment'u*. Jeśli *establishment* ten majorityzuje wszelkie idee, znajdujemy się w kręgu rządów totalitarnych czy faszystowskich.

Nietrudno zgadnąć, że dostosowywanie się do wzorca nie wymaga zaangażowania wielkiego potencjału twórczego. Jeśli Hannah Arendt stawia tezę o banalności i szarości faszyzmu, a podobnie Zbigniew Herbert w jednym ze swoich wierszy upatruje możliwość zła właśnie w owej szarości, tak i do analizy epoki hańby domowej w Polsce można dorzucić koniunkturę na głupotę i mierność intelektualną. Te cechy potrafią czasem nawet iść w parze z wybitnością, odgradzoną w głowie tego samego człowieka wąską miedzą. Zabrzmiałoby to niemiłe, ale nie jestem pewny, czy w literaturę i kulturę polską po wojnie były zaangażowane najwybitniejsze talenty. Znalazły się tam niewątpliwie pewne bardzo ważne nazwiska okresu jeszcze dwudziestolecia. Ale całe nowe pokolenie, które po wojnie przyszło do głosu, wraz z ledwo-debiutantami sprzed wojny, nie było może tym zestawem indywidualności, które byłyby możliwe bez wojny i represji dwu okupantów. Tak łatwo awansowano przecież po wojnie i być może wytworzono złudzenie, że wszyscy należą do pierwszego garnituru, podczas gdy wiele pozycji zajmowali ci, którzy w normalnych warunkach byłiby rezerwowymi. Dotyczy to także tej drugorzędności, która nie musi nawet oznaczać braku talentu, lecz że nie spełniły się jeszcze jakieś warunki do jego zakwitnięcia. My niedojrzali wchodziliśmy w ten okres rozdwojenia, a więc także ze swoistą amnezją, sianem duchowym, brakiem struktur i doświadczeń myślenia, wiedzy, a ze skłonnością do łatwych porywów emocji.

Tu jest miejsce, w którym chciałbym włączyć przykłady i materiały leżące w zasięgu dłoni i pamięci, a więc dotyczące mojej własnej osoby i biografii. Ja także nosiłem czerwony krawat do zielonej koszuli, byłem w OMTUR, ZMP, potem w PZPR. W moim pokoju także wisiał portret Stalina. Pamiętam, że w owym czasie — na początku lat pięćdziesiątych — istniał wśród moich znajomych pewien snobizm. Mieć zwykły portret Stalina to banalne, należało mieć stylizowaną jego fotografię z fajką. Nie zdążyłem postarać się o taki portret. W obliczu wszystkiego jednak, co się tu powie, w obliczu prawd posępnych, czuję się zmuszony odpowiedzieć na początku jak najprościej na pytanie: dlaczego ja też zaangażowałem się w stalinizm? Odpowiedź: gdyż pragnąłem zbawienia świata. Niczego to nie usprawiedliwia, gdyż nawet w najgorszych ideologiach istnieje jakiś pozytyw.

Ale bardzo pragnąłbym podnieść to zdanie Zbigniewa Kubikowskiego: nie fakty cię przekonały, dla jakichś powodów wciągnęła cię ideologia. To jednak rodzi następne pytanie: dlaczego chciałem zbawić świat poprzez taką ideologię i zapominając o takich faktach?

Muszę wrócić do tego, co powiedziałem wyżej o niedojrzałości. Jest to może eufemizm, ale wiemy, że potrafi ona dawać te same wyniki, co mierność intelektualna czy po prostu głupota. Niedojrzałość to także brak wiedzy i złe posługiwanie się wiedzą posiadaną. Otóż, gdy usiłuję sobie przypomnieć, z jakim bagażem intelektualnym, wiedzą, wkraczałem na próg epoki stalinowskiej po wojnie, uderza mnie znikomość, wyrwkowość tego, co mogę sobie przypomnieć. Szala pamięci chyli się ku rzeczom wspomnieniowo-emocjonalnym, ale uderzają mnie one pewną aurą filmową, jako sceny, urywki, fragmenty, stanowiące los, a nie konstrukcję życia. Te fragmenty nie byłyby może warte przypomnienia, gdyby nie to, że chodzi tu o pewne doświadczenie, które może nie tylko mnie dotyczy. Więc teraz owe urywki, których suita przedwojenna i wojenna połączy się w pewnym momencie już ze wspomnieniami okresu stalinowskiego.

Cofnijmy się w czasie, urodziłem się na progu sprawy brzeskiej (1930). Jako pierwsze ostre wspomnienie pamiętam wielką powódź w Galicji w roku 1934, która stała się wkrótce tłem do znanego poematu Mariana Czuchnowskiego. Przeżyłem ją w podkrakowskiej Czernej i przypominam sobie także ślimaki pełzające po klasztornym murze. Wujek-podchorąży, zawodowy wojskowy, przejeżdżał śmiesznym autemobilem, z dachem, co się odkrywał. Wujek zaginął w czasie wojny, gdy myślałem o nim, wracało często słowo Katyń. Ojciec mój rządził niewielkim powiatem pod Krakowem, a tuż przed wojną sprawował władzę w sporym, silnie uprzemysłowionym mieście Górnego Śląska. Określa to może pewien krąg tradycji i dziecinnej świadomości. Ojciec nie należał do żadnej partii i był nawet z tego jakoś dumny. Ale wolno mi było być niezależnym, mówił. Matka była nauczycielką szkół podstawowych, przed wojną już na emeryturze. Miałem i mam ze strony matki rodzinę chłopską w Czarnym Dunajcu na Podhalu. Byliśmy galicyjscy, bo ojciec pochodził z Dębicy, kończył prawo w Krakowie, matka też tam się uczyła, bo dziadek był kierownikiem poczty przy dworcu głównym.

Następnym moim wspomnieniem przedwojennym, które należy do wspomnień historycznych, jest śmierć marszałka Piłsudskiego. Było to przeżycie naprawdę żałobne i nakłada się na przedwojenne odwiedziny krypty na Wawelu, gdzie przez szybką

w trumnie oglądałem zastygłą w śmierci wąsatą twarz w wojskowej czapce. W domu na ścianie wisiał profil Marszałka wystrzyżony ze słomy, a u kuzynostwa stał jego mały posążek z gipsu. Już przed wojną także — będąc małym molem książkowym, który wcześniej nauczył się czytać — czytałem *Małego Piłsudczyka* Kadena. Wojna miała brutalnie przerwać ciekawsze lektury na cały czas jej trwania. Ale jeszcze przed wojną: ojciec jako najwyższa władza cywilna w mieście odbierał defilady wojskowe razem z oficerami, trzymając melonik w wyciągniętej ręce. Kiedyś ojciec zabrał mnie na objazd powiatu samochodem, przed inspekcją Sławoja-Składkowskiego, i radośnie denuncjowałem dojrzone w czasie jazdy te niepomalowane chłopskie wygodki i płoty. Wiem także, że przy okazji bodajże święta trzeciomajowego, w wieku ośmiu lub dziewięciu lat, zostałem wyuczony małej laurki-przemówienia i wygłosiłem to z trybuny na czymś w rodzaju akademii w miejscowym kinie. Nie ja jeden muszę mieć podobne wspomnienie. Pod tym kinem zbierało się skrawki czarnej, ale już czasem i kolorowej celuloidowej taśmy, od urywających się filmów, wyrzucone przez operatora. Oglądało się obrazki pod światło, a potem owijało się skrawki w gazetę, zapalony celuloid palił się z hukiem i dymem. Chodziłem trochę do kina przed '39 rokiem. Pamiętam z tamtego czasu *Królewnę Śnieżkę* Disneya i *Przygody Flipa i Flapa*. Były też filmy historyczne. Oto na angielskim filmie wielki raut kolonizatorów, gdzieś w Indiach, bał, panie, panowie, oficerowie angielscy. Naraz z balkonu tej sali zbrojni opozycjoniści hinduscy zaczynają przejeżdżać po bawiących się seriami karabinu maszynowego. To były sprawy przygodowe, nie historyczne. Ale już inaczej odebrałem karabin maszynowy w polskim filmie o pierwszej wojnie światowej. Oto wspaniały chłopak-legionista pełźnie z okopu do okopu, w kieszonce bluzy ma meldunek. Już jest blisko, dech mają wszyscy zaparty. W ostatniej chwili dosięga go seria, stacza się do okopu, do którego dążył, ostatnim ruchem dłoni wyjmując i podając świstek papieru. Końcowa sekwencja pokazywała ojca nad mogiłą, kreślącego w gorzkiej zadumie krzyż *Virtuti Militari*, trzymaną w ręku laską, na piasku cmentarnej alejki.

W tym czasie czytałem już znajdowany w domu „Ilustrowany Kurier Codzienny”, czyli popularnego Ikaca. Nic z tych lektur prawie nie pamiętam, rozpadły się w miałki piasek pamięci, choć może czasem, jak krecia robota, wpływały na coś, co dzieje się na powierzchni. W świadomości chłopca utrwaliła się jednak w owym czasie potrzeba płomiennego patriotyzmu. Wiedziałem o wadze niepodległości i jej zagrożeniu. Dziecko, poddane powszechnej obsesji szpiegów niemieckich, chodziło po ulicach miasta,

gdzie rdzennych Niemców było dużo i gdzie zapewne działała piąta kolumna — stwarzając wymyślone scenariusze szpiegowskie, obserwując ludzi i domy. Wkroczenie armii niemieckiej do Pragi czeskiej utrwaliło mi się szczególnym wspomnieniem: radio włączone w domu cały dzień na falę Pragi przestało w pewnej chwili nadawać program i trwał już tylko bez przerwy charakterystyczny muzyczny sygnał rozpoznawczy stacji.

Epizod września '39 roku był tak jak w literaturze — tragiczny i straszny, ale dział się naprawdę. Leżałem z innymi pod bombami w małym sosnowym lasku, niedaleko torów, gdzie stał opuszczony przez pasażerów nasz pociąg ewakuacyjny, niedaleko stacji Sędziszów. Pod sosenkami chronili się tu i tam także spieszni ułani małego oddziału polskiej kawalerii, dalej na wzgórzu dopalał się czołg. Straszny świst bomb i ocalający, bo już nie we mnie, wybuch. Serie z broni pokładowej, nawracających rytmicznie przez kilka godzin niemieckich samolotów. Gotował się tuż obok piasek i spadały ścięte nad głową gałązki. Nie wiedziałem jeszcze, że niedaleko, osiągnięty kulą w głowę, zginął mój starszy brat. Całą noc ucieczka między palącymi się domami wsi po obu stronach drogi. Nazajutrz w wiosce motocykliści z desantu Wehrmachtu ustawili nas w szereg do rozstrzelania, mężczyzn, kobiety, dzieci. Z tych domów padły ponoć strzały do niemieckiego patrolu, przejeżdżającego widniejącą na horyzoncie drogą. Matka znająca język niemiecki słyszała słowa: spalić, rozstrzelać. Czułem wprost chłód lufy na mnie skierowanej, spodziewany tor pocisku. Ta powtarzająca się u milionów ludzi myśl: więc to już... Ale oficer niemiecki rozmyślił się.

Okupacyjny Kraków, tam dorastanie i jego problemy psychologiczne, brak książek, intelektualnej opieki ze strony zajętych życiem okupacyjnym starszych, a jednocześnie patrole na ulicach, pod Wawelem, te mniej groźne Wehrmachtu i te gorsze SS, przy mijaniu których wyrosnięty chłopak kulił się. Mówiono, że złe dymy spalonego ludzkiego mięsa czuć od Oświęcimia. Wieści o losie ludności żydowskiej, czasem znów nagły strach przed rozstrzelaniem, bo co będzie, jeśli rodzice schronią u nas Żyda? Przejeżdżałem tramwajem tranzytowym na Podgórze, przez opróżnione już i wyczyszczone z ludności getto. To, co pamiętam, jest jak kadry pokazujące sny bohaterów filmów Bergmana: pustka ulic, jakaś rozpruta pościel na ulicy, wywiewające z martwych, otwartych okien firanki... W mieszkaniu ciotki słuchało się do pewnego momentu radia, znów strach przed rozstrzelaniem, jeśli Niemcy znajdą. Ale w tym samym mieszkaniu do końca wojny trwały tajne komplety wydziału historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, spoza oszklonych drzwi słyszałem głos profesora Konop-

czyńskiego. Nigdy nie było wpadki, choć na tej samej ulicy, skosem naprzeciw, w przedwojennym domu kolejarza, było niemieckie kasyno i trzymał wachę żołnierz niemiecki pod bronią. Kocioł założyło dopiero UB w latach powojennych i wszyscy wchodzący musieli przez tydzień spać na rozłożonych na podłodze, byle jak skleconych pościeliach.

Była zresztą i nadzieja, nawet w najgorszym. Zapamiętałem, jeszcze w Reichu, czerwcowy dzień '40 roku w Zawierciu (wtedy nazywało się Warthenau); biją wszystkie dzwony z okazji zajęcia Paryża, my z matką na ulicy, matka mówi zduszonym głosem: dzwonicie na własny pogrzeb! Potem w Krakowie były gazetki „Biuletynu Informacyjnego”, przynoszone przez ojca. Także przez niego przyniesiony *Dywizjon 303* Arkadego Fiedlera w odbitkach fotograficznych. Cały czas strach, strach. Łomot kolb w bramę obok. Ojciec zagrożony obozem, jeśli nie gorzej — w sierpniu '39 roku internował grupę Niemców podejrzanych o przynależność do V kolumny. Była jednak świadomość zagrożenia nie tylko ze strony Niemców. Już od września '39 roku zapamiętałem owo ludowe, ostre określenie sowieckiej polityki: „nóż w plecy!”. Ojciec opowiadał, jak w '39 roku w okupowanym przez Sowie-tów Lwowie został rozpoznany na ulicy przez jakiegoś komunistę i zadenuncjowany. Zatrzymany przez NKWD, cudem nie wywieziony lub nie rozstrzelany, oficerowi zginął jakiś papiererek, gdzie zanotowano podstawę zatrzymania. Nim dotarł do Lwowa, też został zadenuncjowany, ale zwolniono go, bo „podlegał” Niemcom — pakt Ribbentrop-Mołotow ocalił mu życie... W tamtym czasie pisaliśmy listy do niego do Lwowa, zaczynające się od słów: „Kochana Stefciu...”. Pamiętam strzępy okupacyjnych rozmów o polityce osób kręcących się w naszych domach. Zresztą ktoś pokazywał też mapę przyszłej Polski od morza do morza... A na razie wstrząs, nigdy nie zapomniany, ogłoszonej w gadzinowym „Gońcu Krakowskim” relacji o odkryciu grobów katyńskich, fotografie, rozmowy ze świadkami, listy ofiar. Przekonanie, że to prawda.

Po wojnie ulga oswobodzenia od okupanta niemieckiego i niemiła świadomość, że to bolszewicy objęły władzę. Groza ludobójstwa jednak minęła, nowe represje były o wiele bardziej ukryte. Pamiętam w '46 roku znaną 3-majową manifestację krakowską. Najbardziej pozostał mi w pamięci widok maszerującej w pochodzie drużyny harcerskiej „Huragan” z rozwiniętymi sztandarami, gdzieś w okolicy Plant. Ale długo nie wiedziałem, że strzelano do manifestantów. W tym samym mieście z entuzjazmem patrzyłem na tłum niosący samochód z Mikołajczykiem, nieprzebrane mrowie. Fatalny dla komunistów oficjalny wynik re-

ferendum w Krakowie; mówiło się, że obecni przy urnach starzy socjaliści nie pozwolili sfałszować wyników. Pamiętam czołówkę powojennej gazety krakowskiej, głoszącą wstyd i hańbę miasta. Ale w '46 roku wyjechałem z Krakowa do Wrocławia. Miasto, po Warszawie chyba najbardziej zniszczone, posępna wymowa ruin, które chwiały się jeszcze, co chwilę na chodniku świeży obwał ściany. Żal mi było tego miasta. Takie pejzaże opisano przede wszystkim w Warszawie. Nazywano Wrocław polskim, ale nie chciano żałować jego zniszczenia. Po nietkniętym Krakowie to była znowu lekcja wojny. To trwało też w literaturze, przed maturą czytałem nowele Borowskiego, wiersze Różewicza, nazywano to zarażeniem śmiercią. Już zaczynał się zalew propagandy, choć we Wrocławiu było dużo Lwowiaków, czasem coś opowiadali. Były też audycje radia Londyn, pamiętnego przecież jako głos nadziei w czasie okupacji. Słuchaliśmy raz Głosu Ameryki — za głośno — na szkolnym obozie pomaturalnym w małej miejscowości w Karkonoszach, więc była interwencja miejscowego urzędu bezpieczeństwa u dyrektora kolonii.

Szkoła nie uczyła jeszcze wprost nowej ideologii, mieliśmy nawet religię. Wszczepianie aktualnej propagandy i marksizmu było sprawą organizacji młodzieżowych. Ale obserwowano szkołę uważnie. W roku chyba '47 napisałem banalny scenariusz na małą scenkę szkolną: *Wojenna pieśń polska*. Dialogi wprowadzały kilkanaście pieśni, scenek, od *Bogardzicy* do *Czerwonych maków na Monte Cassino*. Kuratorium zabroniło tej inscenizacji. W roku '49 wyreżyserowałem w liceum na uroczystość maturalną fragment sceny więziennej *Dziadów trzecich* z małą Improwizacją. Grał Bogusz Bilewski, Janek Kulczyński, Leszek Wojciechowski, ja. Ale kiedy zaczęliśmy odwiedzać z tym mini-spektaklem świetlice robotnicze we Wrocławiu — spadł momentalnie zakaz. W tym liceum mieliśmy wspaiałego wychowawcę, profesora Trybusa, cichociemnego zrzutka z Anglii w czasie okupacji, dowódcę okręgów AK. Wlewał nam w dusze klasyczny rygor, był łacinnikiem, o polityce nie mówił, ale nazywał nas czasem: moje wojsko, chodził w *battle-dress*'ie. Podpisał nam świadectwa maturalne i poszedł na pięć lat do więzienia. Nie wiedziałem o tym wtedy.

Przed maturą jeszcze zapisałem się do OMTUR-u. Ukazane tu doświadczenia dzieciństwa i wczesnej młodości nie predysponowały mnie do takiego kroku. Ale w liceum pełno już było broszurek politycznych, atakował marksizm. Do zapisania przyczynił się mój kryzys religijny. Byłem zrażony ciasną, zatęchłą i skrupulancką moralnością, w której się wychowałem. Wielu księży, w tym katechetów, uważało za swój obsesyjny obowiązek

przede wszystkim naukę moralności erotycznej. Dołączyły się wątpliwości filozoficzne. Brama dla Kartezjusza była otwarta, ale wszedł nie Kartezjusz, lecz obskurancko zaprezentowany pan ze źle umytą brodą, Karol Marks. Były jeszcze lektury „Kuznicy”, wykuła ona wiele inicjacji, przeznaczonych później na złom. Przyszedłem automatycznie do ZMP, ale wątpliwości pozostały. Wynikiem ich było oddanie legitymacji tuż po maturze, co prawie na pewno pozbawiało mnie nadziei na studia. Przyjaciele wcisnęli mi tę legitymację z powrotem siłą (perswazji). Po zdaniu na studia polonistyczne we Wrocławiu pojechałem od razu na kurs marksistowski w Warszawie. Nie było luksusów, spaliśmy pokotem w akademiku przy Placu Narutowicza w wielkiej sali gimnastycznej. Szarą eminencją na wydziale był wtedy Samuel Sandler, asystent i sekretarz partii.

Cóż jeszcze można powiedzieć o skreślonych tu obrazkach — od dzieciństwa po maturę? Choć niektóre wspomnieniowe migawki mają potworny ciężar historii, całość nie była powiązana żadną logiczną spójnią światopoglądową, nie podbudowana jakąkolwiek wiedzą i systematyzacją historyczną. Wiele to i nic. Tak bywa, że młodzież jeszcze nie ma konturów. Ale tu było coś więcej. Przed wiedzą historyczną nas chroniono. Było to pokolenie w okupację puszczane samopas w nauce szkolnej, a po wojnie odłączone od rzetelnej wiedzy społecznej. Jeśli los nie zdarzył jakiejś wspólnoty z ludźmi o głębiej określonych konturach myślowych i takich przyjaźni, to nowy pokarm światopoglądowy podawany we wszystkich prawie czasopismach działał. Dochodziła do tego sprawa autorytetów.

Wróć raz jeszcze do sprawy religii i Kościoła. Nie chodzi o sprawę wiary lub nie, w znaczeniu metafizycznym. Ważny jest jakiś ogólny szacunek dla pewnej instytucji, nawet przy istniejących różnicach. Kościół był nadal formacją opierającą się komunizmowi, ale jego autorytet pozostawiał wiele do życzenia. Nasi katecheci nie byli zbyt ciekawi w nauczaniu etyki, nie mówiąc już o jej zastosowaniach społecznych. Nauka Kościoła na poziomie małuczki była na ogół anachroniczna i ciasna, a przecież wojna dokonała wstrząsów moralnych, obaliła sztywne hierarchie w społeczeństwie, zmieniła bardzo sferę obyczajową. Anachronizm obyczajowości Kościoła powodował często wzruszenie ramion chłopców i dziewcząt, którzy widzieli za dużo śmierci i chcieli upajać się życiem bez obsesji grzechu i kary, zwłaszcza że chodziło o zmysły, które przedtem chłoneły tylko przerażenie. Pamiętam, jak w małym kościółku na przedmieściu Krakowa drżeliśmy o księdza z powodu jego patriotycznych kazań, a jednocześnie w tym dramatycznym roku '44, kiedy konało Powstanie,

grzmiały filipiki przeciwko krótkim sukniom i „ukazywaniu podbrzuszy”...

Wyobrażamy sobie często *ex post* świadomość społeczną w formie wykonanych całości i optymalnie zweryfikowanych wyborów. Tak na ogół nie jest, w świadomości jednostki tułają się złepki pojęć, znikome resztki różnych ideologii, wiedzy społecznej i historycznej. I nagle, w krytycznej chwili, na tle całej tej gmatwaniny, przy potrzebie szukania autorytetu i obalania autorytetu — zdrada samego siebie przychodzi w najniewiarygodniejszy sposób. Dzieje się tak zwłaszcza po okresach zaniedbań edukacji i ogromnych stressach historycznych. To pokolenie, które reprezentowałem, nie miało pod koniec lat czterdziestych prawie w niczym oparcia. Opluto w prasie, ale i w rozmowach domowych, drugą Rzeczpospolitą jako odpowiedzialną za klęskę, zryw Powstania Warszawskiego przerażał jałowością zysku i bezdennością strat, sojusznicy zachodni, jako że zdradzili, byli przedmiotem szyderstw, chłopcy z lasu, jako że zabijali jeszcze po wojnie, przerażali. Politycznie na placu pozostali komuniści, nie było prawie żadnej alternatywy dla czynnego zaangażowania. Pozostawałaby samotność, konieczna, lecz tak obca psychologii młodego wieku, wymagająca dużych przemyśleń i samoświadomości, jak każda samotność tragiczna. Gdyż działa się to po wojnie i był głód wartości pozytywnych. Kraj ciągle jeszcze leżał w gruzach i wezwanie do pracy nie było tylko nakazowym hasłem, wynikało z konkretnej rzeczywistości na co dzień, ale i z psychicznej potrzeby. W tej sytuacji łatwo pomijało się sygnały ostrzegawcze dostarczane przez rzeczywistość. Szalała propaganda i naiwność, powierzchnowe myślenie tych, którzy jej ulegali.

Nie najmniejszej wagi dla tych w moim pokoleniu, którzy odgadywali w sobie ambicje literackie był przykład zaangażowania wybitnych twórców. Uważam, że wszyscy ci ludzie sztuki, artyści, pisarze, o ustalonych często jeszcze przed wojną nazwiskach, którzy opowiadali się wyraźnie po stronie nowego reżimu, dorzucali zupełnie zasadniczy argument, ważący na szali naszych wyborów. Nęciły szlachetne pozornie zaangażowania. Gdy ze względu na różne formy zmęczenia istnieje podświadoma tendencja konformistyczna — zaraźliwie działa przykład, jak kamyk poruszający lawinę. To dlatego władza komunistyczna tak dbała o każde pozyskane nazwisko, obojętne czy był to polityk, inżynier, czy artysta, należący do ludzi czynnych w dwudziestoleciu międzywojennym. Ci ludzie nie zawsze sobie zdawali sprawę, że żyrują wiarygodność nowej władzy. Nie mogli tego zrobić ludzie bez nazwisk, a na dodatek uważani za agentów obcego państwa. I ten Wechsel komunistyczny żyrował znaczny odłam inteligencji

polskiej, choćby nawet biernie, jak Boy Żeleński, kiedy wszedł do redakcji lwowskich „Nowych Widnokręgów”. Ze Skamandrytów czynili to Iwaszkiewicz, Słonimski i Tuwim, a więc większość, doliczmy tu Broniewskiego. Sygnowali tę władzę w opinii publicznej jako dyplomaci Miłosz i Zagórski, nie mówiąc o Putramencie, przedtem Bujnicki, więc już mamy Żagary. Podpisywał jako dyplomata Przyboś, więc Awangarda. Jeśli idzie o prozaików, wiedzieliśmy, że jest po tej stronie Nałkowska, ale i Dąbrowska, mimo zgłaszania szlachetnego veta w sprawie conradyzmu. Z ostatniej fali przedwojennych debiutów agitowali za „nową rzeczywistością” Jerzy Andrzejewski, Adolf Rudnicki, Paweł Hertz, Jan Kott, Ryszard Matuszewski. W krytyce literackiej, jeśli pominąć przewodników bez autorytetu dokonań literackich, jak Stefan Żółkiewski, dołączył przecież Kazimierz Wyka. W tym panteonie „nowej” literatury zabrakło oczywiście niektórych nazwisk, nie tylko z emigracji, ale i z kraju. Te akcesy na nas działały, tymi argumentami i prostymi wyliczeniami przekonywało się innych. I mimo że po roku '55-56 zaczęło nadchodzić wielkie otrzeźwienie i porzucanie tamtych pozycji, trzeba było aż trzydziestu pięciu lat po wojnie i przyjścia do głosu zupełnie nowego pokolenia inteligencji, ale i robotników, jednym słowem doświadczenia Solidarności, aby ten rozkład akcentów w świecie kultury i literatury całkowicie się odwrócił. Rozwiązanie Związku Literatów Polskich zapoczątkowało symboliczny proces wytoczony pisarzom przez władzę.

Jeśli nowa władza podkopywała autorytet wszystkiego, co było inne od niej, nie znaczy to, że sama ten autorytet zdobyła. Staraliśmy się tylko weń wierzyć, nawet my, młodzi, cóż mówić o starszych. Słowa Iwaszkiewiczowskiego *Listu do prezydenta Bieruta* też nie brzmiały zbyt przekonywująco. Ten okres i ta ideologia nie dostarczyły mi ani jednego głębszego, trwałego przeżycia. Co więcej, w pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że około '49 roku zniknęło, czy zaczęło znikać we mnie coś, co nazwałbym odczuciem rzeczywistości, zmysłowej gęstości otaczającego świata. I oczywiście istniał niepokój, czasem spychany w podświadomość, to łączyło się często z niesmakiem. Przypomnę jeszcze kilka migawek z mego życia w tym okresie. Krzyczałem na jakimś uniwersyteckim mityngu we Wrocławiu z trybuny, a jednocześnie czułem panikę wobec siebie krzyczącego w ten gąszcz postaci i twarzy, które zlewały mi się w parującego, beładny tłum! Ja tym krzykiem przekonywałem siebie, myśląc, że ich chcę przekonać. Takie czynne wymuszanie pewności siebie było jednak unikalne w moim wypadku. Nie należałem nigdy do tak zwanych władz organizacji. Przypominam sobie jeszcze męczonę przez nas, stu-

dentów, „idealistów”, profesora Kolbuszewskiego, specjalistę od romantyzmu. Zadawaliśmy mu po wykładzie, w ramach tak zwanej dyskusji, podstępne „marksistowskie” pytania, zapewne o Marylę i Mickiewicza. Myślę, że jednocześnie wstydziłem się tego procederu. Podobnie było, gdy organizacja zetempowska kazała mi odwiedzić dwie miłe koleżanki, by je uświadomić ideologicznie. Rozmowa nie kleiła się, czułem się nieswojo, że jednak coś przed nimi ukrywam. To nie były najczęściej nasze inicjatywy, nakręcał nas ktoś trochę wyżej, kto, nawet nie wiem. To drobiazgi. Natomiast groza wieje w moich wspomnieniach od takiego mitingu studentów wydziału — byłem jednym z milczących, spędzonych tam słuchaczy — na którym potępiano bezwzględnie dwie dziewczyny, które miały ponoć jawnie zamanifestować w rozmowie swoje wrogie klasowe i polityczne stanowisko wobec ustroju. Przemówienia i oskarżenia. Bałem się, już nie wiem czego? Było coś okropnego w powietrzu. Może za chwilę każą mi głosować za usunięciem tych dziewczyn w uniwersytecie? Ale w wyrzucaniu takich ludzi gremium studenckie nie brało na szczęście udziału. Jeszcze jedno dość wstydlive wspomnienie, już z terenu pozaakademickiego. Oto jadę — z kimś chyba jeszcze — do jakiejś wsi podwrocławskiej, aby agitować chłopów za wstąpieniem do spółdzielni produkcyjnej. To było tylko jeden raz. Tam na zebraniu wytaczaliśmy jakieś wyjęte z gazety argumenty, twarzą w twarz z zebranymi chłopami, ich racjami prostymi, topornymi, sękatymi jak kije, choć dyplomatycznie wymijającymi. Grzecznie się z nami obeszli, choć pamiętam jeszcze lęk, gdy o zmierzchu polami szliśmy wracając na przystanek autobusu. Wszystko to jest bardzo zatarte, te lataоставiły duże luki w pamięci.

Nagrodą za „przyłączenie się” było poczucie wielkiego „uczestnictwa”, ale istniały oczywiście wyróżnienia honorowe. Takim ogromnym wyróżnieniem było wytypowanie po drugim roku studiów mojej osoby jako kandydata na berliński „festiwal młodzieży świata” w roku 1951. Nie wiem, jak to się stało, było wiele udziału niewidzialnej ręki czy rąk w tym okresie. Po skoszarowaniu w Warszawie, otrzymaniu nowych spodni, koszul i krawata — to się nawet pamięta, bo miałem wtedy tylko jedno spodnie — pojechalśmy autobusami do wschodniego Berlina. W którymś z tych autobusów jechała także Anna Walentynowicz. Ja jechałem autobusem młodego pokolenia literackiego, jechali tam prawie wszyscy, którzy się liczyli w owym czasie, z przyszłymi na czele, brakło tylko niedawno zmarłego Tadeusza Borowskiego. Ten Berlin biedny i szary, jeszcze gruzy, ale w feerii porozwieszanych czerwonych sztandarów. Portret Stalina nad

nam nadwieszony na balonach! Widowisko, które chyba musiało przypominać Niemcom niedawne hitlerowskie capstrzyki. Tuż obok był Berlin Zachodni, od którego nie dzielił jeszcze żaden mur, żadne kordony wojskowe i policyjne, wystarczyło zapomnieć wysiąść z metra na właściwej stacji. Toteż megafony ostrzegały: *Achtung! Achtung! Hier ist die letzte Station des demokratischen Sektors!* Ostrzegano nas na apelach, bo przecież nieustannie nas liczono, i nie tylko ostrzegano, grożono także: tam po drugiej stronie zabijają młodych demokratów, wrzucają ich do studzienek od metra. Grożono także renegatom, o przekroczeniu granicy sektora myślałem naprawdę ze strachem. Nie dałoby się tego zrobić niewidocznie, byliśmy umundurowani. Pamiętam apel, po którym odesłano do Warszawy dwu delegatów, którzy się po Zachodnim Berlinie przespacerowali, jednym z nich był Jan Lenica. Tymczasem nad nami krążyły nieraz amerykańskie helikoptery i zrzucały ulotki. Zbieraliśmy je i nieczytane oddawaliśmy funkcjonariuszom *Volkspolizei*. Ktoś krzyknął: nie czytać! i ciekawość mieszała się ze strachem, żalem i poczuciem wypełnionego obowiązku. Trwała przecież zimna, i nie tylko zimna, wojna. To wszystko miało być lekcją dla młodych pisarzy, ale tak naprawdę zapamiętałem tylko Stalina na niebie i dziewczynę, z którą wymieniliśmy adresy, to była młoda Niemka, były takie euforyczne sentymenty.

W tych latach roilo się od „awansujących” nas imprez, potem znacznie się przerzedziło. Warto wspomnieć jeszcze o innej pokazówce i towarzyszącym jej spotkaniom. W roku 1951 odbył się tak zwany kongres nauki polskiej z okazji utworzenia Polskiej Akademii Nauk (przy okazji zlikwidowano przedwojenną krakowską Polską Akademię Umiejętności). Wśród pierwszych skrzypków tego przedsięwzięcia w naukach humanistycznych był Stefan Żółkiewski. I proszę, nagle dostałem zaproszenie na kongres, przecież powinna być także na nim ideowa młodzież uniwersytecka. Tu już było luksusowo, osobny pokój w hotelu „Polonia” w Alejach Jerozolimskich, a przede wszystkim zaproszenie na recepcję w Prezydium Rady Ministrów, w Pałacu Namiestnikowskim. Mało warszawiaków nawet wie, że z drugiej strony pałacu w stronę skarpy ciągną się reprezentacyjne i recepcyjne ogrody, a jeszcze mniej osób chyba przechadzało się tam osobiście. Był letni, upalny dzień. Przyszedłem z Jurkiem Skórnickim, późniejszym wieloletnim dyrektorem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. I zaraz w jednej z głównych sal zostałem „przechwycony” przez kogoś, przedstawiony ówczesnemu ministrowi szkolnictwa wyższego, Eugenii Krassowskiej, jej zaś, zgodnie z jakimś rytuałem, zechciało się przedstawić mnie premierowi Cyrankiewiczowi, jako

może „przyszłą chlubę nauki polskiej”. Mechanizm łatwych awansów działał. Wiem, że sfotografowano mnie z premierem, zjadłem w jego towarzystwie część podanych natychmiast lodów, padły jakieś banalne słowa, których sobie absolutnie nie przypominam. Zapamiętałem jednak, że Cyrankiewicz stał w ciemnym garniturze na tle ciemnoczerwonej kotary służącej mu za oprawę, co uderzyło mnie teatralnością, podobnie jak podskakiwanie fagasów z zapałką, ilekroć sięgnął po papierosa. Czas było przejść do ogrodów. Tam licznie rozstawione w alejkach stoły ugięły się od zakąsek, nakrojonego mięsiva, stały na tacach butelki z wódką i winem. Dla studenta przyzwyczajonego do głodnej raczej doli widok był niesamowity, polskie społeczeństwo w owym czasie było strasznie zabiedzone. I przyszli tam oczywiście także nasi wychowawcy i nasze autorytety. Pamiętam podchmielonego Kazimierza Wykę i inne osoby. Wszystko to miało wytworzyć mniehanie, że należymy do jakiegoś innego świata, no cóż, znajduje się tutaj dzisiejsza i przyszła elita. A oni, naukowcy, luminarze? Uczestniczyli ochoczo w tej liturgii, coś odsunęli na bok, choć wiedzieli więcej niż my, i poszli za wezwaniem.

W tym ponurym obrazie znajduję czasem siebie w jakimś jaśniejszym punkcie, przypominam sobie różne przytomne odruchy, ale wyłączone z szerszej całości. Świadczą jednak, że gdyby była motywacja, znalazłaby się i odwaga na wyłączenie się z masy. Gdy zwróciłem legitymację zetempowską po maturze — to była znów świadomość na „nie” — wiedziałem jasno, że ryzykuję całą przyszłością. Przypomnę jeszcze dwa drobne fakty. Niedługo przedtem było „ideowe przesłuchanie” „na dzielnicę”. Pytano po kolei wszystkich zgromadzonych o światopogląd religijny. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo właściwie już nie wierzyłem. Panowała dziwna, szczelna atmosfera napięcia i strachu uczestników. Toteż gdy jeden z moich przyjaciół powiedział zgodnie z prawdą, że jest wierzący, a brzmiało to tam tak, jakby był kaniabalem, zmobilizowałem się i ja, powiedziałem, że nie wiem, ale na pewno nie jestem marksistą. — To może kolega własną filozofię wymyśli? — usłyszałem z drwiną. — A może, niewykluczone — opowiedziałem. Ulga. Szło to pewnie do jakichś akt. Natomiast w Warszawie na studiach — pamiętam, jak odciąłem się, gdy mi rządzące koleżanki z ZMP zwróciły uwagę, że spotykamy się z tym Zdzisławem Najderem, asystentem burżuazyjnego filozofa Tatarkiewicza. Były więc różne możliwości sprzeciwu i zostały niewykorzystane.

Wspominałem już o ignorancji i ogólnej chwiejności wiedzy o świecie. Wlewało się przez tę lukę myślenie magiczne nowej ideologii zapowiadającej raj i dobrobyt, szczęście powszechne. Ale

wcielanie tego w życie poprzez własny udział szło niesłuchanie opornie. Nie napisałem tutaj nic przecież o swojej ówczesnej aktywności literackiej, bo w zasadzie ona nie istniała. Trochę pracy recenzenckiej, wykonanej w oparciu o obiegowe schematy, na podobnych schematach oparta książka o poezji Jastruna. Nie zapominajmy jednak, że sam Jastrun osiągał wtedy apogeum wierzeń o Dzierżyńskim i Majakowskim. Pamiętam jednak, że już w korektach skreślałem przejęte od Stefana Żółkiewskiego poglądy, że dwudziestolecie międzywojenne jest epoką upadku polskiej literatury, by napisać tam, że owszem, wprost odwrotnie... Rozsypany były także próby literackie, nie wychodząc poza stadium brulionowych notatek. Samodzielniejsze myślenie było zresztą tłumione, pamiętam jak „Nowa Kultura” odrzuciła moją krytyczną recenzję z *Wojny skutecznej* czyli *Zadufków* Andrzejewskiego. I tak przyszedł rok '55 i '56. Po wjechaniu czołgów sowieckich na Węgry napisałem we wrocławskich „Nowych Sygnałach”, że ruina Budapesztu oznacza koniec mitycznej wiary. W parę lat później wygłosiłem referat o postawach, w którym mówiłem, że nie jestem marksistą i że filozofia ta nie ma w sobie żadnej finalnej charyzmy. Opuszczałem grono darwinowców humanistyki.

Mówiąc o „nowej ideologii” nie wymieniłem właściwie jeszcze jednego elementu, gdy mowa była o autorytetach. Otóż marksizm i socjalizm w wydaniu „ustanowionej dyktatury proletariatu” podporządkowywał sobie całą tradycję i historię ludzkości, czyniąc z nich słupy milowe na drodze do chwili obecnej. Podporządkowywał sobie także całą tradycję lewicy europejskiej, poczynając szczególnie od Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Przebijano karty „reakcji” Mickiewiczem, który używał słów rewolucja i socjalizm. Pisałem o tym w tamtych latach, szukałem pilnie cytatów. O socjalizmie mówił Żeromski, zresztą naprawdę mówił.

Istniało przecież także coś takiego jak lewica europejska i jej tradycja. Jej ideologia. Wypisano na ten temat tomy i nie chodzi mi teraz o nowe o tym studium. Otóż ta tradycja nie była nigdy tworem jednorodnym. Ale też nie była jednorodna i jednoznaczna i sama ideologia. Były tam rzeczy dobre i złe. Z punktu widzenia wartości, etyki społecznej. Wszak obraz Nieczajewa zasztyfrowany w *Biesach* Dostojewskiego to lewica. I Czerwoni w polskim Powstaniu Styczniowym to lewica. Lewica europejska walczyła długo o lepszą sytuację, w jakiej ma żyć ludzkość, sytuację tych przede wszystkim, którzy byli na dole społecznej drabiny. Rzeczywiście na dole koła Fortuny.

I oto w wieku XX dokonany zostaje przy pomocy luzów

tkwiących w tradycji i doktrynie — eskamotaż, dzieło społecznych przywódców i społecznych prestidigitatorów. Ta piękna część tradycji i ideologii lewicy staje się maską dla działań wcale nie pięknych i programów wcale nie chwalebnych, częściowo nowych, a częściowo odwołujących się do przeszłości. Podmienione zostają program i rzeczywistość. Odwołują się do pięknej tradycji lewicy, czy do jej pięknych haseł ci, którzy już wcale nie mają do tego prawa. Bandyta głosi, że jest obrońcą uciśnionych. Trochę to tak, jakby zastosować do tej strasznej sytuacji słowa sienkiewiczowskiego Zagłoby z arsenału czarnego barokowego humoru: diabeł w ornat się ubrał i ogonem na mszę dzwoni. To rozumowanie jest niesłyszane potrzebne przy wnioskowaniu o genezie ugięcia się intelektualistów, także w Polsce, przed czerwonym faszyzmem. Jeśli bowiem istnieją analogie między faszystami, to istnieją też różnice. Ugięli się przed czerwonym faszyzmem i przystosowali do niego ludzie, którzy nigdy by tego nie zrobili wobec faszystów brunatnego. Nie ma nic bardziej trudnego, jak podobne terminy przy opisie złożonych i różnych ideologii, ujawniających jednak także analogie. Można więc powiedzieć, że ludzie, o których mowa, dostali się w tryby maszynierii totalitarno-faszystowskiej. Litera ideologii programowej jednego i drugiego faszystmu była jednak różna. Czerwony faszyzm podawał się za spadkobiercę i kontynuatora tego, co najpiękniejsze w tradycji lewicy. Wiara w ideologię i to, że jest ona rzeczywistością, była koniem trojańskim dla liberalnej inteligencji. Dokonano na nich oszustwa. Ale hańba domowa polega nie tyle na naiwności, ile na przejściu do porządku dziennego nad tymi szczegółami, i nie tylko szczegółami, które w tym oszustwie były przecież widoczne, i w programie były jednak także obecne: i koń był drewniany, z oprawcami ukrytymi w środku, i spod ornatu wyglądał diabli ogon i kopyto. W powietrzu był zapach świeżo przelanej ludzkiej krwi i słyszać było jęki ofiar. Nie można też zapominać, że wierzący w nową wiarę byli w ten czy inny sposób wynagradzani lub przynajmniej unikali różnych kar. Ta otoczka wchodzi już w dziedzinę analogii z totalitaryzmami różnych kolorów i należy do zakresu hańby domowej.

Ale nawet w dziedzinie ideologii okoliczności łagodzące nie działają automatycznie, jeśli nawet zważyć, że akces ideowy nie zawsze oznaczał usprawiedliwianie praktyk władzy. Bo trzeba tu koniecznie dopisać jeszcze parę słów o ideologii komunistycznej. Tak się bowiem działo i często jeszcze dzieje, że o ile zgoda na praktykę komunistyczną budziła sprzeciwy i kontrowersje, o tyle ideologia ujmowana była nieraz w kategoriach „pięknej”, choćby nawet „utopii”. Polemika wychodząca często także od instytucji

kościelnych, uważana była przez wielu za spór jedynie o wartości religijne i metafizyczne, spór między laicyzmem i religią. Zaś spór o zawartość społecznej doktryny rozumiany bywał jako spór między postępem i niewątpliwym konserwatyzmem. To złudzenie o pięknie ideologii komunistycznej było niewątpliwie jedną z przesłanek przystąpienia do nowej wiary i akceptacji nowej praktyki dla tak wielu osób należących do inteligencji polskiej po wojnie. To złudzenie podzielał zresztą autorzy bardzo wybitni i niezależni, porównujący zwłaszcza praktykę Niemiec nazistowskich i Rosji sowieckiej. Raymond Aron w wykładach paryskich z lat 1958-1959 (*Démocratie et totalitarisme*, Gallimard 1965) polemizuje z Hanną Arendt, uważając że wykazane przez nią podobieństwa między hitleryzmem i sowytyzmem stosują się tylko do pewnego okresu, gdy istniały porównywalne praktyki, ideologię jednak komunistyczną określa jako „uniwersalistyczną i humanitarną”, nazistowską zaś jako „nacionalistyczną, rasową — i zgoła nie humanitarną”.

Takie ujęcia wydają się przede wszystkim powierzchowne, wychodzą od cząstkowego rozumienia zakresu słowa ideologia, pokrywają milczeniem całe jej obszary, odwołując się do zakorzonego i bardzo silnie działającego mitu świadomości europejskiej lewicy. I chodzi tutaj zarówno o podstawowe kanony ideologiczne, jak i tak zwaną ideologię stosowaną, czyli uzasadniającą rozmaite praktyki społeczne. Już samo pojęcie dyktatury proletariatu stawia pod znakiem zapytania wyzwolenie pracy, która stając się pracą niewolniczą nie może zapewnić rozwoju osobie ludzkiej, nie mówiąc już o rezultatach gospodarczych. Samo pojęcie walki i krwawej rewolucji, zakładające terror wobec przeciwnika, zresztą i terroryzm, nienawiść wobec człowieka, bywało przyjmowane przez przedstawicieli literackiej lewicy w historii: „A gdy stary Bóg nie służy, pomódlmy się do obucha, uściśnijmy noże, i dalej za morze krwi, za czerwone morze” — pisał w XIX wieku Berwiński. Przyznać trzeba, że ta zasada terroru bywała skrywana poza fasadą ukazywania ofiar walki samego proletariatu i rewolucjonistów. Hymn komunistyczny mówi tylko o „krwi robotniczej”. A przecież co do „ideologii stosowanej” wątpliwości być nie może, i nawet nie mogło. Pamiętamy o tej notatce Lenina, posłanej w 1921 roku do politbiura: „Im większą ilość członków reakcyjnej burżuazji i reakcyjnego kleru uda nam się rozstrzelać pod tym pretekstem [tłumienie kontrrewolucji], tym lepiej”.

Nie bardzo jest zrozumiałe, dlaczego zasada terroru klasowego ma być aż tak wyższa od zasady terroru narodowego czy rasowego. Utopijny, straszny cel narodowego socjalizmu niemiec-

kiego to także stworzenie przyszłego harmonijnego społeczeństwa bez sprzeczności, ludzi pięknych i zdrowych, mieszkańców niemieckiej utopii, założonej na trupach. Podobnie sowiecka władza szła do komunizmu — wizji przyszłości utopijnej — po trupach „kontrrewolucji”. Oczywiście, idea niszczenia narodów w wydaniu narodowego socjalizmu była uzasadniona rasowo, a więc paranoicznie i metafizycznie, zaś niszczenie i deportacja narodów w wydaniu sowieckiego komunizmu były upłatane w uzasadnienie pośrednie, nie stanowiły celu samego w sobie właśnie w znaczeniu metafizycznym, choć ten cel w dalszej kolejności to uzasadniał. Była to różnica pomiędzy: „ten naród należy zniszczyć, bo to naród zły z samej swojej istoty”, a — „ten naród można i należy zniszczyć, bo stoi w poprzek naszym planom rekonstrukcji świata” lub: „jeśli w poprzek stanie”. Oba faszyzmy — czerwony i brunatny — niszczyły małe narody czy grupy lub deportowały je, bo duże trudniej było zniszczyć, tak więc obu okupantom nie udało się zniszczyć narodu polskiego. Jeśli jednak zważyć sześć milionów ofiar polskich ostatniej wojny, ofiar dwu okupantów — nie byłoby już nas, gdybyśmy byli — powiedzmy — Duńczykami czy Norwegami. Ludobójcza ideologia Czerwonych Khmerów ukazała współcześnie realizację takiej samej zasady. I w jednym i drugim wypadku, czerwonego i brunatnego faszyzmu, istnieje jednak utopijne, metafizyczne uzasadnienie projektu przyszłości, zezwalające na miliony ofiar.

Nie znaczy to wszystko, że „projekt” ideologiczny narodowego socjalizmu i komunizmu sowieckiego nie różniły się między sobą. Różniły się przede wszystkim w tym, że narodowy socjalizm eksponował paranoiczny, przeciwny cywilizacji europejskiej nacjonalizm, rasizm i ludobójstwo wprost, komunizm sowiecki zaś ukrywał się poza fasadą zasad i tradycji, poszczególnych formuł, odwołujących się do tradycji europejskiej, jakkolwiek zgół nie całej. Fragmenty tej fasady bywały piękne, jak zresztą po dziś dzień, ale były to tylko fragmenty, które tworząc niejednorodne całości z innymi — stanowiły po prostu konglomeraty kłamstwa. Jak mówiłem wyżej, nie można oczywiście zakwalifikować tak wszystkich poglądów tradycyjnej lewicy europejskiej. Nie wypływa też stąd gloryfikacja prawicy. Mówiąc nawiasem, już w 1926 roku Józef Piłsudski wskazywał, że pojęcie prawicy i lewicy zaczyna się mącić. Że nazizm mógł się w ogóle nazwać narodowym socjalizmem, daje do myślenia. Ale faktem jest, że to „piękno” ideologii komunistycznej było poszukiwane i odnajdywane także na tle niechęci do wpływów prawicy. Wypisano na ten temat tomy. A pamięć prawicy oznaczała po wojnie także różne okropne rzeczy, jeśli zważyć na dwudziestolecie międzywojenne

u nas i okupację, nie mówiąc o klasycznych faszyzmach, w tym nazizmie niemieckim.

Wnioskowanie tu przeprowadzone nie jest wszakże nowe. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych polaryzacja między wyznawcami „pięknej ideologii komunistycznej” i tymi, którzy jej pięknu zaprzeczali, była także wyraźna. Ale nawet wśród przeciwników ustroju sowieckiego utrzymywało się nieraz przekonanie o pięknie tej ideologii. W procesie duchowym, jaki dziś możemy wytoczyć sobie samym z tamtego okresu, to urzeczanie ideologią jest okolicznością jeśli nie łagodzącą, to wyjaśniającą.

Tak więc ta cała historia lewicy, której epizod tu pokazujemy nie jest krótka, lecz długa, i ma też swoją prehistorię. Toteż ten wiraz był wirazem nie tylko mojego biednego pokolenia, które już w krótkich spodenkach przeżyło ostrzeliwanie z broni pokładowej lotnictwa. Tylko że my mieliśmy mniejszą wiedzę o tym, że poza fasadą magicznej wiary odbywają się także krwawe jatki. Wiemy, że podstawą ruchów faszystowskich — czarnych, brunatnych, błękitnych i czerwonych — były także magiczne wiary. Będą pewnie jeszcze inne kolory, użyje się — bo już się używa — także oryginalnych kolorów narodowych. Wiemy także, że w życiu społeczeństwa wystarczy czasem kilka lat tylko, by dokonać olbrzymich spustoszeń. Poza szarością ruchów o charakterze faszystowskim trzeba zobaczyć także względną łatwość ulegania faszyzmu.

Dziś, gdy piszę o tamtym okresie ideologii komunistycznej, mogę już próbować spojrzenia z większym dystansem na wcześniejsze od mojej generacji. Myślę, że sytuacja o wiele bardziej się tu komplikuje. Tyle przesłanek wyżej określonych ujawnia swoją kruchość. Bowiem: naiwność bardzo młodego wieku — odpada, brak lektur, książek i informacji w takim zasięgu — odpada, stress wojenny jako pierwszy w życiu szok — dla wielu odpada, pierwszy kryzys światopoglądowy — odpada. Odpada, odpada, odpada... Tyle rzeczy zdaje się omijać pokolenie, które *de facto* przewodziło socrealizmowi lub milcząco go akceptowało. Ludzie „Kuźnicy” na przykład pokończyli studia i debiutowali już przed wojną. Jeśli jednak odrzucić tezę o płaskim konformizmie, a ja ją w zasadzie odrzucam, coż pozostaje? Zawsze to samo: wytworzony pod ciśnieniem warunków chaos myślowy prowadzący do myślenia magicznego, które było myśleniem tak prymitywnym. Ale przecież te sprawy utilitarne, wkręcenie się w maszynierię struktur zawodowo-pieniężnych, związanych z obiegami kultury, tworzyły i tworzyć musiały u wielu niebezpieczny poślizg, który niełatwo jest opanować.

Co jeszcze przyczyniło się do tego społecznego ugięcia się przed komunizmem? Na pierwszym miejscu poza eskamotażem związanym z lewicowością, wymienilibym stress wojenny, którego uwarunkowania i powikłania działały wielokierunkowo. Była już mowa o tym, że powodował on u wielu odżegnanie się od tradycji demokracji europejskiej, jako niezgodnej do powstrzymania podobnych klęsk. Związany z okrucieństwami ostatniej wojny i jej ludobójstwem kryzys moralny traktowano jako coś wyjątkowego w historii i w gruncie rzeczy wytłumaczalnego tylko dialektyką typu heglowsko-marksistowskiego. A więc przesileniem całej historii ludzkości. Trzeba przyznać, że nie wszyscy nasi pisarze tę tezę o wyjątkowości zbrodni wyznawali. Nie było tak na przykład ani u Iwaszkiewicza, ani u Nałkowskiej, ani u Staffa. Nie myślał tak Elzenberg. Określała natomiast twórczość i Borowski, i Różewicz. Ukazanie faszyzmu niemieckiego jako „automatycznego” dna historii zwalniało od konkretnego myślenia. A jednocześnie, po tak strasznej wojnie, gdzie wszystko łączyło się ze śmiercią, była instynktowna potrzeba, aby mówić o lepszym życiu i je obiecywać. Wojna w Polsce nie oznaczała tego samego, co w innych krajach europejskich, była o wiele okrutniejsza, przyniosła przemoc aż dwu okupantów i największe procentowe straty ludności w skali światowej. Upadek Powstania Warszawskiego, tej ostatniej reducty drugiej Rzeczypospolitej, największa przegrana bitwa w dziejach tego narodu, to dokonanie spustoszenia o nieobliczonych do dzisiaj skutkach. Oznaczało to załamanie wiary w tych, co w ten sposób opierali się także komunizmowi, śmierć rzeczywistą całej elity ludzi wszystkich pokoleń, a zwłaszcza pokolenia wstępującego, zagładę stolicy kraju, co nie było tylko symbolem. Upadek Warszawy przypieczętował zniszczenie przez dwu okupantów normalnych siatek i struktury, w jakich dokonuje się w społeczeństwie wymiana poglądów i ruch myśli. Struktury Polski Podziemnej mogły być tylko zastępcze, pięć lat trwała już martwota lub śmierć normalnych funkcji społeczeństwa. Tuż po wojnie dokonano nowych czystek, ogołaczano biblioteki z pewnych książek, a społeczeństwo z pewnych ludzi. Zamknięto szybko granice i wprowadzono embargo na wolną myśl. Wyrzucono z miejsc zamieszkania miliony ludzi. Ludzie przepędzani w pociągach przesiedleńczych nie myślą równie niezawodnie, jak ludzie z dawna osiadli.

Czasy powojenne wymagały chwilami — wbrew pozorom — większej może dzielności, niż prostsze decyzje wojenne. Jak to bowiem się stało, że ludzie, którzy okazali w czasie wojny odwagę posuniętą nieraz do brawury, teraz aż tak zawiedli? Po pierwsze, napięcia wymagające odwagi nie mogą trwać w nieskończoność,

po drugie, wymagają nieustannej i w miarę jasnej motywacji. Osłabiona motywacja i brak wiary udzielają głosu przede wszystkim zmęczeniu. Chęć trwania w wolności musiała po wojnie wydawać się wielu już tylko troską o własną godność. Kraj był zwyciężony i na kolanach, elita tak zniszczona, że groźne słowo „zdziesiątkowana” byłoby jeszcze czymś lekkim, a niewola zapowiadała się na długie lata, dziś widzimy, że minęło już prawie całe półwiecze. Perspektywa była więc żałosna i beznadziejna, może porównać ją do tej po powstaniu styczniowym. Ale straty narodu były jeszcze większe. Otóż wyobraźmy sobie, że po tamtym strasznym powstaniu Polacy otrzymują nominalnie własne państwo, bez ziem zabranych wprawdzie, ale o dość szerokich granicach, bo oto równocześnie Rosja wygrała wojnę z Prusami i Austrią. Jest więc Poznań i Kraków, a nawet Gdańsk. Jest znów sejm, choć sparodiowany, polska oświata, choć wypaczona, i przynajmniej w literze odwoływanie się do tradycji i dumy narodowej. Oczywiście, brak suwerenności, pełno rosyjskich agentów i namiestników w przebraniu, szaleje cenzura, ustalono niekorzystne bariery celne dla handlu i gospodarki. Ale mimo wszystko to, co przed powstaniem listopadowym wydawało się młodym patriotom hańbą, zostałoby może uznane jako szansa przez część społeczeństwa. To było więcej niż Królestwo Kongresowe. Kończąc tę anachroniczą niewątpliwie analogię zwróćmy uwagę na pewien nowy element. Chodzi o związek odczuć inteligencji twórczej z odczuciami innych grup społecznych. Uczulano inteligencję przez wiek cały na te związki. A po wojnie ulegały nowym obietnicom komunistycznej władzy — w jakim stopniu i procencie, trudno stwierdzić — także inne podstawowe warstwy narodu: chłop, który dostał odrobinę ziemi, robotnik, który otrzymał przede wszystkim moralny zastrzyk euforyzujących sloganów — że jest esencją i rządcą tego narodu i tej ziemi. Potępiono bez kosztów własnych wszystkie wyrządzone ludowi w historii niesprawiedliwości. Ten robotnik ocknie się już w 10 lat później, w Poznaniu, a i wcześniej trwa w tłumionym gniewie. Ale władza zdążyła się już osadzić w siodle. Także wykorzystując dla własnych celów sytuację tak zwanego społecznego awansu.

Mówiąc o tych najogólniejszych procesach akceptacji życia w Polsce powojennej pragnę jeszcze przypomnieć rozróżnienie, stanowiące jakby jedno z milczących założeń tej całej analizy. Otóż nie zaliczam do dziedziny „hańby domowej” owego spontanicznego i „bezwartunkowego refleksu” społecznego, jakim była konieczność odbudowania funkcji kultury po wojnie i dźwignięcia polskiej gospodarki, jednym słowem dążenia do stworzenia nor-

malnego życia. Wymagało to włączenia się w struktury oficjalne, kontrolowane przez komunistów, w coraz szerzej przez nich zagarnianych dziedzinach życia. Stąd też konieczność różnych ustępstw i kompromisów, które trudno oceniać *en bloc*. Do dziedziny „hańby domowej” zaliczam natomiast udział w nowej ideologii, danie wiary kłamstwu i wspomaganie go w różny sposób. Ze rozmaite dziedziny i sposoby budowy nowego życia po wojnie bywały transmisją niebezpiecznej zmiany postaw, ułatwiały ją lub stymulowały — to rzecz oczywista. To uplatanie w sprzeczne lub niebezpieczne okoliczności jest oczywiście jedną ze stron dramatyzmu postaw, związanych z tragicznymi złudzeniami i przekraczaniem niewidocznej granicy, której przekraczać nie należało. Są to jak zawsze rachunki osobiste i szczegółowe, ale istniała też określona wyżej sytuacja ogólna. Na okęcie, nawet opianym przez korsarzy, pompują wszyscy, jeśli nie chcą utonąć. Oczywiście, ta analogia ma swoje granice. Przypomnę to, co pisałem tu o swoim ojcu. Położył niemałe zasługi w organizowaniu nowego życia na Dolnym Śląsku. Kres tej decyzji i tego zaangażowania wyznaczył jednak przymus zapisania się do partii — nie zrobił tego nigdy.

Ze wszystkich wymienionych tu powodów ulegał i ulega zmianie obraz powojennej epoki literackiej. Ten proces wciąż trwa. Odeszła do lamusa duża część ówczesnej twórczości wielu znanych pisarzy. Te zmiany oddziałają dopiero na literackie hierarchie, gdyż mity hierarchii trwają dłużej. Nie miejsce tu na szczegóły. Część literatury powojennej kształtowała się w związku z nową ideologią, i z kolei utwory te wpływały na sytuację kulturową. Pewną rolę w tych procesach odegrała pośrednio także literatura o wojnie. Wśród powojennych debiutów największe poruszenie wywołali: Tadeusz Borowski w prozie i Tadeusz Różewicz w poezji. I tutaj zachodzą przewartościowania. Wydaje mi się, że przestanie być swoistym mitem twórczość Tadeusza Borowskiego i wyjdzie na jaw — już wychodzi — powierzchowność jego myślenia intelektualnego i jednostronność wartościującej syntezy kultury, nie tylko w żalosnym okresie *Muzyki w Herzenburgu* czy *Matych kronik*, ale właśnie w jego drapieżnych nowelach obozowych. Tak mówiąc nie neguję wybitnej wartości tych nowel, patrzyliśmy na nie jednak bez luzu interpretacyjnego. Wspominam o tym w mojej rozmowie z Andrzejem Braunem. I niewątpliwie poblednie o wiele gwiazda poezji Tadeusza Różewicza, łącznie z jego utworami najwcześniejszymi, przez niektórych najwyżej cenionymi. Utwory tych dwu pisarzy powstały zresztą jeszcze właściwie bez udziału nowej ideologii, a nawet zostały przez nią później jakby częściowo potępione, jako „zara-

żenie wojną”. A jednak wizja ta tworzyła i mogła tworzyć tło dla jeszcze innych ocen. Obaj ci pisarze zostali uznani przez krytykę za wybitnych świadków literackich tej epoki, która spalała ludzi w obozowych piecach. I zrozumiano ich tak właśnie: że mieli nazizm hitlerowski za końcowy wytwór dotychczasowej kultury. Zbrodnia ta miała przewyższać wszelkie popełnione przedtem, w tym samym czasie i później. Runęła wartość całej cywilizacji. W ten sposób rezygnowano — nie w samym proteście tych pisarzy przeciw zagładzie, lecz w uogólnieniach — z klasycznej wizji człowieka, ze śródziemnomorskiego humanizmu. Borowski wkrótce odszedł na zawsze, co zinterpretowano mitycznie jako protest przeciwko nowej ideologii. Różewicz podryfował — po krótkim socrealistycznym postoju — w stronę szablonu egzystencjalistycznego zwątpienia.

Na tym tle *Medaliony* Zofii Nałkowskiej są czymś zupełnie osobnym. Ona też nie wypowiada się na temat gułagów, gdzie odpowiednikami pieców były zamrażalnie. Ale oskarżenie jej mierzy w mechanizm monopartyjny i ideologiczny, wytwarzający nieludzki faszyzm jako dzieło człowieka, niekoniecznie Niemca. Aż dziwne, że *Medaliony* mogły tak długo, także w lekturach szkolnych, spełniać rolę utworu skierowanego wyłącznie przeciw faszyzmowi niemieckiemu. Każdy może być do tego zdolny, pisze Nałkowska w jednym z opowiadań. Każdy, kto wierny jest do ślepoty jednej partii, dopowiada w drugim. W noweli *Człowiek jest mocny* słowa tytułowe włożone są ironicznie w usta niemieckiego żandarma, domagającego się jeszcze większego wysiłku od swojej ofiary. Czytając to myślę zawsze o dewizie Gorkiego „człowiek to brzmi dumnie”, którą pani Nałkowska niewątpliwie znać musiała. Gorki nie wyrzekł się tej dewizy, pisząc pochwałę białomorskiego obozu.

To wszystko każe myśleć, że będzie także butwieć materia wielu esejów krytycznych, nie mówiąc o podręcznikach i pomocach naukowych, odpowiedzialnych za wiele kryteriów ocen i hierarchii. Wiele wywodów straci swoją oczywistość. Przygasa i tutaj nazwiska, stanie się to także i z uznawanymi niegdyś autorytetami. Tych przewartościowań dokona nie tylko krytyka, ale także zmiana generacji czytelników, nowi czytelnicy nie będą już po prostu wiedzieć o wielu dawnych hierarchiach.

Rozliczanie się z podobną epoką jak ta, którą przeżyliśmy, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, jest katuszą. Wiedzą o takich katuszach Niemcy, rozliczający się ze swoimi brunatnymi latami, zwłaszcza stare dziś pokolenie, ale także ci, co chodzili wtedy w krótkich spodenkach *Hitlerjugend*. W tym, co tu napisałem,

ale także w opiniach przekazywanych moim rozmówcom, historyk we mnie nie unikał nazwisk, a moja filozofia historii nie jest wolna od ostrych ocen moralnych. Największą przykrość wyrządziłem przy tej okazji sam sobie, dlatego że rozjątrzenie cudzych ran jest przeciwko mojej naturze. Ale ucisnąłem także i swoją, wciąż bolesną bliznę. Jednak mniej ważne są przykrości spotykające nas, jednostki, gdy chodzi o społeczną świadomość historyczną i o naszą odpowiedzialność wobec młodych pokoleń. Społeczeństwo musi dążyć do ukazywania prawdy. Prawda to oczywiście również zdolność do takiego rozumienia różnych procesów, gdzie czyny nie zawsze oznaczają całego człowieka, w którego myśleniu odegrał tak wielką rolę szalony i skomplikowany nacisk epoki.

Te ostre sądy moralne, o których była mowa, nie wykluczają subiektywnej oceny rozumiejącej. Można to nazwać także historyczną wyrozumiałością. Odnosi się ona do subiektywnej sytuacji części ludzi zaangażowanych w nową rzeczywistość. Wyprowadza to ocenę poza proste polaryzacje. Obok pojęcia hańby ukazuje się kategoria tragiczności subiektywnej. Chcę to podkreślić dzisiaj, gdy młode pokolenie widzi często skrajnie tamto zaangażowanie — tylko jako polityczny i moralny horror. Dzieje się tak, gdyż brak szerszego wglądu w tamte sprawy, tak obiektywnie, historycznie, jak i subiektywnie, w dziedzinie przeżywania tamtej sytuacji. Opracowanie historii powojennej nie weszło nawet w pełną fazę wstępną.

Od razu, aby te ogólne twierdzenia wesprzeć znów konkretem, do okoliczności oceny, o której mowa, dorzucę jeszcze okropność tłącej się wojny domowej. Ginęło w niej wielu wartościowych ludzi po stronie opozycji. Zaś po stronie władzy ginęli w niej nie raz nie tylko ludzie właściwie w politykę niezaangażowani, ale także ci reprezentanci tej władzy, którzy nie mieli nic wspólnego z bezpośrednim terrorem i represjami i którzy w normalnych warunkach stanowiliby tylko stawkę innego obozu, przy cechach subiektywnej uczciwości. Nie należy tych spraw zamazywać, bo nic dobrego stąd dla prawdy nie wyjdzie. Istnieli więc ludzie — i stanowili chyba większość w naszym społeczeństwie — co potępiając krwawe represje ze strony komunistów, byli także przeciwko krwawym represjom ze strony podziemnej opozycji. Oczywiście, że w tej sytuacji na placu pozostawali ci, co byli u władzy, mieli zresztą te represje, także krwawe, prowadzić nadal, choć już nie w tak masowej formie. Ale idea wojny domowej, obca w zasadzie tradycji, w jakiej byli wychowani Polacy, nie mówiąc już że tragicznie bezsensowna w nowym układzie historycznym, musiała być tym bardziej obca po zniszczeniach

ostatniej wojny. To był też element obezwładniający szersze kręgi społeczne — w innych, cywilnych dziedzinach oporu — gdy odbywały się procesy podziemia, o różnym nieraz charakterze sytuacji podsądnych. Przyczyniło się to także — poślizgiem — do częściowego uspienia opinii podczas późniejszych stalinowskich procesów pokazowych, gdy sądzono bohaterów ostatniej wojny. To też musi być wzięte pod uwagę przy ocenie subiektywnie rozumiejącej.

Wielokrotne przymierzanie się do tej męczącej problematyki — byłem bowiem jeden na tylu rozmówców — kosztowało mnie wiele rozterki i niepokoju. Ten właśnie fragment, który teraz przesuwam się z litery na literę na wałku mojej maszyny do pisania, powstał po bardzo niepewnej nocy, już pod koniec pracy nad tym szkicem, kiedy znów po paru latach przerzuciłem i odczytywałem *Dziennik 1954* Leopolda Tyrmanda. Cały czas widzimy tu tak mocno ugruntowaną postawę przeciw, choć czasem towarzyszyły jej różne wątpliwości, odczytujemy sądy uogólniające, których precyzja uderza jeszcze po trzydziestu latach. Jest tu też cenny zapis odruchów emocjonalnych, reakcji na różne fakty życia, dyktowanych przez zasadniczą wewnętrzną trzeźwość, jak choćby ta krótka scenka z obrad sekcji pomocy Związku Literatów: „Pastwiono się nad niejakim Konwickim — młodym literatem, posłusznym i oddanym członkiem partii i wszelkich jej młodzieżowych przybudówek. Napisał opowiadanie o miłości. Z wszystkimi akcesorami jak trzeba: szlachetny oficer UB, kochankowie pierdola się niemal pod kontrolą podstawowej organizacji partyjnej, nigdy przeciw, zawsze za i ze Związkiem Radzieckim, w łóżku nieustanna mowa o proletariacie. A jednak okazało się 'nie takie'. Ludzie w wieku przydrożnych kamieni, o powierzchowności karłów i maszkar — Melania Kierczyńska, Adam Ważyk — informowali ludzi w średnim wieku i o normalnym wyglądzie o tym, co to jest spółkowanie — dojrzałe, klasowo odpowiedzialne, a nie animalistyczne, wynaturzone, amerykańsko-imperialistyczne. Ta Kierczyńska, szara eminencja czerwonej literatury, na oko koszmarny zlepek wyschłych kości i brodawek, która w życiu wypełnionym walką o socjalizm, i przy swojej urodzie, kutasa widziała chyba tylko w atlasie anatomicznym, pouczyła nas, że zdrada małżeńska jest przeżytkiem kapitalizmu i zniknie w nowej erze. Noweli Konwickiemu chyba nie wydrukują...”

Nic dodać, nic ująć — jeśli oczywiście potraktować ten obrazek jako połączenie realizmu reportażu ze złośliwą metaforą satyrycznego przerysowania. Wiem coś o tym, bo bywałem na takich zebraniach. Takie oczywistości zaskakują. Dlaczego Tyrmand mógł, a Ważyk nie? I otóż dziś rano, przy jasnym choć już

jesiennym słońcu, doszedłem do wniosku, że właściwie pełna racjonalna odpowiedź, dlaczego tak się działo z ludźmi — jest niemożliwa. Że we wszystkich próbach odpowiedzi dokonywanych w tej książce, przemyka się także coś niezauważalnego, jakby jakaś materia nośna pewnych stanów, to co w farmakologii nazywa się *vehiculum* — coś obojętnego niby, a przenoszącego lekarstwo czy truciznę, mające wywołać efekt. Założmy, że to *vehiculum* jest nieobojętne, że skupia potrzeby irracjonalnie zgubne jakiegoś czasu. I nagle następuje zgęszczenie irracjonalnej materii, opętania osobistego i społecznego, to co w historii nazywano wybuchami zbiorowego fanatyzmu, co kazało prowadzić dzieci w krucjatach do Ziemi Świętej lub cieszyć się głośno tłumom na paryskim placu Rewolucji, gdy z gilotyny spadały głowy niedawnych przywódców ludu. Coś z takiej atmosfery istniało i w Polsce po ostatniej wojnie, było to zresztą celowo wytwarzane, szczególnie zasłonięte pseudoracjonalną wykładnią propagandy i języka nowej wiary. Dlatego w takie zbiorowe aberracje nie ma jakby nigdy pełnego wglądu. Mistrzowskim ukazaniem tej powojennej paranoi i schizofrenii społecznej, ich dramatycznych i tragicznych odbić w jednostce jest *Apelacja* Jerzego Andrzejewskiego, jedna z najlepszych książek i diagnoz okresu.

Poruszę teraz ostatnią rzecz, która wydaje mi się istotną jeszcze dla rozważań nad tamtym okresem i postawą tych z nas, którzy „przyłączywszy się”, niegdyś, opowiadają teraz o sobie z tamtego czasu i starają się siebie zrozumieć. A zrozumieć, to przecież i wyrozumieć, w sensie przywoływanej wyżej wyrozumiałości historycznej. Odniosę się do Conradowego *Lorda Jima*, którą to książkę nie bez powodu wznowiono w '56 roku, i nie bez powodu — na tle powojennych polemik Dąbrowskiej z Kottem — opatrzone posłowiem Jerzego Andrzejewskiego. Posłowie to, odczytane po latach, zawiodło mnie trochę, ale jedno jest w nim ważne: odwołanie się do dramatu sumienia na miarę szekspirowską. Andrzejewski przeciwstawia w nim Hamleta, którego dramat odbywa się jakoby całkowicie na ruinach własnego światopoglądu, lordowi Jimowi, który czuje winę za swój czyn wobec swojego światopoglądu, nie poddanego jednak zwątpieniu.

Nie chodzi już o to, że ta nasza tu „spowiedź”, w obecnej książce, rozpamiętywanie tamtego czasu, tamtej decyzji w sprawie „zmiany kursu”, przypomina ożywione chęcią samousprawiedliwienie się opowiadania Jima o okolicznościach, w jakich — jako oficer załogi — opuścił okręt ze śpiącymi pasażerami, jednym skokiem do szalupy, będąc przekonany, że okręt ten za chwilę zatoni i że nie ma innego wyjścia. Zachęcał go do tego czyn wiarygodnego kapitana okrętu. Dramatyzm sytuacji czynił z tej decyzji

wyбір świadomy i zarazem emocjonalny, irracjonalny. To sytuacja niemożliwa prawie do zrozumienia bez „wczucia się”. Takie „wczucie się” było możliwe dla rozmówców Jima podatnych na uczucie wyrozumiałości, ale była i musiała istnieć także postawa odwrotna, wykluczająca pierwszą — ocena na płaszczyźnie obiektywnej, dokonana przez porucznika francuskiej kanonierki, która wzięła na hol opuszczoną przez białą załogę „Patnę” i przyholowała ją do bezpiecznego portu (jak wiemy, wbrew przewidywaniom, „Patna” nie zatonała). Porucznik mówi o Jimie: „uciekł wraz z innymi”. Więc po prostu zdradził! Między subiektywną a obiektywną oceną nie można więc postawić zwykłego znaku równania.

Andrzejewski myli się, uważając że działanie Hamleta odbywa się na ruinach jego światopoglądu. To prawda, Hamletowi rozsypały się jego wyobrażenia o świecie, ale sens jego działania i wątpliwości odnosi się nadal do jądra, które ten światopogląd stanowiło, do europejskiego renesansu, i jądro to pozostało nienaruszone pośród szalejącej burzy wypadków i psychiki Hamleta. Lord Jim zachował pozornie nie tylko jądro swego światopoglądu: pojęcie honoru, ale i światopogląd cały. A przecież jednak zrujnował ten światopogląd swoją samousprawiedliwiającą rozterką i nade wszystko oddzieleniem się od swego światopoglądu przez swój czyn: skoczył dokonując zdrady, jakościowego przejścia. Tej zdrady Hamlet nie dokonał nigdy, wprost przeciwnie, utonął wraz z okrętem.

Odsłońmy literackie maski. Gdy my, intelektualiści, przyjmowaliśmy nową wiarę, każdy „należał do gatunku porządných ludzi, był jednym z nas” (*Lord Jim*). Każdy z nas należał do gatunku intelektualistów wychowanych na spadku europejskiej kultury i pragnących w głębi siebie dochować jej wierności. W duchu udowadniał sobie, że jądro moralne zostało zachowane. To była jednak pomyłka. Każdy faszyzm był, jak wiadomo, aberracyjną mutacją tej kultury, w żadnym wypadku jej logicznym następstwem, był skokiem w obcość. Ale w świadomości intelektualistów był najpierw uważany za zmianę na ruinach dawnego światopoglądu, przy zachowaniu wiary, że odbywa się to — powtórzmy — w zgodzie z nienaruszonym jądrem tego światopoglądu. Dopiero później zaczęto i to jądro kwestionować. Zresztą świadomość różnych analogii z całością kultury zaczęła być wtedy w ogóle uważana za niebezpieczną, zrozumiałe jest więc, dlaczego dla ludzi nowej wiary, jak Jan Kott, Conrad był niewygodny.

To, co tu mówię, odnosi się przynajmniej do naszego, polskie-

go epizodu dramatu czy tragedii polskich liberałów. Przejście do postawy obcej, jaką musiała być wszelka koneksja z czerwonym faszyzmem, odbyło się więc w warunkach, w których dramat ten, oglądany już z perspektywy historycznej, łączył w sobie szamotanie się Hamleta i decyzję lorda Jima. Jego późniejszy samousprawiedliwiający monolog, oglądany z perspektywy polskiej historii popaździernikowej, łączyłby w sobie conradyzm z pewnymi tonami dostojewszczyzny, jako że tyczącymi dramatu rewolucji.

To wszystko wiemy dzisiaj, wiemy też że „Patna” nie zatonęła, jeśli jej los porównać z losem starej europejskiej cywilizacji („nie można sobie wyobrazić, jak wytrzymałe bywa stare żelazo” — *Lord Jim*). Mieli rację ci, co wytrwali przy sterze, jak dwaj malajscy marynarze, a nie ci, co wyskoczyli z okrętu do łódki, wraz z nimi Jim. To porównanie z Conradem przytaczam tu nie dlatego, aby ubarwić ten esej, tylko aby raz jeszcze podkreślić, że wszystkie te dramaty historyczne i duchowe, dziejące się w XX wieku, odbywały się w łonie tej starej europejskiej kultury, a dramat jej pozornego przewyciężenia był już gestem, skokiem, który jako obcy, zawiódłby nas z powrotem do jaskiń, jeśli nie gorzej. Natomiast książka obecna ma już za sobą luksus posunięcia się historii i świadomości o kilkadziesiąt lat naprzód i sytuuje się poza stalinowskim i także popaździernikowym dramatem świadomości inteligencji liberalnej. Posiadam tylko pamięć lorda Jima — ale postawę Marlowa i oficera francuskiego razem wziętych — żeby tak zakończyć analogie do tej powieści Conrada. Przesunięcie, tak pod względem oceny historycznej, jak i oceny moralnej — dokonało się.

Jeśli udział społeczeństwa w naszej hańbie domowej zmniejsza się teraz coraz bardziej, to nie zmienił się fakt, że nadal żyjemy w czasie pogardy. Określenie to, nadane przez André Malraux faszyzmowi niemieckiemu w latach trzydziestych, stosuje się także do komunizmu. Po ostatniej wojnie Malraux nie miał już wątpliwości, że ustrój ten pogardza człowiekiem. A los społeczeństwa polskiego jest teraz rozpaczliwy. Nie znamy czasu, w którym może nadejść zasadnicza zmiana. Kultura, jako szeroka funkcja społeczna, jest zagrożona. Kiedy piszę te słowa na polskiej wsi niedaleko od Opinogóry, a więc bliskiej pejzażem temu, co oglądał u siebie Krasiński, myślę o jego nadziei i rozpacz. Po dniach ciepłych zrobiło się nagle zimno. Krety ryją już zapasowe wyjścia i tunele powietrzne w oczekiwaniu jesieni i zimy. W ogrodzie osty, astry i późne słoneczniki, na polach wielopiętrowe, wymłócone stogi. Zające uciekają spod nóg na miedzy, a na ścieżkach leśnych płomienne wiewiórki. Tyżes to, Polsko?

Lecz Polska to także, i przede wszystkim, ta żywa część społeczności, która nie chce już „hańby domowej” i pracuje na wolność wewnętrzną i zewnętrzną. Tym więc, którzy przyczynili się do tej książki i bez których by ona nie powstała, przypisuję ją raz jeszcze, jako ich własność.

wrzesień 1985

INWAZJA Z OBCEJ PLANETY

Rozmowa ze Zbigniewem Kubikowskim
(4 sierpnia 1981)

KUBIKOWSKI: — Więc mamy mówić o tym, dlaczego ta grupa inteligencji, przede wszystkim inteligencji twórczej, włączyła się w Polsce w stalinizm. Ale może najpierw zakres chronologiczny: myślę, że jeżeli mówimy o historii Polski, to musimy mówić o latach 1949-1955. Nie ma sensu rozpatrywać, jaki jest stosunek stalinizmu do leninizmu, myślę, że stalinizm jest po prostu pewnym stylem leninizmu, pewną formą uprawiania leninizmu, i wiadomo, że wszystkie te rzeczy zostały już wymyślane przez Lenina.

TRZNADEL: — *To twierdzi także Besançon w swoich Intelktualnych rodowodach leninizmu, że w głębszej treści nie ma istotnych różnic.*

KUBIKOWSKI: — Jest to tylko nadanie pewnej formy organizacyjnej leninizmowi i zaczęło to funkcjonować u nas w latach 1949-1955. To było coś szalenie chytrego, bo to był pewien proces. Bo po roku 1945, po tym całym walcu, który przeszedł przez tę ziemię, istniał taki powszechny mit nowego świata. Każdy pisarz miał głębokie przekonanie, że w gruncie rzeczy po tym, co się stało, po zmiążdżeniu wszystkich norm, po skompromitowaniu się wszystkich norm świata mieszczańskiego, i moralnych, i politycznych, trzeba zacząć coś robić zupełnie inaczej. I ta idea chodziła po całym świecie. Że po tym wszystkim musi wszędzie zapanować nowy ład. Tą ideą był owładnięty Roosevelt, który dlatego tak łatwo nas sprzedał w Teheranie.

TRZNADEL: — *Kompromitacją generalną była okupacja. Wojna, jej straszność.*

KUBIKOWSKI: — Tak, okupacja, to co się stało, obozy... Ale pamiętajmy o jednej rzeczy: znakomita większość tych, którzy przeszli przez obozy sowieckie, przeszli przez tą stronę, w zasadzie została na Zachodzie. Był tutaj pewien przedziwny podział: Polacy w kraju mieli doświadczenie okupacji hitlerowskiej, natomiast w gruncie rzeczy nie mieli doświadczenia rosyjskiego. Wyjątkowo, *casus* Aleksander Wat. Ale to doświadczenie mieli przede wszystkim ci, którzy objęli władzę. Wszystkie putramenty, wszystkie wschodnie... A ta cała masa, która została wywieziona w 1939 roku, poszła na Zachód z Andersem. Oczywiście, część przyszła tutaj z I Armią. Ale to byli ludzie, po których przeszedł ten cały walec i już byli uformowani, przepuszczeni przez system. Żadna z tych zasad nie działa w stu procentach, rzecz jasna. Ale statystycznie rzecz biorąc cała Wielkopolska, cała Kongresówka, cała zachodnia Galicja, czyli w zasadzie cały trzon Polski nie miał doświadczenia sowieckiej okupacji. Cokolwiek się potem stało, było lepsze, bo było lepsze. Rzeczywiście było lepsze. I to nie tylko dla tych z obozów koncentracyjnych czy dla warszawiaków, ale w ogóle dla wszystkich było to w pierwszym okresie lepsze. I teraz to przekonanie, że musi być zupełnie inaczej...

Pisarze, roczniki dziesiąte... To wtedy byli ludzie trzydziestoparoletni, ale mieli jakby spóźniony debiut po wojnie. Kazimierz Brandys, Żukrowski, Dygat, trochę starszy był Breza, ale Breza, autor przed wojną dwu książek, też właściwie dopiero wtedy wchodził tak na serio w życie literackie książką napisaną w czasie wojny, cyklem *Mury Jerycha*. Andrzejewski podobnie, też miał debiut przed wojną. Ta cała generacja to nie była młodzież. I u nich wszystkich było to przekonanie, że teraz dopiero trzeba będzie zrobić coś nowego, coś wymyśleć. To będzie lewicowe, bo oni wszyscy byli mniej więcej tak zorientowani przed wojną. Było to, jak myślę, szalenie mgliste. I zaczęło być manipulowane, jestem o tym głęboko przekonany. Bo kiedy się dzisiaj na przykład bierze i czyta „Kuźnicę” — kiedyś uśiłowaliśmy przeczytać kilka numerów — to ten pierwszy okres „Kuźnicy”, to jest normalne pismo o orientacji lewicowej. Polemizuje się ostro na przykład z „Tygodnikiem Powszechnym”, równocześnie zakładając jako rzecz oczywistą, że ten partner istnieje, ma prawo głosić swoje poglądy i że to wszystko tak ma funkcjonować. Walczymy z przeciwnikiem bronią polemiki, ale go nie rozstrzelujemy. Ale już wtedy, jak sądzę, istniał plan powolnego,

a potem gwałtownego przeorientowania tego wszystkiego w kierunku właśnie systemu stalinowskiego, który przecież przez te pierwsze lata nie obowiązywał w Polsce. Ten model, jaki istniał, miał już w sobie ten cały system stalinowski, ale jeszcze jako jakby jeden z elementów życia społecznego, a nie jako wszechobejmujący system. Działa policja polityczna, toczy się walka z oddziałami AK przede wszystkim, z banderowcami, to wszystko się działo, a swoją drogą funkcjonowały jeszcze różne inne rzeczy, cały ten model gospodarczy, jaki istniał.

TRZNADEL: — *To nie wciskało się wszędzie, ale było oczywiście narzuconym bytem politycznym państwa, które od początku nie było wolne...*

KUBIKOWSKI: — I otóż myślę, że inteligencja była przekonana, że to tak pozostanie. To znaczy, że ta danina, którą musimy zapłacić, już została złożona. Są tkwiące we wszystkim elementy tego systemu, ale tylko elementy, bo to przecież Polska, bo to przecież kultura śródziemnomorska, bo chyba chodzi Rosjanom o to, żeby tu mieć państwo sojusznicze, żeby tutaj trzymać tylko rękę na pulsie, ale to wszystko będzie funkcjonować tylko częściowo jak w latach 1945-1948.

TRZNADEL: — *Ale to pokolenie lat czterdziętych, o którym mówię — przecież oni pamiętali, w przeciwieństwie do nas, lata przedwojenne, procesy moskiewskie...*

KUBIKOWSKI: — Dobra: to Wat chyba napisał zdanie niesłychanie trafne — jest rzeczą przerażającą, że w gruncie rzeczy raczej tak naprawdę, nie w dziedzinie ideologii, ale w ocenie sytuacji, ma najczarniejsza prawica. To znaczy, że wszystko, co przed wojną najczarniejsza prawica mówiła o komunistach, było prawdą. I otóż okazuje się, że tak, choćby z Wata, że oni byli rzeczywiście na usługach ambasady i konsulatów moskiewskich, że byli normalnie piątą kolumną, używani do celów szpiegowskich, że cały ten ruch komunistyczny i te wszystkie pośrednie jego fazy, pisma inteligencji lewicowej, były finansowane i sterowane z ukrycia przez ambasadę rosyjską. I teraz: ci ludzie wiedzieli o tym wszystkim, po wojnie, ale wiedzieli też, że są to zarzuty skrajnej prawicy, wobec której byli w bardzo ostrej opozycji. I oni wtedy nie mogli tego przyjąć za prawdę. Po prostu sądzili, że oczywiście prawica przesadza, że w Sowietach było niefortunnie to wiadomo, ale to przecież tam, a nie tu, a tutaj mamy państwo niezależne, jest Mikołajczyk, są alianti, są jakieś umowy, wierzono

wtedy w układy. Przypuszczam, że byli przekonani, że to będzie takie socjalistyczne państwo z elementami stalinowskimi, które będą właśnie daniną.

TRZNADEL: — *Dużym współczynnikiem siły przyciągania był pogląd — okazał się całkowicie mylny — że to będzie państwo nierasistowskie, bo duża część tej lewicowej inteligencji, to byli Żydzi z pochodzenia, którzy odczuli nacisk szowinistyczny przed wojną. A twoje zdanie o agenturach: w pewnym dopiero momencie zdałem sobie sprawę, że zakaz partii komunistycznej w Polsce przedwojennej był motywowany po prostu konstytucyjnie zdradą stanu.*

KUBIKOWSKI: — Tak strasznie proste... A wtedy to przecież tylko skrajna prawica to mówiła. Bo lewica mówiła: no nie, jednak, skąd... Jeździli, pisali książki... Słonimski, Wańkowicz.

TRZNADEL: — *Można znaleźć w wydanych u nas po wojnie pismach Leńskiego nawoływanie z lat wojny polsko-bolszewickiej, że Armia Czerwona powinna wkroczyć; zdrada stanu...*

KUBIKOWSKI: — Myślę, że ludzie typu Żółkiewskiego, wtedy, na początku, byli jeszcze przekonani, że społeczeństwo będzie pluralistyczne i chodzi o to, żeby lewica zdobyła władzę nie tylko na bagietkach rosyjskich, ale żeby zdobyła także władzę duchową. Przewagę duchową. Ale nie ma tam zapędów jakiejś całkowitej uniformizacji, likwidatorskiej, z początku. Natomiast była grupa ludzi, do których — jeśli już pozostajemy przy nazwiskach z kręgu literatury — można zaliczyć właśnie tych, którzy przyszli stamtąd w mundurach, i którzy — nie ma cudów — wiedzieli. Ważyk przyszedł w mundurze, Putrament przyszedł w mundurze, Borejsza przyszedł w mundurze. Co do Borejszy, który jest tutaj świetlaną postacią, uważam, że był to po prostu mądry enkawudysta. Normalnie. I że tym wszystkim w kulturze sterował w pierwszej fazie Borejsza. Ale on był za dobrym enkawudystą i potem już przestał być potrzebny.

Początek tego był właśnie taki. Był sterowany przez ludzi, którzy wiedzieli, w jakim kierunku to zmierza. Może nie wszyscy w tym samym stopniu, nie można generalizować. Bo to na pewno było określone ich osobistymi doświadczeniami, bo inny był pogląd człowieka, który był w lagrze, a inny tego, który w nim nie był. Byli i tacy, którzy nie byli. Ale każdy przeszedł swoje... Nie wiem, w jakim stopniu wiedział Ważyk, jak będzie, natomiast na pewno wiedział Putrament. Na pewno. To już wiadomo

po tym, jak się zachowywał w 1939 roku, i w '40, we Lwowie, i tak dalej. Z tym, że on tuż po wojnie był w służbie dyplomatycznej.

TRZNADEL: — *Grubiński pisał o Putramencie z tamtego okresu jako o świadku w jego procesie. Za napisanie sztuki o Leninie został skazany na śmierć.*

KUBIKOWSKI: — Tak, ale pisał nie tylko Grubiński, jest do tego sporo różnych materiałów.

TRZNADEL: — *Nie wiem, czy masz w pamięci Zdobycie władzy Miłosza? Które z tych postaci on zaszyfrował? Dla mnie oczywiste jest zaszyfrowanie w dwu rozdziałach Bolesława Piaseckiego.*

KUBIKOWSKI: — Piaseckiego pamiętam, jest chyba i Borejsza... Ja w ogóle myślę, że to jest powieść z kluczem niemalże w całości.

TRZNADEL: — *Temat na seminarium ze studentami...*

KUBIKOWSKI: — Ale nasi studenci nie znają tej sytuacji. Ja to mówię nie z belferską zgrozą, tylko z innym typem zgrozy, że my będąc w końcu jeszcze ludźmi nie starymi, jednak mamy tak całkiem inne doświadczenia historyczne, jesteśmy całkiem inną formacją. Ci ludzie tego nie wiedzą, ponieważ to się działo na dziesięć, piętnaście lat przed ich urodzeniem. To tak jakby nam ktoś opowiadał o zamachu Piłsudskiego z maja 1926 roku.

TRZNADEL: — *Albo o Pierwszej Kadrowej... Oni jednak nie wiedzą także dlatego, że nastąpił zanik informacyjny. Że nie mogli sięgnąć po materiały.*

KUBIKOWSKI: — Oni żyli także w takim okresie, że nie było to jakby takie dla nich istotne. Początkowo. Teraz zaczyna być.

Ja teraz piszę taki szkic o prozie po wojnie i wprowadzę tutaj jedną z kategorii, których tam użyłem. Mianowicie odróżniam między innymi trzy podstawowe rzeczy: sytuację historyczną, świadomość historyczną oraz mitologię obiegową. Co to znaczy? Sytuacja historyczna, to jej taki układ, który jest znany *ex post*, to znaczy pewien zamknięty etap. Drugie, to jest świadomość historyczna, czyli w jaki sposób ludzie rozumieli swoją sytuację historyczną. Przeważnie rozumieją ją zupełnie inaczej, niż potem to się okazuje, gdy się już zamknie ten etap historyczny. I trzecie: to jest właśnie mitologia obiegowa, czyli pewne stereotypy, które kursują w sferze świadomości i które zawierają jakby skrótową

ocenę tej sytuacji, i jakby sposób na tę sytuację. Pierwszy okres po wojnie: sytuacja historyczna była taka, że przejdą trzy, cztery lata, a później padnie na to łapa stalinowska. Historyczna świadomość społeczna absolutnie sobie z tego sprawy nie zdawała. Zdawało się, że model już powstał, że to jest ten model...

TRZNADEL: — *Czy wszyscy tak myśleli?*

KUBIKOWSKI: — Chodzi tutaj raczej o pewne wielkości statystyczne. Bo na pewno inna była świadomość oficerów AK, których aresztowano w '45 czy '46 roku i albo zesłano na Kołymę, o tym już nie mówię, albo siedzieli w ubeckich więzieniach. Ich świadomość była inna, oni wiedzieli dokładnie, co się dzieje. Inna była na przykład wtedy świadomość Kazimierza Moczarskiego, inna była świadomość polityków, którzy potem uciekli razem z Mikołajczykiem, i tak dalej. To jest zupełnie oczywiste. Ale myślę o świadomości przeciętnego Polaka, inteligenta, drobno-mieszczanina, warstw średnich. Ta świadomość była kształtowana przede wszystkim przez liderów. Zanim Mikołajczyk i jego otoczenie uciekło z Polski, to jednak przedtem wylansowali pewne tezy, które były wyznawane również przez całą opozycję. Tezą podstawową było, że ta ich walka polityczna i obecność ma sens, bo doprowadzimy do państwa pluralistycznego, w którym będą mogły działać obok siebie różne partie polityczne. Taki NEP w kulturze także, ale to jest nasz specjalny polski przypadek, bo inaczej nie da się zrobić w kraju o takich tradycjach. Zresztą dzisiaj już wiadomo, że się nie da tego zrobić, wtedy też niby było wiadomo. Ale próbowano. Sądono także, że Rosja się zmieniła, że musiała się zmienić po tej wojnie, że ten naród, który się tak wykrwawił straszliwie, bo się wykrwawił rzeczywiście, którego armie przeszły przez pół Europy, który nagle znalazł się w sojuszu z Amerykanami, Anglikami, Francuzami, że to jest już jakby trochę inny kraj.

TRZNADEL: — *A te „błędy”, które spowodował Jagoda, Jeżow...*

KUBIKOWSKI: — To już jest historia, nie ma o czym mówić...

TRZNADEL: — *Czy nadejście totalitaryzmu typu sowieckiego nie zostało ułatwione doznaniem totalitaryzmu hitlerowskiego, przyzwyczajeniem się do jego zbrodni? Zostaliśmy jakby odczulenii...*

KUBIKOWSKI: — Myślę, że nie. Jestem nawet głęboko przekonany, że nie. To w ogóle działa inaczej. Przecież te dwa totali-

taryzmy działały innymi metodami. Mimo że tu były obozy, tam były obozy... Ale wewnątrz społeczeństwa, w naszym wypadku, było to coś innego. Gdyby się odbywały egzekucje publiczne, gdyby były łapanki, gdyby były znane obozy, gdyby było wiadomo, że mordują...

TRZNADEL: — *Ale mordowali...*

KUBIKOWSKI: — Mordowali, ale jak to było! Przypomnij sobie, jeśli możesz, takie sprawy, o których dowiadaliśmy się dopiero później, w '56 roku, o rozstrzeliwaniach oficerów, o mordowaniu akowców. Wcześniej się jednak tego nie wiedziało. To krążyło gdzieś tak podskórnie. W latach '45-'49. Ja mówię o opinii publicznej, takiej przeciętnej. Oczywiście że byli ci, co wiedzieli bardzo dokładnie, byli także ci, co to robili. Byli ci, których rozstrzeliwano. Ich rodziny i ich koledzy. Ale przecież wtedy wielkie tuby propagandowe głośiły, że z AK jest w porządku. Wszyscy się ujawniają, jest fajnie, koniec, wszystko jest zamknięte, do pracy idziemy, jest front narodowy, prawda? Ale w tych latach 1945-1949 działał już system stalinowski, bo tutaj żadnej informacji nie było. Choć poza tym był dość luźny przepływ informacji, wszystko było w porządku, gazety były dosyć ciekawe...

TRZNADEL: — *A radio Londyn i tak dalej?*

KUBIKOWSKI: — Londyn tego wszystkiego nie mówił. Nie zapominajmy o jednej rzeczy. To należy do tego, co się określa ciągle jako winę Zachodu. Nastąpił podział na strefy wpływów i im w gruncie rzeczy nie zależało na tym, aby tu judzić i wywoływać niepokoje. Owszem, potem, jak już była zimna wojna, ale to w ramach ogólnej antykomunistycznej propagandy. Ale nie po to, aby tutaj były jakieś rozruchy. To zostało podzielone. Walczyło się z blokiem. I nagle nastąpił ten spazm, kiedy już uznano, że pora.

A sytuacja historyczna była wtedy taka: znowu za cztery czy pięć lat określone funkcje systemu miały się rozpieprzyć. Natomiast świadomość historyczna społeczeństwa była inna, taka, że tutaj niestety zamknęły się jakieś żelazne drzwi i nagle znaleźliśmy się w normalnym lagrze. Koniec. I to się nie zmieni, to będzie trwało. Lata 1949-1950. Wtedy nagle ludzie zrozumieli, jakim fałszem były wszystkie złudzenia lat '45-'49, że wszystko szło do tego... Ciągle mówię o przeciętnej świadomości historycznej społeczeństwa, w tej jego średniej warstwie. W warstwie także inte-

ligencji, na tym średnim poziomie społeczeństwa, ludności miast. I tę świadomość w znacznie wyższym stopniu niż przeciętna narodu miała właśnie lewicowa inteligencja twórcza. Im się nagle wszystko skojarzyło, bo więcej widzieli: że i procesy moskiewskie, że nic się nie skończyło. Ani wojna tego nie zmieniła, ani nic. Oni najprędzej zrozumieli, co się dzieje. I oni najbardziej ulegli panice, i pierwsi, jak myślę, byli przekonani, że to się już prędko nie skończy. To już jest nasze życie. Wpadliśmy w zasadzkę. I teraz się zaczyna pewna bardzo specyficzna historia. Mianowicie poczucie konieczności udziału. Bo z chwilą, kiedy się zorientowali, co się działo, dobrze wiedzieli, że w stalinowskim systemie są tylko dwa wyjścia: albo brać udział, albo być przedmiotem tego wszystkiego. I z tą chwilą każdy chciał brać udział, prawie każdy.

TRZNADEL: — *Ale to, co mówisz, to jest świadomość cyniczna...*

KUBIKOWSKI: — Nie, nie, ja nie sądzę, żeby to była świadomość cyniczna.

TRZNADEL: — *Oni nie robili wrażenia przerażonych, raczej wniebowziętych...*

KUBIKOWSKI: — No tak, ale to jest właśnie udział, na tym polega poetyka socrealizmu. Przecież ołówki różnego rodzaju redaktorów pokazywały im bardzo dokładnie, co trzeba usunąć w każdym ich tekście, na każdej stronie... Jest taki jeden charakterystyczny przykład, na którym się skupię, mianowicie Wojciech Żukrowski. Żukrowski jest w ogóle charakterystyczny. Wiesz, jak on wystartował, jakimi książkami. Z jaką postawą etyczną, humanistyczną, i tak dalej. Ta perspektywa jednostkowa, katolicka. I po pierwszych jego książkach przyszedł socrealizm. I on jako pierwszą wtedy swoją książkę napisał *Mądre ziola*. Ja byłem wtedy na studiach jako młody chłopak. I przyszedłem do niego z taką pierwszą swoją powieścią, akowską właśnie, w której oczywiście nic takiego nie mogło być, a która mnie zupełnie jeszcze w ich oczach pograżała. Nawet nie Żukrowskiego, ale potem, Kotta i tych, którzy to czytali. Z miejsca spisali na straty. Mniej-sza z tym. W każdym razie on był wtedy moim mistrzem, chodziłem do niego, czytał mi różne swoje teksty, a ja dawałem mu swoje, które on osądzał i po prostu mnie uczył. I czytał mi kiedyś — proszę, niech pan siada, przeczytam coś panu — mieszkał wtedy w takiej willi, on na dole, Dygat na górze — taki fragment z *Mądrych ziół*. To się wszystko działo w instytucie biologicznym

i był tam uczony, który badał jakieś sprawy życia owadów. Kiedyś przyszedł wściekły czy na gazie do laboratorium i zobaczył te wszystkie żuczki, które chodzą w jakimś szklanym pojemniku. I pomyślał: czekajcie, ja wam zaraz zrobię wiosnę. Zaczął zmieniać warunki, one wszystkie poczuły wiosnę i zaczęły się kochać ze sobą, przeżyły te upojenia, a potem trzask, kilka ruchów rąk, ciepłota wewnątrz się zmienia i już nic. I on sobie pomyślał: no tak, jak to można życiem sterować. To był bardzo fajny fragment. Ja mówię: to wspaniałe, panie Wojciechu, świetne to jest, czy to panu puszcza? — Jak to, czy mi puszcza, ja się nie sprzedam. — Po czym wyszły *Mądre zioła*, on dał mi książkę, czytam, nie ma tej sceny. Idę do niego, mówię: Panie Wojciechu, ale tej wspaniałej sceny tutaj nie ma. — A on na mnie spojrzał z góry i mówi: No, jak pan wydorósł, to pan zrozumie, że największą sztuką artysty jest sztuka rezygnacji. — Oczywiście, po co mówił do mnie, było chęcią ukrycia faktu, że złamali go pewnie bez większego oporu. Po prostu normalnie mu to wyrzucono.

TRZNADEL: — *Odbierali więc krytyczne sygnały czytelnice. W tym samym okresie, po ukazaniu się Mądrych ziół, na wieczorze autorskim Żukrowskiego powiedziałem jako młody student, że o ile podoba mi się wcześniejsza jego twórczość, to Mądre zioła mi się nie podobają. Wobec tego on napisał mi na dedykację Mądrych ziół: „Do podłożenia pod nogę kulawego stołu...”*

KUBIKOWSKI: — Pamiętam tamte rozmowy, kręciłem się koło „Zeszytów Wrocławskich”. To był ten Olimp: Kowalska, Mikulski. Do Kowalskiej chodziłem także z maszynopisami.

TRZNADEL: — *Kowalską odwiedzałem od 1948 roku. Trzeba powiedzieć, że ona mi wtedy radziła czytać Rilkego.*

KUBIKOWSKI: — Mnie też dawała różne rady. W pewnej chwili postanowili z Mikulskim wydrukować fragment tej mojej pierwszej powieści akowskiej. I potem mi to oddali, powiedzieli, że niestety nic z tego nie będzie. Mimo że zdecydowali przedtem, że tak. Ale to wszystko składa się na jeden obraz. Słuchało się ich rozmów i te rozmowy były takie: były to po prostu rozmowy o wykonywaniu zawodu. Że trzeba z czegoś żyć. Że przecież to potrwa. Że być może już zawsze tak będzie. W Rosji już trwa lat czterdzieści, nie, trzydzieści wtedy.

TRZNADEL: — *Czy to była świadomość katastroficzna?*

KUBIKOWSKI: — W pewnym sensie tak. To znaczy, że trzeba się w tym urządzić, bo to jest świat, który będzie trwał, i inny świat nie będzie nam dany. Chodzi o urządzenie się tak, aby się najmniej ześwinić. To nie jest wcale cyniczne. Pomyśl sobie, że na przykład zamykają cię w lagrze na Kołymie, i mówią ci, że będziesz siedział do końca życia. I ty w to wierzysz, bo nie masz powodu nie wierzyć. Trzysta kilometrów do najbliższej wioski, nie masz powodu nie wierzyć. I teraz ty się w tej rzeczywistości musisz jakoś urządzić. Więc musisz wejść w jakieś stosunki z nadzorcą, jakoś się urządzić wobec kuchni, jakoś sobie załatwić, żebyś dostawał marchewkę, czasami, świeżą, żebyś skorbutu nie dostał i tak dalej. Czyli wchodzisz w nieustające kompromisy.

TRZNADEL: — *Rozumiem. Tylko że ja wtedy słuchałem wykładów Kotta i on miał do tego stosunek nie urządzania się, ale apologetyczny. Mógł się zaszyć wyłącznie w Trembeckim, ale on mówił także o etyce socjalistycznej, mówił, że miłość socjalistyczna na wsi, to zetempowiec z zetempówką na sianie... Żarty na miarę.*

KUBIKOWSKI: — Tak się złożyło, że znalazłem się w konwersatorium Kotta na temat pozytywizmu, jako najmłodszy w tym gronie, oprócz mnie przychodzili tam starsi koledzy, Ziomek, Sandler, i jeszcze kilku, był i Pietraszko chyba, i Hernas. Było nas coś sześciu. Bo on chciał napisać o Orzeszkowej i jak zwykle chciał to zrobić naszymi rękami, ponieważ nie chciało mu się czytać tych potwornych wczesnych powieści Orzeszkowej, których było trzysta. Więc myśmy mieli je czytać i referować, a on potem miał napisać błyskotliwy socrealistyczny esej. Ale przy tej okazji myśmy mnóstwo gadali. Ja miałem taką opinię kogoś, z którego nic pewnie nie będzie, bo jednak coś w „Dziś i Jutro” wydrukowałem... Ja mu dałem tę swoją powieść, on ją przeczytał. Dał mi ten maszynopis i mówi: masz tu, Zbyszek, słuchaj, ale bądź spokojny, w tym ustroju to nie wyjdzie. — Odpowiedziałem: no, to nic, to ja poczekam, panie profesorze. — Ktoś tam się zaśmiał półgębkiem i ucichł, Sandler i inni spojrzeli na mnie ze zgrozą, a Kott, który w gruncie rzeczy lubił coś takiego, potem mi tylko powiedział: no, ty się zastanów, co mówisz. — Na jednym z takich konwersatoriów Kott się jednak zdenerwował i powiedział: takie frazesy to dla was. A mnie dajcie spokój. My tu dobrze wiemy, co mamy robić. — Coś w tym rodzaju. Potem w '56 roku była taka historia: Żółkiewski przyjechał do Wrocławia, szliśmy z Żółkiewskim, i Kott wtedy był, byliśmy gdzieś w knajpie, piliśmy jakieś alkohole, i szliśmy przez Świdnic

ką. Pamiętam dokładnie, to było koło Opery, nagle Żółkiewski mówi do nas: To wyście klęczeli przed tymi ołtarzami, myśmy przez cały czas wiedzieli, co mamy robić, i działaliśmy tylko tak, żebyśmy my żyli i żebyście wy mogli żyć. — Ja mówię: Zaraz, zaraz, panie profesorze, ale kto to intonował wtedy pieśni przed tymi ołtarzami? — I Żółkiewski zamilkł. Mówię o tym wszystkim jako o przyczynkach do świadomości. Urządzić się, a co to znaczy urządzić się? Co lepsi, w tym sensie, żeby jeździć za granicę, tak jak Wyka. A czemu Wyka był taki, jaki był? Wyka, który był mądrym człowiekiem przecież, zawsze, przez cały czas. Bo Kott to jest Kott, on jest mądry, ale jest to na innej zasadzie, wiesz, on jest taki konik polny. Natomiast Wyka to była ta solidność chłopska, wiedza, baza etyczna, a czemu to robił? Dlatego, że był przekonany, że przyjdzie nam w tym żyć, więc musimy w jakiś sposób się urządzić. My wszyscy, ja i ta moja młodzież, którą uczę. I jeszcze tamci, i tamci, i tamci. Trzeba w ogóle to jakoś zrobić, ktoś to musi zrobić, jeśli ja nie zrobię, to przyjdzie tu taki, już stoi i czeka, zawsze czeka.

TRZNADEL: — *A wiary żadnej nie było?*

KUBIKOWSKI: — Ja myślę, że nie było. Myślę, że nie było i być nie mogło. Inny jeszcze był wypadek Żółkiewskiego, który miał temperament działacza politycznego i walczył jeszcze o coś innego. Walczył również o karierę polityczną. Ale nie zapominaj, że on wtedy był jednak odsunięty. Jeden z tych, którzy zrobili wtedy tę robotę w „Kuznicy”, ale do dalszego etapu to już nie on. Bo przecież wtedy oni wszyscy runęli w historię literatury. Dlaczego? Nie musieli. To też dobrze o nich świadczy, w pewnym sensie.

TRZNADEL: — *Trzeba jednak uruchomić przykłady przeciwne. Jednocześnie byli przecież ludzie, których odsuwano, przedstawiali wykładają. Trzeci tom historii filozofii Tatarkiewicza rozprowadzono poza obiegiem księgarskim, bo marksizmowi-leninizmowi poświęcił w nim tylko kilka stron... Mnie wypominano wtedy przyjaźń ze Zdzisławem Najderem, który był asystentem Tatarkiewicza.*

KUBIKOWSKI: — Ale to tylko potwierdza, co ja mówię. Bo to była alternatywa, wyłącznie, jeśli ktoś się chciał zdecydować, zobacz, jak niewielu się na to zdecydowało. Szalenie niewielu. Kleiner został usunięty siłą. Zobacz, jak ich było mało. A ci, mieli pewne szanse uczestnictwa, bo tamci, jakie mieli? A następ-

ne pokolenie? To już nas dotyczyło, to nie była kwestia cynizmu. Że po prostu, jeżeli na przykład mieszkasz, bo ja wiem, w państwie tatarskim, to kiedy idziesz na dwór, musisz mówić po tatarsku, prawda? Jest to kwestia języka. Było to pisanie i mówienie językiem, który uważaliśmy niejako za urzędowy. Język, którym się musi mówić, jeżeli się chce brać w tym udział. Cała terminologia. Przecież każdy z nas w pewnej chwili próbował się w to wpasować. Napisać pracę historyczno-literacką metodą marksistowską. Tym bardziej, że to było stosunkowo najłatwiejsze, bo w historii literatury tą metodą można było w niektórych wypadkach coś częściowego, jakieś wyniki osiągnąć.

Każdy z nas coś takiego próbował. Ja na przykład pisałem dla „Dziś i Jutro”, mój flirt z tym pismem trwał trzy miesiące. Ale napisałem taki czołowy artykuł, czołowy, bo na całą czołówkę, pierwszą stronę, *Batalia o teraźniejszość*, gdzie z zapałem absolutnym udowaśniałem, że mogą funkcjonować różne światopoglądy w literaturze socjalistycznej. Można powiedzieć, że zrobiłem to z głupoty, i to prawda, bo wiadomo, że nie mogą... Napisałem to po jakiejś dyskusji na ich zamówienie. Ale to świadczy, że wielu ludzi tak myślało, że coś tu da się zrobić. Ale trzeba w to wejść.

TRZNADEL: — *Twój przykład jest uczciwszy, bo u Żółkiewskiego czy Kotta widzę rozróżnienie między ich ideologią a rzeczywistością o wiele istotniejszy, bo taki Żółkiewski naprawdę wierzył w Pana Boga Marksa...*

KUBIKOWSKI: — Przedtem tak, ale w latach stalinowskich, myślę, że już nie. Wtedy napisał tę książkę o Mickiewiczu, okropną, koszmarną. To, co pisał Kott o Oświeceniu było bezsensowne zupełnie, przecież nic z tego nie zostało, cienia, tam nie ma ani jednej strony z ich rozpraw historyczno-literackich, które by miały dzisiaj jakąkolwiek przydatność. A Mikulski sobie dłubał. Ale nie wiem, czy pamiętasz, że jak było trzeba, to Mikulski umiał użyć urzędowego języka? On nim nie pisał, on nim mówił, i było w porządku. Nagroda państwowa. Ja przecież pamiętam kongres nauki. Byłem wtedy na trzecim roku i pisałem pierwsze sprawozdanie z tego Kongresu Nauki, to był 1950 rok, maj. I co oni mówili?

TRZNADEL: — *Wyka się wtedy przyłączył do marksistów, był tam.*

KUBIKOWSKI: — O trzecim strzelcu mówił, że miał to zrobić

ktoś inny, a on jest trzecim strzelcem, ale jeśli trafi, to się bardzo cieszy. Pomyśl, co to za metafora, czy trafi w tarczę... Nie o to chodzi, czy prawda, czy nieprawda, ale czy ja trafię. I trafiłem w tarczę, świetnie, mówi. I ta interpretacja romantyzmu, którą on sobie wymyślił, jako możliwie najmniej bolesną, została przyjęta. Trafiłem w tarczę... A co Mikulski wtedy mówił? Miał usta pełne frazesów socrealistycznych. Jeszcze wróć do historii z tą moją powieścią akowską... Jak Kowalska mi to oddawała, spytałem dlaczego, przecież pani i pan profesor... Byłem tym bardzo załamany, nie wiem dlaczego... Wiem dlaczego, to był '49 rok i już było wiadomo, że to jest ostatnia okazja, żeby to się gdziekolwiek ukazało. To już było w „Książnicy-Atlas”, miało tam wyjść, „Książnicę” zlikwidowano w miesiąc później. W „Odrze” katowickiej miało to być drukowane i „Odrę” zamknęto. I ostatnia nadzieja, że będzie choćby fragment w „Zeszytach Wrocławskich”. Więc mnie to strasznie załamało, kiedy ona mi to oddała. Pytam dlaczego? I wtedy zaczęła mi długo i zawile tłumaczyć, pokazywać jakieś kwestie stylistyczne i tak dalej, o czym przedtem mowy nie było, w każdym razie ani jej przez myśl nie przeszło, żeby powiedzieć, dlaczego naprawdę mi to oddaje.

TRZNADEL: — *Taki strach...*

KUBIKOWSKI: — Nie, nie taki prymitywny strach, że ktoś mi co zrobi, tylko że po prostu wypadnę z udziału, z gry, a kiedy się wypadnie z gry w stalinizmie, to się przestaje istnieć. Trzeba było żyć. I wtedy znowu zaczęły pewną rolę odgrywać wspomnienia okupacyjne, ta szkoła zaczęła się nagle przydawać.

TRZNADEL: — *A czy tamto pokolenie miało także odruchy protestu? Wtedy? Bo ja wiem, że u różnych osób z mojego pokolenia było z tym udziałem i tak, i inaczej, czasem decydował swoisty przypadek. Tuż po maturze w '49 roku, a przed przyjęciem na uniwersytet, zwróciłem legitymację ZMP... Ale koledzy nie przekazali jej „na dzielnicę”, przyszła do mnie moja przyjaciółka z liceum, Myszką, wtedy jej jeszcze nie znałem, i zaczęła mi wyperswadowywać mój gest, że my musimy mieć wykształconych ludzi przeciw nim. Uległem.*

KUBIKOWSKI: — Ja myślę, że oni nie mieli odruchów protestu. Ale dlaczego nie mieli? A twój gest protestu? Po pierwsze, krótkotrwały. A wycofałeś się dlaczego? Mimo że byłeś taki młody, wiedziałeś, że jakoś trzeba żyć, po prostu trzeba się dostać

na studia. Przekonali cię. Właściwie jest to to samo. Ja miałem historię, która miała bardzo duże skutki dla mojego dalszego życia. Po znanym ci kursie marksistowskim w 1949 roku chodzili koło nas, bo byliśmy czołówką roku, i w pewnej chwili Sandler odbył ze mną taką rozmowę. Pamiętam, spacerowaliśmy po Szewskiej i on tak łagodnie tłumaczył, bo on był łagodnym i miłym człowiekiem, ale był, kim był. I mówił: słuchaj Zbyszek, my wiemy, ciągle przez „my”, że jesteś zdolny, że chciałbyś zostać na uniwersytecie, teraz będą asystentury, możesz ją dostać, tę asystenturę, bierzemy ciebie pod uwagę, już i profesor, i wszystko. Trzeba by jednak, żebyś się zapisał do ZMP, ja rozumiem, tyś tam pisał w „Dziś i Jutro”, ale wiem przecież, że przestałeś z nimi mieć kontakt, wiesz, ja ci powiem, ZMP to nie jest partia, nie chodzi o to, żeby mieć już takie zdecydowane poglądy. Możesz sobie jeszcze dojrzywać, tak mi tłumaczył, że sobie żadnej drogi nie zamykam, że ZMP to jest tylko ZMP, i tak dalej. — I ja mu obiecałem dać odpowiedź po trzech dniach. I po dwóch dniach prosi mnie na bok Nusia Borkowska, obecnie Goriaczko, i mówi: słuchaj Zbyszek, jestem wydelegowana od Cześka Hernasa, Staszka Pietraszki, i chyba Romka Sobola... Bo właśnie nas pięcioro ma szansę otrzymać asystentury i myśmy postanowili jednak wstąpić do ZMP, i prosimy cię, żebyś zrobił to samo. Po prostu będziemy razem i damy sobie radę. — I tak dalej. Ja nie wiem, co się wtedy stało. Ja się nagle zdecydowałem, że nie: wyście się już zdecydowali?! — mówię. Może to dlatego, że oni beze mnie. Nie wiem, to był jakiś impuls. Mówię: to w takim razie ja nie. — Poszedłem natychmiast do Sandlera i powiedziałem: wiesz, Samuel, ja bardzo chcę zostać na uniwersytecie, jeśli dostanę tę asystenturę, będę się bardzo cieszył, ale bez tego warunku. — On zrobił taki gest i oczywiście nic z tego nie wyszło. Oni w tydzień czy dwa później zostali asystentami i losy ich potoczyły się tak, jak pewnie potoczyłyby się moje losy. Byłbym dzisiaj pewnie jak Czesiek profesorem, czy jak Staszek... ale już wiem, ile bym przegrał w ogóle w życiu. Szalenie się cieszę, że tak się nie stało.

TRZNADEL: — *Tak jak ja żałuję owego przypadku i swojej nie dość zdecydowanej postawy.*

KUBIKOWSKI: — Nie, twoja sytuacja była inna. Tyś musiał. Ja gdybym miał taką sytuację jak ty, gdyby chodziło o to, żeby się w ogóle dostać na studia, prawdopodobnie zrobiłbym tak samo. Gdyby oni mi z kolei grozili, że ja studiów nie skończę, to też nie wiem, co bym zrobił. A tutaj groziło mi tylko to, że nie stanie się to, czego najgoręcej wtedy pragnąłem, bo wtedy moim

celem była praca naukowa na uniwersytecie. Ale studia skończyć i jakoś sobie dam radę. To był oczywiście przypadek, że oni się spotkali i zdecydowali beze mnie, bo mnie wtedy musiało nie być. Być może, że gdybyśmy się spotkali i w piątkę rozmawiali, to ja bym razem z nimi się zgłosił. Bo niby dlaczego nie? Najlepsi chłopcy i dziewczyny z tego roku, możemy razem coś zrobić, no to wstąpię.

TRZNADEL: — *To jest typ problemów psychologicznych, które, jak myślę, ty uprawiasz w swojej prozie.*

KUBIKOWSKI: — Tak, taki jakiś moment. Może nie jest przypadkowy, ale może jest przypadkowy, jest pewna prawidłowość, która rządzi przypadkami, nie wiem. Jestem przekonany, że u wszystkich tych pisarzy właściwie działała już ideologia, bo każdy z nich był na tyle wykształcony i świadomy, że wiedział, że to, co pisze teraz, jest po prostu o całe niebo gorsze od tego, co pisał kiedyś. Nie ma cudów. Jest raczej niemożliwe, żeby na przykład Brandys nie wiedział, że czwarty tom cyklu *Człowiek nie umiera* jest o całe niebo gorszy od pierwszego. A *Uczta Baltazara* była gorszą książką od *Adama Grywałda* i Breza musiał to wiedzieć. A niektórzy po prostu nie byli w stanie nic z siebie wykrztusić pomimo deklaracji. Popatrz, Andrzejewski, nie był w stanie. No, tom jakiejś tam publicystyki, *Partia i twórczość pisarza*, bez znaczenia, *Wojna skuteczna*, czyli taka jakaś powiastka, nic, żadna proza mu nie wyszła. Zobacz dalej — Dygat, pamiętasz jego *Gorące uczynki* drukowane w „Gazecie Robotniczej”, powieść socrealistyczną, którą przerwał po 87 odcinku, bo nie mógł skończyć, i wyjechał do Warszawy, nie był w stanie. A ci, co byli w stanie, to wypływali z siebie takie rzeczy. Ale przecież mieli świadomość, my się nie dajmy nabrać, oni musieli wiedzieć. Ale to nie był cynizm, to po prostu danina, taka jest moja praca, ja tak zarabiam na życie.

TRZNADEL: — *Ja taką daninę nazywam jednak cynizmem. Ale są i inne przypadki, casus Borowskiego. Borowski mógł przecież pisać rozmaite takie rzeczy na pół oddechu, ale on pisał na pełny oddech, i nagle — trzask!*

KUBIKOWSKI: — Dla mnie przykład Borowskiego jest właśnie klasyczny. To znaczy...

TRZNADEL: — *Siebie chciał przekonać...*

KUBIKOWSKI: — To raz. Dwa: doświadczenie okupacyjne,

w tym wypadku niesłuchanie ważne, wiadomo dlaczego. W związku z tym uczucie, że wszystko jest puste, wypalone i że musimy zrobić zupełnie inny świat. I trzy: jest oto propozycja, proszę bardzo, zupełnie nowy świat. Rzuca się w to głowę i nagle widzi, że w gruncie rzeczy jest znowu jakby w lagrze. I wtedy otwiera gaz. Bo on miał za sobą obóz, to wszystko, co znamy z jego prozy, i co zostanie w literaturze światowej jako świadectwo. On to miał. A, powiedzmy, Brandys tego nie miał, wszystko przebiegało tak samo, tylko łagodnie. Ten pisał. U Dygata i Andrzejewskiego gorzej, bo w ogóle twórczość się skończyła. U Żukrowskiego gorzej, bo twórczość się skończyła. *Dni kłęski*. Potem już miał tylko błyski. Świetny tomik w '67 roku, *Szczęściarz*, który świadczy o tym, jakim mógłby być pisarzem. Dwa znakomite opowiadania. Jakim byłby znakomitym pisarzem, gdyby się to nie zwichnęło od razu. On to okupił niesłuchanie ciężko. Brandys nie, bo to inny typ pisarstwa.

TRZNADEL: — *Ale w związku z tym wszystkim taki problem: czy oni nie mieli świadomości, że całym swoim postępowaniem i tym rozdartym akcesem ideologicznym ciągną jednocześnie w tym kierunku, za sobą, całe następne pokolenie?*

KUBIKOWSKI: — Sądzę, że oni nie tylko wiedzieli, że ciągną całe pokolenie, oni je ciągnęli, ponieważ uważali, że powinni się w tym świecie urządzić razem ze wszystkimi. Wtedy nie ma winy, wszyscy się tak urządzamy, a skoro wszyscy, to znaczy, że to jest norma.

TRZNADEL: — *To bierzesz w cudzysłowie, czy bierzesz to jako świadomość czystą?*

KUBIKOWSKI: — Jako czystą świadomość. Był tu także pewien rodzaj misji. Bo my to jednak robimy jakby troszeczkę łagodniej, jakby lepiej...

TRZNADEL: — *Na dnie wiara, że w tej ideologii jest coś ważnego...*

KUBIKOWSKI: — Nie, w ideologii nic nie ma, tylko po prostu trzeba żyć, wszyscy muszą żyć. A prócz tego można tu się urządzić, na przykład Wyka, który w tym czasie jeździł na Zachód przez cały czas, Kott, oni wszyscy mieli kontakt ze światem, prawda? Tam różne rzeczy, jak wiadomo... Przecież oni się tam rzucali jak zwierzęta złaknione na tamtą literaturę, na świat w ogóle cały, prawda?

TRZNADEL: — *Czy na pewno tak? Bo ja uważałem, że świadomość tych pisarzy była u większości pod spodem antysowiecka, życzyliby sobie państwa o większej niezależności politycznej, jednocześnie w ideologię jakoś wierzyli. Uważasz, że pragmatycznie?*

KUBIKOWSKI: — Uważam, że pragmatycznie. Po prostu nie wierzę w tak daleko posuniętą głupotę. Chyba że ideologię rozumieć szalenie ogólnie, że mogłoby istnieć państwo socjalistyczne praworządne, europejskie w tym wszystkim, co ta nazwa implikuje, demokratyczne, wielopartyjne.

TRZNADEL: — *Taka ideologia czy wiara zakłada szalony rozróżnienie pomiędzy myślą a rzeczywistością! To nie zostało ukazane w literaturze...*

KUBIKOWSKI: — To jest w ogóle straszliwy błąd, jedna ze strasznych luk naszej literatury powojennej, która sprawia, że cały jej rozwój jest w ogóle chory i kaleki. Bo jak są pewne dziury, pewne puste miejsca w całym obszarze historii i świadomości narodowej, to tego się nie da uzupełnić mechanicznie. To nie znaczy, że dziś się napisze siedem książek, z których jedna będzie o Katyniu, druga będzie... i już jest wszystko fajnie. Nie, nie, cała literatura jest chora, łącznie z emigracyjną, która z kolei nie ma naszych doświadczeń, chociaż ma z kolei inną wiedzę. Cała literatura została okaleczona właśnie przez to, że jej stosunek do historii był stosunkiem od razu zdeformowanym. Cała literatura rozrachunkowa, przecież to jest tragiczne — Andrzejewski, System przez duże S, Historia jako bóstwo, jako bóg, który w gruncie rzeczy niszczy ludzi. To po nas przeszło, drugi walec historii, przedtem wojna a teraz to. W porządku, Brandys, *Matka Królów*. Wszyscy oni po prostu starali się udowodnić, że mają czyste ręce. Natomiast literatura wtedy tylko stanęłaby na wysokości zadania, gdyby się zajęła tymi, którzy mieli brudne ręce. Nie ma u nas ani jednej książki o ludziach, którzy mieli brudne ręce, którzy to robili i to nie w ten sposób, jak robili Brandysowie czy tam inni, czy przyszczaci, ale robili to własnymi rękami, strzelali, mordowali, torturowali...

TRZNADEL: — *Bo powiedzenie w literaturze obrachunkowej cegółki prawdziwego wymagało mówienia całej prawdy. Wymagało zajęcia się najnowszą historią Polski, a oni kiedy mówili „system”, to już był system uniku...*

KUBIKOWSKI: — Tak, zgadzam się...

TRZNADEL: — *I on trwa, według mnie do dzisiejszego dnia...*

KUBIKOWSKI: — Zaprosiłem przed dwoma miesiącami Tadeusza Konwickiego na swoje seminarium w szkole teatralnej, na wydziale wiedzy o teatrze. I oczywiście jeden ze studentów spytał o to, o ten okres. I Tadeusz mówi: słuchajcie, to jest teraz taka pornografia, że teraz się nas wszystkich, kontestatorów, pyta, a czemu wy byliście stalinistami? To jest pornografia, szukanie niezdrowej sensacji. Tak było i koniec, wiadomo, można sobie przeczytać w podręcznikach ale w ogóle nie ma o czym mówić, to są właśnie sprawy nasze, któreśmy w swoim sumieniu, tego, koniec, nie ma o czym mówić. Nawet tego typu ludzie nie umięją sobie tego zracjonalizować i traktują to jako rzecz wstydliwą.

TRZNADEL: — *Tak jak Ważyk. Ignazio Silone powiedział, że Ważyk określił tamten swój okres jednym słowem: zwariowałem. I że tak nie mówi intelektualista.*

KUBIKOWSKI: — Intelektualista szuka motywów... Dobrze, a jak wytłumaczyć *casus* Słonimskiego, który funkcjonuje jako wzór moralności, natomiast ten jego artykuł w „Trybunie Ludu” o Miłoszu, czytałeś? To był ’51 rok. Już był tutaj, w Anglii nie mógłby tego napisać.

TRZNADEL: — *Nie pamiętam tego artykułu.*

KUBIKOWSKI: — Nikt o nim nie wiedział. Wiesz, jak to wyszło? Teraz, jak chcieliśmy wręczyć legitymację Miłoszowi i chcieliśmy stwierdzić, jak to było z jego członkostwem, czy został wyrzucony... Zaczęły urzędniczki szperać w archiwum Związku Literatów. I okazało się, że z archiwum wynika, że Miłosz nigdy nie był członkiem związku, że w ogóle nie ma pisarza o tym nazwisku i nigdy nie było. Nigdy. Ponieważ zostały usunięte wszystkie dokumenty i nawet z protokołów zebrań zarządu widocznie zostały usunięte fragmenty o Miłoszu, bo go przecież wyrzucono. Putrament go wtedy przecież wyrzucił ze związku. Na pewno. Musieliśmy więc wziąć oświadczenia od członków związku z tamtego okresu, stwierdzające, że on był członkiem związku i został usunięty. Ponieważ archiwum zostało wyczyszczone.

TRZNADEL: — *Jak u Orwella, piece pamięci...*

KUBIKOWSKI: — Dokładnie. Nie było w ogóle takiego człowieka w Polsce nigdy, jak wynika z archiwum. W trakcie tych

poszukiwań jedna z bibliotekarek przychodzi do mnie i mówi: proszę pana, jestem wstrząśnięta. — Co się stało? — Bo ja w tych wszystkich teczkach, starych dokumentach, znalazłam to. — I daję mi wycinek z „Trybuny Ludu”. Czytam. Jest to artykuł Słonimskiego tak haniebny, że czegoś równie obrzydliwego na ten temat nie czytałam nigdy. To nawet wszystkie *Nim będzie zapomniane* i tym podobne są łagodną piosenką. — Byłeś już przed wojną zdrajcą i podświadomie sprzyjałeś prawicy, a teraz służysz tym, którzy spalili Warszawę, służysz gestapowcom i hitlerowcom. — W ten sposób, dokładnie. Antoni Słonimski. I te dziewczyny odnalazły wtedy odpowiedź Miłosza w „Kulturze” paryskiej, odpowiedź wspaniałą. Zaczyna się: drogi Antoni, pozwól, że nie będę pisał językiem, którego ty używasz, ponieważ nie potrafię, a prócz tego mam zbyt wiele szacunku dla ciebie takiego, którym byłeś, i chcę teraz w odpowiedzi tylko zastanowić się, jak to się mogło stać, że dzisiaj jesteś tym, kim jesteś. I cały esej, który jest już jakby pierwszą zapowiedzią *Zniewolonego umysłu*. Znakomita analiza, jak Skamandryta mógł stać się takim pieskiem stalinowskim.

TRZNADEL: — *Ex oriente lux...*

KUBIKOWSKI: — Znowu tutaj wchodzi ta sprawa języka. On po prostu wykonał to, co się robi w tym systemie. Jak ktoś zrobi coś takiego jak Miłosz, to każdy musi się odciąć i naszczekać. A schemat jest jasny: po tamtej stronie prawica i faszyzm, po tej stronie postęp i komunizm i koniec. Słonimski wykonał właściwie tylko nieumiejętnie, zbyt gorliwie to wszystko. I potem funkcjonował przez cały czas jako wzór moralny.

TRZNADEL: — *Tak, właśnie to. Zawsze.*

KUBIKOWSKI: — Nie wiedziałem o tym artykule. Miałem tylko, i mam, wyciągnięty, jego wiersz o Bierucie, no ale w końcu, wzór moralny mógł taki wierszyk napisać.

TRZNADEL: — *Pamiętasz, co napisał Iwaszkiewicz o Bierucie? „Bo kiedy, Prezydencie, Ty dobrze wiedziałeś [...] Ja zbyt zaufałem przebrzmiałej mądrości”...*

KUBIKOWSKI (śmieje się): — Ale dzisiaj to brzmi inaczej, pomyśl, że dzisiaj to jest bardzo dobry dystych. Bo Bierut już wiedział.

TRZNADEL: — *Ha, on rzeczywiście już wiedział... Trzeba przy-*

znać Iwaszkiewiczowi, że nie ukrywał tego wiersza. Inni wstydzi się i zdejmowali, Wazyk zdejmował swojego Stalina, swoją Rzekę, a Iwaszkiewicz List przedrukowywał do końca. Mówił mi ktoś, że Miłosz uśmiechnął się gorzko, gdy dowiedział się o artykule Kotta z tego okresu przeciw niemu: — To Janek też na mnie napisał?

KUBIKOWSKI: — No masz ci los, dwaj emigranci polityczni. To był język, oni po prostu wykonywali rytualne gesty.

TRZNADEL: — *Czy nie dotoczyła się tu podświadomość tego narodu, o długiej już tradycji, która kazała patrzeć podejrzliwie nawet na Wielką Emigrację, bo oni jednak tam żyli swobodnie, choć byli Polakami, a tu całe pokolenie po powstaniu listopadowym zostało zniszczone... To, co Norwid opowiedział Krasińskiemu, a Krasiński opisał w liście do Delfiny. A Levittoux się podpalił... Wyjechać, a może to łatwy gest, może to i zazdrość była? Niech cierpi z nami, nie?*

KUBIKOWSKI: — Myślę, że nie. Że w zasadzie każdy prawie by to zrobił. Z nich. To była świadomość zaboru i to gorszego zaboru, bo w czasie zaboru można było wyjeżdżać. A to był zabór pomyślany z okupacją. Inny typ terroru, ale niewątpliwie terror. My w tej chwili mówimy o głodzie i tak dalej, ale przypomnij sobie, jak wtedy było. Były te kartki na mięso, przecież sklepy były puste, knajpy pełne tylko taniej wódki. Ciągłe się mówi teraz, że było mnóstwo jedzenia. Nieprawda. W okresie stalinizmu nie było żadnego mnóstwa jedzenia, był często głód. Na drugim roku studiów był taki okres, gdy jedynym moim posiłkiem w ciągu dnia był obiad w stołówce akademickiej.

TRZNADEL: — *Było źle, tylko że rynek prywatny, wymiana, drobna wytwórczość, to jeszcze funkcjonowało. To potem zostało celowo zniszczone, zostały zniszczone sklepy i tak dalej. Kiedy mówisz o tej świadomości, to oczywiście społeczeństwo to nie jest tylko kultura. Społeczeństwo było bombardowane faktami różnego typu...*

KUBIKOWSKI: — *Życia codziennego...*

TRZNADEL: — *I niszczenia, i braku...*

KUBIKOWSKI: — I aresztowań w zakładzie pracy ludzi, którzy znikali, i tłoku w tramwajach, i w ogóle koszmaru codziennego życia. Był nacisk w każdym punkcie. W czasie okupacji była

wiara, że jest to przejściowe, bo to było przejściowe, wojna musiała się skończyć. Natomiast nie było tej wiary w stalinizm, choć okazał się równie krótki jak wojna. Krótki... pięć lat, tyleż prawie, co wojna, może troszkę dłużej, ale nie było tej świadomości stanu wyjątkowego. To był stan normalny, pokój na świecie, w nową wojnę nikt naprawdę nie wierzył.

TRZNADEL: — *A teraz spróbuj mi odpowiedzieć, jeśli tamci się tylko urządzali, to dlaczego ja wierzyłem?*

KUBIKOWSKI: — A teraz to mówimy o sytuacji młodzieży. To jest zupełnie inna sprawa. Ta uczciwsza część młodzieży swój udział rozumiała bardziej autentycznie. Dla części młodzieży kwestia udziału była kwestią szalenie osobistą. Przecież nie będę wchodził w życie jakby z góry z niego rezygnując. Ale skoro to chce zrobić, to muszę wstąpić do tego kościoła. Muszę uwierzyć. Ponieważ wtedy to będzie miało jakiś sens. Ale uwierzyłeś nie dlatego, że cię fakty przekonały, bo fakty nie mogły cię przekonać, bo ich nie było. Nie było lepiej, nie było cudownie, nie było wspaniale, nie było rajy ani sojuszu... Przekonała cię ideologia.

TRZNADEL: — *O, to jest ważne.*

KUBIKOWSKI: — Przekonała cię ideologia, razem z tym jej szalenie prymitywnym, ale równocześnie szalenie demagogicznym, skutecznym chwytem, że to co złe, to jest kwestia wstecznych sił, że wszystko dobre jest w przyszłości, że to będzie, obietniki, cacanki, z których się składa cała ideologia. Ja też uśiłowalem się znaleźć od tej strony, z tym że trudno mi było przyjąć ideologię dlatego, że akurat byłem wychowany w środowisku katolickim. U mnie to było mocne, na pierwszym roku jeszcze byłem w takiej organizacji, „Juventus christiana” się nazywała. Rozgonili ją natychmiast, naszego duszpasterza akademickiego wzięli na UB i po dwóch latach wyszedł bez zębów, i w ogóle zaraz potem umarł. Stąd był mój ten flirt z „Dziś i Jutro” i z PAX'em. Potem zacząłem pisać pracę o Godebskim, jakieś tam wstępy, rozprawy, starałem się stosować metodę marksistowską, może się uda jakoś w to wejść. I tak to szło, każdy z nas szukał. Spora część młodzieży dała się przekonać albo ideologii wbrew doświadczeniu, albo...

TRZNADEL: — *Przerwę ci. To ważne, co mówisz, że rozdzielasz, że nie mieliśmy żadnego pokrycia w doświadczeniu, bo w końcu widzieliśmy fakty. I to jest między innymi wpływ czystej*

ideologii. Podświadomie daliśmy się także kupować, bo mówiono, że „wy przodujecie”...

KUBIKOWSKI: — Oczywiście, że wszystko w waszych rękach, jest złe, ale to wy zrobicie, że będzie cudownie, bo macie ten oręż w ręku, i walczcie. Daliśmy się kupić, oczywiście, ale jakże było nie dać się kupić.

TRZNADEL: — *Muszę ci powiedzieć, że jeśli w różnych okresach pisałem dla siebie więcej czy mniej, to wtedy wszystko właściwie wyszło we mnie, to co ważne. Jeszcze pisywałem intymne liryki i posłałem to Annie Kamieńskiej, do „Wsi”. Ona odpisała, że w dobie socjalizmu o takich odcieniach indywidualnych to już się nie pisze, coś takiego. Zginął mi ten list.*

KUBIKOWSKI: — Ja zacząłem od tej powieści akowskiej, a potem przez dziesięć lat nie pisałem żadnej prozy, historia literatury i krytyka, ponieważ nie potrafiłem, a próbowałem. Nowa moja rzecz działa się w Polsce, współcześnie, w środowisku akademickim, napisałem kilkadziesiąt stron rękopisu, naprawdę dużo, i próbowałem, ale po prostu nie byłem w stanie. Nie mogłem.

TRZNADEL: — *To dobrze.*

KUBIKOWSKI: — Nie wiem, czy dobrze, bo próbowałem. Że może jednak... Bardzo chciałem pisać i być drukowanym, jak każdy z nas.

TRZNADEL: — *Ktoś chce ukraść, ale nie ma chęci, nie wychodzi, to o czymś świadczy...*

KUBIKOWSKI: — Fakt, żeśmy przestali pisać właśnie w tym okresie, zapewne o czymś świadczy. I to też jest jakby zwichnięty start, bo potem, po dziesięciu latach, to już wszystko jest jakoś inaczej.

TRZNADEL: — *Nasze pokolenie, tamto pokolenie urodzone po 1910 roku — Andrzejewski, Rudnicki, ale było jeszcze starsze pokolenie, to już nie były naiwne panienki, Dąbrowska, Natkowska... One też się na swój sposób przytęczały.*

KUBIKOWSKI: — Co się dziwić, kiedy się zdawało ludziom, że jest znowu zabór rosyjski. Wypadek tych dwu pań był wypadkiem dwu pań, które były normalnie wychowane w zaborze rosyjskim. I które wiedziały, co się dzieje. One to już знаły. Była cudowna przygoda z niepodległością i tyle. Koło się zam-

knęło i trzeba robić to samo. Wtedy też trzeba było rozmawiać z Rosjanami, z urzędnikami. Na książkach też było, że są dozwolone cenzurą. Może one chciały doprowadzić do takiej swobody literatury, jaka była za zaboru rosyjskiego. Żeby zamiast Rosjanie napisać Septentrionowie i koniec.

TRZNADEL: — *Jaki wpływ na to urządzanie się, które w pewnym sensie trwa do dnia dzisiejszego, ma tradycja niewoli narodu polskiego? Niepodległość dla pewnych ludzi była krótka. To dla naszego pokolenia była aktualnością, w tym żeśmy się urodzili, i pozostała palącym mitem...*

KUBIKOWSKI: — Czyli czymś oczywistym...

TRZNADEL: — *Ale dzisiaj mamy daleką perspektywę historyczną i widzimy, że odwrotnie, to był wyjątek, ta niepodległość. I prawdopodobnie ta cała nasza historia — na gest poddania się naszej liberalnej inteligencji...*

KUBIKOWSKI: — Miała ogromny wpływ. Tym bardziej, że większość z nich miała największe doświadczenia właśnie z zaborami rosyjskim. Wiedzieli dobrze, jak to się żyje z Rosjanami. Casus Iwaszkiewicz... Mówi się, stary oportunistą, ale dlaczego, skąd? Przecież jak wojna wybuchła, pierwsza, to on miał dwadzieścia lat, a potem jeszcze w tym Kijowie do 1916 roku to była normalna carska Rosja. Miał dwadzieścia dwa lata i wciąż żył normalnie wśród Rosjan.

TRZNADEL: — *Ta kresowość polskiej literatury to było współżycie z Rosjanami?...*

KUBIKOWSKI: — To nie jest takie proste. Mam w planie książkę dotyczącą kresów wschodnich i dość dużo na ten temat czytałem. Otóż rzecz zabawna, że tam w gruncie rzeczy był ten podział niesłychanie ostry. Polacy — Rosjanie. Dlatego, że cała ziemia była w rękach Polaków na Ukrainie, na Kijowszczyźnie, a nacisk administracji rosyjskiej był po to, aby odebrać ziemię Polakom, cały system prawny został tu stworzony. Były szalenie silne tradycje i poczucie przynależności do Rzeczypospolitej. Przecież pod koniec wieku dziewiętnastego były programy, o których Rosjanie wiedzieli i z którymi musieli się liczyć, że jednak tamte ziemię zostaną przyłączone do Kongresówki. To nie była Rosja wtedy, ani Ukraina, to się nazywało kraj południowo-zachodni. Czyli ziemię zabrane Rzeczypospolitej, pragnące od dawna złączyć z macierzą czyli Kongresówką. Natomiast w Kongresówce było

inaczej, klasyczna sprawa Wisnowskiej. A jednocześnie jest na cmentarzu prawosławnym w Warszawie grób innej pary: oficer rosyjski i Polka, którzy popełnili samobójstwo razem, bo nie mogli się pobrać.

TRZNADEL: — *To już tematy dla Terleckiego...*

KUBIKOWSKI: — Właśnie. Tak zwana kolaboracja była z natury rzeczy największa tutaj, w Kongresówce, bo tamta szlachta, „szlachta na zagrodzie...” — to byli paniska. Oni mieli prawie do końca polski lokalny samorząd szlachecki, były konfederacje i marszałkowie powiatowi... Oni mieli tam swoje centra, samorząd, z którym Rosjanie się mniej lub więcej liczyli. Prócz tego cały uniwersytet w Kijowie i w Odessie, to byli właściwie profesorowie Liceum Krzemienieckiego i Uniwersytetu Wileńskiego po rozwiązaniu. I dopiero potem doszli, po pół wieku blisko, zaczęli dochodzić Francuzi, Anglicy i tak dalej. A tak to Polacy wyłącznie, to były polskie uniwersytety, tylko że z językiem rosyjskim. A w Kongresówce była inna sprawa. Wynaradawianie i tak dalej, ale równocześnie... zobacz, ci Rosjanie, entuzjaści polskiego teatru. Przecież najlepsze okresy warszawskiego teatru to byli dwaj Rosjanie. Teatr, który grał tylko po polsku. Każdy Rosjanin, który tutaj był, mówił albo trochę, albo dobrze po polsku. Rosja miała z jednej strony kompleks, z drugiej pogardę dla tej Polski. Z kompleksu bierze się pogarda. Ta szkoła kongresowiacka jest szalenie ważna dla zrozumienia historii tutaj.

TRZNADEL: — *Można by dorzucić termin z historii literatury czy prądów umysłowych: pozytywizm warszawski.*

KUBIKOWSKI: — Tak.

TRZNADEL: — *Pozytywizm warszawski miał w swoich hałtach: literatura powinna służyć, służyć codzienności, precz z romantyzmem, precz ze sztuką, która nie wie, co to jest racja stanu...*

KUBIKOWSKI: — A co było wzorem dla socrealizmu polskiego? Ogólnie Balzac, a tak to Prus, czyli realistyczna powieść służąca pewnej problematyce społecznej. Te wzory pozytywizmu i oświecenia, czyli cały ten nurt racjonalistyczny w cudzysłowie, jak to się wtedy mówiło, były socrealizmu wzorem rodzimym. A najbliższym wzorem był pozytywizm.

TRZNADEL: — *No, przyszytych te wzory. Bo na tym już wtedy coś jeszcze zostało zaszczipione, co jest jakby antypozyty-*

KUBIKOWSKI: — A gdyby spojrzeć na to od innej strony? Naród w przeważającej części, inteligencja niemal w całości, są antyrosyjskie, katolickie, i antykomunistyczne. Niemal w całości. Nie mają żadnego kompleksu winy wobec proletariatu, ponieważ uważają, że komunizm nie ma nic wspólnego z dawną ideą socjalistyczną. Że z chwilą rozwiązania PPS, czyli tak zwanego zjednoczenia, czyli faktycznie likwidacji PPS, myśl socjalistyczna znikła. Nie ma myśli socjalistycznej. Naród w znakomitej większości, i jak sądzę cała inteligencja, odróżniał socjalizm od komunizmu. Wiadomo, że nie ma socjalizmu, a więc nie ma prawdziwej lewicy, jest komunizm. Kategoria komunizmu w Polsce od dwudziestego roku, od wojny polsko-bolszewickiej funkcjonowała zawsze nie jako kategoria społeczna, tylko polityczna. Komunista to nie był ten, kto pragnie, żeby wszystko było wspólne i żeby idee Marksa i Engelsa, Lenina i tak dalej zostały zrealizowane, tylko komunista to był po prostu członek pewnej społeczności, która ma cele polityczne, a przede wszystkim agent państwa, które jest wrogiem mocarstwem. Ten stereotyp funkcjonował. I kiedy przyszło to państwo razem ze swoimi agentami, zlikwidowało PPS, zamknęło Wyszynskiego w klasztorze, uderzyło w to, co dla tego narodu było najważniejsze, dla jego dziewięćdziesięciu pięciu procent, to wtedy, w '49 czy '50 roku sytuacja nagle zrobiła się jasna. Rządzą komuniści czyli Sowietci, czyli Rosjanie. Nie ma to nic wspólnego z Polską.

I rzeczywiście nie miało. Przypomnij sobie nas, studentów

KUBIKOWSKI: — To jest bardzo trafne, co mówisz. Bo te wątpliwości gdzieś tam były przez cały czas i taka zła wiara. Przyszło mi pewne wspomnienie: obserwacja takiego człowieka, jakim był Kamil Giżycki. To w ogóle jest cud, że ten człowiek nie znalazł się w więzieniu UB i że go nie wykończono. Jak wiesz, był to adiutant barona Ungerna, słynnego szalonego barona, dowódcy azjatyckiej konnej dywizji, z którą Rosja sowiecka walczyła bodajże do dwudziestego trzeciego roku. Napisał książkę *Przez Urianchaj i Mongolię*, wydaną w Ossolineum w 1929 roku, gdzie dokładnie to wszystko opisał, więc nawet nie mógł liczyć na to, że ktoś o tym nie wie. Prócz tego napisał cykl powieści dla młodzieży, bardzo przed wojną czytany: *Przez knieje i stepy*, o dwóch chłopcach, którzy uciekają przed bolszewikami w '20 roku na Wschód właśnie tamtym szlakiem. Więc on potem znalazł się w Polsce, ale działała żyłka podróżnicza, ruszył do Afryki i w Liberii miał plantację. Przyjeżdżał do Polski, sprzedawał

Wedlowi kakao ze swojej plantacji i wydawał tu książki, głównie antykomunistyczne. Kupił sobie zresztą pod Lwowem dom, tereny myśliwskie, i tak część roku spędzał w Polsce, ale w gruncie rzeczy siedział w Liberii u siebie. Miał kontakty z MSZ-em, bo tam równocześnie badali możliwości stworzenia polskiej kolonii. I kiedy tu przyjechał w '39 roku, tak się złożyło, że został, i w czasie wojny był oficerem AK, miał bardzo ciekawą biografię, bo również i w kontrwywiadzie AK pracował. No i proszę ciebie, '45 rok i przychodzi to wszystko, co przyszło. Co on ma teraz zrobić i jak się zachować wobec stalinizmu? Było to jemu absolutnie obce, co więcej, on wszystko wiedział, jak tego rodzaju ludzie. On mi tłumaczył: panie Zbyszku, ja to wszystko dokładnie widziałem, ja panu mogę z góry opowiedzieć, jak się to skończy, jak się skończy tamto... — I rzeczywiście... My teraz także wiemy. Drugi element jego postawy: ponieważ nie mogę z różnych przyczyn uciec przez zieloną granicę, co może bym zrobił, gdyby to było możliwe, wobec tego jeśli mnie nie zamkną, muszę po prostu żyć. Jestem pisarzem, więc muszę żyć z tego, na szczęście posiadam pewien egzotyczny temat: Afrykę, zwierzęta, pisanie dla dzieci. Będę wykonywał tę część mojego zawodu, która jest stosunkowo najmniej szkodliwa. A która może mi dać pieniądze. Choć mimo tego nie miał pieniędzy, te bajki, czasem coś w radiu, a tak to wieczory autorskie. Ale mu pozwalano. Pomyśl teraz, ilu takich było: inżynierów, adwokatów, uczonych, fizyków, matematyków, biologów, ludzi, którzy dokładnie wiedzieli, co się dzieje. Mieli do tego w całości absolutnie negatywny stosunek. Jednocześnie zakładali, że muszą żyć i wykonywać swój zawód. A pisarz?

TRZNADEL: — *Ale mogli też uważać, że powstrzyma to społeczeństwo od jeszcze większego zniszczenia.*

KUBIKOWSKI: — Tak, coś musi funkcjonować. Niech czytają bajki afrykańskie, a nie te z Kołymy, niech się rozwija nauka, proszę bardzo. Zobacz, ile wtedy ucieczek. Tu do historii literatury, tu do bajek dla dzieci, szukanie ciągle takich terenów, na których można uprawiać zawód w sposób najmniej szkodliwy...

[z powodu defektu brak tu około siedmiu minut nagrania na taśmie]

Komuniści mieli taką szkołę i taką taktykę propagandy, że nasze lata '45-'49 nie są niczym dziwnym. Oni umieli to robić tak, że służyli im nawet najbardziej prawicowi konserwatyści, kiedy byli potrzebni. Mieli przecież takie bogactwo masek.

TRZNADEL: — *Myślę nad jedną jeszcze sprawą. Co dzisiaj byłoby kontynuacją stalinizmu? Trzeba o tym mówić, bo kultura tym się różni od polityki, że musi być w niej dążność do całej prawdy, bo inaczej każda kultura choruje.*

KUBIKOWSKI: — Oczywiście, że tak. Ośrodki emigracyjne mają absolutny sens tak długo, jak długo będzie w nich można wydawać książki autorów mieszkających w kraju, które tutaj nie będą mogły się ukazać. Tak samo jak chcemy doprowadzić do tego, żeby ten drugi obieg literatury w kraju był po prostu uzupełnieniem pierwszego, oficjalnego. Żeby raczej polityczne zaczęły mieć wpływ tylko na sprawy techniczno-formalne, gdzie się co ukaże, kto wyda. Bo do tej pory emigracyjne ośrodki tworzyły jakby drugi nurt polskiej literatury, ale ten drugi nurt razem z tym pierwszym, krajowym, nie składał się na jedną normalną literaturę.

Rozmawialiśmy o systemie, jak jest z nim. Zmienił styl w '56 roku, co było ogromną sprawą, ale pozostał. Odsunięty troszeczkę, żeby się zrobiło nieco miejsca, i tu się zjawiała Solidarność jako całkowicie obce ciało, które jest śmiertelnym zagrożeniem tego systemu. I tłumaczę sobie wszystko, co się dzieje w kraju, próbą sprowokowania przez system sytuacji, w której uda im się zlikwidować Solidarność. Wszystko: łącznie z dezorganizacją rynku, łącznie z funkcjonowaniem władzy niższego i średniego szczebla, łącznie z zablokowaniem demonstracji w Warszawie, wszystko. Uważam, że są to elementy tej właśnie walki. Ponieważ system znakomicie sobie zdaje sprawę z tego, że to ciało, to jest po prostu antyciało. I że ono może doprowadzić do zmiany struktury, a ten system nie może istnieć w innych warunkach niż te, które przedtem były. Nie może. On się nie zdemokratyzuje, ponieważ jest z natury rzeczy antydemokratyczny. Jeżeli tak dalej pójdzie, to muszą być nowe wybory do sejmku. Oczywiście Solidarność nie jest partią, ale będzie miała swoich kandydatów na posłów, bo będą wysuwani kandydaci w każdym najmniejszym okręgu wyborczym. Kandydat popierany przez Solidarność na pewno wygra. I co będzie, sejm wtedy przecież będzie!

TRZNADEL: — *Musieliby sejm wymazać z konstytucji.*

KUBIKOWSKI: — Ale, Jacku, oni o tym myślą, oni o tym myślą od początku, od pierwszej chwili. I wszystko, co się teraz dzieje, jest wynikiem tej świadomości.

TRZNADEL: — *Cieszę się, że mają jeszcze te dwa i pół roku.*

KUBIKOWSKI: — I trzeba wykorzystać ten czas na likwidację Solidarności.

TRZNADEL: — *Spotkałem się z opinią, że to może dobrze, że jest jeszcze dwa i pół roku do wyborów do sejmiku.*

KUBIKOWSKI: — Bo teraz musiałoby dojść do konfrontacji. A jeżeli nam wszystkim uda się umocnić, wtedy będzie już naprawdę nowa jakość. Sejm na przykład zdymisjonuje rząd. Po prostu. Tu będą rekomendować pana Olszowskiego na premiera, a tu nic, upada.

TRZNADEL: — *Wkraczamy w czasy, które są bardzo dziwne i prawdziwa walka nie jest za nami, tylko przed nami...*

KUBIKOWSKI: — Przed nami. Oni sobie z tego zdają sprawę. To Rosjanie sobie z tego zdają sprawę. Rosjanie wiedzą, że nie chodzi o losy systemu w Polsce, tylko o losy ich systemu w ogóle. I dlatego sprawa jest tak strasznie dramatyczna. Cała potęga tego imperium stoi przeciwko Solidarności. Mówiąc najkrócej. I przeciwko temu, co sobą reprezentujemy... Bo jeśli oni tylko poczują, że mogą, to zrobią to natychmiast. Nie ma żadnej wątpliwości. W taki albo inny sposób: W tej chwili nie mogą...

TRZNADEL: — *Solidarność jest także apelem do zrekonstruowania prawdy o przeszłości.*

KUBIKOWSKI: — O czym więc marzę: o szczegółowych, dokładnych pamiętnikach tych właśnie, którzy nie mieli postawy uchronienia się od zła systemu. Którzy byli gotowi to zrobić. Z różnych przyczyn. Marzę o książkach, opowieściach, wspomnieniach, o próbie rekonstrukcji. Dopiero wtedy więcej zrozumiemy, bo my dotąd tylko wiemy, dlaczego każdy był w porządku. Ale dlaczego wszystko było nie w porządku? Otóż dlatego, że pewna ilość ludzi była nie w porządku. Dlaczego, jak to było? To opisanie jest podstawową sprawą, od której może się zacząć jakieś zdrowe funkcjonowanie polskiej literatury, świadomości literackiej i świadomości historycznej, od początku do końca. Jeszcze w '56 roku pisałem o Andrzejewskim i o *Matce Królów* Brandysa, właśnie o tym, o problemie czystych rąk, i kto wreszcie napisze o brudnych.

CZERWONY SYSTEM POGARDY

Rozmowa z Jerzym Andrzejewskim
(23 września 1981)

TRZNADEL: — *Moja propozycja: chciałbym usłyszeć pana sąd o tym, co można nazwać totalitaryzmem w kulturze polskiej. Czy wężiej: okresem stalinizmu w kulturze polskiej. Ale zasięg tego okresu jest dla mnie płynny i będzie zależało od pana sądu...*

ANDRZEJEWSKI: — No nie, to nie będzie zależało. Sądzę, że to są czasy już dość dalekie, poza tym zapomina pan o jednym, mianowicie że właśnie w tym okresie, który trwał dość krótko, mówię o okresie w moim życiorysie, to znaczy w latach pięćdziesiątych, nominalnie do roku 1957 byłem członkiem partii. Bo dopiero w 1957 roku wystąpiłem wraz z grupą wielu moich przyjaciół, jak Ważyk, Jastrun, Juliusz Żuławski; wtedy wystąpił z partii także Staś Dygat. Bardzo wielu pisarzy z partii wystąpiło. To była jesień '57 roku, kiedy okazało się, że Październik, jeszcze jedna formacja odbudowy polskiej rzeczywistości, staje się właściwie mrzonką i następuje nawrót do metod minionego okresu, nie tak jaskrawych metod, ale w każdym razie ten nawrót i pogłębia się, i poszerza, co zresztą potwierdziły lata następne. Musi pan uwzględnić, że w każdym razie jako człowiek fideizmu marksistowskiego należałem do partii tylko do pięćdziesiątego trzeciego roku, dlatego że już w pięćdziesiątym czwartym napisałem opowiadanie, które było już właściwie całkowicie antypartyjne — *Wielki lament papierowej głowy*. Było ono wtenczas zakazane, ukazało się dopiero w '56 roku. Pytał pan o totalizm w sferze kultury. Ja myślę, że chyba nie można tutaj ograniczać totalizmu tylko do domeny kulturowej.

TRZNADEL: — *Słusznie.*

ANDRZEJEWSKI: — Wie pan, w swoim czasie nieżyjąca już, niedawno zresztą zmarła, pani Maria Hulewiczowa, *secundo voto* pani Przymanowska, w czasie wojny kobieta o niesłychanej śmiałości i dzielności charakteru, była wielokrotną łączniczką pomiędzy Londynem i Warszawą, następnie w okresie premierostwa Mikołajczyka jego sekretarką, otóż opowiadała mi już dobrych kilkanaście lat temu, jak to jesienią '44 roku był ten znany zjazd w Moskwie, odbyło się spotkanie Churchill - Stalin, ale jednocześnie przybyli przedstawiciele ówczesnego rządu lubelskiego i Mikołajczyk. Pani Przymanowska towarzyszyła wówczas jako sekretarka Mikołajczykowi. Opowiadała, że w trakcie jednej z rozmów Churchilla ze Stalinem Churchill wyraził obawę, że w wypadku, gdy wojska rosyjskie zajmą teren Polski, władze Moskwy będą chciały narzucić Polsce ustrój komunistyczny. Na to Stalin miał się roześmiać i powiedzieć: „Ależ skąd, panie premierze, komunizm pasuje Polsce akurat tak, jak krowie siodło”. Jest to na pewno autentyczne powiedzenie, zresztą bardzo stalinowskie, bo przecież nie można Stalinowi odmówić wielkiego poczucia humoru, był z tego znany. Ten spadkobierca imperializmu rosyjskiego, imperializmu Piotra Wielkiego, Katarzyny, Mikołaja I, doskonale rozumiał racje stanu właśnie imperializmu rosyjskiego i mówiąc o komunizmie oczywiście miał na myśli rosyjski model komunizmu. Sądzę, że to jest właśnie to, co pan na samym początku rozmowy powiedział o totalizmie. Oczywiście, model rosyjski to model ustroju totalnego, w którym nastąpiła właściwie całkowita centralizacja władzy, ograniczonej ilościowo po prostu do bardzo niewielkiej gromadki ludzi. Nomenklatura. Opiera się ona na doskonale wycwiczonej i służebnej biurokracji, która jest zainteresowana w tym, żeby stan rzeczy, stan rzeczywistości trwał w zastygnięciu, bez zmian radykalnych, bo to oczywiście zagraża natychmiast ich egzystencji. Więc ten system, z reguły przemawiający w imieniu narodu we wszystkich swoich deklaracjach („cały naród”! prawda?), totalizm, ze społeczeństwem, z narodem w istocie absolutnie się nie liczy. Każdy totalizm zawiera w sobie element pogardy w stosunku do tych, którzy są rządzeni. Totalizm w kulturze jest tylko częścią tego groźnego i strasznego systemu, który w wieku dwudziestym zaciążył szczególnie nad, no, ja myślę, że chyba nad całą ludzkością, dlatego, że totalizmy przybierały najrozmaitszą formę, najrozmaitsze maści. Były czarne, były i czerwone. Ale ich esencja, ich jak gdyby wibracja, i zewnętrzna, i wewnętrzna są podobne. Mechanizmy stalinizmu i hitlerizmu są w istocie zbliżone do siebie. Nie chcę mówić iden-

tyczne, bo oczywiście zachodzą pewne różnice. Ale nie są one w każdym razie tak duże, jak podobieństwa.

TRZNADEL: — *To widać nawet w języku. Wystarczy sięgnąć do dzieła Klemperera LTI, o języku III Rzeszy. Uderzają podobieństwa.*

ANDRZEJEWSKI: — Oczywiście. Cóż powiedzieć o tym okresie? Zaczął się on w sposób dość gwałtowny, bo o ile mnie pamięć nie myli, zjazdem Związku Literatów Polskich w Szczecinie. Czterdziesty dziewiąty rok, o ile pamiętam, styczeń. Tak, bo w tym okresie mieszkalem przez kilka lat w Szczecinie. To było zupełnie zrozumiałe, że w tej sytuacji politycznej, w jakiej znalazła się Europa, Stalin dbając o interesy swojego imperium, czy już nie sprowadzając tego do racji tak egoistycznych czy subiektywnych, dbając o interesy imperium rosyjskiego, musiał zaprowadzić pewne ujednolicenie rządów państw zwalazizowanych. Opowiadał mi niedawno jeden z moich przyjaciół, że przygotowuje się do napisania książki o naszej prasie od roku '44, uwzględniając oczywiście prasę lubelską, do roku '48, do połowy. I że w istocie odnajduje tam, zarówno w dziennikach jak i w tygodnikach, wiele treści, często oznajmianych przez osoby wówczas w sferze partyjno-rządowej wysoko postawione, w istocie bardzo podobnych do tych, które pojawiły się, pojawiają po wypadkach sierpniowych. Że to nie jest nawet duża różnica. Mówi, że znalazł wypowiedź Jakuba Bermana, który dla młodych pokoleń jest osobą mityczną, w ogóle nazwisko jego nic nie znaczy, nie brzmi nawet jak moneta tombakowa, w ogóle pada bezgłośnie w próżnię, chociaż Jakub Berman jeszcze żyje. Myślę, że już teraz dla pokolenia wstępującego na wyższe uczelnie nazwisko Kliszki niczym nie brzmi, w ogóle już nic o nim nie wiedzą. Ci ludzie, którzy kiedyś decydowali o najważniejszych sprawach Polski, zapadają się w przeszłość, już nie wiem, w co wpadają, w błoto, w przepaść, no, gdzieś w ogromny dół niepamięci.

TRZNADEL: — *Zwłaszcza, że nie były to jednostki wybitne, ale jakby reprezentanci całego aparatu, zatuszowani przez aparat.*

ANDRZEJEWSKI: — Wie pan, ja się często zastanawiałem, co by było, co zresztą jest rozumowaniem dość nierozsądnym, ale co by było, gdyby pozostała przy życiu ta garstka naprawdę wybitnych komunistów, którzy zostali po prostu zlikwidowani w latach 1936-1937-1938 w Moskwie. Oczywiście zabrzmi to nieomal cynicznie, ale Stalin miał rację, że tak postępował, jak postępował,

że zlikwidował wszystkich swoich wybitnych towarzyszy, wszystkich Zinowiewów, Kamieniewów, już nie mówiąc o Trockim, Bucharinów, dlatego że przecież to byli intelektualiści, którzy dyskuszami, tokowaniem rozpieprzyli ten cały interes. On wiedział, że to musi być jednolita, scentralizowana i posłuszna władza. Ten aparat biurokracji wszedł przecież w ciepłe mieszkania tych, których stamtąd wywlekli. Już tak skromnie obliczając, przecież kilkanaście milionów ludzi postradało życie w tym okresie terroru stalinowskiego, który potem tak delikatnie został określony jako okres błędów i wypaczeń. Byli to wybitni ludzie, jak wspominałem, którzy zginęli w Moskwie czy po obozach, wydawali się być wybitniejsi od tych, którzy przyszli do władzy absolutnie nie znani nikomu. Jako pisarz częstokroć rozmyślałem nad dramatem tych ludzi. Przecież oni mieli świadomość, że przychodząc do Polski i obejmując najwyższe stanowiska w zakresie rządzenia — musieli sobie zdawać sprawę — że ich nazwiska nic nie znaczą. Że znaczą tylko tyle, że są po prostu mianowani z ramienia Rosji. Myślę, że wśród tych, którzy przyszli do rządu lubelskiego i do ówczesnego aparatu partyjnego, byli naprawdę ideowi komuniści w przeciwieństwie do tego miotu młodszych pokoleń. Tak, to olbrzymia różnica. Mówię o Bierucie, Gomułce, Kliszce, Bermanie i szeregu innych. To byli jednak starzy komuniści, którzy należeli do partii w okresie międzywojennym. Ale to był tak zwany drugi, trzeci rzut. To byli ludzie, których mentalność, format, tak bym powiedział, nadawały im, uprawniały ich właściwie do zajęcia stanowisk, no, sekretarzy wojewódzkich, może miejskich.

TRZNADEL: — *Ale jeśli chodzi o moralność, byli to ludzie, którzy pozwolili się przystosować. Nie wiadomo, czy tamci pozwoliliby na to.*

ANDRZEJEWSKI: — To jest wielka zagadka życiorysów polskich, które są tak nieprawdopodobne, poplątane. I ja, wie pan, jestem zawsze daleki od upraszczania i od pomawiania ludzi, że coś robią po prostu dlatego, że są cynikami, czy są karierowiczami.

TRZNADEL: — *To jest chyba najstuszniejsze stanowisko.*

ANDRZEJEWSKI: — To byłoby po prostu łatwe. Wie pan, teraz miałem takie bardzo dziwne przeżycie. Przed tygodniem spędziłem prawie dziesięć dni w Gdańsku jako członek jury, pierwszy raz w życiu, byłem w takim jury ósmego festiwalu polskich filmów fabularnych, który trwał w Gdańsku. W sąsiedniej Oliwie, kilkanaście kilometrów od Gdańska, odbywał się pierwszy

zjazd delegatów Solidarności. Ponieważ ranki mieliśmy wolne, bo pokazy, projekcje filmów zaczynały się dopiero w południe, więc jednego ranka korzystając z tego, że byłem zaproszony jako gość, pojechałem do Oliwy i tam siedziałem jakąś godzinę na miejscach, segmentach przeznaczonych dla gości. I tam — wie pan, ja w moim wieku i po moich doświadczeniach nieczęsto się dziwię — ale jednak miałem chwilę osłupienia, gdy na miejscach zaproszonych gości ujrzałem człowieka bardzo dobrze mi znanego, który w latach pięćdziesiątych pełnił właściwie obowiązki, no, był jednym z najsroższych satrapów rządzących całą dziedziną prasy. Potem jego koleje były trochę inne, był to jeden z ludzi, którzy organizowali to entuzjastyczne przyjęcie przez Warszawę Gomułki w październiku '56 roku, był wówczas pierwszym sekretarzem komitetu wojewódzkiego w Warszawie, czy może stołecznego, nie pamiętam już dokładnie. Potem Gomułka pozbywał się po kolei tych powojennych zetempowców, Matwina, Zaleskiego, Morawskiego, Albrechta. To byli ludzie, którzy mieli poza sobą piękną przeszłość okupacyjną, było to oczywiście pokolenie młodsze od Gomułki i oni właściwie zrobili wiele dla wyniesienia Gomułki. No, jak to bywa, wie pan, w historii, władca, który dochodzi do władzy, pozbywa się tych, którzy mu dopomogli. Pozbył się ich wszystkich, tak że i ten właśnie człowiek, nazwijmy go w skrócie Stefanem, to był już szczyt jego kariery, owo sekretarzowanie warszawskie. Potem był chyba dyrektorem PAP-u, no i potem spadł na stanowisko jednego z pracowników encyklopedii, nawet kursowało jego powiedzenie: taka encyklopedia, jacy encyklopedyści. Z tym, że nie miał racji, bo encyklopedia do '68 roku była bardzo dobra, tamte tomy, dopiero w '68 roku nastąpił ten kataklizm, całkowite, powiedziałbym, przedagowanie ludzkie redakcji PWN-u i oczywiście ostatnie tomy encyklopedii są już niedobre, okropne, kłamliwe, zakłamane, wszystko, co można o nich powiedzieć złego. Potem spotykałem go na wszystkich pogrzebach narodowych, wybitnych pogrzebach. Niesłychanie łatwo powiedzieć, że ten człowiek — ja wiem, że w '68 roku chciał wyjechać, nie dostał paszportu — bardzo łatwo powiedzieć, że właściwie... A chciałem powiedzieć panu, że on spędził swoją młodość w Rosji, o ile wiem, miał pewne kontakty, dość duże, w Międzynarodówce, przy Dymitrowie, spędził 7 lat w najcięższym obozie, łagrze rosyjskim na północy, na Syberii, tam gdzie koło Kamczatki, w tych stronach. Wróciwszy był stuprocentowym stalinowcem, potem przeszedł tę zmianę, a teraz raptem jest gościem Solidarności. Bardzo łatwo więc byłoby powiedzieć, że zmienia maski i gra (oczywiście ma tę swoją rentę), przystosowuje się do okoliczności. Ja bym tak łatwo tego nie

powiedział. Ja nie wiem, czy on nie był zawsze prawdziwy. Trzeba jednak założyć, tak mi się wydaje z moich doświadczeń osobistych, z zetknięć z komunistami starszego pokolenia, że oni na pewno zdawali sobie sprawę, że coś jest nie tak w mechanizmie. Procesy moskiewskie oczywiście, i masowe aresztowania. Ostatecznie ich przyjaciele ginęli, i to prawda, i jaka prawda, właściwie wszyscy zwyczajnie dostawali z tyłu kulę w łeb, a ich żony, rodziny szły do łagrów. Więc ja myślę, że oni sobie zdawali sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nie czynili bezpośrednim winowajcą Stalina. A jeśli nawet dopuszczali takie myśli do siebie, to się przed tym bronili. Ja myślę, że dlatego tak łatwo, łatwo właściwie nastąpił ten przełom z roku '48 na '49, kiedy Tito stał się diabłem. Bo niech pan jeszcze wie o tym, że system totalny potrzebuje diabła, czym jest system totalny bez diabła? Hitler miał Żydów, Stalin stworzył sobie wspaniałego diabła w postaci tej swojej słynnej teorii, że w miarę budowy komunizmu zaostrza się walka klasowa, to, co dopiero zostało na XX zjeździe obalone przez Chruszczowa jako nieprawdziwe. Zaostrza się walka klasowa, to znaczy wrogiem może być każdy. I diabeł właściwie czyha wszędzie.

TRZNADEL: — *Ważyk powiedział: „W każdym gramie powietrza jest wróg potencjalny”.*

ANDRZEJEWSKI: — Oczywiście. Totalizm w swojej grozie, potworności, jest właściwie systemem tak skończonym, że doskonałym. Doskonałym, w sensie oczywiście pejoratywnym. Ale niesłuchanie konsekwentnym. Dlatego, widzi pan, wydaje mi się, że reforma, tak zwana odnowa... — nie lubię nazywać naszego sierpnia odnową, wolę mówić o tym, że to jest rewolucja sierpniowa! Bo trudno jest tworzyć model inny od modelu rosyjskiego socjalizmu. Bo przecież ta walka, która się toczy, to w istocie nie jest walka o żadną kontrrewolucję, to nie jest żadna kontrrewolucja, nie jest to żadna walka przeciw socjalizmowi. I nie jest to walka ze Związkiem Sowieckim, mimo że Związek Sowiecki oczywiście nie cieszy się powszechnie sympatią, ale większość zdaje sobie sprawę, że w obecnej sytuacji polityczno-ekonomicznej my ten sojusz musimy utrzymać, sojusze niekoniecznie muszą się rozwijać przy akompaniamencie miłosnych szeptów.

TRZNADEL: — *Jak świadczą przykłady zachodnich demokracji.*

ANDRZEJEWSKI: — Tak. To jest sprawa polityki, gdzie sprawy uczuciowe nie muszą odgrywać roli decydującej. Więc system

modelu rosyjskiego jest tak zwarty, ale jednocześnie niesie w sobie zarazek śmierci, dlatego że wszystko, co broni się przeciw odnowie, nosi w sobie załazek śmierci. Pamięta pan początek *Marii Małczewskiego*: „Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie, robak się łęgnie i w bujnym kwiecie”.

TRZNADEL: — *Tym bardziej, że nie jest to bujny kwiat.*

ANDRZEJEWSKI: — To nie jest bujny kwiat. Ja sądzę, że to imperium znajduje się obecnie w stanie agonalnym. To może jeszcze trwać, ale ja sądzę, że szczyt tego imperium, które zaczęło się od Iwana Groźnego i zostało zbudowane przez Piotra, Katarzynę, Mikołajów, i którego kontynuatorem, na pewno wybitnym, był Stalin, to imperium przeżyło właściwie swój moment szczytowej chwały i swojej wielkości 9 maja 1945 roku, kiedy przechodziły pułki i rzucały te sztandary pod stopy stojącego na mauzoleum Stalina. A teraz to już jest wyraźnie okres schyłkowy. Ponieważ obaj nie mamy prawdopodobnie temperamentu proroków i odgadywaczy przyszłości, nie sposób jest tutaj powiedzieć, trzymając się jednak pewnych rygorów rozsądku, jak długo będzie trwała ta agonia. I wiadomo, że tygrys raniony jest najgroźniejszy. Pewną nadzieją, jakby wsparciem moralnym jest jednak dla mnie fakt, że druga połowa wieku dwudziestego, który wszedł już w swoje ostatnie ćwierćwiecze, charakteryzuje się między innymi bardzo przyspieszonym tempem, rytmem. To wszystko jest jakby zadyszane, gwałtowne, nie daje się porównać z wiekiem XIX, choć przeżył on także wiele wstrząsów. Ale mimo wszystko w porównaniu z naszym wiekiem to jest prawie tafla jeziora, spokojne, szerokie wody.

TRZNADEL: — *Powiedział pan, że działacze byli zaangażowani. Ale jeśli polska liberalna inteligencja była świadoma, to co właściwie tłumaczy fakt przyjęcia tej ideologii?*

ANDRZEJEWSKI: — Ja bym się tutaj znowu wystrzegał wszelkich uogólnień. Myślę, że innymi drogami doszli do partii, dajmy na to, Adam Ważyk czy Mieczysław Jastrun, czy pokolenie Kolombów, Jacek Bocheński, Wiktor Woroszyński, i na pewno inaczej ja. Mogę zaryzykować pewne uogólnienie, ale raczej wolalbym sprowadzić to do mojego wypadku. W tamtym okresie, w tych okresach, wliczając też i okres przedwojenny, mój temperament, moja umysłowość, moje jakieś usposobienie intelektualne, wyobrażeniowe, były charakteryzowane w sposób zupełnie wyraźny przez potrzebę fideizmu. Nie bez powodu przeżyłem tak in-

tensywnie, choć krótko, przed wojną, pewną religijność katolicką. Mówię religijność dlatego, że był to proces, który mnie niesłychanie pochłonał i którego wynikiem była moja pierwsza powieść *Ład serca*, ale mówię o religijności, ponieważ był to katolicyzm, który bardziej przemawiał do mnie swoim uporządkowaniem rzeczywistości, aniżeli stroną dogmatyczną. Byłem wtedy jeszcze związany ze środowiskiem Łasek, a specjalnie z osobą zupełnie wyjątkowego formatu, z księdzem Kornilowiczem. A znów Łaski, które wydawały wielce znaczący w tamtym okresie kwartalnik „Verbum”, były wyraźnie pod wpływem katolicyzmu Maritain’a, katolicyzmu, który zaprzeczał tradycji katolicyzmu polskiego, bo był katolicyzmem intelektualnym.

Myślę więc, że po tym pewnym zmęczeniu okupacją — młodym bardzo trudno wczuć się w pewną swobodę, która na pewno istniała w latach ’45-47, to nie da się porównać ze schyłkiem lat czterdziestych i początkiem lat pięćdziesiątych — to było zachwysnięcie się wolnością. I była ta pewna logika myślenia marksistowskiego, ta wizja uporządkowanej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości (jak to wszystko tam było niesłychanie powiązane!), z jednocześnie nie dość sprawnym obserwowaniem rzeczywistości. Na pewno temu sprzyjało, że po wojnie tak się złożyły warunki, że wszyscy pisarze, no, prawie wszyscy pisarze, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zgromadzeni byli w pewnych domach. Takim jednym ośrodkiem był dom na Krupniczej w Krakowie, innym na Bandurskiego w Łodzi. To sprzyjało oczywiście pewnemu wyobcowaniu z dziejącej się wówczas rzeczywistości, w moim wypadku na pewno i z braku doświadczenia politycznego. Byłem właściwie przed wojną młodym człowiekiem. Ja się sobą nieporównanie więcej interesowałem i wszystkimi swoimi przeżyciami osobistymi, aniżeli sferą polityki. Myślę, że to było potem dość oczywiste, wkroczenie w ten czarodziejski krąg świata uporządkowanego. To oczywiście u mnie trwało dość krótko, pamiętam ten okres szczeciński, te pierwsze lata szczecińskie, moich najbliższych przyjaciół, niesłychanie płomiennych, młodych komunistów, Witka Wirpszę, Witka Woroszyńskiego. Losy ich potoczyły się dość podobnie, w stronę całkowitego odejścia od marksizmu. Wtenczas nazywani byli przyszczałtami od swojego wodza, Witka Woroszyńskiego.

Ja wtedy poza publicystyką nic prawie nie napisałem godnego uwagi, potem oczywiście pewien krytycyzm zaczął działać, no i miałem lata, zanim wystąpiłem z partii, dość ciężkie, powikłane, potem ciężkiego kaca, przez kilka dobrych lat ciężkiego kaca, że jako intelektualista po prostu zawiodłem. Że nie dość ostro, nie dość czujnie obserwowałem rzeczywistość, która mnie otaczała, rzeczywistość światową, no i losy bardzo wielu Polaków, które

rzeczywiście w tym okresie były tragiczne. Ten kac przeszedł, jak wszystkie kace przechodzą, i gdyby pan mnie w tej chwili spytał, czy żałuję, że należałem do partii, to powiedziałbym, że absolutnie nie. Wprost przeciwnie, uważam, że się przez te kilka lat bardzo wiele nauczyłem naprawdę, marksizmu, dialektyki marksistowskiej. Wtenczas się mówiło: marksizm-leninizm-stalinizm. Dialektykę tego wszystkiego poznałem naprawdę dobrze. Napisałem książkę, która nawet w encyklopedii została pominęta, jak wszystkie moje utwory publicystyczne z tamtego okresu. Oficjalnie wyparto się moich tamtych utworów. Ja się ich nie wypieram, ani mojej książki *O człowieku radzieckim*, ani zresztą mojej książki *Partia i twórczość pisarza*. Napisałem je bardzo szczerze, a *Partia i twórczość pisarza* ma nawet pewne akcenty, można powiedzieć, modlitewne. Ale ja rzeczywiście ten mechanizm poznałem dobrze i myślę, że człowiek współczesny, bez względu na to, jaki fach uprawia, a już na pewno jeśli ma być artystą i rościć sobie pewne prawa do miana intelektualisty, musi znać dobrze właściwie dwie sfery: sferę kościoła katolickiego i sferę marksizmu. Sferę marksizmu, to znaczy: znać dobrze Rosję.

TRZNADEL: — *Ale jaki to Bóg, w takim razie, jeśli akcenty modlitewne... Bo przecież bogów było bardzo dużo... Czy staro-testamentowy, groźny, czy katolicki, bo to gdzieś wchodziło w jakiś zakres wiary?*

ANDRZEJEWSKI: — Ja w przeciwieństwie do, dajmy na to, Strykowskiemu czy do Miłosza, który jest zafascynowany *Starym Testamentem*, ja nigdy go nie lubiłem, chociaż dawałem w swoich utworach cytaty, ale ja nie lubię Boga *Starego Testamentu*. Ale przecież dobrze sobie zdaję sprawę, jestem z tego nawet zadowolony, że bardzo wiele w moich ocenach, ocenach wielu fenomenów życia, fenomenów egzystencji ludzkiej, łączy się z moimi krótkimi, ale bardzo silnymi doświadczeniami katolickimi. Oczywiście powinienem ograniczyć to do sfery moralnej, to znaczy: gdyby pan zadał mi pytanie, za kogo się właściwie uważam — to za laickiego katolika. Nie chciałbym tu nadużywać tego określenia, więc za — laickiego chrześcijanina. W sensie politycznym chyba za socjaldemokratę, co właściwie dla komunistów jest rzeczą paskudną.

TRZNADEL: — *Ale ta wiara w komunizm właściwie zakłada świadomość rzeczy strasznych. Jak to się odbywało? Jak pan sobie z tym dawał radę?*

ANDRZEJEWSKI: — Wiara w marksizm-leninizm-stalinizm?

No, widzi pan, każda wiara nakłada na oczy pewne chomąto. Złe powiedziałem, to nie chomąto, okulary. To jest stan narastającej katarakty. Jak pan wie, katarakta, zaćma, musi dojrzeć, żeby ją można było operować. Aż doprowadza to do radostanu, krótkiego stanu przed operacją ślepoty. Tylko tym mogę to sobie tłumaczyć. Często rozmawiałem o tym przez telefon z niektórymi przyjaciółmi, z którymi to wystąpienie z partii podzielił się jesienią '57 roku. Jednak nie wiem, czy to może być pocieszeniem, to że właśnie wtedy wystąpiliśmy, w '57 roku...

TRZNADEL: — *Czy to było rozstrzelanie Imre Nagy może? To mną wtedy wstrząsnęło.*

ANDRZEJEWSKI: — Po tym wystąpił Przyboś, w rok później, to był rok '58 i wtedy Przyboś wystąpił, samotnie, jak zawsze. Natomiast myśmy wystąpili po prostu przy okazji... Myśmy byli wszyscy w redakcji takiego miesięcznika, który miał wychodzić, „Europa”, z tym, że miałem być redaktorem naczelnym, właściwie już byłem redaktorem naczelnym. Numer pierwszy był całkowicie przygotowany. Wie pan, co mi zostało z tego, oczywiście poza wspomnieniem? Ten numer nigdy się nie ukazał, od razu uznano, że zarówno zespół redakcyjny jak i treść pierwszego numeru i plany na przyszłość nie dają gwarancji, że będzie to pismo mieszczące się w ustroju socjalistycznym. Słusznie tak sądzili, natomiast niesłusznie przyspieszyli zgon tego miesięcznika. Miesięcznik, w którym byłem redaktorem naczelnym, człowiekiem absolutnie nie nadającym się do tej roli, bo nie mam w sobie ani żadnej chęci, ani umiejętności rządzenia i narzucania siebie, które powinni posiadać tacy ludzie, jak naczelny reżyser, dyrygent, o! W zespole miesięcznika, który nie był redagowany przez młodych, ale dojrzałych panów, i to takie indywidualności jak Jastrun, Ważyk, Żuławski, Hertz, nie mogło nie dojść do rozbieżności, które by po kilku miesiącach ten miesięcznik musiały skompromitować jako niedobry. A tak właściwie zrobiła się legenda czegoś, co nigdy nie ujrzało światła dziennego, i że mogło się narodzić coś wspaniałego. Wtenczas był ten bodziec, że myśmy wystąpili gremialnie. Jeszcze wtedy Janek Kott wystąpił i wielu innych. Było to zresztą potem określone przez Władysława Gomułkę jako dokonane w momencie nieodpowiednim, ale jaki moment jest odpowiedni, żeby wystąpić z partii? Bo wtedy Gomułka powiedział, że było to wbicie noża w plecy. Ale wszystko, co właściwie jest jakimś zdrowym odruchem, protestem, sprzeciwem wobec autorytarnych zarządzeń i decyzji partyjnych, jest zawsze wbijaniem noża w plecy, albo w jakiś ważny narząd.

TRZNADEL: — *Dla władzy każdy moment jest nieodpowiedni.*

ANDRZEJEWSKI: — Ma pan rację, oczywiście tak.

TRZNADEL: — *Ale gdyby poza fasadą szukać, to może okazałoby się, że w tym okresie międzywojennym przygotowywało się gdzieś, w ideologii, czy na dnie duszy, pragnienie czegoś innego niż liberalizm całkowity, czegoś jasnego, twardego, określonego, bez wahań, jednym słowem ta pokusa kultury totalitarnej gdzieś tkwiła, bo inaczej dlaczego by się to nagle pojawiło?*

ANDRZEJEWSKI: — Wie pan, ja myślę, że w tym kraju, wśród moich przyjaciół i znajomych chyba to nie istniało. Nigdy nie miałem nic wspólnego z Bolesławem Piaseckim i nawet go osobiście nie znałem. To pokolenie tak było bogate w nazwiska i po kilkudziesięciu latach jeszcze coś znaczy, pięćdziesiąt lat to jest pół wieku. A jeśli pan wyliczy, że do pokolenia 1905-1915 należeli Czechowicz, Gałczyński, Schulz, Gombrowicz, Adolf Rudnicki, Miłosz, to wie pan, Parnicki, Staś Piętaś, Stefan Otwinowski, to tego było dużo, Breza, tego było naprawdę dużo, Uniłowski, tak że to było pokolenie niesłychanie obfite liczebnie. Jak myślę w tej chwili o polskiej literaturze, to wśród wielu lęków i trosk, jakimi napawa mnie jej stan obecny, jedną z trosk chyba najbardziej jest świadomość niewiarygodnie małej ilości młodych ludzi, o których można by powiedzieć, że naprawdę coś mogą reprezentować w przyszłości. Bo przecież dobrze wiemy, że każde pokolenie debiutuje wielką ilością nazwisk, a w każdym razie znaczną, i często po pierwszym tomiku, zwłaszcza wierszy, a często i prozy, następuje jak gdyby starcie tych nadziei, jakie te debiuty mogły zapowiadać. I właściwie potem jest się już tylko przez długie lata aż do śmierci członkiem Związku Literatów Polskich. To jest zjawisko powszechne, ale jednak w tej chwili to jest niepokojące. Ja myślę, że na wielu pisarzach młodego pokolenia, ale i starszego, ciąży ten czas obecny, właściwie wedle tradycji literatury polskiej, która przez tyle lat na swoje szczęście, ale i na swoje nieszczęście, uważała siebie za sumienie narodu, za pocieszycielkę, pokrzepicielkę dusz, pokrzepienie serc, jak pisał Sienkiewicz. Ja powiedziałem szczęście-nieszczęście, bo rzeczywiście literatura polska okresu niewoli spełniała jakąś rolę, ale wie pan, ten stan ciągłej obywatelskości literatury, narzucony przez najrozmaitsze zresztą ugrupowania polityczne, zamienia się często dla twórców w worek kamieni. Odnoszę wrażenie, że to co dzieje się w Polsce począwszy od sierpnia tak jest właściwie pogmatwane, tak trudne, tak dramatyczne, że duża ilość piszących

po prostu milczy, jak gdyby bała się podźwigać, brak im odwagi. Zresztą mam wielkie wątpliwości co do wartości ostatniego filmu Wajdy *Człowiek z żelaza*, ale on miał tę odwagę ryzyka rzuca się w tę przepaść, niesienia worka kamieni. Teraz w lecie było coś pociesającego dla mnie, nie dlatego, że ja byłem jednym z aktorów tego faktu... Tak się przydarzyło, że mieszkaliśmy parę tygodni obok siebie, Strykowski i ja. Strykowski pisał dalej opowieść o Mojżesz, a ja pisałem opowieść, którą zresztą już skończyłem, o ostatniej wyprawie starego Odyseusza. Myślę, że ani on ani ja, ani przez siebie, ani przez innych, nie jesteśmy uważani za pisarzy uciekających od rzeczywistości. Tylko myślę, że nie można robić na siłę literatury obywatelskiej. Pisarz może mówić o Odysie, może mówić o Mojżesz, i być pisarzem współczesnym.

TRZNADEL: — *Miałem taki artykuł w „Le Monde”, gdzie właśnie wytknąłem „nowej fali” zajęcie się doraźnymi sprawami w sposób nie wnoszący jakiegoś ideału, nie przynoszący wielkiej literatury, a właściwie tylko wielka literatura jest skuteczna.*

ANDRZEJEWSKI: — Tak, widzi pan, ale my tutaj, powiedziałbym, znowu mamy bzika z tą wielką literaturą. U nas albo wielka literatura, albo szmira. A my nie mamy niestety, nie mamy tej literatury, nie chcemy uważać, że mamy tę literaturę drugiego rzędu, czy jak mówiło się dawniej o sklepach w cesarstwie rosyjskim, kupiec drugiej gildii. Nie ten wielki kupiec, ale drugiej gildii, trzeciej gildii. I to wcale nie musi być szmira, to jest niemal masowa produkcja na Zachodzie, we Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych. To są, dajmy na to, przyzwyczajone napisane powieści, które nie roszczą sobie żadnych pretensji do tego, że mają być arcydziełami, są po prostu towarem merkantylnym. Pisarzom zależy przede wszystkim na tym, żeby któraś z ich książek mogła stać się *bestseller*-em i żeby można było zarobić dużo pieniędzy i właściwie mówiąc jest to w porządku, pisarstwo nie jest przecież pojęciem jednolitym. Są pisarze, którzy wspinają się, marzą o piedestale, o wysokich rejonach, pisarstwo jest dla nich jak gdyby wyznaniem osobistym, oczywiście, tą grą rozgrywaną na rozmaitych postaciach, w fabule. I oczywiście nie porównuję Balzaka, Stendhala czy Dostojewskiego z Agathą Christie, z autorami znakomitych powieści kryminalnych, bo to jest literatura całkowicie nieosobista, po prostu talent narracyjny, świetnie zrobiony kryminał, ale to jest zupełnie inny gatunek literatury.

TRZNADEL: — *To pragnienie, jak pan powiedział, wiary, czy*

nie było próbą jakby na płaszczyźnie literackiej, na płaszczyźnie psychologii literatury, ale także psychologii osobistej — jakieś nadziei, że oto świat może być całkiem inny, może być prostszy, może być jednolity, może być bardziej optymistyczny. Bo przecież pan zawsze był tak uczulony na rozdarcie człowieka, na straszliwe wątpliwanie. I czy nie było tak, że pisarze uwierzyli w jakieś mierze, że świat może być inny. Mnie osobiście wydaje się, że popełnili tu omyłkę, jest to istota świata, że on jest rozdarty, że niesie zło i wątpliwanie, że nie ma pewności...

ANDRZEJEWSKI: — Wszystko, co pan mówi teraz, to jakby mi pan wyjmował z ust. I tak teraz ja piszę, przecież od bardzo wielu lat. Przecież świat, który ja przedstawiam od '57 roku to niedługo będzie dwadzieścia pięć lat — wszystkie moje utwory są raczej potargane. Doszedłem już do tego, że mnie pisanie przestało absolutnie bawić, choć uważam, że koniecznym elementem pisarstwa i sztuki jest element zabawy. Moja powieść *Miazga*, która się przez wiele lat nie ukazywała, potem się ukazała w 1970 roku w nieoficjalnym obiegu w wydawnictwie „Nowa”, a teraz ma się ukazać z bardzo niewielkimi opuszczeniami, ale koniecznymi ze względu na naszą sytuację polityczną, jest utworem, który posiada właściwie formę miazgi. Zresztą niestety jest to bardzo zabawne, słowo to jest nieprzetłumaczalne na żaden z języków obcych...

TRZNADEL: — *Tłumaczyłem to na francuski jako...*

ANDRZEJEWSKI: — *La pulpe?* Ale to jest miazga drzewna. To jest co innego. Ja zawsze starałem się obcokrajowcom tłumaczyć, że miazgą jest to, co zostaje z człowieka, który dajmy na to spada z dwudziestego piętra. Albo przejeżdża przez niego ciężarówka. Jest podobno coś w angielskim... Niech się to wreszcie ukáže. PIW zapowiada, że to ma być jeszcze w tym roku, może dostanę na gwiazdkę jako prezent jeden egzemplarz. W każdym razie korekta autorska jest już dokonana, książka jest w druku.

TRZNADEL: — *Czy mamy jeszcze chwilę czasu? Mówiłem o pana twórczości, nie o całej oczywiście, w moich wykładach parryskich i między innymi zadałem sobie takie pytanie, jak wygląda z dzisiejszego punktu widzenia perspektywa ideowych horyzontów Popiołu i diamentu. Jak pan by to dzisiaj widział? Nie myślę o filmie, to jest zupełnie co innego, myślę o książce.*

ANDRZEJEWSKI: — Film Wajdy nie przeczy duchowi książki. Film Wajdy, jak nakazują to rygory związane z prawami filmu

i powieści, wybrał tylko pewne wątki. Ja uważam, że wielowątkowa powieść w filmie jest nonsensem, film źle znosi wielowątkowość. Mamy przykłady, jak wielkie powieści epickie, *Wojna i pokój*, wielokrotnie były ekranizowane i nigdy w sposób zadowalający.

TRZNADEL: — *Tak jak Malraux i Nadzieja.*

ANDRZEJEWSKI: — Tak, to nie daje zwykle dobrego efektu. No cóż, ja myślę, że pewnym dokończeniem, po wielu latach, mówię tu i o tytule, jest napisana przeze mnie powieść *Miazga*. Tak że właściwie na to pytanie Norwidowskie, to przeciwstawienie, czy zostaną tylko popioły, czy także na dnie tych popiołów gwieździsty diament, odpowiedzią jest *Miazga*. Myślę, że przy wszystkich swoich wielkich zaletach naród polski w ciągu ostatnich trzydziestu lat uległ bardzo daleko idącej demoralizacji, że przede wszystkim ta demoralizacja odnosi się do sfery spójności społecznej, że w tej chwili przeciętny człowiek jako zwierzę społeczne przedstawia obraz rozpaczliwy. Mówię to tutaj, wie pan, przy całym moim podziwie dla rewolucji sierpniowej, dla wielu przywódców, dla znakomitości zwłaszcza młodych robotników. Mogłem ich oceniać z wielu wystąpień, nie ostatnich, z wystąpień telewizyjnych. Telewizja niesłychanie demaskuje ludzi i można prawie bezbłędnie powiedzieć, jeśli oczywiście ktoś nie jest świetnym aktorem, czy to jest kłamczuch, czy to jest człowiek otwarty. Jestem pełen podziwu dla znakomitości ich polskiego języka, którym wielu ministrów i dyrektorów bełkocze. To jest bełkot a nie polszczyzna. A jak świetną polszczyzną przemawiają młodzi robotnicy i młodzi chłopci. To nie jest mój wymysł, bardzo słusznie ktoś z moich przyjaciół zauważył, to kobieta, przyjaciółka, poetka, że może dzieje się tak dlatego, ich polszczyzna dlatego ujawniła się ostatnio w całej swojej urodzie i bezpośredniości, świeżości i autentyczności słowa, ponieważ ci ludzie po raz pierwszy w życiu zaczęli mówić, co myślą. A to wiadomo, że narzucony schemat myślowy natychmiast tworzy martwe słowa, które są powtarzane. Utworzył się z nich ten bełkot, przerażający mnie jako stylistę, który ceni polszczyznę jako język bardzo, straszliwie trudny. Ale to, co się dzieje, czego dokonała w zakresie niszczenia języka ta sfera partyjno-biurokratyczna!

TRZNADEL: — *Nie tylko w warstwie stylistycznej!*

ANDRZEJEWSKI: — Wszystko wynika z tego schematycznego, szablonowego myślenia. Oczywiście, jeśli się zawsze formuluje

te same prawdy, te same zarzuty: awanturnictwo, kontrrewolucja, ten żargon. Tak mnie raził ten język, który dominował w kazaniach starszego pokolenia księży. Jak pan widzi, młodzi księża mówią absolutnie inaczej, ale nawet u starszych, sięgając aż po papieża, ten patos, ten zaśpiew zupełnie zanika. Może to się gdzieś jeszcze pojawi, ale to razi uszy. Nie tylko zresztą uszy.

TRZNADEL: — *Jeszcze bym wrócił do Popiołu i diamentu. Pomyślałem, daty są oczywiście zupełnie różne, ale gdyby próbować zestawiać na przykład Popiół i diament ze Zdobyciem władzy Miłosza, to byłoby pytanie... Jest pewna sfera nieobecna w Popiele i diamencie, mianowicie wszystko, co się łączy w owym krytycznym momencie ze Związkiem Sowieckim. Czy pan był świadomy retuszując, czy nie dopuszczając do głosu owego problemu i jakiego to typu byłby...*

ANDRZEJEWSKI: — Wie pan, to było bardzo dawno. I oczywiście ta świadomość na pewno musiała istnieć. Tam jest, o ile pamiętam... Ja tej książki od napisania nie czytałem w całości, bardzo to wszystko dawne.

TRZNADEL: — *Autor musi swoje rzeczy czytać na nowo jak czytelnik, bo inaczej zapomina.*

ANDRZEJEWSKI: — Ja, wie pan, nie wracam, ja się boję. Wróciłem do *Popiołu i diamentu*, kiedy w '57 roku z Wajdą pisaliśmy scenariusz, ale ponieważ z góry było wiadome, jakie wątki wejdą do filmu, do scenariusza, ja przeczytałem tylko te, a innych już nie. Tak że często nawet ludzie, którzy mnie znają, uważają, że to jest z mojej strony pewna kokieteria, że ja mówię, że nie pamiętam. Ja naprawdę nie pamiętam, nie mogę *Ładu* serca pamiętać, kiedy ostatni raz robiłem pewne korekty, przygotowując nowe wydanie w '45 roku. Od '45 roku, niech pan policzy, ile lat upłynęło. Czy ja mogę pamiętać?

TRZNADEL: — *Ja myślę tak, że jeżeli chodzi na przykład o Wielki Tydzień, to jest to dość drapieżny szkic powieściowy, bo to jest więcej niż nowela, a od strony ideowo-politycznej, dla celów artystycznych tego utworu, ja nie widzę tam większych luk. Natomiast w Popiele i diamencie, tutaj rysuje mi się pewna luka...*

ANDRZEJEWSKI: — Bardzo to jest możliwe, kiedyś — nie wiem nawet, czy w swoich felietonach, czy w rozmowach ze mną

— Stefan Kisielewski miał rację mówiąc, że ja w jakiś sposób tutaj fałszuję historię. Wielu znakomitszych ode mnie kolegów po piórze fałszowało historię. Niech pan weźmie choćby... Ja teraz zacząłem pisać powieść pod tytułem *Elegia*. W odróżnieniu od tej opowieści pod tytułem *Nikt*, o ostatniej wyprawie Odyseusza, tutaj rzecz dzieje się współcześnie, w tym roku... W związku z tym zacząłem się bliżej interesować postacią Elżbiety I. Moja bohaterka, tak się jej coś marzy, że ona zagra Elżbietę I. W czasie okupacji, w młodości, chodziła do szkoły aktorskiej, teraz dochodzi do sześćdziesiątki, ma czworo dzieci, każde dziecko reprezentuje żywioł, cztery żywioły. I w związku z Elżbietą I taki pierwszy fałsz, jak Schiller zafałszował Marię Stuart, strasznie zafałszował. Przecież wtedy, kiedy w imię racji imperium brytyjskiego została skazana na ścięcie i ścięta, była starą tłustą kobietą z dalekim od idealizacji życiem, które prowadziła, lekko mówiąc nieobyczajnym. Przyczyniła się do zamordowania swego męża rękoma swojego kochanka. Była to kobieta niesłychanie ambitna, przewrotna, fanatyczna katoliczka, umierała jako tłusta stara kobieta i kiedy kat podniósł jej głowę, głowa odpadła, bo miała perukę. Jest to dość dalekie od Marii Stuart zarówno Schillera, jak i naszego Słowackiego.

Przechodzi tak do historii nie historia, ale to co utrwaliła sztuka, a sztuka jest rzeczą przewrotną, bo wydaje mi się, że sztuka ma tę wyższość nad upływem czasu, sztuka zatrzymuje czas. Jak dajmy na to Goya namalował księżną Alba na jednym ze swoich obrazów, tak księżna Alba leży naga na tej sofie z głową na ręku, jak Michał Anioł utrwalił Mojżesza, tak ten Mojżesz trwa przez wieki. Utrwalił Tołstoj, dajmy na to, bitwę pod Austerlitz, tak leży ranny Andrzej Bołkoński, tak go utrwalił w tym momencie, Antygona została utrwalona, Edyp utrwalony, Julian Sorel utrwalony. Ale tu następuje znowu coś — ja historii nie uważam za naukę, to się zmienia, to jest płynne. Sztuka utrwała. O, jeszcze jedno fałszerstwo w imię obyczajności dworskiej! Żeby podtrzymać Tudorów, Shakespeare zrobił z Ryszarda III potwora i tak przeszedł on do historii jako potwór, którym wcale nie był. Nowocześni historycy angielscy uważają, że zapowiadał się na wielkiego władcę, tylko był uwikłany, Anglia była targana tak niewiarygodnymi sprzecznościami i walkami dynastycznymi, a Tudorowie trochę z lewa objęli ten tron. No i wiadomo, że wiele sztuk, wszystkie kroniki historyczne, Shakespeare pisał w charakterze poety dworskiego, dla umocnienia racji stanu dynastii Tudorów.

TRZNADEL: — *Czyli perspektywa się zmienia...*

ANDRZEJEWSKI: — Zmienia się, widzi pan, z tym że sztuka utrwała czas, jak gdyby zatrzymuje czas, ale czas jest mściwy, bo niekiedy zmienia sztukę. Czas, który idzie naprzód, zmienia sztukę i znowu inaczej każde pokolenie patrzy, nie mówiąc już o każdym człowieku. Na obrazy Goyi inaczej patrzymy, czy inaczej odbieramy Tołstoją, czas niszczy to utrwalenie czasu w dziele sztuki.

TRZNADEL: — *Czy trwanie sztuki zależy od prawdy i moralności, czy nie? Czy Miłosz drwił mówiąc, pamięta pan, „poezja nie jest kwestią moralności”?*

ANDRZEJEWSKI: — Tak, ale spójrzmy na losy twórców. Na przykład w latach mojej młodości, w dwudziestoleciu, jako kompozytor nie istniał Mahler. W latach powojennych Mahler wyrósł, i słusznie, na jednego z największych kompozytorów. Taki Albinoni właściwie był w ogóle nie odkryty. W latach mojej młodości Strindberg już się chylił, to była Młoda Polska, myśmy odchodzili od Młodej Polski. Jeżeli Strindberg w okresie międzywojennym jeszcze się utrzymywał czasem na scenach, to tylko dlatego, że była tradycja wielkich ról Adwentowicza. W okresie po drugiej wojnie światowej, w tej chwili, jest renesans Strindberga.

TRZNADEL: — *Ale czy to znaczy, że sztuka pozostaje w zupełnie relatywnym stosunku do prawdy?*

ANDRZEJEWSKI: — Zna pan tę legendę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, że dzieło pisarza przechodzi przez czyściec i potem dopiero będzie zdecydowane, czy pójdzie do piekła czy do nieba. Oczywiście, większość idzie do piekła. Piekłem w tej dziedzinie jest zapomnienie. Tylko wybrani dostają się do nieba pamięci.

MYŚMY ŻYLI W LITERATURZE
Rozmowa z Wiktorem Woroszylskim
(21 października 1981)

WOROSZYLSKI: — Postanowiłem nie odmawiać panu tej rozmowy. Ale czy coś z tego będzie? Od jakiegoś czasu, od kilku lat, słyszę przecież z różnych stron apele o wspomnianie tej historii i swojego w niej udziału. Właściwie odczuwam wielki opór. Odpowiadałem już podobnie, jak odpowiedział panu Ważyk, że to jest nieinteresujące. Czuję w tym także pewną swoją prawdę. Kiedy parę lat temu istniała już w Polsce działalność społeczna wychodząca z przewyciężenia tego, co kiedyś tam było, i jakoś działaliśmy — Gustaw Herling-Grudziński, którego bardzo szanuję i uważam za kogoś bliskiego, ogłosił tekst *Szkielet w szafie*, gdzie doradzał właśnie, aby zająć się drażnieniem swoich dusz — jak to było mianowicie podczas stalinizmu? Przy czym zakładał on, że to był głęboki upadek moralny ludzi, którzy w tym uczestniczyli. I dlatego powinni się zanalizować. Budziło to mój opór, bo ja nie chciałem się już tym zajmować. Dlaczego mam do tamtego wracać? Taki sam opór dostrzegałem u innych: u Konwickiego, u Andrzejewskiego, który jednak, jak słyszę, nie odmówił panu rozmowy... Wiem, że to było teraz, niedawno, ale parę lat temu Andrzejewski zachnął się na Herlinga: „ile razy można do tego wracać?”. Kiedyś, bardzo blisko tamtej epoki zostały zrobione jakieś rachunki. My wszyscy spisywaliśmy wtedy jakieś wyznania, spowiadaliśmy się... Dla mnie rzeczywiście w moim życiu jest bardziej interesujące, że ja od tego odszedłem, niż to że w tym byłem. I zastanawiałem się, zastanawiam się, co było w tamtejszym zaangażowaniu, nie tylko moim, że musieliś-

my potem od tego odejść. Przecież to nie były tylko sprawy zewnętrzne, była więc od razu jakaś sprzeczność w tym wszystkim.

TRZNADEL: — *Skąd wypływały owe zachnięcia się? Może z powodu owego ujmowania w kategoriach winy i oczyszczania się? Myślę, że należałoby wyjść poza te kategorie i zobaczyć pewien fenomen kulturowy, znaczący i charakterystyczny. Że właśnie w kulturze polskiej coś takiego się zdarzyło, że dużo ludzi wyznawało poglądy, którym musiało diametralnie zaprzeczyć. To nie jest takie częste w kulturze.*

WOROSZYLSKI: — Ale nie jest też takie rzadkie, bo przecież mieszkając na Zachodzie może pan obserwować u tych zachodnich intelektualistów czy inteligentów, że lgną do tej utopii jak muchy do lepu, więc to jest jakoś atrakcyjne, odpowiada to jakimś potrzebom, przynajmniej tej warstwy. Część robotników też do tego lgnie, chłopci mniej, ale inteligentów jest mnóstwo. Siedziałem teraz w zachodnim Berlinie, obserwowałem młodzież niemiecką i nie tylko młodzież, tam właściwie nie ma ludzi, którzy by się nie poczuwali do daleko posuniętej lewicowości. Komunistycznej czy nawet na lewo od komunistów. Teraz, kiedy już jestem poza tym, wydaje mi się to dziwne. Nie znajduję z tymi ludźmi wspólnego języka. Z czego wynika, że nie znajduję wspólnego języka z samym sobą sprzed iluś tam lat. To jest fakt. To nie jest tylko fenomen kultury polskiej, to jest powszechniejsze. Coś się stało w cywilizacji europejskiej, nastąpiło jakieś rozczarowanie, obrzydzenie do czegoś. Podobnie u nas, więcej było elementów negatywnych niż pozytywnych. Jeśli chodzi o moje pokolenie — nie wiem, o ile jest pan ode mnie młodszy — chyba nie tak dużo...

TRZNADEL: — *Rocznik 1930.*

WOROSZYLSKI: — No, trzy lata różnicy. Więc moje pokolenie przychodziło do tego, jak sądzę — przynajmniej u siebie to znalazłem, ale nie tylko — na zasadzie jakiegoś straszliwego rozczarowania do swojego dzieciństwa, bardzo wczesnej młodości, do jakiejś słabości tamtego świata, w którym byliśmy. Bo ten świat nie obronił się przed faszyzmem, przed hitleryzmem. Ja pochodzę z Kresów wschodnich. Więc najpierw przyszli tam Rosjanie, w 1939 roku, kiedy miałem dwanaście lat. I już wtedy odczułem pewną fascynację, ale niektórymi zjawiskami, literaczkami, filmowymi, krzykiem Majakowskiego, romantyzmem filmów rewolucyjnych w rodzaju: *My z Kronsztadu*, *Czapajew*.

I to szybko zaczęło wygasać, bo oczywiście działały się różne wiadome rzeczy. Oczywiście, pod koniec tych niespełna dwóch lat, kiedy oni tam byli, kiedy nastąpiły wywózki, te różne inne historie, niewiele zostało z tego pierwszego entuzjazmu, stworzonego właśnie przez fikcję, bo przez literaturę. Kiedy przyszli Niemcy, wielu ludzi w moich stronach witało ich bardzo serdecznie po tym pierwszym doświadczeniu sowieckim. Zresztą powitań widziałem pełno: najpierw w '39 roku widziałem, jak ludność białoruska na moich terenach budowała bramy triumfalne z napisami witającymi armie sowieckie, nic dziwnego, bo chłop białoruski w przedwojennej Polsce doznał niemało nędzy i upokorzeń, potem widziałem ludzi witających Niemców. To była rozmaita ludność, i polska, i białoruska; działało się to na zasadzie nienawiści do wszystkiego, co było przez te półtora roku. Te sympatie też się szybko skończyły. Ale ja potem, w trakcie okupacji niemieckiej, zaczętej u nas później niż w reszcie Polski i trwającej tylko trzy lata, zacząłem znowu myśleć o komunistach, o bolszewikach.

TRZNADEL: — *Gdzie pan mieszkał?*

WOROSZYLSKI: — W Grodnie. I jakoś wydawało mi się, że to co wraca stamtąd, co idzie stamtąd, jest znakomite i świetne, stanowi jakieś wyjście, nawet nie w sensie ścisłe politycznym, bo ja nie umiałem myśleć o wielkiej polityce, ale po prostu w sensie jakichś recept na życie, wymyślenia samego siebie w tym wszystkim. Oczywiście myślałem o tym naiwnie, wyobrażałem to sobie inaczej. Myślałem, że jak oni przyjdą, to oczywiście będzie Polska komunistyczna, socjalistyczna, na tyle mi wyobraźni starczało, i ja chciałem w tym uczestniczyć. Natomiast mnie się wydawało, że to będzie jakieś bardziej, no, szlachetne, trochę inne, a zetknąłem się od początku znowu z jakąś brutalnością, z faktami dokonanymi. Myślałem na przykład, że moje miasto Grodno znajdzie się w tej Polsce socjalistycznej, ale ono się nie znalazło. Pierwsze, co przeczytałem w sowieckiej gazecie po ich drugim przyjściu, to artykuł wstępny, gdzie od razu na początku chwalili się, czego to oni nie powyzwalali, i było napisane: „*Grodno, starinnyj russkij gorod*”. To mnie oczywiście zabolowało...

TRZNADEL: — *Orzeszkowa — i stare rosyjskie miasto!*

WOROSZYLSKI: — Kiedy ogłoszono możliwość innej opcji i wyjazdu do Polski, która uzyskała już swoje nowe granice, moja rodzina załadowała się do wagonu i pojechaliśmy. Ale mimo całego rozczarowania, widziałem siebie oczywiście w tej próbie robienia czegoś nowego. I jak przyjechaliśmy do Łodzi — miałem

wtedy niespełna osiemnaście lat — poszedłem jednak do partii, do PPR-u, zgłosiłem się. Myślę po latach, że to co wtedy przez jakiś jeszcze czas przeżywałem, to była po prostu młodość i komunizm był jakąś formą przeżywania swojej młodości. To było związane z końcem wojny, strasznie patetyczne. Jak dalece wiedziałem, że w tym wszystkim tkwi coś zbrodniczego, coś okropnego, a jak dalece udawałem przed sobą, że tego nie wiem? A czego sam nie wiedziałem? No, coś wiedziałem, nie mogłem nie wiedzieć.

TRZNADEL: — *Interesujące jest, jak każdy z tych, co brali w tym udział, dawał sobie radę z pewną ilością informacji na temat Wschodu, i jaki był zakres tych informacji? Czy akces wynikał po części z niedoinformowania, czy ze szczególnego zracjonalizowania posiadanych informacji?*

WOROSZYLSKI: — Myślę, że takiej na przykład informacji, oschłej i surowej, że w państwie Stalina zamordowano więcej ludzi, niż państwie Hitlera, ja oczywiście nie miałem i nie przychodziło mi to po prostu do głowy. Natomiast wiedziałem, że się różne rzeczy działy, oczywiście.

TRZNADEL: — *A Katyń na przykład?*

WOROSZYLSKI: — Właśnie. Jak to było, co ja wiedziałem na temat Katynia? Czy miałem pewność, że oni to zrobili? Nie umiem na to w tej chwili odpowiedzieć. Pamiętam, że podczas niemieckiej okupacji, kiedy wyskoczyła sprawa Katynia, i nie tylko sprawa Katynia — była taka historia, że Niemcy wzięli do niewoli jakichś żołnierzy z kościuszkowskiej dywizji i potem ich obwozili, i oni występowali na takich wiecach. W Grodnie też był wiec. Nawet pamiętam taki szczegół, nazwisko — przynajmniej tak jak je wtedy podano — porucznika, z kościuszkowskiej chyba dywizji, który występował. Nazywał się Wiskirski. Otóż słuchano tego człowieka z niechęcią, chociaż on mówił samą prawdę o tym, co przeżył w Związku Radzieckim. Jak z obozów poszli prosto do wojska, jak posłano żołnierzy, no, właściwie na śmierć, to była przecież jatka, nie wiem, czy chodziło o bitwę pod Lenino, czy jakąś inną, bo wtedy się tego tak nie wiedziało. Ten człowiek mówił prawdę, ale występował jako niemiecki propagandysta i patrzyło się na to z okropną niechęcią. Cóż więc wiedziałem w Grodnie, zanim wyjechaliśmy do Łodzi? Różni ludzie przychodzili do mojego ojca, i ludzie radzieccy, bo leczył kobiety, był ginekologiem, przychodzili różni Rosjanie. Pamiętam jednego z nich, zapomniałem nazwisko, był jakimś ważnym facetem w

administracji sowieckiej, ale nie pamiętam, jakie to było stanowisko, i on opowiedział mojemu ojcu taką historię. Został aresztowany bodaj w 1937 roku i siedział przez rok czy półtora w więzieniu w Mińsku, był bardzo bity, ale nie przyznał się do niczego i w pewnej chwili go wypuszczono. On twierdził, że kto się nie przyznał, ten jakoś ocalał, i tak dalej. Człowiek się łapał takich głupstw i mówił sobie: jednak kto miał hart, był pewny swojej niewinności, nie przyznał się, to jednak wyszedł i ma stanowisko, mimo że zaszła niesprawiedliwość. I różnych tego rodzaju bredni człowiek się czepiał. A potem, już w Polsce, jakimś potwierdzeniem tej słuszności wyboru było to, że podobnego wyboru dokonywali inni, że przychodzili zewsząd. Zdawało się, że to, co jest, zaprasza wszystkich, żeby w tym uczestniczyli, i bardzo dobrze, jeśli ktoś przychodzi ze szczerym sercem.

Ja dosyć wcześnie się w tym wszystkim znalazłem, ale potem zaczęli się zjawiać inni. Każdy potwierdzał swoim akcesem wcześniejsze decyzje. Zaczęli się zjawiać koledzy akowcy, a to Braun, a to Konwicki, a to Bratny, zaczęli przychodzić starsi koledzy, taki Andrzejewski, potem raptem się zjawił Newerly. Kiedy go przyjmowano do partii, zaczął opowiadać, jak to on za młodu popełnił błąd, że uciekł ze Związku Radzieckiego i zdradził, a teraz widzi, że to jest jedyna przyszłość, jedyna słuszność. To rosło, i żeby było śmieszniej, wielu tych ludzi zwracało się do mnie. Prosiли, żebym dał im rekomendację do partii. Byłem szalenie dumny, że oni się do mnie zwracają, tacy wspaniali ludzie, że ja wprowadzam do partii Tadeusza Borowskiego, Andrzeja Brauna, Andrzejewskiego, Kołakowskiego, Bóg wie kogo. Zdawało mi się, że przychodzi tutaj wszystko, co dobre. Nawet jeżeli jednocześnie dzieją się jakieś okropne rzeczy, to są przecież ci wspaniali ludzie.

TRZNADEL: — *I wszystko zmienia...*

WOROSZYLSKI: — Tak, tak. I razem będziemy to robili, do czegoś dojdziemy. Oczywiście, że obraz całości był fałszywy. Ale na przykład spotykaliśmy się na uniwersytecie na pierwszym roku z Leszkiem Kołakowskim i nasze ówczesne rozmowy nie były rozmowami aparaczków ani jakichś tępych dogmatyków. Ja to czułem jako otwarte na świat, szalenie krytyczne w stosunku do wszystkiego. No i zdawało mi się, że jest fajnie, że tak jest.

TRZNADEL: — *Czy informacje na temat Wschodu pojawiały się w tych rozmowach?*

WOROSZYLSKI: — Całe myślenie o tych problemach było

szalenie płytkie i powierzchowne. Nie wydaje mi się, żebyśmy operowali takim pojęciem jak Gułag, jak świat obozów koncentracyjnych. Natomiast operowaliśmy jakąś wiedzą o tym, że się dzieją różne krzywdy, że dosyć łatwo jest zostać aresztowanym, ale wydawało się nam, że oczywiście można się wtedy jakoś bić o sprawiedliwość, można się wy dostać. Mieliśmy tego potwierdzenie. Posadzono naszego kolegę, Leszka Budreckiego, wrócił po kilku dniach, czy może tygodniach, jakoś go wyciągnęto. Co prawda bardzo się zmienił po tych kilku dniach i zaczął się od wszystkiego odsuwać. To był nasz kolega z tej organizacji, z ZWM. Zaczął się odsuwać, ale los jego jak gdyby świadczył, że to nie jest tak beznadziejnie zamknięte, że zależy od ludzi, od tego kto, co i gdzie. Że oczywiście wszędzie mogli się dostać jacyś podli, nieuczciwi ludzie, to jasne, ale są i inni. I tak dalej, i tak dalej.

TRZNADEL: — *Czy to było rozumowanie jeszcze w kategoriach normalnej etyki, do której byliśmy przyzwyczajeni, czy etyki, nazwijmy ją „rewolucyjnej”? Przypominam sobie taki wiersz Witka Dąbrowskiego, że on idzie na plac targowy, gdzie sprzedają różne rzeczy gdzieś na Pradze, i słyszy nagle skrzyp kabury pistoletu milicjanta. Czuje, że to bardzo dobrze. Wobec tych handlarzy, reprezentujących „stary świat”, sprzedających w najlepszym razie jakieś ciuchy amerykańskie — siła. Tak można zanalizować ten wiersz. To było wkroczenie Witka, w tym wierszu, w krąg bardzo specjalnej etyki. Miał temu wszystkiemu potem zaprzeczyć. Czy przyjmowanie nowych pozycji było przyjmowaniem jakiejś etyki uzasadniającej rewolucję, przemoc?*

WOROSZYLSKI: — Pewnie już coś takiego w tym jednak było. Tylko mnie jest bardzo trudno uprzytomnić sobie, na czym to polegało. Trzeba tu jeszcze dodać, że nie żyliśmy — przynajmniej moje środowisko — nie żyliśmy właściwie jakimś życiem realnym. Kiedy potem po latach zatytułowałem swoją książkę *Literatura*, to miałem i to na myśli. My żyliśmy w literaturze. A Witek Dąbrowski był w jeszcze gorszej sytuacji ode mnie, czy od Brauna, powiedzmy... Bo jeżeli myśmy byli, powiedzmy, epigonami Majakowskiego, to Witek już był naszym epigonem w tym okresie, bo potem już stał się kim innym, i dlatego zapewne jego wcześniejsze deklaracje poetyckie były jeszcze bardziej karykaturalne. Ale pewnie coś takiego znajdzie się i u mnie we wcześniejszych tekstach.

TRZNADEL: — *No, nie tylko u pana, to przeszło i na starsze*

pokolenie. Pan pisał o Dzierżyńskim, ale i Jastrun pisał o Dzierżyńskim.

WOROSZYLSKI: — No więc właśnie, wymyśliliśmy sobie wtedy Dzierżyńskiego jako wspaniałego faceta. Pamiętam, że w moim wierszu o Dzierżyńskim jest zwrot: czyste ręce. Otóż to było wyobrażenie, że można i że należy być mieczem rewolucji mając jednocześnie czyste ręce. Miałoby to znaczyć, jak rozumiem, że karze się jednak winnych, nigdy niewinnych. Mnóstwo było takich strasznych naiwności.

TRZNADEL: — *A czy poza tymi naiwnościami nie kryła się także pewnego typu cenzura, która każe odsuwać pewne fakty niewygodne dla nowej wiary?*

WOROSZYLSKI: — Pewnie tak, pewnie tak, oczywiście. Zastanawiam się także, czy na przykład otoczenie bało się takich ludzi jak ja. I czy bojąc się nie decydowało, aby nie mówić o pewnych rzeczach? Myślę, że to jest możliwe, a nawet wielce prawdopodobne, ale ja sobie tego nie uświadamiałem. Wydawało mi się wtedy, że u nas właściwie bardzo wiele można. I na przykład w Związku Literatów w tym okresie stalinowskim włąził na trybunę Aleksander Wat i wygłaszał mowy całkowicie niedopuszczalne z punktu widzenia systemu. Słuchałem tych mów i wszystko się we mnie gotowało. Uważałem, że to jest straszne draństwo, co ten wróg klasowy tutaj gada. Niemniej nie przychodziło mi wtedy do głowy, że właściwie należy to załatwić policyjnie, czy jakoś tak. To mi do głowy nie przychodziło i wydawało mi się, że w ogóle jest w porządku, że on ma prawo to powiedzieć. Natomiast wydawało mi się okropne, że jest facet, który takie rzeczy mówi. Pamiętam przecież śmieszna rzecz: jak to zaważyło na moim życiu. Czułem się intelektualnie bezsilny wobec tego, co on mówił, a jednocześnie wściekało mnie to, uważałem, że na pewno można to jakoś obalić, tylko że ja nie umiem. Tak więc zaważyło to na mojej decyzji wyjazdu na superstudia do Związku Radzieckiego. Pojechałem po to, żeby się tam nauczyć wspaniałych argumentów dla obalenia tego, co mówił przeciwko nam Aleksander Wat. Wiadomo, jak to się skończyło. Uzyskałem tam argumenty raczej na rzecz Aleksandra Wata i to bardzo szybko.

TRZNADEL: — *Szybko, bo ja pana pamiętam w pewnej sytuacji i ciekaw byłbym, jak to było od pana strony. 1954 rok na Senatorskiej, obrady literatów, wyszedł pan na trybunę, był chyba wtedy Cyrankiewicz, i powiedział pan rzecz, którą dzisiaj zwłasz-*

cza cudzoziemcy uznaliby z uśmiechem za naiwność: że socjalizm może także wytwarzać własne zło. Oczywiście my, którzy pamiętamy tamte czasy, tamten system, tamte argumenty, wiemy, że podobna deklaracja była wtedy aktem dużej odwagi. Już parę lat potem byłoby inaczej. Wiąże się to z pana pobylem w Związku Sowieckim. Co określiło pana nową świadomość, jak pan do tego doszedł?

WOROSZYLSKI: — Było to po pierwszym roku mojego pobytu, ja zresztą jeszcze tam wróciłem, po tym zjeździe literatów, na który przyjechałem. Właściwie przyjechałem specjalnie po to, żeby tę rzecz powiedzieć. Po prostu ten mój pierwszy rok w Moskwie był dla mnie bardzo straszny, dlatego, że wszystko się zawaliło. Czułem, że strasznie się wygłupiłem, że wszystko nie tak. Wszystko okropne. Nie wiem, to też może świadczy o jakiejś mojej głupocie, że nie zauważyłem w Polsce tego wszystkiego, co raptem zauważyłem w Związku Radzieckim. W Polsce pewnie też to było, tylko pewnie znowu w jakiejś innej, zakamuflowanej postaci. Nie zetknąłem się z tym, żebyśmy w rozmowach — koledzy pisarze — wzajemnie się siebie bali, chociaż znowu przypuszczam, że to istniało. Ja tego nie zauważyłem. Może miałem szczęście, że miałem takich kolegów i przyjaciół, którzy różne rzeczy mówili i się nie bali, ale...

TRZNADEL: — *No, poza tym bali się ci, którzy mieli naprawdę inne poglądy.*

WOROSZYLSKI: — Tak, pewnie tak.

TRZNADEL: — *Ola Watowa mówiła, że wyczuwała, że pewni ludzie, którzy bywali w ich domu, bali się mówić.*

WOROSZYLSKI: — No, ale Wat się nie bał, więc jakby to było decydujące. I oczywiście nie bali się ci, którzy byli po tej stronie, razem ze mną, chociaż to, co mówili, było często szalenie nie na linii. Może pan sobie wyobrazić, że Konwicki, czy Wirpsza, czy Borowski, jak żył jeszcze, nie byli przecież nigdy grzeczni, prawda? Chociaż byli po tej stronie.

TRZNADEL: — *Ale w tym, co pisali, czy nie byli grzeczni?*

WOROSZYLSKI: — Ja nie wiem, trzeba by było wrócić do tych lektur i jakoś je umiejscowić w tamtym czasie. Oni bardzo chcieli być po tej stronie, ale czy rzeczywiście wszystko było takie, jak należy, z tamtego punktu widzenia? Ja pamiętam, że nawet Ści-

bor-Rylski ze swoim *Węglem*... Kiedy przyjechałem do Moskwy, *Węgiel* był właśnie *bestseller*'em u nas, a w Moskwie go odrzucono, uważano to za paskudną książkę. Książkę antysocjalistyczną. Albo jak Braun w *Lewantach* opisywał jakieś historie, że aktywista partyjny w życiu erotycznym zachował się nieetycznie, zrobił jakieś świństwo dziewczynie, coś takiego, to z punktu widzenia realizmu socjalistycznego nie było grzeczne, naprawdę.

TRZNADEL: — *Tak, tu chodziło o estetykę realizmu, a inne rzeczy? Czy na przykład ktoś w prasie bronił kogoś, kto był źle widziany? Wydaje mi się, że bardzo mało można by znaleźć takich wystąpić.*

WOROSZYLSKI: — No, przyjmowało się, że ten popadł w niełaskę, ten nie myśli dobrze, to jak go bronić, cały system dyalektycznych, sofistycznych wyjaśnień, to chyba funkcjonowało, ale nie tylko... Przypomnę moją własną historię, jeszcze sprzed wyjazdu do Moskwy. Wystąpiłem, to prawda, z pozycji superlewicowych, napisałem taki artykuł *Batalia o Majakowskiego*. I to się partii szalenie nie podobało, bo ja tam byłem właśnie jakiś futurystyczny, ekspresjonistyczny, Bóg wie jaki, a poza tym rozdałem kopniaki takim ulubionym wówczas pisarzom partii, jak Wygodzki, jak Leopold Lewin. I wtedy zostałem za to szalenie przez partię skarcony i niszczone mnie na wszystkich łamach, od „Trybuny Ludu” zaczynając, nie dopuszczano do mojej odpowiedzi. To było też jedno z tych doświadczeń godnych uwagi. Koledzy jednak bronili mnie wtedy i nie przyjmowali do wiadomości, że zostałem zdezwauowany przez partię i że to jest nie na linii. Próbowali to robić i Borowski, i Bocheński, i Braun... No, mniejsza. W każdym razie w Moskwie zobaczyłem co innego. W Moskwie zobaczyłem, że wszyscy się wszystkiego boją, zobaczyłem, że mnie się boją, dlatego że przyjechałem z tak zwanej zagranicy. To znaczy, że boją się kontaktów, bo one są kompromitujące, że na przykład nie można mnie zaprosić na obiad, i tak dalej. Wtedy zaczęła się nowa nauka realnego socjalizmu. Jeżeli jeszcze w Polsce bujałem w obłokach... Mniejsza o to, jak dalece miałem do tego prawo, a jak dalece rzeczywiście sam się już załgałem w tej Polsce, w każdym razie w Rosji już tak nie mogłem, to po prostu za bardzo biło w oczy. I zaczęła się znakomita nauka. I dlatego przyjechałem na tamten zjazd z takim skądinąd ostrożnym stwierdzeniem. Nie wynikało jeszcze z niego jakieś zerwanie z tym wszystkim, ale chodziło o próbę mówienia pewnych rzeczy po to, żeby było lepiej. To wszystko. Ale oczywiście partia ma rację, kiedy uważa, że każde najmniejsze odchylenie prowa-

dzi w przepaść, i oczywiście już taki pomysł, że socjalizm ma jakieś grzechy, takie czy inne, musi doprowadzić do renegactwa, nie ma cudów. Nie można już z tego wybrnąć.

TRZNADEL: — *Bo właściwie postawa partyjna jest postawą na szczytach gór, gdzie jest miejsce tylko na dwie stopy. Odchylenie w każdą stronę jest odchyleniem w przepaść, tam nie ma żadnych luzów.*

WOROSZYLSKI: — Tak, ma pan rację. Więc musiało się to stać, czego ja jeszcze wtedy nie wiedziałem, czego nie wiedziałem jeszcze w '56 roku, choć już wiedziałem bardzo dużo i poszedłbym już dalej, niż w tym stwierdzeniu z 1954 roku. W '56 roku byłem już po wycieczkach po Związku Radzieckim, przedsięwziętych specjalnie po to, żeby pewne rzeczy zbadać i dotknąć ich własnymi rękami. Korzystając z pewnego rozluźnienia, jakie tam wtedy nastąpiło po XX zjeździe, odbyłem parę nielegalnych podróży po tym kraju. Były nielegalne w tym sensie, że cudzoziemiec musiał — nie wiem jak jest dzisiaj — zatwierdzić marszrutę, uzyskać pozwolenie, zalegalizować każdy swój krok. Otóż ja zjeżdżałem z tej zatwierdzonej marszruty i na przykład z Ałma-Aty zboczyłem do Karagandy. Poruszać się po Karagandzie pomógł mi rosyjski kolega, poeta Korżawin, obecnie emigrant, więc mogę wymienić to nazwisko. On tam spędził przedtem parę lat w kopalniach, podobnie jak inni ludzie, z którymi mnie zapoznał i którzy obwozili nas po tym mieście-obozie, pokazując: tę dzielnicę budowali kuliacy z Ukrainy, a tę — wysiedleni z Leningradu w trzydziestych latach, a tę — Polacy, a tę Łotysze, Estończycy, Litwini, a tę znów — ci co wrócili z niewoli niemieckiej... Wie pan, obraz Karagandy nie tylko nie zbladł we mnie przez ćwierć wieku, nie tylko nie zaćmiły go inne mocne przeżycia, nawet zdławienie Powstania Węgierskiego, którego świadkiem byłem jakieś osiem miesięcy później, ale stał się jakby jeszcze jaskrawszy, jego znaczenie jakby coraz wyraźniej mi się odsłaniało z roku na rok. To, co widziałem w Karagandzie, to warstwy nowej niewolniczej cywilizacji, to jakby skrót, schemat, symbol tej cywilizacji, którą zapoczątkowała rewolucja komunistyczna w Rosji... Może nie widziałem tego jeszcze aż tak jasno, kiedy latem '56 roku definitywnie wracałem do Polski, ale Karaganda zapadła we mnie i w ogóle wiedziałem już bardzo wiele, nieporównanie więcej niż w roku 1954. Niemniej ciągle nie rozstałem się do końca z utopią, ciągle uważałem, że istnieje możliwość zrobienia tego eksperymentu po prostu inaczej, z użyciem innych środków, z zachowaniem pewnych ostrożności, i tak dalej. Mój udział w tak zwanym

Październiku, ówczesna „Nowa Kultura”, i tak zwany rewizjonizm, to była jednak ciągle jeszcze próba ocalenia czegoś, chociaż oczywiście nie tego, co było mi już obce, niemiłe.

TRZNADEL: — *To bardzo ważne, aby określić moment, w którym znajdujemy się już „poza”. Więc niby tak było wtedy, ale...*

WOROSZYLSKI: — Tak, wydawało się, że jest jeszcze szansa. Mnie się strasznie podobało to, co wtedy powiedział Matwin, że spróbujemy stworzyć socjalizm, który da się lubić. Bardzo ładnie to sformułował, bo jednocześnie było w tym przyznanie, że tego socjalizmu nie da się lubić. Ale jest jeszcze gdzieś, istnieje w naszych głowach jakiś inny socjalizm, który da się lubić. Ale to przekonanie nie trwało już długo.

TRZNADEL: — *A kiedy zaczęły się rysować wątpliwości związane z sytuacją Polski wobec Związku Radzieckiego, ze sprawą wolności narodowej?*

WOROSZYLSKI: — No, nam się wydawało, że te rzeczy też są jakoś do załatwienia. Między innymi wydawało nam się w '56 roku, że można będzie stworzyć jakiś *modus vivendi* pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim, że Polska nie będzie tym zniewolonym i upokorzonym partnerem, ale będzie właśnie partnerem prawdziwym, będzie ta własna droga. Wydawało nam się, że Gomułka jest gwarantem czegoś takiego. Byliśmy przecież szalenie dumni przez cały prawie '57 rok, że polska prasa jest inna niż w ogóle w bloku, że pisze się tam różne rzeczy, że z Kościołem jest inaczej, że to, że tamto... A potem oczywiście te iluzje też się skończyły. Tylko kiedy się one skończyły, oto jest pytanie. Czy skończyły się już za Gomułki? Miałem taką przygodę, w '56 roku, jeszcze parę miesięcy przed październikiem: zostałem przyjęty przez Cyrankiewicza. On wiedział, że uczestniczę w jakiejś tam inteligenckiej rebelii, i zapytał mnie: czego wy chcecie? Jakie byłoby wasze żądanie? Było to pomiędzy Poznaniem a Październikiem. I ja wyłożyłem mu wtedy całą listę żądań, nie tylko własnych, ale tego o czym się w środowisku mówiło. Zażądałem, aby wyrzucić sowieckich generałów z wojska polskiego, i tak dalej, i tak dalej. I w październiku to się niby stało. Więc byliśmy jakoś usatysfakcjonowani, że niby Polska zaczyna odzyskiwać niepodległość. Tak to wyglądało. Mniej więcej w rok później, albo półtora roku, doszło już znowu do kolejnego konfliktu właśnie między tak zwanymi rewizjonistami a kierownictwem partii. Byłem na jakimś spotkaniu w KC, było tam więcej osób, zabrał wtedy głos Cyrankiewicz i powiedział: latem '56 roku był u mnie

Woroszyński i domagał się, żeby wyrzucić sowieckich oficerów, no, przecież myśmy to wszystko zrobili, czego wy jeszcze teraz od nas chcecie? I był szalenie rozgoryczony, że oto minął rok '57, a znowu jak gdyby jesteśmy w niezgodzie, my czegoś chcemy, kiedy oni uważali, że wszystko załatwili. A my widzieliśmy już wtedy, że zrobili nie tak wiele. I że jest jakoś nie tak. Ale właściwie poczucie, że ta Polska jest znowu kompletnie zgnojona i zsowietyzowana, uzyskałem dopiero później. W okresie Gomułki ciągle wydawało mi się, że mimo wszystko istnieje jakaś swoboda, jakaś własna polityka, coś takiego. Właściwie dopiero pod koniec Gomułki i za Gierka poczułem, że nie ma nic.

TRZNADEL: — *A jeżeli chodzi o gruntowną zmianę stosunku do ideologii, do ideologii tej utopii zrealizowanej, jak mówi Heller, to kiedy to nastąpiło?*

WOROSZYLSKI: — To wszystko następowało jednak stopniowo. Wielkie rozczarowanie nastąpiło chyba na przełomie '57 i '58 roku.

TRZNADEL: — *Czy to było związane z jakimiś określonymi faktami politycznymi? Pamiętam, że dla mnie na przykład takim faktem niestychanie ważnym było rozstrzelanie Imre Nagy.*

WOROSZYLSKI: — Tak, oczywiście, dla mnie też, dla mnie to był ważny fakt, bardzo, ale chodziło także o to, co się po prostu u nas działo, to znaczy ten odwrót od Października. Zamiast żeby było coraz fajniej, zaczęło się znowu robić coraz poskudniej. Zamknięto „Po Prostu”, były parodniowe walki ze studentami w Warszawie, potem spacyfikowano redakcję „Nowej Kultury”. W grupie kilku kolegów nie zdecydowaliśmy się zostać w tym piśmie. Bo to nie było tak, że oni wyrzucili nas z redakcji. Oni tylko mianowali nowego redaktora naczelnego, pozdejmowali nas ze stanowisk, ale proponowali pozostanie w redakcji o nowej linii politycznej, bardziej zgodnej z linią partii. Wtedy wyszliśmy. To byli Kołakowski, Wirpsza, Konwicki, Marian Brandys, Wilek Mach, Ścibor-Rylski, Piórkowski i ja. Takie to było towarzystwo. W partii z tego wszystkiego został do dziś Piórkowski. Jest przecież w tej chwili pierwszym sekretarzem organizacji partyjnej Związku Literatów po obaleniu Wasilewskiego, ale oczywiście myślę, że on też, mimo że jest w partii...

TRZNADEL: — *To było wyjście z partii, czy wyjście z redakcji?*

WOROSZYLSKI: — Nie, wyjście z redakcji. Niektórzy z tych,

którzy wyszli z redakcji, nie byli w partii, Mach, Ścibor-Rylski, byli bezpartyjni przez cały czas. To nie miało wielkiego znaczenia, bo właściwie robili przez tamte lata to samo, co partyjni. My wyszliśmy z redakcji, ale właściwie było to już wyjście z tego *establishment'u* w ogóle, przecież od tej chwili ja już nigdy nie pracowałem na żadnym etacie, nie byłem w żadnej redakcji, nigdzie. Od tej chwili zaczęły się te pierwsze łagodne represje, właściwe reżimowi PRL, to znaczy wtedy po raz pierwszy nie dano mi paszportu, tego typu głupstwa. Różne trudności publikacyjne, na większą skalę, bo przecież i przedtem cenzura coś skreślała. I właściwie ja się poczułem już w tej chwili kimś poza tym wszystkim, ale nadal byłem formalnie członkiem partii i podobnie było z moimi kolegami. To trwało jeszcze, bagatela, do 1966 roku. Myśmy dopiero w '66 roku wyszli z partii, zresztą w większej już grupie niż z redakcji „Nowej Kultury”.

TRZNADEL: — *Czy może pan uzasadnić dlaczego tak późno? Pytam, bo istniało zjawisko, które określiłbym jako pewien rykoszet wallenrodyzmu. To wszystko jest złe, ale tylko będąc tu, czy w tym, możemy jeszcze coś zdziałać, naprawić. W 1966 roku wyjechałem na długo do Francji i tam z perspektywy przemyślałem bardzo wiele rzeczy i zrozumiałem, że wallenrodyzm jest szkodziwy.*

WOROSZYLSKI: — Tak, to istniało rzeczywiście, i używało się takiej argumentacji: właściwie dlaczego my mamy wyjść z partii, a tamci mają zostać? To jest nasze, raczej my zostaniemy, a oni niech wyjdą. Oni się oczywiście nie kwapili, ale... Nam się parokrotnie zdawało, że pozostanie w partii ma pewien sens. Na przykład, kiedy po liście trzydziestu czterech partia organizowała anty-list, a my odmawialiśmy podpisów pod tym anty-listem i brali nas na pranie mózgów do KW, do KC. Zdawało się, że to ma pewne znaczenie, że w partii jest taka grupa ludzi, którzy odmawiają, którzy manifestują inne stanowisko. Potem to samo było przy historii z biskupami polskimi i ich „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, kiedy my znowu odmówiliśmy udziału w kampanii przeciwko biskupom i przeciwko Kościołowi. Człowiek miał tę satysfakcję, że odmawia, jest w tym, a jednak odmawia. Pamiętam też zebranie w Związku Literatów w sprawie kary śmierci, kiedy zgłoszono rezolucję przeciwko karze śmierci. Zabrał wtedy głos Słonimski i powiedział, że on rozumie, że koledzy partyjni nie będą mogli głosować za rezolucją przeciwko karze śmierci, bo ich pewnie obowiązuje dyscyplina partyjna i tak dalej, więc on z góry rozgrzesza. Mnie to wtedy strasznie

zabolało, zabrałem głos i ofuknąłem go, powiedziałem, że z jakiej racji, że ja właśnie jestem członkiem partii i będę głosował przeciwko karze śmierci. Więc wydawało się, że to wszystko ma jakieś znaczenie, że można w tym istnieć i zgłaszać sprzeciw.

TRZNADEL: — *Ulepszać?*

WOROSZYLSKI: — A przynajmniej, jeśli nie ulepszać, to podważać, coś manifestować, jakieś odrębne stanowisko. Na zjeździe krakowskim literatów, chyba w '64 roku, może '63, próbowaliśmy wejść do zarządu głównego. I nasze kandydatury zostały zgłoszone. Wtedy zrobiono wielkie nocne posiedzenie członków partii, obecnych na zjeździe. I tam Starewicz, i jeszcze ktoś, niszczyli tych członków partii, którzy wbrew woli kierownictwa partii usiłowali wejść do władz Związku Literatów Polskich. Tłumaczono, że to nie są ci członkowie partii, którzy mają wejść do władz związku, partia innych ludzi wysuwa, i tak dalej. Podobnych spraw było mnóstwo. I tak płynęły tam te lata. Jednocześnie coś się pisało, oszukiwało cenzurę... A potem już nie można było dłużej, to było nie do wytrzymania. Odczuwam to w ten sposób, że właściwie już pomiędzy '58 a '66 rokiem, będąc jeszcze w partii, właściwie duchowo byłem poza nią. A jednak nie zdobywałem się na wyjście z partii, co więcej, miałem nawet za złe tej grupie ludzi, którzy w związku z zakazem pisma „Europa” — to byli Ważyk, Jastrun, Andrzejewski, Hertz, Żuławski, duża grupa naszych nieco starszych kolegów — wyszli wtedy z partii.

TRZNADEL: — *Kott?*

WOROSZYLSKI: — Być może jeszcze Kott. Oni podjęli wtedy taką decyzję. Także historia trochę pokoleniowa, bo oni wszyscy byli starsi. Myśmy wszyscy byli młodszy i zdawało się nam, że właściwie to nie w porządku, że oni wyszli, bo teraz my będziemy słabsi na terenie organizacji partyjnej, będziemy w mniejszości. Ale jednak my zostaniemy i będziemy walczyć, robić swoje. Nawet w ogzekutywie — ja zresztą do egzekutywy nie należałem, Braun należał. O ile pamiętam, w pewnym okresie Lenart był pierwszym sekretarzem, a Braun był drugim sekretarzem, i toczyły się straszliwe walki między dwoma sekretarzami organizacji partyjnej, w których oczywiście Braun w żaden sposób nie mógł zwyciężyć. Ale to się toczyło.

TRZNADEL: — *Ja nawet pamiętam taką rozmowę z Janem Kottem, który powiedział: my wyszliśmy z partii, ale wy, młodzi,*

zostańcie. To było po rozstrzelaniu Imre Nagy. Bo ktoś musi zostać. Prawdopodobnie takie prądy istniały...

WOROSZYLSKI: — Było tak, że kiedy jakieś tam skrzydło organizacji partyjnej — to wąpiące, protestujące — przestawało istnieć, to potem się odradzało. Wiem, powtórzono mi, że kiedy myśmy wyszli, to na jednym z pierwszych zebrań, kiedy nas już nie było zabrał głos Jan Gerhard i powiedział: no, nareszcie jesteśmy sami swoi. Biedny nie wiedział, że za parę lat sami swoi go zabiją. Ale nie wiedział także, że taka jedność jest niemożliwa, bo to skrzydło znowu się po pewnym czasie pojawiło i miało swój głos w organizacji partyjnej. Oczywiście ostatnio wyrzucono Bratkowskiego z partii, przypuszczam, że nie jego jednego, być może kogoś wyrzuca z partyjnej organizacji literatów, może Grześczaka, może właśnie Piórkowskiego, ale to się i tak będzie musiało odrodzić, bo takie jest po prostu prawo życia.

TRZNADEL: — *Ja myślę, że to było dojrzewanie do zrozumienia, że z partii należy wyjść nie tylko aby zaprotestować, ale i dlatego, że sama idea rządów jednej partii kierowniczej jest fałszywa i nie należy w tym brać udziału.*

WOROSZYLSKI: — Zrozumienie tego dojrzało u nas jakby wcześniej.

TRZNADEL: — *Chciałbym panu zadać osobne pytanie. Ja osobiście uważam tamte lata za swoją klęskę, intelektualną przede wszystkim, że nie dorosłem do zgromadzenia i zrozumienia pewnych informacji, z których płynęły wnioski moralne i życiowe. Ta młodzież była zresztą odcięta od normalnego wykształcenia już od wojny. Andrzejewski powiedział, że nie żałuje, że wystąpił z partii, ale też nie żałuje, że w niej był. Jak pan to widzi u siebie?*

WOROSZYLSKI: — No, ja też tego nie żałuję, jak Andrzejewski, że tam byłem, nie żałuję, bo jednak zupełnie niechcący, ale jakieś doświadczenia nagromadziłem i jako rozegrałem tę swoją biografię. Gdybym od początku był poza tym wszystkim... nie wiem, nie czułbym się dzisiaj sobą, jak gdyby coś takiego... Poza tym właśnie tam spotkałem ludzi ważnych w moim życiu, częściowo czy też w znacznej mierze. Właściwie moje główne przyjaźnie pochodzą jednak stamtąd. Wszyscy ci ludzie podobnie jak ja są dziś poza partią, ale ja sobie cenię, że przeżyłem życie jednak z gronem tych ludzi, to na pewno.

TRZNADEL: — *A kultura polska? Czy gdyby intelektualiści*

polscy nie zgłosili tego akcesu, nie byłoby to lepiej dla kultury polskiej?

WOROSZYLSKI: — Nie wiem, to bardzo trudno... Wie pan, ja jestem naturą raczej emocjonalną i wydaje mi się, że i wszedłem w to na zasadzie pewnej temperatury emocjonalnej i na podobnej zasadzie wyszedłem, więc myślę, że było mi to po prostu przeznaczone.

TRZNADEL: — *Czy Polsce było to przeznaczone?*

WOROSZYLSKI: — W jakim sensie tak, to znaczy komuś, jakiejś warstwie czy grupie w Polsce było to przeznaczone. To było nie do uniknięcia. Ośmielam się nawet podejrzewać, że to co się stało w ostatnich kilku latach, to spektakularne odrzucenie przeszczepu komunistycznego przez Polskę, jakiego nie ma w żadnym innym kraju w tej postaci, ma różne źródła, różne wątki w tym się krzyżują, ale w jakiś sposób jest tu także i wątek tej choroby, przez którą część tego społeczeństwa przeszła. Tak mi się wydaje.

TRZNADEL: — *Drugi raz nie chce się chorować, choroba wytworzyła anty-ciada...*

WOROSZYLSKI: — Tak, i po prostu to doświadczenie było gorące w Polsce, jakoś tam przeżyte. Nie wiem, jak to było w Bułgarii, czy w Czechosłowacji, może właśnie tam to się działo bardziej na chłodno, bardziej po prostu wyrozumowane, że tak musi być, nie ma co... Może nie... Czytałem ostatnio wywiady, które robi Hanna Krall, i zastanowiły mnie zwłaszcza jej wywiady z Goździkiem i Anną Walentynowicz. Z pewnym zdziwieniem uświadomiłem sobie, że Anna Walentynowicz to moja rówieśnica i współuczestniczka festiwalu w Berlinie w 1951 roku.

TRZNADEL: — *Ja też tam byłem.*

WOROSZYLSKI: — Właśnie, ja pana zresztą pamiętam z autobusu.

TRZNADEL: — *Tego szalonego, rozpędzonego autobusu?*

WOROSZYLSKI: — Tak, tak. Coś w tym jest, że to pokolenie przeszło przez ten autobus. I przeszło, i jednak odeszło. Albo inny mój rówieśnik, Tadeusz Mazowiecki, który nigdy nie był w partii, ale był w PAX-ie. Przecież to jest jakaś droga z tego PAX-u, przez „Więź”, do stanowiska redaktora naczelnego tygodnika „Solidarność” i doradcy Wałęsy. Jeżeli jest tak, jak myślę, a wyda-

je mi się, że to jest do przesłedzenia, to kultura polska nie tylko została ugodzona przez te ówczesne akcesy, ale może coś na tym zyskała. Może po prostu coś się stało, co ją jakoś impregnowało, nastąpiło coś takiego, że ona wyszła z tego ognia dojrzała i bardziej zdolna do sprzeciwu, do oporu.

TRZNADEL: — *To by znaczyło też może, że akces tych ludzi odbywał się z innych pozycji, a więc w jakoś innej sytuacji, tradycji, niż w innych krajach bloku wschodniego, skoro cała znacząca elita doszła do dzisiejszych rezultatów. Ale czy nie warto byłoby się zastanowić, gdzie byli i gdzie są ludzie, którzy wtedy mówili: nie. Tacy przecież też byli. Odcinano nas od nich. Pamiętam, że gdy przyjechałem z Wrocławia na dalsze studia do Warszawy w końcu 1951 roku, zwrócono mi w jakiś czas potem uwagę na organizacji zetempowskiej, że przyjaźnię się ze Zdzisławem Najderem. Pewni ludzie mieli zlecone zadanie opiekowania się właściwym rozwojem innych. Warszawa była zresztą o wiele gorsza niż Wrocław. Powiedziałem: dajcie mi święty spokój, przyjaźnię się z kim chcę. Jak to, powiedziano, ty nie wiesz, że to jest asystent tego burżuazyjnego filozofa, Tatarkiewicza? Byli więc ludzie, którzy nie weszli w ten krąg ideologii komunistycznej, i ciągle zastanawiam się, dlaczego jednak aż tylu ludzi aktywnych w kulturze zostało wessanych na pewien czas.*

WOROSZYLSKI: — To jest ciekawe, myślę że rzeczywiście byli ci, którzy mówili nie, dzięki Bogu, że tacy byli, dzięki Bogu, że te kontakty nie zostały zerwane, i że pan miał jednak tego swojego Najdera, każdy z nas kogoś takiego miał... Myślę, że były jednak różne predyspozycje, istnieli ludzie, którzy bardziej chcieli działać publicznie, coś spowodować, coś ugiąć. Chociaż wśród ludzi, którzy nie przeszli nigdy na tę ówczesną naszą stronę, był Zbyszek Herbert. Ja go zresztą wtedy nie znałem. Niestety.

TRZNADEL: — *Takich ludzi było trochę. Przypominam sobie zebranie naukowe na uniwersytecie wrocławskim, w roku 1949, kiedy jeden z kolegów powiedział: ja bym może przekonał się do marksizmu, ale nie pozwala mi teoria kwantów. Myślę, że tamte stanowiska też na nas oddziaływały, powodowały jakieś sprzężenia zwrotne, sprzyjały naszym zastanowieniom. Nie było więc determinizmu. A jeśli tak, to można by zadać takie mityczne pytanie: więc kto to zrobił? Kto to robił? Woroszyński, Borowski, czy jeszcze ktoś był nad nimi?*

WOROSZYLSKI: — Ja miałem wtedy poczucie, że to my robi-

my. Nie czułem się jakoś kierowany czy suflowany, pociągany za sznurek. Raczej budziło we mnie sprzeciw takie stawianie sprawy.

TRZNADEL: — *A Żółkiewski, Wazyk?*

WOROSZYLSKI: — Też to robili, myślę, że było dużo autorów tego wszystkiego, że to było wypadkową różnych działań, różnych intencji i charakterów. Czasem jeszcze teraz spotykam się z przeświadczeniem, że w komunizmie wszystko jest zaprogramowane, że gdzieś jest ten wielki mózg, który wszystkim rządzi. To jest nieprawda, moim zdaniem. Jeżeli nawet jest taki mózg, to nie udaje mu się wszystkiego zaprogramować, bo dzieje się różnie, następują różne, jeszcze inne działania. Więc w każdym razie myślę, że to my robiliśmy, i nie na zasadzie tego, że kazano.

TRZNADEL: — *A jak w tym wszystkim widzi pan literaturę? Z czym wyszła ona z tego okresu?*

WOROSZYLSKI: — Mnie się wydaje, że jedynym może szczęściem w tym wszystkim było to, że byliśmy bardzo młodzi, i że właściwie można uznać, że to nie jest bardzo ważne, co pisaliśmy przez te kilka lat młodości, bo to i tak nie mogło być dobre. To i tak musiało być w ten lub inny sposób niedojrzałe. Trzeba jeszcze zauważyć, że przecież ideologowie realizmu socjalistycznego nie byli zadowoleni z tego wariantu, który tworzyliśmy w Polsce. Zarzucali mu różne odchylenia. Pamiętam, że my na przykład uważaliśmy, że literatura powinna być dramatyczna, konfliktowa. W tym okresie w Związku Radzieckim widziano już realizm socjalistyczny zupełnie inaczej, już nie było na to miejsca. Najbardziej mi szkoda tych, którzy wcześniej już mieli lepsze rzeczy i którzy siebie złamali. Mówię przede wszystkim o Borowskim, bo mnie to nie dotyczy, ja przedtem nie zdążyłem napisać nic godnego uwagi, a to co wtedy pisałem było w końcu mało ważne. Wydaje mi się, że ludzie naszego pokolenia, jeżeli się zaczęli, to się zaczęli później, i po prostu należy uznać ten okres za nasze juvenilia.

TRZNADEL: — *Ale te juvenilia nie pozostały chyba bez wpływu na to, co było potem, bo chodziło o odejście, negację. Muszę powiedzieć, że dręczy mnie ta sprawa wolności wobec historii. A gdyby tych ludzi w opozycji, ludzi na nie, było więcej, ludzi nie tak zmęczonych? Była kiedyś taka rozmowa u Mirona Białoszewskiego na temat tego, co by się stało, gdyby w Powstaniu Warszawskim nie zginęła elita młodzieży, i zresztą nie tylko mło-*

dzieży — jak wyglądałby okres powojenny? Gdyby elita akowska przeżyła, nie przyłączyła się, a za nią poszli ci, którzy się przyłączyli? Oczywiście jest to wróżenie na temat historii. Może dałoby się coś więcej ocalić z tych lat, co poszły na marne? Wyraziłem taki pogląd, a na to usłyszałem odpowiedź kogoś z obecnych, że i tak większość zostałaaby wywieziona.

WOROSZYLSKI: — Ja się obawiam, że ocalenie tej elity było niemożliwe. Zostałaby zniszczona w ten czy inny sposób. Chyba tak.

TRZNADEL: — *Ja uważam, że tym co pozostali, nam, podawano niszczące środki znieczulające i dopingujące w drugim kierunku. Ale teraz chciałbym przeskoczyć w nowsze czasy. Wie pan, czasem myślę, że gdybym za pięćdziesiąt lat pisał historię literatury tego okresu i realizmu socjalistycznego, narastającego oporu wobec uzurpatorskiej władzy, symboliczną datą definitywnego zamknięcia tego okresu uczyniłbym może pojawienie się pierwszego numeru kwartalnika „Zapis”. To było wyjście z jakkolwiek kontrolowanego przez partię obiegu kultury. Czy w pana biografii i ludzi, którzy byli wokół tego pisma, nie stanowiło to ważnego momentu?*

WOROSZYLSKI: — Na pewno tak. Ja o tym myślałem już kilka lat wcześniej, żeby coś takiego zrobić, tylko jeszcze nie miałem takiego pomysłu. Pomysł pierwszy był taki, żeby zacząć wydawać zagranicą.

TRZNADEL: — *To już było.*

WOROSZYLSKI: — Tak. Ale jednak Kisiel wydawał pod pseudonimem, natomiast mnie się roziło, żeby jakaś grupa ludzi manifestacyjnie zaczęła tam wydawać, grupa z kraju. Rozmawialiśmy o tym z kolegami. A potem zaczął się wykluwać pomysł z „Zapismem”. I to było „to”, oczywiście. Ale tego myśmy nie wymyślili, to wymyślili młodszy od nas, którzy nam to podszeptali.

TRZNADEL: — *Czyli jakby potrzebne było dojście do głosu jeszcze jednego pokolenia, które miało zupełnie inne doświadczenia.*

WOROSZYLSKI: — I które pełne było energii, żeby działać, robić. Kiedy ci młodszy koledzy przyszli do mnie z propozycją, żeby coś takiego zrobić, natychmiast się zgodziłem i zrobiliśmy to. W „Zapisie” znalazły się różne pokolenia, starsze od nas, młod-

sze od nas, ale to nie ja go wymyśliłem. Ja natomiast wymyśliłem nazwę: Zapis.

TRZNADEL: — *To bardzo dobra nazwa, funkcjonująca dodatkowo wobec terminu znanego z cenzury. Ale interesuje mnie sprawa młodszy pokolenia, którą pan poruszył. Między innymi sprawa poezji tak zwanej Nowej Fali. Oczywiście, są to różni autorzy, ale uważam, że poezja ta jako całość ma także pewną słabą stronę. Można by ją nazwać częstym ograniczeniem się do powierzchownej politycznej doraźności, bez jakiegoś moralnego pogłębienia. I zapytuję siebie, czy nie odbiły się tutaj pewnym rykoszetem, z innych zupełnie pozycji, pewne doświadczenia starszy kolegi i tak zwanej zaangażowanej poetyki realizmu socjalistycznego, jako odruch imitacyjno-przeciwstawny?*

WOROSZYLSKI: — Jest coś prawdziwego w tym, co pan mówi, tylko mnie się wydaje, że to jest już niezupełnie aktualne. Sądzę, że Nowa Fala w tej postaci przestała istnieć i wyłoniły się pewne indywidualności. Ich twórczość z ostatniego roku, czy dwu lat, już nie da się tak scharakteryzować. Krynicki to już jest coś innego, jest to moim zdaniem głęboki i świetny poeta, Zagajewski, to też jest już coś innego, i Barańczak — również jako badacz i tłumacz, po prostu nie ma już Nowej Fali.

TRZNADEL: — *Czyli że nastąpiło jeszcze jedno przewyżczenie pewnej formy, już tylko estetycznej, i obecnie definitywnie zamykałby się tamten okres, tak w końcu złożony, o którym mówiliśmy...*

WOROSZYLSKI: — Chyba tak.

TRZNADEL: — *Nagrywaliśmy 21 października 1981 w Paryżu.*

WOROSZYLSKI: — A m e n.

WYGONIENIE DIABŁA BELZEBUBEM CZYLI ARTYSTA IZOLOWANY W STALINOWSKIM GETCIE

Rozmowa z Witoldem Wirpszą
(8 maja 1983)

TRZNADEL: — *Wydaje mi się, że rozmowa o tamtej epoce może okazać się ważna nie tylko dla ewentualnych późniejszych czytelników, ale i dla nas, rozmawiających. Pewne rzeczy ukazują się jaśniej.*

WIRPSZA: — Chciałbym się tutaj powołać na mój artykuł w „Kulturze” paryskiej, gdzie odpowiadałem Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu i Jackowi Bierezinowi właśnie na temat kościotrupa w szafie — że każdy powinien napisać o kościotrupie w szafie. Nie będę teraz do tego wracał, bo tekst jest i można do niego zajrzeć. Z tym, że zrobiłem to na analizie tekstów własnych, bez próby emocjonalnego spojrzenia. Ale na pewno jest jakieś emocjonalne spojrzenie, chociażby dlatego, że mam temperament. W mojej sprawie więcej niczego mądrego powiedzieć nie potrafię. Natomiast ponieważ piszę książkę o historii literatury polskiej po 1945 roku, dla mnie problem jest następujący: w jaki sposób do stalinizmu dołączyli ludzie z najrozmaitszych parafii?

TRZNADEL: — *I tak szerokim frontem...*

WIRPSZA: — I tak szerokim frontem. Co się tam właściwie stało? Staram się to troszeczkę uporządkować i widzę następujące zagadnienie: pierwsze, to są oczywiście lata czterdzieste, czyli wygonienie diabła Belzebubem. Nie zorientowano się, że Belze-

bub jest prawdopodobnie gorszy od diabła, którego wypędzono, na ogół ja też byłem chyba tego samego mniemania, uważałem, że czegoś gorszego od hitleryzmu być nie może. Po Oświęcimiu, po tych wszystkich innych historiach. Poza tym inteligencja polska w czasie okupacji w Polsce niewątpliwie „zradykałizowała się” w dosyć dużym stopniu. To na przykład, co pisze Miłosz o swoim „ukąszeniu heglowskim”, jest jedną z tych spraw. To że on przyjął posadę urzędnika państwowego też należy do tych spraw, to jest ukąszenie heglowskie. Bardzo to moim zdaniem zrzeczne określenie.

TRZNADEL: — *Ale w stosunku do siebie nie za dużo o tym mówi.*

WIRPSZA: — To się u niego powtarza kilka razy: w *Ziemi Ulro*, w *Ogrodzie nauk*, ciągle o tym mówi. Mówi o sobie, od czasu studiów na uniwersytecie wileńskim aż po okres warszawski, o wpływie Krońskiego, tych wszystkich rzeczach, on o tym mówi...

TRZNADEL: — *Czy można ci zadać takie pytanie? Ta radykalizacja podczas okupacji dokonywała się dlatego, że pierwsze szczepienia, że tak powiem, odbyły się już w latach trzydziestych...*

WIRPSZA: — Przed wojną...

TRZNADEL: — *We wczesnym tekście publicystycznym z początku lat trzydziestych, w dosyć brutalnych sformułowaniach Miłosz wypowiada się jakby w duchu realizmu socjalistycznego, zadekretowanego w Związku Sowieckim niewiele później.*

WIRPSZA: — Nawet tak daleko... Ale ja coś takiego też w nim wyczuwałem cały czas. Skończyło się to *Umysłem zniewolonym*, ale on tam ma *residua* myślenia dialektycznego typu Hegel-Marks. Na pewno ma. Zresztą teraz niedawno mówiąc o Andrzejewskim w radio Wolna Europa wypowiedziałem zdanie, że coś, te pięćdziesiąte lata to był okres, kiedy Miłosz lizał ranę po ukąszeniu heglowskim. Więc pierwsza sprawa: diabeł — Belzebub. Druga sprawa to „radykalizacja” inteligencji polskiej w latach trzydziestych, która się jeszcze pogłębiła w czasie okupacji. Tym bardziej, że komuniści wystąpili z programem reform społecznych, które większość ludzi w Polsce, nawet liberałów, uznawała za bardzo potrzebne, jak to reforma rolna, sprawy szkolnictwa, nacjonalizacja kluczowych przemysłów i tak dalej. Tutaj nie było nawet oporu, to weszło jak w masło. No i potem zaczęła się głębsza

historia. Teraz trzeba sobie pomyśleć: Andrzejewski z jednej strony, mówię w tej chwili o starszych, Ważyk, przedwojenny komunista, ciągnął dalej swoją śpiewkę...

TRZNADEL: — *Nie wiem, czy przed wojną był w partii...*

WIRPSZA: — Ale komunizował. Tak samo wielu innych. Kruczkowski, jest rzeczą oczywistą, był w partii przed wojną. Ale skąd na przykład w partii wziął się Przyboś, jest to dla mnie zagadką nie do rozwiązania. Tym bardziej, że on absolutnie na socrealizm nie poszedł, na socrealizm jako zespół środków wyrazu.

TRZNADEL: — *Pisywał jednak „konstruktywne” wiersze „wiosenne”, wielbił nową pracę...*

WIRPSZA: — To było coś innego, to chłopskie! Jego orający brat, on sam pracujący na roli, to są jego wspomnienia częściowo dziecinne, częściowo z okresu wojny, kiedy uciekł przed hitlerowcami na wieś do brata i tam po prostu pracował na roli. To nie ma nic wspólnego z socjalizmem ani z jego środkami wyrazu. Po co on siedział w tej partii, nie wiem. Skąd się tam wziął Jastrun, jest dla mnie absolutną zagadką, wielbiciel Hölderlina i Rilkego... Poetycko zależny od nich, są ich wpływy.

TRZNADEL: — *Ale w czasie okupacji zbliżył się do PPR.*

WIRPSZA: — Tu jest sprawa zespołu „Kuźnicy”, która odegrała potem bardzo dużą rolę...

TRZNADEL: — *Też. Ale mówił mi Jastrun, już świętej pamięci, że w czasie okupacji w Warszawie żona Miłosza: „nie pozwalała mu spotykać się ze mną, ze względu na to, że uważała, że ja mam przekonania prokomunistyczne”. Czyli, jak powiedziałaś, już w czasie okupacji to się krystalizowało.*

WIRPSZA: — Z tym że Jastrun pochodzi z zupełnie innej formacji. Oczywiście, tutaj odegrał bardzo ważną rolę zespół redakcyjny „Kuźnicy”. Robił on niesłychane głupstwa od samego początku, Jan Kott i Kazimierz Brandys, i Żółkiewski sam, przede wszystkim, i Ważyk. Przy czym najłagodniejszy z nich wszystkich był Jastrun. Pamiętam obłąkany atak Kotta na Conrada, jego teżą było — jeśli sobie dobrze przypominam — że Conrad był ulubioną lekturą młodzieży akowskiej, młodzież akowska była faszyzująca, ergo — Conrad był prefaszystowski. Z tych samych pozycji uderzył w *Popiół i diament*, powiadając, że Andrzejewski

napisał dramat postaw moralnych, a to jest niesłuszne, ponieważ chodzi o socjologiczną koncepcję losu ludzkiego („Kuźnica” stworzyła sobie koncepcję prozy, która jest wyraźnie wstępem do socrealizmu). „Kuźnica” miała duże poparcie partyjne, jako że sam Żółkiewski to poparcie partyjne. Wtedy stworzył się pierwszy bardzo ostry konflikt pokoleniowy, myślę w tej chwili o Borowskim. Po opowiadaniach oświęcimskich Borowskiego, które oczywiście nie miały nic wspólnego z socrealizmem, Żółkiewski napisał, wymieniając nazwisko Céline’a, które wtenczas było wiadomo czym, że w tych opowiadaniach Borowski faszyzuje. Wręcz. A Jastrun napisał o Różewiczu: Eluard w butach z cholewami... Trzeba sobie przypomnieć, co to wtenczas było w czterdziestych latach. Trzeba sobie też przypomnieć odpowiedź Dąbrowskiej na esej Kotta. Dąbrowska była za Conradem. Andrzejewski był cały czas pod wielkim wpływem Conrada. W gruncie rzeczy w *Popiole i diamentie* tę rzecz widać.

TRZNADEL: — *Swoście. Również i w opowiadaniach okupacyjnych.*

WIRPSZA: — Przyszli też bardzo młodzi ludzie, jak Woroszyński czy Kołakowski. To jest zupełnie inna sprawa. Oni przyszli nieuforni i ulegli czemuś tam, co mi jest trudno w tej chwili określić, oczywiście każdy inaczej. Jeszcze za istnienia „Odrodzenia”, w 1950 roku, Woroszyński napisał artykuł *Batalia o Majakowskiego*. To co go łączy z Różewiczem, to jest moim zdaniem bardzo interesujące, to nieufność do zastanego języka. Że w tym języku dzisiaj nie można już pisać. Tu chodziło o „Skamandra” i tak dalej. Atak był wymierzony w poetykę „Kuźnicy” — Pawła Hertz, Jastruna w ukryciu — nazwisko Jastruna zdaje się tam nie pada — bardzo się dostało Sewerynowi Pollakowi. Pamiętam taką moją rozmowę z Różewiczem w latach czterdziestych, kiedy Jastrun wydał tomik pod tytułem *Rzecz ludzka*. Po lekturze tego tomiku Różewicz powiedział mi na spacerze w lesie — mieszkalem wtedy w Szczecinie, a właściwie pod Szczecinem, w lesistej okolicy nad jeziorem — że, właściwie, czego chcesz, wysrać się to też rzecz ludzka. Tak że tam były nienawiści wręcz. Z tym, że Różewicz w gruncie rzeczy nigdy do socrealizmu nie należał, też się wykręcił.

TRZNADEL: — *Ma jednak wiersze bardzo nawet śmieszne z dzisiejszego punktu widzenia, powtarzające slogany o dobroczynności komunizmu, o robotniku, który śrubkę podnosi...*

WIRPSZA: — Były takie rzeczy u Różewicza, który poetyki nie

chciał jednak zmienić, to było tak samo jak u Przybosa. Chcieli jakoś doszlusować. Przybós chyba nawet nie doszlusował w sensie ideologicznym. Pamiętam jeden z jego najpiękniejszych wierszy z 1946 roku *Słowo o jeziorze Szczyrbskim*. Jest to opis widoku tego jeziora w Tatrach po słowackiej stronie, widzianego z okna samolotu. Czysty Przybós, jak iza. Oczywiście to nic nie ma wspólnego z jakimkolwiek stalinizmem, socrealizmem. Ale też wszedł do partii.

TRZNADEL: — *Chciałem jeszcze na chwilę wejść w tok twojego wywodu. Ważne są także pytania, które stawia teraz młode pokolenie, między innymi takie: jak właściwie mogli pisarze, którzy zaczęli się już kształtować w dwudziestoleciu międzywojennym — Andrzejewski, ale i Dąbrowska, ale i Nałkowska, potem Breza, Kott, Żółkiewski, z ich wiedzą o Związku Sowieckim, o procesach moskiewskich i o wszystkim, wszystkim innym, Adolf Rudnicki — jak to właściwie tłumaczyć, że ta linia literatury polskiej, bo i Tuwim, i Jastrun, i Ważyk...*

WIRPSZA: — Słonimski nawet...

TRZNADEL: — *Autor brutalnej napaści na Miłosza potem w latach pięćdziesiątych... Jak to jest możliwe, za jaką cenę, godzili oni swoją postawę ze swoją wiedzą o Związku Radzieckim? Dlaczego to się właściwie stało? Jak te dwie prawdy mogły obok siebie funkcjonować? Bo to przecież pociągnęło młodych...*

WIRPSZA: — To pociągnęło młodych. Bo był tam jeszcze trzeci element, to znaczy element stadności, która się raptem obudziła we wszystkich. Szukam wspólnego mianownika i nie mogę go znaleźć. To był na przykład talmudyzm jak u Ważyka, który napisał zresztą w okresie stalinizmu bardzo ciekawą pracę o wersyfikacji Mickiewicza.

TRZNADEL: — *Powiedział mi niedługo przed śmiercią, że ta książka jest zupełnie bezsensowna.*

WIRPSZA: — Nie wiem, czy jest bezsensowna. Miałem ją w ręku kilka lat temu, kryje się za tym podtekst, a podtekst jest następujący, mianowicie nacjonalistyczny. Sylabotonizm nie, bo sylabotonizm jest rosyjski, czego on oczywiście nie napisał. Polski język jest głównie sylabiczny, ewentualnie toniczny, ale nigdy sylabotoniczny.

TRZNADEL: — *Ale tonizm nie jest rosyjski?*

WIRPSZA: — A gdzie go nie ma, w jakim języku nie ma tonizmu? Bzdura przecież. No i zatrzymał się na Mickiewiczu, jako na wielkim wzorcu. Zaczął od kroku czarnoleskiego i skończył na Mickiewiczu, powiedział, że potem to się psuło. Słowacki zepsuł, Norwid zepsuł, Młoda Polska psuła, właśnie sylabotonizm i te wszystkie historie. Że właściwą stopą polskiego wiersza jest peon trzeci... Że w żadnym wypadku jamby...

TRZNADEL: — *Mnie powiedział, że teraz dopiero odkrył tajemnicę, że ją ma...*

WIRPSZA: — Co dla mnie jest ciekawe: mianowicie w swojej teorii języka polskiego Miłosz zatrzymuje się także na Mickiewiczu. Uważa, że to jest spełnienie, że potem wszystko zaczęło się psuć. Nie z tych powodów, o których mówi Ważyk, z innych powodów, ale też tutaj dla niego jest ten próg, którego nie należy przekraczać. Tak, ale czy znów nie ma tam tego piekielnego ukąszenia heglowskiego?

Dlaczego starsi? Bardzo ciekawe są dwie wypowiedzi Janka Kotta. Pierwsza, w mojej prywatnej z nim rozmowie w Berlinie, kiedy przyjechał, zresztą na krótko, i ja się go wręcz zapytałem: po coś ty te wszystkie głupstwa pisał? To on mi odpowiedział bardzo prosto, w co nie wierzę: bo się bałem. Ja sobie tak myślę: atakować Conrada dlatego, że się bał? Czego?

TRZNADEL: — *To jest nowa mistyfikacja...*

WIRPSZA: — Nowa mistyfikacja. Bo się bałem. Po pierwsze, on był w zespole, który się wtedy niczego bać nie potrzebował. W 1945 roku napisał ten artykuł.

TRZNADEL: — *Żył wtedy bezpiecznie, potem dostał katedrę literatury we Wrocławiu i mógł dobrze tam funkcjonować.*

WIRPSZA: — To było pierwsze, a drugie: dwa czy trzy lata temu, bodaj w „Więzi” ukazała się jego wypowiedź na ten temat: powiedział, że to zdecydowała wojna hiszpańska. On był wtenczas we Francji, o ile wiem, w nowicjacie.

TRZNADEL: — *Breza też.*

WIRPSZA: — Jerzy Andrzejewski — katolicki, a Dembiński w Wilnie zaczął od katolicyzmu, a potem się zradycalizował we Francji.

TRZNADEL: — Zważywszy że ich więzi z katolicyzmem były nikłe, uderza przede wszystkim potrzeba wiary...

WIRPSZA: — Ale przecież nie u Jarosława Iwaszkiewicza, ale przecież nie u Tadeusza Brezy. Nie myślę, żeby on siedząc w nowicjacie był człowiekiem naprawdę wierzącym w sensie głębokim. To był katolicyzm uprawiany na zimno, spekulatywny.

TRZNADEL: — Jako forma środowiska zamkniętego... Tak. A gdyby przeskoczyć teraz do wspomnień, czasem wspomnienia są rewelujące. Pokolenie lat dwudziestych. Czy wy wtedy, mówię wy...

WIRPSZA: — Pokolenie lat dwudziestych...

TRZNADEL: — Jaki był obecny kontekst racji przeciwstawnej: zbrodnie reżimu sowieckiego, perspektywa polityczna dla Polski, ograniczenie wolności, na ile to było uświadomione, dyskutowane, z wnioskiem: wybieramy co innego, chociaż wiemy. Jak to funkcjonowało wtedy?

WIRPSZA: — Ta druga strona medalu chyba nie funkcjonowała. Chociaż — przypominam sobie, to był chyba koniec lat czterdziestych, czytaliśmy na spółkę z Tadeuszem Różewiczem, po niemiecku, wtedy bardzo się z nim przyjaźniłem, czytaliśmy wspólnie *Orwella Rok 1984*, którym Tadeusz był zafascynowany*. Czyli Różewicz coś wiedział. Przyznam się szczerze, te niepokoje były i we mnie.

TRZNADEL: — A na przykład, czy mówiliście o takiej sprawie bardzo konkretnej, jak Katyń? Jak się taką sprawę rozwiązywało?

WIRPSZA: — Staraliśmy się wierzyć, że wersja sowiecka, że to zrobili hitlerowcy, jest prawdziwa, ponieważ wychodziliśmy z założenia, że oni mogli to zrobić. I wiadomo, że mogli.

TRZNADEL: — Adolf Rudnicki w Majorze Hubercie z armii Andersa twierdził wprost, że to na pewno zrobili Niemcy.

WIRPSZA: — Bezpośrednio po przeżyciach wojny w takie rzeczy się nawet wierzyło. Że to mogli zrobić hitlerowcy.

TRZNADEL: — Tak, ale oprócz tego, na naszych — jestem tro-

* Pierwsze, angielskie wydanie książki *Orwella* ukazało się w 1949 roku.

chę młodszy — czy waszych oczach, ludzie przecież znikali, byli rozstrzeliwani. Jak sobie z tym pokolenie dawało radę?

WIRPSZA: — Sądzę, że nie pokolenie sobie z tym dawało radę, tylko dawano sobie radę z pokoleniem, mianowicie polityka władz komunistycznych szła w tym kierunku, żeby już wtenczas tworzyć izolację, wyizolowane getta. I ja na przykład osobiście nie spotkałem się ani z jednym takim wypadkiem, że ktoś zniknął.

TRZNADEL: — To tak jak Norwid pisał, pamiętasz, że powiadała pewna pani domu, że rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje.

WIRPSZA: — To coś w tym rodzaju, i przypuszczam, że nam to zorganizowano. To wszystko. Ten cały związek literatów zorganizowano w ten sposób, że żyliśmy w getcie, żyliśmy ze sobą, siedzieliśmy w tych samych kawiarniach, piliśmy wspólnie wódkę. Ja na przykład nie piłem nigdy wódki z robotnikiem. Albo z chłopem w czasie afery gryfickiej.

TRZNADEL: — Ale wiadomo było, że jednak są procesy akowskie, że zsyłki, wywózki...

WIRPSZA: — Z tymi wywózkami to nie bardzo wiedzieliśmy. Procesy akowskie i inne — tośmy wiedzieli, bo w prasie było. Sądzieliśmy, że to są wyniki walki politycznej. To znaczy, że jednak Zachód stara się to wyłamać i że państwo komunistyczne zaczyna stosować terror rewolucyjny, te koncepcje, które zresztą przyszły z Francji.

TRZNADEL: — Czyli ukąszenie marksistowsko-begłowskie, jad działał. Ale ja pamiętam, że w roku 1949, gdy zdawałem maturę, mój kolega z tej samej ławki szkolnej, Jasio, pochodzący ze Lwowa, a którego ojciec był wysokim dygnitarzem wówczas i potem, zadał na lekcji bardzo kłopotliwe pytanie. Przychodzili do nas wtedy na lekcje wychowania politycznego tacy podchorążowie i Janek, który był przekorny, wstał i powiedział: Panie podchorąży, niech nam pan wytłumaczy sprawę torturowania w piwnicach lwowskich patriotów polskich przez NKWD. Podchorąży zbladli i wyszedł z klasy.

WIRPSZA: — Miało się kolegów w szkole, którzy nie należeli do getta... Podczas kiedy my, którzy mieliśmy wtedy po dwadzieścia parę lat, już zostaliśmy wsadzeni do getta. Kisiliśmy się we własnym sosie i to nas w jakiś sposób izolowało. Pod koniec

lat czterdziestych do Szczecina przyjechał znowu Różewicz, po jakimś pobycie na Węgrzech. I śpiewał hymny na cześć Rakosiego, że to taki ojciec narodu. *Pater patriae*. Przypuszczam, że mówił to szczerze. Nie sędzę, żeby kłamał.

TRZNADEL: — *Ale wcześniej jest straszne porażenie okupacją, tak że tonący pookupacyjny Różewicz chwycił się brzytwy, czegoś co miało być lepsze...*

WIRPSZA: — Chwycił się Belzebuba, bo diabła wygnano. To jest to. Gorzej być nie może. Wtenczas miliony ludzi gazowano w Oświęcimiu, a tutaj garstka ludzi podlega torturom, no jakżeż to można porównywać ze sobą.

TRZNADEL: — *Tortury, żeby się tamto nie powtórzyło? A wiedza o Związku Sowieckim, o procesach, o tych biednych chłopach ukraińskich, których parę milionów zginęło w latach trzydziestych, to tego nie było?*

WIRPSZA: — W naszym pokoleniu nie było. Tego problemu. Stawar nie wycofał swego podpisu z protestu przeciw procesom, Kruczkowski wycofał. Chociaż zrobiono gest w stosunku do środowiska, Stawar miał prawo publikować pod pseudonimem swoje tłumaczenia, żeby miał z czego żyć. Sędzę, że tym człowiekiem, który to wszystko prowadził był Berman. Jemu podlegało bezpieczeństwo i kultura, to sprzężenie było bardzo interesujące w owym czasie.

TRZNADEL: — *Ważyk mi powiedział, że po latach Berman płakał wspominając tamte czasy. Ale nie było wyraźne, dlaczego.*

WIRPSZA: — Niech *coram publico* wystąpi z tym, jeszcze żyje.

TRZNADEL: — *No dobrze, a kiedy zaczęło się poczucie, że coś dusi, co trzeba zrzucić?*

WIRPSZA: — Ściśle mówiąc stalinizm w literaturze polskiej panował od roku 1950 do 1953. To był ten ścisły stalinizm. W roku 1950 nastąpiło połączenie pism „Kuznicy” i „Odrodzenia”. Przetoczyła się sprawa Tity-Gomułki, nastąpiła nowa fala terroru w Związku Radzieckim i, co jest niewątpliwe dla mnie, cała fala antysemityzmu. Poruszyło nas to już, pamiętam, w 1949 roku. Zaczęła się walka z „kosmopolityzmem”. Kupiłem w kiosku „Krokodila” z karykaturami, które mogłyby się znaleźć w „Stürmerze”. Czyli nawet wtenczas coś zaczęło

drgać. Pamiętam, że byłem absolutnie zaszokowany tym numerem „Krokodila”. Pokazałem to Woroszyłskiemu, który mieszkał na tej samej ulicy w Szczecinie. Też był zaszokowany. 1950 rok, połączenie pism, sprowadzenie „Twórczości” do Warszawy, to wszystko były zabiegi, które miały scentralizować. Jeszcze większe zawężenie getta... W końcu coś się zaczęło dziać, na przykład ze mną. Byłem wtenczas na wakacjach w Krynicy na leczeniu, miałem jakąś zapaść, lekarze wysłali mnie do Krynicy. I wtenczas akurat nastąpiła śmierć Berii, to było latem 1953 roku, wydało mi się, że coś jest grubo nie w porządku. Napisałem wiersz *List o sumieniu*. O zakłamaniu. Ten wiersz wydrukowano mi w „Nowej Kulturze” na pierwszej stronie. Była jakaś krótka chryja ale w dwa lata później Ważyk napisał swój poemat, który to wszystko przyćmił. A jeszcze Leon Pasternak, przedwojenny prawdziwy komunista, napisał w „Szpilkach” wiersz o „posłusznikach”, satyryczny. To już były te sygnały w 1953 roku, że coś się dzieje. Początek odwilży to jest koniec 1953 roku.

TRZNADEL: — *Co było wtedy wiadomo?*

WIRPSZA: — No, to było przed słynnym przemówieniem Chruszczowa. Najbardziej wiadomo było, że jest jakieś wielkie kłamstwo. Na mój *List o sumieniu* odpowiedział dużym poematem Woroszyłski. Kiedy w 1954 roku Woroszyłski wrócił z Moskwy po studiach, już był na „nie”. Przypomnę jeszcze zebranie pisarzy partyjnych w Pałacu Staszica, którzy mieli osądzić Ważyka za *Poemat dla dorosłych*. To im się nie udało. Pamiętam fragmenty tego zebrania. Wygłosiłem jakieś przemówienie, które chciano wydrukować i gdzieś zginęło, bo miałem tylko jeden egzemplarz. Przywiozłem to ze Szczecina. Napisałem *speech* o wielkiej demoralizacji, która istnieje w Polsce. Chciał to wtedy drukować „Przegląd Kulturalny”, cenzura tego nie puściła. Któż tam był? Ochab, Berman, już przekreślał się Paweł Hoffman, już bronił swego stanowiska, że to wydrukował. W kilka lat później dowiedziałem się od Flory Bieńkowskiej, że *Poemat dla dorosłych* został napisany na zamówienie Zambrowskiego.

TRZNADEL: — *Ciekawe.*

WIRPSZA: — Dowiedziałem się o tym już po październiku, około roku sześćdziesiątego. Miała to Flora Bieńkowska Ważykowi za złe. Że to tymi drogami szło, że on wtenczas otrzymał darmowy pobyt w Nieborowie, żył w luksusach, żeby to napisać. To było zamówienie z Biura Politycznego. Flora Bieńkowska jest,

jak wiadomo, kobietą dosyć impulsywną, ale że on to napisał w Nieborowie, to chyba jest prawda. Przedtem Gałczyński napisał w Nieborowie *Niobe*.

TRZNADEL: — *Czyli ciągle jeszcze jesteśmy w tej historii jakby sterowanej, nad którą czynniki partyjne jakby trzymają rękę. Nad literaturą.*

WIRPSZA: — Chyba trzymała rękę wtedy ulica Puławska, tak zwane ugrupowanie puławskie. Przejęli to chyba wtedy i zaczęli liberalizować. Wspomnę jeszcze jedną ciekawą rzecz, też dla mnie niezrozumiałą. W 1954 roku ukazuje się drugie wydanie *Popiołu i diamentu*, skorygowane w stronę realizmu socjalistycznego. Zakończenie zostało. To ostatnie zdanie książki było zresztą atakowane w czterdziestych latach ze wszystkich możliwych stron, bo i Kott je zaatakował i Melania Kierczyńska, i Herling-Grudziński. Później Sandauer w *Bez taryfy ulgowej*. To bardzo ciekawy zestaw nazwisk, które atakują. Ale co się dzieje dalej z *Popiołem i diamentem*? W tym wydaniu z 1954 roku jest posłowie, w którym Andrzejewski stara się wyłożyć, dlaczego on to zrobił, wprowadził zmiany. Ze zrobił to z głębokiego przekonania, i to, i to, i tamto. Zupełnie w stylu socrealistycznym, niemalże *Partia i twórczość pisarza*. W '56 czy '57 roku ukazuje się następne wydanie *Popiołu i diamentu* z tekstem z '54 roku, ale z esejem o *Lordzie Jimie* Conrada jako posłowiem*. Tylko w tym wydaniu to posłowie istnieje. Wszystkie następne wydania *Popiołu i diamentu*, których było X, przynoszą tekst z '54 roku. Książka wyszła gdzieś w połowie '54 roku, dokładnie nie pamiętam. Na jesieni byłem w Warszawie. Mieszkalem jeszcze w Szczecinie, ale Andrzejewski już mieszkał w Warszawie. I przeczytał wtedy na jesieni '54 roku *Wielki lament papierowej głowy*. Co się stało w ciągu kilkunastu tygodni, nie rozumiem. Na początku '54 roku, zważywszy cykl produkcyjny, pisze posłowie do *Popiołu i diamentu*, na jesieni pisze *Wielki lament papierowej głowy*. Może w nim podskórnie dojrzewało...

TRZNADEL: — *Może doszły jakieś fakty. Pamiętam, na początku chyba '54 roku Kott mi powiedział: Żdanowa wykreślić...*

WIRPSZA: — To się absolutnie zgadza, ale to jeszcze było polecenie partyjne. Sądzę, że tak.

* W 1956 roku ukazał się tekst Andrzejewskiego o Conradzie jako posłowie do książki: Joseph Conrad, *Lord Jim*. Tłum. A. Zagórska.

TRZNADEL: — *To było nagłe i zdumiewające. I ceremonialne: przekazanie tajemnicy działania. Łączy się to z wpływem takich ludzi, jak Kott i Żółkiewski na pewien krąg młodych ludzi. Był duży. Nasze wątpliwości wobec stalinizmu i Rosji radzieckiej zostały właśnie przez tego typu żywe autorytety przesunięte na daleki plan. Straszne szkody zostały wyrządzone.*

WIRPSZA: — Nawet Dąbrowska! Na wsi wesele to była jeszcze akceptacja ustroju. Nie mówiąc o *Ucieczce Felka Okonia* Iwaszkiewicza...

TRZNADEL: — *W moim środowisku tę Ucieczkę przyjęliśmy dwuznacznie. Zastanawialiśmy się nad sensem ostatniego zdania: w więzieniu, to w więzieniu, ale między swoimi... Czy Iwaszkiewicz nie zakpił jednocześnie?*

WIRPSZA: — Tam była także socrealistyczna powieść Brezy: *Uczta Baltazara*.

TRZNADEL: — *No tak, dobrze zorganizowane bezpieczeństwo.*

WIRPSZA: — *A propos bezpieczeństwo i inspiracje bezpieczeństwa: Stanisław Zieliński, który debiutował bardzo dobrymi humoreskami z oflagu Dno miski, napisał potem powieść Jeszcze Polska, na początku lat pięćdziesiątych, w najgorszym okresie. Porównałem dwa teksty: pierwodruk w „Twórczości” i książkę. W książce znalazły się, o dziwo, pamiątki wymienionej z nazwiska pani Von Thadden, właścicielki dóbr na Pomorzu Zachodnim. Kiedy czytałem to po raz pierwszy, myślałem, że to fikcja. Tymczasem okazała się rzecz następująca: to były teksty autentyczne. Teksty, które miała bezpieka. Była to matka Von Thadden, twórcy NDP, to znaczy tej neofaszystowskiej partii w Niemczech Zachodnich. Rodzina Von Thaddenów, junkierska, była zamieszana w spisek przeciwko Hitlerowi. Adolf Von Thadden skończył wojnę jako młody oficer w Berlinie i jakoś umknął niewoli, przebrał się za cywila. Jego siostra przyrodnia została stracona przez hitlerowców, a jego matka została tam. Chciał się więc przedostać na Pomorze należące już do Polski, Pomorze Zachodnie, żeby wydostać stamtąd matkę. Przechwycono go, przekrecono, dwa lata pracował dla UB polskiego, po czym, może po śmierci matki, wrócił na Zachód [...]. I teraz autentyczne fragmenty dziennika starej pani Von Thadden znajdują się w powieści Stanisława Zielińskiego. No, UB mu je dało. Nie mam na to żadnych dowodów, proszę to ewentualnie wykreślić... Tak że tam się działy jeszcze jakieś takie rzeczy, policyjne inspiracje.*

TRZNADEL: — *Ty myślisz, że ten — jakby powiedzieć — sztab polityczny poza pisarzami był jakoś diabolicznie rozbudowany, czy to było jakieś przypadkowe...*

WIRPSZA: — *Myślę, że tu odgrywała olbrzymią rolę Bristigerowa, to na pewno. Mam podejrzenia jeszcze w stosunku do innych osób, ale nie będę wymieniał nazwisk, bo nie mam dowodów. Bristigerowa była, jak wiadomo, oficerem UB, i to wysokim. I miała między innymi opiekę nad literaturą. Co ciekawe w tym wszystkim, że kiedy powstał teatr na Tarczyńskiej, w 1955 roku, to stałym gościem byli Bristigerowa i Sandauer. I ona roztoczyła opiekę nad tym teatrem, na jakiej zasadzie, sam Pan Bóg raczy wiedzieć. Sandauer to jest jej krewny. Nie sądzę, aby pełnił rolę agenturalną, jest to świnią, gdyż lubi nią być. Pamiętam takie zdarzenie, jeszcze żył Lec: to było między jego pierwszą a drugą operacją, wypuszczono go ze szpitala, żeby miał jeszcze parę miesięcy normalnego życia, wiadomo było, czym się to skończy. Wówczas właśnie jakiś skarzypycki, obrzydliwy artykuł Sandauera ukazał się we „Współczesności”, ja to czytałem w domu, ale idę na górę do biblioteki Związku Literatów i widzę, że Lec studiuje to arcydzieło Sandauera, wyjątkowo brudne i śliskie. Nachyliłam się nad nim i pytam, a co ty czytasz swego współplemiennika? Na to Lec wstał i zaryczał na całą salę: bo to jest ten twój antysemityzm, że ty Żyda od parcha nie odróżniasz! Możesz to powtarzać, Lecowi to już nie zaszkodzi, a mnie to nie przeszkadza.*

TRZNADEL: — *Jak byś odróżniał takie dwie sprawy w tej formacji stalinizmu polskiego: kto wierzył, a kto nie wierzył i należał do formacji cynicznej? I czy był udział cynizmu jako szerokiego zjawiska?*

WIRPSZA: — *Najciekawsze jest pod tym względem starsze pokolenie, bo młodzież jak młodzież, dała się częściowo nabrać i raczej była szczerą w tym, co robiła. Natomiast starsi: sądzę, że Nałkowska zawsze przywykła żyć w sferach władzy, lubiła to, kochała to, i tak robiła do końca życia. Iwaszkiewicz to samo. Breza: tu jest już raczej wyrachowanie i zupełny cynizm. Dlaczego on nie poszedł na Zachód, do czego miał tyle okazji, tego nie rozumiem. Może uważał, że tu mu się lepiej opłaca. Potem napisał *Spisową bramę*, która jest oczywiście książką aluzyjną. Tak ją wtenczas odczytałem, na dwie strony. Któżby tam był jeszcze ze starszych? Z Andrzejewskim jest sprawa dosyć jasna: potrzeba wiary, miotanie się i brak zaplecza intelektualnego; w istocie rzeczy bardzo słabe zaplecze intelektualne, choć olbrzymi*

talent. I niestety alkoholizm. Nasi poeci... Tuwim... to jest sprawa nieprzeanalizowania tych rzeczy. Nie bardzo rozumiał, na jakim świecie żyje. Pisał potworne głupstwa po powrocie do kraju. Tuwim dla nas młodszych nie był żadnym autorytetem poetyckim. Sprawa Słonimskiego jest bardziej skomplikowana.

TRZNADEL: — *Jego radykalizm przedwojenny mu „odbił”...*

WIRPSZA: — *Radykalizm, od Czarnej wiosny poczynawszy. Ale to jest sprawa dosyć zagadkowa. On po wojnie był, tak jak Miłosz, urzędnikiem polskim na Zachodzie. Poza tym sądzę, że zaraził się radykalizmem angielskim, częściowo nawet zbliżonym do komunizmu. Wells, Bertrand Russell, wielki matematyk, ale politycznie absolutna naiwność.*

TRZNADEL: — *Potem to się zmieniało, bo to przecież Bertrand Russell napisał przedmowę do pierwszego wydania Innego świata Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.*

WIRPSZA: — *Do pierwszego wydania *Zniewolonego umysłu* po niemiecku przedmowę napisał Karl Jaspers, który jest dla mnie postacią absolutnie nieposzlakowaną, w przeciwieństwie do Heideggera. Wracając do Słonimskiego, to była jednak aura „Skamandra”, który miał kontakty z salonowymi komunistami. Nie zapominajmy, że sekretarzem „Wiadomości Literackich” był Broniewski. Jednocześnie Wieniawa, jak Broniewski siedział w więzieniu, posyłał mu kosze. Dlaczego Broniewski napisał *Słowo o Stalinie* — nie wiem. Nie rozumiem. Przy czym Broniewski miał pewien autorytet wśród młodzieży ówczesnej.*

TRZNADEL: — *Może bardziej autorytet moralny, poetyki już nikt nie podejmował bardzo serio.*

WIRPSZA: — *Elementy poetyki Broniewskiego są u Woroszyłskiego. Wczesnego. Ale to jest chyba jedyny taki wypadek. Tam chyba jest i Bruno Jasiński. Wśród poetów najbardziej dla mnie zagadkową postacią jest Słonimski. Po co on to robił? Przy jego jednak dosyć trzeźwym umyśle, bo to nie był poeta nie-myszący.*

TRZNADEL: — *Same znaki zapytania...*

NIEŚMIERTELNY STALIN I ZŁOWIESZCZE WIĘZIENIE NUDY

Rozmowa z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem
(23 marca 1985)

RYMKIEWICZ: — Urodziłem się w 1935 roku, to znaczy, że w 1950 miałem lat piętnaście. Byliśmy u szczytu stalinizmu.

TRZNADEL: — *Miałeś tyle lat w roku 1950, ile ja miałem w 1945, kiedy skończyła się wojna.*

RYMKIEWICZ: — To znaczna różnica, wtedy przynajmniej, bo to się potem z latami zaciera. Czyli w 1952, kiedy skończyłem szkołę średnią, to była wówczas szkoła jedenastoletnia, i zacząłem studiować polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim, miałem lat siedemnaście. A jesienią 1956 miałem lat dwadzieścia jeden. Mówię o tych latach dlatego, że oczywiście warunkują one rodzaj świadectwa, jakie mogę dać. W moim przekonaniu należę do pierwszego pokolenia, na które ten system w swoich zabiegach wychowawczych mógł w ogóle liczyć. Pokolenie poprzednie, na które postawiono, było pokoleniem, które mogło w każdej chwili ten system i ten reżim zdradzić. To było pokolenie strasznie przetrzebione, więcej niż zdziesiątkowane przez wojnę i później przez różnorakie represje, stosowane wobec Akowców. A przede wszystkim było to pokolenie obdarzone pamięcią. To znaczy, żeby użyć jakiegoś konkretnego przykładu: można było wymusić na ludziach, którzy się urodzili w połowie lat dwudziestych, żeby pisali to, co pisali, czyli można było wymusić na Konwickim, żeby napisał *Przy budowie* czy *Władzę*, ale nie można było go zmusić, żeby zapomniał o tym, że był w AK. Jego *Rojsty* były już napisane i o tym, że je napisał, nie mógł przecież zapo-

mnąć. System musiał się liczyć z tym, że ci ludzie w pewnej chwili się zbuntują, że ich do końca nie przekona. Natomiast ludzie tacy jak ja, którzy w pięćdziesiątym roku właśnie mieli lat piętnaście, którzy nie mieli wtedy żadnej przeszłości, którzy mogli nic nie wiedzieć, albo rzeczywiście w wielu wypadkach — zaraz do tego przejdę — rzeczywiście nic nie wiedzieli, tacy ludzie byli wspaniałym materiałem, na którym można było budować, było to pokolenie, które można było w pełni wychować, jednym słowem było to pokolenie, z którego można było zrobić budowniczych tego systemu.

TRZNADEL: — *A więc byłby to pierwszy rzut przygotowany nie tylko na uniwersytecie. Moje pokolenie miało uniwersytet stalinowski — przynajmniej w zamierzeniu władzy — natomiast do matury w roku 1949 doszliśmy jeszcze przed zasadniczą presją ideologiczną.*

RYMKIEWICZ: — Ty byłeś jakby między tymi pokoleniami, o których mówiłem. Pamiętałeś jednak coś z wojny, natomiast moje wspomnienia są wspomnieniami małego dziecka. Miałeś pamięć, już nie można ci było jej odebrać. A teraz wyobraź sobie taką sytuację: Stalin umiera mając lat siedemdziesiąt cztery. A gdyby zdarzyło się inaczej: gdyby to nie jego zabili, gdyby to on zabił wtedy Berię i Malenkowa, i Chruszczowa, i gdyby zrobił następną wielką czystkę? Przecież do tego szło w roku pięćdziesiątym, pięćdziesiątym pierwszym i drugim — do nowej wielkiej czystki.

TRZNADEL: — *Gdyby proces białych kitli, lekarzy żydowskich, miał inne konsekwencje.. i tak dalej...*

RYMKIEWICZ: — No i dajmy mu jeszcze dziesięć lat życia, albo dajmy mu siedemnaście lat życia...

TRZNADEL: — *Gdyby dożył, powiedzmy, wieku Tity...*

RYMKIEWICZ: — Otóż to, że należałem do tego pokolenia, które właśnie miało i mogło być tak wychowane, określa rodzaj mojego świadectwa. Natomiast to świadectwo jest w jakiś sposób ubogie, bo oczywiście nie uczestniczyłem ze względu na mój wiek w żadnych wydarzeniach historycznych, nie mam nic do powiedzenia, jeśli chodzi o sferę plotki historycznej czy o sferę wiedzy o życiu ówczesnych elit.

TRZNADEL: — *Ale to, co możesz powiedzieć, będzie interesu-*

jące także jako świadectwo człowieka, który patrzy na pewne historyczne fakty s poza, bierze pod uwagę to, co potem się przemyślało. Można jeszcze założyć, że ludzie którzy w tym brali udział od początku, myślą o tym trochę inaczej, niż ci, którzy jakby przyszli później. Taka odmienność doświadczenia może być bardzo interesująca.

RYMKIEWICZ: — Spróbuję — nie jest to do końca możliwe — odtworzyć siebie takiego, jakim wtedy byłem. Tak jak siebie tamtego widzę. Muszę zacząć od osobistych wspomnień, od powiedzenia ci, jak mnie wychowywano, bo to oczywiście miało wielki wpływ na moją świadomość. Co wówczas, w latach pięćdziesiątych wiedziałem, a czego nie wiedziałem? Byłem, trudno powiedzieć, co o tym zdecydowało, dzieckiem puszczonego samopas, rosłem trochę jak dziczka. Ale ponieważ dom na mnie nie wpływał, czy nie chciał na mnie wpływać, czy nie mógł na mnie wpłynąć, wobec tego wychowywała mnie szkoła. I to dla mnie ówczesnego miało oczywiście ogromne konsekwencje. Spędzałem w ówczesnej szkole — ona zresztą tak była pomyślana, żeby na wychowywanego oddziaływać totalnie — cały dzień, bo wracało się po obiedzie do szkoły, żeby wspólnie odrabiać lekcje albo wracało się na zetempowskie zebrania. Więc jeśli wychowywała mnie szkoła, to oczywiście mogę powiedzieć, że wychowywał mnie system.

Byłem naturalnie w ZMP, nie pamiętam, od którego roku. Ale chyba zapisałem się w ósmej lub w dziesiątej klasie. I byłem w ZMP cały czas, aż do rozwiązania tej organizacji. Ponieważ wychowywała mnie szkoła, mogę powiedzieć, że byłem wzorowym dzieckiem systemu. Jako dziecko systemu mogę powiedzieć, że nie wiedziałem o wielu rzeczach, o których wiedziało pokolenie, które było tuż przede mną. A nawet ludzie, od których dzieliło mnie tylko kilka lat, tacy jak ty. Nie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak łagry na północy, nie wiedziałem, że siemdemnastego września Rosjanie wkroczyli do Polski, w ogóle nie wiedziałem, że istnieje taka data, nie wiedziałem, że było coś takiego jak pakt Ribbentrop-Mołotow, nie wiedziałem, jakie były powojenne losy akowców. Wiedziałem, że był Katyń, ale to było zupełnie przypadkowe. Znalazłem gazetę, chyba okupacyjną gazetę warszawską, nie wiem skąd w domu wziął się ten numer, w której akurat mówiło się o tej komisji utworzonej przez Niemców i do Katynia wysłanej. Wiedziałem, że był taki fakt, natomiast kto to zrobił? To mnie wtedy jakby nie dotyczyło. A więc nie wiedziałem rzeczy podstawowych, byłem pozbawiony pamięci historycznej. I nie chodziło tylko o historię ówczesnie współczesną,

ale prawdopodobnie także o ogromne obszary historii Polski i historii Europy z wieków minionych — musiałem mieć jakieś przeżajające dziury. Jeśli chodzi o wiek XVIII i XIX, to oczywiście uczono nas historii spreparowanej, w istocie całkowicie bajecznej.

TRZNADEL: — *A jaką miałeś świadomość okresu tuż powojennego, kiedy byłeś małym chłopcem, że był jakiś Mikołajczyk, PSL, walka?*

RYMKIEWICZ: — Coś na ten temat wiedziałem, ale przypominam ci, że byłem przykładnym zetempowcem. Pamiętałem gaziarzy biegających w Łodzi po Piotrkowskiej i krzyczących: „Gazeta Ludowa”, pismo premiera Mikołajczyka! — Pamiętam tłum niosący na rękach, na rogu Andrzeja i Piotrkowskiej, samochód z Mikołajczykiem. Więc takie rzeczy wiedziałem. Czyli wiedziałem, że odbyła się jakaś zwycięska rozgrywka w imię przyszłej ludzkości. I że my tę bitwę z reakcją wygraliśmy. Tak, to wiedziałem. Wiedziałem jeszcze, że toczy się wojna na Korei, i że jest to słuszna wojna przeciwko imperializmowi. Wiedziałem, jak to już mówiłem, że Stalin jest nieśmiertelny i że jest chorążyim pokoju. Myśl, że jest to zbrodniarz, chyba w ogóle nie mogła pojawić się w takiej głowie, jaką wówczas miałem. Gdyby mi ktoś coś takiego powiedział, nie umiałbym na to zareagować.

TRZNADEL: — *Z tego by wynikało, że w ogóle nie otarłeś się o ludzi, którzy byli na „nie”, którzy wypowiadali takie opinie...*

RYMKIEWICZ: — Nie, nie otarłem się, to znaczy przypuszczam, że nie — właśnie tego nie potrafię odtworzyć, bo przecież pochodzę z takiej przyzwoitej inteligenckiej rodziny. Przypuszczam, że jednak ta rodzina z lęku o mnie trzymała mnie po prostu pod kloszem. A jednocześnie jakby nie bardzo się mną interesując, pozwalała mi rosnąć dziko. A tak nie można było rosnąć, wobec tego wpadłem w ten system. Wychowania szkolnego.

TRZNADEL: — *Ja jednak miałem silną świadomość dwu sprzecznych rzeczywistości. Mój dom był zdecydowanie antykomunistyczny. Żyłem do 1946 roku w ostrym, jeśli chodzi o nastroje opozycyjne, Krakowie. Pamiętam oczywiście tłumy wiwatujące na cześć Mikołajczyka, słynną, rozpedzoną manifestację 3-majową. Potem, kiedy w roku 1950 odwiedziłem Kraków, ktoś z dawnych przyjaciół powiedział: I cóż ty, komunisto? Takich jak ty i tak postawimy kiedyś pod murem i rozstrzelamy. — Miał to być ostry żart, bo inaczej ten człowiek nie mógł wyładować swej niechęci.*

RYMKIEWICZ: — Z takim światem ja w ogóle nie miałem kontaktu. Z tego, co powiedziałem, wynika, no, że byłem młodocianym idiotą. Po prostu: wychowywanym przez szkołę i ZMP. Zastanawiam się, jak długo? Na to pytanie nie potrafię wyraźnie odpowiedzieć. Do którego roku byłem idiotą, do pięćdziesiątego trzeciego, czwartego? Pewno tak. Ale ta data nie jest dla mnie jasna. Od kiedy zacząłem coś wiedzieć? W tym świecie idealnym, w którym mnie umieszczono, wyczuwałem jednak pewne elementy niepokojące. To pamiętam. System szkolny próbował zagarnąć mnie całego, a jednak nie mogę powiedzieć, że byłem dobrze przystosowany. Przede wszystkim odczuwałem straszną — to oczywiście wynikało z rodzaju tego wychowania i indoktrynacji, ale może też z jakichś moich cech charakterologicznych — a więc odczuwałem straszną, potworną nudę życia w tym systemie. To było zresztą poczucie dane wielu ludziom. To było strasznie nudne i strasznie mnie męczyło: zebrania zetempowskie, brygady żniwne, referaty, których musiałem wysłuchiwać i które musiałem wygłaszać, czyny społeczne, które musiałem wykonywać, wszystko to porażało mnie swoją nudą.

TRZNADEL: — *Odczuwałeś niejasno, że jest to martwe, jałowe kłamstwo.*

RYMKIEWICZ: — To nie łączyło się chyba ze sferą przemyśleń ideologicznych, to było po prostu życiowo nudne, żyłem w tym, przyjmowałem to jako pewną rzeczywistość i okropnie męczyła mnie świadomość, że zawsze mi będzie tak nudno.

TRZNADEL: — *Egzystencjalny spleen komunistyczny za fasadą pozornej aktywności...*

RYMKIEWICZ: — Były w tym systemie także szczeliny, przez które prześwitywało coś innego, jakieś niepokojące elementy. I ja te szczeliny już wtedy widziałem. Były rzeczy, które budziły mój niepokój, już wcześniej, na początku lat pięćdziesiątych, kiedy miałem piętnaście, szesnaście lat, elementy, nad którymi nie mogłem przejść do porządku dziennego i od których zaczęła się moja młodzieńcza ewolucja. Żeby się to stało jasne, muszę najpierw powiedzieć, czego mnie w szkole uczono, bo uczono mnie zapewne rzeczy nieco innych niż ciebie. W którym roku zdałeś maturę?

TRZNADEL: — *W czterdziestym dziewiątym.*

RYMKIEWICZ: — Więc oczywiście zdałeś maturę w zupełnie innej szkole niż ja, który zdawałem ją w pięćdziesiątym drugim.

Te trzy lata były decydujące. Czego uczono mnie z historii i z polskiego? Otóż historii uczono nas z podręcznika rosyjskiego, przełożonego na polski. Pamiętam dobrze wygląd tego podręcznika, ale nie potrafię ci powiedzieć nazwiska jego autora. Jefimow czy Jefremow?... To był chyba podręcznik dla 10 i 11 klasy, a więc był używany przez dwa lata. To były dwie książki, podręcznik historii XIX i XX wieku. Opowiadano w nim głównie — w sposób potwornie nudny i doktrynalny — historię ruchu robotniczego. Innej historii jakby nie było. Z polskiego bardzo ważną sprawą był zestaw ówczesnych lektur. Należałem do tego rocznika, który przerabiał już jako lektury obowiązkowe literaturę polskiego socrealizmu. Przymusowo czytałem i przymusowo były omawiane przez nauczycieli polskiego na lekcjach takich książki, jak *Nr 16 produkuje*, jak *Na przykład Plewa*, jak *Węgiel* Scibora-Rylskiego. Były także wiersze, Wiktora Woroszyńskiego, Andrzeja Mandaliana, Andrzeja Brauna, *Wiosna Sześciolatki*, to wszystko było w lekturach w ostatniej klasie. Ponieważ ilość tych polskich lektur była niewystarczająca, więc przerabialiśmy dodatkowo, też przymusowo, książki, które były szczytowymi dziełami socrealizmu sowieckiego. Pamiętam z tych lat *Kawaler*a *Złotej Gwiazdy* Babajewskiego i *Daleko od Moskwy* Ażajewa. Kto dziś pamięta te książki? Ale ja pamiętam. Gorkiego też pewnie mieliśmy w lekturach. Dlaczego mówię o tych lekturach i o tym, czego mnie uczono? Dlatego, że pewne prześwity na inne życie uzyskałem właśnie dzięki temu, dzięki zestawowi lektur, a raczej temu, co w nim było jakby obcego. Bo była także literatura klasyczna i pamiętam taką chwilę, kiedy czytało się i omawiało Balzaka. Czytało się także Turgieniewa i tego Turgieniewowi nie zapomnę. Te lektury były przerabiane wspólnie na popołudniowym odrabianiu lekcji. Pamiętam taki wieczór, chyba zimowy, kiedy stałem w klasie pod piecem i słuchałem czy sam czytałem, tego już nie pamiętam, Turgieniewa. A to działało się wszystko na tle pięknego zestawu literatury socrealistycznej. Co to był za Turgieniew? *Ojcowie i dzieci*? A może *Szlacheckie gniazdo*? Nie pamiętam. Pamiętam za to moje olśnienie, że jest inna literatura. Jeśli są na świecie Turgieniewowie, to dlaczego każe się nam czytać jednocześnie *Nr 16 produkuje*? Ten Turgieniew był dla mnie wtedy wielkim przeżyciem. Ale były i inne szczeliny, przez które przeziarała inna rzeczywistość.

Pamiętam takie wieczorne przemarsze przez Piotrkowską, z pochodniami. W zielonych koszulach i czerwonych krawatach maszerowaliśmy Piotrkowską. To się nazywało tradycyjnie capstrzykiem. Śpiewaliśmy *Bandiera rossa*, a w przerwach pomiędzy poszczególnymi strofami wznosiliśmy okrzyki: *A bas papa, vivat*

Stalin!, albo skandowaliśmy w przerwach między śpiewaniem: *Li-syn-man skur-wy-syn!* — Pamiętam tłum na chodnikach, który nam się przyglądał. Miałem poczucie, że ci przechodnie, którzy stoją przy krawężnikach i patrzą na te dzieci maszerujące z pochodniami i wrzeszczące jakieś upiorne rzeczy — że ci przechodnie nas nienawidzą. Że patrzą na nas wrogo. Tak to wtedy odczuwałem, to bardzo dobrze pamiętam. Było to jednak też wielkie przeżycie, z tym się łączyło niejasne przypuszczenie, że coś jest nie w porządku, jeśli jesteśmy znienawidzeni. Z podobnej serii wspomnień mogę przypomnieć zbórkę używanych rzeczy na dzieci koreańskie. Chodziliśmy po jakichś mieszkaniach, jakichś strychach, po biednych mieszkaniach robotniczych, bo ta Łódź była strasznie biedna w tamtych latach. To się łączyło z biedą, z brudem. I prośbą i groźbą wyciągaliśmy od ludzi jakieś stare łachy, zużyte buty, stare podarte swetry. Oczywiście chodziliśmy w poczuciu misji dziejowej, w poczuciu, że zbierając te stare brudne rzeczy budujemy nowy wspólny świat. I spotykaliśmy się z otwartą nienawiścią. Patrzono na nas — nic nie mówiąc — ale wystarczyły te spojrzenia. I z tego też rodziło się pytanie: dlaczego? No, można to było wytłumaczyć, że to jest ten stary świat, który nienawidzi nas idących do przodu.

TRZNADEL: — *Ale w takim razie dlaczego robotnicy?*...

RYMKIEWICZ: — Jeszcze jedno przeżycie. Może decydujące. Żałuję, że pamiętam tylko nazwisko, natomiast nie pamiętam daty. Miałem nauczycielkę matematyki, której nie lubiliśmy, bo to była surowa, bardzo wymagająca nauczycielka. Żeby to wspomnienie stało się jasne, trzeba powiedzieć, że w szkole rządziło ZMP. Nie dyrektor i nie nauczyciele, głos zarządu ZMP był decydujący. Czego chciały te panienki w zielonych koszulkach, bo to były dziewczyny głównie, rzadziej chłopcy...

TRZNADEL: — *Zastanawiające, moje wspomnienia z Uniwersytetu Warszawskiego są podobne, jeśli chodzi o płęć...*

RYMKIEWICZ: — Głównie dziewczyny. O tej szkole jeszcze opowiem, żeby to było wyrazistsze. W każdym razie rządziło ZMP, decydowało, czego mają nas uczyć i jak uczyć, one chodziły ciągle na jakieś konferencje do dyrektora tej szkoły. Otóż była pani, mała, chuda, drobna, nie wiem, w jakim wieku. Wtedy wydawała mi się stara, pewno nie była stara, miałem piętnaście, szesnaście lat, nie pamiętam roku. Nazywała się pani Jarząbek. Pani Jarząbek uczyła matematyki i pewnie za to była nie lubiana,

ponieważ bardzo dobrze uczyła i bardzo była surowa. Ja byłem z matematyki dość lichy. Otóż pani Jarząbek, nie wiem dlaczego, opiekowała się też gabinetem polonistycznym, takim kółkiem polonistycznym, może z zamiłowania. I pewnego dnia rozeszła się po szkole wieść, że pani Jarząbek w tym swoim pokoju, gdzie się znajdował gabinet polonistyczny, gdzie się odbywały zebrania kółka, zdjęła wiszący tam portret Stalina. I na to miejsce powiesiła portret Mickiewicza. Pani Jarząbek zniknęła ze szkoły następnego dnia. Nigdy już do niej nie wróciła. To była sprawa, która bardzo zaważyła nad tym, jak i co zacząłem myśleć. Bo zrozumiałem, że stało się coś strasznego. Nie wiem, co się z nią stało, nie dociekałem tego, nie wiem, co się z nią dzieje dzisiaj, ile ma, ile mogłaby dziś mieć lat. Widzę to jako gest heroicznej rozpacz, musiała być w rozpacz, jeśli coś takiego zrobiła i musiała już mieć dosyć wszystkiego. Przecież wiedziała, co jej grozi, nie skończyłoby się na wyrzuceniu ze szkoły. No, ale jeśli ktoś coś takiego zrobił, nie można było przed swoim sumieniem przejść nad tym do porządku dziennego. To była jedna z tych szczelin, przez które przedostawało się inne życie.

TRZNADEL: — *Czy uważałeś, że to źle, że zniknęła, ale jednocześnie że Stalin wielki i po cóż go zdejmowała?*

RYMKIEWICZ: — Nie, dla Mickiewicza go zdjęła, więc miała prawo, wtedy, w moim przekonaniu. Jeszcze słowo o specyficznym charakterze tej mojej szkoły. To była szkoła TPD-owska. Pierwsza szkoła TPD-owska w Łodzi. Dość długo do niej chodziłem, całe te lata gimnazjalne. W innych szkołach była jeszcze religia, tu nie było religii, tutaj chodziły dzieci wszystkich ówczesnych prominentów. Chodziłem do tej samej klasy z Jurkiem Borejszą, synem starego Borejszy. Dużo było dzieci żydowskich, także z elity komunistycznej, prominenckiej, które potem zresztą wyjechały. Większość tej klasy jest teraz w Australii, w Stanach Zjednoczonych.

TRZNADEL: — *Jaki był twój stosunek do problemów religijnych?*

RYMKIEWICZ: — Byłem zupełnie indyferentny. Pochodzę przecież z takiej warszawskiej liberalnej inteligencji. Ostatnie kontakty z religią miałem dzięki niańce w dzieciństwie. Prowadzała mnie do kościoła na Placu Zbawiciela jeszcze w czasie wojny. Mam takie dzieciinne wspomnienia z Warszawy z jakiejś Palmowej Niedzieli.

TRZNADEL: — *Pod tym względem też była luka, gdzie mogła wejść inna ideologia, inna religia.*

RYMKIEWICZ: — I weszła. Z tego wszystkiego, co powiedziałem, wynika, że byłem bardzo łatwym łupem dla tego systemu. I że mówiąc dzisiejszym językiem ten system miał ze mną dość łatwo.

TRZNADEL: — *Czy pisarze współcześni byli argumentem na rzecz nowej wiary w sensie dowodu: oni też są z nami, ten jest z nami i tamten wielki też jest z nami. To przebiło wtedy moje wątpliwości wyższymi kartami. Czy też, jeśli chodzi o was — byliście może już w sytuacji, że tak powiem, załatwionej, przygotowanej?*

RYMKIEWICZ: — My byliśmy załatwieni. Zacząłem myśleć podobnie może potem, jak zdobyłem jakąś wiedzę na temat literatury, na temat systemu wartości. Ale wtedy to była tylko konkurencja między Turgieniewem i Dąbrowską, przerabianą w szkole, a tymi łapsami od socrealizmu.

TRZNADEL: — *Czy twój stosunek do rzeczywistości kształtował się za pośrednictwem świata książek, kultury?*

RYMKIEWICZ: — Nie tylko za pośrednictwem książek. Ja wtedy nie wiedziałem, kim zostanę, kim mam być, w szkole jeszcze nie pisałem. Zacząłem pisać dopiero na studiach, na drugim roku studiów, gdzieś w roku 1953-54, po śmierci Stalina. Ale wtedy byłem już kimś zupełnie innym. Do sprawy studiów jeszcze wrócę. Ale o tym, że zostałem odrzucony przez ówczesną nierzeczywistość, zdecydowała także pewna kwestia życiowa. Ponieważ wychowałem się w domu liberalnej inteligencji, indyferentnej w gruncie rzeczy, a także — nie ukrywajmy tego — bardzo przestraszonej, jak cała ta liberalna inteligencja w tamtych latach — przez to wszystko system miał ze mną łatwo. Jednocześnie była jednak pewna sfera, dzięki której system miał ze mną bardzo trudno. Gdy miałem szesnaście, siedemnaście lat, poczułem się młodym mężczyzną i zaczęło mnie interesować to, co interesuje młodych mężczyzn, to znaczy przyjemności życia, a przede wszystkim erotyka. A to było coś, czego system nie lubił, bo system i to chciał mieć sformalizowane, chciał, żeby się to odbywało w pewnych wyznaczonych przezeń granicach, żeby to było jakoś poddane ideologii. Więc jeśli romanse zetempowców — to z pannami z ZMP, romanse na brygadach żniwnych. Chciał z tego zrobić taki romantyzm socrealistyczny. A ja odczuwałem

autentyczną potrzebę siedemnastolatka, po prostu życia, obudził się we mnie jakiś *élan*, pęd życiowy. Taki, jaki się budzi w tym wieku. Miało to skutki dwoiste. Już zafascynowany tymi rozkoszami, jakie ofiarowuje mi życie, łatwo ulegałem żądaniom ideologicznym, bo chciałem, żeby się ode mnie odczepili i dali mi spokój, żebym mógł żyć, jak chcę. Ale oni wcale odczepić się nie chcieli i ten system przeszkadzał mi jednak żyć, jak chciałem. Przeszkadzał mi korzystać z przyjemności życia, z koleżeńskich bibek, z picia w restauracjach z kolegami. Wobec tego przestałem ulegać systemowi, bawiło mnie co innego, nie bawiło mnie chodzenie na zebrania, system był jednak przeciwko życiu. A chłopak mający szesnaście, siedemnaście lat, bardzo chce żyć. System był wtedy strasznie purytański, strasznie złowieszczy w swojej nienawiści wobec życia. Autentycznego życia, autentycznego pędu życiowego.

TRZNADEL: — *Może te dziewczyny z zarządów tak hamowały?*

RYMKIEWICZ: — Może, bo to były brzydkie dziewczyny, te dziewczyny z ZMP. Te, co były w zarządzie szkolnym, to były brzydula okropne, biedne. Ładne na to nie szły, nie było im to potrzebne, a te brzydkie nie chodziły na zabawy, nie tańczyły. Ja latałem na jakieś prywatki, gdzieś po kątach żeśmy się całowali z dziewczynami, no, ale to z innymi dziewczynami, nie z tymi w zielonych koszulach, tylko z takimi, co chciały się z nami całować, na prywatkach, w jakichś mieszkaniach, był tam i alkohol... To był koniec szkoły średniej. Na uniwersytecie nie działały już takie zakazy, już się wyzwoliłem. Tak to teraz widzę: jeśli coś mnie wyzwoliło z tego złowieszczonego więzienia, to życie, chęć życia. Książki przyszły później i zmiana w myśleniu, zmiana w życiu przyszła wcześniej. To oczywiście, choć decydujące, nie było uświadomione i zwerbalizowane. Natomiast zmiana, którą mogłbym wtedy już zwerbalizować, była wywołana przez książki. Pod koniec szkoły, a może już na studiach. W 1952 roku, kiedy przyszedłem na uniwersytet, pierwszy rok miałem trudny, to jeszcze były rządy ZMP, takie jak w szkole. Po śmierci Stalina to zaczęło bardzo szybko pękać. Poczułem się wolny. Pociągały mnie rozkosze życia, ale zaczęła mnie pociągać wtedy i literatura. W bibliotece ojca — to jest nie bez znaczenia, że ta biblioteka w ogóle była — znalazłem gdzieś na tylnej półce *Ocalenie* Miłosza. I sprawa Miłosza, tak jak ją sobie uświadomiłem, to musiało być w '52-'53 roku, odegrała w moim życiu wielką rolę. Jako sprawa nie tylko literacka, ale jako sprawa także moralna. Znalazłem tę książkę — już chyba wtedy zaczynałem pisać — i natychmiast

zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z wielkim poetą. O tym wielkim poecie mówiono mi, że jest zdrajcą i moralnym potworem. Czytałem jednocześnie jego i czytałem Gałczyńskiego *Poemat dla zdrajcy*: „Okiem zdrajcy patrzysz na Rawennę, / na mozaik kamyczki promienne... litery powstały i plunęły ci w twarz... wierszyk umiera...”.

TRZNADEL: — *A nie umierał...*

RYMKIEWICZ: — Nie umierał. Byłem całkowicie zafascynowany tą poezją i ta fascynacja przenosiła się w wymiar moralny. Jeśli ktoś tak wielki, kto pisze tak wspaniałe wiersze, robi coś takiego, jak to nazywano wtedy ironicznie wybraniem wolności, to oczywiście ma rację, bo jest wielkim poetą. Wszystko, co robi wielki poeta, jest słuszne. Jest moralnie godne. Wobec tego niegodni są ci, co mówią, że on jest zdrajcą. To wnioskowanie było bardzo proste i jak powiadam, uznałem, że Miłosz zrobił, co chciał, i że miał pełne prawo robić, co chce, ponieważ był wielkim poetą. Ale z tego jest prosty wniosek, że każdy ma prawo robić, co chce. I taki wniosek wyciągnąłem wtedy z tej sprawy. Była to dla mnie rzeczywiście wielka sprawa. Gdyby Miłosz nie wyjechał z Polski, to może byłbym innym człowiekiem. Dzięki Bogu, że wyjechał, i mogę mu być za to tylko wdzięczny.

TRZNADEL: — „*Lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach...*” I *książkach...*

RYMKIEWICZ: — Zrobił coś nie tylko dla siebie, ale także dla mnie. A potem już się potoczyło. Dostałem od profesora Skwarczyńskiego karteczkę upoważniającą do korzystania z prohibitedów biblioteki uniwersyteckiej. I wtedy już bardzo szybko dowiedziałem się wszystkiego.

TRZNADEL: — *Czy przedtem uległeś w jakiejś mierze urokom beglizmu-marksizmu jako filozofii? Czy myślałeś o losach świata w tych kategoriach?*

RYMKIEWICZ: — Myślę, że tak, ale nie potrafię tego wyrazić nie odtworzyć. Pamiętam tylko taką sytuację, w chwili, kiedy wydobyłem się już z tego młodzieńczego czy dziecięcego ogłupienia. Mianowicie marksizm był na tyle silnie wszczepiony, że uważałem, że jeśli nie mogę zaakceptować tego, co mnie otacza, jeśli nie mieszcę się w systemie, to dzieje się tak dlatego, że jestem zdeterminowany moim pochodzeniem klasowym, jako inteligent jestem skazany na wyrzucenie na śmietnik historii.

TRZNADEL: — *W niedawnym wywiadzie powiedział podobnie Żółkiewski. Przejmował się, że ma złe klasowe nawyki. Ale on wytrwał w partii mimo złych nawyków...*

RYMKIEWICZ: — Uznałem, że jestem zły klasowo i wobec tego nigdy się w tym nie pomieszcę. Jeszcze ciągle towarzyszyło temu przekonanie, że to jest nieśmiertelne. To było przez jakiś czas powodem mojej prawdziwej rozpacz. Jakichś młodzińskich myśli niemal samobójczych. Że ponieważ to będzie trwało wiecznie, ponieważ Stalin będzie żył wiecznie, wobec tego ja jako skazany, zdeterminowany klasowo, nie potrafiący się przystosować i w to uwierzyć — nie mam po co żyć, nie mam przed sobą żadnej przyszłości. Marksizm wszczepiał mi — jak to było chytrze pomyślane! — poczucie winy wobec systemu. Oczywiście czytałem wtedy wszystko, jakieś popularne rzeczy Lenina, wtedy także, potem nigdy bym się na to nie zdobył, przeczytałem *Materializm i empiriokrytycyzm*, no oczywiście wszystkie rozprawki Stalina, niebawale głupekowate, także znałem.

TRZNADEL: — *Czy to wszystko czytałeś po polsku?*

RYMKIEWICZ: — Tak, wszystko potem powyrzucałem, nie wiem dlaczego, nie mam tego w bibliotece.

TRZNADEL: — *Bo ja pamiętam, że dużo czytałem w obcych językach i w ten sposób myślenie marksistowskie miało pieczęć i akceptację także innej kultury niż polska, i rosyjska nawet. Myślę o wydawnictwach francuskich i po części niemieckich.*

RYMKIEWICZ: — Mogę zresztą powiedzieć także o pewnej dobrej stronie wychowania w marksizmie, nawet takim prymitywnym materializmie historycznym. Dało mi to przeświadczenie, że jest historia i że jest ona czymś niesłychanie ważnym. Oczywiście, historia podawana była na poziomie ocenzonego, nie podawano prawdziwej wersji zdarzeń, albo opowiadano o jakichś zdarzeniach fikcyjnych czy też zdarzenia nieważne wysuwano przed ważne. Natomiast samo poczucie historyczności świata, życia ludzkiego, miałem dzięki przejściu przez marksizm.

TRZNADEL: — *U ciebie ten instynkt historyczny jest duży. Ale jeśli patrzę na ciebie jako pisarza, to wydaje mi się — może się mylę — że w pierwszym okresie twojego, powiedzmy, młodzieńczego pisarstwa, ta dziedzina historyczna została jakby odsunięta na korzyść tego, co idzie przez historię jako element wieczny, natomiast zainteresowanie bardziej konkretnym miąższem zdarzeń*

pojawia się dopiero stopniowo, by osiągnąć apogeum w ostatnim czasie.

RYMKIEWICZ: — To, co można nazwać nauczaniem marksizmu, było wówczas niesłychanie niekonsekwentne. To znaczy było coś, co było określane jako nauka marksistowska, nauka o historii świata, o epokach rozwoju, od wspólnoty pierwotnej poprzez feudalizm do komunizmu, ale jednocześnie od strony propagandy dochodziło coś zupełnie innego, wpajano w nas przeświadczenie, że historii nie ma, że nie ma przeszłości. Że przeszłość jest w ogóle nieważna. Że ją likwidujemy, skreślamy jako okropną, wsteczną i nikczemną. Wszystko, co ludzkość przeszła, jest do odrzucenia jako okropny śmietnik historii. Stalin wszystko, co było przedtem w historii, wyrzucał na śmietnik. A od nas zaczynała się nowa, świetlana przyszłość ludzkości, którą mieliśmy zbudować.

TRZNADEL: — *To schemat w gruncie rzeczy bardzo orwellowski.*

RYMKIEWICZ: — Zaczynała się od nas historia, która nie miała już być historią, bo oczywiście miała stanowić jedno wieczne teraz ludzkiego szczęścia. A jednocześnie marksizm pomyślany wówczas jako nauka uczył, że przeszłość, historia, istnieją i że są bardzo ważne. Była więc w tym jakaś niekonsekwencja. Z jednej strony trzeba było wiedzieć, co się działo między wspólnotą pierwotną a feudalizmem, a z drugiej strony mówiono mi, że to wszystko o dupę potłuc i wyrzucić na śmietnik.

TRZNADEL: — *To ważne, co mówisz. Był to chyba nieświadomy, podskórny element myślenia inteligencji twórczej, intelektualistów, związany z likwidowaniem tradycji.*

RYMKIEWICZ: — Ta sprzeczność, której wtedy nie chwyciłem jasno, musiała na mnie jakoś działać. I kiedy już zacząłem pisać, to właściwie wszystko, co robiłem, od rzeczy najdrobniejszych, od tego że próbowałem bardzo nieudolnie rymować te moje wiersze, jak tylko rozumiałem, że można je rymować, to wszystko brało się z oporu przeciwko likwidacji przeszłości. To jest oczywiście bardzo łatwe do wytłumaczenia w kategoriach psychologicznych. Taki młodzieńczy bunt — ponieważ mówicie mi, że nic nie było i wszystko jest do wyrzucenia, to ja się na to nie zgadzam i właśnie będę wam mówił co innego. Oto będę pisał taką rymowaną strofą, jaką wy piszący łamanymi schodkami Maja-

kowskiego już nie potraficie pisać. Ponieważ wy gardzicie przeszłością, to ja będę ją kochał. I to ukształtowało fundament mojego pierwszego, jeszcze bardzo dzieciennego pisania. Ta likwidacja historii była dla mnie nie do przyjęcia. Muszę powiedzieć, że przez wiele lat bardzo powoli dochodziłem do jakiejś sensownej wiedzy historycznej. Właściwie myślę dzisiaj z przerażeniem o tych dzieciach, które się uczą historii w szkole i na uniwersytetach. Bo tak łatwo, prostymi środkami i zabiegami, odciąć człowieka od historii. I tak trudno jest wtedy dojść do wiedzy historycznej. Po prostu wystarczy zabrać książki. I wystarczy przestać o czymś uczyć. Żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba dokonywać wówczas nadludzkich wysiłków.

TRZNADEL: — *Dzisiaj jest trochę książek, ale są też mass-media, przed którymi siedzi młodzież. I fałsz jest pompowany.*

RYMKIEWICZ: — Wtedy jeszcze tego nie było. Moje ówczesne mass-media to jest oddzielne wspomnienie. Na przykład moje kontakty z kinem. Kiedy zacząłem chodzić do kina? Pewno gdzieś w 1945 czy 1946 roku, jak zamieszkaliśmy w Łodzi, czyli jak miałem dziesięć czy jedenaście lat. Jeszcze grano polskie filmy przedwojenne. I jakieś amerykańskie przedwojenne komedie, które widać gdzieś tam ocalały, w jakichś składach, bardzo — pamiętam — śmieszne. Ale potem to wszystko zniknęło. A chodziłem do kina w pewnym okresie z niebywałą pasją, walczyłem o to, ponieważ rodzice uważali, że to kino mnie oglupia, i usiłowali na to wpływać. Pamiętam moje walki o to, żeby chodzić do kina trzy, cztery, pięć razy w tygodniu. I oczywiście chodziłem na filmy w rodzaju *Admirała Nachimowa*, bo potem już były tylko takie filmy. Było bardzo dużo rosyjskich filmów historycznych, które składały się właśnie na moje wychowanie historyczne. Ale oczywiście zamulało mi to głowę, nie zostawiało miejsca na prawdziwą historię. Strasznie łatwo jest człowieka wydziedziczyć, zabrać mu przeszłość. Widzę to po sobie, widzę teraz, kiedy wspominać. I myślę z rozpaczą o tamtych latach, mimo że moja chęć życia wreszcie zwyciężyła. Ale mój idiotyzm, moje oglupienie, ilość straconego czasu wspominać z rozpaczą.

TRZNADEL: — *A co myślałeś w tamtych latach o Polsce, o Związku Sowieckim, o ojczyźnie?*

RYMKIEWICZ: — Byłem całkowicie zaindokrynowany. Myślałem, co mi kazano. Rosja sowiecka jawiła mi się jako idealny model przyszłości. I jako projekt największego szczęścia ludzkości.

Gdyby wtedy, w roku pięćdziesiątym czy pięćdziesiątym pierwszym, ogłoszono utworzenie z Polski siedemnastej republiki, to biłbym brawo. I wznosiłbym okrzyki chodząc po Piotrkowskiej, i ci ludzie na chodnikach już by nie patrzyli na mnie z niechęcią, bo pewnie by już w ogóle zniknęli z chodników. Ale to było Stalinowi niepotrzebne i zachował się rozsądnie. Musiałby miliony posłać wtedy na Syberię, a myślę, że nie miał tam tyle miejsca. To można było zrobić z krymskimi Tatarami, ale Polaków było za dużo, nie miał na to środków technicznych. Wreszcie walki w lasach skończyły się ostatecznie chyba gdzieś w '53 roku. Gdyby wykonał coś takiego jak włączenie Polski, to miałby te walki jeszcze dużo dłużej, więc po co mu to było?

Rozmawiałem niedawno z kimś nieco starszym ode mnie, z kimś w twoim wieku, kto mi powiedział, że dla niego szesnaście miesięcy Solidarności jest największym historycznym przeżyciem w jego życiu. I najważniejszym dla jego sposobu myślenia. Mogę się z tym zgodzić. Dla Polski jest to na pewno najważniejsze wydarzenie od roku 1945, największy zryw narodowy i fakt historyczny. Natomiast jeśli chodzi o moje małe, prywatne życie, to rok '56 — chociaż widzę dzisiaj, jak wtedy nami manipulowano, kto to robił, widzę całą małość, całą nędzę tamtych czasów — był najważniejszym wydarzeniem mojego życia. Ze względu na to, kim jestem, i co tamten czas ze mnie zrobił. To wypadło akurat na tę chwilę, kiedy stałem się dorosłym człowiekiem.

TRZNADEL: — *Dla mnie najbardziej ważkim i emocjonalnie liczącym się okresem jest jednak czas wojny i hitlerowskiej okupacji. Miało to różne, swoiste zresztą oddziaływania także w okresie stalinizmu. Rok 1956 był dla mnie ostatecznym otrząśnięciem się z kilkuletniego czadu, natomiast Solidarność nie dorzuciła mi niczego w sferze poglądów, choć oddziaływała na sferę emocjonalną i zachowań. Bo poglądy i odruchy zmienił we mnie ostatecznie pierwszy pobyt w Paryżu, w latach 1966-1970.*

RYMKIEWICZ: — Solidarność wyzwoliła ze mnie coś nowego, obudziła we mnie jakieś nowe siły, siły oporu. Przez kilka tygodni, kilka miesięcy czułem się w wolnym kraju. Gdybyśmy zapytali w tej kwestii Adasia Michnika, to pewnie powiedziałby, że dla niego najważniejszy był marzec '68 roku, że to go ukształtowało, i że on czuł się w wolnym kraju, kiedy szedł manifestować pod Teatr Narodowy w okresie zdejmowania *Dziadów*. Może wtedy poczuł się całkowicie wolnym człowiekiem, tak się domyślałem. Dobrze byłoby go o to spytać.

TRZNADEL: — *Własny udział.*

RYMKIEWICZ: — Własny udział i własne młodzińcze przeżycie. Ja w '56 roku zrozumiałem, że jestem wolny, że swej istoty wolny, i mogę robić, co chcę. Oczywiście, nie mogę powiedzieć, że później zawsze tak robiłem, to byłoby za piękne, ale świadomość, że jestem wolny i że moja wolność zależy tylko ode mnie, uzyskałem wtedy, i to było przeżycie dwudziestolatka, więc niesłychanie silne. Pamiętam też, że słuchając przemówienia Gomułki, tego zasadniczego przemówienia na ówczesnym plenum — słuchałem go w kawiarni, bo to było wszędzie słuchane — śmiałem się. Ponieważ już wiedziałem, że oni kłamią, że już zaczyna się nowe oszustwo. Nie wierzyłem ani jednemu słowu, wiedziałem, że skończy się to tak, jak się skończyło. I to była bardzo wczesna wiedza, bardzo cyniczna, wobec tego nawet dość nieprzyjemna, szczególnie, że temu wierzono, że wtedy i młodzi, i intelektualiści dali się temu ponieść. I nigdy już potem w poglądy tego systemu nie uwierzyłem, choć nie zawsze umiałem wyciągnąć z tego wnioski.

TRZNADEL: — *Kiedy pojawiła się wiedza, że żyjesz w epoce państw totalitarnych, że na Wschodzie jest państwo totalitarne i że dokonano zbrodni na narodzie polskim?*

RYMKIEWICZ: — Chyba w '56 roku, ale pewnie na bardzo jeszcze prymitywnym poziomie i jeszcze z wielkimi lukami, jeśli chodzi o zdarzenia historyczne i wiedzę o historii tego systemu. Bo do tego dochodziłem bardzo powoli. Ale takie pocucie, że to, co zdarzyło się w Niemczech, było tylko próbą generalną wykonaną na innym materiale, że wiek dwudziesty jest wiekiem państw totalitarnych, miałem już w roku '56.

TRZNADEL: — *W 1956 roku ukazuje się, wydany przez paryską „Kulturę”, Koniec wieku ideologii Raymonda Arona, ten sam autor publikuje rok później swoje Opium dla intelektualistów. I teraz, gdyby odejść od twoich najściślej osobistych losów, czy można kusić się na odpowiedź dotyczącą pytania o całą formację polskich intelektualistów i artystów: dlaczego tak wielu dało się w te tryby wciągnąć? Dawno to i niedawno: widywaliśmy tych ludzi, a innych możemy jeszcze widywać, pamiętam przecież żywą Dąbrowską, żywego Gączyńskiego, żywego Tuwima i tak dalej, było się właściwie świadkiem, świadek może pytać siebie, dlaczego?*

RYMKIEWICZ: — Kiedy patrzę na to dzisiaj, że zgrozą, jak wszyscy na to patrzymy, kiedy myślę o tych polskich liberalnych

inteligentach, którzy wydobyli z siebie wówczas — w różnych zresztą dawkach — jakąś niesamowitą potworność, to moje spojrzenie, moje myślenie o tych ludziach jest oczywiście zdominowane przez poczucie krzywdy. Dlatego nie mogę być sprawiedliwy, bo mogę tylko mieć do nich pretensje. Bo jeśli mówię o sobie, że byłem idiotą, że straciłem kilka lat młodości na dziecinne borykanie się z tym systemem, który chciał mnie ujarzmić i wreszcie na jakiś czas mnie ujarzmił, no to muszę powiedzieć, że winien temu nie był abstrakcyjny system, bo każdy system jest czymś dziełem, tylko ci, którzy tę potworność tutaj propagowali. Winni byli ci starsi, mogę dziś o nich powiedzieć: koledzy moi, ale przecież nie dotyczy to tylko pisarzy, więc winna była cała polska inteligencja liberalna. Była winna, ponieważ dała się wpuścić w maliny, ale to powiedzenie jest oczywiście o wiele za łagodne. Była winna, ponieważ dała się oszukać, a na dodatek oszukiwała takie dzieci, jak ja. No więc mam oczywiście poczucie strasznej krzywdy i nie mogę być wobec nich sprawiedliwy, bo chciałbym krzyczeć: to wyście mi to wtedy urządzili. Z drugiej strony, kiedy szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego kochałem Stalina, bo przecież go kochałem, kochałem zbrodniarza będąc dzieckiem, nie znajduję na to sensownej odpowiedzi poza tą, że byłem dzieckiem i zostałem zaindoktrynowany. Więc i o nich mogę powiedzieć to samo: byliście jak dzieci i zostaliście zaindoktrynowani. Nie mam tutaj wyraźnej odpowiedzi, dlaczego to wszystko się stało, a oczywiście chciałbym mieć tę odpowiedź. Domaga się tego poczucie krzywdy wciąż we mnie żywe, choć lata minęły, ale także ludzkie pragnienie, żeby sytuacje moralne były jasne, białe było białym, a czarne czarnym. Najchętniej przyjąłbym odpowiedź Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, że się bali, chcieli mieć dobrze, chcieli mieć samochody, zaszczyty, pieniądze. Powiadam, chciałbym przyjąć taką odpowiedź, ona oczyściłaby mi pole: byliście podli, mali, łapczywi, kiedy naród cierpiał i stał w kolejkach, a chłopcy siedzieli w więzieniach albo byli wysyłani na Sybir, to wyście na tym korzystali najpodlej, jak można na świecie. Ale wiem, że ta odpowiedź nie jest całkiem prawdziwa. Ze ona nie dotyczy wszystkich.

TRZNADEL: — *Myślę, że dotyczy raczej postaci drugorzędnych...*

RYMKIEWICZ: — Raczej drugorzędnych. Tej odpowiedzi nie możemy przyjąć, gdyż — jeśli chcemy z tej sprawy coś pojąć — nie możemy być w naszych wyrokach moralnych sędziami.

TRZNADEL: — *Czy masz poczucie, że odpowiedź na to została*

dana? Nie zastanawiam się w tej chwili nad tym, czy podobna odpowiedź jest w ogóle w pełni możliwa...

RYMKIEWICZ: — Nie, nie została dana, zostało dane wiele cząstkowych odpowiedzi, i choć chciałbym przyjąć odpowiedź Herlinga, to przyjąć jej nie mogę, nie mogę także przyjąć odpowiedzi Miłosza ze *Zniewolonego umysłu*, ponieważ ta odpowiedź wydaje mi się raczej pięknym konceptem. Niedawno przeczytałem na świeżo *Zniewolony umysł* i rozumiem, że Miłosz chciał sam sobie coś wyjaśnić, szukał szybko odpowiedzi, wobec tego zbudował składną konstrukcję myślową, ale wreszcie dość chwiejną. Myślę, że tej odpowiedzi nie możemy szukać w tych ludziach, którzy dali się w to wciągnąć, czy dali się zaindoktrynować. Jeśli będziemy tego szukali w nich, to dojdziemy do tego, że będziemy szukali złych stron ich natury ludzkiej, że będziemy się grzebali w ich najniższych instynktach, dojdziemy wreszcie do takich psychologicznych odpowiedzi: ten to zrobił dlatego, że chciał mieć samochód, a tamten dlatego, że był przed wojną postępowym liberałem i nie wierzył w Pana Boga. A trzeci był w strasznym strachu. Więc nie w nich tej odpowiedzi trzeba szukać, bo nie znajdziemy na tej drodze prawdziwej odpowiedzi. Trzeba szukać tej odpowiedzi w sile systemu, w analizie systemów totalitarnych dwudziestego wieku, w ich działaniu. Trzeba podejść do tej odpowiedzi z zupełnie innej strony. To niewątpliwie był wielki nacisk, ten cały system propagandowo doktrynalny, i nacisk sytuacji historycznych, którymi się posługiwał ten system dla swoich celów. Przecież to zagarniało także ludzi szlachetnych, także mądrych, nie tylko łajdaków, nie tylko tych, co się bali. Więc to było bardzo potężne, było wreszcie potężne także i w Niemczech, we Włoszech... Nie jest tak, że to zagarnęło tylko miernoty.

TRZNADEL: — *Myślę, że potężny cios zadała demokracji pierwsza wojna światowa. Nie tylko przez różne chęci odwetowe, ale także przez panikę wobec masy trupów na pobojowiskach Europy, pod Verdun; i ekstremalne w wynikach pragnienie, że po tej wojnie świat powinien się zmienić. To było pożywką dla nastrojów, jakie ogarnęły liberalną inteligencję. Dołączył się kryzys przekonań religijnych związanych z chrześcijaństwem i przychodziło na to miejsce to, co Koestler nazwał krucjatą bez krzyża.*

RYMKIEWICZ: — Ale ta wiara poczyna się z Wielkiej Rewolucji Francuskiej, z Robespierre'a, nie?

TRZNADEL: — *Tak, zapewne, już cały wiek XIX jest kuźnią.*

Tylko wiek XX stał się właściwą eksplozją. I okazało się, że ta wiara nie stworzyła oswabdzających krucjat, ale zniewalające, totalitarne.

RYMKIEWICZ: — Wiara w przemianę świata...

TRZNADEL: — *Magiczną...*

RYMKIEWICZ: — *Magiczną... ona nie istniała jeszcze w siedemnastym wieku. To się zaczęło pod koniec XVIII wieku.*

TRZNADEL: — *Wiek XVII był jeszcze wiekiem partykularyzmów. Trzeba by się cofnąć po tę ideę całości świata aż do krucjat średniowiecznych. A potem długi czas chyba tego nie było. Pośrednią inspiracją totalną mogły być wojny napoleońskie, takie rzeczy zostają w pamięci historycznej. Wytworzyć całość, zjednoczyć, scalić, dać nowe prawo przemocy. Zbyt jeszcze patrzymy poprzez heglizm na wojny napoleońskie. Ale Żeromski miał przeświadczenia...*

RYMKIEWICZ: — *W Napoleonie też żyje taka idea, chęć przebudowania świata, ustanowienia nowego porządku w Europie. I to jest oczywiście wiara z ducha swojego robespierre'owska.*

TRZNADEL: — *Czy nie można tego uważać za część podświadomości historycznej inteligencji? W stosunku do bardzo szerokich warstw społeczeństwa nie jest to przesłanka, bo oczywiście wiedza historyczna odgrywa tu mniejszą rolę. Bo myślę, że w stosunku do inteligencji, zwłaszcza twórczej, trzeba szukać dalej idących uwarunkowań. Bo jak inaczej tłumaczyć poszczególne gesty? Dlaczego na przykład poeta polski, żołnierz 2-go Korpusu armii generała Andersa, który na dodatek do 1950 roku przebywał w Paryżu, pisze po powrocie wiersz, w którym tak zwane oswobodzenie, to znaczy oswobodzenie Polski od hitlerowców przypisuje tylko żołnierzom znad Oki oraz Armii Czerwonej?*

RYMKIEWICZ: — *Ale jeśli będziesz chciał dowiedzieć się, dlaczego właśnie ten poeta to zrobił, to dojdiesz do takich psychologicznych badań...*

TRZNADEL: — *Rozumiem, ale on nie był jedyny, my też, gdyby był jedyny, to byłaby psychologia...*

RYMKIEWICZ: — *Każdy był w pewnym sensie jedyny.*

TRZNADEL: — *Musi być wspólna platforma przesłanek. Ja nie*

chcę dowiedzieć się, co w każdym było, że się ugiął, ja chcę wiedzieć, pod którą presją z wachlarza presji epoki się ugiął. To jest jedna z twoich przesłanek. Ale całość odpowiedzi na pytanie o świadomość historyczną epoki i jej moralność musi się wspierać według mnie na świadomościach poszczególnych. Każda z tych świadomości zauważa inną cechę epoki, a potem zsumujemy najważniejsze wyróżniki. Inny przykład, dość drastyczny. Miałem niedawno w ręku „Nowe Widnokreślenie”. W dwu zeszytach wydanych jeszcze we Lwowie przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej są następujące składy redakcji: Helena Usijewicz, Zofia Dzierżyńska, Wanda Wasilewska, Julian Przyboś i Tadeusz Boy-Żeleński. Cóż więc sprawiło, że Boy, wielki Europejczyk, kawaler francuskiej legii honorowej, członek PAL, nie mówiąc o napisa-nych książkach i wiekach tradycji europejskiej, jakie przyswoił — wchodzi w skład takiej redakcji? Czy był to po prostu tylko „wielki strach”?

RYMKIEWICZ: — *Ale na podstawie doświadczeń wyniesionych z tamtego Lwowa uformował swoją odpowiedź Herling-Grudziński, który uważał, że Lwów był rodzajem poligonu, na którym odbywały się manewry. Miało się z nich okazać, jak później rozegrać całą sprawę polską. A znasz opowieść o tym, jak Boy skacze przez okno? To jest właściwie opowieść już o śmierci Boya. Sowieci chcieli Boya wywieźć do Moskwy, żeby go uratować przed Niemcami. Przyjechał samochód z oficerem NKWD, który miał go zaprosić z walizkami do samochodu, było tam dla niego miejsce, a Niemcy dochodzili już do Lwowa. Boy wyskoczył przez okno do ogrodu, uciekł. Ze strachu. Domyślając się — błędnie — po co po niego przyjechali. Nie wiem, czy to prawda. Znalazłem tę historię w jakichś wspomnieniach. Ale czy strach wszystko wyjaśnia? Kilka dni temu zobaczyłem gdzieś jakąś starą fotografię Sartre'a i Simone de Beauvoir. Stoją z Chruszczowem w jakimś łasku, Chruszczow uśmiechnięty coś im pokazuje, nie wiadomo co, wyciąga rękę. Sartre stoi obok niego i uśmiecha się lizusowsko. Uśmiecha się jak taki lizus w klasie, co chce się przypochlebić pani nauczycielce. No, ten się nie miał czego bać. A jednocześnie był to przecież nie byle kto. To był jeden z najpotężniejszych umysłów Europy.*

TRZNADEL: — *I Aragon nie miał się czego bać. Pisarstwo Sartre'a to jedna ze złudnych odpowiedzi na tę tragedię umysłową i okropne rozterki całego pokolenia.*

RYMKIEWICZ: — *A jednocześnie ma na twarzy lizusowski*

uśmieszek Voltaire'a. Który uśmiecha się do Fryderyka czy do Katarzyny. Niemili uśmiech i bardzo nieprzyjemne zdjęcie.

TRZNADEL: — *Zwróciłem uwagę, że dla ludzi Zachodu liczy się to, że Związek Radziecki jest siłą. To wpływa niestety także na ich racje intelektualne... U nas jednak uwarunkowania były trochę inne. Jeśli chodzi o Łwów, masz chyba rację mówiąc, że to była trochę wylęgarnia. W późniejszych „Nowych Widnokregach” już po bitwie pod Lenino zamieszczono listę odznaczonych orderami polskimi i sowieckimi. Prócz Berlinga i Sokorskiego odnajdzie się tam dużo ludzi, którzy potem uczestniczyli we władzy w Polsce. Ale w Polsce ten wielki strach był chyba mniejszy? Przynajmniej dla pisarzy?*

RYMKIEWICZ: — Jeśli odpowiedź na pytanie, dlaczego polscy inteligenści w latach czterdziestych i pięćdziesiątych tak łatwo i tak chętnie się poddali, nie ma być za każdym razem inna i nie ma dotyczyć psychologii konkretnego człowieka, to znaczy opowiadać tylko o strachu czy o chęci zyskania czegoś, zrobienia kariery, to tej odpowiedzi należy szukać w systemie, w jego sposobach, w jego magicznych zabiegach. A z drugiej strony trzeba jej szukać wcześniej, w dwudziestoleciu międzywojennym, w warunkach, w jakich ta inteligencja się kształtowała, w sposobach myślenia ówczesnej elity, w jej stosunku do ówczesnej władzy, do ówczesnej Polski i do polskiej biedy, w rodzaju jej liberalizmu. Trzeba pytać, czym wtedy ten liberalizm był determinowany, czym był determinowany indyferentyzm wyznaniowy polskich inteligentów. Tam, jak sądzę, jest odpowiedź na nasze pytanie.

TRZNADEL: — *W momencie największego rozczarowania do demokracji typu liberalnego ktoś przynosi ci na półmisku nową wiarę, a jednocześnie wiadomo, że ten nowy ustrój będzie trwał, podświadomość mówi ci też, że nic innego nie jest oferowane — to jesteś skłonny to przyjąć. Masz rację, że istniało jednocześnie, wzmocnione urazem klęski wojennej, niestychane rozgoryczenie do sanacji, którą utożsamiano z tą — choć względną — ale demokracją dwudziestolecia. Dużo należy też tłumaczyć siłą pewnych gorzkich, choć i magicznych przymysłów okresu wojny, choć pod tym względem okres ten nie jest prawie zbadany.*

RYMKIEWICZ: — Ten liberalizm, który właściwie w dwudziestoleciu ukształtował się na dobre, ten rodzaj związku z Polską, jaki wtedy powstał, to wszystko było bardzo kruche. Jednocześnie po okresie patriotycznych zobowiązań dziewiętnastowiecznych ta liberalna inteligencja wpadła w rodzaj rauszu. Uznała, że wresz-

cie odczepiła się od sprawy polskiej. A że tamta Polska okazała się dla nich nie do przyjęcia, a potem łatwo runęła, więc też łatwo było nią wzgardzić. A jednocześnie już nie było jakby pamięci, ile ona kosztowała w dziewiętnastym wieku, bo to były nie ich koszty, ale ich ojców i dziadów. A oni mieli Polskę łatwiejszą, dostali ją, i od razu im się nie podobała, i pewnie słusznie się im nie podobała, bo pewnie nie była dla nich miła. Przywiązanie do Polski było więc bardzo kruche, a jednocześnie ten liberalizm, taki boyowski z ducha, był właściwie bardzo płytki, pożyczony z Zachodu. I łatwo się było tego wszystkiego wyprzeć.

TRZNADEL: — *Nie wszystkich to oczywiście dotyczy. I nie wszystko działo się w sferze kultury. Myślę, że zabrakło także dla elit długiej perspektywy doświadczenia, to wszystko następowało bardzo szybko, jedno po drugim. Były jakieś błyskawicowe zmiany, szoki, sytuacje jak na historycznym ringu — przed wojną, podczas wojny i po wojnie. Pamiętajmy też, że w wyniku wojny zostały zrujnowane tradycyjne układy środowiskowo-społeczne, więzi międzyludzkie i instytucjonalne, sprzyjające klarowaniu się postaw światopoglądowych i społecznych. Decyduje to o oporze pewnych środowisk. Podwójna okupacja te więzi zniszczyła, a konspiracja nie mogła ich zastąpić. Zniszczono także ludzi, rozstrzelano, powywożono. Ostatni cios, może największy — to losy warszawskiego powstania. Cóż, tyle że Polska znowu oznaczała potworne koszty.*

RYMKIEWICZ: — Czy nie myślisz, że poczucie krzywdy, o którym mówiłem, może też być skierowane w drugą stronę? Przecież temu reżimowi udało się, co wynika z moich wspomnień, zdobyć młodzież, ubrać ją w zielone koszule z czerwonymi krawatami, i tej młodzieży było bardzo dużo. Cała ta młodzież była pewnie tak zidiociąta, jak ja byłem zidiociąty. Otóż jeśli mówię, że mam poczucie krzywdy i jestem gotów obwiniać starszych o to, że zmarnowali mi dzieciństwo i wczesną młodość, a także o to, że to oni sprawili, że ich dzieci były do cna ogłupione, to może oni mogliby powiedzieć, że to my im to urządziliśmy, i że to oni zostali skrzywdzeni przez nas, bo oni widzieli tysiące młodych chłopców i dziewcząt wychodzących na ulice i skandujących te głupstwa. Widzieli, ile jest tej młodzieży, cała prawie młodzież inteligencka była w to złapana. Może nasi rodzice po prostu nas się bali? Nie wiem, czy między moim ojcem i moją matką nie odbywały się rozmowy: — Lepiej przy nim nie mówmy! Nie mów przy nim, bo powtórzy w szkole! — Więc oni także zostali skrzywdzeni przez nas. Musieli cierpieć. Gdy ojciec zoba-

czył, że czytam ten egzemplarz gazety okupacyjnej z komunikatem o Katyniu, powinien być ze mną porozmawiać. Jeśli nie porozmawiał, to widocznie uznał, że lepiej nie rozmawiać. Może lepiej, abym nie wiedział i przyjął to, co mówią w szkole.

TRZNADEL: — *To wszystko mogło funkcjonować tylko w warunkach obiektywnego niedosytu informacyjnego.*

RYMKIEWICZ: — Tak, można obciążać starszych, że nie próbowali odbudować informacji, podsuwać nam książek, nakłaniać do czytania.

TRZNADEL: — *Pamiętaj, że książek było mało, dużo książek poginęło, jeśli chodzi o te z dwudziestolecia. I na pewno były specjalne akcje przeczyszczenia publicznych bibliotek.*

RYMKIEWICZ: — W Łodzi było mało książek, przez to miasto przeszli Niemcy.

TRZNADEL: — *Gdzie indziej działali także oświatowi z PPR. Chodzi też o to, że pewne świadectwa pojawiają się dość późno: Czapski, Herling-Grudziński, Orwell — te książki miały szansę dotrzeć dopiero w okolicy polskiego października, a po wojnie mieliśmy tylko bezpośrednią wiedzę historyczną i przekaz ustny.*

RYMKIEWICZ: — Książki „Kultury” także pojawiają się w Polsce koło roku 1955. Kiedy kończyłem studia w '56 roku, zacząłem pracować na uniwersytecie w Łodzi i pracowałem tam dwa lata. Pamiętam, że chciałem wtedy pisać doktorat o Miłoszu. Napisałem do niego i przysłał mi cały zestaw książek. I to chyba były pierwsze książki „Kultury”, jakie miałem w domu, Światło dzienne, Z niewolony umysł. Już byłem na uniwersytecie, a zacząłem tam pracować na jesieni '56 roku.

TRZNADEL: — *Mówimy o Polsce, ale czy w inny sposób ta sama fala nie przeszła przez całą Europę?*

RYMKIEWICZ: — Oczywiście, że przeszła, bo to było zjawisko nie tylko z zakresu militarnego, także duchowe. Myślę, że to nie ominęło nawet małych krajów, jak jakaś Norwegia czy Cypr, tam też pewnie znaleźli się jacyś intelektualiści, którzy pokochali Stalina i usiłowali mu służyć.

TRZNADEL: — *Sowieckie służby specjalne też się o to starały. I karmiono nas wiadomościami, że wszędzie to dochodzi do głosu, by zwyciężyć.*

RYMKIEWICZ: — Karmiono cię wiadomościami o postawie Sartre'a czy Picassa, ale nie wspomniano o Ignazio Silone czy Orwellu.

TRZNADEL: — *Czy dla twojego pokolenia kataklizm wojenny odgrywał rolę w przyjęciu nowej ideologii?*

RYMKIEWICZ: — Nie, dla mnie wojna była przeżyciem zupełnie dziecinny, a zarazem tak się szczęśliwie złożyło, że moja rodzina nie poniosła prawie żadnych istotnych strat, nie została dotknięta śmiercią kogoś z najbliższych czy wywózką do obozu koncentracyjnego. Więc nieszczęście osobiste jakby nie dotarło do mnie, a jednocześnie byłem chowany pod kłosem. Z wojny wyniosłem jakieś dziecięce lęki, ale nie przeżyłem jej jako faktu historycznego. Dla mnie historia zaczyna się naprawdę dziać w 1945 roku w Gołkowie pod Piasecznem, gdzie mieszkaliśmy po wyjściu z Warszawy. Właściwie nie wyszliśmy, bo nie przeżyliśmy powstania w Warszawie, znaleźliśmy się tam po wakacjach, w tym Gołkowie, i historia zaczyna się dopiero z wkroczeniem Rosjan. Mam z tego czasu kilka nieprzyjemnych wspomnień. Miałem już wtedy poczucie, że na moich oczach rozgrywa się jakaś historia, wkracza wojsko, wjeżdżają czołgi, jakiś oficer NKWD przychodzi i wypytuje sąsiadów, kim jest ta pani doktor z Warszawy. Narasta jakaś groza, ale przedtem działo się coś na kształt groźnego snu dzieciństwa.

TRZNADEL: — *Dla mnie wojna to było bezpośrednio zagrożenie życia i wieloletni zdławiony strach. Gdy to odpadło, w te nastroje weszła propaganda typu sowieckiego, do dziś dnia żerująca na okrutnej prawdzie. Bo stało się coś, co mogło przestąpić ich zbrodnie. I ciągle się słyszało, że krajem, który pokonał tych największych zbrodniarzy, to był Związek Radziecki. To się przyczyniało także do przyjęcia tej ideologii.*

RYMKIEWICZ: — Ja w tamtych latach też musiałem mieć podobne poczucie. Że oni ich pokonali i nas wyzwolili. Zaszczepiono wtedy nam wszystkim fałszywą perspektywę widzenia historycznego tamtych lat i ja z tą perspektywą jeszcze do tej pory walczę, z czego wynika, że muszę ją mieć bardzo głęboko wpojona od dzieciństwa. Rok '39 to jest początek wojny z Niemcami, rok '45 to jest wyzwolenie, no a potem jest stalinizm i dalsze perypetie Polski. Tę perspektywę mają chyba prawie wszyscy. Otóż wydaje mi się, że to się zmieni, że to będzie wyglądało zupełnie inaczej. Rok '39 to nie jest wybuch wojny światowej, tylko konflikt niemiecko-rosyjski o Polskę, o to, kto będzie wła-

dał krajem między Bugiem a Wartą, z tym że ten ich konflikt zaczął się od paktu pokojowego. Jeśli tak na to spojrzeć, to ta gra od września '39 roku trwa bez przerwy, może i do dziś, jeszcze się nie skończyła, i '45 rok jest tylko epizodem, tak jak i '41 jest jednym z epizodów tej wielkiej gry. Natomiast z perspektywy ludzi, którzy wymknęli się śmierci, bo zaraz ich Niemcy mogli zabić, a tu już Niemców nie ma i przyszli ci, którzy nie zabijają od razu, '44 i '45 rok był oczywiście niebywałym i bardzo szczególnym wydarzeniem. Natomiast jeśli spojrzymy na to z perspektywy stuleci, z perspektywy długiego trwania, to był to tylko epizod, tylko jedno z posunięć w tej grze, którą oni między sobą o nas toczą.

TRZNADEL: — *Ja też mam to przekonanie, że wciąż jeszcze weryfikuję kolejne fragmenty mitów historii zaszczipionych przez propagandę komunistyczną. Jednym z tych mitów jest mit niemiecki, gdzieś po drodze jest zapewne częściowo frankistowski mit hiszpański.*

RYMKIEWICZ: — Tak. Wystarczy wziąć kolejne mapy Polski i zobaczyć jak ta Polska XX wieku przesuwana się na tej mapie, to jest, to jej nie ma, to jest taka, to inna, i porównać to z okresem rozbiorów i wojen napoleońskich, Księstwa i formowania się Królestwa, i potem wcielania Królestwa do Rosji, aż do utworzenia nad Wisłą rosyjskiej guberni.

TRZNADEL: — *W historii II Rzeczypospolitej przesunięcia graniczne przecież są ciągłe, a przed samą wojną jest — po aneksji Czechosłowacji — Zaolzie, i Węgry dochodzą do granicy polskiej.*

RYMKIEWICZ: — Zaczyna się ruch na mapie. Nie wiem jeszcze, czy ten ruch skończył się w '45 roku. Ja mam złe przeczucia.

TRZNADEL: — *Jaką wizję historyczną mogą mieć nasze dzieci, jeśli my, intelektualiści, czytający sporo, ciągle zdajemy sobie sprawę z niedoborów naszej wiedzy czy jej fałszowania?*

RYMKIEWICZ: — Ale dla naszych dzieci granice z '39 czy '45 roku znaczą tyleż, co dla nas granice po pokoju w Tyłży... Przeszłość się kurczy, dla nich to się zbiło w jedno, 1807 i 1939 są tuż obok siebie. Tylko to, co jest obecnie, wydaje się długie i nasyczone.

TRZNADEL: — *Ale czy nie zgodzisz się, że te mity stalinowsko-totalitarnej propagandy historycznej trwają aż po dziś dzień, mię-*

dzy innymi problem niemiecki, i są bardziej sugestywne niż jakieś sprawy doraźne i praktyczne, które łatwiej jest zweryfikować?

RYMKIEWICZ: — Może to jest błąd perspektywy, bo zajmuję się XIX wiekiem, ale mnie to, co się z nami dzieje, wydaje się niesłychanie dziewiętnastowieczne. To znaczy, wydaje mi się, że historia tej części Europy jest nadal wyznaczona przez napięcie rosyjsko-niemieckie, jak w XIX wieku, i dzieje kształtują się tutaj pod naporem tych dwóch imperiów. Z tej perspektywy konflikty ideologiczne są znacznie mniej istotne, bo jeśli spojrzymy na to, co się z nami dzieje, z perspektywy historii politycznej, historii granic, to spostrzeżemy, że ideologia, siła ideologii, jest tylko środkiem, używanym do wykreślenia takich a nie innych granic.

TRZNADEL: — *Czy nie przemieścił się jednak światowy punkt ciężkości? To już nie jest tylko historia Europy. Są Stany Zjednoczone, Daleki Wschód...*

RYMKIEWICZ: — Ale dla naszych losów tutaj to akurat nie ma wielkiego znaczenia. W tej polskiej perspektywie Stany odgrywają rolę dziewiętnastowiecznej Francji czy Anglii. Miejsce emigracji, miejsce nacisków na imperium rosyjskie.

TRZNADEL: — *A w myśleniu apokryficznym o historii: jak dzisiaj Stalin odnajdywałby się u władzy?*

RYMKIEWICZ: — Wróćmy do tego, od czego zaczęliśmy. Gdyby dożył do osiemdziesiątki, jak Salazar, albo do dziewięćdziesiątki, gdyby stosował dietę i gdyby go nie zabili, to miałby coraz większą sklerozę i mordowałby z rosnącym okrucieństwem. Nasz świat by inaczej wyglądał. Nie byłoby Polski gomułkowskiej..

TRZNADEL: — *Odbyłby się pewnie proces Gomułki...*

RYMKIEWICZ: — Mogliby go zabić, gdyby wywarli odpowiedni nacisk. Utrwaliłyby się kołchozy. Już nie byłyby do zlikwidowania. Żaden następny Gierek nie mógłby ich rozwiązać.

TRZNADEL: — *Wątpię, aby chłop polski był zdolny do takiego oporu jak chłop ukraiński, którzy zresztą zapłacili za to życiem.*

RYMKIEWICZ: — Wieś została by skolektywizowana, ale może nie doszłoby do nowej wojny światowej ze starym Stalinem.

TRZNADEL: — *Bardzo był ostrożny, na starość ta ostrożność*

chyba by wzrosła. Byłoby jakieś zamrożenie. W każdym razie: czy umarł do końca? W tym, co obserwujemy naokoło?

RYMKIEWICZ: — Myślę, że tak. Myślę, że żyje wielki i godny podziwu duch Piotra i Katarzyny, ale nie sam Stalin...

TRZNADEL: — *Pewnych spadkobierców jednak ma...*

RYMKIEWICZ: — Nie, czuję zasadniczą różnicę jakościową między tym, co było w latach mej młodości, a tym co jest teraz. Wszystko jest inne. Żyjemy w innej epoce. Stalin by ich wszystkich posłał na białe niedźwiedzie za używanie słowa realny socjalizm. Z punktu widzenia doktrynalnego mówienie o realnym socjalizmie jest zbrodnią. Realny to przecież znaczy taki trochę gorszy. Taki, jaki się udało zrobić. A wiadomo, i Stalin to wiedział, że ma się zrobić najlepszy, że to jest najlepsze, co mogło spotkać ludzkość. Na tym stoi ta ideologia, że to jest szczęśliwa przyszłość ludzkości, a nie jakaś tam realna przyszłość.

TRZNADEL: — *Czyżby ten system mógł ewoluować?*

RYMKIEWICZ: — Historia się zmienia, nic nie stoi w miejscu, tę wiarę zaszczepił nam marksizm. Poza tym doświadczenie historyczne ludzkości zaszczepiło nam przekonanie, że wszystko się rusza, że historia jest w ruchu, a wobec tego nic się nie powtarza i nawet to imperium, pozornie stojąc w miejscu, też ewoluuje.

TRZNADEL: — *Tak. Ale czy wychodząc z tamtych doświadczeń uważamy, że to musi runąć, czy się zmieni, przerośnie w coś innego?*

RYMKIEWICZ: — Chcesz, żebym przepowiadał? Oczywiście, że przerośnie. Jak runie to w wyniku wojny światowej. Jeśli nie zakładasz kataklizmu i wojny, która się wydaje niemożliwa, to można by myśleć jeszcze o rewolucji w imperium, w jego środku lub na jego krańcach, ale to też jest nieprawdopodobne przy dzisiejszym stanie środków służących do tłumienia masowych ruchów tak zwanej ludności. Jeśli odrzucamy jako nieprawdopodobną samą możliwość takich wybuchów, zewnętrznego i wewnętrznego, to musimy przyjąć, że to będzie w coś przerastało. A w co Rosja przerastała przez tyle wieków?

TRZNADEL: — *To będzie bliżej demokracji zachodnich?*

RYMKIEWICZ: — Niekoniecznie. Nie wiem. Demokracje zachodnie też nie będą stały w miejscu, będzie jakiś inny świat,

ale nie będzie ani troszeczkę miłszy od tego, w którym dziś żyjemy.

TRZNADEL: — *Więc nie mamy perspektywy jaśniejszej od tej, jaką miał na podstawie trochę innych przesłanek i filozofii na przykład Witkacy?*

RYMKIEWICZ: — Nie, ale też nie tak katastroficzną. Cała katastrofa — to jest moja prywatna katastrofa. Mam pięćdziesiąt lat i zostało mi już niewiele czasu. Wiem, że życie może być bardzo przyjemne. Ludzie opowiadają, że są kraje, w których jest po prostu miło żyć. Miło jest wyjść na spacer, miło jest usiąść w kawiarni i wypić kawę, miło jest przeczytać gazetę i porozmawiać ze sprzedawcą gazet. Miło jest budzić się rano, a mnie jest niemiło budzić się rano. Tak, to jest katastrofa. To całe moje życie, którego nie mogłem przeżyć, jak chciałem, ponieważ historia postanowiła mnie trochę pomęczyć.

TRZNADEL: — *Jesteś już trzecią czy czwartą osobą, która mówi mi w ostatnich dniach, że nie lubi się budzić rano.*

RYMKIEWICZ: — Ale jutro znów się obudzimy. Żeby spojrzeć w oczy temu, co ludzkość, nie wiedząc co czyni, wydobyła tu z siebie. Tylko dlaczego stało się to za naszego życia?

OLBRZYMIA CZARNA PRZESTRZEŃ

Rozmowa z Julianem Strykowskiem
(31 marca 1985)

TRZNADEL: — Właściwie każda napisana książka odnosi się do wszystkiego, co się w życiu przeżyło. Ale przecież nasza rozmowa będzie miała chyba zakres nieco węższy. W tym węższym sensie do problemu nas tu interesującego — stalinizmu czy totalitaryzmu w kulturze polskiej — odnosi się przede wszystkim pana powieść *Wielki strach*, drukowana najpierw w krajowym „Zapisie”, a potem przedrukowana w Londynie.

STRYKOWSKI: — Tak, ale była jeszcze inna powieść, podobna, to *Czarna róża*, która jest jakby wprowadzeniem do tego *Wielkiego strachu*. Choć jest to robione jeszcze z pozycji człowieka, który już zerwał z komunizmem, ale nie całkiem rozumie, co się właściwie stało z nim samym. W *Czarnej róży* jest to metaforycznie ujęta sprawa partii, która uosobiona jest w tej Róży, w tej Czarnej Róży, która jest człowiekiem niecnym, zwodniczym, kłamliwym. I oto on się w niej zakochuje. Jest tutaj właściwie nałożona sprawa miłości do kobiety i miłości do partii. Obie te miłości są, jakby to powiedział Francuz, *ratés*. A on do końca o tym nie wie. Wychodząc z więzienia leci za nią, bo się dowiedział, że ona wydostała się do Związku Sowieckiego, uciekła przed aresztowaniem w Polsce. Z pewnością tam w Związku Radzieckim została potem rozstrzelana. A on idzie za nią, mimo że jest to już nawet pewne przestępstwo partyjne, bo nie otrzymał pozwolenia z partii, żeby przejść granicę polsko-sowiecką i uciec do Związku Radzieckiego. Kończy się to metaforycznym obrazem, że przed nim odkryła się olbrzymia czarna przestrzeń. Muszę tu przyznać, że było to świadome nawią-

zanie do *Cichego Donu*, na końcu powieści Melchior widzi, jak słońce nagle poczerniało. Melchior też właściwie zrozumiał, jak straszna rzecz się dzieje w tej Rosji. Jednak Szołochow nie wyprowadził z tego dalszych konsekwencji.

TRZNADEL: — O tym obrazie Cichego Donu wspomina także, jeśli dobrze pamiętam, Artur w *Wielkim strachu*.

STRYKOWSKI: — Być może, ja nie pamiętam tak bardzo swoich rzeczy, bo odsuwam od siebie to, co napisane, to już do mnie nie należy, myślę o czymś nowym, to nowe zajmuje mnie i wypełnia. Wypiera jakby wszystko dotychczasowe. Pozwoliłem sobie nawet raz powiedzieć na takim spotkaniu z czytelnikami, to było, pamiętam, w Białymstoku — i tu zobaczyłem, jak jedna pani skrzywiła się — że jestem jak ta suka, która powiła te szczenięta, a potem się do nich już nawet nie przyznaje.

TRZNADEL: — Wróć może jeszcze do *Czarnej róży*. Pan powiedział, że traktuje to metaforycznie. Mnie się wydaje, że w tego typu metaforze kryje się pewna treść, której nie można wyrazić w inny sposób, pan pokazał, że to zaangażowanie w ideologię ma właściwie wymiar i uczuciowy, i metafizyczny. Bo „czarna róża” może być rozumiana także jako pojęcie metafizyczne, filozoficzne.

STRYKOWSKI: — Czarna róża, to już od razu wiadomo, co to jest za symbol, nie trzeba być bardzo mądrym. Pamiętam, jak ktoś — nie chcę wymieniać nazwiska, nie warto wymieniać nazwiska tego człowieka — przyniósł do „Trybuny Ludu” recenzję o *Czarnej róży*, i wtedy ówczesny naczelny redaktor „Trybuny Ludu” — też nie wymienię nazwiska — uderzył pięścią w stół i powiedział: ja obelżywych recenzji, obelżywych sądów o partii nie zamieszczę w „Trybunie”. On nawet powiedział: ja nie zamieszczę oszczerstw na partię. Ale to jest jedyny człowiek, który właściwie tę *Czarną różę* zrozumiał. Bo wielu ludzi uważało, że to jest pozytywnie komunistyczne i mnie to oczywiście bardzo irytowało, jak mi to mówili. Zaangażowanie tego Henryka to właściwie ślepotą i głuchotą, podkreślam, że on jest głupi. Jego stryj powiada: ty masz maturę, ale naprawdę to jesteś tylko głupi. Tamten, który przyjechał z Francji, zna te sprawy od wewnątrz, przeżył je na własnej skórze. Tak samo pełen strachu Artur jest głupi. Właściwie jest to głupota tych ludzi, spowodowana ich ślepotą.

TRZNADEL: — Czy głupota tych ludzi oznaczałaby także brak pewnej informacji, wiedzy?

STRYJKOWSKI: — Oczywiście. Niedopuszczanie do świadomości pewnych faktów, które ukazują, że jest się na fałszywej drodze i że wszystko, co jest przedmiotem wiary, jest nieprawdą. Jest kłamstwem. Niedopuszczanie niczego do świadomości. Tu nic nie przenika, jest taka nieprzenikalna ściana.

TRZNADEL: — Wielki strach sytuuje nas w środku tej problematyki. Niektórzy chcieliby, aby było tam więcej o polskich sprawach Lwowa. Podejrzewam, że wybór materiału był celowy i świadomy. Bardzo mało u nas napisano o tamtym Lwowie. Istotne sprawy poruszają wspomnienia Aleksandra Wata i jego żony Oli. Północne kresy Rzeczypospolitej w tym czasie opisują polityczne powieści Mackiewicza, natomiast jeśli chodzi o Lwów pod okupacją sowiecką jest chyba tylko pana powieść. Ta książka porusza się na obszarze pewnej jedyności, którą jest problematyka żydowska i komunistyczna.

STRYJKOWSKI: — Słusznie. Ten Artur nie może myśleć w ogóle, czy ten Lwów będzie polski czy nie polski. To go absolutnie nie obchodzi, dla niego najważniejsze jest, czy będzie komunizm, czy nie będzie komunizmu. Ja wciąż przecież podkreślam, że Żyd stając się komunistą przestaje być Żydem.

TRZNADEL: — Ważne zdanie. Czy według Pana można by to zdanie rozszerzyć, bo oczywiście Żyd, Polak, Niemiec, każdy z nich dzieli ze swoją grupą narodową jakąś osobliwą część...

STRYJKOWSKI: — Ja nie mogę powiedzieć, czy Polak przestaje być wtedy Polakiem. To Polak sam może o sobie powiedzieć...

TRZNADEL: — Bo jeśli Żyd przestaje być Żydem, to dokonuje przesunięcia w swojej osobowości na rzecz komunizmu?

STRYJKOWSKI: — Oczywiście, on traci część swojego ja, on przestaje w ogóle być człowiekiem, zaczyna być jakimś pionkiem, który poddaje się ruchom zewnętrznych wydarzeń. Poddaje się temu zupełnie, przestaje być czynny, jest zupełnie bierny. Pamiętam, akuratnie w Czarnej róży jest taka refleksja samego Henryka, mówi: ja jestem jak drzazga, rzucona na wodę, mnie to unosi, ja nic nie robię, mnie to samo unosi. I tak właśnie jest z tym Żydem. I umówmy się, że każdy komunista przestaje w ogóle być człowiekiem czynnym, staje się przedmiotem.

TRZNADEL: — Jest więc odwrotnie niż mówi o sobie ideologia komunistyczna, że jest ideologią czynu. Człowiek jest tu kółeczkiem w mechanizmie, na który działa historia, góra partyjna...

STRYJKOWSKI: — Tak. Na niego działa partia, on jest w ramach tej partii okruszyną i idzie jak ławica piasku popychana wiatrem, idzie z całym tym piaskiem w kierunku, w którym wiatr idzie. Ale jak się wiatr zmienia, to idzie w innym kierunku. Ile razy się ten wiatr zmieniał w tej komunistycznej ideologii! Ile razy było powiedziane, że to był okres błędów i wypaczeń, ile razy zaczynają na nowo. Znow te same błędy i wypaczenia.

TRZNADEL: — Podobną analizę przeprowadza Artur Koestler w Ciemności w południe.

STRYJKOWSKI: — Tak? Nie pamiętam już tego.

TRZNADEL: — Ten Rubaszow u Koestlera — nie wiem, czy jest on symbolem kogoś konkretnego podczas procesu, czy postacią zbiorczą — uważa, że tutaj trzeba się zmieniać na ślepo z partią i nieważne są przekonania etyczne, czy jakieś inne, ważne jest tylko zwycięstwo na końcu, wszystkie fałszerstwa są dozwolone.

STRYJKOWSKI: — Tak jest, wszystko jest dozwolone, cel uświęca środki. Na nieszczęście to może być sugestywne dla pewnych ludzi, którzy są przekonani komunistami, którzy tylko czekają na potwierdzenie swojej ideologii.

TRZNADEL: — Chciałbym jeszcze powrócić do problemu żydowskiego. Czy nie sądzi pan, że chwilowa sytuacja historyczna, przynajmniej w pewnych krajach Europy, jeśli chodzi o Żydów, była taka, że popychała ich w pewnym sensie w stronę ideologii komunistycznej?

STRYJKOWSKI: — Proszę pana, no oczywiście, ale nie tak samo we wszystkich krajach. W krajach zachodnich znacznie mniej, bo tam sprawa antysemityzmu była o wiele łagodniejsza. Antysemityzm jest wszędzie, nie zamykajmy na to oczu, ale tam znacznie łagodniej — poza Niemcami, gdzie stało się to straszne. Wtedy, pod koniec lat dwudziestych, w okresie rozkwitu komunizmu, nacisk w jego stronę był spowodowany żydowską sytuacją, bezrobociem, a specjalnie bezrobociem inteligencji żydowskiej. Ci, którzy kończyli studia, byli dopuszczani na uniwersytecie w Polsce tylko na historię albo polonistykę, na medycynę nie można było się dostać. Tak że właściwie produkcyjnych narzędzi nikt w rękę nie miał, ewentualnie mógł tylko nauczać w szkole, ale

właśnie w szkole nie można było dostać posady. Bezrobocie wśród inteligencji żydowskiej było tak olbrzymie i beznadziejność tak wielka, że wszelka nadzieja z zewnątrz miała podatny grunt. Mówiono, i była to prawda, że w Rosji nie ma bezrobocia, że w Rosji Żydzi są dopuszczani do najwyższych stanowisk: Kaganowicz, generał — jak on się tam nazywał, mniejsza z tym — wszyscy zostali rozstrzelani, generał Unsicht... Dojście do tak wysokich stanowisk było jakimś blaskiem dla tych ludzi, pogrążonych w tej ciemności bezrobocia. To że nie ma antysemityzmu w Rosji, też było do pewnego momentu prawdą, w dwudziestych latach to było prawdą. Być może był antysemityzm oddolny, bo to była nienawiść do tych wszystkich komisarzy żydowskich, to jest inna sprawa, ale nie było w każdym razie tego antysemityzmu, który jest teraz, tego antysemityzmu odgórnego. Więc ta młoda inteligencja żydowska przechodziła na stronę ideologii komunistycznej. To nie znaczy, że wszyscy wstępowali do partii. I byłoby jednak przesadą myśleć, że większość inteligencji żydowskiej przeszła na pozycje komunistyczne, bo większość inteligencji żydowskiej była syjonistyczna. Nie mówiąc już o ludzie żydowskim, który religijnie miał wstręt i czuł nienawiść do komunizmu. Tak że formuła „żydokomuna” należy do takich samych fałszerstw, jak wszystkie fałszerstwa, które są sloganami skierowanymi przeciwko Żydom.

TRZNADEL: — *Pan szerzej poruszył problem socjologiczny. Ale czy nie było i tak — w tym procesie, który określało się jako kryzys wiary religijnej, charakterystyczny dla XX wieku — że na płaszczyźnie uczuciowej wiara w komunizm zastępowała wiarę w Boga, a wiara, że ta wybrana klasa poprowadzi do rajów — to jest chyba gdzieś u Raymonda Arona — była jakby zastępcza w stosunku do wiary w Mesjasza?*

STRYJKOWSKI: — Zgadza się, z tym, że komunizm odgrywał taką rolę w podświadomości żydostwa, które miało zakodowaną sprawę Mesjasza i mesjanizmu od tysięcy lat. Oczywiście, nie nazywając tego po imieniu, bo to byłoby właściwie religijną sprawą, a religia dla komunizmu była wyklęta jako opium dla mas.

TRZNADEL: — *Wielki strach jest chyba powieścią z kluczem o Lwowie. Czy zaszyfrował pan tam gdzieś w redakcji „Czerwonego Sztandaru” postać Aleksandra Wata?*

STRYJKOWSKI: — Owszem, owszem, jest tam, ale bardzo migawkowo — ten, który siedzi w płaszczu, taki skulony, jest od razu przerażony, bo przeczuwa, co się z nim stanie. Tam jest

zresztą także Ważyk i Lec. Lec jest tym korektorem, do którego przychodzi w nocy żona. Ja nawet nie chciałem tego tak bardzo zaszyfrować, bo chodziło mi o to, żeby jednak ludzie wiedzieli, kto tam był.

TRZNADEL: — *Pan jest oczywiście częściowo Arturem, pewne fakty się pokrywają: i Płock, i Brygidki... Są i realia lwowskie. Artur chce pisać, publikować. Przeglądałem numery „Nowych Widnokręgów” wydane przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej. W redakcji Wanda Wasilewska, Helena Usijewicz, Zofia Dzierżyńska, Julian Przyboś — jak pan tłumaczy, że Boy-Zeleński także wszedł w skład redakcji?*

STRYJKOWSKI: — Trudno mi coś powiedzieć, dusza ludzka ma takie zakamarki i nie czuję się kompetentny tłumaczyć Boya-Zeleńskiego, nie mogę na to odpowiedzieć.

TRZNADEL: — *Atmosfera wielkiego strachu?*

STRYJKOWSKI: — To na pewno, z tym się zgadzam. To było i u Wata, i u Leca; była straszliwa atmosfera strachu. Opowiadała mi jego żona, że on się w nocy zrywał ze snu i krzyczał, tak się bał. A był korektorem. To było zresztą pewnego rodzaju ukrywanie się przed wywózkami, przed prześladowaniami, chociaż to nie pomogło. Tam był taki jeden Sulikowski, który był zdolnym eseistą a nawet poetą. Boże, jak on się strasznie bał, zresztą został wywieziony. Bo na nim ciążyło to, że kiedyś napisał coś protrochowskiego. I nic nie pomogło, że on tak uczciwie pracował dla tej komuny, że on tak się starał, a był zdolny i inteligentny. Wywieźli go razem z żoną, umarł gdzieś tam w jakimś łagrze, żona wróciła sama.

TRZNADEL: — *Obsesją Aleksandra Wata było to, że w korekcie nie dostrzeże pomyłki, że jest napisane Sralin zamiast Stalin.*

STRYJKOWSKI: — Ja to też miałem. Ja zresztą zostałem wyrzucony z „Czerwonego Sztandaru” z powodu pomyłki korektorskiej. Bo ja byłem korektorem. Stało się to z dnia na dzień. Przychodzę do redakcji i na tablicy na korytarzu jest napisane, że ja już nie jestem pracownikiem. Jaka to była pomyłka? Zamiast osiemnasta, dziewiętnasta czy dwudziesta rocznica powstania Czerwonej Armii ja jeden rok umniejszyłem, to była straszna zbrodnia. A za Sralina to rozstrzelivano.

TRZNADEL: — *Czy pan myśli o kontynuacji Wielkiego strachu? Choćby cały epizod rosyjski...*

STRYJKOWSKI: — Proszę pana, to pytanie mnie ściga. Ludzie wciąż mnie o to pytają. Nie mogę na to odpowiedzieć. Nie wiem. Może kiedyś siądę, jak nie będę miał nic innego do napisania. A myślę o powrocie do tych spraw małomiasteczkowych, żeby napisać kilka opowiadań. Bo na powieści już chyba nie starczy mi sił. Jeśli kontynuowałbym *Wielki strach*, to byłaby to historia mojego pobytu w Rosji, gdzie brałem udział w tylu ciekawych zdarzeniach. Jedno zdarzenie opisałem zresztą w *Syriuszu*. Moje spotkanie ze Stalinem na Czerwonym Placu.

TRZNADEL: — *Więc to prawda?*

STRYJKOWSKI: — Wspaniała historia. Pracowałem w Moskwie w redakcji „Wolnej Polski” w latach 1943-1946. To był jakiś rok 1944. Wyszedłem na spacer na Czerwony Plac. To było już po Stalingradzie, po pewności zwycięstwa nad hitleryzmem. Ja wychodzę na Czerwony Plac, Czerwony Plac jest puściutki, to jest południe. I nagle widzę, że na mauzoleum wychodzą jacyś ludzie. Myślę sobie, przecież jeśli ktoś wychodzi na mauzoleum, to może to być tylko Stalin. I patrzę, rzeczywiście, on! I ja z entuzjazmu, że zobaczę Stalina, z tego szczęścia, lecę w stronę tego mauzoleum, wywijam rękami i mam zdławione gardło, z którego nie mogę wydobyć głosu: niech żyje Stalin, *da zdrowstwujet Stalin!* I wtedy, kiedy zbliżam się do tego mauzoleum, jestem tuż, Beria zasłania własną piersią Stalina. Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, Boże drogi, przed kim on zasłania Stalina, przede mną?! Nagle widzę, że jestem otoczony przez grupę ludzi. Szczęście, że nie trzymałem rąk w kieszeni, tylko w górze, bo bym został na miejscu zastrzelony. Dziwię się mimo wszystko, że nie zostałem zastrzelony, że mnie nie zastrzelili na miejscu. On tam wyszedł, bo to było święto awiacji rosyjskiej. I wtedy, kiedy on wyszedł, to nagle przeleciała eskadra samolotów nad Kreml.

TRZNADEL: — *I nie było kordonu?*

STRYJKOWSKI: — Nie, nie było kordonu, nie było ani jednego człowieka na Czerwonym Placu.

TRZNADEL: — *Pan musiał przez przypadek przemknąć się przez jakiś kordon.*

STRYJKOWSKI: — Nie wiem, jak to się stało. A to wszystko wygląda jak koszmarny sen. A to była prawda, najprawdziwsza prawda.

TRZNADEL: — *Prawda i jednocześnie głęboka metafora. Chyba to w panu głęboko pozostało.*

STRYJKOWSKI: — Tak. Napisałem o tym i ludzie myślą, że to jest nieprawda. Myślą, że opisałem taki sen.

TRZNADEL: — *W związku Sowieckim zaszło wtedy dużo wydarzeń ważnych dla człowieka z Polski. Tam zastała pana rewolucja sprawy katyńskiej.*

STRYJKOWSKI: — Wierzyłem, że to zrobili Niemcy.

TRZNADEL: — *Czy docierały do pana prawdy, o których później pisał Solżenicyn?*

STRYJKOWSKI: — Nie, naprawdę nie. Naprawdę nie docierała do mnie prawda. Mogę tylko panu powiedzieć jedną rzecz, że się zaprzyjaźniłem tam z jednym Rosjaninem, który był synem carskiego pułkownika, zresztą rozstrzelanego. I on starał się mnie przekonać, że to jest straszny kraj. On się mnie nie bał. Robił to zresztą dosyć, powiedzmy, oględnie. Ale jego nienawiść do tego rządu, do tego systemu, to co chciał mi przekazać, w ogóle nie trafiało do mojego przekonania. To jest Artur. W ogóle nie dochodziło to do mnie. Tu była jakaś samoobrona, ja bym powiedział — samoobrona przed rzeczami, które byłyby dla mnie — dzisiaj śmiesznie to będzie brzmiało — naruszeniem tego, co największe. Była to obrona we mnie tych wartości najwyższych dla mojego życia, dla świata. A trzeba było długiego czasu drążenia, tych wątpliwości, żeby doszło do tego, że oddałem legitymację partyjną. A największym wstrząsem był dla mnie raport Chruszczowa, to było już przerwanie tamy, i woda chlusnęła zupełnie bez przeszkód, wtedy poczułem się wolnym człowiekiem. To był 1956 rok. Oddałem jednak legitymację później, w '66 roku.

TRZNADEL: — *W Rosji prawdy były ukryte, szczelne?*

STRYJKOWSKI: — Tam nikt, żaden z Rosjan, których ja spotykałem, nie odważył się czegokolwiek powiedzieć. Że umierali z głodu na Ukrainie to było wiadome, ale jak to się stało, to nie docierało. Nie wiedziałem, i myślę, że wielu ludzi nie wiedziało, nawet Rosjan.

TRZNADEL: — *A przed wojną? Był pan komunistą.*

STRYJKOWSKI: — Siedziałem w więzieniu przed wojną.

TRZNADEL: — *Czy do pana docierała informacja o procesach moskiewskich?*

STRYJKOWSKI: — Oczywiście, że docierała. Ale tutaj działał ten mechanizm samoobrony. Oczywiście, że były wątpliwości, wytłumaczenie było takie: dlaczego oni się przyznali? Jeśli się przyznali, to dlaczego ja mam uważać, że to nieprawda?

TRZNADEL: — *Stawiał pan na jednej płaszczyźnie proces przed wojną w Polsce z procesami w tamtej rzeczywistości, a przecież działały zupełnie różne mechanizmy.*

STRYJKOWSKI: — Tak. Ja po dziś dzień nie rozumiem, dlaczego oni się przyznawali. Po dziś dzień nie rozumiem. To właśnie jest szatańska metoda tego systemu, który kompletnie odbiera człowiekowi wolę. Osobowość.

TRZNADEL: — *A okres bezpośrednio po wojnie w Polsce? Pan był potem we Włoszech i to pana pewnie w jakimś sensie impregnowało?*

STRYJKOWSKI: — Te Włochy pozwoliły mi napisać *Bieg do Fragalà*. Bo jak wróciłem do Polski, to milczałem przez dziesięć lat. Nie mogłem nic napisać. A moja książka *Głosy w ciemności*, którą napisałem przed *Biegiem do Fragalà*, leżała w cenzurze właśnie te dziesięć lat. Nie napisałem ani słowa przez ten czas. Było takie oszczerstwo w stosunku do mnie, że *Bieg do Fragalà* jest plagiatem. Ja nawet nie wiedziałem, że tak powiedziano. Zostało to jakby potwierdzone moim milczeniem. Że ja napisać własnej rzeczy nie mogę.

TRZNADEL: — *W jakich latach powstały Głosy w ciemności?*

STRYJKOWSKI: — W latach 1945-1946. Zacząłem pisać w Moskwie, napisałem połowę, potem jak przyjechałem do Polski, napisałem drugą połowę.

TRZNADEL: — *A jak pan ocenia to, co się nazywa okresem stalinowskim w Polsce i ten powojenny brutalny element nacisku?*

STRYJKOWSKI: — Ja tego nie widziałem. Możecie wierzyć lub nie wierzyć, ja tego nie widziałem i nie czułem, ja się czułem

jak u siebie. A jednakowoż przeciwstawiłem się od pierwszej chwili realizmowi socjalistycznemu. W rozmowie w Moskwie z pewnym krytykiem powiedziałem: realizm socjalistyczny jest grobem dla literatury. Tak powiedziałem. Bo realizm socjalistyczny nie dopuszcza tragedii. To powiedziałem w '44 roku. I dlatego jak pisałem *Głosy w ciemności*, to w ogóle wyłączyłem się z tego przymusu kulturalnego czyli realizmu socjalistycznego. Wyłamałem się z tego uniformu, w ogóle nie przyjmowałem tego do wiadomości. *Bieg do Fragalà* nie jest jednak realizmem socjalistycznym. Jest komunistyczny, ale nie jest realizmem socjalistycznym. Tam ginie bohater, to jest nie do pomyślenia w realizmie socjalistycznym. Tu musi być optymizm.

TRZNADEL: — *Jeszcze może o Lwowie? Jak był rozwiązywany problem Polski? Bo Mołotow powiedział, że ta Polska zginęła, nie ma jej. Czy się myślało, że jej nigdy nie będzie? Że jak komuniści to rozwiążą?*

STRYJKOWSKI: — Ci żydowscy komuniści mieli złudzenia, że jak przyjdą do Polski — a wtedy nie było polskiej partii komunistycznej — i jak będzie polska partia komunistyczna, to poprowadzi ona kraj w zupełnie inny sposób. Że będzie to Polska komunistyczna, ale Polska.

TRZNADEL: — *Czyli podział Polski rozpatrywało się jako przejściowy? Bo niby gdzie miała być ta Polska? Tam Niemcy, tu Rosja...*

STRYJKOWSKI: — Oczywiście, że chodziło o zwycięstwo nad Hitlerem. Że po zwycięstwie nad Hitlerem powstanie Polska na pewno i tutaj będzie komunizm. Zostanie reaktywowana polska partia komunistyczna i wtedy będzie to polska droga do komunizmu. Polska. Rozmawiałem z jednym z dostojników komunistycznych, na najwyższym szczeblu, w Polsce, który powiedział mi tutaj, w '46 roku: my nie będziemy robili tak, jak jest w Rosji. Oni ciągle mieli złudzenia i one pomagały im przezwyciężać wszystkie wątpliwości. Musieli przecież widzieć, co się dzieje w Rosji, musieli to przecież rozumieć. Taki przywódca jak Lampe na pewno się orientował, jaka jest sytuacja rosyjska, sowiecka.

TRZNADEL: — *To złudzenie zaczęła dzielić część intelektualistów, w pozornym poczuciu, że są blisko steru.*

STRYJKOWSKI: — To złudzenie pomagało tym ludziom robić

to wszystko, co trzeba było robić w tym ustroju. Zresztą ci sami ludzie ulegający tym złudzeniom, kontrolowali i robili te wszystkie okropne rzeczy, o których wiemy.

TRZNADEL: — *Są dzisiaj jeszcze ludzie trwający na tych samych pozycjach, choćby i niektórzy znani z czasów lwowskich. Jak to rozumieć?*

STRYJKOWSKI: — To są dla mnie ludzie niezrozumiali i ja ich wcale nie chcę zrozumieć. Oni wyzuli się z człowieczeństwa, to nie są ludzie, ale jakieś mechanizmy, które dawno zostały puszczane w ruch i które nie mogą tego ruchu przerwać. Pamiętajmy też, że ci ludzie całe życie pracowali w tym interesie i tak przekreślić całe swoje życie, to nie każdego na to stać. Dla mnie główną rzeką informacyjną, która rozwalila to wszystko, był raport Chruszczowa. Kto jak kto, ale jeżeli mówi to Chruszczow...?!

TRZNADEL: — *Jak pan to ocenia w logice systemu sowieckiego?*

STRYJKOWSKI: — Czy pan myśli, że tam jest logika? Oni działają tam na zasadzie dzisiejszego dnia, konkretnie, co trzeba zrobić, żeby to a to się stało. Oczywiście, że oni mają plany przyszłościowe, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, naturalnie i w polityce wewnętrznej mają plany. Przykładem pięciolatki, gospodarka jest tam planowana, byłoby więc śmieszne mówić, że nie mają planu. Ale jeśli idzie o sprawy powiedziałbym humanistyczne, czyli o sprawy ludzkie, proste ludzkie sprawy, to tam logiki nie ma, i nie tylko nie ma tam logiki, ale i potrzeby liczenia się z tym. Tam się z tym nie liczą...

TRZNADEL: — *Miażdżąca siła historii, która usprawiedliwia?*

STRYJKOWSKI: — Nie użyłbym słowa historia, chodzi o miażdżącą siłę aparatu. Zresztą Chruszczow miał na sumieniu wiele, to za jego czasów nastąpiła inwazja na Węgrzech. W okresie lwowskim był odpowiedzialny za sprawy Ukrainy i też za Lwów.

TRZNADEL: — *Czy stykał się pan we Lwowie z Wandą Wasilewską?*

STRYJKOWSKI: — Tak, oczywiście.

TRZNADEL: — *Ola Watowa wspomina, że Wanda Wasilewska miała takie ludzkie gesty w okresie lwowskim...*

STRYJKOWSKI: — Ona tkwiła swoją historią, swoim życiem i psychiką w polskiej atmosferze liberalno-socjalistycznej, PPS-owskiej, przez ojca, i sama też. I z pewnością miała w sobie jeszcze bardzo dużo resztek prawdziwie humanistycznych. Tego nie można z dnia na dzień wypłenić. Jeśli chodzi o pewne gesty, odruchy w ratowaniu ludzi — przychodzili do niej — ona robiła, co mogła. Było to oczywiście związane nie tylko z tymi ludzkimi odruchami, robiła to także dla własnej propagandy, swojej osoby, i ratowania tego systemu: że w tym systemie można jednak ocalić jakiegoś człowieka.

TRZNADEL: — *Pamięta pan sprawę Bogatki?*

STRYJKOWSKI: — Proszę pana, sprawa Bogatki jest bardzo ciemna. Nie wiadomo, czy miał zostać zastrzelony Bogatko, czy ona. Jeśli Bogatko, to chyba na rozkaz NKWD, a jeśli ona, to na rozkaz polskiego podziemia. Może być i ukraińskiego, to nie jest wykluczone. Bogatko to był robotnik, który nagle zaawansował na męża Wasilewskiej. Muszę powiedzieć, że ja tej sprawy nie znam.

TRZNADEL: — *Zastanawia rola Wandy Wasilewskiej we Lwowie, a potem w Związku Sowieckim.*

STRYJKOWSKI: — Ona była tam drugą osobą po Stalinie. Jej podpis znaczył prawie tyle, co podpis Stalina.

TRZNADEL: — *W stosunku do spraw polskich?*

STRYJKOWSKI: — Nie tylko. Ona dużo rzeczy mogła zrobić swoją interwencją. Dużo rzeczy.

TRZNADEL: — *Dlaczego nie wróciła do Polski po tym, co w związku ze sprawą polską zrobiła?*

STRYJKOWSKI: — Ja panu coś powiem, ta Polska jej nie odpowiadała. Nie wiem czy to jest legenda, że Stalin powiedział o niej: Wanda Wasilewska jest wielką komunistką, bo ona chce, żeby Polska była siedemnastą republiką, a to jest niemożliwe. To jest niepotrzebne. Może ona czuła, że nie ma dla niej miejsca w Polsce, że jest tam znienawidzona. Reszta nie miała innej drogi, oni musieli wracać do Polski. Ale ona wyszła za Ukraińca, poza tym był to wysoki dygnitarz, pisarz wielce ceniony przez aparat, no i ona prawdopodobnie bardzo go kochała.

TRZNADEL: — *Ale po bitwie pod Lenino dwa najwyższe odznaczenia — order Lenina — dostali Berling i Sokorski.*

STRYJKOWSKI: — Ale bohaterem Związku Sowieckiego został Hibner, który to dostał pośmiertnie, tymczasem on żył, tylko leżał ciężko ranny gdzieś w szpitalu. I wyżył.

TRZNADEL: — *A jak reagowaliście na problem armii Andersa?*

STRYJKOWSKI: — Uważaliśmy, że powinna była pójść do Polski, a nie wychodzić z Rosji i kierować się na Zachód. Uważaliśmy to za niesłuszne. Za pewnego rodzaju zdradę polskich interesów.

TRZNADEL: — *To znaczy, że to, co stało się potem jasne w świetle dokumentów, że Stalin też naciskał na to wyjście, nie docierało do waszej świadomości.*

STRYJKOWSKI: — Tam nic nie docierało. To, co się tam działo na szczytach, to w ogóle nie docierało. To jest tak nieprzemakalne, że w ogóle nie dochodzi do ludzi, dochodzi tylko do wąskiej garsteczki związanej ściśle z tym *establishment*'em, ale dalej nie idzie, bo ci ludzie mają zakneblowane usta, nic nie powiedzą.

TRZNADEL: — *Stojąc więc na gruncie komunizmu i nie mając informacji, można tę wiarę w jakimś sensie kontynuować.*

STRYJKOWSKI: — Oczywiście, słusznie to pan powiedział, stąd bierze się to, że ci którzy byli w łagrach, wracali mimo wszystko dalej jako komuniści. Byli tutaj w Polsce tacy, którzy wrócili z łagrów, i wrócili jako komuniści.

TRZNADEL: — *Doświadczenie tragiczne...*

STRYJKOWSKI: — Nikt w takich kategoriach nie myślał. Nikt z komunistów nie myśli w kategoriach tragiczności. Tragiczność nie jest w kategoriach komunizmu, w ogóle tragizm nie wchodzi w wyposażenie psychiki komunistycznej.

TRZNADEL: — *A więc wracając do literatury, z tego co pan mówi wynika, że stojąc na gruncie komunizmu nie można stworzyć prawdziwej literatury. Czy tym tłumaczy pan swoje milczenie?*

STRYJKOWSKI: — Słusznie. Widać to w Związku Radzieckim,

widać to w Polsce u tych wszystkich pisarzy, którzy należą do oficjalnego związku, widać to w Niemczech wschodnich i w innych krajach bloku wschodniego. Są wyjątki, zdarzają się wyjątki wbrew wszystkiemu, jeśli komuś uda się napisać taką książkę, która w ogóle nie zahacza o teraźniejszość i politykę, tylko o przeszłość historyczną. Taki eskapizm literacki. To robią zresztą ci ludzie, naprawdę pisarze, którzy nie chcą kłamać i uciekają w przeszłość. To eskapizm u tych ludzi.

TRZNADEL: — *Czy sądzi pan, że istnieje w pewnym zakresie łącznik między typem literatury propagowanej w Niemczech goebbelsowskich, a literaturą propagowaną przez totalitaryzm stalinowsko-żdanowowski?*

STRYJKOWSKI: — Nie znam literatury goebbelsowskiej i nie mogę porównywać, ale ponieważ mentalność totalitarna jest wszędzie taka sama, mogę przypuszczać, że jedno od drugiego nie bardzo może się różnić. Zastrzegam się, że są to tylko domysły z mojej strony. Jeśli chodzi o tematykę pracy — „*Arbeit macht frei*” — to chyba jest to ta sama postawa tych pisarzy pomagających pisaniem swojemu reżimowi, starających się przekonać ludzi o konieczności dobrej pracy.

TRZNADEL: — *Czy sądzi pan, że widać już jakiś koniec epoki, o której mówiliśmy?*

STRYJKOWSKI: — Nie umiem się bawić w proroctwa, ale ludzie mają nadzieję, że zło minie. Zdaje mi się, że są pewne znaki na niebie i ziemi, które zwiastują jakby jakąś wiosnę. Powiedzieć, że wiosna, to może za dużo, ale choćby zmiana, oby na lepsze.

BYŁEM ZAHIPNOTYZOWANY

Rozmowa z Jackiem Bocheńskim
(4 lipca 1985)

TRZNADEL: — *Czy ma pan już bardzo duży dystans do spraw kultury polskiej lat czterdziestych i pięćdziesiątych? A jeśli pozostały emocje, to jakie?*

BOCHENSKI: — Na pewno i dziś nie myślę o tych sprawach bez emocji, zaszyły wtedy bowiem rzeczy dla mnie ważne i w jakimś sensie wpłynęły na cały bieg dalszego życia. Nie pamiętam już tamtych czasów szczegółowo. Prawdą jest, że odeszły ode mnie dosyć daleko. Nie jestem także pewien, czy to co człowiek mówi o stanie swojej świadomości sprzed czterdziestu lat odpowiada jeszcze rzeczywiście temu stanowi, czy jest tylko relacją ze stosunku do sprawy, przeżywanego w czterdzieści lat później. Mówił pan, że ludzie zadają pytanie...

TRZNADEL: — *Ludzie młodzi...*

BOCHENSKI: — ...zadają pytanie: jak to było możliwe, jak mogliście przyjąć na przykład założenia realizmu socjalistycznego, jak mogliście poddać się komunizmowi duchowo? Otóż w takim pytaniu niekoniecznie jest chęć dowiedzenia się, jakie faktyczne przyczyny spowodowały to poddanie się komunizmowi. Takie pytanie może wyrażać zrozumiałą skądinąd odrazę do rzeczy i oburzenie pytającego. Czyniąc komuś wyrzuty, często pytamy: jak mogłeś to zrobić? W istocie nie czekamy wtedy na wyjaśnienie motywów działania, ale chcemy, żeby pytany przyłączył się jakoś do naszego oburzenia, żeby w nim uczestniczył. Otóż ja w tym uczestniczę, oburzam się sam na siebie: jak mogłem to

zrobić? Myślę, że nigdy nie dosyć zaznaczania, że stało się coś bardzo złego. Wiem, że odbiło się to na mnie fatalnie, na wszystkim, co robiłem, pisałem, że zostałem w ten sposób jakoś naznaczony. Przyznam, że jest we mnie obawa, żeby nie poddać się wtórnie tamtemu złu. Żeby z faktu, że kiedyś właśnie dałem się opanować fałszywej idei, którą dzisiaj oceniam i przeżywam jako fałszywą, nie wynikała wieczna w niej niewola. Żeby w konsekwencji cała reszta życia nie została jakoś uzależniona od tego błędu. Podobno — a wiele przecież o tym czytamy — jest przekleństwem komunistów, jeżeli się od komunizmu wyzwalają, że skazani są potem na antykomunizm, a ten antykomunizm, który walkę z komunizmem czyni osią wszystkiego, jest znowu pewnym zniekształceniem, zubożeniem człowieczeństwa. Ponieważ to zło, do którego się odnoszę, ma taką naturę, że spycha mnie na drogi, po których w ogóle nie chciałbym chodzić. W moim literackim dorobku nie ma książki, która byłaby poświęcona reakcji na ten fatalny epizod w życiu moim i zbiorowości. Nie napisałem na przykład książki, jakie w latach pięćdziesiątych pisali moi koledzy, którzy stworzyli coś, czemu prostacko chyba i niezbyt szczęśliwie nadano nazwę literatury obrachunkowej. Ja niczego takiego nie napisałem i myślę, że powód był i taki: ludzie właściwie niezbyt chętnie tę literaturę obrachunkową czytali. Czytelnik raczej oczekiwał, żeby powstała literatura wolna, a nie żeby znowu zajmowała się komunistycznymi fikcjami, mianowicie dramatem fałszywej świadomości komunistów. Spotykaliśmy się przecież z takim zdaniem: to są sprawy, które nas nie obchodzą, to są sprawy wasze, my chcemy opisu, czy odniesienia się literatury do rzeczywistości. Ja szybko jakoś dosłyszałem to życzenie czytelnika, i nie mam udziału w literaturze obrachunkowej. Napisano zresztą wtedy książki, do których dzisiaj z zainteresowaniem sięga czytelnik młody, bo myślę, że pytanie: jak to było możliwe, formułowane obecnie, jest już innego typu, nie zawiera się w nim tylko odraza i irytacja, ale rzeczywista chęć zrozumienia i poznania, wczucia się w skomplikowaną materię psychologiczną, która tamtym procesom towarzyszyła.

TRZNADEL: — *Powstały też może warunki innych form i innych wariantów takich zrozumień. Wydaje mi się, że zupełnie nie ma powieściowego, realistycznego opisu tamtych lat. Trochę mówi o tym Literatura Woroszylskiego, ale bardzo to jest zaszyfrowane. Pan w tamtych czasach podejmował realistyczne opisy rzeczywistości, zwłaszcza wiejskiej, ale mimo dosyć bogatej komplikacji tych obrazów spełniają one określone zamówienia ducha*

socrealizmu. Czy nie pokusiłby się pan dzisiaj o inny realistyczny opis tamtej epoki z opisem choćby własnego środowiska?

BOCHENSKI: — Nie chcę niczego zapowiadać, bo mam w tej dziedzinie złe doświadczenia. Ach, tamten realizm! Miałem intencję opisywania świata prawdziwego i wydawało mi się, że jeśli opis będzie wsparty o ideologiczne protezy, to one jedynie bardziej go uprawdzą. Nie pisałem przecież ze świadomością kłamstwa. Był to rzeczywiście u mnie czas najgłębszego tkwienia w pułapce psychologicznej tej ideologii — rok 1951, kiedy pisałem *Zgodnie z prawem*. Zaraz potem zaczął się proces odradzania się, który zresztą ciągnął się dość długo. A wszystko razem — jak długo to w ogóle trwało? Bardzo trudno odpowiedzieć, były różne fazy zaślepienia, o różnej intensywności. Na przykład początek... Dlaczego, mając lat osiemnaście... Trzymajmy się faktów. W sierpniu 1944 roku na terenie zajęтым przez Armię Czerwoną, czyli w Lublinie, przeczytałem wiadomość w dzienniku „Rzeczpospolita”, że organizowane będzie spotkanie literatów przebywających na terenie wolnym od okupacji niemieckiej. Ja nie uważałem się za literata, ale kiedy Kazimierz Andrzej Jaworski, którego znałem jeszcze od dzieciństwa — był przyjacielem mojego ojca — zachęcił mnie, żeby razem z nim na to spotkanie pojechać, posłuchałem tej rady. Czy wynikało to tylko z tego, że zaimponowało to chłopcu: jestem pisarzem, a byłem wtedy tylko autorem młodzieńczych wierszy? Myślę, że nie tylko o to chodziło. Gdy szukam przyczyn, które sprawiły, że zacząłem utożsamiać się z ideą komunistyczną, to ta, o której będę za chwilę mówił, nie była może przyczyną główną, ale wyzwalałem proces. Pewne reakcje chemiczne mogą zajść, jeśli jest katalizator. W psychologii znane jest pojęcie wyzwalcza programu zachowań. Może my w ogóle wszyscy byliśmy dysponowani do tego, żeby dać się zafascynować ideologii komunistycznej, byliśmy częścią europejskiej formacji intelektualno-artystycznej, która zdradzała te dyspozycje nie tylko w Polsce, również we Włoszech, Francji. Ale konkretnie, w moim wypadku, co podziało jako taki wyzwalczy? Cofnijmy się do mojego dzieciństwa. Jestem synem Tadeusza Bocheńskiego, literata, filologa klasycznego, autora poezji. Mój ojciec reprezentował postawę typową jeszcze dla modernistów, jego stosunek do świata był właściwie tego rodzaju, że w swojej twórczości czuł się kimś lepszym od otaczającego zbiorowiska ludzkiego, tak jak to działo się często w końcu XIX wieku. Artysta, duchowy gigant, nosił w sobie zrozumienie czegoś zupełnie niedostępnego dla otaczających go karłów. Byłem wychowywany w takiej atmosferze, bardzo tym nasiąkałem. Ponieważ mój

ojciec nie był literatem przeżywającym powodzenia twórcze, to jeszcze nasiliło tę postawę. A więc także dla mnie świat dzielił się na ludzi obdarzonych wyższymi właściwościami ducha i na przyziemne społeczeństwo zjadaczy chleba, które nie rozumie tamtych jednostek. Jakby w jednych wcielił się jakiś Duch Boży, a w drugich nie. Było dla mnie oczywistością, że misję szczególną mają spełniać, głębszą mądrość, prawdziwe wartości przechowując, nosząc w sobie — artyści, pisarze, filozoficzne umysły, i tak dalej. Jakby podstawowym konfliktem w zbiorowościach ludzkich był konflikt pomiędzy wybrańcami obdarzonymi duchem, a tymi zjadaczami chleba. Stąd jednak krok do odkrycia, że zjadacze chleba to może nie jest całe społeczeństwo, tylko mieszczaństwo, burżuazja, ta zakala ludzkości. Ona reprezentuje tępe ograniczenie, chciwość, pogoń za zyskiem, cechy znienawidzone przez artystów i intelektualistów, przypisywane właśnie „straszny mieszczańom”. Otwiera się natomiast szansa dla mitycznego „ludu”, który jest dobry.

TRZNADEL: — *Okres okupacji wytwarzał tu frustrację, bo poza zaangażowaniem zbrojno-patriotycznym i różnymi formami konspiracji — nie było normalnego pola do działania społecznego, to było jakby zawieszone.*

BOCHENSKI: — Na pewno. Chciałbym później o tym powiedzieć, szok wojenny odegrał olbrzymią rolę w mojej ideologicznej konwersji. Tą konwersją reagowałem przeciw katastrofy, które spotkały nasz świat. Po tym między innymi, co stało się z tymi najlepszymi wśród ludzi, z ich twórczością, z duchowym bogactwem. Ci, co pozostali, muszą skarb ten za wszelką cenę uratować. Bo ludzkość nie powinna jakby istnieć, jeżeli nie potrafiłaby tego dokonać, stworzyć szans rozwoju tej wartości. Krótko mówiąc, jeśli dowiedziałem się w '44 roku w Lublinie, że pisarze to są ci, których ściągają do siebie jakaś nowa, jeszcze zupełnie tajemnicza dla mnie władza — że zaprasza pisarzy, że oni zaproszenie przyjmują, to był to dla mnie sygnał, że tam jest coś dobrego. Tam idź! Tam jest twoje miejsce! Jeśli ci mówią, że to jest złe, to słyszysz głos tych, których nie powinieneś słuchać. Czy natknął się pan może w drugim numerze „Odrodzenia” na mój artykuł *W sprawie popularyzacji literatury*? Nie pamiętam dokładnie, co w tym artykule napisałem jako osiemnastoletni chłopak, przez czterdzieści lat nie widziałem tego numeru, więc mogę coś namącić we wspomnieniach. Ale dziś czuję swoją ówczesną intencję, a o niej świadczyło motto z Horacego: *Odi profanum vulgus et arceo*. Było to motto użyte ironicznie. Bo w tym

momencie szukałem już jakiegoś sposobu na przezwyciężenie konfliktu związanego z tragiczną sytuacją artysty w świecie, w takim świecie, jaki pamiętałem z dzieciństwa i z lat chłopięcych, i jaki został zdruzgotany przez Hitlera. Otóż coś tam wiedziałem, że komunizm bardzo sobie ceni literaturę, sztukę, naukę, że to jest ideologia, która nie niszczy, nie otacza obojętnością i pogardą tych dziedzin, na rzecz zysku, handlu i pieniądza. Jest to taki zamysł, ażeby ten ustrój współdziałał z tym właśnie, co mi się wydawało dobre i godne zabiegów humanisty. Otwierała się więc jakby szansa porozumienia twórcy z tym motłochem niewtajemniczonych.

TRZNADEL: — *Czy vulgus to motłoch?*

BOCHEŃSKI: — Tak to sobie na poczekaniu tłumaczę. *Profanum vulgus*: ciemny tłum, ten, który czegoś nie pojmuje i stoi *pro fano* — przed świątynią, nie jest do niej dopuszczony. Ale tu miał się zacząć akt niezmiernej doniosłości, wpuszczenia do świątyni tego tłumy, uznanie, że on na wtajemniczenie zasługuje, że może coś wie, czego ja nie wiem. Zасыpujemy tę przepaść, która nas dzieli...

TRZNADEL: — *No tak, ideologia marksizmu ogłaszała się jednocześnie jako ideologia ludzi, którzy mają nową specjalną wiedzę, inicjację w proces historii, należą do wybranych, którzy wiedzą.*

BOCHEŃSKI: — Tak, w tamtej chwili jeszcze o tym nie wiedziałem, dowiedziałem się potem. Wtedy jeszcze bardzo słabo znałem marksizm. Ja tu szukam raczej podświadomych motywów ludzkiego działania. Wtedy z tego wszystkiego nie zdawałem sobie sprawy. W tytule tamtego artykułu użyłem chyba niewłaściwie słowa popularyzacja, nie chodziło mi o upowszechnienie, ale — bo ja wiem, jak to nazwać — o populizację, uludowienie, ten *populus* miał być, miał wejść do świątyni i mieliśmy ją zapełnić wspólnie.

TRZNADEL: — *Lud wejdzie do śródmieścia — to trochę późniejsze.*

BOCHEŃSKI: — Potem lud wchodził do śródmieścia. Bo u Ważyka to jakby inne kategorie były symbolami czy znakami, nazywającymi to samo.

TRZNADEL: — *To samo, choć zgodnie z przedwojenną tradycją poezji miasta. Ale chodziło tutaj o to, co w mitologii Eliade na-*

zywa osią świata, środkiem lud wejdzie do śródmieścia, zajmie centralne miejsce. Ponoć...

BOCHEŃSKI: — Lud zajmie centrum, a ja będę z tym ludem, on mnie uzna, wzajemnie się uznamy. Ważną rzeczą była też, w umyśle takiego dojrzewającego chłopca, potrzeba przeciwstawienia się temu, przez co został uformowany. Przypominam swojego ojca. Na ogół wpada się w tym wieku łatwo na pomysły buntownicze i muszą one być radykalne. Szybko się to przyswaja i wciela w czyn.

TRZNADEL: — *A czy miał pan jakąś wiedzę negatywną o tym, do czego pan przystępował? Co wiedział pan o wschodnim sąsiedzie, jego stosunku do narodu polskiego i do własnego narodu?*

BOCHEŃSKI: — Oczywiście coś wiedziałem, co więcej, miałem jakieś tam poczucie, że istnieje wielu polskich patriotów, którzy odczuwają to wejście Armii Czerwonej i ukonstytuowanie się komunistycznego czy parakomunistycznego rządu — jako cios dla narodu polskiego i jako zagrożenie Polski. Całe moje świadome życie od '39 roku, kiedy jednak miałem zaledwie lat trzynaście, było poświęcone oglądaniu kataklizmu, któremu uległ mój naród, moja ojczyzna. W świadomości człowieka egzystują na niepojętej zasadzie różne sprzeczne elementy. Otóż nie mógłbym powiedzieć, że na przykład byłem zupełnie wolny od myślenia pragmatyczno-realistycznego, odwołującego się do rozsądku, ono było obecne. Jeszcze pod okupacją niemiecką zacząłem sobie zdawać sprawę, że do Polski wkroczy Armia Czerwona, że nie doczekamy się restytucji państwa polskiego takiego, jakie zginęło dla mnie w piątek pierwszego września. Byłem wtedy w Zakopanem i tam mieszkałem do '43 roku w domu ojca, a potem rok w Chełmie, gdzie właśnie zetknąłem się z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, redaktorem „Kameny”, przyjacielem mojego ojca. Wrócił z obozu, zwolniony wtedy z Sachsenhausen. To był jedyny człowiek większego formatu, znany mi w tej miejscowości, a reprezentował właśnie poglądy lewicowe. I był artystą. A zatem już w czasie okupacji zacząłem myśleć, że nie można pozwolić, żebyśmy się znaleźli — Polska — raz jeszcze w tak tragicznej sytuacji, jak we wrześniu 1939, wydani na bezwzględny gwałt i wyzucie z wszelkich praw. A proszę zważyć, że sytuacja, w jakiej przychodził PKWN, była jednak zmianą na lepsze. Nie bez znaczenia było to, że jakieś odrodzenie narodowe się zaczęło, wywieszono sztandary polskie, grano hymn narodowy, weszło polskie wojsko, stworzono polskie władze. Powstawała Polska. Ona miała być inna, i zdawało się wtedy, i słusznie się zdawało, że tylko taka

będzie, że innej nie będzie. Że tylko ta jest możliwa. Czy to jest złe, mogłem sobie pytać? Początkowo uznawałem, że to jest przykra konieczność, a potem dopiero doszedłem do tego, że to najlepsza wersja, jaka może być, i że tu właśnie spotyka nas takie szczęście. Moje poinformowanie o komunizmie i o tym, co się działo w Polsce na wschód od Bugu, było minimalne. Powiem panu więcej: właściwie do dzisiaj zaskakiwany jestem informacjami, które docierają do mnie już w postaci różnych zapisów, dokumentów, i nie wiem, czy doszedłem do końca, czy już w pełni zostałem poinformowany...

TRZNADEL: — *Nie pan jeden to mówi... Mam zupełnie podobną świadomość.*

BOCHEŃSKI: — Ostatnio właśnie zdarzyły mi się takie lektury, od których włos mi się zjeżył. To jednak jeszcze ciągle są dla mnie nowości. Przeżyłem wyłącznie okupację niemiecką, na tamtych terenach nie byłem, choć jestem urodzony we Lwowie. Ale ta galicyjskość też odegrała pewną rolę. Bo Rosję mało się interesowano w moim domu albo wcale. Komunizm to nie było to, o co nasze losy by się kiedykolwiek zazębiły. Nikt nie miał żadnych takich doświadczeń, doświadczenie to była albo Austria, albo Niemcy. Otóż ten brak informacji został potem niejako zakonserwowany. Oczywiście, gdyby bardzo się postarać, to można się było poinformować. Ale chęć, wyobraźnia i myśl szły w innym kierunku. Ja jednak spędziłem te lata, późne czterdzieści i początek lat pięćdziesiątych w rodzaju getta, które przecież nie bez przyczyn rządzący tutaj starali się utworzyć i pilnie o to zabiegali. Środowisko twórcze, słuchając pouczeń, że ma wyjść z wieży z kości słoniowej, jakąś taką wieżę miało i w niej siedziało. To wszystko, co mówię, dotyczy początków mojej świadomości i ma odpowiedzieć na pytanie: jak to się zaczęło, skąd to przyszło. Dodałbym jeszcze to, co poruszyliśmy jakby mimochodem, że byliśmy częścią inteligencji europejskiej, choć na Zachodzie nie używa się tego terminu, a więc częścią europejskiej elity kulturalnej. Z niepojętą dzisiaj dla nas łatwością członkowie tej elity, tak zwani intelektualści, twórcy, ludzie o przekonaniach liberalnych, demokratycznych, o niesłychanie szlachetnych intencjach, o niesłychanej wrażliwości na krzywdę ludzką, na niesprawiedliwość, przyjmowali samoułudę komunistyczną i bronili się przed wszystkim, co mogłoby ją rozproszyć. Należeliśmy do tej formacji, zachowywaliśmy się jak ona, i byli w nas dyspozycje, żeby tak się zachowywać. Myślę, że źródło tego jest dość proste: człowiek zawsze jest niezadowolony ze swojej kondycji, ze zła egzystencji,

jaką przeżywa, i potrzebuje czegoś, do czego mógłby się odnieść jako do innego, możliwego świata. Ten świat niekoniecznie musi nawet istnieć faktycznie, ale jest dla umysłu i uczuć konieczny, a dopiero krytyczna samowiedza na ten temat potocznie wyraża się w zdaniu, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Miejsce „gdzie nas nie ma” musi być jakieś lepsze, muszę sobie móc wyobrazić, że ono stanowi moją szansę...

TRZNADEL: — *Konieczność projekcji... Jednocześnie, ponieważ przed wojną należeliśmy do świata zachodniego i okazało się to klęską, u wielu rodziło to pytanie, czy prawda nie jest po wschodniej stronie...*

BOCHEŃSKI: — Straszności wojny i hitleryzmu ułatwiły zgodę na straszne środki retorsji, wywołały absolutyzację faszyzmu niemieckiego, przyjęcie go zrazu za zło główne, później za wyłączne. Idźmy już dalej z biegiem czasu... Pod koniec '46 roku znalazłem się w Warszawie i wszedłem w środowisko młodych literatów. Byli wśród nich nie bylejacy, bo na przykład Tadeusz Borowski. Znajomość z Tadeuszem Borowskim i jego obozowa filozofia była dosyć ważna w związku z naszą radykalizacją i uznaniem za rzecz słuszną, żeby gwałt się gwałtem odciskał... Nie wiem nawet, czy daję się to wyczytać w jego twórczości literackiej, ale jakaś zajadłość jest widoczna w publicystyce i działalności politycznej, a korzeniami motywacyjnymi sięga to wszystko przeżyć obozowych. Myślę o tropieniu tego rzekomego faszyzmu, który ciągle jak cień idzie za Tadeuszem i chce go dopaść. I który on musi zwalczyć.

TRZNADEL: — *A nie widzi go wokół siebie...*

BOCHEŃSKI: — No, czy nie widzi, to jest jeszcze pytanie... Chyba i widzi, tylko nie chce go zobaczyć, a kiedy go wreszcie dostrzeżę, to nie umie sobie z tym poradzić, i co się stało, wiemy... Zbiorowość jednak kształtuje. Wszedłem w środowisko, którego nastawienie z natury rzeczy uważałem za instruktywne dla siebie. Nie ma nic lepszego, muszę się liczyć z tą opinią... Jeśli oni tak mówią, to widocznie jakaś głęboka mądrość przez nich przemawia. Wtedy zetknąłem się też z komunistami i marksizmem. Olsnienie, jakie w pierwszej chwili wywołuje marksizm dzięki swemu uniwersalizmowi i prostocie, euforia i pewność, że się złapało Pana Boga za nogi, to są sprawy banalne, znane, wciąż przeżywane przez młodych ludzi na całym świecie i opisane wielokrotnie. Nic tu nie dodam. Ta teoria wspaniale izoluje od rzeczy-

wistości, dając poczucie doskonałego z nią związku. Fakty nie mogą podważyć marksizmu, bo marksista poznaje fakty po tym, że potwierdzają marksizm. Co go nie potwierdza, nie jest faktem, ale błędem poznania! Tak można w nieskończoność, w dodatku nie zdając sobie sprawy, że to tak jest. Trzeba doznać bolesnych skutków marksizmu w praktyce, żeby przejrzeć, wyzwolić się z uroku doktryny. Komunistom, jakich wtedy znałem, a prawie wszyscy należeli do środowiska literackiego, marksizm w skórę jeszcze zbyt nie dał, a zapewniał umysłową i w ogóle psychiczną wygodę. Nie było przywilejów materialnych, życia w luksusach, w pięknych mieszkaniach, to nieprawda. Przynajmniej z autopsji nic takiego nie pamiętam. Może dotyczyło to sfer rządzących i tak zwanej nomenklatury. Zdarzały mi się spotkania z działaczami politycznymi, ale tylko na gruncie publicznym, oficjalnym, nigdy nie wszedłem głębiej w to środowisko polityków i ludzi władzy, nawet wtedy, kiedy należałem do partii. Moje otoczenie partyjne to byli dalej koledzy ze związku literatów, a ci, szczególnie młodzi, żyli skromnie, w pogardzie dla dóbr mieszczańskich, które wyśmiewali i chcieli tępić. Natomiast komunizm otaczał zewsząd, komunistyczny był rząd i komunistyczne były lektury, komunistami byli przyjaciele, i komunistkami kobiety, które kochałem. Ze względu na wielki udział artystów i pisarzy w tym wszystkim, wyglądało to trochę jak spełnienie dziewiętnastowiecznego snu modernistów, jak ich odwet triumfalny. Z jednym ważnym szczegółem: wartości, na których zależało modernistom, uległy tu pewnej przeróbce. Kryteria prawdy, dobra i zła zostały tak jakoś „skorygowane”. Ale nie należało się tym niepokoić... Te zbiorowości komunistyczne wywierały nieustanną presję. Fanatyzm był tam odbierany jako zaleta. Człowiek, który umiał zapanować nad wątpliwościami, był zdecydowanie lepszy od tego, który się wątpliwościom oddawał. Należało zwalczyć w sobie wszelkie wątpliwości.

TRZNADEL: — *Inteligencja była wychowana częściowo w spuściznie freudowskiej: jeśli mam wątpliwości, to może być moja zła świadomość.*

BOCHEŃSKI: — Tak, myślę, że to się nakładało. Ci ludzie by się bardzo oburzyli, gdyby im Freuda przypomnieć, bo Freud był fałszywym burżuazyjnym myślicielem, ale byli jakoś pod jego wpływem, bo freudyzm, jak i marksizm formował jakoś tę inteligencję w dwudziestolecie.

TRZNADEL: — *A jak wyglądały ewentualne wątpliwości, już*

z nową rzeczywistością związane, z tym, co ona wyczyniała z narodem?

BOCHEŃSKI: — U mnie taką odpowiedzią na to była książka *Zgodnie z prawem*. Zastrzegam się, że to strasznie dawno miałem w rękach i niezbyt dobrze już pamiętam, co tam w istocie napisałem. Ale fakt na przykład, że w tytule jest prawo i zgodność z nim, pojawia się nie wiadomo na jakiej zasadzie — czy na zasadzie postulatu? Czy ma być zgodnie z prawem, czy jest zgodnie z prawem? Myślę, że dwuznaczność tego tytułu oddaje sprzeczność tkwiącą w samym autorze. On jednocześnie chce się upomnieć o prawa i zapewnić, że są przestrzegane. Jest w książce opowiadanie o oficerze bezpieczeństwa. Jeśli pamiętam, to centralnym problemem jest tu sprawa gwałtu i bicia, którego rzekomo ten oficer nie stosuje...

TRZNADEL: — *Choć przestuchiwany zamordował mu ojca i brata...*

BOCHEŃSKI: — Ten człowiek powściąga w sobie te jakieś skłonności naturalne do odwetu.

TRZNADEL: — *Zauważyłem jednak, że argumenty krzywdy i powody tej krzywdy wyliczone są po stronie oficera UB, ale nie przywódcy bandy, jak się go nazywa.*

BOCHEŃSKI: — Tak jest. Ta książka wyniknęła z takiego podwójnego myślenia, jakby też z dwoistości woli. Z jednej strony miało to być afirmowanie komunizmu jako sprawiedliwego, a z drugiej strony żądanie, żeby właśnie takim być. Więc tak widać nie jest.

TRZNADEL: — *Pan to pisał po sprawie gryfickiej?*

BOCHEŃSKI: — Tak, to było po procesie gryfickim, który miał być znakiem politycznym, że pewien rodzaj gwałtu jest niepożądanym, ale nie dążono do tego, aby o tym długo pamiętać. Jedna rzecz jest charakterystyczna — przez dłuższy czas miałem trudności z opublikowaniem tych opowiadań. Nie pamiętam dobrze, gdzie je chciałem opublikować. Jedno z nich, *Wiosna*, było chyba drukowane w „Sztandarze Młodych”, ale jedyne. Tytułowe opowiadanie nie było publikowane przed ukazaniem się w zbiorze, nie mogłem tego przepchać, a tak samo — jeśli się nie mylę — nie mogłem przepchać tej *Władzy*, gdzie jest akcja skupu zboża, jest mowa o Gryficach i sekretarz popełnia tam błędy. Próbow-

łem interweniować u Putramenta. Gdzie tego nie chciano, już nie pamiętam, może w „Nowej Kulturze”, ale pamiętam rozmowę z Putramentem, który mi powiedział — pamiętam jedno takie zdanie — że w razie jakiegoś zaostrzenia się sytuacji na przykład międzynarodowej, ostrzejsze środki byłyby zastosowane, tak że to, o co się upominam, to są drobiazgi, trzeba mieć perspektywę. A więc interwencja nie odniosła skutku. Treść tej rozmowy zastanowiła mnie wtedy. Ale potem książka się ukazała i posypały się z kolei entuzjastyczne recenzje. A wkrótce przyszedł rok '53. Z wielką przykrością myślę dziś o *Zgodnie z prawem*. To jest u mnie najhaniebniejszy przypadek samozakłamania w twórczości. Tego pisarzowi robić nie wolno.

TRZNADEL: — *Czy jednak najbardziej radykalne zaangażowanie po tamtej stronie nie pojawiło się w publicystyce szkicu Podróż i szczypta filozofii?*

BOCHENSKI: — To już inaczej pamiętam. Pewnie też błąd perspektywy. Otóż te relacje ze Związku Radzieckiego wyszły w wydaniu książkowym w '56 roku, ale były pisane i publikowane wcześniej w „Przeglądzie Kulturalnym”. Też nie wszystkie mogły się ukazać. Co najmniej jeden, a może dwa rozdziały, zostały skonfiskowane. Z „Przeglądu Kulturalnego”. Wezwali mnie wtedy na rozmowy Berman i Bristigerowa. Berman po raz drugi, bo pierwszy raz zdarzyła się taka rozmowa w roku '53, po jakimś skonfiskowanym felietonie. Więc ja miałem wtedy poczucie już takie, że coś tam odkrywam, że zacząłem odkłamywać wizję Związku Radzieckiego. To jest zawarte w jakichś elementach, które dzisiaj wydają się drobiazgami. Na przykład w opisach architektury metra. Dziś nie zdajemy sobie sprawy, że wtedy najdrobniejsze odstępstwa od obowiązującego szablonu miały się dynamitu. Czytelnik to czuł.

TRZNADEL: — *Owszem, były jakieś aluzje, na przykład, że ludzie radzieccy noszą bardzo szerokie spodnie, bo taka moda. Wspomnieć o tym na tle ogólnonarodowego namiętności się u nas z tej mody było pewnie aluzją. Podobnie ironicznie brzmiało powiedzenie, że kobieta radziecka jest tęga, ale nie otyła.*

BOCHENSKI: — Stosowałem tam pewnie masami jakieś eufemizmy.

TRZNADEL: — *Jako komunistyczna uderzyła mnie przede wszystkim część zatytułowana Szczypta filozofii. Oczywiście to było przed XX zjazdem. Jest tam krytyka Miłosza i polemika z nim,*

ale w ramach polemiki światopoglądowej. Nie ma tam żadnych takich niewybrednych napaści, jakich autorami byli znani pisarze.

BOCHENSKI: — W tej polemice usiłowałem zakrzyczeć własne wątpliwości. Przeczytałem wtedy *Zniewolony umysł* i wywarł na mnie duże wrażenie, tylko że jeszcze nie mogłem się na to zgodzić, za wiele by się zawaliło i za szybko. Mój koronny argument — dziś już wiem, że idiotyczny — brzmiał: że mianowicie republiki azjatyckie miały rzekomo przeżyć awans materialny, kulturalny, że poziom życia tych ludzi, którzy za jedyne doświadczenie mieli przedtem nędzę, teraz został niesłychanie podniesiony. I ja wierzyłem święcie, że tak jest.

TRZNADEL: — *Pan mówi tam o Kazachstanie. Jednym z wiarygodnych świadectw, jak to było naprawdę, są stronicie książki wspomnieniowej Oli Watowej...*

BOCHENSKI: — Ta książka Oli Watowej ujawniła mi teraz dopiero coś takiego, że w stosunku władzy radzieckiej do ludów muzułmańskich, azjatyckich, brakowało jakby czegoś, co miały wszystkie potęgi kolonialne. Tytułem kolonizatorów do sprawowania protektoratu i rządów nad podbitymi narodami czy plemionami było to, że podnoszą tych ludzi na wyższy poziom cywilizacyjny, zakładają szpitale, szerzą oświatę. Zdałem sobie sprawę, że zesłanie Polaków do Kazachstanu jako osiedleńców, nie miało intencji, aby przynieśli lepsze wzory cywilizacyjne, to oni mieli być sprowadzeni do poziomu tubylców. Nie mieli na przykład gospodarować w sposób instruktywny dla Kazachów, czy lepiej mieszkać. A tkwiłem w przekonaniu, że władza radziecka usiłuje szczepić wyższy standard cywilizacyjny. Tam się posyła Europejczyków, którzy mieli zawsze misję kulturotwórczą...

TRZNADEL: — *Ale za cara!*

BOCHENSKI: — Za cara... Tu przestali ją mieć. Był więc błąd wynikający z niepoinformowania, ignorancji całkowitej. Jeśli u Miłosza odczuwałem jako prawdę rzeczy związane z Murti-Bingiem, bo tym mnie trafił, tym co nazywał ketmanem, zniewoleniem umysłu wyrafinowanego, to z opisem sideł zastawionych na człowieka kulturalnego nie polemizowałem. Ale nie możesz mówić — oponowałem — że Azja nie została wyzwolona!

TRZNADEL: — *No i oczywiście nie ma u pana ani słowa o całych narodach azjatyckich deportowanych przez Stalina...*

BOCHENSKI: — Proszę pana, pamiętam, że zadałem idiotyczne

pytanie na Krymie, w Sewastopolu, o Tatarów. Bo nagle mi się wydało, że tam przecież powinni być Tatarzy!... Pytanie do tych Rosjan. I nie otrzymałem na to żadnej odpowiedzi. — A, nie ma, nie ma... Jakoś tak nie trafiliśmy... — Ja nie wiedziałem o tej deportacji, zadałem pytanie głupca, który nie wiedział, co się stało z tym narodem. Oczywiście proces uświadomienia postępował. Już przed XX zjazdem byliśmy jakoś przygotowani na różne rewelacje, proces „rehabilitowania” niesłusznie skazanych zaczął się wcześniej. Zaczęli wychodzić z więzień ludzie i coś opowiadać. I te opowiadania już wtedy do mnie dotarły. Przedtem najczęściej nie wiedziało się, że ktoś siedzi. Bo jeśli człowieka nie znałem... A dowiedzieć się od rodzin tych, którzy zostali tym dotknięci, nam było trudno. Bo z nami się nie mówiło... Myśmy tkwili w tym getcie nie tylko dlatego, że taka była organizacja życia kulturalnego, ale także dlatego, że od nas stroniono, nikt nie podjąłby rozmowy na temat losu aresztowanego, nawet by nie wspominał o tym. Uważano nas za tych, którzy to widocznie aprobują.

TRZNADEL: — *Przypomina to jednak stwierdzenia i wymówki niektórych Niemców na temat hitlerizmu...*

BOCHEŃSKI: — O, tak. Temat tej sprawy, poinformowania Niemców i szczerości tych, którzy mówią, że nie wiedzieli... Mam tu trochę inny sąd, niż większość Polaków, którzy traktują to jako cyniczne łgarstwo i obrzydliwe, tchórzowskie wymigiwanie się od odpowiedzialności. Myślę, że po tym wszystkim, cośmy tutaj przeszli, i przyjrzeniu się, jak działa taki totalitarny organizm, jak blokuje informację, jak wytwarza mechanizmy prowadzące do odrzucenia informacji — nie wie się między innymi dlatego, że się nie chce wiedzieć — po tym wszystkim nie możemy tak kategorycznie uważać, że reagowalibyśmy dużo inaczej, gdybyśmy urodzili się Niemcami.

TRZNADEL: — *Jakże perfidne są cele tej fałszywej propagandy, która działa u nas na temat Niemców. Trzeba o tym mówić i pisać. Mam już inną na ten temat świadomość, a długo jej nie miałem. Dopiero w ostatnich czasach spojrzałem zupełnie inaczej na pewne sprawy, które się działy na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Byłem od '46 roku, dosyć wcześnie, we Wrocławiu, i przyjmowałem wszystko jako rzecz naturalną. Spotykało się Niemców, nie miało się zresztą do nich specjalnej pretensji, był jakiś aktor, u którego poprawiałem swój język niemiecki, jakiś krawiec, ku-*

lawy, który szył mi marynarkę, pamiętam nawet, że nazywał się Pusch. Przyjmowało się ich jak ludzi. Ale jednocześnie nie rozumiałem, że całe to przemieszczanie zapatek przez Churchilla i Stalina na mapie, a potem przesunięcie granic, a wreszcie wyrzucenie milionów ludzi z ich miejsc zamieszkania — a więc znów deportacje narodów — Polaków i Niemców, to się mieściło nie w słusznych rewindykacjach, ale w całej totalitarnej machinie stalinowskiej. Że można wszystko zrobić z masami ludzkimi. Kiedyś zmieniały się granice, ale ludzie zostawali na miejscu, zawsze na ogół zostawali na miejscu, przemieszczali się potem ci, którym się to mniej podobało. Bo i granice nie były zamknięte na amen. To wszystko, o czym mówię, zyskało ostatnio nowy wymiar — emocjonalny. Kiedy w '46 roku wzięliśmy mieszkanie poniemieckie, czułem coś niewyraźnego w dołku, co nie docierało jako jasna myśl, oglądałem zostawione przez nich fotografie rodzinne, ale w końcu nas też wyrzucono z pięknego mieszkania na Górnym Śląsku; w piwnicy deptaliśmy po rozrzuconych naszych fotografiach rodzinnych i zbieraliśmy je. Dziś wiem, że dokonał tego ten sam mechanizm, i gdy przyjeżdżam do Wrocławia, czuję wstyd, co nie oznacza, że proponowałbym nowe zmiany i nowy exodus narodów. To są dwie różne rzeczy. Faszysty Niemieczy zrobili bardzo źle, ale my powtórzyliśmy ten gest i ja czuję wstyd, choć miałem wtedy piętnaście lat. Idę tutaj po prostu za pana myślami, jak totalitaryzm uniformizuje i każe nie zastanawiać się — i to na długo — nad pewnymi sprawami.

BOCHEŃSKI: — To jest bardzo skomplikowana i straszna sprawa — stosunki polsko-niemieckie. Nie potrafimy o nich myśleć obiektywnie, bo doznaliśmy zbyt wielkich cierpień i nie możemy się otrząsnąć po dziś dzień. Ostatnio zachodzą jednak pewne zmiany na lepsze. Psychika młodszych pokoleń nie ma już po hitlerowskim urazu. Oczywiście, my wobec Niemców, niezależnie od gwałtów i bestialstw, które oni popełnili, też nie jesteśmy bez grzechu. Czy zdajemy sobie sprawę, w jakich warunkach odbywało się wysiedlanie Niemców w latach czterdziestych? Ale — jątząc szerzej — czy zdajemy sobie sprawę, jak pacyfikowaliśmy wsie ukraińskie w dwudziestolecie międzywojennym? Co się tam naprawdę działo? A jak po wojnie rozprawiono się z ludnością ukraińską, która jeszcze pozostała na terenie Polski? Zbrodnie rezunów, podobnie do zbrodni hitlerowców, odebrały nam wszelką chęć i zdolność oceny własnych czynów. Nic o nich nie wiemy. Nie jesteśmy poinformowani! Jak ci komuniści nie poinformowani o zbrodniach stalinowskich, jak ja w latach czterdziestych i pięćdziesiątych!

TRZNADEL: — *Czy pan nie sądzi, że swoiste oświecenie problemu niemieckiego — jako naddatek nad strasznością niemieckiego faszyzmu, którego potworność tłumaczyła się zresztą sama — pchało pewnych ludzi z liberalnej inteligencji do komunizmu?*

BOCHEŃSKI: — Na pewno tak. Taki motyw również w moich dawnych pracach publicystycznych na pewno by się znalazł. Ja się może dość szybko z tego otrząsałem, bo nie ma we mnie niechęci do innych narodów. Wszelki szowinizm jest mi obcy. Nie mam częściej u Polaków idiosynkrazji do języka niemieckiego, mam przyjaciół Niemców, to się zresztą rozciąga także na przedstawicieli kraju, który nam w tej chwili dokucza. Ale świadomość, że ten kataklizm spotkał nas właśnie ze strony Niemiec, lęk, na którym żeruje propaganda, że jeszcze nam grożą — to poczucie było u mnie tylko bardzo krótko. Bezpośrednio po wojnie wszystko było za świeże, to się jeszcze śniło, te upiory krążyły po zburzonych miastach, w ruinach i właśnie we snach. Potem zaczęto tym manipulować. W okresie wojny w Korei pod postacią żołnierza amerykańskiego pojawiał się ktoś, wyposażony w atrybuty zbrodniarza niemieckiego.

TRZNADEL: — *Jesteśmy blisko problemu zbrodni masowych. Jak docierała do pana sprawa mordu katyńskiego?*

BOCHEŃSKI: — Sprawa katyńska dotarła do mnie z prasy okupacyjnej niemieckiej w języku polskim i przyjąłem to jak wszystkie propagandowe horrory, którymi ta prasa była usiana. Nie wiedziałem w roku '43, jak to traktować, czy to w ogóle jest prawda. W prasie mnóstwo było doniesień o koszmarach bolszewizmu, które miały nas przerazić i przychylniej usposobić do hitlerowskich Niemiec. Niestety wiele z tych informacji było zgodne z rzeczywistością, na przykład wizja Europy, która miała powstać po zwycięstwie wrogów Niemiec. Też przyjmowałem jako groteskową zapowiedź właśnie z prasy niemieckiej, że pół Europy zajmie Rosja, bo sprzymierzeni ulegając Stalinowi tak to uzgodnili, będzie wprowadzony komunizm, bo Żydzi będą wszędzie. A właśnie bolszewicy i Żydzi wymordowali rzekomo tych oficerów... Wiadomo, antysemityzm. Ten koszmarny antysemicki idiotyzm odrzucał mnie od prawdy, jaką jednocześnie zawierała reszta informacji. Potem dowiedziałem się, że do Katynia wyjechała grupa z krajów neutralnych, komisja Czerwonego Krzyża. Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, z jaką nieufnością traktowaliśmy wszelkie takie wiadomości o komisjach działających pod patronatem Wehrmachtu? Co ci eksperci pod takim patronatem będą widzieć? Coś im tam pokazują, jakieś komuni-

katy nam podają. Nie miałem do tego absolutnie zaufania. Prawdą jest, że zaczęły wtedy docierać wiadomości — jedna taka do mnie dotarła — o mordach ze Lwowa. Po wkroczeniu Niemców do Lwowa były doniesienia w gazetach, że przed odejściem bolszewicy wymordowali więźniów w więzieniach lwowskich, co uważało się za normalną propagandę, ale potem to się jakby potwierdzało przez wiadomości napływające od przyjezdnych. Nie wiedziałem, czy ci świadkowie są wiarygodni, no, bo różne fantastyczne rzeczy opowiadano podczas wojny. On tam nie był, coś słyszał, a myśmy wiedzieli z bezpośredniego doświadczenia, bo mieliśmy to około siebie, że specjalistami od mordów masowych są Niemcy. Więc miałem do tego niejasny stosunek, co nie znaczy, żeby mi nie powstało w głowie podejrzenie. Bo jednak trochę to było dziwne, żeby Niemcy tam odkrywali zwłoki swoich własnych ofiar. Ale kiedy potem w majestacie sprawiedliwości norymberskiej znalazła się i ta sprawa... Ona nie była rozpatrywana, ale była tam podniesiona.

TRZNADEL: — *Zabrakło jednak wiarygodnych świadków mogących zeznawać na korzyść Rosjan...*

BOCHEŃSKI: — Zabrakło... Ale ja wtedy pomyślałem, no, oczywiście jeszcze jedna zbrodnia hitlerowska. Prawda stała się jasna dopiero wtedy, gdy okazało się, że były inne podobne zbrodnie komunistyczne, więc nie ma powodu myśleć, że tej zbrodni nie popełniło NKWD. Tu w Warszawie mordowano, wprowadzie nie na taką skalę. Dowiedzieliśmy się czegoś o historii Związku Radzieckiego, na przykład o kolektywizacji na Ukrainie.

TRZNADEL: — *Najbardziej dotarło to do mnie poprzez wstrząsający opis Grossmana.*

BOCHEŃSKI: — Więc to wszystko zaczęło docierać gdzieś w latach pięćdziesiątych, wraz z naszymi ówczesnymi lekturami. Bo przedtem byliśmy dość szczelnie odcięci od wszelkich informacji. Ja wiedziałem, że rewolucja była krwawa, że wojna domowa była krwawa, że odbyły się tam dzikie akty anarchii i ludobójstwa — jakby przez pryzmat *Przedwiośnia*. Ale to była rewolucja, straszna rewolucja, która się jednak musiała potem skończyć.

TRZNADEL: — *Wychowano nas w kulcie dla Wielkiej Rewolucji Francuskiej...*

BOCHEŃSKI: — Tak, naturalnie.

TRZNADEL: — I trzeba było dystansu żeby zacząć myśleć krytycznie. Podobne myśli Stanisławy Przybyszewskiej przeszły w dwudziestolecie bez echa. Ten kult rewolucji też stanowił wcześniej swoisty filtr w stosunku do wiadomości ze Wschodu. Wspominał pan o prasie okupacyjnej niemieckiej dla Polaków. Prawdopodobnie czytaliśmy te same gazety, bo ja mieszkam w Krakowie, pan w Zakopanem. Więc „Goniec Krakowski”. Ja też pamiętam te numery o Katyniu. Uważaliśmy to jednak raczej za zbrodnię sowiecką. Mój ojciec znalazł się po wybuchu wojny we Lwowie pod okupacją sowiecką i wiele widział. Był na krótko zatrzymany, jakimś cudem zwolniony... Wrócił. I wie pan co, ja pożyczyłem sobie ostatnio kilka roczników tego okupacyjnego „Gońca”. To dotąd nie przeszło przez badania historyków. Otóż mogę powiedzieć, że na pewno 90 % podanych tam wiadomości o Katyniu odpowiada prawdzie — oprócz zawyżonej od razu przez Niemców ilości zwłok. Co więcej, odpowiadają prawdzie komunikaty o represjach sowieckich wobec partyzantki AK na terenach zajmowanych w 1944 roku. Ale nie to najbardziej mnie zdumiało. Okazało się, że nie odcinano od wszelkich informacji ze świata, tylko je deformowano, znalazłem też w „Gońcu” na przykład przedruk artykułu Zygmunta Nowakowskiego z „Wiadomości” londyńskich, wojennych!

BOCHENSKI: — Zdaje mi się, że ta prasa zmieniła się pod koniec, zaczęła dbać o większą wiarygodność.

TRZNADEL: — I nastawiona była przede wszystkim antysowiecko, licząc na efekt tej propagandy. Ważna jest jednak jeszcze inna sprawa: frazeologia i duch propagandy goebbelsowskiej, który musiał jakoś przenikać i do tej marnej gazetki, ułatwił moim zdaniem — jako przyzwyczajenie do zaktamania — akceptację, przynajmniej przez niektórych, czerwonej komunistycznej prasy drukowanej po tak zwanym wyzwoleniu. W „Gońcu” filtr wiadomości o powstaniu warszawskim był chyba identyczny jak w prasie sowieckiej — do połowy sierpnia '44 ani słowa o Powstaniu! Natomiast coś tam się betkotało o tym, co dzieje się na frontach i w świecie, w rządzie angielskim i emigracji polskiej — skąd my to potem znamy? Więc myślę, że to iunctim istnieje. Ale nie należy wpadać w automatyzm analogii.

BOCHENSKI: — A wie pan, po wszystkim, cośmy sobie powiedzieli, czuję, że jednak czegoś ważnego brakuje. Jedno pytanie ciśnie się na usta, pan go nie zadał. Pytanie o strach. Może uległem duchowo totalitaryzmowi w tamtych latach dlatego po

prostu, że się go bałem? Czyż wszyscy się nie bali? Wcale nie wiem. Strach trzeba odróżnić od zahipnotyzowania. Byłem zahipnotyzowany. Hipnotyzer miał wzrok bazylijska, to prawda, ale nie czułem się przez komunizm sterroryzowany. Wie pan, kiedy ogarniało mnie przerażenie? Bo to właśnie trzeba tu jeszcze powiedzieć. W chwilach gdy uświadamiałem sobie nagle prawdziwy stan rzeczy! Były takie *lucida intervalla* w obłądździe, błyski trzeźwości, w których właśnie z przerażającą jasnością ukazywała się rzeczywistość. Przypuszczam, że wszyscy to przeżywali. Nie wiedzieli, ale i wiedzieli. Tym się te stany zaślepięńcze odznaczają, że człowiek miewa również na krótko drugą świadomość. No dobrze, można by mnie zapytać, a cóż robiłeś, gdy taki moment na ciebie przychodził i w tym krótkim przebiegu widziałeś wszystko: i pomordowanych oficerów w Katyniu, i wymuszone torturami, dziwne zeznania więźniów politycznych, które przecież mogłeś przeczytać w gazecie, i głodnych łachmaniarzy w Kazachstanie, etc. etc.? Kiedy to wszystko raptem, w całej nagiej prawdzie staowało przed tobą, cóż wtedy robiłeś? A nic! Wygłaszałem monolog przed najbliższą osobą, jaką akurat miałem przy sobie, a ona to brała nie za błysk przytomności, lecz nagle zamroczenie. Nikt się nigdy ze mną w takim momencie nie zgodził. Ja majaczyłem. A potem wszystko wracało do normy, myślałem znowu jak przedtem. Przyjechał kiedyś Brecht do Warszawy. Toczyła się rozmowa z nim w kilka osób, a ja twierdziłem, że czuję się wolny. Uświadomiona konieczność i tak dalej. Na co Brecht zauważył nie bez ironii, że jeśli ktoś ma szczęście pragnąć właśnie tego, co konieczne i tylko to, co konieczne myśleć, może istotnie czuć się wolny. W dwadzieścia lat później rozmawiałem w Rzymie z Ignazio Silone. On zaczął o Brechcie. Mieli wspólną przyjaciółkę, aresztowaną w Związku Radzieckim, która dla Brechta jakby przestała istnieć po tym aresztowaniu. Nie zrobił dla niej nic, palcem nie ruszył w jej obronie, ust nie otworzył, dlaczego? Silone rzucił mu to pytanie prosto w twarz, a Brecht, jak mówi Silone, ten marny tchórz, wykręcał się w niegodny sposób. Silone wciąż do tego wracał, to chyba był temat poruszony celowo w rozmowie ze mną, żeby sprawdzić kim jestem, ja, nieznany literat z Warszawy. Silone był rozczarowanym komunistą, który strawił życie na walce z totalitaryzmami, z faszyzmem włoskim, ale przeszedł przez fazę wiary i uległości komunizmowi, jeździł z Togliattim na posiedzenia Kominternu do Moskwy, co zresztą potem opisał.

Tak sobie myślę, o czym te nasze rozmowy świadczą. Jak świadczą o sytuacji umysłowej i moralnej sfer kulturalnych Europy? Trzej pisarze, różnego wprawdzie znaczenia i wieku, z trzech

krajów europejskich, coś takiego sobie mówią na przestrzeni dwudziestu lat. Czy Brecht się bał? Czego? No a co z tym brakiem szczęścia u niego do uświadomionej konieczności? Czy był niewolnikiem? A kto jego panem? Ja chyba wtedy, gdy zapewniałem Brechta, że jestem wolny, naprawdę niczego się nie bałem. Z głupoty, oczywiście, bo niewątpliwie było się czego bać. Ja się boję dopiero dzisiaj! Bo już wiem, z czym sprawa. I tylko dlatego, że się boję, nie ulegam. Bo niczego nie boję się tak bardzo, jak tego, co by się mogło ze mną stać, gdybym uległ! Wtedy, za czasów stalinowskich, ulegałem, jakkolwiek paradoksalnie może to brzmieć, nie ze strachu, tylko z innego tajemniczego powodu, który działał na wielu i którego nigdy pewnie dobrze nie objaśnimy. I tu się to też nie udało. Powiedziałem panu, że początek u mnie, ten jakiś podświadomy impuls, ten wyzwalacz pochodzi być może z czegoś odziedziczonego jeszcze po mentalności modernistów, u nas — Młodej Polski. Czyli ten początek bierze się z intuicyjnego, opartego wprawdzie na nieporozumieniu, kultu sztuki, literatury i związanych z nią wartości duchowych. Rzecz ciekawa, że moja opozycja wobec komunizmu ma podobne źródło. Ponad trzydzieści lat temu zaczęła się od walki z cenzurą i obrony wolności słowa. A w gruncie rzeczy i potem wokół tego motywu zawsze się obracała.

TRZNADEL: — *Ba, nie dać się zwieść, nawet gdy mediację stanowią piękne marzenia! Myślę, że Tomasz Mann pisząc swoją nowelę Mario i czarodziej dużo już o tym wiedział.*

WYPLUĆ Z SIEBIE WSZYSTKO

Rozmowa ze Zbigniewem Herbertem
(9 lipca 1985)

TRZNADEL: — *Rozmawiamy 9 lipca 1985 roku.*

HERBERT: — ...po Chrystusie. Rozmowa ma dotyczyć tego okresu, o którym nie lubię mówić, którego nie lubię wspominać. Jestem w dość trudnej sytuacji — nie byłem aktorem tego zniewolenia literatury okresu stalinowskiego.

TRZNADEL: — *Ale to daje szansę szczególnego spojrzenia.*

HERBERT: — Może. Czy tylko zadżumieni mają mówić o dżumie, czy postronny obserwator też może mówić o dżumie? Chciałbym — choć nie uniknę tego na pewno — wyłączyć jakieś elementy pychy, jakiegoś wywyższania się, to jest oczywiste. Mówmy więc, jeżeli to jest konieczne. Ten okres powojenny jest dość obrzydliwym rozdziałem w dziejach literatury polskiej. Nie jestem specjalistą ani od pornografii, ani od historii gangów politycznych, a to wszystko trąci mi właśnie pornografią i gangami politycznymi. Ale żeby wystrzelić od razu z Grubej Berty powiedziałbym, że ludzie w Polsce dzielili się na dwa obozy: na lewobrzeżnych i prawobrzeżnych. Ci, którzy przeżyli okupację sowiecką '39 do '41 roku we Lwowie czy Wilnie, mieli po prostu pojęcie o systemie sowieckim, jego pokaz *in nuce*. Tacy jak ja uważali, że rok '45 to nie jest żadne wyzwolenie, tylko po prostu najazd, dalsza, dłuższa, znacznie trudniejsza do przeżycia moralnego okupacja. Ja miałem doświadczenie lwowskie. Była to lekcja pogładowa, po której nie pozostawały właściwie żadne wątpliwości co do zamiarów, koloru władzy i jej intencji. Dla mnie była to po prostu

odmiana faszyzmu. Okropne słowo, ale mogę to udokumentować. Prawda, faszyzmu w sensie metod. To, że komunizm miał swoich świętych, a faszyzm ich nie miał, to jest pewna różnica gatunkowa, ale metody były w końcu te same.

TRZNADEL: — *Całkowicie zgadzam się z tym określeniem. Przede wszystkim co do istoty problemu. Poza tym słowo „totalitaryzm”, choć jeszcze budzi protesty władzy, gdy jest użyte wprost w stosunku do aktualnego komunizmu, zaczyna być nawet przez cenzurę tolerowane w omownych i peryferyjnych analizach.*

HERBERT: — Może dla Francuza totalitaryzm coś znaczy, tutaj przestaje funkcjonować. Więc tak, ja jestem tym Polakiem prawobrzeżnym, wschodnim Polakiem, który właściwie wiedział o tym systemie już wszystko w tydzień od wkroczenia armii-wyzwolicielki do Lwowa. To moje założenie, aksjomat: wiedziałem, że to będzie okupacja, i sądzę, że większość społeczeństwa myślała tak samo. To zostało zweryfikowane. Proszę wziąć pod uwagę tak zwane referendum. Referendum było miażdżące dla rządu. A pytania były niewinne, czy chcę sejmowi dwuizbowego, czy pragnę Szczecina i Wrocławia, i coś tam jeszcze było... czy jestem za reformą rolną. Można było jeszcze dodać czwarte pytanie, czy jestem przeciwko kolonializmowi... Wtedy bym odpowiedział, że pragnę kolonializmu, bo to nie było głosowanie dla pięknoduchów, tylko był sondaż w innej, nadrzędnej sprawie...

TRZNADEL: — *Tak, chodziło tylko o to: uznać władzę komunistyczną lub nie.*

HERBERT: — Przecież w prlu — można to tak wymawiać — nie chodzi o wybranie najlepszych synów narodu, tylko każde wybory, i te zbliżające się, są sondażem. Do jakiego stopnia społeczeństwo dało się zniewolić, do jakiego stopnia jest już zmęczone, ogarnięte niewiarą, do jakiego stopnia Solidarność została zapomniana, i tak dalej. Ja nigdy nie byłem ludowcem, bo właściwie ani moje pochodzenie, ani zawód mnie do tego nie skłaniały, ale w pierwszych wyborach głosowałem na Mikołajczyka. Tak zwana opozycja, to znaczy chadecja i ówczesny PSL, właściwie rozgromiły tę komunistyczną koalicję, mimo prześladowań, mimo porywania działaczy, morderstw politycznych, jakie były dokonywane. A więc społeczeństwo, co tu dużo gadać, opierało się do '48 roku. W tych głosowaniach dawało do zrozumienia, że jest przeciw narzuconej sile władzy. Ten stan rzeczy, który trwa do dzisiaj, pociąga za sobą liczne i dotkliwe niewygody wewnętrzne. Trzeba uświadomić sobie, że jestem niewolnikiem. Bar-

dzo to przykre stwierdzenie, ale odpowiadające prawdzie. To znaczy, że od humoru już nie generała, ale jakiegoś majora, zależy moje życie, moja egzystencja, całość moich rękopisów, a także spokój zewnętrzny. Czy będę mógł realizować to, co chcę realizować, nawet rzeczy zupełnie apolityczne. Czy będę mógł skończyć książkę o malarstwie holenderskim...

TRZNADEL: — *I wyjść na spacer...*

HERBERT: — I wyjść na spacer. Takie najzupełniej proste sprawy. Więc to jest sytuacja niewolnika, albo jeżeli chcemy użyć eufemizmu, zakładnika. Jestem zakładnikiem tego systemu. Natomiast ludzie starają się jakoś urządzić w tym niewolnictwie, oswoić potwora. Wiedza, że może być gorzej, przynosi ulgę. Na przykład niektórzy siedzą, ale oni się za bardzo narażali, ten proces gdański ohydny, ale nam w tej chwili nic nie grozi, mamy samochód i możemy pojechać nad jeziora augustowskie, gdzie jest bardzo pięknie. Od początku patrzyłem na nową rzeczywistość bez złudzeń, i jak mi się wydaje, był to punkt widzenia większości społeczeństwa polskiego...

TRZNADEL: — *Na pewno. Pamiętamy to i potwierdziły to badania historyczne.*

HERBERT: — I teraz następuje właśnie problem zniewolenia elity. „Językoznawca” powiedział, że nie trzeba kupować narodu, wystarczy mieć tych inżynierów dusz i to zupełnie załatwia problem zniewolenia. Władza potrzebowała legitymizacji i legitymizacja wyszła od strony inteligencji tak zwanej twórczej, przede wszystkim od literatów. Więc ja z tego interesu wyszedłem, bo nie chciałem uczestniczyć w tej imprezie. Pytałem innych, dlaczego zostali... Ten okres nie pozostawił ani dzieł wybitnych, ani nawet znośnych. Tutaj mój przyjaciel, Adam Michnik, spierałby się o pewne pozycje.

TRZNADEL: — *Myślę, że z powodu upartej propagandy pozor- ność tego okresu nie dotarła jeszcze intelektualnie i emocjonalnie do wszystkich. Rzutuje to i na rozumienie tego, co pan nazwał dalszym ciągiem okupacyjnym powojennej rzeczywistości.*

HERBERT: — To są chyba nędzne utwory. Wie pan, ja nie bardzo mogę o tym mówić, ponieważ nie czytałem tego wszystkiego. Proszę mi wybaczyć. Uważam, że w takich okresach trzeba się zajmować klasykami, oglądać dobre obrazy (reprodukcje), słuchać muzyki i nie ma siły na ziemi, która zmusiłaby mnie do

czytania *Krótkiego kursu historii WKP(b)*. Jedyna rzecz, którą noszę ze sobą, to rozprawa o językoznawstwie Józefa Wissarionowicza. W chwilach kiedy zawodzi Pickwick, czytam to i wracam do dobrego humoru. Gigantyczny żart, groteska, satyra na racjonalizm.

TRZNADEL: — *Treść utworów literackich nie musi być przedmiotem naszej rozmowy. Nieprzeczytanie pewnych książek także bywa świadectwem. Ja dociekam przede wszystkim, dlaczego pewna ilość ludzi poszła na czerwony lep. Ja sam, bardzo młody, choć miałem szczęście nie wyrządzić wielkich szkód, czyłem przez parę lat zaślugi „językoznawcy” Josifa. Dlaczego ja, dlaczego inni, dlaczego niektórzy nie, jakie są wersje epoki?*

HERBERT: — Ach, to są pytania na temat otchłani duszy ludzkiej. Ja chyba umrę niepokodzony ze światem, tak chciałbym umrzeć. Brak mi wiedzy o tamtym świecie, uzyskanej od współautorów zbrodni, która się dokonała na kulturze. Nie otrzymałem od nich odpowiedzi. Jedyne świadectwo, jedyny sposób pisania o tym, znalazł Leopold Tyrmand w swoim *Dzienniku*. Mnie o tym też niewygodnie mówić, bo on robi tam ze mnie takiego świętego Szymona Słupnika, który głoduje i tak dalej. On wiedział zresztą połowę tego, co ja rzeczywiście przeżyłem, bo myśmy po męsku nie rozmawiali o rzeczach wstydliwych. Więc, dlaczego? Prowadziłem taką inwestygację, nie żeby napisać książkę, ale żeby samemu się dowiedzieć. Więc pytałem ludzi, z którymi byłem w dobrych stosunkach. Pytałem nie po to, żeby ich upokarzać. Odpowiedzi były różne, ale wszystkie były kłamliwe i wykrętne. I, widzi pan, ja się czuję bardzo źle w roli prokuratora, chciałbym być adwokatem, ale żeby pozbyć się roli prokuratora, powiem, że gdyby toczył się taki proces, oczywiście nie proces gdański, proces w opinii społecznej, to zarzuciłbym oskarżonym rzeczy następujące. Więc a) że działali ze strachu i w złej wierze, b) że powodowali się pychą, która o dziwo, wynikała ze strachu — mogę to uzasadnić, c) działali z niskich pobudek materialnych. Straszne zarzuty, ale prokurator musi stawiać zarzuty, a adwokat będzie powtarzał argumenty oskarżonych: że okres dwudziestolecia to był straszny okres, to był faszyzm. No rzeczywiście, po śmierci Marszałka było niedobrze w Polsce, i ja to wiem, jako wtedy uczeń gimnazjum. Byłem już upolityczniony, zresztą nie bardzo pamiętam, kim wtedy byłem. Bo najpierw chyba byłem zwolennikiem Piłsudskiego, a potem przeszedłem do obozu jakichś liberałów i tak już zostałem. Miałem kolegę, który siedział ze mną w jednej ławce i wyraźnie komunizował. Dzięki

niemu przeczytałem *Manifest komunistyczny*, tekst ładny literacko. Jest tam zdanie prorocze: Widmo komunizmu krąży po Europie. Trafnie powiedziane — widmo. Bo to jest ustrój nie-rzeczywisty, ustrój widmowy, i dlatego tak trudny do zwalczenia. Ja mu odmówiłem ontologicznego statusu. Adam Michnik, mój najukochańszy przyjaciel, pytał: no dobrze, ale dlaczego wy nie stawiliście oporu? Dlaczego Elzenberg... — Nie było z kim polemizować i o co polemizować. Nie było języka. Język był sprzedany, zakłamany, zupełnie jak w czasach hitlerowskich, no, już nie kręmy, prawda?

TRZNADEL: — *Czysta negatywność... to definicja szatana...*

HERBERT: — Czysta negatywność... to jest problem i w teologii, ale nie bardzo rozwiązany. Jeżeli jest miłosierny Bóg, to dlaczego pozwala złu się panoszyć?... Teraz wróćmy do tych ciężkich zarzutów: ze strachu, ze złej wiary, bo przecież nie dajmy się stumanić — o tych, którzy wrócili ze Związku Radzieckiego, nie można powiedzieć, że nic nie wiedzieli...

TRZNADEL: — *To już był dwa razy Wschód...*

HERBERT: — I oni zakładali ten związek literatów i byli twórcami polityki kulturalnej. Uważam, że temat kultury jest ważny, ale trzeba wiedzieć, w jakim kontekście to się działo. Powiedziałem na początku, że naród był przeciw, a część elity była za. Więc wyraźny rozdział między tą elitą a uczuciami narodu. Ci ludzie sądzili, że naród to masa, z natury głupia, i natchniona mniejszość musi prowadzić tę trzodę. Taki jest początek każdego systemu faszystowskiego — samozwańcza elita, która narzuca reszcie społeczeństwa marsz ku świetlanej przyszłości. Więc na pewno ci, którzy wrócili ze Związku Radzieckiego dokładnie wiedzieli. Nie mówię o młodych ludziach i o ludziach proveniencji, powiedzmy, lewicowej, to znaczy o synach tych, którzy robili rewolucję, na przykład w Chinach... To jest dla mnie temat osobny. I niech pan sobie wyobrazi, że ja mam do nich ogromną sympatię, do Kuronia, do Modzelewskiego, natomiast nie mam sympatii do... nazwijmy go Józiem.

TRZNADEL: — *Czy kiedy pan mówi „młodzi ludzie”, dotyczy to pokolenia, które na progu lat '49-50 miało siedemnaście - dwadzieścia lat?*

HERBERT: — Tak, tak.

TRZNADEL: — *To znaczy, że — jeżeli potraktować zupełnie osobno tych bardzo młodych — mówimy tutaj przede wszystkim o tych ludziach, którzy w czasie wojny przestali być dziećmi, i o tych, co przed wojną mieli już czasem pierwsze swoje utwory, a po wojnie byli starymi końmi?*

HERBERT: — Tak, o pretensji do starych koni też będzie. Natomiast pokolenie okupacyjne... jakie imię mu nadać... Józio?

TRZNADEL: — *Mógłby być Kazio...*

HERBERT: — Nie, Kazio jest stary koń. Nazwijmy go umownie Tadzio. Nie jest ani z rodziny lewicowej, komunistycznej, ani jego tata nie robił w Chinach rewolucji, nie był w partii komunistycznej Francji. Tadzio należał do AK, powiedzmy, w Wilnie. I teraz zamiast tych rzeczy, o których potem będę mówił, co powiedziały mi stare konie, chcę usłyszeć wyznanie Tadzia. Opowieść w duchu realizmu socjalistycznego, a więc gruba, uproszczona, ordynarna, i wszyscy się na mnie obrażą... Więc po latach przychodzę do Tadzia, w '56 roku, i mówię: Tadzio, po coś ty to wszystko robił? — I Tadzio mówi: no wiesz, byłem w lesie, wyszedłem z lasu, rozumiesz to chyba, kto jak kto, ale ty rozumiesz, i okropnie się bałem. No, bałem się. — Ja też się bałem, nie będę ukrywał. Strach ludzka rzecz. Tylko, co się robi ze strachem? Czy strach zaostrza inteligencję, czy strach niweluje inteligencję? Otóż okazało się, że w wielu wypadkach strach niwelował inteligencję. Ale wróćmy do Tadzia. Tadzio mówi: tak się bałem, bałem wiesz, tutaj Józiek aresztowany, tu Władek aresztowany, na Sybir wywożą, do więzienia pakują, trzeba mówić przy ujawnieniu, kto był dowódcą, rozszyfrowywać pseudonimy. Ale pośród tej grozy są wspaniali ludzie, którzy piszą wiersze, powieści. Więc napisałem taki wiersz, że mnie zdradzono, i posłałem to do „Odrodzenia”. I wyobraź sobie, za tydzień czy za dwa tygodnie, kupuję „Odrodzenie” i wiersz jest na trzeciej stronie. Potem list z redakcji, żebym się zgłosił. No to ja się zgłosiłem. Tam zapytali, czy ja już w czasie okupacji pisałem, ta rozmowa była bardzo przyjemna, redaktor bardzo kulturalny, kawy napiliśmy się... — No i Tadzio jakoś przestał się trochę bać. To już jest plus. — Redaktorzy powiedzieli, jak pan będzie miał coś nowego, nam nie chodzi o żadną tematykę, wie pan, mogą być wiersze miłosne, wszystko my drukujemy, proszę o nas nie zapominać. — Tadzio jest dowartościowany, Tadzio się czuje świetnie, a już to, że sekretarz generalny spotyka się z nim!... I mówi: wicie, rozumiecie, towarzyszu — tak, choć on jeszcze do partii nie należał — ale wicie, rozumiecie, my w Nieborowie

robimy taki zjazd, to przyjeżdżcie do Nieborowa, tam będzie taka dyskusja literacka o nowych kierunkach. — No to przyjechałem na ten zjazd. Byli tam starcy, którzy mieli nas pouczać, tacy sprzed wojny znani, tacy wspaniali poeci, prozaicy. I oni nas nie lubili od samego początku, bo my młodzi. Więc przypuściliśmy frontalny atak. Jednemu myśmy powiedzieli, że jest symbolistą, co jest oczywiście obelgą, straszliwą, drugiemu myśmy powiedzieli, że jest paseistą, co też jest obelgą, i wyszliśmy z hukiem. Jak wyszliśmy z hukiem, to myśmy tam ze sobą pomówili, że trzeba jakąś grupę założyć. Założyliśmy taką grupę i poszliśmy, nie do ministra, do samego Bermana! I powiedzieliśmy: towarzyszu, my chcemy mieć organ! Towarzysz odpowiedział: oczywiście, młodzi jesteście, powinniście mieć organ. I myśmy założyli taki organ, nazywał się „Nurt”, i w tym organie, to było bardzo odważne pismo, na owe czasy, atakowaliśmy, tych za pascyzm, innych za symbolizm, i drukowaliśmy tam też samych siebie. I Mieciek na przykład zaczął bronić malarstwa abstrakcyjnego, które było zagrożone. I Mieciek się trochę naraził, chociaż Picasso do partii należy. I w ogóle zajmowaliśmy stanowisko twarde, takie opozycyjne. No, potem zamknęli „Nurt”, nie wiadomo dlaczego, i towarzystwo się rozbiegło. Maciek przeszedł do „Poglądu” i zaczął chwalić malarstwo socrealistyczne, takie różne baby z krowami na łąkach i szczęśliwych górników. A ja pisałem nadal. Wierszy to już mi się nie chciało, myślę sobie, na wiersze już nie jest czas, napiszę powieść. A trzeba było pisać powieści produkcyjne, realizm socjalistyczny już był otrąbiony, Sokorski i inni... I tak: koledzy byli szybcy, Śląsk był obsadzony, kopalnie obsadzone, stocznie obsadził Witold, ten obsadził cukrownie, ów obsadził... mnie dostał się przemysł meblarski. Nie jest taki kluczowy, ale pojechałem i bardzo było przyjemnie. Dostałem delegację, rozmawiałem z dyrektorem, zawsze miał dla mnie czas, bardzo dobry dyrektor, zawsze z towarzyszem pisarzem porozmawiał. I z przodownikami rozmawiałem, i wykroiłem taką powieść produkcyjną...

Więc chciałbym takiej odpowiedzi, bo ona jest oczywiście źle ociosana, ale i werystyczna. Nie chodzi o to, jak ktoś tam kogoś namawiał, ale jak to się odbywało krok po kroku, od niewinnego początku, suche następstwo faktów, a nie, co w duszy grało.

A teraz sprawa starych koni, którzy coś wiedzieli. Więc mówili: dwudziestolecie było be, okropne i pod koniec faszystowskie. — Bardzo łatwo ten termin się udzielał. Oczywiście, Bereza Kartuska była okropna dla każdego myślącego człowieka, nędza na wsi była okropna, bieda...

TRZNADEL: — *Pamiętamy to...*

HERBERT: — Pamiętamy. Ale wie pan, to był także kraj ludzi, którzy działali w tym kraju, chociaż często nie zgadzali się z rządem. To był kraj Zdziechowskiego, Stempowskiego, Vincenza, Banacha, Steinhausa, Hirszfelda, Elzenberga, Zielińskiego, Znanieckiego, Berenta — i tutaj poprułbym z pięćdziesiąt nazwisk, dla których nie ma odpowiednika w całej literaturze tak zwanego czterdziestolecia, jeżeli chodzi o wagę twórczości i zasługi.

TRZNADEL: — *Ważne jest, że wymienił pan także uczonych, ludzi spoza kręgu literatury, bo pisarz to jest taki dziwny stwór, który potrafi czasem wyrosnąć na glebie nawet najbardziej nieodpowiedniej. Ale na przykład szkoły socjologicznej...*

HERBERT: — Ossowski...

TRZNADEL: — *...czy szkoły matematycznej nie da się stworzyć, jeżeli nie ma atmosfery ogólnej, warunków...*

HERBERT: — ...i jeżeli nie ma znakomitych uczelni w kraju. Nie były złe gimnazja, a uniwersytety były świetne, i to nie tylko w miastach, gdzie istniały przed wojną, jak we Lwowie czy Krakowie. Nie było uniwersytetów w Poznaniu, Warszawie i Wilnie, i te uniwersytety zostały obsadzone przez znakomitych uczonych, dzięki którym dotychczas żyjemy. I tu trzeba paść plackiem, uderzyć czołem, a nie mówić o pułkowniku Becku czy Kocu lub BBWR-ze, który nieco przypominał PRON, chociaż nie całkiem, bo nie był z poduszczeń innego mocarstwa, tylko wytworem rodzimej arogancji i megalomanii. No i była Falanga. Trzeba widzieć i czarne, i białe, ale nie wolno w czambuł potępiać. Był antysemityzm, oczywiście, był, nikt temu nie zaprzecza. Ale proszę pamiętać, czym była w państwie ludowym prowokacja kielecka. Natychmiast po referendum najohydniejszy mord Żydów, jaki zdarzył się na tych ziemiach...

TRZNADEL: — *4 lipca 1946 — to było kilka dni po referendum...*

HERBERT: — Tak jest, żeby odwrócić uwagę Zachodu, zaciukali z zimną krwią ludzi, oczywiście używając tak zwanego tłumy, motłochu, ale to było inspirowane, są na to dowody...

TRZNADEL: — *Są opracowania historyczne, na przykład Kerszenowej...*

HERBERT: — Więc stare konie nie zwracały na to uwagi w swoich porównaniach, bo świetlana przyszłość, bo literatura... A teraz niskie pobudki materialne. Stymulowano je. Chodziło o to, żeby elitę, elitę intelektualną, oddzielić od tego nędznego życia tak zwanego narodu. Więc naprzód zaczęto budować akwatorium w Krakowie, potem była Łódź, i w końcu Warszawa, centrala. Nie zawsze potrzebne jest aż studium socjologiczne. Jakże pouczającą lekturą jest lista lokatorów w Alei Róż, to jest proste, nie wymaga ukończenia szkoły znakomitych Ossowskich, każdy dozorca to rozumie.

TRZNADEL: — *Muszę powiedzieć, że zrobiłem to kiedyś w domu, w którym mieszkał Ważyk, to było niestychanie pouczające.*

HERBERT: — I tu mamy krótką historię prłu, skrót historii prłu, załącznik do historii tego zniewolenia, czy jak to nazwać. Ale stare konie mówią, że dwudziestolecie brzydkie, fatalne, a przecież nie wszystko było takie złe.

TRZNADEL: — *Oddalam, podobnie jak pan, jakieś bardziej generalne posądzenia dwudziestolecia o faszyzm. Oczywiście, Falanga. Ale ówczesna władza na Falangę nie poszła. Jeżeli nawet możemy mieć pretensję do tego, jaka to była demokracja, to po ostatniej wojnie im więcej wylewano tu brzydkich epitetów, tym bardziej można było podejrzewać, dlaczego to się robi.*

HERBERT: — Oczywiście, to było robione z tych złych pobudek. Nie jest metodą leczenie kataru syfilisem. Bo to, co nastąpiło potem, było syfilisem, a tamto było — zdaje się — uleczalnym katarzem. Gdyby to społeczeństwo dalej się rozwijało, można przypuszczać, że sytuacja by się poprawiła, że byłaby reforma rolna, ale ja nie chcę tu wychodzić poza ramy... Natomiast wojna obronna, tego tak nazwanego domku z kart, była prawdziwą wojną obronną, w której ginęli generałowie, pułkownicy, szeregowi, Polacy wyznania mojżeszowego, Ukraińcy i tak dalej. Polityka mniejszościowa była fatalna, zgadzam się, ale głosy, które podnosiły się w obronie mniejszości, też się coś liczą, do licha ciężkiego. A w tej chwili Ukraińcy, Litwini, spotykam się z nimi, są najbardziej gnębionymi mniejszościami, jakie można sobie wyobrazić. Wydaje się jakieś oficjalne gazetki w Suwałkach, a dla Łemków w Nowym Sączu. Ale funkcjonariusze partyjni nie pozwalają się tej kulturze rozwijać, czy tym mniejszościom być uprawnionymi obywatelsko mniejszościami. Więc cośmy zdobyli, do licha?

TRZNADEL: — *Jeśli chodzi o mniejszości, to jeden z pierwszych aktów politycznych tej narzuconej władzy był aktem faszystowskim. Zastosowano odpowiedzialność zbiorową. Nie załatwiono politycznie czy społecznie bardzo trudnego problemu na kresach, w Bieszczadach, tylko wyrzucono, deportowano tę całą ludność. Ostateczne załatwienie sprawy...*

HERBERT: — Jak z tymi Tatarami krymskimi...

TRZNADEL: — *Słyszałem od tamtejszej obecnej ludności polskiej o spychaniu buldożerami starych drewnianych cerkiewek. Zresztą na tych miejscach nie pozwalano stawiać kościołów katolickich w ramach walki z religią. Myślę, że nawet my, w opozycji do tego straszego systemu, nie wszystko jeszcze ogarniamy, obraz się bardzo powoli kompletuje i układa, także dlatego że bezustannie działa młot propagandy i filtr informacji. A jeden z punktów referendum, o którym mówiliśmy, Ziemie Zachodnie? Mieszkałem we Wrocławiu od 1946 roku, mój ojciec przyjechał w maju '45 roku, zakładał polską administrację, został zresztą potem z tej pracy wyrzucony, bo nie poszedł na układy i nie zapisał się do partii...*

HERBERT: — To podobnie jak mój ojciec, którego wyrzucono z pracy w Gdańsku...

TRZNADEL: — *Wtedy jeszcze uważałem, że tam wszystko jest sprawiedliwe — Polacy przychodzą na Ziemie Odzyskane, Niemcy zabrali nam mieszkanie, więc my przyszliśmy do jakiegoś mieszkania ponemieckiego. Teraz jednak, gdy przyjeżdżam do Wrocławia, odczuwam tę przeszłość jako hańbę i wstyd. Myśmymy przyszli do mieszkań jeszcze ciepłych, z których wyrzucano ludzi. Pamiętam, jak oni stali w nieskończonej kolejce, biorąc tylko tyle, ile potrafili unieść, ładowano ich do pociągów. No, myśmymy nie robili takich rzeczy, jak SS-mani...*

HERBERT: — Ale działały się rzeczy straszne też...

TRZNADEL: — *... ale przecież cała ta polityka, na którą zgodzili się Roosevelt i Churchill, a potem Truman, przemieszczanie olbrzymich mas ludzkich, narodów, jest praktyką faszystowską. Totalitarną. Więc początki tej władzy to także udział w tym wszystkim i nie można tu powiedzieć: nie wiedzieliśmy, jak mówili często Niemcy, i nie można powiedzieć, że jesteśmy bez winy.*

HERBERT: — Oczywiście. Raz obругałem jakiegoś żołnierza lu-

dowego wojska, który pokopywał Niemkę, przerażoną, na pewno gwałconą, a on mi na to, że jego rodzina zginęła w obozie. Więc był to akt zemsty, a nie sprawiedliwości, tak zwanej dziejowej. Chciałbym jeszcze wrócić do tej sprawy mniejszości. W tej chwili społeczeństwo nasze składa się prawie w stu procentach z Polaków. Jest jakiś tam ułamek mniejszości, które są bez szans, aby się uzewnętrznić. Dla mnie Polska bez Żydów, bez Ukraińców, bez Ormian, tak jak to było we Lwowie, bez Wołochów, bez rodzin pochodzenia włoskiego — przestała być Polską. Ten ideał jednonarodowego państwa jest ideałem faszystowskim, co tu dużo gadać. I to jest zbrodnia, bo kulturze polskiej wielonarodowość dawała kolosalne szanse. Problemy mniejszości są wszędzie trudne i jeżeli mniejszość przekroczy pewien pułap, widzimy to na przykład w demokratycznej Anglii — zaczynają się problemy. Więc argumenty starych koni, że był faszyzm — odpadają. Argumentem jednego z moich interlokutorów było — „ja zwariowałem”. Jest to dość łatwy argument. Ja rozumiem, że jak ktoś się zakocha, to wariuje. Ale jak można się kochać w systemie politycznym, policyjnym, kiedy wiadomo, że więzienia są pełne, że siedzą tam akowcy oskarżeni właśnie o faszyzm. Oni zaczęli szermować tym pojęciem faszyzmu i niech ten bumerang wróci do nadawcy. Cała reforma rolna była właściwie propagandowym bluffem. Ja jestem za reformą, za stworzeniem zdrowego gospodarstwa chłopskiego. Natomiast obdzielanie chłopów dwiema morgami było przygotowaniem do kolektywizacji, bo kto mógł się utrzymać z tych dwu — czterech móg ziem.

TRZNADEL: — *Był to chwyt propagandowy dla pozyskania ludzi: obdzielić na parę lat, by potem wszystko zagarnąć.*

HERBERT: — Na początku lat pięćdziesiątych widziałem „zimową akcję skupywania zboża”. „Sklepy puste — dlatego — bo ciemny chłop chomikuje żywność”. Ekipy tak zwanych robotników wyjeżdżały na wieś, zabierały i niszczyły mienie kułaków, a kułacy to ci, co mieli 15 morgów, i to były gospodarstwa produkujące na rynek. Więc wiadomo, antagonizowanie społeczeństwa. I widzi pan, podczas tego strasznego zabijania narodu rozpoczyna się cyrk pcheł, mieszczący się na Krakowskim Przedmieściu. Zwolennicy awangardy atakują zwolenników byłych „Wiadomości Literackich”. Przecież kłótnie Przybosa ze Słonimskim trwały do końca życia Przybosa. A znów gdzie indziej zwolennicy poetyki Majakowskiego atakują tych, którzy chcą znaleźć miejsce dla Apollinaire’a i chcą udowodnić, że on był jednak postępowy. Książki, które zostały po tamtym czasie, są w znakomi-

tej większości zadrukowanym papierem i czymś, czego nie można — jeżeli ma się odrobinę poczucia humoru — czytać. Ale nie śmiejmy się. Te dzieła weszły do skarbca podręczników szkolnych...

TRZNADEL: — *Popiół i diament...*

HERBERT: — *Popiół i diament*, wydawany bez przerwy i zatrudnający umysły młodzieży. Mówi się, że to było ukaszenie Heglem. Bardzo przepraszam, ale Hegel leżał już od stulecia pod darnią, a kasał Berman, kasał Sokorski, kasał Kroński... Oni kasałi — nie Hegel. Ile razy się mówi o tych rzeczach, to stare konie są nadasane — ci, którzy pisali te brutalne, głupie i haniebne szmiry — i żądają, abym podchodził do nich z delikatnością Prousta lub żebym czuwał się w tajemnie ich duszy jak Dostojewski. A jeśli mówię o zbrodni, to mówię o zbrodni dokonanej na młodych ludziach, na pokoleniu, które po nich przyszło i które teraz ma dwadzieścia, trzydzieści lat. Oni się wychowują w dalszym ciągu na tej literaturze. I to jest zbrodnia przeciwko Duchowi Świętemu. Grzech przeciwko Duchowi jest niewybaczalny. Ja jestem rzymski katolik, ale bardziej rzymski niż katolik. I tutaj nie ma usprawiedliwień.

TRZNADEL: — *To prawda, że pokolenie, które było wtedy w sile wieku — pisało zresztą wtedy jeszcze starsze od nich pokolenie — właściwie nie zanalizowało do końca swojej postawy. Nie chodzi koniecznie o publicystykę, ale nie ma także utworów artystycznych ukazujących tę straszną i brutalną epokę. Niedokładnie się pamięta, co wtedy pisano. Ówczesny panteon utworów, jak i zresztą panteon tradycji, przez nich wybieranej, nie został do końca podważony. W rozmowie ze mną Jerzy Andrzejewski porównuje swoje pomyłki z pomyłkami Szekspira... Przyznam, że w spojrzeniu na psychologię twórców tamtego czasu wciąż mi się coś wymyka. Gdybyż to byli tylko mierni pisarze... Ale pisali wtedy i tacy, pisali akceptująco, którzy są autorami wybitnych dzieł polskiej literatury.*

HERBERT: — *Par exemple...*

TRZNADEL: — *Tu możemy się ewentualnie pospierać. Tak, uważam, że są tam autorzy dzieł bardzo ważnych, na przykład Maria Dąbrowska, myślę też tak o wierszach i nowelach Iwaszkiewicza, nie wszystkich oczywiście, jest Nałkowska, Jastrun, Gałczyński, nie będę tworzył listy... Myślę o dziele ich życia, nie utworach pisanych w tamtym okresie. Czy w ich postawie wtedy*

działały tylko prymitywne impulsy, czy także jakiś bardziej niebezpieczny narkotyk? Myślę, że ukaszenie, czyje by ono nie było, rozpoczęło się wcześniej. Te polskie tendencje komunizujące, które się przedłużyły po wojnie — nie cała lewica zresztą tak źle się przedłużyła — zaczęły się w dwudziestoleciu, a nawet wcześniej. Myślę, że im bardziej wydłuży się perspektywa historyczna, tym większa okaże się rozpiętość czasowa, w której inicjowały się zjawiska, kumulujące się potem w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Autor, który zerwał z tym wszystkim, Miłosz, jest przecież — na bardzo krótko, w wileńskich „Żagarach” — zwołennikiem zniewolenia pisarza w tej inkwizytorskiej formule, że pisarz pomaga tylko politykowi w gimnastykowaniu dusz ludzkich w pożądanym dla polityki kierunku. Tuż po wojnie, w 1945 roku, jako felietonista z Przejazdów w „Dzienniku Polskim” Miłosz ustawiał się na linii „nowego”, ale jako dyplomata PRL był już tylko konformistą w praktyce życiowej. Dlaczego ludzie tak różni, w różnych okresach poszli na to? W latach trzydziestych dużo się już wiedziało o tym sąsiedzie ze Wschodu.

HERBERT: — Powinno się było wiedzieć. Co najmniej po procesach pokazowych. Więc dlaczego później te najstarsze konie poszły na to? Zaczniemy od Iwaszkiewicza. On zachowywał się z początku bardzo przyzwoicie. Założył w Poznaniu pismo, które wyglądało prawie jak „Wiadomości Literackie” i drukował dobre teksty. Ja mu zawdzięczam... czy może on jest winien mojego debiutu, bo ja nie chciałem w ogóle ujawniać swoich tekstów, był moim ojcem chrzestnym, zna pan ten film. I oto Iwaszkiewicz widzi, że kolega skamandryta, który przyjechał z Anglii, potrafi wysmażyć ohydny artykuł, i to w gazecie, przeciwko Miłoszowi, a młodszy kolega też już kombinuje *Nim będzie zapomniany*, najgorsze, co może być, bo to jest sentymentalny donos. To wszystko ma związek z potworną niedojrzałością, która jest niesety cechą tego narodu, i liczeniem na krótką pamięć, do czego wrócimy. W końcu wszystko się wybacz, a kto zmienia front, ten jest już święty, i tak dalej. Więc wytrawny Iwaszkiewicz myślał: dlaczego mają mnie atakować jako paseistę, ja potrafię też napisać wiersz czy nowelę w stylu epoki. To było jak rozwiązywanie łatwego rebusu, na przykład *List do prezydenta Bieruta*, zabawna wprawka literacka, oda na cześć gubernatora. Ja widziałem, jak malowano kolektywnie obraz (szkoła sopocka), na którym było bardzo dużo postaci, i to się nazywało *Rok 1905*. Nie malowali Świerczewskiego i nie malowali Bieruta, słowem mniejsze zło. Jeden z nich w czasie pracy mówił: Julek, skończyłeś już z tą mordą? — to przesunął się, bo buty będą malował.

Tak właśnie było, i u Tyrmanda znajdzie się więcej anegdot. Andrzejewski starał się kiedyś wytłumaczyć, że dla niego komunizm był nocą pascalowską... Nie bardzo wiem, czy on wtedy pamiętał Pascala, czy tak był pod wpływem Żdanowa, że zapomniał, kim był Pascal. No, nie podszywajmy się pod metafizykę, nie nadymajmy się, mówmy o rzeczach prymitywnych językiem prymitywnym. Stare konie świetnie wiedziały. Pani, która napisała *Noce i dnie*, uważana za najlepszą polską pisarkę, mówiła zatroskana, że to nowe dziecko (prl) coraz bardziej podobne jest do sąsiada. Ale byłem na takim jubileuszu, kiedy przyszli do niej ludzie przebrani za górników, i słyszałem, jak powiedziała, że dzięki Polsce Ludowej doznała radości wielkich nakładów. No, pomyślałem sobie, Abramowski się w grobie przewraca, a światopogląd jest dziurawy. Można powiedzieć, że te groźne czasy przerastały świadomość pisarską. Ale co to znaczy? Nie ma ducha dziejów. System ten zakładali ludzie, można ich wymienić po nazwiskach. Na początku była mała grupka agentów, którzy uczepili się intelektualistów, a intelektualiści odegrali na cześć „nowego” symfonię patetyczną... To było małe, głupie, nędzne, zakłamanie. Co będę dalej mówił! Jeszcze co do starych koni, o których pan pyta. Artystów podniecała nowa władza, że taka prosta, przystępna i swojska. Zaproszenie do Belwederu, nagrody, rozmowa z Bierutem. Surowy pan, ale sprawiedliwy, podziemie wytłukł, ale nas kocha. Co to wszystko właściwie miało znaczyć? Oczywiście, to targowisko próżności jest wpisane w atmosferę Warszawki, której nie lubię. To znaczy towarzyskie kontakty, stolicek w PIW-ie, stolicek w Czytelniku, duże nakłady i podpisywanie książek, kwiatek w celofanie, wieczór autor-ski, pięć tysięcy ospałych, zmęczonych robotników przychodzi i bije brawo towarzyszowi pisarzowi. Pycha rosła. Nigdzie w świecie realnego kapitalizmu nie powodziło się pisarzowi tak dobrze.

TRZNADEL: — *Mówiąc o kłamstwie, dotknął pan podstawowej rzeczy, twierdząc że nie było materiału na pascalowską metafizykę. Powinien być jakiś dowód, ten co mówi o metafizyce, powinien to zaświadczyć pisząc. Tymczasem w tamtych dziełach nie ma wielkiej metafizyki, ani spiętrzenia trudności, ani tragiczności, nie mówiąc o prawdzie.*

HERBERT: — Bo życie artystów było idyllą, podszytą co prawda strachem, że można zlecieć w ten okropny dół, gdzie żyło realne społeczeństwo. Kluby, domy wypoczynkowe, wysoki standard,

salon literacki pani Nałkowskiej, wyjazdy za granicę. Breza poszedł w dyplomację...

TRZNADEL: — *Przyboś w Szwajcarii...*

HERBERT: — Zagórski, Miłosz, Pruszyński... No, nie wszyscy. Ekipa agentów potrzebowała na gwałt inteligencji, elity, czegoś, co było w tej sferze odpowiednikiem obecnej nomenklatury. Co oferowała ta władza? Boską rangę, rolę demiurga. Andrzejewski mi opowiadał, że zaprosił go Berman i chodził nerwowo po pokoju, stał przed oknem i mówił: temu krajowi grozi wojna domowa. Czyli podał mu temat *Popiołu i diamentu*. — Tylko pisarz tej miary, tego talentu wielkiego, jak pan, może... — Więc uczyli nagle, jak ster historii jest także w ich rękach, i że opłaca się nawet w jakimś sensie okłamywać ten zbełkotany naród, na który patrzyli z pogardą. Na tę masę. Kto z tych pisarzy wiedział coś o życiu robotników? Nikt, nic ich to nie obchodziło. Obchodził ich porządek nie *sein*, lecz *soll*, jakby powiedział Kant. Nie to, co jest, ale to, co powinno być. Pragnąc pisać o rzeczywistości, pisali o tym, czego nie ma. Potem odkryli, że jest coś takiego jak nierzeczywistość literatury własnej.

TRZNADEL: — *Wspomniał pan nowelę Nim będzie zapomniana. Taki elegancki, a taki haniebny dokument literacki związany z tak zwaną sprawą Miłosza i w ogóle z problemami „dezercji”...*

HERBERT: — Ach, lista hańby byłaby tak długa...

TRZNADEL: — *Dla mnie nie obelgi Stonimskiego są najprzykrejsze, ale litosna pogarda, z jaką autor Obywateli potraktował tę mysz, siedzącą pod zieloną markizą w paryskiej kawiarni... Styl tej noweli jest zresztą z Adolfa Rudnickiego. I właśnie wcześniejszym wzorem Brandysa w tej przykrej litości okazywanej emigrantom był Paweł Hertz w noweli Porwanie Europy ze zbioru Sedan, ale zwłaszcza Adolf Rudnicki w nowej Major Hubert z Armii Andersa.*

HERBERT: — Ach tak, tak, o Józefie Czapskim...

TRZNADEL: — *Że niby ten, co uznał Katyń za sowieckie dzieło, wykopał dla siebie dół kłęski życiowej, nie wróci do kraju, nic już nie namaluje...*

HERBERT: — I już jest skończony...

TRZNADEL: — *Tu oczywiście znajduję pychę, o której pan mówił.*

HERBERT: — Straszliwą!

TRZNADEL: — *Bo obie te nowele w swoich odsyłaczach — kluczach, dotyczyły ludzi prawych i wybitnych, co więcej, świadków epoki, jak Czapski, tak haniebnie tu osądzonych.*

HERBERT: — W związku z tym, co pan powiedział, dorzuć, że była to oczywiście próba oddzielenia się od emigracji. Wracam do analogii z faszyzmem niemieckim. Gottfried Benn, jeden z najlepszych poetów XX wieku, wykonał pierwszy krok w kierunku szatana, pisząc list przeciwko Tomaszowi Mannowi. O co chodziło? My tutaj w gnoju, znoju, budujemy przyszłość, a oni, ci emigranci, tam sobie coś piszą, malują przeciwko nam, którzy dźwigamy na barkach ciężar historii. We Francji Sartre miał wielki podziw dla tych wszystkich, którzy dźwigają krwawą historię, dla anarchistów, bo to był człowiek złej wiary od początku do końca. A tymczasem nie wolno dźwigać niczego krwawego, nie wolno zabijać w imię czegokolwiek, nie wolno denuncjować. Trzeba przyznać, ja powiedziałem to w Gdańsku, że straciliśmy dziewictwo. Bo zawsze Polacy byli wspaniali, tylko Rosjanie ich napadli, i Prusacy, i podstępni Austriacy, a myśmy byli wspaniali... Nikt nie napisał historii polskiej zdrady, a to nie jest tylko ten okres, o którym mówimy. Co się działo w roku 1831, w 1864, ilu generałów stało po stronie rosyjskiej. Wracam teraz do tych dwu nowel, rzeczywiście haniebnych, jak pan mówi, że literaci absolutnie izolowani od społeczeństwa, a więc emigranci żyjący w Polsce, czynili zarzuty tej prawdziwej emigracji, która często żyła w nędzy, w zagrożeniu, nostalgii za Polską — tym ludziom odbierali moralne prawo do wyboru miejsca na ziemi i moralne prawo bycia Polakami. Władze odbierały obywatelstwo, pozbawiły obywatelstwa generała Maczka, a potem mu przyznały. I on powiedział: a teraz pocałujcie mnie w dupę...

TRZNADEL: — *Bo to było jednocześnie tworzenie alibi dla siebie.*

HERBERT: — I uzasadnianie własnego świństwa, że my to robimy, ale z myślą o przyszłości, my z narodem. Guzik prawda, nikt i nigdy nie był z narodem. Używam tego słowa naród z niechęcią, powiedzmy, ze społeczeństwem. Oni nie wiedzieli, czym to społeczeństwo żyje, jakimi troskami i kłopotami. Oni byli w

akwarium, mieli swoje kluby, samochody, żyli po prostu w izolacji, stworzono ten zamknięty krąg ludzi, którzy odbijali sami siebie. Ale był też ogród rozkoszy, cudowne metamorfozy, źródło wiecznej młodości. Łyseu prozaikowi odrastała lwią grzywa, załęczony mieszczański esteta mówił, nie swoim wprawdzie, ale mocnym dźwięcznym głosem, wokół zapoznanego poety awangardowego gromadziły się bardzo obiecujące debutantki. Jaka szkoda, że tę bajkę reżyserował stary czekista. Obyczajowa otoczka jest ważna, i te przyjęcia, te kontakty z pseudozałogami, te jakieś beneficja. Do dzisiaj są faceci, którzy noszą tytuły jakiegoś *ordienonosca*, nagrody państwowej, biegają do kliniki rządowej, bo tam są lepsze lekarstwa, a są przecież teraz w opozycji. Ja tego nie rozumiem, i widzi pan, tutaj jesteśmy w zgodzie, że niewiele możemy wymagać od młodego pokolenia, jeżeli dorośli nie wypowiedzieli o sobie prawdy. Ja nie mam pretensji do tego, że oskarżony się broni, tylko chciałbym, żeby on sam znalazł oczyszczenie. To nie jest instytucja spowiedzi katolickiej. Ale w stosunku do przyjaciela, którego ja, powiedzmy, zdradziłem — wypada przynajmniej pójść do niego i zdobyć się na akt szczerości i skruchy. A tutaj jest odpowiedzialność wobec całego społeczeństwa, przyszłych pokoleń, które muszą dalej jeść te odgrzewane socrealistyczne gnioty.

TRZNADEL: — *Zgodzimy się więc obaj, że właściwie to średnie wtedy i starsze pokolenie nigdy nie dokonało pełnej samooceny?*

HERBERT: — I ja tak sądzę.

TRZNADEL: — *A czy zgodzi się pan również, że polskie możliwości faszyzmu, które próbowały się wykluć w dwudziestoleciu, zrealizowały się w swoistej postaci w Polsce w okresie powojennym, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych? To jest po prostu polski faszyzm. I to trwa. Tak by trzeba to nazwać.*

HERBERT: — Tak jest.

TRZNADEL: — *Jeśli się nie mylę, jakoś nikt nie ma chęci powiedzenia tego w sposób tak wyraźny.*

HERBERT: — Tak, używa się jakichś omownych terminów, eufemizmów, żeby było wytwornie, żeby zatuszować fatalne analogie.

TRZNADEL: — *To nie tylko sprawa elegancji, ale także ukazywanie, lub nie, pewnego ciągu rozwojowego. W tragicznym ruchu*

lewicowym, który u nas powstał w Polsce dużo wcześniej, były postawy, walczące o prawa człowieka, ale były także zalążki faszystowskie, i to znalazło grunt, że tak powiem, państwowy, w okresie powojennym.

HERBERT: — Zgadzam się z tą analizą.

TRZNADEL: — *Historyk myśli i działań politycznych znajdzie także zyciorysy symptomatyczne, wspomni pan o Falandze, o tym zresztą mówiono, a pewne przedłużenia nurtów Narodowej Demokracji sprawdziły się w okresie powojennym.*

HERBERT: — Jak najbardziej! Bolcio Piasecki wydawał swoje pismo, zwierał swoje szeregi, pozdrawiali się po faszystowsku, a kiedy zbieraliśmy z Tyrmandem materiały do cyklu artykułów, który miał się ukazać w „Świecie”, w roku 1956, ukazał się tylko jeden, a dalszego ciągu zakazano. Czyli, jak powiedział Miłosz, „jest ONR-u spadkobiercą partia”. W prł pałkarze zostali zinstytucjonalizowani, dostali tygodniki, dzienniki, wydawnictwo, i tak dalej. Pamiętam, jak delegacja „Tygodnika Powszechnego” — bo paxowcy zawłaszczyli ten tygodnik na trzy lata — poszła do Gomulki i tam usłyszała, że oczywiście zwracają pismo z powrotem tej samej redakcji. A delegaci zapytali: ale co z PAX-em? — PAX będzie istniał, ja jestem przeciwko wszelkim monopolom — powiedział Gomulka. Jak stary liberał. Wie pan, co jest najgorsze? Że ta mentalność faszystowska, czy to czerwona, czy brunatna, odpowiada naturze pewnych typów ludzkich. Jest wieczna, można ją prześledzić w całej historii. To jest jedynowładztwo, nienawiść do społeczeństwa, antagonizowanie go, terror, demagogia, podboje, procesy z Zieniukiem, czy proces przeciwko zabójcom ks. Popiełuszki — podobnie się zachowywali, zupełnie podobnie, nawet tamci brunatni trochę lepiej. Wiara w zupełną plastyczność człowieka. Nihilizm.

TRZNADEL: — *Ten pęd ku faszyzmowi zdaje się zjawiać wtedy, kiedy pewna grupa czy elita przeżyły jakiś stress historyczny, wtedy jest ten moment największej podatności. Sprawdziło się to na przykładzie Niemiec, Rosji, ale i Polski. Wydawałoby się, że kiedy ten naród zdobył się w czasie wojny na bohaterstwo, że potem będzie kontynuacja tej postawy, że nastąpiło zahartowanie, a okazuje się, że doszło do jakiegoś niestęchanego odhartowania.*

Dobrze, pan to wszystko wiedział i widział: jak z taką ostrą świadomością — nie chodzi mi o emocje tylko, raczej o formuły intelektualne — jak można było żyć, jak wyglądało życie z taką świadomością?

HERBERT: — W okresie stalinowskim uważałem, że to będzie trwało do końca mego życia. Absolutnie byłem tego pewien, ja, Tyrmand, i tych paru, dwu-trzech w Warszawie przyjaciół, których miałem i z którymi mogłem rozmawiać. Wobec tego należało wyemigrować wewnętrznie, zajmować się architekturą grecką, Rubensem, czymś takim, pożyczać jakieś czasopisma zagraniczne, jeżeli się przedostały — życie emigrantów. Czy to było trudne? Mój przyjaciel Adaś mówi, że robię jakieś oczko, twierdząc, że to nie wymagało wielkiego wysiłku. Właściwie nie wymagało.

TRZNADEL: — *Cytujemy: „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru...”. To bardzo ważny pana tekst.*

HERBERT: — To nie wymagało! Natknąłem się na takie zdanie Audena, że on właściwie nigdy nie miał trudności z wyborem, wybór był jakiś naturalny, pojechał na wojnę do Hiszpanii, potem komunizował, cała ta atmosfera na Zachodzie sprzyjała lewicy, flirtowi z komunizmem. Słowem szczęściarz w rękach bogów. Ale dla mnie wybór, to pierwszy decydujący krok, pierwsze „nie”, a potem są konsekwencje. I teraz powiem *pro domo mea*. Ja właściwie nie byłem interesujący dla komunistów, bo nie chciałem za wszelką cenę żyć. Poza tym nie mam żadnych ambicji politycznych, naprawdę, żadnych. Przewodzenie jest dla mnie czymś okropnym, przewodzenie komukolwiek. W czasie okupacji miałem taką sytuację, byłem odpowiedzialny za paru ludzi i siwe włosy mam od tamtego czasu. Ja sam mogę się jakoś narażać. Ale wydawać rozkazy? Więc jak już wybrałem, wie pan, nie miałem po prostu innego wyjścia. Sytuacja żeglarza, który wypływa na morze, alpinisty, który atakuje szczyt lub po prostu wybór zawodu czy kobiety, z którą się łączy na dobre i złe. Naturalne ryzyko każdego życia. Więc tak: nie byłem interesujący, nie ujawniłem tego, co myślę i piszę. Kiedy byłem jeszcze w związku literatów i przychodziła weryfikacja, to sobie mówiłem: nie napiszę żadnego tekstu „po linii”, najzwyczajniej nie napiszę. Czy kogoś, kto nie ma pociągu do kobiet, można nazwać ascetą? We mnie była potężna blokada psychiczna. Czy to jest cnota, czy to jest kalectwo?

TRZNADEL: — *Jeśli kalectwo, to w takim mannowskim sensie. Mann mówił, że w okresie kultu krzepy jeden chorobliwy twórca kaleka więcej jest wart, niż kompania zdrowych byczków.*

HERBERT: — A poza tym, proszę mi wierzyć, to się w ogóle nie opłacało w takim ogólnym bilansie życiowym. Widziałem Andrzejewskiego w stanie rozkładu, widzę innych kolegów... Nie

mówię o młodych, bo tu się można było pomylić, biorąc przykłady ze starych koni. Ten mój Tadzio zobaczył raz w kawiarni związku, że tutaj siedzi Jastrun i Przyboś, i inni dostojnicy, a wszyscy są w partii. On nie chciał iść do partii, ale przyszedł Pucio i powiedział: wicie, towarzyszu, dobrze by było, gdybyście zechcieli być kandydatem. Więc on zgodził się tylko na kandydata, myślał, że długo będzie kandydatem, ale potem go wpisali. To szło mechanicznie.

Jest mitem i samousprawiedliwieniem, że intelektualiści zrobili październik, nic podobnego. Październik zrobił Językoznawca, który przeniósł się w zaświaty, i potem była walka diadochów, i albo miał być Malenkov, albo Chruszczuk, czy tam kto, i brali się za łby, i tak nastał Chruszczuk. Ale trzeba było odfajkować tych wszystkich, co byli za Stalina, więc zadźgali Berię i pokazali, że są bardziej liberalni, żeby skończyć z zimną wojną i dostawać mięso, zboże.

TRZNADEL: — *Te rozgrywki związane z upadkiem dyktatury Stalina pokazała praca Awtorchanowa.*

HERBERT: — To wielka pycha utrzymywać, że można wpływać na losy świata pisząc wiersze. Barometr nie zmienia pogody. Proszę zresztą zauważyć: jedyne prawdziwe robotnicze powstanie w Polsce, w Poznaniu, nie miało żadnego echa w literaturze, zaskoczyło intelektualistów.

TRZNADEL: — *Ach, wszystkiego jest kilka wierszy na ten temat.*

HERBERT: — Tak jest. Druga rzecz, Wybrzeże w roku siedemdziesiątym, znowu zaskoczenie, nic nie ma na ten temat.

TRZNADEL: — *Chciałbym wrócić na chwilę do pana tekstu Potęga smaku. Tu całkowicie się z panem zgadzam. Ale oczywiście, zgadzam się i z Michnikiem, który — jak pan mówi — akcentuje tu ironię pozornej łatwości. Bo istnieje wewnętrznie zintegrowane poczucie moralności, które rządzi nawet naszymi odruchami, naszym smakiem nawet — w myśl platońskiego połączenia dobra z pięknem — i oto u jednych taka moralność była płytka, w służbie manipulacji intelektualnych, bardzo karkołomnych i nieopłacalnych, a u innych, jak zawsze, była to moralność głęboko osadzona, decydująca słusznie na poziomie pierwszego nieraz refleksu. Każdy z nas zna takie, pozornie nic nie kosztujące odruchy. Coś powiem o sobie: gdy już zrzuciłem z siebie ten przykry światopogląd, a potem oddaliłem także tezę, że tak zwany*

wallenrodyzm ma uczciwy sens, postanowiłem wyjść z partii. Ale jednocześnie, poza intelektem, czułem coś takiego: że noga moja nie pozwoli mi już przestąpić progu pokoju, gdzie odbywa się zebranie partyjne. Więc gdy po oddaniu legitymacji zachęcano mnie, abym ją jednak zatrzymał, przerwałem bezsensowną już dyskusję z kimś dotkniętym owym żądłem beglowskim i powiedziałem: mój instynkt mi na to nie pozwala. Myślę, że po drugiej stronie to słowo było najbardziej podejrzane — dla tego pseudoracjonalnego systemu. Smak i moralny instynkt zastąpiono sofistyką pojęć i pseudohastami: patrzeć na ręce władzy, być obecnym w historii... A ja czułem po prostu obrzydzenie. Tak więc pisarzom tamtego okresu zabrakło czegoś podstawowego w ich głosie ostrzegawczym, jeśli uruchomić takie stare pojęcie jak głos sumienia.

HERBERT: — Tak, to co powinno nas łączyć, to pewna niezbywalność ludzkiego sumienia. Intelektualista jest po to, żeby myślał sam na własny rachunek, nawet przeciwko wszystkim, za to jest opłacany, albo bity, wszystko jedno, to jest jego psi obowiązek — klerka. Prawda obowiązuje zawsze. Nie wolno wyzybyć się swojej indywidualności. I oto są faceci urodzeni prawie do tego, słabi, infantylni, w krótkich majtkach. Może pan sobie przypomni owe dialektyczne igraszki: kłos, ziarno, korzeń, teza, synteza. Mnie się to okropnie podobało do dwunastego roku życia, wytłumaczyłem sobie, że mój ojciec był teza, moja mama antyteza, a ja jestem synteza. Tak, faceci w krótkich majtkach, manipulując intelektualnie, zawsze będą szukali władzy, siły, służby, i złożą ofiarę ze swojej indywidualności.

TRZNADEL: — *Czy łączy pan tę polską sytuację z europejską skłonnością do tego pokera intelektualnego, do tego szatu marksistowskiego pokera filozoficznego, który opanował umysły intelektualistów europejskich?*

HERBERT: — Na pewno. Ale byli przecież i tacy jak Albert Camus.

TRZNADEL: — *Camus został w Polsce zakazany, jeśli chodzi o jego znamienne deklaracje, bo Człowiek zbuntowany nigdy oficjalnie nie został w Polsce wydany, nie opublikowano deklaracji Camusa po Berlinie i Poznaniu — po tych powstaniach i ich stłumieniu. Jest na to stara formuła: ad usum Delphini nie pokazuje się pazurów intelektualisty, tylko jego ogonek, poddany ufryzowaniu.*

HERBERT: — Mój ideowy sprzymierzeniec, Gustaw Herling-Grudziński analizował to zjawisko, bardzo mi pomagał w rozumieniu zachodniej odmiany dżumy. Natomiast nie pomagają mi różni napuszeni mętniacy, którzy narobili straszliwego bigosu i zamieszania w świecie, a teraz chodzą w glorii męczenników. Męczenników czego? Przepraszam bardzo, własnej pomyłki? A może tak dobrze by było pójść na pustynię i odbyć pokutę? Ja bym to zrobił. Przynajmniej przez jakiś czas wstrzymałbym się od głosu. I tutaj, widzi pan, tu znowu Adaś, który czuwa nade mną, zaraz mnie kopnie. Ja bronię Sandauera z tamtych lat i to nie z przekory intelektualnej. W oczach stalinowskich — jak mówił mi jeden z redaktorów „Kuźnicy” — Sandauer to był taki głupek w rodzinie, który pisał jakieś notki, sprostowania, wyłapywał grubsze błędy rzeczowe, Hegla stosował do Leśmiana, byt — niebyt — bylejąkość i tak dalej. Wszystko to było trochę pomyłone, ale niegroźne. Służył erudycją. W tym czasie nasz Tadzio przychodził z kawałkiem swojego utworu, a panie Siekierska, Bobińska, Putrament i inni znęcali się nad nim, więc poprawiał swego pozytywnego bohatera, męczył się. Związek literatów był zakładem wychowawczym, szkołą upokarzającego drylu. Jastrun mi opowiadał, jak pod ławką na szkoleniu partyjnym, które prowadził Ważyk, czytał Valéry’ego, i Ważyk podskoczył, wyrwał mu książkę i złajał jak ucznia. I to jest, widzi pan, istota zagadnienia, nie groza, ale zgoda na niedojrzałość.

TRZNADEL: — *Ale to jest właśnie charakterystyczne dla społeczeństw, w których tendencje faszystowskie przybierają na sile.*

HERBERT: — No właśnie. Jest taki film, który nakręcił mój przyjaciel, Erwin Leiser, pod tytułem *Mein Kampf*. Okropne tam są rzeczy. Ale mną najbardziej wstrząsnęła manifestacja robotników, trzymających łopaty na ramieniu jak karabiny, a Goebels z trybuny woła: czy wszyscy są na swoim miejscu? Cały naród? Gdzie jest Śląsk? — Tu! — Łopata idzie w górę. — Gdzie jest Brema? — Tu! — Czy nie przypomina to złotów brygad młodziężowych, pochodów ze szturmówkami, paramilitarnych organizacji żołnierskiej krzepy i jedności? A na wyższym piętrze niekończące się akademie, nagrody państwowe pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, sztandary pracy — przecież to był cyrk, w którym występowali osobnicy, zdawałoby się — dorośli. Jak mówię, dla młodych zetempowców, sankiulotów, dla ludzi, którzy mieli dwadzieścia lat, mam pobażanie. Przykład szedł z góry.

TRZNADEL: — *Spełnia pan jednak trochę swoje przyrzeczenie:*

są tu elementy mowy obrończej. Bo jeżeli dorośli stawiali się dziećmi, to znaczy, że ten, jak go nazwaliśmy, faszyzm, apelował do czegoś, co było niedojrzałe w duszy dwudziestowiecznego intelektualisty...

HERBERT: — Tak, okrutne dziecko...

TRZNADEL: — *Bo czy możemy powiedzieć, że ci ludzie nie byli potencjalnie zdolni do czegoś lepszego? Lepszego wariantu tych kilku lat? Wolno nam wróżyć na temat historii, bo nie jesteśmy historykami. Pan chyba będzie zawsze bronił tego aksjomatu, że człowiek jest wolny w swoich wyborach, bo inaczej to, co mówimy, nie miałoby sensu. Czyli że był możliwy inny wariant.*

HERBERT: — Tłumaczyć klasyków, libretta operowe, pisać do szuflady.

TRZNADEL: — *I ten wariant się nie odbył. Stawiam sobie pytanie, dlaczego? Pan dał odpowiedź, co było decydujące dla pana: „kwestia smaku”, „nie mogłem inaczej”, to oczywiste. Ale ci, których zabrakło dla tego wariantu? Moja teza jest taka, że ci ludzie, nie wszyscy oczywiście, zdobyliby się może na odwagę, gdyby byli wewnętrznie dojrzalsi, ale to znaczy także, gdyby ich wymiar moralny był większy, bo małość jest w nas, ona tylko czeka... Więc dlaczego?*

HERBERT: — Trzeba było zdobyć się na gest. Każdy gest moralny w czasach terroru jest połączony z ryzykiem, to jasne, ale także, o dziwo, wydaje się nieskończenie śmieszny. Na scenę współczesnego dramatu wchodzi facet w pełnej zbroi. Gwarantowany huragan śmiechu. Nawet teraz, kiedy zgodzimy się, że należało wówczas opowiedzieć się po stronie prawdy i wolności, brzmi to jakoś żenująco. Ale innej rady nie było i nie ma. Wolność jest zawsze tragiczna, człowiek wolny jest człowiekiem samotnym, człowiekiem marginesu, jak ciężko chory, obłąkaniec, anachoreta. Alternatywą tej postawy było życie w kupie, po „dobrej” stronie historii. A było to życie pozorne, na niby, zakłamanie, pełne intryg, podjazdów, chwiejnych układów personalnych. Kiedy pan zapyta świadka tego okresu, jak to było naprawdę — od razu sypią się anegdota, dowcipy, aluzje do osób, które nic nie znaczą — jakieś strzępy dawnych dworskich igraszek. Pod pokrywą kocioł wrzał. Awangarda wojowała z paseistami. Przyboś, oddajmy mu sprawiedliwość, nie zożydził swojej poetyki. Spierało się o krój wiersza. O rzeczy drugorzędne i trzeciorzędne walono się po głowach do upadłego. Natomiast mało kto był skłonny

walczyć o postawę moralną pisarza i jego odpowiedzialność wobec społeczeństwa.

TRZNADEL: — *I wobec człowieka...*

HERBERT: — I człowieka, nawet nie Polaka, tylko człowieka.

TRZNADEL: — *Jak więc rozumiem, uważa pan, że niebezpieczne jest pewne marzenie, które pojawiło się u tej liberalnej inteligencji, pojawiło się zresztą wcześniej, niż sobie tutaj powiedzieli: będziemy wszyscy razem realizować szczęście dla narodu, szczęście dla ludzkości, szczęście dla pisarza, który poczuje się w grupie. Budowanie norm współżycia społecznego na postulowanej zasadniczej jedności społeczeństwa jest niebezpiecznym mitem. To marzenie było wątpliwe i zaczęło nabierać charakteru faszystowskiego. Bo wiadomo, że szczęścia całkowitego dla społeczeństwa nie ma, dla jednostki też nie ma, przeżywa się zawsze trudne czasy i nieskończony jest łańcuch budowania, a wciąż się coś wali. Więc podejrzane jest wszystko, co tutaj otwiera raj: raj dla mnie, bo nie będę grzeszył, bo nie będę miał pokus, bo wszystko będzie cacy...*

HERBERT: — Tak, i zbrodnia moja będzie zbrodnią świętą, historycznie konieczną, uznaną przez potomnych. Tak, tak, tak!... To Auden napisał, nie kto inny, tylko poeta Auden to napisał... A potem? To uzasadnianie, że gdzie drwa rąbia, tam drzazgi lecą, reakcyjne podziemie trzeba zlikwidować, bo oni Warszawę zburzyli, są w ogóle obłąkani — i to jest schemat *Popiołu i diamentu*. No, skończmy już i nie znęcamy się...

TRZNADEL: — *Tak więc cała koncepcja losu ludzkiego tej generacji była koncepcją fałszywą. Powtórzmy: kto odchodzi od koncepcji tragicznej, ryzykuje, że popadnie w podejrzaną moralnie sytuację.*

HERBERT: — Ci, którzy odchodzili od koncepcji tragicznej, pisali dzieła, które mają niezamierzony efekt komizmu czy czarnego humoru, o czym pan mówił. Przeczytajmy te wierszyki i powieści, teraz to jest przecież kupa śmiechu.

Aha, więc żeby teraz bronić... Ci, którzy wrócili z Rosji, mieli jakieś ukryte marzenie, że jeśli zostaną władcami literatury, będą jednak lepsi od Żdanowa. Bo przecież mówią po polsku, kochają Mickiewicza. Więc być może zakładano, że nie wprowadzi się u nas dokładnej kopii wzoru, bo inna historia, tradycja. I tak rozpętał się spór o tradycję, kto postępowy, a kto reakcyj-

ny... Jak wybronić tego biednego Kochanowskiego, który nie pisał o doli chłopów? Jaki okres jest dobry, klasycystyczny czy romantyczny? Co zrobić z Krasieńskim czy z nieszczęsnym Norwidem, pogrzebanym we wspólnym grobie? Nowa periodyzacja literatury, nowe interpretacje i reinterpretacje. Świątynie kultury drżały w posadach. Wstrząsy sejsmograficzne obejmowały stulecia. Niemordowani Kott z Żółkiewskim robili różne łamańce, decydowali czy można wydawać, czy nie można. Do tego odpowiednie wstępy, ustawianie, fałszowanie. Cenzurowanie zmarłych. Orwellowska historia!

Taka gra się w ogóle nie opłaca, instynkt doradzał mi wycofanie się z interesu.

TRZNADEL: — *Ale z pana czy naszych słów, teraz „obrończych”, wynika, jak mi się wydaje, fakt, o którym myślę z ciężkim sercem, że właściwie nie jesteśmy od tych lat czterdziestych i pięćdziesiątych oddzieleni jakąś generalną cezurą. Gdy pytam siebie, czy nastąpiło do końca zawalenie się tamtej, zafałszowanej świadomości, muszę sobie powiedzieć, że tak nie jest. Cienie tamtego okresu kryją się niekiedy nawet w świadomości polskiej opozycji, bo oczywiście w partii, w świadomości urzędowej, w Pronach i podręcznikach, wszystko, co było, trwa i wyszczerza zęby z uśmiechem i groźbą.*

HERBERT: — Jest dziedzictwo tych widm. Ale wróć jeszcze do mojego przyjaciela Sandauera. Bo to postać znamienna. Bóg ma absolutne poczucie humoru, skoro stworzył Sandauera.

TRZNADEL: — *Już chasydzy poznali się na boskim humorze!*

HERBERT: — O, to, to! Ale wracając do samej postaci, zaczęliśmy ten wątek, że w czasach „Kuźnicy” on był nieszkodliwy. Prawdziwą bombą były jego artykuły w cyklu *Bez taryfy ulgowej*. W każdym normalnym społeczeństwie taka agresywna krytyka byłaby przyjęta, dopuszczalna, a nawet pożyteczna. Nie chodzi o meritum sprawy, ale obyczaje literackie. O ile pamiętam, zaatakował najprzód Andrzejewskiego, czyli z wysokiego konia, potem Rudnickiego i Brandysa. To były postacie, które stały w pełnej glorii. Co się stało? Bojkot towarzyski, opluwanie Sandauera, dlatego, że ośmielił się powiedzieć coś złego, złośliwego, o wieszczach. Przeżył stalinizm, o ile dobrze wiem, bardzo przyzwodzić, potem przychodzi okres '56 roku, i on dostrzegł, jak kolumny marszowe literatów zmieniają kierunek natarcia z podniesionym czołem, ze sztandarami. Żli byli poza środowiskiem jak ów doktor Faul, który oszukiwał bezecznie. Było coś podejrzanego w tym

zjawisku. Ja nie jestem zwolennikiem samokrytyki, ale stało się to bez jakiegś chwili zastanowienia, refleksji. Zdziwiająca jest ta łatwość przełomów.

TRZNADEL: — *Bo pod względem politycznym to była trochę taka odwilż jak u Mickiewicza: kiedy trup odtaje...*

HERBERT: — Właśnie... Sandauer miał przeciw sobie całe środowisko. I wtedy przypomniał sobie pan Artur, że był dawno temu redaktorem pisma „Pancerni”. Tak jest, zaraz po wojnie. Wsiadł tedy w czołg i ruszył. I po wszech, i po tych, co leżeli, którzy nie mogli się bronić, i tak dalej. Uważa się w dalszym ciągu za krytyka niezależnego. Ale jak ja mówię: no dobrze, panie Arturze, a co z tym Machejkiem, dlaczego Żukrowskiego, Dobraczyńskiego zostawia pan w spokoju? Przecież to giganci pod względem nakładów. — Wie pan, oni są poniżej mego poziomu, pan powinien być szczęśliwy, że ja pana atakuję, bo atakuje tylko ludzi, którzy coś są warci...

TRZNADEL: — *Pojawia się w studiach Sandauera coś, co można by intelektualnie określać, a co ja uważam po prostu za nieprzyzwoite. Te studia miały niby świadomość niezależności krytyki w Polsce, ale prawdziwa niezależność, związana także z mówieniem prawdy o systemie, choćby poprzez literaturę, nie pojawiła się w jego esejach. Wielu pisarzy nie dograło swojej partii rozliczeń, myślę jednak że Solidarność i stan wojenny dokonały zwrotu — jak to wszystko jest zależne niestety od historii! — tu będzie przyszła cezura, nie w '56 roku. Ten brak rozliczeń dotyczy zresztą i krytyki, to wyrządza szkody świadomości społecznej. I o to chodzi, a nie o przeglądanie cudzych sumień. Te rozliczenia powinny być także dotyczyć sprawy żywych ludzi, atakowanych wówczas w publicystyce czy nowelach z tak zwanym kluczem. Jeśli się pisało o Miłoszu, o Czapskim, to należało świadomość społeczną przeprosić. Czapski, artysta, świadek historyczny epoki... myślę także o jego misji poszukiwania tych — jak się później okazało — pomordowanych przez NKWD oficerów, przeżył Majora Huberta, dożył sędziwego wieku, napisał i namalował rzeczy tak ważne. I Miłosz został na placu, nie został zapomniany, i co teraz? Trzeba przypuścić tutaj taką rzecz wstydliwą: dlatego, że tak wielu pisarzy z tamtego niechlubnego okresu przeszło do opozycji, a to bardzo pięknie, literatura socrealizmu nie została jednak nigdy do końca moralnie i socjologicznie zanalizowana.*

HERBERT: — I tak robi się jeszcze jeden polski bałagan. Ta

rozmowa powinna się toczyć między nami w roku 1955 lub 1956. Myśmy się spóźnili o trzydzieści lat. A naród, który traci pamięć — traci sumienie. Winy popełnione wobec społeczeństwa wydają się bezkarne. W roku 1955-1956 przegapiono okazję do uczciwej analizy rodowodu literatury polskiej. Nie chodzi mi o żadne samokrytyki, ale zwykłą przyzwoitość i chłodną ocenę. Młodzi ludzie, z którymi rozmawiam teraz, nic nie wiedzą o nie tak dawnej przeszłości. A skąd mają wiedzieć?

A wracając jeszcze do faszyzmu, mogę się założyć z panem, że większość ludzi, którzy maczali w tym palce, żyje w duchowym komforcie. Kiedy pojechałem pierwszy raz do Niemiec, mój wydawca powiada: gdzie pan chce pójść, do opery, do teatru? — To ja mówię: nie, na proces frankfurcki. — Toczył się we Frankfurcie proces oprawców z Oświęcimia. No i poszedłem tam i wyszedłem zde gustowany. Dlaczego? Bo nie widziałem ani krzty demonizmu. I tu zgadzam się z Hanną Arendt co do banalności zła. Wszyscy chcą nadawać temu jakieś demoniczne wymiary: noc pascalska, tamto — siamto, a nie chcą powiedzieć, że to było pospolite, wulgarne, tuzinkowe. A na tamtej ławie oskarżonych siedzieli podstarzali mieszczaństwo, bronili się zaciekle, bo nikt nie chce się przyznać do tego, że zabijali, strzelał. Świadkowie albo zginęli, albo beznadnie coś mówili, płatali się w zeznaniach. Byłem zresztą i na pierwszym procesie, jaki toczył się zaraz po wojnie w Krakowie. I to był proces *fair*, który przynosi chlubę polskiemu sądownictwu — Zieniuk niech mnie w tej chwili słucho. Tam zapadły wyroki śmierci w stosunku do tych, którym udowodniono zbrodnie. Inne wyroki były różne, 10, 8 lat więzienia, i niższe. Lekarz obozowy, okazało się, był niewinny, chlubny wyjątek, bo pomagał ludziom, więc go zwolniono i odesłano do Niemiec. Trzeba zdać sobie sprawę z nastrojów społecznych, to była świeża sprawa, rok 1945. Zaprosił nas na salę rozpraw profesor Gwiazdomorski, lekcja dla przyszłych prawników. To były jeszcze ostatnie blaski sprawiedliwości. Także i w czasach stalinowskich część społeczeństwa broniła się, nie brała udziału w wyścigu serwilizmu. Więc dlaczego ci inżynierowie czy majsterkowicze dusz tak się... zbłąznili? Bardzo mnie to boli. Umierając nie będę nic wiedział o czasach, w których żyłem, poza banalną prawdą — dusza ludzka jest niezbadana. Od tych, którzy „zakładali zręby socjalizmu”, nie dowiem się już niczego. Strach, pycha, perwersyjna rozkosz, jaką niektórzy znajdują w poniżeniu, niskie pobudki materialne — jak z tego można robić literaturę? Ponura jednoznaczność podziatów.

TRZNADEL: — *Chciałbym się teraz z panem nie zgodzić. Kiedy*

pan mówi: mieszkania, pieniądze, myślę, że dotyczy to tylko niektórych. Jako motyw działania. Oczywiście „udział” był w różnych formach opłacany i gdyby nie płacono, myślę, że tak zwanych dzieł i artykułów powstałoby dużo mniej, nędza tego wyłaziłaby prędzej na wierzch. Natomiast z prostactwem się zgadzam. Prostactwo odnosi się do wszystkich akceptujących tamtą ideologię. Przyjmując to, co przyjmowałem, byłem prostakiem duchowym, intelektualno-moralnym. To prostactwo duchowe — często o charakterze schizofrenicznym, gdyż realizowali ją także ludzie nie należący skądinąd do prostaków — było groźniejsze od przykrych przejawów chęci zewnętrznego posiadania. Ale nie jest usprawiedliwieniem, że dostawali mieszkania ci, co ich naprawdę nie mieli, bo i to przecież było wyróżnieniem na tle ówczesnej nędzy. Gorsze jednak było prostactwo myślenia o losie ludzkim, o jednostkach w otaczającej społeczności. „Kopnąć w brzuch mieszczanina”, „zmiażdżyć mieszczanina” — to słowa pozytywnych bohaterów jednej z odwilżowych nowel, o których mówimy. Cóż to za język, używany chyba wtedy na przestuchaniach! A w ogóle w pewnej tradycji intelektualnej i moralnej, w której wychowaliśmy się, tradycji chrześcijańskiej czy śródziemnomorskiej, prostactwo nie jest dozwolone także w stosunku do wroga.

HERBERT: — Tak, etos rycerski!

TRZNADEL: — Myślę tu także o Niemcach. Wina winą, a prostactwo prostactwem, i ono trwa do dzisiaj w naszych tubach rządowych. Jedyne zbrodniarstwo — hitlerowiec. Podczas gdy powinni się odbywać procesy na Wschodzie za straszne zbrodnie, pisał o tym Władimir Bukowski: kaci z łagrów i wykonawcy egzekucji hodują róże w swoich daczach. Bo dla całej grupy ludzi to nie była zbrodnia, tylko koszty rewolucji. Ach, do dziś twierdzą to rzekomi dysydenci o duszy tak sowieckiej, jak Zinowiew. A byle Niemcy faszystowskie wciąż służą za zastonę dymną, za pseudodrogowskizację: że tylko tam zbrodnia. Tadeusz Borowski pisząc swoją żalosną Muzykę w Herzenburgu nie znał jeszcze terminu: białe krematoria, śniegów i mrozu Kołymy. Ale w komunizmie były także elementy wystroju zewnętrznego w stylu Speera, pamiętam je choćby ze złotu młodzieży komunistycznej w Berlinie Wschodnim w roku 1951. Podejrzewam też, że faszystowska propaganda niemiecka, jakkolwiek odrzucana, ich prasa, ich wizja świata o ostrych przedziałach, przyczyniła się do wojnie do odczulenia wielu i akceptacji elementów czerwonej propagandy.

HERBERT: — Zastanawiam się, należałoby to zbadać. Do tego,

co pan powiedział, należy dodać element konstytutywny faszyzmu, czyli nacjonalizm. Rosjanie to pobratymcy, a Niemcy zli, w samej nazwie tkwi pogarda, bo oni nie mówią. I diabeł polski jest zawsze Frycem, po niemiecku ubranym. I ten numer niemiecki niesłychanie chwycił. Natomiast trzeba było dużo czasu, aby uchwycić analogie — uderzające przecież — obu faszystów: system policyjny, ludobójstwo, propaganda. *Strach i nędza III Rzeszy* Brechta po zmianie kostiumów opisuje dowolny kraj nawiedzony czerwonym terrorem. Jak wspaniale uzupełniają się elementy faszystowskie i sowieckie w proroczej wizji Orwella *Rok 1984*. A antysemityzm Stalina, obsesja antyżydowska? Każda zmiana władzy u nas uderzała w nutę patriotyczną, polską. Żeby się podbudować, nawiązywano nawet do tradycji Marszałka Piłsudskiego, swoista nekrofilia: sprowadzić zwłoki Sikorskiego — nie udało się, to Mościckiego bodaj, a przedtem Norwida, a może Wierzyńskiego, może Lechonia? Umarli są już dobrzy. I na tym pseudo-patriotyzmie faszyzm sowiecki wygrywa. A Ukraińcy, którzy nigdy nie mieli tak zwanego bytu państwowego? Jestem przekonany, że pierwszy ich sekretarz myśli sobie, jeżeli w ogóle myśli, ale zakładam, że myśli: lepiej, żebyśmy byli republiką sowiecką, bo jakoś w świadomości świata istniejemy, mamy reprezentanta w ONZ, niż żeby to była część Polski, albo część Rosji. A wie pan, odpór wobec Niemców jest jeszcze pogardą dla wyższej cywilizacji. Na każdym kroku ten nasz ustrój zмага się z buntem materii i przegrywa: wszystko się wali, wszystko się rozlatuje, już nawet w tym głupim DDR jest trochę lepiej. Ale my jesteśmy po stronie ducha, wielkiej idei socjalizmu, niepojętej dla zachodniego świata, a tamci to bezduszni wielbiciele materii... Przecież i u Mickiewicza są te elementy antyzachodnie, dzikie. Niemcy to są piwosze, a Anglicy to kupcy, a Francuzi... A teraz jest próba włączenia w imperium tego narodu czy tego społeczeństwa, które nareszcie poczuje się we własnym sosie, niedbalstwa, niesolidności, bylejakości i niedorobłości. Co ta wolność właściwie daje? Czy to nie jest kuszenie szatana? Nacisk władzy (choćby ta parodia wyborów) zmierza do tego, by wyzbyć się identyczności, tożsamości narodowej i tożsamości osobistej. Najprzód tożsamości osobistej, odpowiedzialności za własny los. Nie władamy historią, więc po co się buntować?

TRZNADEL: — Bardzo trafnie to pan uchwycił. Kiedyś argument był odwrotny: znamy historię, przyspieszmy ją. A teraz: Polska nie leży na księżycu, nie władamy...

HERBERT: — Bo przecież każdy opór opóźnia proces zmielenia

na miazgę. Ale jeszcze chciałbym wrócić do tego demonizmu. Byłem zaskoczony ludźmi, którzy uprawiali socrealizm, zupełnie inaczej ich sobie wyobrażałem, tych młodszych. Jeden z nich pisał, jak to oficer UB przesłuchuje i potem jest taki zmęczony, i rozmawia z ikoną Dzierżyńskiego, znane historie, wszyscy się z tego śmieją... I nagle spotykam autora, sympatyczny, inteligentny, wrażliwy, z poczuciem humoru. Teraz jesteśmy wszyscy na ty i pijemy wódkę. I chciałem jednego prawdziwego demona spotkać, ale nie mam szczęścia. To może powód do otuchy, że diabeł wynajmuje wewnątrz człowieka, ale nie na stałe. Więc nie ma demonów, są tylko majaki chorej wyobraźni, omamy rozumu, i trzeba od samego początku, gdy się tylko załęgna — unicestwiać je zwykłym ludzkim zdrowym rozsądkiem, śmiechem, metodą tyrmandowską. Teoretyczne podbudowy tych ideologii okazały się diabła warte. Ani teoria ras nie opiera się na niczym, jest to zupełna bzdura naukowa, którą jakiś Chamberlain wymyślił. Ani nie sprawdziły się profetyczne zapowiedzi Marksa, nie można wierzyć także, że im bliżej jesteśmy raj, tym bardziej zaostrza się walka klasowa, czy coś takiego... Po prostu nie trzeba było tego słuchać, należało się od tego zupełnie odwrócić. A tu mój znajomy, człowiek inteligentny, zbuntowany, nie opuszcza żadnego dziennika telewizyjnego. Słucha tych bzdur. Propaganda dzisiaj nie chce nikogo przekonać. Wlewa w nas gwałtem poczucie bezsilności. W pewnym świętym miejscu, klasztorze, mieszkam w pobliżu księdza w tym samym domu i kiedy wracam ze spaceru, widzę sine światło i błyski ekranu. To znaczy, że ksiądz po odprawieniu mszy słucha dziennika telewizyjnego. I to jest ta ciągłość propagandy, abonowanie kłamstwa. Różnie więc wygląda nasza niewinność... Ta lekcja historii powinna być doprowadzona do końca — musimy ten kielich goryczy, ja i pan, wypić do dna. Bo inaczej nic z tego nie będzie. Bo ja jestem sceptykiem. Ale przynajmniej chciałbym wszystko z siebie wypłuć.

Przedtem uwodzono literatów, przyjmowano tych lepszych, większych, w Belwederze. W '56 roku sądzili, że odwilż była ich dziełem. Zgodziliśmy się, że to nieprawda. To, co stało się potem, było bolesnym ciosem dla elity intelektualnej. Gomułka był nie tylko prymitywny, on wiedział, że władza siedziała już mocno w siodle, miała własny aparat represji, więzień do licha i trochę, sądownictwo odpowiednio skorumpowane, wobec tego po co *Popiół i diament*, po co literatura? Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. I tu nagle brak zamówienia społecznego, pustka. I co my wtedy robimy? Przystępujemy do opozycji. Bo jak to? Kochali, pieścili i rzucili. Mówię grubiańsko, jak socrealista, ale trzeba mówić ogólnie, a potem będziemy niuanso-

wać poszczególne postacie, wyszukiwać autentycznie nawróconych. W ogólnych zarysach tak to przebiegało. Rok '56 załamał mit inżynierów dusz, załamał mit politycznej użyteczności tych, którzy wierszami, obrazami, symfoniami podpierali system. I tak zwana elita, która służyła wiernie, została odprawiona z kwitkiem, bo pan był nuworysz i gardził inteligencją.

TRZNADEL: — *Odsuwano tę inteligencję mimo takich jej zasług... Bo przecież pomagała władzy nie w chwili jej stabilizowania się, zapalania się mirażu normalizacji, ale w momencie najbardziej tragicznym dla społeczeństwa, po sfałszowanych wyborach, kiedy ginęli ludzie z AK, siedzieli po więzieniach.*

HERBERT: — Stalin zakładał, że sowietyzacja Polski będzie trwała dłużej, niż to stało się w rzeczywistości. Bierut przyjeżdżał do Stalina i mówił, że już trzeba aresztować Wyszyńskiego. — *Padażditie!* — i tak dalej. To był Bierut, zaciężny, ale ta elita partyjna i liberalna jako dobrowolcy poszli w ogień z okrzykiem hurra i twierdza została zdobyta...

TRZNADEL: — *Ale, ale... ta inteligencja polska w czasie okupacji niemieckiej nie zdradziła, nie poszła na żadne układy...*

HERBERT: — ...łącznie z niektórymi nacjonalistycznymi odłamami.

TRZNADEL: — *Natomiast w kilka lat później, kiedy represje — oczywiście nie spektakularne, bo nie stawiano pod mur na ulicach — były straszne i dotyczyły ciągle elity narodu, najczęściej tych szlacheckich i także mądrych — a nie wszyscy rodzą się z zadatkami na mądrych — tych, co właśnie ocaleli, cóż się dzieje?*

HERBERT: — Rewolucja kulturalna na uniwersytetach!...

TRZNADEL: — *Triumfujący Kongres Nauki w '51, na którym byłem, i likwidacja wtedy Polskiej Akademii Umiejętności. Ciągłe ci sami prestidigitatorzy... Potem miały być kolejne zdmuchnięcia, jak w stosunku do warszawskiej filozofii po '68 roku.*

HERBERT: — Zaczniemy jednak od początku, choćby dla tych, którzy twierdzą, że uwertura była piękna. Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych to rewolucja kulturalna na uniwersytetach, Nie ma o tym żadnych świadectw bezpośrednich. Co najwyżej inaczej mówiąc, likwidacja całej bez mała naszej humanistyki. Nie ma o tym żadnych świadectw bezpośrednich. Co najwyżej

suche fakty. Sprawcy milczą, ofiary wymarły. Biała plama. A działo się to nie w Pekinie, ale na Krakowskim Przedmieściu. Nowi generałowie napoleońscy, tacy jak Kołakowski, nie zajmowali się fizycznie tym brudnym procederem, kierowali ogniem ideologicznym, a do brudnej roboty przydzielona była hurma aktywistów, którzy potem ładowali na wysokich stanowiskach w aparacie partyjnym. W efekcie tego trzęsienia ziemi zniknęli uczeni reprezentujący różne kierunki, o wielkim dorobku, autorytecie naukowo-moralnym: Ajdukiewicz, Ossowsky, Elzenberg, Ingarden, Tatarkiewicz... Lista długa i piękna. Żaden z nich nie zaczął mówić nowo-mową, nie pokajał się, że błędził jako fenomenolog czy neopozytywista. Więc oni mogli, a inni nie? Nikt nie przemówił w ich obronie. Na placu została jedynie słuszną filozofia marksistowska i tak jak u literatów zaczął się cyrk pcheł. Kroński, znający jady systemu, prowadził populistyczne, to znaczy trywialne wykłady dla sympatyków, ale za to upajające seminaria dla niektórych wybranych, i walczył z Schaffem, którego pozycja partyjna była mocna, bo studiował w Moskwie. Nikt normalny nie mógł się połapać, na czym polegały ciosy, uniki, manewry taktyczne. Pozorny ruch myśli. Fabryki mgły produkowały z całą mocą. Humanitarna pani Krońska zatrudniła zwolnionych naukowców w Bibliotece Klasyków Filozofii. Elzenberg tłumaczył Rousseau, ktoś inny Kanta... Byli to ludzie w pełni sił, a wraz z nimi poszło w odstawkę sporo młodych pracowników naukowych. Wytworzyła się straszliwa luka pokoleniowa. Rozgorzała walka z burżuazyjną nauką, i tak dalej. Technika tej walki była prosta. Poszedłem raz, chyba w roku 1950, na otwarte zebranie ZMP, żeby posłuchać. Wstał rosły blondyn i powiedział, że trzeba skończyć z burżuazyjnymi profesorami: kto z was rozprawi się z profesorem Konradem Górskim? — Na to jakaś łapa podniosła się w górę: ja! — Dobrze! — Na czym to polegało? Wchodził profesor, zaczynał wykład o Krasieńskim, wtedy oddelegowany do zwalczania wstawał: pan profesor tutaj mówi o Krasieńskim, ale pan nie podkreśla roli walki klasowej w literaturze polskiej — i tak dalej, aż do skutku. Starszy pan, trochę zdenerwowany, zaczynał: to nie jest temat mojego wykładu! — nawiązywał do swojego przerwane go wątku. Ale za chwilę tamten, czujny, znów wstawał: no tak, ale nie ma o walce klasowej... — A co działo się, jeżeli ta nasza analogia ma być prowadzona dalej, we Wiedniu, rok przed *Anschluss*'em? Był taki filozof z Koła Wiedeńskiego, Moritz Schlick, który został zastrzelony przez studenta faszystę w gmachu uniwersytetu. Trzeba się cieszyć, że u nas do tego nie doszło. Ale tu i tam бойówki chodziły na wykłady takich strasznych ludzi, jak Wittgenstein czy Tatar-

kiewicz, i też wyli. Z innych przesłanek teoretycznych, ale to można pominąć, bo tyle wart jest Lenin, co Chamberlain. Dziwne, ale nikomu nie przyszła na myśl analogia choćby z бойówkami ONR-u.

TRZNADEL: — *Pamiętam tamte lata. Utwierdzano getta i odcinano od ludzi o innych poglądach, zabraniano wymiany tych poglądów.*

HERBERT: — I straszono — że znajdziemy się na śmietniku historii. Był taki młodzieniec, który zawsze w minionym okresie wyłaniał się zza jakiegoś rogu ulicy, szedł za mną i długo mówił, że jestem na śmietniku historii. To chyba było jego zadanie partyjne. Nie bił mnie, no, był słabszy, i w dodatku z dobrej mieszczańskiej rodziny. Sadystyczna komponenta to jedna z podstaw faszyzmu. Dziecinna łatwość, z jaką likwiduje się przeciwników...

TRZNADEL: — *Nienawiść do słowa stary, przeciwstawionego słowu młody, nowy, jest charakterystyczna dla tego języka faszystowskiego, ale i socrealistycznego. A jak pan rozumie Gombrowiczowskie postawienie na wieczną młodość?*

HERBERT: — Ach, to niewinne, to ma podkład erotyczny, nie-dojrzałość jako kategoria estetyczna.

TRZNADEL: — *Także jako kategoria ontologiczna. Nie wiadomo zresztą, czy to pozytywne, czy tragiczne. I tak, i tak. Ale wie pan, oglądałem prapremierę francuską Operetki w Théâtre National Populaire na fali ruchu studenckiego w Paryżu zaraz po roku 1968. Na ulicy oglądałem to, co de Gaulle nazwał „chien-lit”, maskaradą, solidaryzowałem się z tym określeniem. Uczyłem na Sorbonie, uczyłem też wtedy w Nanterre, rozmawiałem z młodzieżą na ulicy. Jakie tam były nutki faszystowskie! Usłyszałem, że młodzież francuska nie ma wolności, ale polską trzeba zamykać do więzienia, bo w socjalizmie konieczna jest dyscyplina. I ta Operetka przystawała wtedy jakimś bokiem do tej młodzieży, odbiór sali był entuzjastyczny. Może dlatego, że czciła jednak młodość na sposób pierwotny, a może dlatego, że wkładała stary świat, rozpadający się, do trumny. Trumna na scenie, to mogło współbrzmieć z emocjami anarchistycznymi. Oczywiście, Gombrowicz ukazuje także młodość okrutną, sadystyczną, w Ferdurke, Pornografii, Kosmosie, czy w Ślubie poprzez postać Henryka. Ach, wszyscy tam u niego, i młodzi, i starzy, są okrutni i pozbawieni właściwie uczuć miękkich, ciepłych, uczuć poza-*

biologicznych. To zwierciadło wystawione okrutnemu współczesnemu światu ruchów faszystowskich i Gombrowicz musiał sobie zdawać z tego sprawę. Proszę wybaczyć, jeszcze jedno wspomnienie. Pierwszy mój wykład z literatury na Sorbonie, natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, rozpocząłem długim cytatem monologu Henryka ze Ślubu, gdy Henryk-władca każe wszystkich wtącić do więzienia i wziąć za mordę! Głos mi drżał. Zimna pasja pióra Gombrowicza szła pod prąd przystosowania polskiej literatury.

HERBERT: — Bo wie pan, to był wielki indywidualista. Dobry smak, wielkopańskość, zupełnie nie pasowały do rodzimej gar-kuchni, on by nie poszedł na żadną współpracę. Jego urok polegał na tym, że robił z każdego durnia. Pojechałem do niego z lekarstwami, a on zrobił ze mnie sprawnie i błyskawicznie durnia, bo nie czytałem *l'Etre et le Néant*. Gombrowicz filozofię znał tak po hrabiowsku. Mój stosunek do niego jest niejasny, uważam, że to byłby genialny pisarz, gdyby nie brakło mu miłości, „tej, która obraca słońce i inne gwiazdy”. Uprawiał swoje poletko znakomicie. Ale ponieważ jego życie osobiste, jego doświadczenie było okrutne, on to przerobił na obraz świata, na tę gładką, suchą, chirurgiczną stylistykę, na język krystaliczny. Poprawiał Dantego, jest taka jego rozprawka przeciwko Dantemu, brał tercyny i wykazywał, że mogą być lepiej napisane. Ungaretti chciał mnie zlinczować, gdy się dowiedział, że jestem Polakiem. W tym wszystkim jest pewien sadyzm, ale nie mający nic wspólnego z tym diabelskim korowodem, o którym mówiliśmy.

TRZNADEL: — *Wracając więc do korowodu — mówił pan, że to była marna, humorystyczna literatura, ale czy nie było i tak, że nie tylko pewna mitologia niszczyła literaturę, ale na lep ideologii poszli także różni niewielcy pisarze, dla których to była szansa znaczenia?*

HERBERT: — Trudno powiedzieć, kto jest wielkim pisarzem. Jaka jest w Polsce obiegowa hierarchia wartości literackich? Wielkie pisarki to Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, ale nikt nie wie o Hannie Malewskiej, która dla mnie jest chyba najbardziej uniwersalną pisarką polską. Przecież Malewska to pisarka właściwie nieznana, poza obiegiem, poza wypisami szkolnymi, poza wszystkim. A Vincenz, Stempowski, zwłaszcza ten ostatni, nie wpłynęli na rozwiniętą, nieprecyzyjną prozę polską? Prawdę mówiąc, jest bardzo mało pisarzy na świecie, gatunek na wy-marcu. Po śmierci Manna, Faulknera, trzeba szukać ze świecą prawdziwego pisarza. Beckett, Ionesco stworzyli własny świat.

Dodałbym Gombrowicza. Mówiliśmy o Czesławie Miłoszu, szukajmy dalej i znajdziemy jeszcze kilku, Borges na przykład.

A w Polsce jest coś około dwu tysięcy statystycznych pisarzy. Nic dziwnego, że ta dywizja szukała oparcia w polityce, która dawała nagrody, medale, papier, stołki poselskie, i stwarzała rangi, zupełnie jak w carskiej Rosji: był generał-pisarz, był pułkownik-pisarz, porucznik, a ci z koła młodych, to byli podchorążowie i szkoła kadetów. Sytuacja materialna większości członków związku literatów w okresie, o którym mówimy, była znakomita, a ich kariery błyskotliwe i szybkie. Pracujący w tym zawodzie Włosi, Anglicy, Niemcy czy Francuzi, to biedacy, aż serce się kraje. Jest taki znakomity eseista, Cioran, bidaczyna, je podobno obiady w jakimś domu akademickim, pomaga mu dobry pan Ioensco, a z książek nie ma żadnych pieniędzy. Przeciętny literat na Zachodzie nie może utrzymać się z literatury. O, tu jest pies pogrzebany! Musi być profesorem uniwersytetu, bidaka, jak ma odpowiednio wykształcenie, albo pracować w banku, jak Eliot. Ktoś, kto tam decyduje się pisać, podejmuje ogromne ryzyko, natomiast tutaj opływał w honory, żył w dostatku, znacznie powyżej przeciętnego poziomu fachowca w innej branży. Ryzyko było tylko polityczne — wyczuć wiatry. Pozycja społeczna i finansowa literata jest bardzo ważną sprawą, wracam do tych brutalnych historii, jak kucharka. I tutaj wracamy też do sprawy talentów: skoro człowiek był członkiem związku, naturalną kolejną rzeczą zanosił książki do wydawnictwa. I ja nie znam przypadku, za mojej pamięci i czasów, żeby odrzucono książkę, ponieważ była zła, to znaczy źle napisana. A może się założymy, może pan zna taki przykład? Bo ja nie. Byłem w randze, powiedzmy, porucznika, i to już szło. Z młodymi było gorzej, a potem całkiem źle. Debiutant musiał mieć poparcie, potem już przestali popierać. Na Zachodzie wydawca kalkuluje, liczy się z rynkiem. Francis Ponge, poeta francuski, wykładał w Alliance Française literaturę francuską. Alliance składało się z ładnych dziewcząt, dlatego chodziłem tam bardzo pilnie, uczyły się języka niemieckiego i skandynawskie sekretarki, a na ozdobę dawali literaturę. Francis Ponge przechodził z mnóstwem książek, patrzył na te idiotyczne twarze, czytał jakiś jeden wiersz, Bretona, coś tam mówił, z całkowitym przekonaniem, że uprawia czynny nonsens. Zarabiał tam nędzną pensyjkę. I kiedyś zrobiło mi się go żal, przedstawiłem się, zaprosiłem na wino. W czasie rozmowy: to pan czytał Eluarda, student tego głupiego instytutu? — Ja mówię: bo wie pan, ja sam próbuję pisać. — Ach tak, pan jest Polakiem? A jaki nakład miał pierwszy tom pana wierszy? — Ja powiedziałem z dumą: 1.500 egzemplarzy. — On mówi: to szalony! — Ja już mu nie

mówiłem o nakładach stutysięcznych starszych i zasłużonych literatów. Jego *Parti pris des choses* rozchodziło się przez pięć czy dziesięć lat, i nakład wynosił, powiedzmy, tysiąc — dwa tysiące egzemplarzy. Nie jestem biegły w literaturze epoki stalinowskiej, mało czytałem, więc z konieczności kręcimy się wokół socjologii sztuki, polityki, literatury, moralności zawodowej. Z tym, co mówimy, łączy się robienie na siłę tak zwanej autentycznej literatury robotniczej i chłopskiej. Cynicznie wyszukiwano tak zwane surowe talenty, obsypywano nagrodami i zostawiano na lodzie. Na przykładzie tak zwanego awansu społecznego nie tylko w dziedzinie sztuki, ale także w innych dziedzinach, *exemplum* Soldek, można śledzić to, co Besançon nazywa falsyfikacją dobra. Nie wiem, czy pan sobie przypomina, że w czasie kiedy szefem „Twórczości” był Wazyk, chodził po redakcjach taki murarz, który drukował co drugi numer wiersze. Był to potem człowiek kompletnie zniszczony, zupełny alkoholik, nigdy nie przyjeździł go do związku literatów, bo on miał być naturszczik. Tak jak reżyser wziął z ulicy do filmu *Złodzieje rowerów* aktora — to jest autentyczne — który nigdy nie był aktorem, i on do końca życia czeka, żeby powtórzyć swój debiut. Więc to moje niesocjalistyczne poczucie sprawiedliwości, jakiegoś elementarnego humanizmu, jeży się przed taką emancypacją, takim awansem. Ale to już przeszłość. W tej chwili nie opłaca się po prostu studiować w pewnych dziedzinach — niech mi pan wymieni nazwisko jednego wybitnego filozofa w Polsce!... Ja mam na końcu języka, ale nie jest tak bardzo wybitny, żeby dał się porównać z Ingardenem, Elzenbergiem, Tatarkiewiczem, Kotarbińskim, i tak dalej. Kolejne ideologiczne wstrząsy fatalnie odbiły się na polskiej nauce. Ja próbowałem także wyklądać. Najpierw miałem czterystu studentów potem trzystu, potem kilkudziesięciu... Ale tylko dwu studentów zabierało rozsądnie głos w dyskusji. Potem okazało się, że jeden został fizykiem, drugi matematykiem. A reszta — to byli ludzie młodzi, ale znudzeni, a przede wszystkim bez przyszłości, bez pasji poznawczej. Bo i po co. Szkoły średnie, zwłaszcza na prowincji, są fatalne. W tej chwili wykładanie na uniwersytetach to jest katorga.

TRZNADEL: — Trzeba patrzeć na to jako na sumę wielu czynników, ale także zafałszowania obiegu kultury. Wracając do problemu awansowania pozornej literatury, o którym pan mówi, można by jeszcze zadać pytanie, czyim kosztem? Dzieje się to także kosztem czytelnika i jest w tym pogarda dla czytelnika. Poza problemem poziomu i treści literatury trzeba wspomnieć także i o kieszeni podatnika, gdyż taką literaturę, tak zwane cegły, finansuje

się z kasy państwowej. Bo państwo jest mecenasem i ma prawie pełny monopol na książkę i kulturę.

HERBERT: — Tak jest, i te niby książki można dostać w każdej księgarni, w każdej ilości. Istnieje mit o narodzie, który nic nie robi, tylko czyta. Ale to wszystko było aranżowane od góry. Taki miting literacki pod pałacem kultury. I rzeczywiście Putrament podpisywał więcej ode mnie i od tego czasu mam do niego pewien uraz. Żarty precz — chodzi o to, że przyjeżdżali z daleka ci biedni, skotłowani ludzie, i uważali, że *Bołdyn* to jest piękna, odważna książka... Była to literatura populistyczna, pisarze poddali się wyimaginowanej presji społeczeństwa. Tej presji nie było. Czytelnik, podobnie jak lud, to były abstrakcje. Nikt nigdy ludu o zdanie nie pytał, a jak przemówił własnym głosem — groza. Czytelnik niczego nie żądał, tylko jadł, co mu podawano, jak w zakładowej stołówce. A czasem go pędzono, bo te wielkie nakłady nie znaczyły, że pisarz był rzeczywiście popularny, tylko były biblioteki, sieć bibliotek, gminnych, takich, owakich, kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy. Dom książki miał rozdzielnik i nakaz, że w każdej bibliotece gminnej ma być Putrament, Machejek... Natomiast Jan Józef Szczepański, tacy pisarze, ukazywali się w nakładzie siedem i pół tysiąca egzemplarzy. Dziennik filozoficzny Elzenberga, *Kłopoty z istnieniem*, dziesięć tysięcy egzemplarzy, i to jest na wieczność. To samo Stempowski. Już tego nie będzie. Nakłady i wznowienia były ustalane z góry. Ilu pisarzy na świecie, Faulkner czy Tomasz Mann, ma dwadzieścia pięć wydań, tak jak *Popiół i diament*, i to za życie pisarza?

TRZNADEL: — Francuzi mówią tutaj: ça n'existe pas...

HERBERT: — Ça n'existe pas, das ist unmöglich... Więc tak to wygląda w faktach, ja nie lubię mówić o duszy.

TRZNADEL: — To są te same mechanizmy, jak z miejscem osób na fotografiach biura politycznego w Związku Sowieckim — pres-tiż jest ustalany odgórnie. To umasowienie kultury wyglądało pięknie w okresie socrealizmu w niektórych wierszach, jak Jastruna „Ja, Anna Żywiot, nie umiałam czytać...”, jest też taki wiersz Anny Kamieńskiej. Spóźniona poetyka romantyczna, panienska z dworu uczyła... Ale ja pamiętam, jak na pierwszym roku studiów zachęcono mnie — bardzo to miało być szlachetne — żebym chodził do świetlic robotniczych we Wrocławiu i opowiadał tym robotnikom o dobrej literaturze. Przypominam sobie taki obrazek: mówię chyba o *Germinal* Zoli, bo lektury były wybierane

odgórnie, i widzę strasznie zmęczone twarze strasznie zmęczonych kobiet z jakiegoś zakładu produkcyjnego, które przyszły po pracy, nie wiem czy dobrowolnie, żeby tego wysłuchać.

HERBERT: — Ja mam wesołe doświadczenia z okresu, gdy jeździłem na wieczory autorskie. Tu muszę powiedzieć samokrytycznie, że jeździłem z niskich pobudek, byłem wygłodzony po '56 roku, czy tam w latach sześćdziesiątych i dostawało się pięćset... Więc przyjechałem do miejscowości o nazwie Nysa. Padał deszcz, wyszedł po mnie kierownik domu kultury, bo w każdej takiej większej czy mniejszej miejscowości były domy kultury, i tak idziemy przez miasto. Widzę ja na jakimś słupie afisz: Zbigniew Hubert, pisarz wojskowy, wieczór autorski. Ale idę śmiało, wchodzę na salę, jest kompania wojska, bo był taki Hubert, który pisał o Lenino i połączyli nas przez grzeczność. Imię się zgadzało, nazwisko mniej się zgadzało. Polityczno-wychowawczy oficer mówi: baczność, pisarzowi cześć! — Oni zakrzyknęli: cześć, cześć, cześć! — potem usiedli i zasnęli zdrowym snem saperów. A ja zacząłem coś bredzić o templariuszach bo uważałem, że to może ich zainteresować. Po paru takich spotkaniach wiedziałem, że to bez sensu, niegodne, i zaprzestałem tej gimnastyki. Natomiast bardzo wielu kolegów wspomina z rozczuleniem te czasy, kiedy była taka szalona popularność literatury. Literatura nie może być popularna, dobra literatura nigdy nie była popularna. Nigdy nie była bardzo czytana. Pisarze umierali w biedzie i zapomnieniu.

TRZNADEL: — *Przypomina mi się taki kontrprzykład socrealizmu. Francja, lata sześćdziesiąte. Wyobrażałem sobie, bo działają takie matryce, że życie literackie we Francji funkcjonuje podobnie jak u nas. Zaproszono mnie do Grenoble, gdzie odbywały się obrady któregoś z francuskich związków literatów, żebym wygłosił coś o współczesnej poezji polskiej. Jechałem samochodem znad Jeziora Genewskiego i nie dojechałem na czas, bo nie obliczyłem, że to górską drogą. Ach, sala zawiedziona i co prezes powie... Następnego dnia z trudem odszukałem małą salkę w ratuszu, gdzie odbywały się te obrady, było kilkanaście osób, literaci i czytelnicy. Szybka refleksja: coś nie tak, czy muszę sobie zburzyć wyobrażenie o Francji, czy o Polsce? Pomieszanie osiągnęło kres, gdy zobaczyłem, że prezes tego związku wyjmując jakiś egzemplarz swoich książek z walizki powiązanej sznurkiem i rozkłada na stole, zachęcając do kupienia. Wyobraźmy sobie polskich literatów po wojnie w takiej roli. Putrament dźwiga walizkę obwiązaną sznurkiem i mówi: kupcie Rzeczywistość...*

HERBERT: — A ja napiszę wam: „Chaleureusement”... Co tu gadać, to była Kanada dla grafomanów, Kanada dla średnich, ale i tych większych, lepszych... Którzy poszli na lep.

TRZNADEL: — *I po dziś dzień dla członków nowego związku i usługowych.*

HERBERT: — Daj im Boże, sezon mają, niech sobie użyją. Życie jest krótkie. Ale dlaczego my właściwie młócimy tę sieczkę? Chociaż bardzo mnie zawsze interesowało, jak żyli artyści także w dawnych wiekach, na przykład malarze holenderscy w XVII wieku. Napisałem o tym szkic, chyba najbardziej pracowity. Tylko wniosek jest banalny — bardzo różnie im się powodziło, bo nie było stawek jak w mecenacie państwowym. To była sprawa rynku, loteria życia, sprawa szczęścia, dobrego ożenku, tysiąca rzeczy, które nie dają się przewidzieć, zaradności czy niezaradności. Taki Vermeer malował mało, trzydzieści cztery płótna, niechętnie sprzedawał, dawał w zastaw piekarniowi. Natomiast można i należałoby buchalteryjnie udowodnić dochody pisarzy w latach socrealizmu i porównać z dochodami przeciętnego inżyniera i wybitnego inżyniera, profesora uniwersytetu, bo oni nie należeli do hołubionej przez ideologów elity i zachowywali się w większości znacznie lepiej, przyzwoiciej. Tak że dotyczyło to wyłącznie artystów, niedopieszczonych, którzy jakby odkuwali się, bo w mieszczańskim społeczeństwie, w kapitalizmie ich rola była znikoma, pozycja niepewna, status dwuznaczny.

TRZNADEL: — *Status poète maudit, poety wyklętego. I na poezji się nie zarabia.*

HERBERT: — Oczywiście, Mortkowiczowi bardzo często autorzy płacili za druk, albo on drukował za darmo i nie płacił honorariów. Ale brałem udział na Zachodzie w jakiejś literackiej dyskusji w telewizji, dostałem prawie tyle, ile wynosi przeciętne honorarium za książkę. Dyskusja trwała 20 minut, a ja powiedziałem cztery zdania i nie jestem całkiem pewien, czy do sensu. Członkowie nowego związku literatów już nie zakosztują słodyczy, jakie były udziałem inżynierów dusz. Istnieje telewizja, o której mówimy, i to jest podstawowy kanał propagandy. Literatura wymaga jednak, żeby kupić książkę, usiąść gdzie na ławce, skupić się i przeczytać, a tu się mechanicznie włącza idealny aparat do wymóżdżania...

TRZNADEL: — *Jak bardzo więc zależy historia kultury także od socjologii techniki. Gdyby telewizja była wynaleziona wcześniej*

niej, być może pisarze socrealistyczni nie byłiby tak bardzo potrzebni.

HERBERT: — Powiedzieliby: panie, co pan się tutaj tak pcha z tymi *Obywatelami*, czy Nr 16 *produkuje*? Mamy uczciwy serial o żołnierzach spod Lenino, a z polityką jesteśmy „na bieżąco”. No, wtedy starali się poprzez film — okropne filmy, *Niedaleko Warszawy* czy *Piątka z ulicy Barskiej*...

TRZNADEL: — *A Pokolenie według Czeszki w reżyserii Wajdy? Trudno uwierzyć.*

HERBERT: — Włosy stają na głowie do jakiego stopnia władza ludowa pogardzała ludem, czym go karmiła. A lud ma stalowe nerwy, w okresie Solidarności okazał się znacznie inteligentniejszy, niż mogli sobie wyobrazić manipulatorzy. I to było dla nich wielkie rozczarowanie i zaskoczenie. Telewizja wychodzi z głowy, książki natomiast zostają i stanowią podstawę szkolnych podręczników. Ja też jestem w podręcznikach, nie wiem, na jakiej zasadzie, ale wybrali wiersz, i pewnie napisali, że jestem klasyczny, że zajmuję się mitologią, więc nieszkodliwy maniak.

TRZNADEL: — *Jeden ze sposobów obłaskawiania: przyznać jednak, że to w ogóle istnieje...*

HERBERT: — Ale że to nie ma znaczenia, jak *Mitologia* Parandowskiego, czy coś takiego.

TRZNADEL: — *Bo oni się czegoś jednak nauczyli na faszystwie niemieckim i wiedzą, że nie jest tak dobrze mówić, że nie wiadomo, kto napisał Lorelei... Są też inne obłaskawienia i tym należy tłumaczyć, że choć Mrozek pisze na nich zabawne, groteskowe humoreski, to jednak go tu wystawią, żeby mieć legitymację liberalizmu. Ach to dozowanie pozornego liberalizmu i knuta!*

HERBERT: — No, autor może nie pozwolić wystawić, jakaś mała możliwość, ale przecież można wszystko upaństwowić.

TRZNADEL: — *Do tego jeszcze nie doszło.*

HERBERT: — Ale będzie tak, niech się pan nie martwi! Przekazano mi także taką wiadomość: że po co ja właściwie w „Kulturze” paryskiej wydaję, skoro ostatni tom wierszy mógłby się ukazać w Czytelniku. A dla mnie to nie jest dziwne — w stanie wojennym cenzura książek, nie mówię o czasopiśmie, była nie-

słuchanie łagodna. Dotyczyło to także pisarzy, którzy są na emigracji, także Czesława Miłosza, neoemigrantów — Karpińskiego czy Zagajewskiego. I oni całkiem nie żądali ode mnie, żebym coś napisał. W ogóle od nikogo nie żądali literackiego potępienia Solidarności i pochwały stanu wojennego. Bratny napisał to na własny szczerot. Nikt nikomu nie kazał.

TRZNADEL: — *Mam nadzieję, że nie czytał pan Roku w trumnie — sześćset tysięcy egzemplarzy nakładu! Oczywiście, takiej rzeczy nie można napisać na zamówienie, bo tu trzeba mieć swoiście zdegradowany i znieprawiony talent.*

HERBERT: — Ale sam pan wie, że nikogo nie namawiali. Nawet powiedziano mi, że nic nie szkodzi, że to w drugim obiegu się ukazuje. Chodzi o to, żeby była normalizacja w kulturze, żeby wszyscy znów pisali to, co pisali dawniej: jeden o Żydach, drugi o jeziorach mazurskich, trzeci o Grecji.

TRZNADEL: — *Tak, w obradach partyjnych o literaturze pojawił się ten sam krąg nazwisk, do którego przyzwyczajono przed i po październiku, że to wybitni pisarze, ten sam panteon i powinno trwać to samo obłaskawienie. System zmienia taktykę, ale przecież trwa.*

HERBERT: — System zniewolenia, o którym mówimy bez analogii: faszystowski. Intelktualiści nie chcą widzieć rzeczy prostych. Dają panu rękę do ucięcia, że ja się w czasach stalinowskich, nie będąc chłopomanem, lepiej porozumiewałem z chłopem, bo oni myśleli trzeźwo. Z inteligencją komunistyczną trudno mi znaleźć nic porozumienia. Posługują się intelektem, aby rzeczy fałszować. To znaczy, nie mówić, że to jest niewola, ale „pewne ograniczenie suwerenności, wynikające z geopolitycznego układu, będącego wynikiem historycznej sytuacji, w jakiej znalazł się nasz naród, pod ciśnieniem...” i tak dalej.

TRZNADEL: — *Carowie byli bardziej prostolinijni — point de rêveries...*

HERBERT: — Carowie mówili, że nie trzeba marzyć, ludy kaukaskie trzeba wyrzynać, a polscy generałowie i żołnierze też brali udział w tej akcji pacyfikacyjnej — nie zapominajmy o tym. Jeszcze do Afganistanu nie posyłają, na szczęście, ale może się zdarzyć. Natomiast sprawą intelektualisty jest widzieć fakty olśniewająco jasno, a jeśli są proste, prosto je nazywać, nauczyć się żyć z rozpaczą na co dzień, powiedzieć sobie, że pisać może

trzeba, ale niekoniecznie trzeba publikować. Czy to jest jakiś nakaz, że ma się publikować? Jeżeli coś, co napisałem, jest warte czytania, to chyba będzie także warte czytania za dziesięć lat. Oczywiście, rękopisy mogą zginąć, ale wielki temat nie opuszcza pisarza nigdy. Jest taka wspaniała anegdota z Paul Valéry i Einsteinem. Więc Paul Valéry, który był takim prawdziwym francuskim pisarzem, zapytał Einsteina: a co pan robi, jak pan ma jakieś pomysły, czy pan notuje to na małych karteczkach, na większych, czy w zeszycie? — A Einstein powiedział z prostotą genialnego człowieka: wie pan, w życiu ma się jeden, albo dwa pomysły, i tego się nie zapomina. — I tak jest, więc nie spieszmy się.

Zbliżamy się do końca, więc chcę, panie Jacku, z ręką na sercu wyznać, że wolałbym unikać tej rozmowy. O okresie „błędów i wypaczeń” myślę rzadko i z obrzydzeniem. Nie jestem na pewno obiektywny, jak nie może być obiektywny człowiek, który pod murem koloseum (zafunduję im ten antyczny obraz) słucha nieartykułowanych ryków i widzi cichcem wynoszone ofiary.

To, co zostało powiedziane, mówiła gorsza część mojej istoty, którą wyrzucam za drzwi, kiedy próbuję pisać. Przykro mi, że nie obeszło się bez nazwisk, ale historia nie jest dziełem duchów. A poważna dyskusja jest u nas trudna, bo albo w chwilach decydujących knebluje się oponentom usta, albo już po wszystkim po prostu nie wypada ze względów towarzyskich mówić, a przeciwnicy już nie są tacy sami. Pozostają pocałunki i rękoczyny w antyzambrach.

Przychodzą do mnie młodzi ludzie, wbijają we mnie niewinne sarnie oczy, które zdają się mówić: „Ale nas, dziadku, urządziłeś!”. Lub łagodniej: „Pomilczałeś trochę, a w odpowiednim momencie robiłeś karierę. Teraz znów możesz sobie podumać w cichości”. Chcieliby najwidoczniej poznać arkana życia, arkana taktyki literackiej. Jak im wytłumaczyć, że nie mam taktyki, nawet nie wiem, czy mam rację. A jeśli nawet mam, to jest to racja bezbronna. Z tego bierze się czernienie papieru. Kiedy czytam ich wiersze, bardzo patriotyczne, bardzo słuszne, bo przeciw gwałtowi i przemocy, chciałbym powiedzieć: życie jest bardziej zawile, bardziej tajemnicze, bardziej skomplikowane niż partia, wojsko, policja; oderwijmy się trochę od codzienności, rzezywiście okropnej, i starajmy się pisać z wątpliwości, niepokoju, rozpacz.

TRZNADEL: — *Cóż, być po dobrej stronie jest tylko powinność moralną i jeszcze nie stanowi literatury.*

HERBERT: — To jest tragedia młodych ludzi wychowanych — tu wracamy do źródeł — na socrealizmie. Bo oni uważali, że trzeba mieć dobrą ideę, a forma to się jakoś znajdzie, rymowane czy nie rymowane.

TRZNADEL: — *I na tym, niestety niezbyt pocieszającym akencie, zamyka się наша rozmowa.*

TRAGEDIA LEWICUJĄCYCH LIBERAŁÓW

Rozmowa z Marianem Brandyssem

(27 lipca 1985)

TRZNADEL: — *Z jakimi uczuciami ocenia pan dzisiaj okres lat czterdziestych i pięćdziesiątych w kulturze polskiej? Był pan w tym czasie bardzo aktywny jako dziennikarz i pisarz.*

BRANDYS: — Tak, to był jedyny w moim życiu okres czynnego zaangażowania politycznego. Przygotowania do tego nie miałem żadnego. Przed wojną nie interesowałem się polityką. Od dwunastego roku życia byłem chronicznie chory na ciężką astmę, co ograniczało mój kontakt ze światem, w odróżnieniu od mego brata, który był aktywny w życiu akademickim. Pierwsze wtajemniczenie polityczne odebrałem w kampanii wrześniowej, którą przebyłem jako dowódca plutonu konnych karabinów maszynowych w grupie generała Franciszka Kleeberga. Walczyliśmy na Polesiu. Przedtem nie znałem wschodniej Polski. Dlatego bolesnym zaskoczeniem było dla mnie, że po wyjściu z macierzystego garnizonu mego pułku w Słonimiu, znaleźliśmy się w obcym, nieprzychylnym nam kraju. Pierwszym widokiem tej wojny była paląca się wieś białoruska, z której do nas strzelano. Pierwszym trupem tej wojny, jakiego zobaczyłem, był białoruski chłop. Wspomnienie jego bosych, żółtoszarych stóp prześladowało mnie jeszcze długo w niewoli. Potem przyszedł straszny dzień 17 września. Długo nie mogliśmy w to uwierzyć, liczyliśmy na nich przecież jako na sprzymierzeńców. Każdy ich samolot witany był przez radośnie. Póki nie zaczęli nam bombardować taborów.

Pod Milejowem mój batalion pod dowództwem majora Michała Bartuli, jednego z bohaterów wojny wrześniowej, stoczył bitwę z pułkiem radzieckiej obrony terytorialnej, który zaskoczył

nas i zażądał złożenia broni. Noc po bitwie spędziłem w wiejskiej izbie razem z ciężko rannym młodziutkim żołnierzem radzieckim, który ciągle wzywał matki. Była to koszmarna noc.

Później stoczyliśmy zwycięską bitwę z Niemcami pod Wolą Gułowską — ostatnią regularną bitwę polskiej wojny — i zaraz po tym zwycięstwie, okupionym śmiercią moich najbliższych kolegów, pomaszzerowaliśmy do niewoli. W oflagu przeszedłem przez dalsze dokształcenie. W Woldenbergu życie polityczne było bardzo rozwinięte. Reprezentowane były wszystkie jego kierunki — oczywiście zakamuflowane przed Niemcami przesłona rozmaitych legalnie działających kół naukowych czy samokształceniowych. Więc na przykład Koło Socjologów było opanowane przez PPS, a Koło Spółdzielców przez komunistów.

TRZNADEL: — *To byli wtedy chyba bardzo młodzi ludzie?*

BRANDYS: — Na ogół byli to ludzie między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia. Ale zdarzali się i starsi. Ja, poprzez moich przyjaciół, trafiłem do Koła Spółdzielców. Otworło to przede mną zupełnie nowe horyzonty. Mieli wspańniętych prelegentów. Odczyty wygłaszali tam między innymi: wybitny filozof Adam Uziembło, znakomity ekonomista Eugeniusz Polak, który zginął potem w czasie wyzwalania obozu, Mateusz Siuchniński, młody zbuntowany historyk poznański. Wywierali oni duży wpływ na całą społeczność obozową. Na przykład cykl odczytów Siuchnińskiego o Kościuszcze był odbierany jak prawdziwa rewelacja. Ja właściwie do końca obozu nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, że Koło Spółdzielców było zakonspirowaną komórką komunistyczną. Pamiętam jak po powstaniu Krajowej Rady Narodowej Uziembło wręcz mnie zapytał, jaka jest właściwie moja orientacja polityczna. A ja właśnie parę dni wcześniej dowiedziałem się, że w kraju powstał Centralny Komitet Ludowy — coś pośredniego między PPS a syndykalistami, miałem tam przyjaciół, więc powiedziałem, że to jest mi najbliższe. Jak on na mnie naskoczył: jak to, a Krajowa Rada Narodowa?!

W związku z moim przystąpieniem do obozowego Koła Spółdzielców — charakterystyczny epizod. Jak panu mówiłem, w obozie były różne stronnictwa polityczne. W 1943 roku postanowiono utworzyć „wspólny front stronnictw demokratycznych”. Wstępem do tego miała być zakamuflowana przed Niemcami „herbatka demokratyczna”. Zorganizowanie artystycznej części tej imprezy zlecono Kołu Spółdzielców, a Koło Spółdzielców zleciło to mnie. Miał to być dla mnie swoisty egzamin ideologiczny. Zaproponowałem odczytanie na kilka głosów pierwszego aktu

*Sułkowskiego Stefana Żeromskiego. Wszyscy się bardzo ucieszyli. Jest w tym pierwszym akcie scena, gdy Sułkowski podchodzi nocą do ogniska żołnierskiego i wszczyna rozmowę z żołnierzami o ich krzywdach w szlacheckiej Polsce. W końcu rozmowa przybiera jednak taki obrót, że żołnierze mówią, że nie chcą zabijać swoich panów jak Francuzi. W tym miejscu przestało się podobać. Ktoś powiedział, że wybór jest dobry, ale samo zakończenie trzeba skreślić. Ja mówię: to zasadniczo zmieni wymowę całości. — Oni: tak, ale pamiętajcie, że Żeromski napisał potem *Przedwiośnie*, więc dzisiaj napisałby na pewno tę scenę bez tego zakończenia. — Powiedziałem, że aby się o tym dowiedzieć, trzeba by urządzić seans spirytystyczny. I że ja się nie zgadzam. Ostatecznie „herbatka demokratyczna” się nie odbyła, bo ktoś doniósł Niemcom. Ale później się dowiedziałem, że chciano mnie z koła wyrzucić, niemal jednocześnie z przyjęciem. Gdyby mnie wtedy wyrzucili, oszczędziłoby mi to wielu późniejszych rozterek i komplikacji.*

TRZNADEL: — *Pułkownik Rzepecki wspomina, że gdy znalazł się w oflagu po Powstaniu Warszawskim, zastał tam rozpolitykowaną atmosferę, bardzo lewicującą u niektórych ludzi. To społeczeństwo zamknięte po goryczy klęski wrześniowej przeżyło chyba silnie gorycz klęski Powstania Warszawskiego?*

BRANDYS: — Powstanie Warszawskie było u nas przyjęte bardzo niejednoznacznie. Zwłaszcza wśród warszawian. Ludzie byli przerażeni tym, że zapłaciło się taką straszliwą cenę. A jednocześnie podziw, duma, wzruszenie. Później, kiedy przyjechali do nas oficerowie z Powstania, wydawali się nam jakimiś mitycznymi bohaterami. Pamiętam, że najbardziej uderzyły mnie ich oczy. Były jakieś inne niż nasze, zdawały się płonąć, biła z nich niezwykła siła i werwa. Wiele lat potem przeczytałem wspomnienie któregoś z tych powstańców, jego pierwsze wrażenie, gdy przyjechał do oflagu: przerażające oczy jeńców, jakby spopielone... Zupełnie zastygłe. Dopiero wtedy zrozumiałem, że ich oczy to były oczy normalnych ludzi, biorących udział w czynnym życiu.

TRZNADEL: — *Czy miał pan wrażenie, po klęsce Niemiec, że wchodzi pan w życie po okresie jakiegoś odcięcia w tym środowisku oflagowym?*

BRANDYS: — To nie było środowisko całkowicie odcięte. W oflagu istniało życie we wszystkich przejawach, tylko jakby

trochę skarykaturowane. Jakby w konserwie. Ewakuacja oflagu to był wielki szok. Wymaszerowaliśmy z obozu w kilku kolumnach 25 stycznia, pamiętam dobrze, bo był to dzień moich urodzin. Pięć dni forsownego, morderczego marszu, pamięta pan te nieludzkie mrozy zimy 1945 roku. I z boków oficerowie „Abwehry” z wyciągniętymi pistoletami i psy. Byliśmy przekonani, że to koniec. Że nie chodzi o żadne przerzucenie za Odrę, tylko po prostu chcą nas w ten sposób wykończyć. Na ostatnim postoju w Detz, kiedy padaliśmy już z nóg — dodatkowa szykana: kwatery w piętrowych stodołach, trzeba było wchodzić pojedynczo po drabinie w całym obciążeniu. Był taki przerażający moment, kiedy jeden z naszych kolegów, znany pisarz Stefan Flukowski, dostał ataku histerycznego. A nazajutrz rano — wyzwolenie. Po krótkim starciu z Niemcami odbiły nas dwa czołgi radzieckie. Jak się później okazało, był to ostatni odruch wielkiej ofensywy, która potem zastygła na wiele miesięcy. Kiedy te czołgi się ukazały, nikt nie dowierzał, że to wyzwolenie. Zaczęły się histeryczne krzyki: niemieckie! niemieckie! — Żeby uniknąć rozczarowania. A potem włączył się otwarty, wyjrzał z niego żołnierz w czarnym kombinezonie i pierwszy raz w życiu usłyszałem okrzyk w mowie rosyjskiej: polscy oficerowie za czołg! Ta krótka chwila jakby zmyła ze mnie kompleks 17 września. To że zostałem wyzwolony w ten sposób, wywarło, jak przypuszczam, niemały wpływ na późniejsze kształtowanie się moich poglądów. Tak się złożyło, że przed wojną nie znałem ani Lwowa, ani Wilna. Rosjanie, to byli ci, co mnie wyzwolili na chwilę przed śmiercią.

Wracając do pańskiego pierwszego pytania, myślę, że to co się działo po wojnie z takimi ludźmi jak ja, — była tragedia lewicujących liberałów. Tych lewicujących liberałów polskich, którzy byli wychowani na felietonach Słonimskiego i Boya Żeleńskiego, i pięknie sobie wyobrażali postęp ludzkości, oparty na zasadniczych reformach społecznych i rozumnych stosunkach między ludźmi i narodami. Umocniła ich w tej wierze wygrana wojna z hitleryzmem — wygrana w ogromnym stopniu przez wojska radzieckie. Ci lewicujący romantycy w przeważającej większości włączyli się po wojnie w nowy nurt polityczny, który objął rządy nad krajem. Dotyczyło to niemal całej czołówki kulturalnej. Poza tymi, którzy pochodzili z terenów wschodnich i mieli straszliwy i uzasadniony uraz antyradziecki, to właściwie wszyscy ci ludzie doszłusowali od razu.

TRZNADEL: — *W tym procesie akceptacji nowej ideologii gra jednak rolę także złudzenie powszechności tej akceptacji, wywoływane przez propagandę. To wszystko znaczyłoby jednak, że*

inny od bezpośredniego doświadczenia sposób informacji na temat Związku Sowieckiego był w dużej mierze zablokowany.

BRANDYS: — Tak było. Ci, którzy poznali tam smak gułagów i więzień, a później przyjechali uczyć nas nowego życia, nie puszczali pary z ust na temat swych przykrych doświadczeń. A jednak opowiem o moich pierwszych zetknięciach z nową rzeczywistością.

Po powrocie z obozu zgłosiliśmy się wszyscy z obowiązku do wydziału Pol.-Wych. Wojska Polskiego, który dokonywał demobilizacji bądź przydziału nowych funkcji wojskowych. Mieścił się ten wydział we Włochach pod Warszawą. Posłaliśmy tam pieszotorami kolejowymi — kilka osób z tamtej organizacji obozowej. Byli tam, jak pamiętam: Adam Uziębło, Mateusz Siuchniński, Stefan Pietrusiewicz (późniejszy minister), Marian Wadecki, chyba Kuropieska... Kolację jedliśmy w kasynie tego zarządu Pol.-Wych. Podchodzi do nas kelnerka, jedna z tych pięknych dziewczyn warszawskich, o jakich marzyliśmy w obozie. Jest dla nas bardzo życzliwa, widać, że robią na niej dobre wrażenie nasze amerykańskie mundury oficerskie, wyfasowane w obozie. Raptem pyta: czy wiecie panowie, jaka jest różnica między Kościuszką a kościuszkowcami? (Chodziło o dywizję im. Tadeusza Kościuszki, sformowaną w Rosji). — Nie wiemy. — Wtedy ona podnosi sobie paluszkami swój śliczny nos i mówi: Kościuszek miał taki, a kościuszkowcy — uciska nos w dół — taki! — Ledwie ochłonęliśmy, nowe zaskoczenie. Przy stoliku obok wiodą gwałtowną dyskusję jacyś starsi oficerowie — najpewniej polityczni, bo wygląd stuprocentowych cywilów. I nagle z tej dyskusji dobiega nas jedno zdanie, wypowiedziane z bezbrzeżnym żalem, niemal z rozpaczą: — Ba, ale rzecz w tym, że oni nie chcą nas przyłączyć! — Waliło mnie to nowe jak pałą w łeb!

Wyszedłem z kasyna, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Patrzę, a nieopodal stoi jakiś dziwny oficer, kapitan chyba, bo na jednym naramienniku ma trzy gwiazdki, choć na drugim tylko dwie, widać, że to człowiek, który dopiero co wyszedł z lasu, „leśny”, przy nim koń, chuda chabeta, wypisz wymaluj: Don Kichot ze swoim Rossynantem. Zobaczył mnie, przesunął spojrzeniem po amerykańskim mundurze, oko mu rozbłysło, mówi: kolego, czy mam tam iść? do nich? — Ja na to, z poczuciem że rozwiązuję sprawy najbardziej zasadnicze, z całą żarliwością, na jaką było mnie stać: tak, idźcie, koniecznie idźcie! — Nie spodobała mu się moja żarliwość. Przyjrzał mi się jeszcze raz uważnie i chyba nie poszedł.

Meldowaliśmy się u „personalnego”, którym był osławiony później pułkownik Fejgin. Po kilku godzinach czekania dostałem

się do niego. Pyta, jakie mam wykształcenie? — Prawnik — byłem po egzaminie sędziowskim. — Pójdziecie do korpusu sądowego. — Ja na to: obywatelu pułkowniku, ja nie nadaję się na prawnika, zawsze marzyłem, żeby pisać, być dziennikarzem. — Pójdziecie do korpusu sądowego, potrzeba nam prawników, pis-maków mamy dosyć. — Cóż było robić: poszedłem pieszo do pobliskiego Piastowa, bo tam się mieścił Najwyższy Sąd Wojskowy, a przy nim ów Korpus Sądowy Rezerwy. Na czele tego wszystkiego stał radziecki generał w polskim mundurze, Tarnawski. Sędziami Najwyższego Sądu Wojskowego byli przedwojenni sędziowie grodscy i okręgowi, a także adwokaci. W Korpusie Sądowym Rezerwy było ze dwadzieścia osób: przeważnie przedwojenni adwokaci, aplikanci. Do roboty nic na razie nie było. Tylko od czasu do czasu wyznaczano kogoś do przepisywania protokołów, albo jeśli to był wojskowy — bo cywile też tam byli — do pełnienia funkcji oficera kontrolnego w gmachu sądowym.

A teraz przechodzę do tego, od czego zacząłem: czy przenikały do nas informacje o Związku Radzieckim. Spotkałem się w tym korpusie z pewnym adwokatem z Łodzi, znajomym moich rodziców, człowiekiem bardzo porządnym, którego dość dobrze znałem sprzed wojny. Chodził w fufajce, więc od razu było wiadomo, że wojnę spędził w Związku Radzieckim. Kiedyś poszliśmy na spacer i mówię do niego: niech pan opowie, jak tam u nich jest? — Więc zaczął wywalać o tych obozach, o tych gułagach, że każdy tam właściwie musi przejść przez więzienie, albo przez obóz. Że u nich to nic wstydliwego, że z aprowizacją kiepsko, że przekupstwo, że wszyscy kradną, że powszechne pijaństwo... Ja mówię: proszę pana, to jest niemożliwe, ja wiem, kim pan jest, mam do pana pełne zaufanie, ale pan musiał być w jakiejś szczególnej okolicy. — On na to: panie, tak jest w całym kraju! — Ja: nie mogę w to uwierzyć. I proszę, żeby mi pan już nigdy takich rzeczy nie opowiadał. — Przyjrzał mi się uważnie, chyba trochę ze strachem. I już więcej mi spaceru nie zaproponował.

TRZNADEL: — *Nie uwierzył mu pan?*

BRANDYS: — To było tak sprzeczne ze wszystkim, co mi opowiadali w obozie moi pierwsi nauczyciele polityczni, tak się straszliwie różniło, że jeśli nawet obudził we mnie pewien niepokój, to nie chciałem o tym wiedzieć. Zwłaszcza wobec wspa-niałego zwycięstwa, jakie oglądałem na własne oczy.

Tak się złożyło, że tego samego dnia wieczorem mój kolega z wojny wrześniowej, pułkownik Liciński, u którego mieszkalem w Piastowie, zreferował mi obszernie nadeszłe właśnie wiado-

mości o postanowieniach Konferencji Jałtańskiej. Był to dla mnie wstrząs. Na polityce mało się znałem, ale byłem dość czytany w historii. Od razu zrozumiałem, że jest to dokładne powtórzenie wydarzenia historycznego z ubiegłego stulecia: Kongresu Wiedeńskiego. Zachód jeszcze raz wykazał absolutne niezrozumienie dla sprawy polskiej. Jeszcze raz nie docenił znaczenia, jakie mogła mieć dla Europy i świata silna, niezależna Polska. Porachowałem sobie w pamięci, jak długo trwał stan rzeczy, uchwalony na Kongresie Wiedeńskim, i stało się dla mnie jasne, że w istniejącej sytuacji jedyną słuszną drogę dla powojennej Polski wytycza program Polskiej Partii Robotniczej. Zweryfikowałem więc ostatecznie mój półświadomy wybór polityczny, dokonany w oflagu. Uczyniłem to nie jako marksista, bo nim nie byłem, ale — proszę mi wybaczyć podniosły ton — jako Polak. Marksistą nie byłem, gdyż nie próbowałem nigdy zgłębić filozofii marksistowskiej, a nie próbowałem dlatego, że jako uczestnik seminarium filozofii prawa profesora Eugeniusza Jarry na Uniwersytecie Warszawskim, wyniosłem z lat uniwersyteckich przemożny wstręt do zgłębiania jakichkolwiek systemów filozoficznych. To był zresztą taki polski fenomen ówczesny, że wielu niemarksistów wstępowało wtedy do partii komunistycznej z pobudek patriotycznych.

Po dwóch tygodniach mego pobytu w Korpusie Sądowym Rezerwy zjechała jakaś wysoka komisja i zaczęło wyglądać na to, że będą przydzielać na jakieś stanowiska sędziowskie i prokuratorskie. Mnie nie było do tego śpieszno. Tym bardziej, że kierownik sekretariatu, pan Jaśkiewicz, przedwojenny kierownik sekretariatu w VII wydziale Sądu Okręgowego w Warszawie, gdzie aplikowałem, powiedział mi w zaufaniu: panie Marianie, to nie dla pana, niech pan stąd nawiewa jak najprędzej. — Czekałem więc tylko na pretekst do ucieczki. No i zdarzył się.

Co parę dni pełniłem funkcje oficera kontrolnego Korpusu, polegało to na siedzeniu od wieczora do rana przy telefonie na półpiętrze gmachu sądowego. A kierowniczką kancelarii była taka przystojna dziwa w stopniu kapitana, posądzana powszechnie o zażyłe stosunki z generałem. Było wtedy chyba takie ogólniejsze zarządzenie, że wszystkie „narzeczone” generalskie były w stopniu kapitana. Dyżuruję więc pewnego dnia przy tym sądowym telefonie, a ona dzwoni. Melduję się: tu oficer kontrolny! — A słuchajcie, tam piętro wyżej mieszka krawcowa, powiedzcie jej, żeby do mnie przyszła. — Ja na to: pani się myli, tu oficer kontrolny. — No właśnie — mówi ona. — Nie, to nie należy do moich funkcji — i odłożyłem słuchawkę. Nazajutrz od rana — sądny dzień. Generał zaczął się mnie czeplić, naskoczył na mój mundur, przedtem nigdy nie było o tym mowy. W jakim ja

chodzę mundurze, amerykańskim, mam natychmiast zmienić... i tak dalej... Zrozumiałem, że nie ma co dłużej zwlekać. Poszedłem pieszo do Zarządu Głównego Pol.-Wych. we Włochach. Szefem był wtedy pułkownik Grosz, przedwojenny dziennikarz. Zacząłem go brać pod włos, że przed wojną czytywałem jego artykuły. Ze sam marzę o dziennikarstwie, że za nic nie chcę być prawnikiem. Po długich naleganiach uzyskałem wreszcie przydział do gazety frontowej „Zwycięzimy”, znajdującej się wówczas pod Berlinem. Tak więc z Korpusu Sądowego Rezerwy zdezerterowałem na front.

Ponieważ wtedy wyjeżdżał Edmund Osmańczyk, jako pierwszy korespondent frontowy „Czytelnika”, zabrałem się z nim. Uwielbiałem tego Osmańczyka za jego reportaże z Opolszczyzny drukowane w „Odrodzeniu”. Był wtedy wspaniały, dlatego z taką radością przyłączyłem się do niego. Cudowna była ta nasza epopeja berlińska. Od początku do końca uczestniczyliśmy w zdobywaniu stolicy hitlerizmu. Jako pierwsi Polacy weszliśmy z Osmańczykiem do Kancelarii Rzeszy, na blankietach listowych Hitlera pisaliśmy nasze reportaże. Zresztą Osmańczyk opisał to dokładnie w swojej książce *Był rok 1945*. Upajający rewanż za klęskę wrześniową. Chociaż nie bez wielu kropli gorzkości. Pamiętam na przykład taki charakterystyczny fakt. W czasie walk berlińskich wszyskie mury dzielnic, w których walczyli Palacy, były pokryte napisami kredą, świadczącymi o ich obecności. Pamiętam na przykład wiernie towarzyszący nam napis: „Tu walczyła jednostka majora Zwierzańskiego”. Nazajutrz po kapitulacji Berlina wszystkie te napisy, co do jednego, zniknęły w jakiś czarodziejski sposób. Bardzo nas to wtedy oburzało. W wiele lat później przypomniałem sobie o tym w czasie zbierania materiałów do książki *Kozietulski i inni*. Przeglądając tajne rozkazy Napoleona do marszałków, natknąłem się na supertajny okólnik, w którym cesarz łajał bezlitośnie marszałka Bernadotte, za to że pochwalił oddziały holenderskie za przyczynienie się do zwycięstwa w bitwie pod Dreznem: „Cesarz zwycięża dzięki własnej armii — pisał Napoleon — pomocnicy nie są mu potrzebni”.

Potem z redakcją „Zwycięzimy” wróciłem do kraju i przez jakiś czas wegetowałem w redakcji biuletynu garnizonowego w Katowicach. Stamtąd drugi raz zdezerterowałem za namową mego kolegi z oflagu, Edzia Obertyńskiego, siostrzeńca poetki Beaty Obertyńskiej. Namówił mnie, żeby jechać nad morze, że tam dopiero wszystko się zaczyna, że jego nowy szef komandor Urbnowicz szuka redaktora do „Gazety Morskiej”, organu prasowego Marynarki Wojennej. Pojechałem więc do Gdyni. Trzyletni pobyt na Wybrzeżu — do lata 1946 w wojsku, a potem w cywilu

— wspominam jak najlepiej. Oczywiście, dużo było rzeczy budzących niepokój, właściwie nie było chwili całkowicie od tego wolnej. Bo co tu się oszukiwać, o wielu rzeczach się nie wiedziało, ale o wielu się wiedziało. Pamiętam na przykład, jak młody dziennikarz, były partyzant, tłumaczył mi z żarliwym przekonaniem, że referendum musiało być „poprawione”, bo chodziło o objęcie władzy.

TRZNADEL: — *I liberał w pana duszy przyjmował tę argumentację?*

BRANDYS: — Wie pan, przyjmował nie bez wewnętrznego sprzeciwu, ale dawał się przekonywać. Dlaczego dawał się przekonywać? Bo wtedy na Wybrzeżu każdy dzień to było tworzenie nowego życia, od podstaw, w sensie materialnym i nie tylko. Pamiętam, jak obejmował Gdańsk pierwszy wojewoda polski, inżynier Okęcki. Miałem wtedy poczucie, że na moich oczach rozgrywa się Wielka Historia. Tu Gdańsk jeszcze się palił, a on przemawiał, zresztą dosyć pompatycznie, co pasowało do tego momentu, obejmował miasto jako polski wojewoda. To mi się kojarzyło z czasami Jagiellończyka... A później te „robocze” wyprawy do Gdańska. Wydobywanie spod gruzów maszyn drukarskich dla „Gazety Morskiej”, przy stałym zagrożeniu ze strony partyzantów Łupaszki. W tamtych dniach całe budzące niepokój zło można było jeszcze zważyć na to, że to dopiero początek, że brakuje ludzi, że wszyscy uczą się od „A”. Tym bardziej, że moi koledzy „spółdzielcy” z oflagu, którzy byli potem na różnych wysokich stanowiskach, ciągle mnie zapewniali: bądź spokojny, u nas nie będzie tak jak u nich. Będzie inaczej. My to zrobimy lepiej, po polsku. Większość z nich znalazła się później w więzieniach. Dzisiaj młodzi ludzie wyobrażają sobie tamte czasy, jakby istniała wtedy alternatywa: z jednej strony rządu komunistów, z drugiej — demokracja parlamentarna w stylu przedwojennym, różne partie, wolna prasa itd. Ale tak nie było.

TRZNADEL: — *Ze względu na brutalną przemoc okupanta i polskich komunistów...*

BRANDYS: — Toczyła się okrutna wojna domowa z ofiarami po obu stronach. Działy się rzeczy przerastające ludzką wyobraźnię. Dam panu przykład. Najżarliwszy komunistą z naszego oflagu, generał Adam Uziembło, siedział w komunistycznym więzieniu jako „wróg ludu”, a mój przyjaciel z tego samego oflagu, porucznik inżynier Kazimierz Dekler, jeden z najporządniejszych

ludzi, jakich znałem, nie mający nic wspólnego z polityką, został na szosie wyciągnięty przez „leśnych” z samochodu i rozstrzelany jako „wróg narodu”, tylko za to, że był naczelnym dyrektorem wielkich zakładów przemysłowych, które podniósł z ruin i uruchomił. Takie bywały wtedy wybory moralne i polityczne.

Pamiętam taki moment z dziewczyną w tańcu... Wspaniałość ówczesnego życia polegała między innymi na tym, że przez cały dzień pracowało się do upadłego, mając świadomość, że się współtworzy, że to jest naprawdę budowanie od podstaw, a wieczorem w dansingu „Mascotte” szło się ostro w gaz i w tany. Więc w tańcu ta dziewczyna powiedziała mi: słuchaj, dlaczego ty się tak w to angażujesz? — Jak można się nie angażować? — Tak, ale dlaczego w tę stronę, dlaczego nie w drugą? — W jaką? — No, generała Andersa. — Wydało mi się to wtedy niebotycznie głupie. Nie wiem, jakby to było, gdybym z obecnym kapitałem wiedzy o świecie miał zaczynać to wszystko jeszcze raz od początku? Może bym się w ogóle powstrzymał od wszelkiego działania, może bym się po prostu położył do łóżka i czekał, aż umrę na tę moją przeklętą astmę.

TRZNADEL: — *A co niosło dalsze codzienne życie?*

BRANDYS: — Pobyt na Wybrzeżu, zwłaszcza po demobilizacji wiosną 1946 roku, i przejściu do „Dziennika Bałtyckiego”, był dla mnie okresem dużej wydajności dziennikarskiej. Każdego dnia ukazywał się mój krótki felieton wstępny, ingerujący w rozmaite sprawy ludzkie — podpisywany pseudonimem „bem”. Ten „bem” zdobył sobie wielką popularność na całym Wybrzeżu. Radość mnie rozpierała, kiedy na przykład pasażerowie zepsutego autobusu walili głownie pod lokal redakcji, aby chórem skandować: bem — bem — bem! — Ale „bem” zajmował się nie tylko drobnymi interwencjami. Pamiętam, że najszerzy oddźwięk wywołał felieton występujący po raz pierwszy w obronie dobrego imienia żołnierzy Armii Krajowej. Ale nie wszyscy mnie chwalili. Władze miejskie w Gdyni uznały felieton za „wysocze niepedagogiczny”, ponieważ w województwie gdańskim „grasowały jeszcze niedobitki bandy Łupaszki”. W związku z tym poważnie rozpatrywano projekt wysiedlenia mnie z Wybrzeża (istniała wtedy taka praktyka). Uratował mnie wojewoda gdański, inżynier Stanisław Zrałek, pilny czytelnik felietonów „bema”.

Wiosną 1946 roku zacząłem pisywać *Listy z Wybrzeża* do warszawskiego „Odrodzenia”. Ogromnie mi imponowała ta współpraca ze stołecznym pismem literackim, zwłaszcza że jego redaktorem naczelnym był legendarny redaktor przedwojennych

artykuł mniej więcej w tym tonie, że pisarze skarżą się na brak tematów, a tu w każdym liście jest temat do krótkiego opowiadanka. Więc powinno się takie opowiadanka pisać, najlepiej do gazet codziennych, żeby jak najwięcej ludzi mogło przeczytać. No i taki artykuł ukazał się akurat w dniu tego spotkania. W drodze do Belwederu napatoczyłem się na Jerzego Andrzejewskiego, a ten od razu na mnie: słuchaj, czytałem ten twój artykuł, to obrzydliwe, obrzydliwe! — Nie mogłem zrozumieć o co mu chodzi, upił się czy co? Artykuł mój wydawał mi się jak najbardziej w porządku. W chwilę potem, już w Belwederze, spotykam Jacka Bocheńskiego i mówię: tu mi Jerzy urządza awantury, czy i ty uważasz, że coś nawaliłem? — Jacek, jak to on zwykle, z tym swoim uśmieszkiem ironiczno-dobrodusznym: no wiesz, pomnika ci za ten artykuł nie wystawią. — O, pomyślałem sobie, coś jednak w tym jest. Ciągłe jednak nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Chociaż należałem już do związku literatów, nie byłem literatem lecz dziennikarzem. Obce mi były problemy prawdziwych pisarzy. Zrozumiałem dopiero później: tamci się miotali w konwulsjach twórczych, żeby jak najlepiej wyrazić treść czasu, nie narażając się przy tym cenzurze, a ja im tu ofiarowuję panaceum na wszystkie trudności: piszcie opowiadanka do gazet. Mogła ich krew zalać.

Później odbyła się ta cała historia: przedstawienie w trzech częściach. Pierwsza część — prelekcyjna: przemawiało kilkunastu pisarzy od Brezy i Nałkowskiej do Putramenta i Żukrowskiego. Każdy się zastanawiał, jak by ożywić i bardziej ucłowieczyć propagandę. Ale nie musiały to być rozważania rewelacyjne, bo nic mi z nich w pamięci nie pozostało. Z części drugiej, artystycznej, zapamiętałem tylko piękny dworski ukłon, jaki złożyła przed Bierutem skrzypaczka Wanda Umińska. I wreszcie część trzecia — tak zwana „lampka wina” gospodarzy z gośćmi. Tej każdy szczególnie pamiętam do dzisiaj. W sali bankietowej Belwederu towarzystwo tak się rozlokowało, że w jednym kącie przy dużym okrągłym stole usadowiła się najwyższa socjeta: Bierut, Cyrankiewicz, Nałkowska, Władysław Kowalski, Iwaszkiewicz, Putrament. W drugim końcu sali — skupieni wokół marszałka Rokossowskiego pisarze „wojskowi”: Przymanowski, Dobrowolski, Żukrowski i tak dalej. Pośrodku — Berman pogrążony w dyskusji ze Sciborem-Rylskim. Ja stanąłem z Konwickim pod ścianą, bo nigdzie nas jakoś nie ciągnęło. Naraz wpada na mnie Putrament: co tak stoicie pod ścianą, chodźcie, chodźcie! I ciągnie mnie siłą do stolika bierutowskiego. — Towarzyszu pierwszy sekretarzu, to jest towarzysz Marian Brandys! — Stałem jak słup, bo mnie zaskoczyło, że Bierut pod prawym okiem miał taki nerwowy tik,

którego na fotografiach nie było oczywiście widać. Naraz zaczyna się dziać coś niezwykłego, jakby z pogranicza snu. Pierwszy sekretarz partii podnosi się ze swojego miejsca i mówi: towarzysz Marian Brandys, ach, jak się cieszę! Wysłałem właśnie towarzysza Cyrankiewicza, żeby was poszukał! No, chodźcie tu, siadajcie — i wskazuje mi miejsce przy sobie, pewnie to opróżnione przez Cyrankiewicza. — Czytałem wasz artykuł w „Nowej Kulturze”, bardzo mi się podobał, uważam, że absolutnie macie rację, że się powinno pisać takie opowiadania do gazet... Chciałbym, żebyście teraz przemówili do kolegów i powtórzyli to jeszcze raz. — Gdyby nie Andrzejewski i Bocheński, zrobiłbym to oczywiście bez wahania, ogrzany ciepłem pańskiej łaski. Ale teraz wiedziałem już na pewno, że coś tu źle pachnie. Więc mówię: towarzyszu pierwszy sekretarzu, ja nie bardzo umiem mówić, raczej piszę... — Więc pozwolicie, że ja w waszym imieniu? — Wtedy Iwaszkiewicz: Bierut będzie mówił w imieniu Brandysa. — Ale Bierutowi ten żart nie bardzo się spodobał, więc Iwaszkiewicz oklapnął i zaraz zniknął, głęboko urażony. A Bierut przemawia: że artykuł Brandysa... i żeby pisać takie opowiadania do gazet. Wszyscy na sali wbili we mnie oczy, stałem się królem wieczoru, całą rzecz opisano potem w prasie. W dwa lata później, kiedy generał Kuropieska wyszedł z więzienia, mówił mi, że po dowiedzeniu się o tym z gazety, pomyślał: dlaczego on nie powiedział Bierutowi o nas?... Dlaczego nie powiedział, jak jest? — Rzeczywiście, jak to teraz panu opowiadał, to uświadamiam sobie, że w ogóle nie przyszło mi na myśl, żeby interweniować w sprawie moich kolegów, którzy siedzieli w więzieniach. Dlaczego tak było? Po prostu w kręgu ludzi, wśród których się obracałem, nikomu nie przychodziło na myśl nic podobnego. Czyżby się wierzyło, że ci uwięzieni byli skazani w jakimś stopniu słusznie, że pod czyimś złym wpływem zrobili jakiś fałszywy krok, że gdzieś się tam niepotrzebnie związali? Częściowo się chyba wierzyło, oczywiście nie w wersji tak brutalnej, jak podawała w radiu Wanda Odolska... Jakie panowało oglupienie, niech świadczy fakt, że kiedy generał Adam Uziembło wyszedł z więzienia, to początkowo próbował mnie przekonywać, że „obiektywnie” słusznie go posadzili. A poza oglupieniem był strach, zwykły strach, i nie tylko przed represjami, ale także strach właściwy neofitom politycznym, że się nie rozumie... że się nie dorasta... Pamiętam, jak na Wybrzeżu ująłem się za aresztowanym członkiem mojej redakcji, to mnie wezwali do komitetu wojewódzkiego i powiedzieli, że mnie ostrzegają, żebym się nie wtrącał do spraw, których nie rozumiem.

TRZNADEL: — *Ach, o losie aresztowanych Bierut na pewno*

wiedział. W każdym razie o listach czytelników można było mówić, a o zastrzeżonej polityce i krzywdach ludzkich, nie.

BRANDYS: — Właśnie tak. Ale wróćmy do przyjęcia w Belwederze. Tak się później ułożyło, że przy stole zostaje tylko Bierut, obok niego ja. Władysław Kowalski rozmawiający z Nałkowską — oddzieleni od nas trzema czy czterema krzesłami. To chyba wszyscy. Reszta się jakoś rozplynęła, przytłoczona moim sukcesem. Bierut mówi do mnie: słuchajcie towarzyszu, a wy co sądzicie o naszej propagandzie, czy macie jakiś nowy pomysł? Czy uważacie, że udało się dzisiejsze zebranie i co by jeszcze można zrobić, żeby propagandę bardziej uprawdopodobnić i uczłowieczyć? — I tak dalej... Wtedy mnie naszło: postanowiłem się upomnieć, nie o Kuropieskę wprawdzie, ale o coś innego. Sensacją tego dnia była krótka notatka prasowa, donosząca, że w kopalni „Barbara” zginęło 40 górników. Dotychczas o takich rzeczach nie pisano, choć wszyscy wiedzieli, że podobne katastrofy zdarzały się co pewien czas. Więc pomyślałem sobie: teraz albo nigdy! I mówię: towarzyszu pierwszy sekretarzu, dzisiaj ukazała się w prasie taka a taka wiadomość. Przyjeliśmy ją z wielkim bólem, lecz jednocześnie z wielką nadzieją. Bo stało się coś niezwykłego. Po raz pierwszy w gazetach napisano o tym, co dotychczas z reguły było przemilczane. I natychmiast ludzie poczuli zaufanie do tej prasy i w ogóle do tego wszystkiego. Więc z tego prosty wniosek: najlepszą propagandą jest pisać prawdę, jak najwięcej prawdy. — Jemu zaczęła latać ta żyłka pod prawym okiem i była długa, bardzo długa chwila milczenia, zanim wreszcie odpowiedział. Gdyby zrugął mnie tak, jak tamci z gdańskiego komitetu wojewódzkiego w roku 1946: odpieprz się, gówniarzu, nie wtykaj nosa w nieswoje sprawy — mniej by to mnie dotknęło, niż ta jego odpowiedź. Bo on zachował się tak, jakby moich słów w ogóle nie słyszał. Powiedział spokojnie i uprzejmie: tak, towarzyszu, piszcie te wasze opowiadania do gazet, to bardzo dobry pomysł. — Takie to były ówczesne interwencje.

TRZNADEL: — W tamtych latach zaczął pan wydawać swoje pierwsze książki...

BRANDYS: — Tak, ich skazy ciążył mi do dzisiaj jak nieodpuszczone grzechy. Pierwszą moją książką były *Spotkania włoskie* — zbiór reportaży z pobytu we Włoszech. Miewałem wtedy straszliwe ataki astmy, więc dzięki staraniom mego brata ułatwiono mi wyjazd do Włoch w charakterze korespondenta „czytelnikow-

skiej” agencji prasowej „API”. Stara, zupełnie nieuzasadniona tradycja głosiła, że wszystkie tak zwane choroby piersiowe leczy się najlepiej w słonecznej Italii. Było to absolutną nieprawdą, i w rezultacie we Włoszech jest więcej niż gdzie indziej grobów młodych Polaków z XIX wieku. Ja jednak tam nie umarłem, przeciwnie: nabrałem nowej werwy życiowej i politycznej. Bo we Włoszech zetknąłem się z komunizmem w najpiękniejszej formie. Reprezentowanym przez wspaniałych młodych ludzi, pełnych zapału, święcie wierzących, że wszystko, co robią, jest dobre i słuszne.

Te *Spotkania włoskie* miały duże powodzenie, nie tylko u nas, przetłumaczono je na kilka obcych języków. Bo było w nich coś z kolorów i ciepła tego cudownego kraju. Ale jak większość książek tego czasu, miały także poważną skazę polityczną. Podczas mego pobytu w Rzymie pozwoliłem sobie wmówić, że amerykański plan pomocy gospodarczej dla Włoch, tak zwany „plan Marshalla”, niesie z sobą zgubę dla Włochów. Że jest to perfidny zamiysł wtrącenia Włoch w poddaństwo kapitałowi amerykańskiemu. Odbiło się to oczywiście na treści *Spotkań*. Później, kiedy okazało się to nieprawdą, przypominałem sobie, kto mi tych informacji udzielał. Ludzie najbardziej zasługujący na wiarę. Nie mówię już o moim przyjacielu Adamie Ostrowskim, który był wówczas ambasadorem w Rzymie, ale także wszyscy co do jednego moi ówcześni znajomi włoscy, wśród nich imponujący mądrością i wykształceniem senatorowie z PCI i PSI, i sławni dziennikarze, i uwielbiani przeze mnie artyści filmowi: Anna Magnani i Vittorio da Sica — przemawiający na Piazza del Popolo w obronie filmu włoskiego, zagrożonego przez Amerykanów, i wspaniali malarze włoscy, z którymi spędzałem długie godziny w trattorii braci Menghi przy via Flaminio — wszyscy oni byli zażartymi przeciwnikami planu Marshalla. Jedynym moim informatorem, który miał odmienny na to pogląd: oni tu pakują ciężkie pieniądze, zobaczy pan, jaka tu będzie Kanada! — był radca handlowy naszej ambasady, pan W., który przed wojną, jako naczelnik wydziału bezpieczeństwa w MSW, podpisywał skierowania do Berezy Kartuskiej, między innymi — mego ojca, i — jeszcze za mego pobytu we Włoszech — zwiózł z kasą ambasady i poprosił o azyl. Więc komu miałem wierzyć? Później — jak wiem — wielu moich włoskich informatorów zmieniło stosunek do planu Marshalla i nawet nieźle z niego korzystało. Ale skaza na mojej pierwszej książce pozostała i uwiera mnie do dzisiaj. Za *Spotkania włoskie* dostałem państwową nagrodę literacką i przyjęto mnie do związku literatów, co równało się nominacji na prawdziwego pisarza. Tylko Janusz Minkiewicz mówił:

teraz cię chwałą, bo piszesz o dalekich Włoszech, ale spróbuj wziąć się za jakiś temat krajowy, wtedy zobaczysz.

TRZNADEL: — *Rychło pan się do tego zabrał i to do tematu modelowego...*

BRANDYS: — Rwałem się do tematyki krajowej. Z nawyku korespondenta frontowego koniecznie chciałem być w pierwszej linii „walki o nowe”, chciałem być, jak to się wtedy mówiło, „doboszem rewolucji”. Do wyjazdu na budowę Nowej Huty namówiła mnie działaczka Związku Młodzieży Polskiej, Marysia Rutkiewiczowa. Wzbudzała zaufanie, bo była miła, ładna i otaczała ją mgiełka romantycznej legendy, jako zrzutka spadochronowego z lat okupacji. — Jedźcie tam — mówiła (miałem jeszcze taki odruch, że kiedy zwracano się do mnie w liczbie mnogiej, oglądałem się, czy za mną kto nie stoi) — jedźcie tam, bo tam znajdziecie esencję tego, co się dzieje w naszym kraju. I rzeczywiście. Pomimo wszystkiego, co nastąpiło później, jestem wdzięczny losowi, że pozwolił mi zakosztować tego doświadczenia. Był to najciekawszy okres mojej działalności pisarskiej. Jeszcze nigdy pisarz polski nie stawiał oko w oko z takim bogactwem problemów: budowanie od podstaw nowego nowoczesnego miasta, tworzenie się od podstaw nowoczesnego społeczeństwa (tak to wtedy widziałem). Coś takiego zdarzało się przedtem chyba tylko w Związku Radzieckim, w okresie pierwszych pięciolatek.

TRZNADEL: — *Były takie wielkie budowy, jak Dnieprostroj, i rozsnuwano mity wokół nich...*

BRANDYS: — (śmieje się) Coś mi się przypomniało. W 1954 roku, a więc w trzy lata po ukazaniu się mojego *Początku opowieści*, książki o budowie Nowej Huty — wyjechałem w tak zwanych „ramach wymiany kulturalnej” do Albanii. Zapoznano mnie tam z dwoma filmowcami radzieckimi: Jutkiewiczem i Papawą, którzy kładli właśnie fundamenty pod narodowy film albański. Jutkiewicz słysząc moje nazwisko aż się rozpromienił (jak Bierut dwa miesiące wcześniej): — Marian Brandys? Przecież ja wasze *Italijskie wstrześci* stale trzymam u siebie na nocnym stoliku! — Byłem w siódmym niebie: reżyser o światowym rozgłosie, asystent Eisensteina trzyma moją debiutancką książkę na nocnym stoliku! Uderzyło mi to do głowy i postanowiłem go podbić do reszty. — Właśnie przełożono na rosyjski *Początek opowieści*, moją drugą książkę. Dam ją panu do przeczytania, ciekawe, co pan powie. — W jakiś czas później, zgodnie z umową, spotykamy się znowu. Jutkiewicz skrzywiony, że aż strach. — Nno taak

— mówi — ale to zupełnie co innego, niż tamta książka. — I w nagłym porywie do Papawy: to nasze dzieło, myśmy to z niego zrobili! — Jakby mnie piorun trzasł! Najbardziej mnie rozżłościło, że on mój *Początek opowieści* uznał za naśladowanie literatury radzieckiej. A przecież sam to od początku do końca stworzyłem, nie korzystając z żadnych wzorów i włożyłem w to kawał własnego serca.

Tak: kawał serca! Przed moimi oczami, na rzyssach po świeżo żętych łąkach pszenicy, zaczynało się budować stutysięczne miasto i wielkiego kombinatu przemysłowego. Było to dla mnie niezwykle przeżycie. Tym bardziej, że ja od początku już wiedziałem co będzie dalej! Projektantem miasta był architekt Tadeusz Ptasiński, mój kolega z oflagu, wspaniały człowiek, sugestywny, zakochany w swym zawodzie. Pokazywał mi swoje plany, zaraził mnie swoim zapałem. Wysoko postawieni informatorzy polityczni ze wszystkich stron udzielali mi pouczeń i zapewnień. Rozsnuwali przede mną wizję awansu społecznego w nieznaną dotąd skalę. Młody chłopak ze wsi — oczywiście „biedniak”, oczywiście uzależniony od wyzyskującego go „kułaka” — zaczyna pracować przy budowie jako kopacz. Później stopniowo, w miarę rozwoju wielkiej inwestycji, uczy się zawodu: zostaje traktorzystą, później hutnikiem w hucie, którą zbudował („Rosną mury, a z murami rosną ludzie”). Później zostaje majstrem, pełnoprawnym członkiem społeczności miejskiej i tak dalej... Wierzyłem w te wszystkie autorytatywnie potwierdzane plany i obietnice, bo przemawiały one do dydaktyka entuzjasty, który stanowił i dotąd stanowi najistotniejszą część mojej osobowości.

Tak więc: patrząc na pierwsze jednopiętrowe domki Nowej Huty, oczami wyobraźni widziałem już stutysięczne miasto i pracujący pełną parą wielki kombinat przemysłowy. Z połączenia tych dwu spojrzeń powstał mój *Początek opowieści*. Nie miałem żadnych ambicji literackich. Chciałem napisać książkę dydaktyczno-agitacyjną, która młodym chłopcom wiejskim z powiatu słynącego przed wojną z dużej emigracji zarobkowej uprzytomni, jakie szczęście czeka ich w Nowej Hucie. Chciałem dać książkę dedykację: „Zetempowcom z Nowej Huty”. Ale brat mi odradził: daj spokój, nikt tego nie kupi. — A szkoda, bo brak tej dedykacji zmylił niektórych drapieżnych, młodych krytyków literackich, wyczekujących z rozdeptanymi chrapami na ukazanie się pierwszego arcydzieła realizmu socjalistycznego. Jeden z nich poświęcił *Początkowi opowieści* wnikliwe i obszerne studium na pierwszej kolumnie „Nowej Kultury” i dał mu tytuł *Początek Wielkiej Opo-*

wieści. Później, kiedy powiał nieco inny wiatr, tak się zawstydził tego swojego wygłupu, że przestał mnie poznawać na ulicy.

Ale wracam do sprawy zasadniczej. Dopiero w jakiś rok po moim wyjeździe z Nowej Huty, kiedy moja książka była już w księgarniach, a mnie pochłaniały inne prace i plany, dowiedziałem się, że sprawy nowohuckie rozwijają się niezupełnie tak, jak obiecywali mi moi wysoko postawieni informatorzy. Młodzi chłopcy ze wsi, po przybyciu na budowę i przepracowaniu na niej w charakterze kopaczy kilku lub kilkunastu miesięcy, nie wstępowali bynajmniej na wyższy szczebel czarodziejskiej drabiny Wielkiego Awansu, lecz większość z nich przenoszono na inne budowy, gdzie również pracowali jako kopacze. Zamiast nich do Nowej Huty przyjeżdżali z różnych stron kraju robotnicy o wyższych kwalifikacjach i rozmaici specjaliści — i oni zajmowali, obiecywane tamtym miejsca w nowym mieście i w nowym kombinacie. Na zdrowy rozum, była to rotacja najnormalniejsza w świecie, ale było to nie do przyjęcia dla tych, którzy zaangażowali się uczuciowo w piękną socrealistyczną bajkę o Nowej Hucie. A takich było bardzo wielu. Jeszcze dziś zdarzają mi się wzruszające spotkania: kierowca taksówki czy facet czekający na swą kolejkę w przychodni dentystycznej: pan redaktor z Nowej Huty? — I od razu twarz mu się rozświeca i zaczyna się rozmowa jak między kombatantami wielkiej wojny. — Pamięta pan? To były czasy! — Tak, dla wielu ludzi to były piękne, uczciwe czasy. Tylko kulisy były parszywe.

TRZNADEL: — Oczywiście, pewien patetyczny mit początku, który był zresztą powszechniejszy i pragnął objąć wszystko swym zasięgiem, mógł działać na emocje. Ale czy taka koncepcja socjologiczno-polityczna, dotycząca decyzji o powstaniu huty, istniała wtedy w pana świadomości? W Krakowie na przykład — byłem związany z Krakowem — mówiono, że Nową Hutę buduje się, żeby przeciwstawić ją Krakowowi, który jest „reakcyjny”. Pamiętano mu wyniki referendum i nie tylko to. To młode miasto robotnicze miało zdobyć przewagę nad Krakowem. A poza tym mieszkańcy Krakowa załamywali ręce: najlepsze ziemie pod to, czarnoziem! I co to będzie, jak ta huta zacznie dymić... Okazuje się, że te opinie profanów były słuszne.

BRANDYS: — Teraz niestety widzę, że były słuszne. Ale wówczas one do mnie nie docierały. Pamiętam, jak na pierwszym zebraniu w sprawie zatwierdzenia planów budowy jeden tylko rzeczoznawca — bardzo już wiekowy — zgłosił nieśmiało zastrzeżenia odnośnie lokalizacji projektowanego miasta i kombinatu.

Ale zakrzyczano go tak gruntownie, że jego wątpliwości trudno było brać pod uwagę. Po prostu: stare opierało się nowemu, taka była wtedy formuła. Przez myśl mi nie przechodziło, że ta wymarzona Nowa Huta może kiedyś zadymiać Kraków. Wierzyło się, że będzie z niej szło na Kraków coś zupełnie innego.

TRZNADEL: — *Była w tym wszystkim koncepcja polityczna. Że to ta nowa siła...*

BRANDYS: — Nic mi jakoś nie wzbraniało w to uwierzyć i uznać tego za słuszne. Nie widziałem w tym żadnego zamachu na to, co było dla mnie, jak dla każdego Polaka, cenne w Krakowie.

TRZNADEL: — *Należy pan do pokolenia, które już przed wojną — jakkolwiek wciąż młode — osiągnęło jednak dojrzałość. Obserwował pan także pewne epizody odbudowy państwa, czy budowania struktury nowego państwa polskiego, drugiej Rzeczypospolitej. Była tam i Gdynia... Jak mogły wyglądać porównania tego tworzenia, na przykład atmosfery poszanowania swobód przed wojną i po wojnie? Jakie to budziło wewnętrzne problemy? Dlaczego ci liberałowie zgodzili się w jakimś sensie na ten typ łamania demokracji w okresie po ostatniej wojnie?*

BRANDYS: — Mogę mówić tylko za siebie, a mój przypadek jest dość nietypowy. Na krótko przed wojną stałem się świadkiem i ofiarą rażących pogwałceń praworządności, które dotknęły mnie i moją rodzinę. Ja — po ukończeniu aplikacji sądowej i pomyślnym zdaniu egzaminu sędziowskiego — miałem wzbroniony dostęp do pracy w wyuczonym zawodzie, a mój ojciec — człowiek ogólnie szanowany — padł ofiarą perfidnej prowokacji, w wyniku której, bez żadnego wyroku zesłano go do obozu w Berezie Kartuskiej (w dwa lata później zginął na Pawiaku jako więzień hitlerowski), a mój dom rodzinny przez kilka miesięcy wystawiony był na brutalne szykany policyjne. W czasy powojenne wszedłem więc z kompleksem krzywdy, co odegrało niewątpliwie pewną rolę w kształtowaniu się moich poglądów. Łudziłem się, że w nowej Polsce, w tworzeniu której uczestniczyłem, podobne krzywdy i niesprawiedliwości nie będą już możliwe. To zapamiętanie w nową sprawiedliwą Polskę mogło sprawiać, że nie dostrzegałem — lub nie chciałem dostrzegać — krzywd i niesprawiedliwości spotykanych po drodze do niej.

Mówię panu o tym wszystkim z goryczą i poczuciem najgłębszej klęski. Bo nic mi się nie sprawdziło. Szykany policyjne, jakim był poddawany mój dom rodzinny w latach 1976-1980 były

o wiele brutalniejsze od tamtych przedwojennych. A moje krótkie przedwojenne bezrobocie jest niczym wobec faktu, że dzisiaj, po czterdziestu latach pracy pisarskiej, jestem praktycznie pozbawiony prawa do wykonywania mego zawodu.

Ale chciałbym jeszcze powrócić do *Początku opowieści*, bo ta naiwna gawęda — kwalifikująca się raczej do gatunku romantyzmu niż realizmu socjalistycznego — stanowi ważną pozycję w mojej biografii pisarskiej i nie tylko pisarskiej. Po ukazaniu się tej książki powitało ją ze strony oficjalnej krytyki krzykliwe hurra, a z drugiej strony: ze strony ludzi mi najżyczliwszych — jakieś zakłopotane milczenie. Nie mogłem tej reakcji zrozumieć, tak jak nie rozumiałem w trzy lata później reakcji Andrzejewskiego i Bocheńskiego na mój artykuł w „Nowej Kulturze”. Ponieważ jestem człowiekiem uczuciowym i nie znoszę niedomówień, zdecydowałem się na krok zupełnie szalony. Wybrałem sobie dziesięciu najbardziej szanowanych pisarzy, częściowo przedwojennych, częściowo powojennych, i przesłałem im *Początek opowieści* z jednobrzmiącą dedykacją. Pisałem w niej, że jestem właściwie debiutantom, że wyczuwam, że w książce coś jest nie w porządku, ale nie wiem co. I że proszę o szczerą opinię... Nie odpowiedział mi nikt! Prawdopodobnie nie mogli uwierzyć, że dorosły człowiek może być aż tak naiwny i wietrzyli w tym jakąś przemyślną zasadzkę.

TRZNADEL: — *W tym milczeniu chodziło już może poniekąd o rzeczywistość, nie o książkę...*

BRANDYS: — Ale wkrótce doczekałem się odpowiedzi z innej strony. W jakiś rok, a może półtora roku po ukazaniu się książki, wydawnictwo, które ją wydało, wspólnie z zarządem głównym ZMP, urządziło mi w Nowej Hucie „spotkanie z czytelnikami”. Zaczynał się właśnie wtedy nowy okres „konstruktywnej krytyki”, więc imprezę zorganizowano z odpowiednim rozmachem. Zjechało mnóstwo osób z Warszawy: redaktorzy wydawnictw, krytycy literaccy, dziennikarze. No i zaczęła się dintojra nad moją książką. Zarzucano mi, że za słabo uwidoczniłem ciemne strony życia na budowie. Że nie napisałem o tym, o tym, o tym... Wodzirejami nagonki byli ci sami „drapieżni” krytycy, którzy jeszcze nie tak dawno skłonni byli dopatrywać się w mojej opowieści „początku wielkiej opowieści”. Dwaj z nich rozsiedli się w pierwszym rzędzie krzeseł i każdy krytyczny głos w dyskusji kwitowali frenetycznym pokrzykiwaniem: słusznie! słusznie! — Po wyczerpaniu głosów krytycznych drapieżni krytycy, nie czekając na moją odpowiedź, zapakowali się do samochodów i z po-

wrotem pojechali do Warszawy. Bo w gruncie rzeczy mieli to wszystko gdzieś i chodziło im jedynie o to, aby w odpowiedniej chwili krzyknąć swoje: słusznie! słusznie!

Odpowiedziałem na zarzuty krótko. Przypomniałem, jak w nowohuckich początkach pilnie dbano o to, aby nie przedostało się do druku nic, co mogłoby zaszkodzić dopływowi sił roboczych na budowę, nic co by mogło przyciemnić blask Pierwszej Wielkiej Budowy Socjalistycznej. Dla ilustracji przytoczyłem anegdotkę, z której jestem szczególnie dumny, gdyż świadczyła ona o mym szybkim refleksie, którego na ogół mi brak. Zdarzyło się to w czasie pracy nad korektami *Początku opowieści*. Redaktor wydawnictwa zgłosił zastrzeżenia co do pewnej scenki, przeniesionej przeze mnie wprost z życia. Staremu murarzowi Maladze przynoszą miejscowe piśmko nowohuckie „Budujemy socjalizm”, w którym zamieszczono jego fotografię jako przodownika pracy. Malaga, nie chcąc okazać przed kolegami swego wrażenia, kryje się z gazetką w latrynie. — Widzicie kolego — powiedział redaktor wydawnictwa — sam epizod jest dobry, ale trzeba pamiętać, że nowy robotniczy czytelnik jest bardzo wrażliwy na wszelką wulgarność. Dlaczego ten wasz Malaga musi iść z gazetą akurat do latryny? Piszecie przecież o uruchomieniu w Nowej Hucie baru mlecznego, niech więc idzie do baru mlecznego. Tak będzie o wiele lepiej. — Zgadzam się na tę zmianę — odpowiedziałem bez namysłu — ale pod jednym warunkiem: jeżeli mi tu podpiszecie zobowiązanie, że ilekroć zechce wam się pójść do latryny — pójdzicie do baru mlecznego. — Rozśmieszyłem tą anegdotką audytorium nowohuckie, dostałem oklaski i na pozór wszystko się dobrze skończyło. Ale wyszedłem z tego spotkania z czytelnikami kompletnie załamany. Zrozumiałem, że nie nadaję się na „dobosza rewolucji”. Z tą chwilą wyłączyłem się całkowicie z pierwszej linii „walki o nowe” i na następne lata przeniósłem się w spokojny azyl literatury dla młodzieży.

TRZNADEL: — *Ten obieg literacki też jest kontrolowany przez państwo.*

BRANDYS: — Toteż i ten azyl nie okazał się całkowicie spokojnym. I tu mnie dosięgła polityka. Prawie wszystkie moje książki dla młodzieży — łatwo to sprawdzić — były *bestseller*’ami. Zwyciężały na konkursach czytelniczych, lubiła je młodzież, chwalili je wychowawcy i nauczyciele, włączano je do lektur szkolnych. Ale po paru latach triumfalnego bytowania, większość tych książek była z przyczyn politycznych eliminowana z rynku czytelniczego i wyrzucana na śmietnik. *Dom odzyskanego dzieciństwa* — opo-

wieść o jednym z najpiękniejszych eksperymentów wychowawczych naszych czasów: o wojennych sierotach koreańskich, wychowujących się w polskim Domu Dziecka w Gołotczyźnie — została uznana za nieodpowiednią lekturę dla młodzieży polskiej z chwilą pogorszenia się naszych stosunków z Chińską Republiką Ludową; uznano, że mali Koreańczycy, występujący w książce, wyrażali się zbyt serdecznie o swoich chińskich sprzymierzeńcach. *Śladami Stasia i Nel* — opowieść przygodową o Egipcie i Sudanie, książkę zasłużoną dla kultury polskiej, gdyż dzięki niej przywrócono do lektur szkolnych *W pustyni i w puszczy* Sienkiewicza — uznano za nieodpowiednią dla polskiej młodzieży, gdy w kilka lat po jej wydaniu zamach stanu w Sudanie położył kres wpływom politycznym rodziny Mahdich, którym — jako potomkom sienkiewiczowskiego Mahdiego — były poświęcone dwa rozdziały książki. Z *panem Biegankiem w Abisynii*, opowieść przygodową o Etiopii — której oprawny w skórę egzemplarz wydawnictwo „Nasza Księgarnia” ofiarowało było cesarzowi Hajle Selassjemu w czasie jego pobytu w Warszawie — uznano za nieodpowiednią dla polskiej młodzieży i wyrzucono na śmietnik, z chwilą gdy cesarza Hajle Selassiego zmiotła z tronu marksistowska rewolucja. Po tych nowych, nieoczekiwanych zderzeniach z polityką, zrozumiałem, że jedyne schronienie przed miotającą się w konwulsjach politycznych współczesnością znaleźć mogę w historii. Dlatego od ćwierćwiecza jestem pisarzem historycznym.

TRZNADEL: — *Ta literatura historyczna nie była odejściem od problemów palących. Losy tego pokolenia napoleońskiego, które pan opisał w swoich książkach, ileż zawierają analogii, gorzkich lekcji, i należą do tego wielkiego ciągu polskiej biografii, o której przecież mówiliśmy.*

BRANDYS: — Więc jeszcze ostatnia uwaga o tamtych niezwykłych latach pierwszego dziesięciolecia powojennego. Teraz, gdy patrzę na nie z pozycji pisarza historycznego, wiem, że dla ich rzeczywistego przybliżenia młodszemu pokoleniom, musiałbym opisać je tak samo dokładnie, jak opisałem czas *Końca świata szwoleżerów*. Tak, wbrew pozorom te dwa tematy nie są wcale tak bardzo od siebie odległe.

BYŁY WE MNIE JAKBY DWIE OSOBOWOŚCI

Rozmowa z Andrzejem Braunem

(12 i 13 września 1985)

TRZNADEL: — *Rozpoczął pan twórczość literacką zaraz po wojnie, w latach pięćdziesiątych wziął pan udział w takim typowym wystąpieniu młodych poetów jak Wiosna sześciolatki, pisał pan też wtedy prozę „produkcyjną”, która miała być jednak czymś więcej — myślałem o powieści o stoczni gdańskiej, Lewanty, pisał pan też reportaże. A to, co potem zdarzyło się z pana życiem — pobyt w Korei podczas tamtej wojny i zaraz potem pobyt w Chinach, to również były rzeczy i ciekawe, i ważne dla tamtego czasu, jego świadomości.*

BRAUN: — Tak, wydaje mi się, że ja chyba jestem dobrym świadkiem, czy też medium pewnych rzeczy, ponieważ byłem „dziecięco czysty” w tym okresie. Ludzie, z którymi się zetknąłem po wojnie, mieli jakoweś swoje związki z tym „interese”, to znaczy, że albo byli to komuniści, przedwojenni kapepowcy, albo przeszli przez Rosję i przyszli tutaj z jakimiś zadaniami i „misją” — natomiast ja należałem raczej do kategorii tych, na których owa operacja ma być dokonana. Byłem raczej przedmiotem niż podmiotem. W roku 1945, w momencie zakończenia wojny, miałem 22 lata, byłem więc młodym człowiekiem. Z drugiej strony byłem już żonaty i dzieciaty, a więc byłem dorosły w tym sensie, że normalnie wówczas powinienem był kończyć studia uniwersyteckie, albowiem w ’39 roku, po maturze, szkołęm się pójść od razu na uniwersytet. W czasie wojny nie chodziłem jednak na żadne komplety, byłem samoukiem. Tak że po wojnie, po tych sześciu latach, w stosunku do mojego ówczes-

nego otoczenia byłem tak zwanym starszym kolegą — dla takiego Jacka Bocheńskiego, czy Wiktora Woroszyńskiego, owa luka wojenna nie odegrała takiej ważnej roli. Tadeusz Drewnowski na przykład robił maturę z moim młodszym bratem i wstępował normalnie na studia. Te sześć lat to nie były lata przeczekane, ale dramatycznie wypełnione. I wpłynęły na mój stan świadomości. Miałem więc już za sobą tragiczne lata. Do wojny kończyłem gimnazjum w Łodzi, między innymi chodziłem do jednej klasy z Karlem Dedeciusem.

TRZNADEL: — *Jak się te drogi rozeszły, bo on poszedł do Wehrmachtu, a pan do partyzantki!*

BRAUN: — Takich niemieckich spolszczonych rodzin było tam wtedy dużo. Ja sam się z tych Lodzermenschów wywodzę, bo dziadek był jeszcze Heinrich i ewangelik, natomiast ojciec mój już zupełnie nic nie miał z tą parantelą wspólnego. Matka, z domu Żylińska, herbu Ciołek, była ze szlacheckiej, eks-ziemiańskiej rodziny. Nazwisko odgrywało jednak pewną rolę, tak że w '39 roku, jak przyłączono Łódź do Reichu, aresztowano nas wszystkich w przeddzień 11 listopada — miały miejsce wtedy wielkie aresztowania inteligencji; ja wywodziłem się ze środowiska nauczycielskiego, ojciec mój i liczni wujowie to byli dyrektorzy lub kierownicy szkół. Aresztowania objęły także inżynierów, lekarzy, i fabrykantów — owych łódzkich Scheiblerów, Grohmanów, którzy się uważali za Polaków. Nawet z tym starym Grohmanem czy Geyerem wyjeżdżaliśmy tym samym bydlęcym wagonem z Łodzi nie wiadomo dokąd... Przedtem, jesienią '39 roku, siedziałem na Radogoszczu, gdzie potem był obóz i gdzie zakończyło się spaleniem tych dwustu więźniów... Karol Dedecius został Reichs-deutschem, bo to była stara niemiecka rodzina, uznawali się za Niemców; on dostał się do niewoli na froncie wschodnim, dalej wiadomo... Nasze zetknięcie się po wojnie w '56 roku, w PEN-Clubie, wydawało mi się zabawne.

Mój ojciec był działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi, chyba wiceprezesem tego łódzkiego oddziału, nastawienie miał takie pepeesowsko-piłsudczykowskie, była to zresztą dominująca orientacja wśród łódzkiej inteligencji. Po Radogoszczu zostałem wysiedlony do gubernatorstwa, potem przebywałem w krakowskim, miechowskim i w Warszawie. Były to lata dramatycznie wypełnione i bardzo trudne. Nie miałem zresztą kontaktu z okupacyjnym środowiskiem literackim w Warszawie, z Baczyńskim czy Zalewskim, tkwiłem w środowisku proletariackim na

Pradze, pracowałem fizycznie. Jeżeli chodzi o Armię Krajową, to byłem w oddziale partyzanckim na terenie krakowskiego, bo tam przebywali moi wywiezieni rodzice, i tam była moja baza; krążyłem między Warszawą a Krakowem przez całą okupację. Gdy przyszedł koniec wojny — było to już po tym naszym „powstaniu pinczowskim” w roku '44 — mieliśmy poczucie absolutnej klęski: upadek Powstania Warszawskiego i nasze własne doświadczenie, podobne, choć w skali oczywiście dużo mniejszej, jednakże w takiej samej sytuacji — zatrzymanie frontu i zduszenie tego naszego powstania przez Niemców. W styczniu '45 roku zostaliśmy zwolnieni z przysięgi. Nie miałem zawodu, wykształcenia ani pozycji, to z czym byłem związany w ostatnich latach, uległo rozwiązaniu. I to w warunkach klęski.

TRZNADEL: — *Czy da się porównać ową świadomość ze świadomością generalną AK, że oto nie dopełniły się cele ich walki i przychodzi nowa okupacja?*

BRAUN: — Ja przebywałem w oddziałach wiejskich, z ludźmi ze wsi, z inteligencją chłopską, z różnymi wysiedleńcami. Nie miałem do czynienia z „wielką polityką”, uświadomieniem sobie wszystkich jej koncepcji. Byliśmy raczej ofiarami tego wszystkiego. Wiadomo było, że urządzenie się własnymi polskimi siłami nie ma już żadnych perspektyw. Istniał potworny ferment. Proszę zrozumieć: w '39 roku byliśmy świadkami upadku państwa, szerzyły się nastroje wyklinania ówczesnego rządu polskiego. A w '44 roku znów panowała pełna świadomość, że my, jako Polska, wojnę przegraliśmy. A jako ludzie, po sześciu latach poniewierki i terroru, zostaliśmy pozostawieni sobie, bo rząd był w Londynie i nie był już przez sojuszników uznawany. A to, co przychodziło, stanowiło dla nas groźbę, bo do końca byliśmy orientacji londyńskiej, choć z głęboką już niechęcią do Zachodu. Odbiło się to na naszych postawach po wojnie. Bo spotkała nas kolejna zdrada. W Jańcu znów zostaliśmy sprzedani. To już wtedy było jasne. Niewiele mogliśmy mieć złudzeń. 9 maja '45, gdy przyszła wiadomość o kapitulacji Berlina, ani przez chwilę nie mieliśmy poczucia zwycięstwa. Ludzie płakali, że kto inny zwyciężył tego Hitlera. Z drugiej strony widzieliśmy na własne oczy, że to „kultura zachodnia”, że to Niemcy, nosiciele owej kultury — stworzyli tę wojnę, Gestapo, komory gazowe, Oświęcim. Sam byłem zresztą ze środowiska, w którym wzajemne związki kultury niemieckiej i polskiej były żywe. Wojnę wygrał Zachód dopiero w przymierzu z Azją, ze Wschodem, z ideologią komunistyczną. Bez nich nie wygraliby wojny.

TRZNADEL: — *Tak się myślało. Są jednak publikacje, rozważające szanse Zachodu bez koalicji ze Związkiem Sowieckim. Wojna zostałaby wygrana, lecz trudniej i dużo później. Rok-dwa.*

BRAUN: — Ja też tak uważam. Wtedy jednak inaczej to wyglądało, bo żyło się faktami, które mieliśmy przed oczyma. Pan wie, co by to znaczyło, dalsze dwa lata ludobójstwa? Jednakże wydawało się jasne, że zapłacono za dużą cenę za tę spółkę. Kalkulacja Zachodu, jak się wtedy mówiło, polegała na „załatwieniu roboty” przez żołnierskie masy ze wschodu, a wówczas pod koniec wojny, obie strony, Rosja i Niemcy, będą wykrwawione. Tymczasem Zachód wyszedł z tej wojny osłabiony, a Związek Radziecki został faktycznym zwycięzcą. Pod koniec '44 roku taka dominowała świadomość. Wiadomo było jednocześnie, że po stronie radzieckiej uznaje się nas, akowców, za stronę „wrogą”, wiedzieliśmy, co dzieje się za linią frontu, na przykład na Lubelszczyźnie. Ja przebywałem w Kieleckim. Po przejściu frontu musiałem stamtąd szybko zniknąć, bo zostalibyśmy wyłapani. Wracałem więc do „cywilnego” życia, natomiast w sensie politycznym uważałem, że moja działalność już się skończyła. Zapisalem się w Łodzi na polonistykę. Zawsze miałem ciągoty literackie, jeszcze ze szkolnych czasów. W Łodzi znalazłem interesujące środowisko. Była to już inna Łódź, chociaż niby moje dawne rodzinne miasto. W czasie okupacji nastąpiło przetasowanie ludności, ludność żydowska została wymordowana, ludność niemiecka uciekła; na to miejsce, do tego cudem nie zniszczonego miasta napłynęły urzędy, instytucje, Łódź stała się przystanią, tymczasową stolicą o bardzo wymieszanym składzie. W latach '45-46 miała miejsce jeszcze nie ustająca emigracja. Wyjeżdżali Żydzi, którzy wydostali się z Rosji, w Polsce istniała jeszcze pewna płynność granic, nieustabilizowanie, dużo ludzi wyjeżdżało na Zachód, uważając, że tutaj nie mają żadnej przyszłości. Wciąż miałem do czynienia z tym ogromnym rozjazdem na wszystkie strony. Wszyscyśmy się zastanawiali: czy wyjechać, czy zostać, a jak zostać, to co? Wrócić do lasu? Czy nie? Dla ludzi takich jak ja były trzy możliwości: wyjechać na Zachód, bo tu w kraju to nie jest to, co miało być po wojnie, albo iść do lasu i dalej prowadzić walkę, albo też jakoś zacząć funkcjonować w tej tu rzeczywistości, tak jak ona wyglądała i jak ją przedstawiano w deklaracjach. Z tych trzech możliwości...

TRZNADEL: — *Była i czwarta, zostać nieprzekonanym moralnie do nowej rzeczywistości outsiderem...*

BRAUN: — Wtedy takim outsiderem ja właśnie byłem! Miałem dwadzieścia dwa lata, byłem człowiekiem ambitnym, chciałem pisać, istnieć publicznie, widzieć siebie w życiu, które się dopiero zaczyna, mimo tych wszystkich tragicznych wstrząsów. Miałem kolegów, którzy wstąpili do klasztoru... Ale nawet w przenośni — żaden klasztor mi nie odpowiadał. Więc jeżeli nie las — a z tym lasem wiedziałem, co się dzieje, miałem i tam znajomych, toczyła się owa „cicha wojna domowa”. Zachód kusił mnie przez długi czas, albowiem uważałem, że należy mi się coś lepszego, niż to, co jest, po tylu latach piekła, normalne uczucie człowieka młodego! Gdy w '39 roku znalazłem się w Krakowie, po wysiedleniu z Reichu, z Litzmannstadt, już tam wlałem w jakąś wczesną konspirację. RGO organizowało tam stołówkę i spotykali się ci rozbitkowie, aby dostać raz dziennie gorącą zupę. Oczywiście towarzyszyła temu jakaś wymiana informacji politycznych. Już wówczas odbywało się przeczucanie młodych ludzi przez Tatry na Węgry, trwała pierwsza zima wojenna, i tam istniał już duży ruch, zjawiali się Węgrzy, łącznicy, przychodzili górale. Już wtedy planowałem, że na wiosnę prysnę sam do Francji, bo już wiem, którędy. Tylko przedtem chciałem się skontaktować z rodzicami. A na wiosnę granica została zamknięta i urwało się. Ta dawna alternatywa wchodziła więc w grę, ale było to skomplikowane, zresztą dość miałem tego tymczasowego życia... Pozostawało więc funkcjonowanie w tym, co jest, pragnienie życia publicznego, po prostu taki miałem temperament...

TRZNADEL: — *I jeszcze trzeba było w to uwierzyć!*

BRAUN: — Na początku ludzie się dopiero zbierali, wracali z Zachodu, z Rosji, z obozów, wychodzili z lasu, jak ja, czy też przeżyli na miejscu w Łodzi. Wymienialiśmy wtedy doświadczenia, wszyscy przeszli straszliwe rzeczy, dziewczyny, które miały za sobą obóz, chłopcy, którzy byli pod Tobrukiem, a już zdołali przedostać się do Warszawy. Byliśmy zbyt zróżnicowani, żeby można mówić o określonej orientacji typu polityczno-ideowego. Zaczynały się literackie obwążiwania. Podeszła do mnie Miecia Buczkówna: kolego, podobno piszecie wiersze? Była tam Anna Pogonowska, Tadeusz Drewnowski, Jerzy Miller, obecnie autor tekstów do piosenek, Andrzej Wirth, Roman Kamiński, syn aktora Kazimierza Kamińskiego, który to Roman zapowiadał się jako dobry poeta. Tak wyglądało moje pierwsze środowisko literackie. Poprzez to środowisko literackie zacząłem się stykać ze społecznymi organizacjami studenckimi. Albowiem wciąż przebywałem w kręgu studenckim. Wówczas istniał pełny pluralizm: ludowa

organizacja „Wici”, socjalistyczny ZNMS, ZMD, OMTUR — ile było partii, tyle organizacji młodzieżowych i bezustanna wymiana poglądów na wszelkie tematy. Większość młodzieży stanowili byli akowcy, ale byli też ludzie, którzy przeszli już polityczną szkołę, należał do nich na przykład Janek Strzelecki, którego wtedy poznałem jako dosyć już określonego działacza socjalistycznego. Ja, jak mówiłem, wychowany byłem w środowisku lewicującej, nauczycielskiej inteligencji, z pewnymi tradycyjnymi zasadami moralnymi, jak ja to dzisiaj nazywam, z pewnym „conradowskim kodeksem”, tym co reprezentowała w swoim dziedzictwie przedwojenna laicka inteligencja. Nie odczuwałem — tak mi się wydawało — trudności w zbliżeniu się do lewicujących kolegów, bo też nigdy nie miałem tradycji endeckich, prawicowych, czy oenerowskich, które *nota bene* w Łodzi były dość silne w pewnych kręgach. Nie miałem również jakiegoś zdecydowanie katolickiego domu, który by na pierwszy plan wysuwał problematykę, że tu „materializm”, a tu „idealizm”... Matka moja była głęboko religijna, ale ojciec związany był ze środowiskiem, które uchodziło za laicko-lewicowe.

TRZNADEL: — *Ten conradyzm...*

BRAUN: — Tak, w czasie okupacji namiętnie czytałem Conrada, to była nasza lektura...

TRZNADEL: — *... ten conradyzm po wojnie określany był jako coś, co się kłóci z lewicowością. Pamięta pan wystąpienie Kotta i polemikę Marii Dąbrowskiej?*

BRAUN: — Wie pan, ja o tym mówiłem niedawno, zresztą bardzo krótko, na naszym przerwany Kongresie Kultury Polskiej. Otóż zaraz po wojnie zaczął się atak na wszystkie nasze fundamenty ideowo-kulturalne, nasze — to znaczy inteligencji polskiej. Ja to odczuwałem już na uniwersytecie, dlatego że tonacja owa zaczęła się od powstania „Kuźnicy”. Profesor Chałasiński opublikował książkę *Genealogia społeczna inteligencji polskiej*, w której udowadniał, że ta inteligencja jest „poszlachecka” i właściwie taka z nieprawego łoża, ma poszlacheckie ciągoty, a w gruncie rzeczy jest czymś nieautentycznym. Potem zaczęła być modna literatura o „kajającym się inteligencie”... Rozrachunki inteligentkie. Inteligencja polska stawiała się kozłem ofiarnym na każdym etapie. Twierdzono, że się rozminęła z rzeczywistością, że zaangażowała się w sprawę niepodległościową w rozumieniu londyńskim, a ta orientacja wykazała swoje bankructwo.

Znów popełniliśmy kolejny błąd... Pokornie musieliśmy wysłuchiwać rachunku tych dokonanych przez nas błędów.

TRZNADEL: — *I budzono w nas poczucie winy.*

BRAUN: — Na domiar wszystkiego mieliśmy świadomość, że przegraliśmy, a tak stale przegrywać to nikt nie lubi. Próbowało się więc przeprowadzać rewizję pojęć, żeby się odnaleźć w jakimś poczuciu realności.

TRZNADEL: — *Za atakami na inteligencję kryła się chęć zmiążdżenia wszystkiego, co było formacją II Rzeczypospolitej.*

BRAUN: — No, przede wszystkim tradycji tamtej szkoły. My mieliśmy bardzo dobrą szkołę przed wojną. Lata okupacji wykazały, jaka z ówczesnej szkoły wyszła młodzież. To były przecież roczniki gimnazjalne sprawdzające się w ruchu oporu. Cóż, propaganda komunistyczna żerowała na klęsce. To, co my mówimy, twierdzono, sprawdziło się historycznie. W sumie bilans wyglądał tak: z jednej strony poczucie klęski, świadomość, że to, coś my robili, nie doprowadziło do niczego, poza zniszczeniem Warszawy; ponadto poczucie wrogości oraz niechęci do Zachodu, który zdradził i oddał nas Rosjanom. A z drugiej strony dochodziła cała komunistyczna argumentacja: ziemie zachodnie, przemysł, reforma rolna. Oczywiście, tak jak ja byłem wychowany, nie mogłem mieć nic przeciwko reformie rolnej! To przecież była tradycja hen, od Żeromskiego... Nie miałem także nic przeciwko upaństwowieniu dużego przemysłu. Pochodziłem z Bałut, z tego przedmieścia łódzkiego, środowiska związanego blisko ze wszystkim, co odczuwa proletariat, prości ludzie. Wszystkie te rzeczy wydawały się jakby nie do odparcia. Mówiliśmy sobie: to wszystko musi być zrobione po polsku, po naszymu, zaś propaganda oficjalna w owym czasie szła przecież po tej samej linii. Głoszono: „socjalizm to nasze stare hasło od XIX wieku, realizujemy najlepsze pragnienia pokoleń”. Pamiętamy, co mówił Żółkiewski, Bieńkowski, płomienni mówcy na tych nieskończonych ówczesnych spotkaniach i dyskusjach: socjalizm realizowany będzie po polsku. Kruszono pewne opory.

TRZNADEL: — *Ale to wszystko zakładało też jakiś element wiedzy o Związku Sowieckim, o nowej władzy?*

BRAUN: — Otóż właśnie! Pytają mnie młodzi ludzie: jak to, wy, ludzie wykształceni, nie wiedzieliście, co to Rosja, co to Stalin, procesy? Osobiście nie miałem powiązań rodzinnych z

Wilnem czy Lwowem, jakichś spraw z przeszłości, nie przyjecha-
liśmy ze wschodu po rewolucji, byliśmy Polakami terytorialnie
zachodnimi, nie przechowywaliśmy urazów domowych. Natomiast
w sensie teoretycznym moja rodzina, „nauczycielska lewicowość”,
była — można by tak to nazwać — transparentowa, hasłowa.
Rosję, jak pamiętam ze szkoły, widziało się od strony bardzo po-
wierzchovej, tak jak prezentowano Sowiety na Zachodzie. Oni
też tak odbierali ten kraj: Gide, Wells, Malraux, w pewnym
okresie. Traktory, piatiletki... Oczywiście, pamiętało się rok
1920, moja rodzina związana była z POW, trochę piłsudczykow-
ska, ciotka była żarliwą zwolenniczką Marszałka, posłanką w
przedwojennym sejmie. Żyły tradycje niepodległościowe legio-
nów. Nową sprawą i bolesnym problemem stał się dopiero '39
rok, 17 września i Katyń. Tamte, dawniejsze sprawy, nie były
przeżyte świadomie. Natomiast te ostatnie sprawy odbierałem
już na żywo i musiałem się do nich ustosunkować. Wstrząsem
było wkroczenie Rosjan we wrześniu '39 roku, ale działało się to
w ramach ogólnej klęski. Wydawało się wówczas, że wszystko
się kończy. Wkraczali jedni i drudzy. Natomiast Katyń wybuchł
w połowie okupacji, kiedy mieliśmy świadomość, że ci Rosjanie
walczą z Niemcami, więc pośrednio stanowią jedyną perspektywę
zwycięstwa nad Hitlerem, poprzez front wschodni. Pamiętam ów
szok, czytaliśmy gazety, w „Gońcu Krakowskim” zamieszczono
listy nazwisk tych ludzi. Nauczycielka, koleżanka mojego taty
z tej samej wsi znalazła personalia swojego męża, o którym nie
miała wiadomości, były konkretne dokumenty oraz dane. Tu już
nie było żadnych wątpliwości, że nie zrobili tego hitlerowcy,
Katyń to była sprawa oczywista. Z kolei zaczęła się historia
z powstaniem warszawskim, z owym czekaniem na brzegu... Wie-
dzieliśmy, co się dzieje w Wilnie, co dzieje się we Lwowie. Dla-
tego też pierwszy mój odruch przy wkraczaniu tego nowego fron-
tu, owego wyzwolenia — to było także poczucie nowej okupacji,
a nie żadnego wyzwolenia. Nie wychodziliśmy witać armii ra-
dzieckiej jako wyzwolicieli, chowaliśmy się po lasach, po meli-
nach, bo wiadomo było, że w ślad za nimi przyjdzie NKWD
i będą nas aresztować. Ale trzeba pamiętać, że dla innych było
to otwarcie bram obozów.

W roku '45 te wszystkie rzeczy mieliśmy za sobą. Zaczęło
się cywilne życie i ten krzyk o „polskiej drodze do socjalizmu”.
Ci ówczesni agitatorzy, jak choćby ludzie z „Kuźnicy”, ci co
przyszli z Rosji, nie przyznawali się, że mają jakieś negatywne
doświadczenia... Kiedy się później dowiedziałem, że Staszewski
przesiedział ileś tam lat w sowieckim obozie na Kołymie, to mi
włosy na głowie stanęły! A pamiętam, co on mówił przez owe

pierwsze lata jako kierownik prasy i propagandy. Ale te rzeczy
wyszły dopiero w 56 roku, kiedy nastąpił ten powtórny wstrząs.
Wstrząs dla nas przynajmniej, bo to było ukrywane. Zdarzały się
oczywiście incydenty z Rosjanami, istniały wojenne komendantury
rosyjskie. Miała miejsce na przykład historia z jedną studentką,
pamiętam że nasze środowisko uniwersyteckie zostało niesłycha-
nie wzburzone. Ona nazywała się, o ile sobie przypominam, Ma-
ria Tyrankiewicz. Została zgwałcona i zamordowana w parku.
No i oczywiście, Rosjanie to zrobili... Nie wiem, czy to Rosjanie
rzeczywiście zrobili, wtedy też nie wiedziałem. Ale od razu na-
stępowała polaryzacja, w Łodzi zaczęły się manifestacje, a druga
strona mówiła: to nieprawda. A szczegółów samego faktu się
nie znało, nie byłem przecież ubekiem i nie miałem do tego
dostępu. Potem zaczęły się sprawy z PSL-em. Latem '45 roku
byłem jeszcze w Warszawie, szliśmy witać Mikołajczyka, pano-
wało złudzenie, że nastąpi jakiś kompromis. Ale i te złudzenia
wkrótce pryskały. W pierwszej chwili cały naród stał za PSL-em,
„Gazeta Ludowa” była czytana przez całą Polskę, nie zaś „Głos
Ludu”, jak się ten organ PPR-u wtedy nazywał. Ale PSL też
nie dawało nadziei...

TRZNADEL: — *Było pod brutalnym naciskiem. Wygrało jednak
wybory...*

BRAUN: — Kraków skupiał się wokół „Tygodnika Powszechnego” i PSL-u. Ja zresztą Krakowa nie lubiłem, pamiętałem z lat
okupacji uczucie człowieka bezdomnego w mieście, gdzie wszyscy
byli nietknięci. Tułając się po tamtejszych mieszkaniach miałem
to nieprzyjemne poczucie: wy sobie wyobrażacie, że was nie
ruszają? *Schadenfreude*... Każdy, kto przeżył wysiedlenie, patrzył
dziwnie na tego, którego to nie spotkało: nie ciesz się, ciebie to
też spotka. Ale udało im się, o dziwo... Ja zresztą działałem
także trochę w Krakowie, współdziałaliśmy jako terenowa osłona
przy krakowskim zamachu na Krügera. Tamto środowisko kato-
lickie nie było moim środowiskiem, stanowiło natomiast przystań
dla tych, którzy zdecydowanie nie mogli przyjąć całej tej nowej
„ideologii wschodniej”. Znalazło się tam, na łamach „Tygodni-
ka Powszechnego”, wielu ludzi, o których myślałem właściwie:
czy ja nie powinienem być raczej z nimi?

Tymczasem Łódź zaczynała być zastępczą stolicą Polski. Po-
stawa młodzieży radykalizowała się „na lewo”. Mnie irytowały
wtedy wszystkie tak zwane pośrednie pozycje. Na przykład PAX.
Myślałem, jesteście katolicy, a wystugujecie się PPR-owi? Pró-
bujecie pozycji okrakiem na barykadzie? Jak mam być wśród

lokai — to wolę wśród mocodawców. Na podstawie pewnej mojej pryncypialności, którą nazywam umownie „conradowską”, uważałem, że trzeba zdecydować się, albo tak, albo tak. I miałem problem ze sobą: gdzie się mam opowiedzieć. Interesowała mnie „Kuźnica” — tam była Nałkowska, profesor A.B. Dobrowolski, parę osób o znanych nazwiskach, nie przywiezionych w taborach i nie zrzuconych na spadochronach. Było wiadomo kim oni są — tradycja polskiej inteligencji lewicowej. Oni nie byli przecież czymś fałszowanym. Bo pierwsze nazwiska, jakie do mnie w czasie okupacji dotarły z tamtej, wschodniej strony, to były nazwiska Broniewskiej, Wasilewskiej i Krasnowieckiego. Kiedy przyszli Rosjanie, mówili nam: macie polski rząd w Lublinie, Wasilewska, Krasnowiecki... Mnie to się wydawało śmieszne. Janina Broniewska, autorka z pisemek młodzieżowych i redaktorka „Płomyczka”? To samo Wanda Wasilewska, była działaczka z „Płomyka”? Czy wreszcie Krasnowiecki, którego pamiętałem ze szkolnych przedstawień w Łodzi, z przyprowadzonym nosem, jako Cyrano de Bergerac. I oni mają być alternatywą Paderewskiego i Sikorskiego, tego wszystkiego, co stanowiło państwo polskie, polską armię, ciągłość Rzeczypospolitej? Wydawało mi się to absurdalnie nieautentyczne. Dopiero teraz, w Łodzi, zaczynałem widzieć wśród tych „angażujących się” także przedstawicieli polskiej inteligencji z autentycznymi tradycjami. Oczywiście, zaczynało się pojawiać wielu nowych ideologów typu Żółkiewskiego, czy Bieńkowskiego... Słuchaliśmy ich zresztą z wypiekami, bo to byli znakomici mówcy. Wtedy także odbywał się gwałtowny nabór młodzieży, bo „lewica” stanowiła mniejszość, która bardzo chciała znaleźć wyznawców. Szalone honory nam wtedy czyniono, co dla młodych ludzi jest bardzo zgubne... Tę praktykę stosowano przez całe czterdzieści lat. Zawsze byli jacyś „młodzi”, na których się stawiało. „Kuźnica” szybko stworzyła seminarium marksistowsko-literackie i objęła patronat nad nami. Prowadził to Żółkiewski, Stawar, Matuszewski, Ważyk i Kott. Mówili rzeczy dużo ciekawsze, niż na wykładach profesor Saloni czy Stieber, czy nawet pani Skwarczyńska. Oni nam obrzydzali uniwersytet: to, co wam tam mówią, to jest stare, jałowe! W „Kuźnicy” było nowe spojrzenie na literaturę polską, spojrzenie rewolucyjne...

TRZNADEL: — *No tak, nowa demagogia...*

BRAUN: — Ale to działało! Padało na grunt rozgoryczenia i rozbrojenia moralnego! Można było oczywiście pić wódkę i śpiewać *Czerwone maki!* Iluż ludzi spotykało się potem latami w

knajpach, opowiadając sobie o „czasach AK i powstania”. A tu jawiła się propozycja stworzenia jakiegoś socjalizmu, ale z „polską twarzą”. Argumenty kulturalne czy polityczne wysuwane przez „lewicę” były jeszcze atrakcyjne, potem dopiero zrobiły się jałowe i dogmatyczne, martwe. Wtedy tchnęły duchem burzycielskim, co zawsze przyciąga młodzież. I tak „lewica” zaczynała być moim środowiskiem. Poznałem wtedy Leszka Kołakowskiego, Wiktora Woroszyńskiego, i oni wciągnęli mnie do organizacji studenckiej AZWM — Życie. Jak należeć, to do czegoś zdecydowanego i radykalnego. Nie wiedziałem, do czego to doprowadzi, oczywiście.

TRZNADEL: — *A te dwie rany, '39 rok i Katyń?*

BRAUN: — Widzi pan, uważałem że to była już przeszłość. Rosjanie od początku swej rewolucji robili okropne rzeczy — wojna domowa, Czeka, Dzierżyński, kolektywizacja, terror, procesy — ale my u siebie nie będziemy tego robić. Żółkiewski, Bieńkowski, Gomułka, od samej góry powtarzali to wielokrotnie. Przyjmywałem to z dobrą wiarą, nie wiedziałem wtedy, że w tym mechanizmie nie ma żadnych wyjątków. Ten pierwszy okres trwał krótko, ale zróżnicowanie wtedy było ogromne — Rumunia pozostawała nadal królestwem, Czechosłowacja miała burżuazyjny rząd Benesa. Bardzo popularna u nas była Jugosławia. Sami się wyzwolili, bez Rosjan, nam bardzo imponowała owa titowska historia.

TRZNADEL: — *A kiedy zaczęto dusić tę różnorodność, dopływaliśmy już w łodziach nowej wiary do nowego lądu...*

BRAUN: — Wszedłem więc do tej organizacji ZWM, filii akademickiej, ona różniła się od ZWM-u masowego. Patronował jej na terenie Łodzi Moczar, który był szefem UB i stałym gościem naszego klubu, podobnie jak Mijał, wówczas prezydent miasta. Władza chciała się spotykać z „pozytywną” młodzieżą... Ja im głębiej w ten krąg ludzi wchodziłem, tym bardziej oddalałem się od mego dawnego środowiska. Dochodziły już do mnie wieści: że tego aresztowano, że tamtego... Było to bardzo ciężkie, wiedziałem bowiem, że nic nie mogę zrobić. Przychodzili do mnie czasami jacyś zabłąkani znajomi: ty jesteś tak dobrze w „rzeczywistości” (tak się wtedy mówiło) osadzony, może byś mógł coś pomóc... Było mi wstyd i przykro, ale zdawałem sobie sprawę, że każdy płaci za to, co robi. On wojował w lesie i strzelał, a ja zdecydowałem, że nie będę wojował w lesie. Pamiętam jednak

z tamtego okresu, że miałem jakby dwie dusze: osobiście należałem do ZWM-u, ale życzyłem wszystkiego najlepszego PSL-owi, i do końca wierzyłem, że normalną drogą, jak dojdzie do wyborów, to sytuacja się wyklaruje. W referendum głosowałem jeszcze „dwa razy tak”, a nie „trzy razy tak”.

TRZNADEL: — *Głosował pan „nie” w sprawie zniesienia senatu?*

BRAUN: — Tak. Kiedy człowiek jest postawiony wobec konkretnych pytań, to wtedy musi zdecydować. Reforma rolna, upaństwowienie przemysłu, ziemie zachodnie, oczywiście, ale senat... Zdawałem sobie sprawę, że tu się dokonuje formalnej zmiany ustroju, i odczuwałem hamulce. Miałem pewną satysfakcję wyłaniania się z arbitralnej propagandy. Senat nie był dla mnie żadną świętością, ale stanowił relikwitu struktur polskiego państwa sprzed wojny. I jeżeli to ma być „polska droga”, to nie chciałem tak całkowicie od tego odchodzić.

TRZNADEL: — *Jaki miał pan stosunek do fałszowania referendum?*

BRAUN: — Referendum nie było wyborami, było propagandową pokazówką. Nie przywiązywaliśmy do tego takiej wagi. Przecież chodzili wtedy zbiorowo głosować z transparentem „3 razy tak”. Mnie się wydawało, że to nie jest ten prawny grunt, na którym powinna się odbywać walka. Tutaj słyszało się, że miały miejsce fałszerstwa, a tam znów — że ich nie było. Miałem wtedy dość szerokie kontakty z ludźmi różnych zapatrywań. Referendum było przedwyborczym chwytem taktycznym, bardzo zręcznym. I tak doszło do wyborów w '47 roku. Osobiście liczyłem, że wybory wygra PSL, że to jest ostatnie narodowe powstanie. Cicho, w głębi duszy tak myślałem. Bo ciągle jeszcze tkwił we mnie ten człowiek wychowany przez wojnę o niepodległość. I ten etos okupacyjny, przyjęty zresztą przez cały naród, był moim etosem również. Liczyłem, że przegrają komuniści, jako mniejszość społeczeństwa.

TRZNADEL: — *I przegrali...*

BRAUN: — Tak. Ale z chwilą, kiedy podano wyniki tego wszystkiego — PSL został właściwie wyeliminowany. W tej nowej sytuacji zrobiłem sobie taki rachunek sumienia: znów mamy sytuację, jak w '39 czy w '44 roku, zdecyduj, albo — albo. Uznałem, że wszystkie próby oporu, restauracji rządu koalicyj-

nego, obiecywanego w Jałcie, i tak dalej — że to nie zdało egzaminu. Komuniści zrobili to, co chcieli, a już wiadomo było, że towarzyszy temu terror.

TRZNADEL: — *Zrobili, co chcieli, ale czy uważał pan to za słuszne?*

BRAUN: — Nie, ale za nieuniknione. Tak samo, jak nie uważałem za słuszne, że weszli do nas Rosjanie w roku '44, z tym wszystkim, co temu towarzyszyło.

TRZNADEL: — *Okupację niemiecką uważał pan za nieuniknioną, a jednak pan z nią walczył.*

BRAUN: — Drogi panie, to była zupełnie inna reakcja. Ja tu nie miałem do czynienia bezpośrednio z okupantem, z Rosjanami. To byli polscy komuniści. Rodacy. Miałem do nich strzelać? Była propaganda, nieszczerza z pewnością, ale sprytna. Trafiała.

TRZNADEL: — *A „conradysta” w panu zgadzał się?*

BRAUN: — To wszystko nie jest takie jednoznaczne, człowiek prowadzi sam ze sobą dyskusję. Oczywiście, z jednej strony miałem siebie dawnego, z drugiej — skończyła się gra w PSL i pewność, że to będzie demokratyczne państwo, raczej nastanie „dyktatura proletariatu” typu leninowskiego. Nie byłem taki obkuty, żeby to wszystko rozumieć ze wszystkimi konsekwencjami, ale z grubsza wiedziałem, o co chodzi. Ja to musiałem zaakceptować jako rzeczywistość, a potem musiałem szukać dziesiątków argumentów, uzasadniających tę moją decyzję, że nie zrobiłem tego na zasadzie oportunizmu, tylko mimo wszystkich zastrzeżeń — ideowego wyboru. Ponieważ uznałem, że chcę być pisarzem, funkcjonować publicznie — zaczynałem pisać, drukować i wydawać. Ponieważ uważałem się za człowieka lewicowego, a nie zetknąłem się z taką rzeczą, która by mnie zdecydowanie odpchnęła, więc zostałem ową falą niesiony. Rok '47 był w pewnym sensie dla mnie przełomowy. Może później, w obliczu stalinowskiego terroru bym się wstrzymał? Nie wiem. Zadeklarowałem się w jakimś wierszu jako komunista. *Nota bene* bardzo szczególna była to deklaracja. Nie byłem marksistą w sensie filozoficznym, to było ściśle polityczne widzenie tych spraw. W tej chwili staram się sobie wszystko rzetelnie przypomnieć — owe wybory w '47 roku podziały na mnie jakoś tak, że uciło we mnie dotychczasowe rozdwojenie. Rzeczywistość rozstrzygnęła za mnie. Uważałem, że moje funkcjonowanie jako pisarza jest moż-

liwe. Z tym oczywiście, że będę pisarzem pokolenia kombatanckiego, moja problematyka to okupacja, o tym pisałem wiersze i opowiadania. Podobnie zresztą robiło wielu: Zalewski, Bratny czy Różewicz. Akces do nowej wiary nie dokonywał się tak ostro, uważałem jednakże, iż nie należy być maruderem i pragnąłem zrealizować swoje ambicje jako pisarz. Miało wtedy miejsce ciągle „zawstydzanie” tych ludzi, którzy się od czegoś wstrzymują. A mój temperament był raczej gwałtowny i miałem dość rozwinięty zmysł społecznej działalności. Mnie to wciągało.

Po styczniu '47 roku, kiedy coś się przewalało poza mną i we mnie, Witek Woroszyński i Janka — jeszcze wtedy chyba nie byli małżeństwem — bardziej Janka niż Witek, powiedzieli: słuchaj, ty myślisz właściwie tak jak my, dlaczego nie wstąpisz do partii? — A oni byli już wtedy w PPR-ze. Odpowiedziałem im co prawda: raz już do czegoś należałem i potem zwalniano mnie z przysięgi, postanowiłem już do niczego nie należeć! — Ale w młodym wieku czas pędzi szybko, w ciągu roku odbywa się całe podróże duchowe... Wydawało mi się to trochę niepoważne, ale dlaczego nie? Odbyło się więc zebranie „na dzielnicy”, PPR nie była partią inteligencją, więc nie na uniwersytecie. Dwoje wprowadzających mnie to Janka i Wiktor. Tłum zupełnie mi obcych ludzi. Ja jak przed jakimś sądem, rutyniarska liturgia... Życiorys. Lekko przemilczałem niektóre rzeczy. Gdy mnie rekomendowano, uderzyła mnie jedna rzecz. Mówiono, że „wprawdzie towarzysz popełniał błędy, ale jednak...”. To mnie jakoś dźgnęło — czego ja się mam wstydzić? I coś tam takiego nawet powiedziałem, ale potraktowano to ulgowo, zostałem przyjęty. Wtedy nastąpiło kolejne przyspieszenie w moim życiu. Nie mogłem już mówić jako ja, tylko jako członek partii. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że to mnie jakoś ubezwłasnowolnia, pozbawia pełnej podmiotowości. Ale wtedy to mi się podobało, bo miałem poczucie, że przemawiam w imieniu władzy, ja, który zawsze dotąd byłem w sytuacji prześladowanego.

Jeszcze przedtem miałem niejaki perypetie z tym swoim środowiskiem akowskim. W grudniu '46 roku było w hotelu sejmowym w Warszawie ogólnopolskie spotkanie młodych literatów. Poznałem tam młodych pisarzy: Broszkiewiczą, Kubiaką, Macha, Bratnego, Zalewskiego, Wirpszę, Borowskiego. Miały miejsce starcia i konflikty. Pamiętam ten wyskok Witka Woroszyńskiego. Ktoś tam mówił o poległych poetach warszawskich, o Bojarskim, Gajcym... Witek wyskoczył z filipiką, że oni pisali o imperium, że „jak powstanie, to z naszej krwi”, a słowo imperium było wtedy niebywałym horrendum, więc że to byli pisarze faszystujący, trzeba się od tego zdystansować. Na to zabrał głos Tadek

Borowski, strasznie impetycznie bronił ich i krzychał: chłopaki umierali na moich rękach! — co było chyba nieprawdą, bo siedział wtedy w obozie. Powiedział jeszcze prorocze zdanie, że „demokracji trzeba patrzeć na palce”... Bardzo mi się wtedy podobał. A jeszcze Witek miał ogromnego pecha, bo jak zląził z trybuny, to mu wypadł z kieszeni pistolet. Niektórzy to zauważyli. Ja nie miałem broni od '45 roku, ale widocznie niektórym dali, bo jechaliśmy samochodem z Łodzi, było to w końcu roku '46, jakimś samochodem z komitetu miejskiego, po drodze do Warszawy byli lasy i to widocznie miało być zabezpieczenie. Na tej sali oczywiście wypadło to fatalnie... Byli tam ludzie starsi od Witka, tak jak ja, Bratny, Zalewski, przeszliśmy przez tę wojnę, byliśmy kombatanтами i żołnierzami, a Wituś przy nas był zielony szczeniak, który się pierwszy raz w życiu do tego pistoletu dorwał. Wyczuwalna była pogarda, z jaką wszyscy spojrzeli na tego szczawika, który łązi z pistoletem, kiedy nie ma wojny... Temu spotkaniu młodych patronował Sokorski, Polewka z Krakowa. Narada była związana między innymi z pismem „Pokolenie”. Bo gdzieś w '46 roku zaczęło wychodzić „Pokolenie”, którego redaktorem był Bratny, odkąd wrócił z obozu i z Francji. Roztaczał koło siebie dużo mitów, że ma „misję polityczną”, że zakłada tygodnik, bo chce wyciągnąć z podziemia tych wszystkich „wstrzymujących się akowców”. W tym też duchu pisał artykuły, wzywające nas do ujawnienia się, do włączenia w nurt historii, działania i tak dalej. Władzy było to bardzo na rękę. A Romuś robił tajemnicze miny, że on jest taki Makjawel. Zawsze był mitomanem na punkcie swojej rzekomej politycznej roli, myślał, że niemal jak Bolesław Piasecki, stworzy armię, wyciągnie ją spod ziemi, i na czele tej armii stanie się jakimś czynnikiem w ówczesnej politycznej grze. Niestety, wiadomo było, że to się nie uda, że wszystko co istniało dotąd, kolejno zostaje ludowej władzy podporządkowane, rządzącej partii. I z pewnością wzrastało niezadowolenie z tej „jego linii”, z pierwszych numerów „Pokolenia”, bo zwołano ową naradę młodych, żeby rozszerzyć i przekształcić istniejący zespół, a właściwie, żeby pismo przejął ZWM. Pamiętam, jak się ukazał pierwszy numer „Pokolenia”. Napisałem wtedy list do Bratnego, dość długi. Stwierdziłem na wstępie, że pozytywnie oceniam pismo, zwracające się do tej łzonej akowskiej młodzieży — było to wtedy, gdy wisiały plakaty o „zapłutym karle reakcji”. Tu nas obrażano, a tu kokietowano... Jednocześnie umieściłem w moim liście krytyczne uwagi, że moim zdaniem próba budowania odrębnej platformy dla „byłych akowców” jest nierealna w kraju, gdzie toczy się rewolucja, gdzie istnieją bardzo wyraźne podziały. W następnym numerze Bratny umieścił

cił tylko ten fragment z mego listu, gdzie go chwaliłem... I rzeczywiście „Pokolenie” przejął ZWM. Redaktorem został ten nie-szczesny Walczak, którego potem wsadzono na wiele lat do więzienia. Ja to wykorzystałem jako wątek tematyczny w którymś swoim opowiadaniu. W czasie okupacji był on aresztowany przez Gestapo, potem wypuszczony, z tym że podobno podpisał jakąś współpracę. W partii uznali, że nie szkodzi, niech udaje, że współpracuje, ale ma robić tajną robotę dla PPR-u. Pomagał jakimś zagrożonym ludziom. Po wojnie, gdy się zaczęły oskarżenia i aresztowania, Spychalskiego i innych — wszyscy byli o tę współpracę oskarżeni — wyszła i jego sprawa. Przyszedł 49 rok, wszyscy się od niego odżegnali, nie miał się na kogo powołać, bo ci, którzy skierowali go do owej współpracy, sami już siedzieli. Powoływanie się na nich, to było pograżanie się dodatkowe. Słyszałem, że to Jerzy Albrecht skierował go tam jako wtyczkę. Miał mu rzekomo gwarantować po wojnie ochronę. Walczak przeszedł ciężkie lata w tym więzieniu. Jego żona, nazywaliśmy ją Sarenką, późniejsza zastępczyni redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych”, Ludkiewicza, też się odżegnała od męża, rozwiodła się, wyszła za mąż za kogo innego. Paskudne rzeczy. Potem Walczak został zrehabilitowany, wyszedł, a oni zostali z ręką w nocniku. Ta Walczakowa była siostrą Świątły. Mnie *nota bene* nie było już wtedy w Polsce, jak nastąpiły te rewelacje Świątły.

Więc tak to wyglądało, że byliśmy na razie „lewym skrzydłem” w tym młodym ruchu literackim. Jurek Piórkowski, czy Witek Zalewski, obnosili się jeszcze z maleńką kotwicą w klapie, święty zakon niezłomnych akowców, a myśmy już troszkę byli traktowani jak ci, co przeszli na lep nowego ustroju. Ale przecież oni wszyscy przeszli wkrótce na te pozycje. Mówię o tych moich kolegach akowcach. I Bratny, i Zalewski, i Stolarek, już nie pamiętam kto, i Borowski, i Konwicki, no, Drewnowski był młodszy.

Poprzez te moje literackie filiacje miałem jednak cały czas kontakt ze środowiskiem akowskim. Uważałem się nadal za akowca i nigdy tego nie ukrywałem. Drukowałem wiersze partyzackie, opowiadania z tamtych lat, wydawało mi się, że to jest mój świat, a fakt, że działałem w ramach systemu, jaki istnieje, to po prostu mój wybór. Wszystko to szło bardzo szybko, bo byłem coraz silniej wciągany. No i teraz przychodzi najtrudniejszy do zdefiniowania okres, ponieważ miałem narastającą świadomość, że wpadłem w coś, co mnie niesie, na co nie mam wielkiego wpływu, a powinienem się oczywiście zachowywać z godnością. Ale jak dzisiaj patrzę na to, co wtedy pisałem, ogarnia mnie zgroza, bo przestałem mówić we własnym imieniu. Przeszedłem na

formę „my”, zacząłem wypisywać bezosobowe slogany, jako poeta w ogóle się skończyłem, albowiem zaczęły to być plakatowe agitki. Wyrażały one raczej poglądy mojej partii niż moje, i to w coraz bardziej uproszczonej formie. Trochę mnie to niepokoiło. Mówiłem sobie, że jestem pokoleniem wojennym, i tą problematyką chcę się zajmować. Niestety, nie zostawiono nam twórczej swobody. Następowaly naciski i kampanie: kampania przeciw rzekomemu „zarażeniu śmiercią”, że trzeba się od tego uwolnić, zając się współczesnością, bo tu, i dziś, dzieją się wielkie wydarzenia. A wy, co, szydzono, dziadkowie z powstania '63 roku? Borowski stał się przykładem negatywnym — to, co on pisze, to jest nihilizm! Jakakolwiek problematyka moralna trąciła wtedy „nihilizmem”... Kończył się ten dobry okres literatury polskiej, literatury rozrachunku z faszyzmem i wojną. A problematyki nie da się tak zmieniać, na rozkaz. Zaczynały się więc impasy twórcze. Bo to, co nam zalecano, nie było przeżyte i doświadczone. Ale słowa „zamówienie społeczne” brzmiały wspaniale. Dosyć też „rozrachunków inteligenckich”... „Kuźnica” się zorientowała, to byli mądrzy ludzie, nie tacy zupełnie ciemni. Zdawali sobie sprawę, że nie chodzi już tylko o pozyskanie inteligencji dla „dnia dzisiejszego”. Że w miarę zawężenia problematyki literackiej następuje zubożenie kulturalne. Zaczęli wtedy lansować „program oświeceniowy”, artykułami Kotta, Ważyka, i innych, jak to złotym wiekiem literatury polskiej było Oświecenie. Nas to nudziło. Zaczęły się polemiki młodych z „Kuźnicą”, poczęli nas uważać za „barbarzyńców”, ale przedtem jako ci „barbarzyńcy” byliśmy użyteczni. Jastrun się na nas wybrzydzał, Hertz występował z pozycji kulturalnej wyższości.

TRZNADEL: — *Byliście już wtedy młodzi gniewni.*

BRAUN: — Tak, bardzo młodzi, i bardzo gniewni. Pamiętam, w '48 roku był taki zjazd w Nieborowie, pierwszy zjazd. Wydawaliśmy tam gazetkę przez kilka dni — Bartelski, który jest kronikarzem, gdzieś to drukował — pisaliśmy satyryczne wierszyki o Hertzu, o Broniewskim, ale więź międzypokoleniowa zaczynała się troszkę rwać. Oni byli pod presją swoich środowisk, jako państwo z inteligencji, my stawaliśmy się materiałem na tych skrajnie „bojowych” janczarów. I wtedy coraz bardziej hołubioną postacią zaczął być Witek Woroszyński. Na niego zaczęto stawiać, dobry publicysta, świetny mówca, dawaj! A z kolei Wituś miał na mnie fatalny wpływ, bo myśmy się zawsze bardzo przyjaźnili, choć wtedy jeszcze nie na zasadzie jakichś głębszych wspólnych doświadczeń. Miał na mnie wpływ także Leszek Kołakowski, Ryś

Herczyński, mój „życiowy” krąg... Oni ulegali modzie udawania „komsomolców”, to się szerzyło. Na prywatnych spotkaniach zaczynały się ruskie piosenki, głosili, że jesteśmy formacją „dzierżyńszczaków”, była to strasznie głupia, drażniąca mnie moda, wydawało mi się to szczeniackie. Byłem już trochę starszy i odpychało mnie to. Owo gadulstwo, że oni są najbardziej „radikalni”. I rzeczywiście byli na tyle radykalni, że od czasu do czasu starsi towarzysze, z „Głosu Ludu”, Werfel czy inni, musieli im dawać po łapach. Zresztą sprawy literackie coraz bardziej łączyły się z politycznymi. Nasze surowe sądy o starszych poetach wynikały z tego, że odczuwaliśmy jakąś odrębność estetyczną, a jednocześnie próbowaliśmy to ubrać we frazeologię polityczną. Nabierało to dosyć koszmarnego brzmienia. Niedostrzegalna w pierwszej chwili „podmiana” języka. Witek rozkochał się wtedy w Majakowskim i zaczął wszystkich do Majakowskiego przymierzać. Że wszelkie formy poetyckie obumarły i skompromitowały się, że nowoczesna jest tylko forma „wiecowa”, owe rytmiczne „schodki”. Zaczął pisać w tej manierze, narzucać to wszystkim i atakować oponentów. Opublikował wielki artykuł *Batalia o Majakowskiego*, strasznie sekciarski z ducha. Został skarcony przez starszych towarzyszy. Nie mógł się z tym pogodzić, napisał jakiś protest, myślał, że można protestować wobec organu partii, ale nie wydrukowali mu tego listu i był strasznie rozgoryczony: jakże to, ja nie mogę dyskutować z moją gazetą? — Było to połączenie naiwności, ale i prostolinijności, wobec całego chytrego, skomplikowanego i coraz bardziej dogmatyzującego się sposobu myślenia ówczesnego partyjnego kierownictwa. Ale mimo takich incydentów linią kierownictwa partyjnego było przemysłne „kupowanie” początkujących. Na przykład festiwal berliński...

TRZNADEL: — *Jechaliśmy w tym samym autobusie...*

BRAUN: — Był pan na tym festiwalu? Pamięta pan, jak to się kończyło? Ta ostentacyjna *Freundschaft*, ta *Volkspolizei* całująca się z nami, wymiana adresów — wszyscy byliśmy z jednego wojska... Moim kolegom jakoś to nie przeszkadzało, bo uważali, że to są nasi niemieccy towarzysze. A ja, do którego strzelali, którego rodzinę mordowali, nie bardzo mogłem się do tego przystosować. Ale jakimże to zaszczytem było, znaleźć się w tej delegacji. Prawdziwy front narodowy, bo tam był i Lichniak, i Micewski, kogo tam nie było?

TRZNADEL: — *Były granice bratania się. Ostrzegano, żeby do Berlina Zachodniego nie chodzić.*

BRAUN: — Myśmy chodzili... Janka Lenicę odesłano karnie do kraju, bo w jakiejś piwiarni dał się rozbroić z czerwonego krata (odwiedzał kolegów — plastyków w Zachodnim Berlinie), to było coś takiego, że powinien zostać rozstrzelany według ruskiej musztry, bo to tak, jakby karabin oddał nieprzyjacielowi. Różne śmieszne rzeczy... Ale wróćmy do literatury. Zaczęła się wzmagać presja na młodych pisarzy, żeby rozstali się ze swoim „rodowodem akowskim” i poczęli opiewać współczesność. No cóż, byłem na tyle odważnym ryzykantem, że próbowałem to robić. Ale była w tym presja i na ów moment pozbawiania nas własnej autentyczności trzeba jednak zwrócić uwagę. Robiono z nas bowiem pisarzy reżimowych, bezosobowych. Mój wiersz na przykład od wiersza Wiktora nie powinien się niczym różnić. Czy też opowiadanie Borowskiego od opowiadania Wygodzkiego.

TRZNADEL: — *I tak zaczęło być.*

BRAUN: — Istotnie. Ja sobie z tego powoli zdawałem sprawę. Ale środowisko moje mi to utrudniało, znajdowałem się wewnątrz, w ciągłym operatywnym działaniu, stale pracowałem w jakiejś gazecie. Pamięta pan, jak połączono „Kuznicę” z „Odrodzeniem” w 1950 roku, ponieważ władze były niezadowolone z tamtych pism. Ja wszedłem do pierwszego zespołu „Nowej Kultury”. Pracowało tam wielu moich kolegów i wyraźnie zdominowaliśmy to pismo. Żeby „kuźnicowcom” zostały wyłamane. Tygodnik „Nowa Kultura” miał teraz pozycję monopolistyczną i obsadzony był młodymi, których można było użyć jako bojowej awangardy dalszych przemian. To już było oczywiście po Szczecinie. Nadchodziły inne czasy.

Ale przedtem były jeszcze ważne rzeczy. Wstrząsem była dla mnie lektura Borowskiego. Uważam do dzisiaj, że stanowił on jakiś przełom w literaturze polskiej, a nawet i nie tylko polskiej. Takie pokazanie obozów, faszyzmu, ukazanie człowieka, jako narzędzia, i że wszystko z nim można zrobić — to korespondowało z moim rozgoryczeniem pod koniec wojny. Tadeusz miał na nas ogromny wpływ. Był utalentowanym i mądrym człowiekiem. Rozmawiałem z nim w długie wieczory i noce, on znał literaturę, której my nie znaliśmy. Lansował w jakimś stopniu literaturę amerykańską, angielską. Bo my tkwiliśmy w izolacji. Ja jestem z pokolenia, dla którego normalny kontakt ze światem przerwał się w '39 roku. Potem był las, las metaforyczny, Warszawa przecież także była lasem. A potem ciągnęła się ta izolacja świadomie robiona. Czytaliśmy zresztą z zaciekawieniem to, co docierało: Vercorsa, Aragona... Z Amerykanów znajomość nasza

literatury dotyczyła raczej utworów przedwojennych, Dreisera, Sinclaira, tak zwanych „realistów krytycznych”. Trochę był znany Hemingway. Wprowadził go Borowski. Oddziaływały na mnie także pewne kontrowersje wokół Borowskiego. W jego obozowych opowiadaniach z tomu *Pożegnanie z Marią* widziałem coś bardzo uczciwego i bezkompromisowego. A to właśnie zostało z miejsca zakwestionowane, nazwane amoralizmem, cynizmem, nihilizmem... Ponieważ Borowski był chyba najwybitniejszym talentem powojennej generacji, jeśli chodzi o prozę — na nim skupiła się owa walka o dusze. Atakowano go zaciekle, stał się jednym z bohaterów negatywnych zjazdu szczecińskiego. Nie byłem zresztą w Szczecinie, nie byłem jeszcze delegatem. Trochę mnie to oczywiście niepokoiło, to pośpieszne proklamowanie „realizmu socjalistycznego”.

Na początku '48 roku Żółkiewski ściągnął mnie do Warszawy, mówię o tym jako o przykładzie błyskawicznej szybkości ówczesnego awansu. Spotkałem Żółkiewskiego na tym seminarium w Nieborowie, znałem go przeciw z „Kuźnicy”, gdzie sporo pisywałem. On został kierownikiem wydziału kultury KC w Warszawie, po odebraniu mu redakcji „Kuźnicy”, i potrzebował u siebie pracowników. Świeżo upieczony student — i już znalazłem się w KC, w rok czy dwa lata po przyjęciu do partii. Wszystko to bardzo demoralizowało. Dałem się namówić na to, gdyż obiecano mi mieszkanie w Warszawie. Mieszkania tego zresztą Żółkiewski mi nie załatwił, pracowałem w KC wszystkiego dwa miesiące. Nie miałem tam nic do roboty, pusty stół, a Żółkiewski latał i załatwiał telefony. Przyjmowała mnie pani Zofia Gomułkowa, która była personalną w dziale kadr KC, mała i czarna, gruba, gadała jakieś brednie i „pouczała” mnie jako młodego pisarza. Szybko się stamtąd wyrwałem. Powstawał jakiś tygodnik wojskowy o nazwie „Razem”, jako pismo organizacji „Służba Polsce”. Poszedłem tam, bo wojsko dawało mieszkanie. Byłem tam sekretarzem redakcji; to mi umożliwiło pobyt w Warszawie. Po zjeździe szczecińskim skończyło się moje oparcie literackie w „Kuźnicy”. Pod koniec swego istnienia „Kuźnica” straciła zresztą swoich hodowanych młodych pisarzy. Byliśmy stale „wygrywani” przeciwko tamtym „starszym”. Stanowiłem oczywiście część pewnej formacji, ale jednak czułem się jakoś osobno.

TRZNADEL: — *Żyrował pan jednak pewne wspólne wystąpienia — na przykład Wiosna sześciolatki.*

BRAUN: — To było nieco później. Muszę tu jednak coś wyjaśnić. Po pierwszym tomie poezji pisywałem raczej dla gazet mło-

dzieżowych i stwierdzić muszę, że tym całym dziennikarskim wychowaniem zatłukli mi moją poetycką wyobraźnię, jeżeli taką miałem. Ale teraz różni ludzie podchodzą do tego niesłuchanie poważnie, gdy myśmy się trochę bawili. Później i nasi inspiratorzy partyjni nam to wypominali. Witek wpadł na pomysł: zrobimy tom reportaży. I ponieważ był opętany Majakovskim, powiedział: tu nie chodzi o poezję, chodzi o wiersze propagandowe, jak w owym oknie ROST-a. Żeby to szło jako hasła. I wtedy jeździliśmy z nim i z Mandalianem po Polsce. Bardzo to było śmieszne jako poznawanie ojczyzny. Oglądaliśmy różne szczegóły i sceny, które dawały do myślenia. To był chyba rok '51. W Nowej Hucie czy w stoczni można było wiele rzeczy zobaczyć od spodu, to się później przydało. Natomiast na gorąco pisaliśmy takie sloganowe wierszyki o przodownikach pracy, bo po to nas wysłano... Trzeba jednak rozróżniać pewne rzeczy. Ja na przykład pisałem świetlicowe piosenki, a złośliwa krytyka zestawia to na równi z moim partyzanckim tomikiem *Szramy*. Jest różnica między robotami użytkowymi i zamierzeniami artystycznymi... Ja o „Maryśce-traktorystce” pisałem dla innych celów...

TRZNADEL: — *Ale młodzi adepci literatury czy uczniowie na prowincji mieli to za model literatury...*

BRAUN: — No tak, ale to aberracyjna „polityka kulturalna” mąciła w głowach. Zacierała hierarchie. To były świadomie robione agitki. Na przykład Jacek Bocheński pisał piosenki o tym, co „zrozumiał” i „wie, że jest jedna sprawa dobra: Zet-eM-Pe...”. Czy to świadczy o jego pułapie pisarskim? Robiło się mnóstwo użytkowych robótek. Mieliśmy rodziny, z czegoś trzeba było żyć. Nie było tak jak dzisiaj, że pisarze systemu mają wille, samochody, i tak dalej. Myśmy nie byli skorumpowani w sensie materialnym, ale z czegoś musieliśmy żyć. Wtedy oczywiście uważałem, że spełniam na różnych poziomach swoje partyjno-dziennikarskie obowiązki. Tu piszę jako literat, a w gazecie umieszczam felieton, który jest gazecie potrzebny.

TRZNADEL: — *A jak pan dzisiaj ocenia tę dyspozycję psychiczną, która panu na takie robótki pozwalała?*

BRAUN: — Czy to było aberracją? Przeżywałem wtedy różne sprzeczności, niepokoje, ale to wszystko działo się przed '56 rokiem! Przed tą generalną rewizją. Oczywiście wiedziałem, że robię rzeczy głupie i nie dające satysfakcji. Nie można zresztą żadnego okresu oceniać na podstawie tego, co wydrukowane.

Druki były wybiórcze, starano się stworzyć pozór, że wszyscy jednakowo myślą, jednakowo piszą. Tymczasem każdy był żywym człowiekiem, o własnym życiorysie i osobowości. Dzisiaj ocena tego wszystkiego jest już dużo prostsza, chodzi jednak o to, żeby pokazać, w jaki sposób dochodziliśmy do tego, co jest dzisiaj. Ja na przykład uważam, że pchał mnie do tej „aktywności” mój określony temperament i pragnienie udziału. Starłem się przy tym, aby to było zawsze jakoś jednoznaczne, bez wygibasów. Zajęło mi to na pewno niepotrzebnie dużo czasu, odbiło się na pisaniu. Tak wyglądały koszty. A nie były to często wybory intelektualne, tylko trochę losowo-życiowe.

Ale nie to było jeszcze najgroźniejsze. Najgroźniejsze były lata 1951-1952. Przed moją Koreą. Nie potrafię nawet tego wszystkiego dobrze wytłumaczyć. Pisałem wtedy teksty, które mnie zdumiewają. Jakieś opętane filipiki antyamerykańskie. Ameryka nic mi nie zrobiła, dlaczego miałem jej tak nienawidzieć?! Wciągnięty zostałem w bezsensowny język propagandy... Wróć jeszcze na chwilę do festiwalu berlińskiego. Wstrząsnął mną, zresztą poza wszystkimi sprawami niemieckimi. Przeraził mnie ten Stalin w górze, ten wiec na stadionie, zamknięcie festiwalu, portret oświetlony reflektorami na czarnym niebie, kropka w kropkę jak malowidła: Matka Boska nad Grunwaldem czy książdz Skorupka, cud pod Rembertowem nad Wisłą. W niemieckim wykonaniu rzecz doskonała...

TRZNADEL: — *Jak za czasów Speera...*

BRAUN: — Zdałem sobie sprawę, że jest to jakiś cyrk. Usiadłem i pomyślałem, że tu się odbywa wielkie przedstawienie, które nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a ma tylko zakryć tę rzeczywistość. Wtedy już były w pełni rozszalałe te aresztowania i procesy. Ja nie miałem nikogo z rodziny uwikłanego bezpośrednio, ale jacyś znajomi, o których wiedziałem, że są to uczciwi ludzie, znajdowali się w tej sytuacji. Słyszałem, że się to dzieje z różnymi ludźmi z mojego dawnego środowiska. Zaczynało się coś analogicznego do procesów moskiewskich. Począłem sobie uświadamiać, iż ta cała zabawa w „polski socjalizm”, owe przyrzeczenia, że „u nas tego nie będzie”, to nieprawda. Sądzę, że podobnie chyba myślał Tadeusz Borowski, kiedy zdarzyła się ta sprawa owego pułkownika, jego znajomego... bodajże Mitkiewicza? — nie pamiętam. To już zostało opisane. I rodził się problem naszego stosunku do tego, co się dzieje. My co prawda sami nie jesteśmy za to odpowiedzialni, ale stwarzamy temu jakieś decorum, pozory „normalizacji”, jak to się dziś mówi, przez

to samo, że jesteśmy, piszemy. Nie piszemy nic o tym, co u nas, tylko atakujemy amerykańskiego prezydenta. Oczywiście, pisać o tym nie było możliwości, ale problem istniał. Atmosfera zaczynała się zagęszczać. I do dziś mam świadomość jakiejś dziury psychicznej, nie potrafię pewnych rzeczy wytłumaczyć. Byłem niesiony jakąś ślepą falą. Przez rutyniarstwo redakcyjne, dziennikarskie schematy. Nie ma tam haniebnych rzeczy, to było po prostu głupie. Tak jak niektóre felietony Borowskiego z tego samego okresu. Były bardzo niemądre, agresywne.

TRZNADEL: — *Ja uważam, że były i haniebne. W zbiorze artykułów Na przedpolu przemawiał stylem faszysty, powiedziałbym, że zachęcał prawie do palenia książek Eliota, Koestlera, Wellsa, Pounda. Muzyka w Herzenburgu zaprzecza w ogóle istnieniu obozów koncentracyjnych w Związku Sowieckim na wzór totalitarny.*

BRAUN: — Bo on miał obsesję lagrów niemieckich.

TRZNADEL: — *Ale Borowski mógł przeczytać różne rzeczy, nawet Czapskiego mógł przeczytać w czasie, gdy był na Zachodzie.*

BRAUN: — Były tak silne urazy antyniemieckie, że wszystko widziano w jedną stronę. Ja nie wiem, czy to było haniebne. Bo to, że ktoś czegoś nie napisał... Haniebne jest to, co ktoś napisał, a nie odwrotnie. Owo opowiadanie Borowskiego było wynikiem takiego trendu, którego symbolem jest ten pomnik żołnierza radzieckiego w Treptow, z dzieckiem na ręku i z tym mieczem karzącym w dłoni. To było to. Ale Borowski pod koniec irytował mnie trochę, że się robi takim Fadiejewem, takim „naczelnym” pisarzem. Stawiano na niego. Namawiano, zaczął pisać powieść o Dzierżyńskim, nigdy jej nie dokończył. Mieli go wysłać do Moskwy na studiowanie materiałów, śmierć sprawę przecięła. To było już niepokojące, owo agresywne, wściekłe jego pisanie. Szukanie wroga za wszelką cenę. Myśmy wszyscy zresztą w jakimś stopniu mieli takie odchylenia, bo wmawiało się, że „walka klasowa się zaostrza”, ale najjaskrawiej wyglądało to u Borowskiego. Byliśmy bardzo wstrząśnięci jego samobójstwem. Panował potem klimat, że samobójstwo, to przestępstwo. Komunista — wykrzykiwał Putrament — towarzysz partyjny, samobójstwo?! — Miała być przyznana nagroda imienia Borowskiego, ale nagroda imienia samobójcy, dezertera?! Ja się potem w Chinach z tym stykałem. W owym zagęszczającym się klimacie, dusznym politycznie, czy my funkcjonowaliśmy właściwie jako pisarze? Bo

nikt nic ambitnego nie pisał... Z drugiej strony warto przypomnieć gwoździu prawdy, że wszystko to razem trwało rok, dwa, trzy — więc nie przesadzajmy. Wyolbrzymia się w tej chwili ten okres. Dla mnie trwało to wszystkiego trzy lata, od '50 do '53 roku. W '53 wyjechałem do Korei. Nie było wiele czasu na dogłębne procesy myślowe. Oczywiście, działo się ze mną coś złego. Miałem świadomość, że zatraciłem swoją osobowość, przestałem pisać we własnym imieniu, własnym językiem, wyrażać własne treści, to mnie przeraziło. Jednocześnie, ulegając namowom, jako akt swoistej odwagi, zacząłem pisać te *Lewanty*. Pojechałem więc na wybrzeże, siedziałem przez parę miesięcy w stoczni, chodziłem tam codziennie, poznawałem tych ludzi, za pan brat, i chciałem napisać powieść produkcyjną. O współzawodnictwie pracy. Oczywiście różne rzeczy tam widziałem i słyszałem. Mimo że był to rok 1950, panował już bardzo duży terror, już ludzie bali się mówić. Jak przyjechał facet z Warszawy i chce coś pisać, zbiera materiały, to bardzo trudno przychodziło coś prawdziwego od tych ludzi usłyszeć. Ale jak się siedzi, to się pewne rzeczy widzi mimo to. Pisałem tę książkę z dużą nieśmiałością, bo był to dla mnie zupełnie nowy temat, nie pochodziłem ze środowiska robotniczego. Dużo w to łądowałem ambicji. Już się zresztą zaczynało mówić o schematyzmie i produkcyjniakach. Więc też nie chciałem dać się złapać w pułapki tego „socializmu”. Był to mój debiut prozatorski. Proszę jednak pamiętać, niezależnie od tego, co to warte, że książka zaczyna się od sceny przesłuchania przodownika na UB i normalnego szantażowania. Scibor robił to później z Wajdą w *Człowieku z marmuru*. Przecież on pisał scenariusz do tego filmu już wtedy, w pięćdziesiątych latach.

TRZNADEL: — *Pana stocznię przypomniła historia w 1970 i 1980 roku...*

BRAUN: — Pisałem tam jednak pewne rzeczy, które były bardzo nie w panującym stylu. Natomiast przyjęcie książki było zaskakujące. Z jednej strony napaść pani Rafałowskiej w „Trybunie Ludu”, że to „antypartyjne”, „antyhumanistyczne” i tak dalej. Z drugiej strony nadano książce duży rozgłos, pierwsze i następne wydanie. Powieść weszła w tryby propagandy. Jest pozycja. Artykuły w „Literaturnej Gazecie” i tak dalej. I pani Motylewa, i przekłady, i w krajach bratnich — to była karta do gry, straszliwy mechanizm. Już nie chcę mówić, ile razy to przedrukowywano, nawet jako kryminał w „Ekspresiu” pod zmienionym tytułem. Byłem przerażony, proces alienacji, coś wymknęło mi

się z rąk. Robiła się ta straszliwa pustka, człowiek sprzedawał duszę diabłu i diabeł dyktuje albo pisze za niego. Taki głupi nie byłem, żeby sobie tego nie uświadamiać. Mam pewną fotografię ze stoczni gdańskiej. Zaproszono mnie tam wśród wielu, wielu, nieskończonych dyskusji i spotkań. Taki był wtedy mechanizm propagandy, z jednej książki można było zrobić wydarzenie ogólnopolskie, radio! — telewizji jeszcze nie było... Biedny autor ugiął się pod ciężarem tego wszystkiego. Miałem więc spotkanie w stoczni gdańskiej z bohaterami książki. Posiadam zdjęcie, które mówi samo za siebie: jest to hala stoczni, kilka tysięcy spędzonych ludzi, zamknięto ich po pracy, na szczytowej ścianie gigantyczne powiększenie okładki tych *Lewantów*, obok tego portret Bieruta i hasło, coś w rodzaju: „Naród ma prawo stawiać wymagania swoim twórcom”... Na tle tego gigantycznego ołtarza ja, maleńki. Jest prezydium, gdzie siedzi przedstawiciel ZMP, partii i rady zakładowej, i ja na tej mównicy, maleńki robaczek. Spoglądałem potem na to zdjęcie i mówiłem sobie: to jest to. Zostałem wzięty w jakieś tryby i jestem niczym. Dostarczyłem tylko czemuś surowca. Na miejscu zresztą ostrzegano mnie jednocześnie: wyprowadzimy pana bocznym wyjściem, bo przyszedł ten Makowski, przodownik, który dopatrzył się w książce siebie samego, w fikcyjnym bohaterze; on pana pobije, umówili się i pana naleją... — Doprowadziło mnie to do zupełnego załamania. Byłem tam wtedy z całym orszakiem, bo kto tam nie pojechał: i cały „Czytelnik”, i pani Kierczyńska, i redaktorzy... To stanowiło dla mnie symbol tego, co oni z nas robili.

TRZNADEL: — *Ale pozwalaliście jednak na to.*

BRAUN: — Do pewnego miejsca. Wracając wtedy z Gdańska, pamiętam, nie spałem całą noc w pociągu i zdałem sobie sprawę, że to nie ma nic wspólnego z literaturą. Zaszedłem na samą krawędź, to nie było moim planem życiowym. Chciałem być pisarzem w granicach jakiejś normalnej cywilizacji. Pragnąłem samostanowienia o sobie, a nie stać się trybikiem w wielkich mechanizmach. Pisałem kiedyś taki wierszyk propagandowy, a tu prezydent Bierut czyta z trybuny któregoś plenum czy zjazdu jego fragment. Ja miałem dwadzieścia parę lat. Tu się cytuje Słowackiego, Broniewskiego, a tu mnie. Dobrze, że mi się w głowie nie przewróciło. Żyją do dzisiaj tacy nieuleczalni faceci. Spotkanie, o którym mówię, było chyba wczesną wiosną '53 roku, bo *Lewanty* wyszły w grudniu '52 roku. Pracowałem jeszcze w „Nowej Kulturze”, ale już skłócony, jak Putrament jako redaktor gdzieś wchodził, to ja wychodziłem... Przeniósłem się więc stam-

tał do „Sztandaru Młodych”. Gdy umarł Stalin, w marcu, to dopiero nastąpił obłęd w tej redakcji, obsadzonej przez te wszystkie Walczakowe-Swiatły i tak dalej... Żałoba narodowa, płakali wszyscy, numer specjalny, siedzieli po nocy, każdy musiał coś napisać, ja też napisałem jakieś epitafium dla gazety, w której pracowałem. Owa śmierć nie była dla mnie żadną stratą, ale obowiązkowo pisał w redakcji każdy. Nie byłem ja właśnie gorszącym przykładem. Oczywiście, nic to nie tłumaczy, ale coś tam wyjaśnia.

To też był dla mnie punkt przesilający, ta histeria. Zupełnie liturgiczny język. Jednocześnie zaczęto przebąkiwać o tych wyrokach śmierci, straconych oficerach... Przeżywałem ciężki kryzys. Zdawałem sobie sprawę, że droga, jaką obrałem, w sensie i literackim, i politycznym, i jako intelektualista, zbliża się do pełnego bankructwa. Jednocześnie sypały się propozycje: weź udział w wyścigu pokoju; pojechał Artur Międzyrzecki z Józefem Henem, a ja z tego zaszczytu zrezygnowałem... Taka nagroda! A to znów: pojedziesz w delegacji pierwszomajowej do Moskwy, zaszczyt! Nigdy zresztą przedtem nie byłem w Związku Radzieckim. Z częścią Polski na wschód od Bugu, jak już mówiłem, nie miałem żadnych emocjonalnych związków. I nagle wyzywa mnie wieczorem Staszewski, żebym przyszedł w nocy do KC. Czy ja bym nie pojechał — pyta — ze szpitalem Czerwonego Krzyża do Korei? Największa tajemnica!! Na wojnę?! A z drugiej strony myśl, że to jednak może być ciekawe. Szlachetna misja, z lekarzami, zapaliłem się. Jednocześnie była to ucieczka od tego wszystkiego, w czym tkwiłem. To, co tu się dzieje, jest jednym kłamstwem. Ta cała polska rewolucja jest nieautentyczna. Ale może rewolucja chińska jest prawdziwa?

Wszystko to odbywało się w dużej tajemnicy. Polska była w ONZ, a ONZ uchwalił sankcje przeciwko północnej Korei, walczyły tam symboliczne wojska ONZ. Nie mogło być wojsk polskich, ale mogła być pomoc humanitarna. Myśmy tam występowali jedynie jako Polski Czerwony Krzyż. Byłem więc tam magazynierem, dźwigałem wory i skrzynie, ale jednocześnie mogłem coś zobaczyć, choć formalnie nie byłem korespondentem. Zresztą wyjechałem wcześniej w delegacji pierwszomajowej do Moskwy, miałem jeszcze okazję zobaczyć w trumnach obok siebie Lenina i Stalina. I stamtąd poleciałem do Pekinu i na Koreę. Zaczęła się dziura, jeśli chodzi o sprawy polskie, bo wróciłem z Chin wiosną '56 roku, czyli po XX zjeździe, na Poznań. W Poznaniu już byłem. Jeszcze jeden dowód na to, że wszędzie muszę być... Przebywałem na Dalekim Wschodzie w sumie trzy lata. Rok w tym szpitalu wojennym i po rozejmie jeszcze trochę w Korei

jako dziennikarz. W 1954 roku spędziłem wakacje w Polsce i dowiedziałem się, że można objąć posadę korespondenta w Chinach. Teraz więc zostałem pracownikiem „Trybuny Ludu”, ale na szczęście na odległość. W '54 od jesieni byłem już w Chinach, na lato zresztą przyjeżdżałem do kraju. A tu już zaczynała się odwilż i przełomy.

Gdy przyjechałem z Korei, znajdowałem się znów w trochę innej pozycji. Wyjechałem w strasznym kacu moralnym. Tam zajęty byłem tamtejszymi sprawami, oglądałem z bunkra i okopu życie tamtych ludzi, w którym nie było miejsca na udawanie. Miałem uczciwą chęć poznania naprawdę tego, co się dzieje, a z drugiej strony znów byłem oderwany. Nie wiedziałem o historii z Bериą, bo to się stało po moim wyjeździe. Nie wiedziałem o aresztowaniu oraz internowaniu Wyszyńskiego! Natomiast bardzo się przejmowałem rewolucją chińską i dziejącymi się tam sprawami. Wtedy jeszcze działały się prawdziwe rzeczy i był to kraj otwarty. Jeździłem cały czas po Chinach. Byłem więc oderwany od sytuacji w kraju. Gdy przyjeżdżałem na urlopy, to co się działo, wydawało mi się odkręcaniem całego nagromadzonego kłamstwa. Kiedy w '56 roku powróciłem do „Nowej Kultury”, mogłem stać się z miejsca naczelnym publicystą, z całkowitym poczuciem, że znów wciągnięty jestem w sprawy polskie...

TRZNADEL: — *A jednak ileż wtedy było jeszcze złudzeń...*

BRAUN: — No, cały październik. Jeżeli chodzi o nas, złudzenie października polegało na tym, że myśmy wierzyli, że to partia przeprowadzi odnowę, „dobre siły w partii”. Byliśmy jeszcze członkami tej partii. Ale wszystko, co pisaliśmy w '56 roku, było w gruncie rzeczy herezją. W końcu Gomułka trzasnął pięścią i wszystko rozpuścił. Ale wtedy, w tych gorących dniach, już nie miałem przykrego poczucia anachronizmu w tym, co robiłem. Gdy teraz czytam swoje teksty z tamtego czasu, to co uderza najsilniej, to nie złudzenia, bo złudzenia były i w '80 roku, tylko dosłowna aktualność tych samych postulatów robotniczych z '56 roku, co i później. To jest przerażające. Taka powtórka, po trzydziestu latach?!...

TRZNADEL: — *Bo władza nam się nie zmieniła.*

BRAUN: — To jest zawstydzające, żeby po trzydziestu latach zabiegać o to samo! W '80 roku przyszło zresztą inne pokolenie z tymi samymi postulatami. Ale wszystko to już było, a nawet zostało zapisane.

TRZNADEL: — *Myślę jednak, że teraz neguje się o wiele więcej, niż myśmy potrafili w okresie października. Doszliśmy teraz do całkowitej negacji tego ustroju.*

BRAUN: — W cieniu tego, co działo się na Węgrzech, chcieliśmy zrobić coś takiego, jak później w Czechosłowacji, socjalizm „z ludzkim obliczem”. Teraz, w Gdańsku, już się nie używało takiego hasła. Oznacza to, że nic się w historii nie powtarza dosłownie, bo aktorzy są inni, mają inną świadomość. Kościół w '56 roku nie odgrywał tak wielkiej roli. Ale weterani uczuleni są na analogie.

TRZNADEL: — *W stalinizmie były gorsze praktyki, ale trzeba powiedzieć, że takich haniebnych ustaw jak dzisiaj nie było.*

BRAUN: — Tak, publicznie nie było takich ustaw. Język, którym mówił pan Berman czy Bierut, „gospodarz dobrotliwy”, nie był językiem, jakim się dzisiaj mówi. Myśmy żyli w kręgu propagandy, a propaganda nie była taka brutalna.

TRZNADEL: — *Gdyby to powiedzieć romantycznie — kańczug ukryty był w kwiatach?*

BRAUN: — Ideologicznych... Ówczesne sprawy docierały bardzo pośrednio do świadomości. Myśmy byli w sytuacji uprzywilejowanej, nie materialnie, ale psychicznie. Zresztą mówiąc o historii, a czterdzieści lat to już historia, trzeba spróbować zdać sobie sprawę, co ludzie wtedy mogli wiedzieć. To rzutuje na ocenę ich postępowania. Więc po wojnie — wróć raz jeszcze — przeżywaliśmy okres zrażenia się do Zachodu. Zachód — mówiąc ludowym językiem — nas sprzedał. O Rosji mieliśmy jakąś tam wiedzę, jeszcze z okresu dwudziestolecia, doszły takie fakty, jak wrzesień '39, Katyń, i później wkraczanie tutaj Armii Czerwonej. Ale mówiło się na ogół, że to przeszłość, takie rzeczy istnieją w historii każdego kraju, ale w tej chwili oni, Rosjanie, są wyzwoliczami Europy. Pamiętamy, że wyzwalając Europę oni mieli komfortową sytuację. To były jednak fakty — otwierali bramy obozów. Te fakty rozgrzeszały jakby ponurą przeszłość. Wszystko więc było ambiwalentne. Dla nas na przykład problemy ziem wschodnich nie były tak ostre, jak dla mieszkańców Wilna czy Lwowa. Jednocześnie myślało się, że ludzie rządzący przed '39 rokiem, w stosunku do których nagromadziło się tyle goryczy, powinni zostać odsunięci. Musi powstać coś innego, oczywiście nie polska republika rad. I jeśli inaczej nie można,

to między Bugiem a Odrą istnieją perspektywy, żeby kraj odżył. To były argumenty, które działały.

TRZNADEL: — *Na takie rozumowanie Mikołajczyk się w końcu z grubsza godził, ale chodziło o to, czy między Bugiem a Odrą będzie jakaś demokracja czy totalny ucisk.*

BRAUN: — Ale to przesunięcie na zachód, z dostępem do morza, było jednocześnie nie do odrzucenia, bo ludzie nie marzyli o księstwie warszawskim. I dopiero gdy zaczęło wychodzić, jak bardzo ten kraj nie jest suwerenny, jak wszystko robi się na wzór tamtejszy, całość zaczęła przedstawiać się w innym świetle.

TRZNADEL: — *Ale w tym pierwszym okresie stress wojenny działał?*

BRAUN: — No tak, wszystkie rewolucje rozwijają się na poczuciu klęski. Rewolucja rosyjska, przewrót niemiecki po pierwszej wojnie światowej. A myśmy przegrali tę wojnę, żerowano na nastrojach rozgoryczenia. Społeczeństwo było moralnie rozbrojone. W Niemczech zaproponowano Hitlera, a Lenin władzę bolszewików. Z analogiami trzeba być ostrożnym, bo nigdy nie są ściśle. Ale tego typu mechanizm socjalno-psychologiczny działał. Choć z drugiej strony mieliśmy świadomość, że na wschodzie zacołana Azja i Mongoły, mimo że Słowacki pisał, iż Bóg prawdę przez Mongoły zsyła, jest to jednak sposób rozumowania trudny do przyjęcia. Rozumowanie heglowskie. Był terror, porachunki z podziemiem, ale niech pan sobie przypomni także wrocławski kongres intelektualistów w '48 roku. Po dziesięciu prawie latach odcięcia od Zachodu. Irena Curie, Aragon, Picasso. A Rosjanie? Erenburg był niebywałem demagogiem.

TRZNADEL: — *Ale na kongres wrocławski Einstein przysłał list, którego na kongresie nie odczytano.*

BRAUN: — Pamiętamy i inne rzeczy. Miałem pośrednio z tym do czynienia. Maryla Wirpszowa była tam tłumaczką. Szokujący był wtedy atak na Malraux. Dla mnie ten pisarz był bożyszczem, wychowałem się na czytanej jeszcze przed wojną *Doli człowieczej*, to był autor pokolenia. Obok Conrada. Ów atak Fadiejewa, czy też kogoś tam, również zwrócił moją uwagę. A więc literatura się nie liczy, tylko aktualna polityczna postawa człowieka? Malraux jest dobry, dopokąd nam służy... Tak więc były tam zgrzyty. Ale te Robesony, Yves Montandy, Aragony, to byli czołowi artyści zachodni... Oni wszyscy jeździli do Moskwy. Kiedyś, w sześć-

dziesiątych latach, byliśmy z Newerlym w Moskwie u Anny Berziny, wdowy po Brunonie Jasieńskim, która wyszła po dwudziestu pięciu latach z obozu, niczym nietknięta komunistka, jaką była przedtem. I oto słyszę tam, że przyjeżdża Elza Triolet, siostra Lili Brik, że to, że tamto... Były te bezpośrednie związki z artystami Zachodu, przesłaniające całość świata. I tylko „świat postępowy” się liczył.

TRZNADEL: — *Montowano taką opinię, ale na Zachodzie zaczynało się już powolne otrzeźwianie. Bertrand Russell w '51 roku pisze jednak wstęp do angielskiego wydania Innego świata Herlinga Grudzińskiego.*

BRAUN: — Ale czy pan wtedy o tym wiedział? Przekonywano, że awangarda kultury i nauki światowej okazała się prorosyjska, uważaliśmy, że cały świat idzie na lewo. A my komplikujemy tylko ten proces. Słyszałem to jeszcze ostatnio w zachodnich Niemczech. Gdy ktoś powiedział, że wszystko jedno, czy faszyzm jest brunatny czy czerwony, spotkał się z protestami: jak to, przecież ci pokonali tamtych! To nie może być to samo! Mit, że Rosjanie są czymś lepszym. Zwyciężył szlachetny i silny!

TRZNADEL: — *Propaganda sowiecka zrobiła bardzo wiele, żeby własne zbrodnie zastonić kurtyną faszyzmu niemieckiego.*

BRAUN: — No tak! Przez ile lat mówiło się wyłącznie o obozach hitlerowskich!

TRZNADEL: — *Chciałbym w związku z tym wszystkim wrócić jeszcze raz do tuż powojennej literatury pana pokolenia, zwłaszcza do Tadeusza Różewicza i zwłaszcza Tadeusza Borowskiego. Ten ostatni to nie tylko literatura, ale i mit waszego pokolenia, i nie tylko waszego. Mówiło się o nich jako o pisarzach, którzy dotknęli dna i pokazali prawdę bezwzględną. Ale tą prawdą u Borowskiego był nie tylko wstrząsający obraz literacki obozu zagłady, ale także wyrażone przekonanie o wątpliwej wartości moralnej kultury tysiącleci, skoro pozwalały na ucisk człowieka i do takiego kresu doprowadziły. W oszalałym wierszu Borowski prosi Boga, aby nad kulturą niemiecką położył napis: Nur für Deutsche! Na tę historiozofię kultury u Borowskiego zwróciła niedawno uwagę także Maria Janion. Więc może mniej to przypadkowe, że po nowelach obozowych pisał Borowski swoje Małe kroniki komunistycznego agitatora. Bezpośrednia materia nowel obozowych Borowskiego jest wstrząsająca, nie ma w sobie nic*

z nihilizmu, jest to przewrotna forma literacka i przewrotna pasja moralna. Natomiast są u Borowskiego pęknięcia w historiozofii i są miejsca, gdzie te pęknięcia można zauważyć. Borowski chciałby przyjąć jakąś odpowiedzialność zbiorową w kulturze, wolałby, żeby była ona tworem klas uciskanych, nie chce jakby przyjąć, że obok zbrodni były rzeczy wspaniałe. On jakby przekreślił tamto wszystko i rzucił się w coś, co miał za zaprzeczenie — w komunizm, uwierzył w heglowsko-marksowską wizję historii, widział się na przełęczu dziejów, skąd zejdziemy w dolinę. Gdy i to zawiodło, nie zostało mu w rękach nic, więc popełnił samobójstwo jakby na całej ludzkiej kulturze. Wobec tego, co mówię, to już mniej ważne, że nowele te nie są równe, materia jest często reporterska i a-konstrukcyjna. Jeśli zaś chodzi o Różewicza, przewiduję spadek jego atrakcyjności, a w tym właśnie jego pierwszych zbiorów poezji: Niepokój i Czerwona rękawiczka. Różewicz zresztą też sugerował, że człowiek tej kultury w ogóle zginął, są to oczywiście sądy poetycko zmetaforyzowane. W tej poezji dużo jest zresztą takiej publicystyki, nie tylko poezji.

BRAUN: — No cóż, zostają teksty, my oczywiście mamy w pamięci także osoby na tle czasu. W tamtym okresie Różewicz robił na mnie duże wrażenie. Jego obsesje. Ale wielka literatura to przecież obsesje. Pisali o tym, co widzieli. Ważne jest to, co pisarz mówi w obrębie swojej tematyki.

TRZNADEL: — *Dla mnie utworem, który zdaje się mieć walor bardziej uniwersalny, są Medaliony Nałkowskiej. Ona nie używa właściwie słowa Niemcy. Mówi, że w pewnych warunkach każdy może się tak zachować. Nie ma anatemy rzuconej na dotychczasową kulturę. Nałkowska nie sugeruje końca człowieka. Zresztą i Medaliony „oswojono”, zrobiono z nich literaturę antyniemiecką.*

BRAUN: — Jeżeli Nałkowska mówi: człowiek człowiekowi zgotował ten los, to Borowski też mówi, że z każdego można zrobić kapo. Oczywiście, to jest wyjaskrawienie. Można na to odpowiedzieć: a ojciec Kolbe? Borowski na to parsknąłby śmiechem. Byłem na kolaudacji pierwszego filmu Wandy Jakubowskiej na ten temat. Wszyscy więźniowie w tym filmie byli w ruchu oporu i tak dalej. Nikt tak się nie pieniał na to, jak Borowski, bo to zaprzeczało temu, co chciał przekazać. Ze z każdego można zrobić zwierzę. Oczywiście, z wyjątkiem świętości. Wtedy zresztą nic się nie mówiło o ojcu Kolbe. Borowski pokazywał, jak wygląda w takich warunkach normalny „porządny” człowiek. Oczywiście, u Nałkowskiej, w opowiadaniu *Przy torze kolejowym* nie ma

nawet mowy o Niemcach, są tylko Polacy. Tak jest i u Szczepańskiego w jego opowiadaniach. Wojna demoralizuje obie strony: oprawcę i ofiarę.

TRZNADEL: — *Ja nie pragnę pomniejszyć znaczenia opowiadań Borowskiego, ale ukazać jakby ich słabą stronę.*

BRAUN: — Wie pan, Borowski to były rzeczy nie do przyjęcia, ale i nie do zapomnienia. Był szalenie kontrowersyjny. Budził oburzenie. Wyka, zamieszczając jego opowiadanie w „Twórczości” opatrzył je dystansującym komentarzem. Do tej formy, porzucenia odautorskiej postawy moralisty i utożsamienia się z niemoralnością, nikt nie był przyzwyczajony. Ludzie przecież uwierzyli, że on był kapo. Stanowiło to zburzenie pewnej bogoojczyńskiej konwencji literatury, do Żeromskiego włącznie. Tam zawsze istniało to współczucie dla człowieka, a tu zaprzeczono temu, oczywiście na prawach przejawskawienia. Ale skoro „byt określa świadomość”, czemu dziwi pana ewolucja Borowskiego ku marksizmowi? Wróć do owego klimatu, w jakim się na owe rzeczy patrzyło. To wszystko osłabiało oczywiście złowieszczą rolę Rosjan w tej nowej rzeczywistości. Literatura szukała wniosków płynących z doświadczenia niemieckiego faszyzmu. W tym kierunku szła ta literatura. Nie było do przeczytania książek o sowieckiej okupacji.

TRZNADEL: — *Były, ale rzeczywiście nie u nas.*

BRAUN: — Tutaj nie istniały. Potem, kiedy terror stalinowski został zaaplikowany w Polsce, nie szokowały mnie nawet te procesy biskupów, nie byłem na to uwrażliwiony — ale jak się zaczęło trącenie bohaterów podziemia? Jak generała „Nila” — Fieldorfa, czy historie z ludźmi, których znaliśmy i ceniliśmy, to znaczy znaliśmy pseudonimy i wiedzieliśmy, kto to jest. Wiadomo było, że chodzi o organizatorów zamachu na Kutscherę, bohaterów z Kedywu, to jest o najlepszych w czasie okupacji. A nam się wmawia, że to są zdrajcy i współpracownicy Gestapo? I oczywiście, znów budziło to niepokój. W tym pierwszym okresie tkwiły we mnie jakby dwie osobowości, pamiętam, że w jakichś wystąpieniach przedstawiałem się jako „członek partii — były akowiec”, co nie należało do tamtego stylu. Ale mnie się wydawało, że to się da połączyć. Bo ja chcę zachować swoją tożsamość, nie urodziłem się w '45 roku, jak Witek Woroszyński, razem z władzą ludową, i nie mogę się wyrzec tego, w czym uczestniczyłem do '45 roku, choć wiem zarazem, że nie można tego kontynuować. I tak to trwało. Jakąż więc ulgę stanowiła dla mnie w '56

roku możliwość powiedzenia tego wszystkiego w okresie swobodnej publicystyki po XX zjeździe. To nie były nawet rewelacje, ale chciałem, aby te stwierdzenia ukazały się w druku. Chciałem przywrócić pojęciom ich autentyczne znaczenie i w ten sposób odzyskać swoją moralną równowagę. Owszem, socjalizm tak, ale nie to, co było. To się zresztą okazało też złudzeniem. Ustrój, jak widać, jest niereformowalny, i może tylko wrócić do poprzedniego etapu. Jest skostniały. Ja myślę, że w umysłach dobrych towarzyszy pokutuje ciągle wizja „rewolucji światowej”. Wszystko zostało przyhamowane, ale rewolucja będzie światowa. Stąd też to widzenie problemów Polski. Polska leży na drodze Związku Radzieckiego do Europy. Ale dlaczego Związek Radziecki ma iść do Europy? Równie dobrze można by powiedzieć, że Związek Radziecki leży na drodze Chińczyków do Europy, czy Francja na drodze Hiszpanii do Europy...

TRZNADEL: — *Jak blisko w tej optyce rosyjskiej od „ludu świata” i „jutro wszystkim my” do „Morgen die ganze Welt...”.*

BRAUN: — Towarzysze są już tacy współcześni, że do tych starych haseł nie będą nawiązywać, ale w głębi duszy tak myślą. Polska leży po drodze do Berlina... Jeśli będzie się źle zachowywać, zostanie zdeptana „jak placuszek” i wymazana z mapy. No przepraszam, czterdziestomilionowy prawie naród ma prawo do suwerennego istnienia niezależnie od tego, czy leży na drodze, czy nie. Droga — to pięknie brzmiało w '45 roku, kiedy szli otwierać obozy... Powie ktoś — lagry rosyjskie były wcześniej niż hitlerowskie, to o tym się nie myślało? Myślało się, tylko że odbyła się wymiana ciężaru gatunkowego. Zresztą ci żołnierze Rosjanie byli witani z kwiatami, no, ja akurat ich nie witałem. A w tej armii byli także ludzie, którzy znali obozy. Sam Rokossowski wyszedł z obozu. Tylko nastąpił ten wspaniały okres od Stalingradu do Berlina, który dał im — jakby to powiedzieć — rehabilitację. Potem okazało się, że i to nieprawda. Ci, co wracali z niewoli, szli z powrotem do obozów, i to tacy, którzy przecież nie mieli wyboru, bo — wiemy o tym — w obozach niemieckich żarli trawę. Stalin postępował z nimi później w sposób tak barbarzyński, że wierzyć się nie chce. Brzydzi mnie oczywiście zdrada, ale jestem gotów zrozumieć nawet własowców. Skąd się oni brali? Była, rzecz jasna, także stara kontra kozacka, jak to opisuje Mackiewicz, która zawsze była przeciw tej bolszewickiej władzy, ale z tysiącami ludzi zwyczajnych można było wszystko zrobić, bo byli oni doprowadzeni do stanu zezwierzęcenia.

TRZNADEL: — *Oni pamiętali też okrucieństwa władzy sowieckiej. Straszne okrucieństwa.*

BRAUN: — Kilka lat temu rozmawiałem w Moskwie z Rosjanami. Gdy ktoś z Polaków powiedział, że u nas jest okupacja, jakiś Rosjanin, były kombatant, wykrzyknął: jak to, myśmy wam niewolę przynieśli?! myśmy was wyzwalać! Oni nie mogą rozstać się z mitem, że nas wyzwolili, i nie mogą zrozumieć, że nas podbili. Byliśmy na drodze do Berlina, wciąż jest ta droga. Teraz z tą samą frazeologią wyzwalamy Afganistan...

Chciałbym teraz jeszcze raz wrócić do mojej partyjności. Uzupełnić tę sprawę. Na początku nie bardzo wiedziałem, na czym to polega. Przed wojną było wiele partii i występowało się do najbliższej człowiekowi ideowo. Więc myślałem sobie: wystąpię, a jak mi się nie będzie podobać, to wystąpię. Nie zdawałem sobie sprawy, że to jednak jest jakiś cyrograf. Zaprzękanie duszy. Kiedy występowałem z partii, musiałem przypomnieć: wstąpiłem dobrowolnie i dobrowolnie występuję, czy to jest jakieś dożywocie? Oczywiście, tkwiła we mnie, przeniesiona także na ten grunt, ta niby-conradowska wierność i dlatego ciągnęło się to aż do '68 roku, kiedy się pokazało, że towarzysze niczym nie różnią się od ONR-owców. Pamiętam mieczyki Chrobrego, „naparzialiśmy się” na ulicach i podwórkach w moim rodzinnym mieście, w gimnazjalnym okresie. Rok '68 stanowił ostatnią kroplę, ale praktycznie byłem już tak zwanym „wściekłym” rewizjonistą od '56 roku. Trzeba było wystąpić wtedy, ale nie lubiłem grupowych zachowań. Niektórzy tak wstępowali: Konwicki, Zalewski, Bratny, na jednym zebraniu... Tylko że wstępując do partii jeszcze nie odczuwałem religijności tego wszystkiego. Dopiero gdy się zaczęła straszna liturgia stalinowska, wówczas pokazało się, że wstąpiłem do zakonu. Liturgia życia partyjnego, samokrytyki, zebrania, podsumowania... Niestety, ten koszmar się za mną snuje — dochodziła jeszcze inteligencka pokrętność, łamanie i upokarzanie ludzi, wchodzenie w życie prywatne, osobiste, małżeńskie — rzeczy przerażające. Najgorszy okres. Nie wiedziałem również pakując się w tę organizację, że będę w nieustannym konflikcie między moimi odczuciami moralnymi, a koniecznością dyscypliny. Aprobowania czegoś, co czyniono rzekomo w moim imieniu. A w gruncie rzeczy wstąpiłem do partii, żeby tego dotknąć własnymi rękami, nie z inteligenckiego poczucia winy, jak to jest w wypadku Pawła Hertza, w jego *Sedanie*, czy w osobistych, nieustających samokrytykach moralnych Kazimierza Brandysa, czy u Andrzejewskiego w okresie *Partii i twórczości pisarza*, upokarzania siebie. Już podkreślałem, że właśnie od tego się

zaczęło. Inteligencja polska odbudowując kraj, nie robiła tego dla Rosjan, jednakże dawała się przez to wciągać w inne struktury, w zależności służbowe, polityczne. I wciągało to do tego stopnia, aż człowiek przestawał być sobą.

TRZNADEL: — *Stale mówimy o inteligencji. A jakie było wtedy spojrzenie na inne warstwy, jak oceniano się to, co ten ustrój dawał robotnikowi i chłopu, co myślało się o postawie tych warstw społecznych?*

BRAUN: — Ta tonacja jest u Dąbrowskiej — *Na wsi wesele czy Siódma jesień*. Ja nie uważałem, iż jestem w getcie. Wychowany byłem w środowisku nędzy, chodziłem do gimnazjum demokratycznego. Tak więc do wojny nie miałem wrażenia, że nie znam swojego społeczeństwa od dołu. W czasie okupacji też nie zdołałem się oderwać, bo siedziałem albo na wsi, wśród chłopów, albo na przedmieściu Warszawy, na Pradze, gdy pracowałem fizycznie jako robotnik. Po wojnie oczywiście zaczynałem wchodzić w układy jakiejś kasty „pretorianów”, nowej hierarchii, ale pełnej świadomości tego nie miałem. Nie czułem się więc obcym w owej stoczni, zaczynałem tylko odkrywać całe to kłamstwo, te narady, ten rytuał, który był w pełni rozkwitu. Mieliśmy zresztą sygnały tego przy okazji wieczorów autorskich. Jeżdżenie w teren było wówczas bardzo popularne, ale zaraz ukazywała się cała sztuczność. My bywaliśmy przywożeni samochodem, a ludzie po pracy zostawali przymknęci, żeby nas wysłuchać. Musiało to trochę niepokoić. Zastanawiałem się też nad podobnymi sprawami, pisząc o tych przodownikach, tych górnikach obwieszonych orderami, z tymi odświeżonymi kitami. To przecież były kukły. Jednocześnie panował terror, zastraszenie, i już nie wiadomo było, co jest prawdziwe, a co udawane.

TRZNADEL: — *Czy Poznań był zaskoczeniem?*

BRAUN: — Poznań był dla mnie ulgą. Pisałem zresztą wtedy na bieżąco felietony. Cóż, robotnicy mieli rację, kiedy sekretarz Kraśko dostał od nich po buzi. A to UB, które broniło się jak lwy, istny Alkahazar, twierdza, bronili się przed swoimi w swoim własnym kraju! Byliśmy tam ze dwa dni. Przyjechał Cyrankiewicz i zaczął mówić o tej ręce, ucinanie ręki i nogi, i tak dalej. Poszedłem na pogrzeb poległych ubowców, słyszałem te wszystkie przemówienia. Cyrankiewicz: wasza krew nie została przelana na darmo!... — Właśnie przelana na darmo! Konflikt między klasą robotniczą i rzekomo jej partią. I tu nagle: dwie strony, skłócone na śmierć i życie.

TRZNADEL: — *I biografie zaczynały się jakby od nowa...*

BRAUN: — No cóż, radziłbym jednak, żeby nikt nie przyjmował stanowiska, że uznaje pewne swoje lata za stracone. Człowiek nie może dopracować się rozumu, jeżeli nie ma doświadczeń. Obserwuję teraz Zbyszka Herberta, który stał się pieśczochem opinii — ukochany — wspaniały — wzór nieskazitelnej postawy, bo on nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Od początku wiedział... Oczywiście, bardzo to jest piękne i bardzo mu to pomogło jako artyście, ale ja kochanego Zbyszka znam i pamiętam. Był on dla mnie trochę dziwadłem, które stało z boku. Interesowały go tylko problemy estetyczne. Ja sobie nie wyobrażam, że mógłbym być takim człowiekiem, ludzie są po prostu różni. Nie powiedziałbym jednak, że taki sposób postępowania, jak Zbyszka, to wspaniałe, a wszystko inne to błędne. Życie jest w ogóle pasmem błędów. Można być mądrym po szkodzie, ale nie przed szkodą. Nie wiadomo zresztą, czy to była szkoda. No, na pewno mnie to zaszkodziło jako pisarzowi. Wyjałowienie, zatracenie swojego stylu, języka i problematyki. Dla mnie bliskie były zawsze problemy egzystencjalno-moralne. Zdawało mi się, że wchodząc w ten nurt postępowy, w to „zaangażowanie”, jestem wierny sobie. Tymczasem okazało się, że to jest zaprzeczenie tego wszystkiego. Wyklinali Conrada, ataki na Malraux, a więc te najważniejsze wartości sztuki. A z kolei te inne, im przeciwstawione, okazały się szybko fałszywe. Wyjazd do Korei to była dla mnie ucieczka, błogosławiłem los — wyjdę z tej rzekomej rewolucji, która nie jest żadną autentyczną rewolucją. Obudziłem się jak u Kafki — jestem przemieniony w robaka! Natomiast w Chinach miałem wrażenie, że coś prawdziwego istnieje, odbywają się masowe, spontaniczne ruchy, wyzwolenie ludzi, płaci się straszne ceny, są akty bohaterstwa, bo wszystko to poszło w masy. Dlatego ciągnęła mnie ta Azja. Zobaczę, co w tym jest prawdziwe, a co nie? Skala ogromna, wchodzi w grę setki milionów ludzi, to jest coś patetycznego.

TRZNADEL: — *Ale i to zawiodło...*

BRAUN: — No, jak zawsze w życiu. Byłem tam mimo wszystko *outsider'em*. Istniały rzeczy prawdziwe i nieprawdziwe. Prawdziwe były przemiany — reforma rolna. Z drugiej strony kwitł ten rytuał marksistowsko-leninowski, ale to było w dużo mniejszym stopniu kierowane, niż u nas. Mao był autentycznym przywódcą, przeprowadził ów legendarny, długi marsz. Tam nie mieli żadnych czołgów radzieckich, to było autentyczne i ostateczne.

Mnie to ratowało, że sprawa, z którą się łączę, nie jest całkowicie zakłamana. A więc bywają tereny autentyczne.

TRZNADEL: — *Malraux pisze jednak w Zdobywcach o udziale w rewolucji chińskiej międzynarodówki komunistycznej. Nie jestem też pewny tego autentyzmu — terror Czeki też odbywał się bez czołgów radzieckich! Wielki terror rewolucji francuskiej też był autentyczny...*

BRAUN: — Był, ale nikt nie powie — nie mówię o przejawach krańcowych — że można to zanegować. Bez rewolucji francuskiej nie byłoby współczesności w ogóle. Całej rewizji Europy. Obudzenia się ludów, narodów. Tu nie jestem konserwatystą. Historia się dzieje, rewolucja francuska była straszna, z gilotynami, ale to się oddaliło, i patrzymy, co z tej rewolucji wynikło. Stany Zjednoczone, cała współczesność.

TRZNADEL: — *Ja bym oddzielał Deklarację Praw Człowieka od Terroru. W podobny sposób, co pan o wielkiej rewolucji francuskiej, wypowiada się Aleksander Zinowiew o kolektywizacji na Ukrainie...*

BRAUN: — Wróćmy do Chin... Przesyłałem korespondencje i proszę sobie wyobrazić, że tu, w redakcji, nie byli ich ciekawi, ich interesowały tylko oficjalne oświadczenia agencyjne. Zająłem się więc reportażem. Miałem szanse objechania tego ogromnego kraju. Moja działalność nie mogła chyba odpowiadać „Trybunie Ludu”. Ale wracając miałem przekonanie, że nie wszystko na świecie jest reżyserią i fikcją, pod tym samym sztandarem, że są prawdziwe rzeczy. Przyjechałem do kraju na sam ferment październikowy. Poznań i październik. Wróciłem do „Nowej Kultury”. Ale ta nowa jedność narodowa w Polsce trwała krótko. Byłem zresztą ostrożnym sceptykiem. Koledzy wpadali w euforię, niepoprawna cecha Polaków. Jak tylko Gomułkę wybrali sekretarzem, zaczęły się deklaracje. Bałwochwalstwo. Witek Woroszyński znów napisał artykuł wstępny: towarzyszu Wiersławie, my z wami, i tak dalej. — My, „wściekli” rewizjoniści, paskudne istoty bezideowe?!... Ja mu mówię: czyś ty oszalał? Ile razy tak można robić? A co będzie jutro? — I w '57 roku została położona łąpa. Racja stanu...

TRZNADEL: — *Jak pan myśli, czy jest możliwe dzisiaj powstanie artystycznego obrazu tamtego czasu, jego tragedii, bo przecież po dziś dzień nie powstał?*

BRAUN: — Oczywiście literatura powinna obrazować losy swojego społeczeństwa, przynajmniej tak to sobie wyobrażano w XIX wieku, jako powinność. Nie wiem, czy współczesna literatura ma też takie zadania i możliwości. Jeśli chodzi jednak o nas, nie bardzo wierzę, żeby to się dało zrobić, w sensie czysto literackim.

TRZNADEL: — *Każda forma byłaby dobra, nawet najbardziej amorficzna, czy refleksyjna. Chodzi o to, że ten dramat przez nikogo nie został oddany.*

BRAUN: — Jako czytelnik też nie jestem usatysfakcjonowany. Może pewne elementy są u Konwickiego. Myślę, że trudno się tego spodziewać od naszego pokolenia, bo nas to brzydzi. Ile razy myślałem bardziej praktycznie, żeby się czymś takim zająć, nasuwała się myśl: jacyś nowi „Obywatele” Brandysa? Chodzi o odtworzenie języka i pojęć, a jednocześnie, żeby im się nie poddać. Trzeba by tę podwójność widzenia zachować. Ciągnęło mnie do tego, ale bałem się, że wrócę z powrotem jak gdyby, oczywiście bardziej świadomie, w te jałowe kategorie, które mi tak wysuszyły mózg. Mógłbym wrócić, jednak pod warunkiem dostrzeżenia zupełnie nowych rzeczy, nigdy tak nie nazwanych. Boję się opisywactwa, albo też będzie to tak luźny materiał, że nie osiągnie rangi dokumentu.

TRZNADEL: — *Ważyk powiedział mi: to jest nieinteresujące.*

BRAUN: — Bo on miał kaca, bo był mocodawcą. Ja takiego kaca nie miałem. Jego opinia i zdanie były wtedy przyjmowane prawie jako decyzje, uruchamiały całą maszynę. Potem oprzytomniał. Pamiętam, w okresie Października bakał coś na organizacji partyjnej, na tak zwanym „otwartym zebraniu”. Siedział tam Żukrowski, który go nienawidził, bo Ważyk go nie cenił: — Ale powiedz, coś ty wtedy robił? — I wtedy Ważyk: — Uważam, że to, co robiłem, jest haniebne, że to jest czarna karta w mojej biografii intelektualisty. — Oczywiście, to było w stylu samokryki. Na to Wojtuś: — Wreszcie to powiedziałeś, wydusiłem to z ciebie. — I potem Ważyk nigdy już nie wystąpił publicznie. A był to człowiek o większym kalibrze literackim, niż młodzi z powojennego pokolenia. Aberracja w takim wypadku jest bardziej kompromitująca. W ogóle Ważyk w tamtym okresie był niesłychanie nieprzyjemny, dogmatyczny, apodyktyczny, złośliwy. Szkodził ludziom, a mógł ludziom szkodzić. To, co my mówiliśmy, nie miało znaczenia. Natomiast to, co powiedział Ważyk, miało

znaczenie, i Bierut czy Berman natychmiast nadawali praktyczny kształt koncepcjom Ważyka, bo oni kochali swoich pisarzy.

Niestety, ileż szkód poczyniono! Gdyby to życie kulturalne mogło się spontanicznie rozwijać, o ileż byłoby bogatsze. A tak albo ludzie byli prześladowani, albo książki prześladowane. Ile nurtów czy propozycji zostało zadeptanych już w początku. „Za-
rażenie śmiercią” — zadeptać, „rewizjonizm popaździernikowy” — zadeptać. A ostatnio to już przy pomocy czołgów.

TRZNADEL: — *A gdyby pan szukał w tej literaturze powojennej takiej zasadniczej cezury, gdzie by pan ją położył?*

BRAUN: — Wszyscy usiłują się włączyć w nurty i tendencje. Polscy pisarze na ogół przynajmniej się do przełomu lat '54-'55, bo to była odwilż, odbywał się wielki ferment. I chyba tak było w dużym stopniu.

TRZNADEL: — *Dla mnie istnieje cezura w roku '55-'56, potem był rok 1968. A teraz mam poczucie, że doświadczenie lat '80-'82 postawiło jakieś ostateczne akcenty. Nastąpiła całkowita kompromitacja systemu, żądanie podstawowej wolności intelektualisty i człowieka, nie ograniczonej racjami. Niby to wszystko wiedziałem, a jednak zaszły jakieś zmiany emocjonalne.*

BRAUN: — Oczywiście, objawiło się nowe społeczeństwo, zmiana generacji. Ja nie widziałem w tym rewelacji intelektualnych. Jak zaczął się strajk, w pertraktacjach w Gdańsku brał udział Lech Bądkowski, mój przyjaciel, to on przehorsował trzeci punkt porozumień, o cenzurze. I robił potem pierwszą „niepodległą” gazetę, to znaczy dwie szpalty nie podlegające cenzurze w „Dzienniku Bałtyckim”. Prosił mnie, żeby pisać, a ja nie bardzo miałem co pisać. Bo jak siadałem i chciałem coś sformułować, dochodziłem do wniosku, że wszystko napisałem w '56 roku. Walczyłem kiedyś o to wszystko, co było postulatem w '80 roku. „Solidarność” nie była objawieniem, choć była to najbardziej zwycięska próba spośród wielu podejmowanych przez wiele lat. Ale przyzwolici ludzie nie narodzili się dopiero w stoczni. Oczywiście społeczeństwo było bierne, połamane, zdziśiatkowane w powstaniu, zgnojone w więzieniach ubeckich, dość dużo jak na jedną generację. Toteż później na ewolucję ludzi, którzy jakoś zaszli w stronę konformizmu, choć dawniej byli sztandarowymi postaciami walki w czasie okupacji, na nich wpłynęli syn albo córka! Ja zresztą byłem bardziej poruszony stanem wojennym niż strajkiem gdańskim! Widocznie bardziej mnie obchodzą rzeczy oburzające niż pocieszające — wyprowadzenie owych czołgów na

ulicę, ta okupacja, ten ogłuchły telefon, godzina milicyjna... Po prostu przypuszczałem, że tego już w moim życiu nie będzie. To zostało przyjęte i oklaskane przez kolegów Żukrowskiego, Przymanowskiego i tak dalej. Rozdano broń aktywowi partyjnemu, stwarzano histerię. Najpierw wmawiano im, że ich będą mordować, i to właśnie miało uzasadniać tę akcję. Później Wasilewski domagał się tolerancji dla partyjnych, dla „inaczej myślących”, kiedy pół inteligencji polskiej siedziało w mamrze czy w obozie. Stan wojenny był wstrząsem nie dlatego zresztą, że miałem jeszcze złudzenia co do tej władzy. Ale że się objawiła ta ogromna sfera owych hodowanych esesmanów, to dziwne ZOMO!? Ja nie wiedziałem, że coś takiego w mojej Polsce istnieje! Podobnie jak w okresie stalinowskim nie miałem wyobrażenia, jakie rzeczy się dzieją, tak samo nie wiedziałem o tych tysiącach gołędziaków, zwolnionych z więzień i gotowych mordować, strzelać, zabijać. Wyobrażałem to sobie raczej nieco inaczej, jako wkroczenie czołgów rosyjskich...

Próbowałem w tej rozmowie odpowiedzieć obszernie na pana pytanie, jak ludzie z mojego pokolenia weszli w tę ideologię. Oczywiście, rzecz się na tym nie kończy, bo ważne jest także, jak wyszli, i że wyszli, a także jak, w jaki sposób tam byli. Martwi mnie to, że byłem w partii dwadzieścia jeden lat, to coś jest, taki okres życia. Bez tego byłbym na pewno kimś innym. Poniosłem straty jako pisarz, co nie jest rzeczą błahą, gdyż pisanie stanowi sens mojego istnienia. Zmarnowane lub odłożone prace, w dodatku przypadające na tak zwany dobry okres, środek życia. Nie wszystko da się nadrobić. Cóż, byłem ciekaw wszystkiego, robiłem to na ogół z własnej woli. Oczywiście, pewne z tych doświadczeń, jak już powiedział Piłsudski, to przebywanie w wychodku i dłużej nie można wytrzymać.

TRZNADEL: — *Powiedział pan bardzo ważną rzecz, mianowicie, że to samo pokolenie, które w to weszło, potrafiło z tego wyjść, i to nie tylko wyjść, ale i przybrać zupełnie inną postawę.*

BRAUN: — — Nie zostaliśmy całkowicie pożarci. Tylko że trwało to za długo, ale takie jest polskie życie. Powinno to mieć inne tempo. To było wschodnie, azjatyckie tempo. Dużo czasu spędziłem w tamtej części świata, dla nich tam czas nie istnieje. W europejskim natomiast rozumieniu — rzeczy oczywiście powinny szybko pękać. U nas wrzód, dojrzały do cięcia, nie pęka jeszcze przez dziesięć lat. Co dziesięć lat występuje kolejne napicie.

TRZNADEL: — *Cóż, liczymy na przyszłe przyspieszenia.*

NIEZROZUMIAŁY I PRZERAŻAJĄCY AMOK

Rozmowa z Janem Józefem Lipskim

(16 września 1985)

TRZNADEL: — *Nie tobie pierwszemu stawiam to pytanie: co spowodowało, że poważny odłam polskiej inteligencji w okresie powojennym, włączając się w odbudowę po wojennych kataklizmach, co było naturalne, od pewnego momentu przyjął także obcą sobie w zasadzie ideologię. Ty należysz do osób, które nie włączyły się radośnie w ideowe budowanie socrealizmu, reprezentowałeś zupełnie inną postawę.*

LIPSKI: — Oczywiście mieszają się tutaj sprawy ogólne z motywacjami osobistymi. Kiedy się to wszystko przemieniło nagle, a przemieniło się, gdyż wkroczyła tutaj armia sowiecka, był moment ulgi, jeśli wziąć pod uwagę, że stopień zagrożenia — rozwałką nazajutrz po łapanie na ulicy — jednak zmienił się. Ta ulga była oczywiście względna, a to dlatego, że zaraz od początku było widać, że poza uwolnieniem od koszmaru hitlerowskiego coś to niosło ze sobą. Tak się akurat złożyło, że jeden z ludzi mieszkających na prowincji, któremu moi rodzice dużo zawdzięczali, od razu stał się ofiarą, na początku tej nowej władzy. Aresztowany przez NKWD zaraz po przejściu frontu, zniknął bez śladu. Był to człowiek, który odgrywał dużą rolę w Łowiczu jako funkcjonariusz Delegatury Rządu. I od razu było widać, że to nic wesołego. A potem, kiedy już znalazłem się w Warszawie, zaczęło się poszukiwanie przyjaciół, kolegów, i narady, co począć dalej. Ja należę do pokolenia akowskiego, konspirowałem jeszcze dwa lata przed Powstaniem, a potem brałem udział w Powstaniu. Więc miałem kolegów, z którymi razem walczyliśmy w Powstaniu, przedtem konspirowaliśmy w ten czy w inny sposób. I w tym

naszym nielicznym środowisku wypracowaliśmy sobie wspólną decyzję. Wyglądała ona w wielkim skrócie tak: po tym wielkim przelewie krwi i po tym strasliwym zniszczeniu właściwie ten naród nie stać już na nic więcej, jak to żeby próbować odbudować swoje życie. W związku z tym nie włączymy się do konspiracji. Nie będziemy też leśnymi ludźmi. Kto ma zawód, ten niech się bierze do pracy, kto dopiero ten zawód ma zdobywać, przez szkołę czy studia, niech to robi, bo trzeba coś odbudować, a w tej chwili — nie ma szans na zrobienie czegoś więcej. Był moment, kiedy ta decyzja wydała się nam fałszywa, a mianowicie kiedy przysłała wiadomość o zamordowaniu Anody, czyli Jana Rodowicza, którego dobrze znałem jeszcze sprzed wojny, stykałem się z nim również w Szarych Szeregach, i po wojnie odnowiłem znajomość.

TRZNADEL: — *Możesz przypomnieć dokładnie, który to rok?*

LIPSKI: — Aresztowanie chyba '48 rok, a zamordowany został chyba w '49 roku. Zamordowany na Koszykowej. Wtedy myśm się tym trochę przerażali. Powiedzieliśmy sobie, że może nasza decyzja była błędna, bo może lepiej zginąć w walce, niż dać się tak zamordować, jak to się stało z Rodowiczem. Ale praktycznie z tego naszego przerażenia nic nie wynikło. Tak że to nasze wspólne postanowienie było dla mnie taką bardzo ważną przesłanką, punktem wyjścia. Jedna rzecz jest dla mnie pewna, że dzisiaj młode pokolenie z wielu rzeczy sobie nie zdaje sprawy, to znaczy, że pewien zapal, ogromna energia, z którą naród przystąpił do odbudowy swojego życia, to nie jest tylko taki obraz propagandowy, który można wyczytać z ówczesnej prasy, ale to było rzeczywiście niezwykle silne i autentyczne, ogarniające cały naród, potężny ruch społeczny. Powodował on, że ludzie się angażowali w te sprawy, częstokroć mimo i wbrew... Ale z biegiem czasu te rzeczy były coraz mniej spontaniczne, coraz mniej własne, coraz bardziej zorganizowane i kierowane. To była niezwykle istotna przesłanka, która wciągała ludzi w nowy system. Bo cudów nie ma — ten, który kieruje, ten kto ma w rękę wszelkie możliwości do tego, by ludzie mogli uczestniczyć w tej odbudowie, jakoś wciąga do współudziału niejednokrotnie i w czym innym. I było widać, że tutaj rzeczy ulegają powolnym zmianom, coraz szybszym w miarę tego, jak rozbijano wszelkie struktury opozycyjne, i podziemne, i legalne. Do tego dołączał się nierzaz po prostu strach, jakieś nastroje pewnego, zrozumiałego nawet oportunizmu, po prostu tego rodzaju, że muszę jakoś żyć i muszę to życie sobie jakoś urządzić. Oportunizm może najmniej obrzydliwy spo-

śród różnych jego typów, ale jednak pewien rodzaj oportunizmu i konformizmu. Oczywiście to wszystko jeszcze nie było tym, co zaczęło się rodzić, szczególnie w młodym pokoleniu, umownie gdzieś w roku '49. Ja akurat nie przebywałem w tych środowiskach, które szybko poszły na udział w tych rzeczach, jak ZWM, tych które już bardzo wcześniej stanowiły tę awangardę komunistyczną. A nawet byłem daleko od tych środowisk. Ale już gdzieś w '49 roku tego rodzaju tendencje szybko i szeroko ogarniają wielu ludzi mojego pokolenia i trochę młodszych, tych jeszcze z pokolenia akowskiego i tych, którzy w czasie wojny byli na konspirację jeszcze trochę za młodzi, czasami tylko otarli się o Szare Szeregi.

TRZNADEL: — *Tak jak moje pokolenie.*

LIPSKI: — Można więc było zauważyć, że nagle zaczyna się szerzyć coś, co ja odbierałem wówczas, i właściwie do dnia dzisiejszego tak odbieram, nie mogę inaczej, bo nie mogę sobie znaleźć żadnych formuł pozwalających to zracjonalizować, odbierałem to jako amok, czy zbiorową chorobę psychiczną. Jakby jakiś wirus zaczął się rozszerzać. Ogromnie emocjonalne zaangażowanie, połączone z objawami bardzo dużego przekonania. Postawa fideistyczna, która głęboko ogarniała środowisko i poszczególnych ludzi. Ja tego nie rozumiałem i właściwie do dzisiejszego dnia zrozumieć nie jestem w stanie, co to było i na czym to polegało.

TRZNADEL: — *Oczywiście wnikać w duszę drugiego człowieka jest niezwykle trudno, ale mamy tu do czynienia i z tekstami, które pokazują konsystencję ideową tego amoku. Ważna jest ta sprawa odbudowy, o której mówiłeś. Ale jest oczywiście różnica między odbudową Gdańska czy Gdyni, to znaczy struktur materialnych, choć może tu stanowić bardziej jedność z dziełem, natomiast odbudowanie, powiedzmy, środowiska naukowego humanistycznego i jego nowa jakość zależały bezpośrednio od ideologii i koncepcji.*

LIPSKI: — Trzeba też pamiętać, że pierwsze lata w kraju po wojnie były latami z jednej strony terroru wobec podziemia i potem również opozycji, to szło w jakiś sposób równolegle, ale i dosyć dużego liberalizmu w dziedzinie kultury. Można powiedzieć, że sam początek, czyli lata '45-46-47 i '48, to były lata, w których pisarz w gruncie rzeczy niewiele musiał „kombinować”, że tak powiem, żeby napisać coś, co chociaż w części miało być jego wyrazem. Raczej te lata były korzystniejsze pod

tym względem, i dla pisarza, i dla uczonego humanisty, dużo korzystniejsze. Naciski zaczęły się później, ale już jak się to zaczęło, to pedał przyciśnięto właściwie od razu ostro i mocno. Są takie momenty, które się utrwalają w pamięci jako przełomowe, chociaż jest to sygnał osobistego przeżycia, nic więcej. Zaczęłam współpracę z „Nowinami Literackimi”, spotkałam tam różnych ludzi i w związku z tym poznałam dość dobrze Edwarda Csato, który był w tej redakcji. Otóż kiedy po zjeździe szczecińskim przyciśnięto także „Nowiny Literackie”, to ja nie bardzo jeszcze wówczas zauważyłam wagę samego zjazdu szczecińskiego. Bo nie bardzo rozumiałem, że może iść za tym taka konsekwencja administracyjno-organizacyjna. Natomiast Csato zauważył to bardziej niż ja i pamiętam taką z nim rozmowę w redakcji, kiedy powiedział: panie Janku, przecież to już mamy Poloniae. — To mną wstrząsnęło, nawet nie spodziewałam się, że Csato tak to może sformułować. Jeżeli to mówi, to znaczy, że ja jeszcze czegoś nie zauważyłam. I zacząłem wtedy trochę intensywniej bać się tego, co nadchodzi. To myślenie konkretnymi przeżyciami wiele tłumaczy. Dam inny przykład, może istotniejszy ze względu na to, co się działo z tym pokoleniem. Mam takiego przyjaciela, ze względu na treść tego, co powiem, nie będę wymieniał jego nazwiska. Jest to człowiek spoza naszego środowiska. Człowiek o dużym kalibrze intelektualnym, dużej jednocześnie intuicji moralnej, co do której zawsze byłem przekonany głęboko, że jest to ktoś, na którego nie tylko postawie, ale i intuicji można w tej dziedzinie polegać. Niejednokrotnie radziłem się go w różnych sprawach życiowych. Otóż on, ze Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, po zjednoczeniu, znalazł się w Związku Młodzieży Polskiej. I po bardzo krótkim czasie zauważyłem, że coś się z nim dzieje niedobrego. Że ta choroba, którą zacząłem obserwować, ten tajemniczy wirus, który powoduje u ludzi amok ideowo-moralny, jego też zaczyna ogarniać, na co patrzyłem z przerażeniem i zresztą zdziwieniem. Pewnego razu doszło między nami do dziwnej rozmowy. Mianowicie próbowałem argumentować, polemizować z nim, hamować go w tym jego ruchu ku nowej postawie. Pewnego razu, w czasie takiej rozmowy, w sposób całkiem naturalny, powiedziałem między innymi słowo Katyń, i usłyszałem rzecz, która mnie zaszokowała. Jurek nie powiedział, że Katyń zrobili Niemcy, co byłoby najprostsze. Powiedział: przecież ja nie mam wątpliwości, kto zrobił Katyń. Oczywiście, że nie żadni hitlerowcy. Ale słuchaj, powiedz mi, co można było zrobić z tymi kilkunastu tysiącami ludzi, z których ogromna większość była i byłaby nadal w przyszłości — wroga wobec tego ustroju, tej idei, tego co trzeba było kiedyś i w Polsce

budować, co z nimi można było więcej zrobić? To była przeszkoda, którą trzeba było usunąć. — Tego ja się nie spodziewałem. W dodatku, jak mówię, byłem zawsze przekonany o jego dużej intuicji moralnej. Niemal że mnie sparaliżowało i nastąpił moment, w którym mógłbym uwierzyć w istnienie Ducha Świętego, bo poczułem, że jedyny sposób, w jaki mogę zareagować, to powiedzieć z jak największym napięciem emocjonalnym, na które mnie będzie stać, właściwie tylko to jedno: Jurku, to tak można, ludziom związanym drutem kolczastym, po kolei strzelać w tył głowy, bezbronnym ludziom, to tak można?! — Jurek wtedy zbladł i powiedział: nie, nie można. — Ja sobie wtedy pomyślałem: jeszcze z nim nie jest tak źle.

TRZNADEL: — *Rodzaj schizofrenii...*

LIPSKI: — Był to dla mnie skrajny przypadek, przykład tego, co się dzieje z ludźmi, których ten amok ogarnia. A to, że on powiedział, że nie można, wcale nie powodowało, że ja byłem pewny, że mi za miesiąc nie powie, że jednak można. To było dla mnie coś niezrozumiałego i przerażającego.

TRZNADEL: — *Pytanie o Katyń dotyczyło historii. Ale przecież jednocześnie ci ludzie godzili się jakoś na to, co robiono na Koszykowej i gdzie indziej...*

LIPSKI: — Jak najbardziej. I przyszedł ten okropny czas. Z tym, że muszę powiedzieć, że tutaj literatura mi trochę pomogła. W moim życiu duchowym w tym okresie kolosalną rolę odegrał *Traktat moralny* Miłosza. *Traktat moralny* był wydrukowany w „Twórczości” dosyć wcześnie, w ’48 roku. To był akurat moment, w którym taka rzecz powinna być napisana i wydrukowana. W chwilę później już nie można by było z tym się zapoznać. *Traktat moralny* zrobił na mnie duże wrażenie, nauczyłem się go na pamięć, a ja się łatwo wierszy nie uczę, mam właśnie taki typ pamięci. Muszę powiedzieć, że mi to służyło, pomagało i stanowiło taki punkt, wokół którego można było dużo dobudowywać, w sensie takiej barykady obronnej wobec tego, co zewsząd naciera.

TRZNADEL: — *Były tego echa także w tym, co później pisałeś, na przykład o egzystencjalizmie, który był w moim rozumieniu taką — przynajmniej na niektórych planach — formacją dywersyjną, podkopywał siły obronne i służył jakoś tamtej ideologii. W Traktacie jest wielka niechęć do egzystencjalizmu.*

LIPSKI: — Tak jest. Tutaj mi też Miłosz pomagał. Teraz niedawno, gdy byłem w Londynie, po śmierci Andrzeja Kijowskiego, miałem audycję o Andrzeju w BBC, po polsku. W tej audycji przypomniałem, jak poznaliśmy się na zjeździe polonistów, który był już zdominowany przez czerwone krawaty i ten styl. Po prostu w nocnym lokalu, przy wódce, gdzie przeważnie byli ci czerwonekrawatowcy, w rozmowie jeden z nas rzucił cytat z Miłosza, a drugi potoczył dalej. Było wiadomo, że ci z czerwonymi krawatami nie uczą się Miłosza na pamięć. To był początek naszej przyjaźni i zaufania, które wtedy mieliśmy do siebie, co nie było łatwe. Jak widać, nie tylko dla mnie ten poemat odegrał jakąś rolę, niezwykle pomocną. I tak przyszły te ciężkie lata. Pod jednym względem mnie dobrze się udawało. Kiedy jeszcze toczył się spór na uniwersytetach, na seminariach, zarówno polonistycznych jak i filozoficznych, kiedy jeszcze nie były to monologi, lecz spory i dialogi — znalazłem się w grupie ludzi, z którymi jakoś wspólnie rozwijaliśmy się intelektualnie. I to był okres naszego wielkiego zafascynowania *Wiener Kreis*'em, Carnapem, a jeszcze bardziej Popperem, ze względu na to, że Popper to nie tylko logika i semantyka, ale jeszcze i pewna myśl społeczna. Tak się złożyło, że o ile na wszystkich uniwersytetach Polski, a nawet przeważnie na uniwersytecie warszawskim, spór i kłótnia toczyły się wówczas między katolikami a marksistami, to tutaj, gdzie my byliśmy, dochodził trzeci czynnik, a nawet powiedziałbym, że umieliśmy niejednokrotnie do tego stopnia zdominować sytuację, że był to spór między neopozytywistami w typie *Wiener Kreis*'u a marksistami. Z tym że nazwiska ludzi były tam bardzo dziwne, ze względu na późniejsze ewolucje, bo krótko mówiąc, moim najbliższym przyjacielem w owym czasie był Janusz Wilhelm. Razem wojowaliśmy z marksistami z pozycji neopozytywizmu wiedeńskiego.

TRZNADEL: — *Ten neopozytywizm był chyba wtedy czymś innym ze względu na znaczenie, niż w pewnych kręgach przed wojną, które od neopozytywizmu zbliżały się do marksizmu?*

LIPSKI: — No, prawdopodobnie tak. Z tym, że ja dzisiaj już tak siebie filozoficznie nie jestem w stanie określić, mimo że dużo we mnie zostało z tego, czego się wówczas nauczyłem. Ale już bym tak lekko się nie określił, że jestem neopozytywistą i to jeszcze w typie *Wiener Kreis*'u. Niemniej jednak muszę stwierdzić, że jak na to, co nadchodziło, to była bardzo dobra odtrutka. Ten minimalizm poznawczy neopozytywizmu powodował, że człowiek jako na wariactwo i na szaleństwo patrzył na te różne nie-

zwykle wygibasy dialektyki marksistowskiej, na te paranoiczne czy schizofreniczne koncepcje, że wszystko z wszystkim się wiąże, że nie obowiązuje zasada wyłączonego środka w logice, i tak dalej... Neopozytywizm był bardzo dobrą odtrutką na ten bałagan w głowie, który tak bardzo ułatwiał ludziom przyjmowanie także innych wariactw i szaleństw, już nie tylko logicznych.

TRZNADEL: — *Zgadza się, dorzuciłbym jednocześnie, biorąc pod uwagę rodzącą się mentalność typu faszystowskiego, i jej zakusy na polskie życie intelektualne w tamtych latach, że Wiener Kreis był atakowany przed wojną w Wiedniu przez faszystów...*

LIPSKI: — No oczywiście. To było nie do przyjęcia i dla komunistów, i dla faszystów. Carnap, którego uwielbialiśmy, zajmował się logiką, semantyką, koncepcjami teoriopoznawczymi, i tak dalej, ale Popper miał również swoją dużą działkę już na pograniczu myśli społecznej. Mieliśmy z Wilhelmem równoległe lektury, z tym że Wilhelm czytał tę samą książkę po angielsku, a ja szukałem wydania niemieckiego, ze względu na lepszą znajomość języka. To było wszystko bardzo dobre. Znalazłem się też w pewnym kręgu towarzyskim, który był oporny na to, co szalało dookoła. A takie oparcie w trudnych momentach jest rzeczą niezwykle ważną, żeby się jakoś nie załamać, nie poddać procesom samoobronnego konformizmu. To nie znaczy, że my byliśmy tak absolutnie czysti, że nie było najmniejszego objawu konformizowania, ale byłoby zupełnie co innego, gdyby nie to, że znaleźliśmy się w jakiejś grupce, a ta grupka, to poza Wilhelmem — Witold Jedlicki, Lech Budrecki, Janusz Szpotański, było też parę osób z kręgu polonistycznego, jak Janusz Stradecki, Krzysztof Zarzecki, Mirka Puchalska, był też taki biolog, ale bardzo wykształcony filozoficznie i wówczas zdecydowany neopozytywista, Bohdan Matuszewski. W tym kręgu wzajemnie się wspieraliśmy, urządzając od czasu do czasu przy alkoholu coś w rodzaju czarnych mszy antystalinowskich, głęboko przekonani, że my jedni jedyjni w całym kraju ogarniętym szaleństwem i głupotą — jesteśmy mądrzy i rozumni. Potem się rozzarowaliśmy, gdy się okazało, że to nie tylko później ludziom otworzyły się oczy, ale że i wtedy więcej było takich trzeźwych osób.

TRZNADEL: — *Bo to były grupy izolowane i często bez kontaktu ze sobą.*

LIPSKI: — Bardzo izolowane. Przede wszystkim był strach z wychodzeniem poza tę wąską grupę, bo to mogło się po prostu

źle skończyć. Nawet te spotkania od czasu do czasu — właściwie był to typ konspiracji. Konspiracji, która nie próbowała żadnej roboty politycznej, była wyłącznie konspiracją towarzysko-intelektualną, ale musiała być konspiracją w owych warunkach. To była wielka rzecz, że udało mi się znaleźć takie środowisko. Potem wiadomo, że losy tych ludzi różnie się potoczyły, ale akurat w tym moim węższym środowisku proces był odwrotny niż ten, który był wówczas procesem historycznym w kraju. To znaczy dwóch moich bliskich przyjaciół zostało w '50 roku wyzuconych z partii i to na tle wyraźnie jakiegoś ich buntu ideowego.

TRZNADEL: — *Ciekawe jest to twoje określenie tamtego wiru, który wciągał ludzi, jako czegoś w rodzaju amoku, a więc także czegoś irracjonalnego. Przypomina mi się nienajświeższy już spór Michnika z Wierzbickim — z końca lat siedemdziesiątych — O gnidach i aniołach. Mam poczucie, że na ten temat, tamtego okresu, będziemy się ciągle tącać z myślami, tyle jest konkretnych wątpliwości. Nie zgadzam się oczywiście z Wierzbickim w jego hurra klasyfikacji, ale ogarniają mnie wątpliwości co do części wywodów Michnika. Nie wiem, czy dzisiaj napisałby to samo...*

LIPSKI: — A i Wierzbicki nie napisałby dziś tak samo!

TRZNADEL: — *Ton wyrozumiałości Michnika jest mi w zasadzie bliski, ale intelektualna ocena postaw ludzi tamtego okresu rysuje mi się nieraz bardziej surowo. Bo przecież nie tylko ratowano jakąś substancję kulturową, odbudowywano życie uniwersytetów, ale głoszone także rzeczy dla humanistyki polskiej destruktcyjne. W czasie zjazdu polonistów w '50 roku, w ramach przygotowań do kongresu nauki, Wyka przyłączył się w jakimś sensie do marksistów, mimo tego, że był bity, a może dlatego, że był bity? Wszak odebrano mu dopiero co „Twórczość”, a zaraz potem Zółkiewski surowo ocenił jego książkę o Norwidzie jako „niemarksistowską”. Chodzi mi o fałę na jakiej to zrobił, a nie o poglądy marksistowskie w ramach jakiegoś pluralizmu postaw. Mówiąc nawiasem, jak przeglądam dziś dzieło Wyki, myślę z żalem, że na tym jakimś przyłączeniu do establishment'u, wiele on stracił. To, co mówię, nie oznacza odsunięcia rzeczy wartościowych dokonanych przez tych samych ludzi. W instytucjach przeważali jednak ci, którzy przyjęli pewien pragmatyzm, często zresztą jako wynik kalkulacji kosztów. Że tak było, świadczy potem podpis Wyki na liście trzydziestu czterech. Tacy zaś ludzie, jak ty i twój przyjaciele ratowali pluralizm humanistyki. Nie zgodzili się jed-*

nocześnie na tę prostą tylko polaryzację: marksizm — katolicyzm. A różnorodność oznacza także demokrację.

LIPSKI: — Warunek podstawowy. W każdym razie rzecz wyglądała w ten sposób, że mogłem patrzeć na to, co się dzieje, niejako immunizowany dzięki tym okolicznościom, o których tutaj mówię. Próbując też oczywiście trochę lawirować ze względów obronnych. Ale nie wyglądało to jeszcze najgorzej. Dostyc istotną rzeczą było dla mnie znalezienie sobie jeszcze innego środowiska. To już było dużo później, w roku 1953. Trafiłem mianowicie do ludzi związanych z Ossowskimi, najpierw to byli ludzie z takiej dalszej otoczki, ale stopniowo wchodziłem coraz bardziej do tego środowiska, bliżej Ossowskich, których w pewnym momencie poznałem. I chociaż moja znajomość z Ossowskimi była późniejsza, ale to było w tym okresie najbardziej moje, do tego najbardziej mogłem się przyznać. Zresztą, mój Boże, nie znając Ossowskich bardzo dobrze ich znałem z tego, po czym poznajemy intelektualistów — po prostu z ich publikacji. Muszę powiedzieć jedną rzecz, dotyczącą tego, co się głównie od strony katolickiej jakoś zaciemnia. Czytałem teraz niedawno *Myśli staroświeckiego Polaka* Wierzbickiego, książkę, z którą się bardzo nie zgadzam i na którą jestem po prostu wściekły. Moim zdaniem daje ona bardzo fałszywy obraz pewnych spraw, o których Wierzbicki chciałby z tak wielką pewnością siebie wyrokować. I uświadomiłem sobie na nowo, bo oczywiście myślałem o tym już dawniej — sytuację tego rodzaju formacji, w jakiej ja się znajdowałem, a mam na myśli również i przede wszystkim Ossowskich, jako symbol tych środowisk, jak i w pewnym momencie liderów intelektualnych pewnego środowiska. Wiem, i nie trzeba mnie przekonywać, że Kościół był wtedy na różne sposoby prześladowany, że celem było zniszczenie Kościoła i w związku z tym również całego dorobku intelektualnego katolicyzmu polskiego, a także organizacyjnego, który między innymi wyraża się w prasie, tygodnikach, miesięcznikach i tak dalej. Ze względu na swoją potęgę był to oczywiście wróg nr 1 dla reżimu, ale jednocześnie ze względu na jego potęgę trzeba się z nim było bardziej liczyć, niż z jakimiś innymi ośrodkami oporu. Natomiast ludzie podobni mnie nigdy nie mieli oparcia we własnej prasie, a jeżeli mieli, to na okresy liczące się tylko na miesiące, chociażby nawet ta prasa miała być cenzuralnie tłamszona i prześladowana. Nie mieli też oparcia we własnych organizacjach. To prawda, zaczęli je mieć katolicy dopiero wtedy, gdy powstawały Kluby Inteligencji Katolickiej, ale i przedtem jednak, w okresie przed ostatecznym dokręceniem śruby stalinizmu, były na uniwersytetach bardzo silne

sodalicje, potem rozwiązane. Natomiast my nigdy czegoś podobnego nie mieliśmy. Nie mieliśmy też tego potężnego zaplecza socjalnego, tych mas za sobą. I dlatego z pewnym uśmieszkiem traktuję czasami te narzekania na tamte prześladowania. Były faktyczne i nigdy ich przecież nie akceptowałem. Ale tym ludziom nie wszystko odebrano, a jeżeli odebrano, to nigdy do końca, bo nawet przerwa w wychodzeniu „Tygodnika Powszechnego” nie była zbyt długa, jeżeli sobie uświadomimy, że „Tygodnik Powszechny” został odebrany po śmierci Stalina, przekazany PAX-owi, a oddany przez Gomułkę. A nie jest tak, żeby poza „Tygodnikiem Powszechnym” niczego nie było. To było bardzo stłamszone przez cenzurę, ale myśmy w ogóle niczego nie mieli i mieć nie mogli.

Wracam więc do związania się z ośrodkiem Ossowskich i pierwszych wtedy prób konspiracji, jeszcze nie politycznej. Ale już konspiracji. W końcu '54 roku powstał taki klub, który bezpieka rozbiła w czasie, kiedy już rozbijanie takich rzeczy nie odbywało się tymi strasznymi metodami jak dwa lata wcześniej. To byli ludzie ze środowisk związanych z Ossowskimi, sami Ossowscy w tym nie uczestniczyli. Uważam — i to jest dla mnie rzecz bardzo istotna i podstawowa: że za łatwo się mówi, że inteligencja polska to, inteligencja polska tamto... Po pierwsze, trzeba pamiętać o tej inteligencji, która była katolicka, czasami była to inteligencja katolicko-endecka, a czasami katolicka i wcale nie endecka. Były to zawsze dosyć silne środowiska z wieloma wybitnymi indywidualnościami, z wieloma ludźmi o dużym kalibrze intelektualnym, i nigdy nie było tak, że absolutnie do zera pozbawione wszelkich możliwości ekspresji. Nawet w najgorszym czasie. Chociaż był moment, kiedy prawie się już to stało. Ale nigdy absolutnie do samego końca. I była również taka inteligencja, zdecydowanie lewicowa, która była antytotitarna, i w związku z tym także antystalinowska, w rodzaju Ossowskich, ale tutaj tych nazwisk mógłbym wymienić bardzo wiele. Przeważnie byli to ludzie, których poznałem później. Ale niektórych z tych ludzi, którzy wywarli na mnie wpływ, poznałem wcześniej, jak Antoniego Bolesława Dobrowolskiego, tego uczonego od spraw „podbiegunowych”, „podbieguniarza”, który nigdy nie był prostalinowski, miał wielkie zainteresowania oświatowe i wydał wiele rzeczy dotyczących tej problematyki, organizacji szkolnictwa wyższego.

TRZNADEL: — *Czy to były resztki przedwojennych formacji zbliżonych do PPS?*

LIPSKI: — Tak, tylko że z tymi ludźmi zetknąłem się później.

Już po październiku. W rodzaju Ludwika Cohna, Jana Wolskiego, który był bardziej Abramowszczykiem niż socjaldemokratą. Od momentu kiedy politycznie zacząłem się kształtować, miałem właściwie orientację socjaldemokratyczną, natomiast bardzo mało znałem ludzi z tego kręgu, aż do '56 roku. Z tego kręgu radykalnej inteligencji, pod wpływami PPS, to był przedtem tylko Antoni Bolesław Dobrowolski, ale wywarł na mnie duży wpływ. Poznałem go jeszcze przed maturą.

TRZNADEL: — *Po raz drugi wracam do problemu amoku. Nie traktuję tej nazwy jako eleganckiego uniku w stosunku do nas, nim ogarniętych. Ale jak traktowałeś wtedy emocjonalnie tych ludzi, którzy robili swoje, czasem nawet z pianą na ustach? Przejrzałem niedawno ostatnią publicystykę Borowskiego. Ten fanatyzm stylu i argumentacji kojarzy mi się z najgorszymi wzorami. Jak to oceniałeś i oceniasz?*

LIPSKI: — W ocenie zawsze pozostawał pewien margines wątpliwości, gdzie się zaczyna szaleństwo, problem dla psychiatry, szaleństwo zbiorowe, a gdzie jest oportunizm, czy jeszcze coś gorszego niż oportunizm. Zawsze był ten margines wątpliwości, ponieważ z ludźmi z mojego pokolenia stykałem się. Chociaż im bardziej oni byli tym amokiem ogarnięci, tym bardziej starałem się ograniczać te zetknięcia. Ale ponieważ zdarzali się tam i ludzie mi bliscy, więc tak zupełnie się tego nie unikało. W rezultacie tych ludzi lepiej się znało. I łatwiej było przeprowadzić granicę: że to może ma motywy oportunistyczne, ale to z kolei jest prawdziwym szaleństwem. Ponieważ ludzi starszych wówczas albo nie znałem zupełnie, albo znałem ich minimalnie i powierzchownie, z takich kontaktów, w których niewiele się człowieka poznaje — to rezultat był taki, że im przypisywałem chętniej mechanizmy oportunistyczne. I trudno mi powiedzieć z całą pewnością, czy było tu pod tym względem jakieś różnicowanie pokoleniowe. Wówczas widziałem różnice. Teraz mi się wydaje, że te procesy przebiegały bardziej podobnie. Że nie było aż takich różnic, jak mi się wtedy wydawało i jak odczuwałem.

TRZNADEL: — *Ale czy szaleństwo jest ekskuzą? Ja dopiero nie tak dawno zacząłem myśleć konkretnie o tragedii niemieckiej, faszystowskiej, która była u nas skryta za jakąś fasadą jednorodną, nie dającą się w ogóle analizować — jako o tragedii konkretnych ludzi. Nie używam słowa tragedia w stosunku do przywódców czy morderców. Więc teraz coraz bardziej myślę o tamtych*

Niemcach jako o konkretnych ludziach, którzy dostali się w jakiś młyn ideowy i zostali zmieleni. Widzę tu dużo analogii.

LIPSKI: — Jest kolosalnie dużo analogii, począwszy od samych mechanizmów, a także w tym, że zbrodnie, które trzeba było u nas akceptować, były w gruncie rzeczy niemniejsze, i trzeba było robić wielką gimnastykę z zamykaniem jednocześnie oczu i uszu. Myślenie kategoriami tych istotnych podobieństw istniało zawsze, jeszcze w okresie międzywojennym, już wtedy zauważono te istotne podobieństwa, ale upowszechniała się ta wiedza bardzo późno, zdecydowanie za późno w stosunku do tego, co się działo, faktycznie. Ja akurat należałem do tych, którzy bardzo wcześniej mieli tę świadomość, że jest taka formacja totalitarna, którą stać zarówno na wzbudzanie amoków zbiorowych, jak i na związane z tym zbrodnie, zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i potworne statystycznie. Dziś świadomość ta upowszechniła się, tak że doszło do tego, że nietrudno mi znaleźć ludzi myślących tymi samymi kategoriami — od młodego robotnika do starego profesora. Ale — powtarzam — stało się to nie tak od razu.

TRZNADEL: — *W powszechniejszym wymiarze jest to pewnie rzecz świadomości jakichś ostatnich dziesięciu lat. Przeszkadzało temu chyba promienny i chwalebny mit lewicy, nie podlegający weryfikacjom.*

LIPSKI: — To się zmieniło kolosalnie, natomiast w tym okresie, o którym mówimy, to było jeszcze niezwykle rzadkie.

TRZNADEL: — *Myślę, że środowisko, w którym byłeś i o którym mówisz, nie potrzebowało produkować pewnych fałszujących rzeczywistość odruchów obronnych. Mówiłem o Borowskim. Czy nie było tak, jeśli to ująć w kategoriach jakiejś psychologii obronnej: im bardziej byłem skreślony i przerażony, tym bardziej starałem się, żeby mój akces był głośniejszy, pełniejszy, bardziej szalony, aby zagłuszyć to, co we mnie powstawało jako wątpliwość.*

LIPSKI: — Tego diabła „reakcji” człowiek czuł w sobie i wtedy był problem nie tylko taki, jak go zdusić na własny użytek, ale i taki, aby inni, broń Boże, tego diabła nie zobaczyli, jak mi wychodzi z oczu, ust, gestów...

TRZNADEL: — *Ale czy ten amok nie tłumaczył się także pew-*

nego typu sofistycznym potraktowaniem tradycji, w której ci ludzie wyrosli, były jakieś szczudła?

LIPSKI: — Tak, co więcej, te szczudła zawsze były bardzo kula-we. To było najgorsze. Z bardzo wielu powodów. Tradycja intelektualna, to także tradycja pewnego myślenia historycznego o nurtach politycznych. Wiemy na przykład, że komunizm polski jest do dzisiejszego dnia ruchem bez historii, bo niesposób na-prawdę pokazać, co to było, jak to było, przez jakie perypetie ideowe i polityczne to przechodziło. I to już samo powodowało, że wszystko wisiało w powietrzu. Był przecież taki dziwny czas, kiedy było wiadomo, że KPP jest dobra, a wszyscy jej ludzie coś znaczący byli ludźmi bardzo złymi. Wszyscy. Dosłownie. Osta-tecznie kapecowiec Gomułka czy kapecowiec Bierut, jaką oni rolę w tej partii odgrywali przed wojną? Natomiast wszyscy Warscy, Leńscy, Kostrzewy i różni Domscy...

TRZNADEL: — *Zostali zniszczeni...*

LIPSKI: — Tak, fizycznie. Już to powodowało, że to wszystko było zawieszone w jakiejś dziwnej próżni. Można było próbować wyciągać z tradycji pepesowskiej to i owo, powiedzmy, Barlicki, Dubois byli przy różnych okazjach wspominani, tak że ktoś mógłby sobie pomyśleć, że to właśnie byli ci dobrzy towarzysze komuniści, ale to wszystko nie wystarczało. Oczywiście, wstecz można było mówić o Proletariacie, ale wyłącznie na tym za dużo zbudować się nie da. Tym bardziej, że w gruncie rzeczy nie było takiej zbyt daleko idącej akceptacji. Jak się brało XIX-wieczne ruchy tendencji rewolucyjnej w Polsce, to też się okazywało, że każdy z nich zawiera coś, co jest w sobie podejrzane.

TRZNADEL: — *Ale w takim razie wracamy do tego, od czego zacząłeś, bo przecież w Traktacie moralnym jest kilka zdań o mętliku umysłowym, o chaosie...*

LIPSKI: — *(cytuje)*

I w garnek tom encyklopedii
Kładą: że niby będą jedli.

TRZNADEL: — *...i można powiedzieć, że ruchy totalitarne z jednej strony zerują na chaosie myślowym, który powstał, a z drugiej — ten chaos starają się wytworzyć i spotęgować.*

LIPSKI: — No, tego jestem zupełnie pewien. W szkole po-rządne myślenie nie może się wytworzyć atmosfera, a tym bar-

dziej podstawa intelektualna, akceptacji na przykład podobnego amoku, o którym mówimy.

TRZNADEL: — *Pod warunkiem oczywiście, że to co nazywamy szkołą porządnego myślenia, jest po prostu porządnym myśleniem w tradycji europejskiej, którą przyjmujemy.*

LIPSKI: — To oczywiste, że inna jest funkcja różnych niebezpieczeństw, kiedy na uniwersytecie uczy się porządnie ludzi, oni stykają się wtedy, mają przynajmniej szansę zetknięcia się ze szczytowymi objawami myśli, jakichś procesów i pomysłów intelektualnych. Myślę, że z tego punktu widzenia, dla ludzi systemu, którzy coś tam rozumieli i próbowali różnych manipulacji — taki Ajdukiewicz, to musiała być rzecz straszna, przerażająca. Problem polegał na tym, że jeżeli ktoś wejdzie w ten pogłębiony proces myślenia, to ten człowiek jest już, wcześniej czy później, stracony dla nowej ideologii. Oczywiście w wymiarze masowym, propagandy masowej, dzienników, problem Ajdukiewicza nie istnieje, ale już na uniwersytecie musi się pojawić. I chociaż stykałem się z tą rzetelną myślą humanistyczną akurat nie przez uniwersytet, to przecież i na uniwersytecie uczestniczyłem dużo w tym, co się działo na filozofii, nie tylko na polonistyce. Tak było do momentu, kiedy zaczęto ograniczać seminaria starej profesury, a nawet zaczęto w ogóle zakazywać im wykładów i wyrzucać ich z katedr. Ale właściwie poza uniwersytetem też można było zapoznawać się z Ajdukiewiczem, czy z dorobkiem szkoły lwowsko-warszawskiej, z tego rodzaju rzeczami. A przy wszystkich niedostatkach była to na pewno szkoła dobrego myślenia.

TRZNADEL: — *Tylko że nie dla wszystkich to było możliwe, i na tym polega także dzisiejsza groźba, że może się coś stać z uniwersytetami. Dla pewnych ludzi nie będzie to oznaczać odcięcia od wiedzy i niefaktycznych lektur. Ale dla masy studenckiej początek lat pięćdziesiątych oznaczał faktycznie odcięcie od pogłębionej i prawdziwej wiedzy. Często brak było nawet świadomości fałszu i splotenia. A pośród tej nocy stalinowskiej, jaką mieliście perspektywę emocjonalną i nadzieję?*

LIPSKI: — Prawdę mówiąc, było to poczucie daleko idącej beznadziejności. Przez bardzo długi czas nie było ani najmniejszej szansy, że w dającym się przewidzieć czasie może to ulec jakimś zmianom. Szok, który powstał po tym okresie, polegał nie tylko na tym, że wierzącym w nowy ustrój nagle i drastycznie odebrano wiarę, ale było i tak, że ci którzy nie mieli żadnych

nadziei, zobaczyli, że jakąś nadzieję mieć można. To też był kolosalny szok. Do śmierci Stalina, i jeszcze długi czas po jego śmierci — właściwie nie przypominam sobie, żebym miał jakąkolwiek nadzieję, na cokolwiek, poza liczeniem na to, że sytuacja prywatna, którą człowiek sobie stworzył, będzie jakoś stabilna, poczynając od życia rodzinnego, poprzez możliwość korzystania z bibliotek, tkwienia w nielicznym środowisku, które mi odpowiadało. Potem, na szczęście, to się zaczęło od pewnego momentu zmieniać.

TRZNADEL: — *Czy sądzisz, że dokonana się ocena intelektualna tamiego okresu, choćby tylko w stosunku do kultury, do literatury? Myślę także o konsekwencjach przewartościowań w stosunku do lat późniejszych, co w ślad za taką oceną idzie.*

LIPSKI: — Te rzeczy zawsze mają to do siebie, że są w nieustannym ruchu, ale myślę, że przynajmniej pewien zarys został stworzony. Są próby, które uważam za potrzebne i cenne. Takich rzeczy jest już trochę, lepszych, gorszych, czasami na poziomie bliskim felietonu, jak książka Tyrmanda. Jest to książka bardzo utalentowanego felietonisty, ale to wszystko już stworzyło jakiś zarys. Nie znaczy to, aby można było się cieszyć z tego, co zostało zrobione, to jest za mało. Ale póki pokolenie, które było samo przedmiotem tych procesów, póki ono istnieje, jest pewna szansa, bo tylko oni mogą dać pełne kompetentne świadectwo temu, co było. Natomiast dla jakiegoś analitycznego drażnienia, próby rozłożenia tych spraw na czynniki pierwsze, by złożyć wreszcie syntezę — do takiego celu pokolenie to mało się nadaje. Własne ich uwikłania są chyba powodem, że trudno im jest przez to przeskoczyć. Oczywiście, są różni ludzie i procesy myślowe przebiegają w różny sposób, obserwuję to trochę także z perspektywy naszego IBL. I to przez wiele lat. Osoba, którą bardzo cenię ze względu na jej poziom intelektualny, walory myślowe dużej klasy, pani Janion — w ogóle lepiej, żeby się tych rzeczy nie tykała. Dlatego, że — może to są jakieś względy osobowościowe, sprawa jakiegoś narcyzmu intelektualnego — ona nigdy przez to nie przeskoczy, nigdy nie zrozumie, nigdy nawet nie podejdzie na odległość taką, żeby warto ją było do tego namawiać. Natomiast mogłoby to być bardzo cenne, gdyby napisał taką książkę Roman Zimand, który był w owych czasach postacią, budzącą we mnie grozę, jest to jeden z nielicznych ludzi, którzy wtedy poszli na sto procent i ogarnęło ich to w stu procentach, i który jednocześnie umie na to patrzeć, nie mówię już, że z przyzwoitością osobistą, która towarzyszy samoocenie, a na co trudno się zdo-

być, ale dochodzi tu także sprawność intelektualna, którą ja u Romana cenię. Więc na przykład ten człowiek może by to umiał zrobić, Janionówna by nie umiała, i to są na tle Instytutu dla mnie dwa takie bieguny sytuacyjne. Ale na ogół rola ludzi, którzy przez to przechodzili, polega na daniu świadectwa. Natomiast nie wierzę, żeby dali tę analityczno-syntetyczną ocenę.

TRZNADEL: — *Ale dać prawdziwe świadectwo to też jest bardzo dużo. Kiedy mówiłeś o Instytucie, myślałem jeszcze o jednym z bohaterów sprawczych tamtych lat, o Stefanie Żółkiewskim. Przy wszystkich ewolucjach, które każdy człowiek przechodzi, kiedy czytałem jego zeszytowany wywiad w krakowskim „Zdaniu” nie widziałem tam żadnych głębokich przemian intelektualnych czy zdolności do przewartościowania.*

LIPSKI: — Bo z Żółkiewskim jest tak, że jemu przeszkadza jedna rzecz, niezależnie od tego, co zawsze ludziom przeszkadza: ocenić epokę, okres, to co się działo, to jest ocenić samego siebie, i to nie jest łatwo. Ale jemu przeszkadza coś jeszcze: gdyby w '68 roku, kiedy on sobie pozwolił na bardzo dużo, na drastyczne stawianie sprawy i nawet drastyczne słowa, które rzucał publicznie — gdyby wtedy potraktowano go z całą bezwzględnością, na którą ten reżim jest stać, to wtedy mielibyśmy jakąś szansę, że ten jego intelekt mógłby się uruchomić w tym kierunku. Ponieważ go tak nie potraktowano, w związku z tym on jest ciągle uwikłany w pewne sytuacje taktyczne, związane nawet z pewnym poczuciem odpowiedzialności za coś, co sam robił, a mam na myśli nie jego pracę na rzecz stalinizmu, tylko budowanie instytutu i pewnego typu pracy polonistycznej. Takie poczucie odpowiedzialności jest zresztą rzeczą, którą należy uszanować. Ale to uwikłanie w takie poczucie odpowiedzialności, i w związku z tym w grę taktyczną, której jak się człowiek nauczył, to już nie będzie jej prowadził inaczej niż dotychczas, powoduje — i nie ma już na to rady — że on jest zupełnie intelektualnie nieprzydatny do tego celu.

TRZNADEL: — *Ale w ten sposób wracamy do artykułu Michnika, o którym mówiłem na początku, a który podkreślał zastręgi pewnej pracy organicznej, czy pracy nad strukturami humanistyki. Otóż od pewnego momentu wadliwa postawa intelektualna zaczyna już szkodzić.*

LIPSKI: — Zdecydowanie tak.

TRZNADEL: — *Wtedy już się nie ratuje, raczej burzy.*

LIPSKI: — Mówimy o perspektywie intelektualnego ujęcia tego, co ujęte być powinno. Bo skądinąd wydaje mi się, że można mówić o tym, że pracuje się dla zachowania jakichś struktur, ratuje się jakieś struktury, w jakiś sposób to może być zrobione, w inny sposób nie mogłoby być zrobione, to również są funkcje, które należy poważnie traktować. Natomiast, prawdę mówiąc, taki intelektualista, który by miał ambicję ujęcia tego w jakąś syntezę intelektualną, powinien być człowiekiem, który absolutnie powiada sobie: żadnych już styków z systemem władzy, rządzenia i tak dalej.

TRZNADEL: — *A cóż jest powinnością intelektualisty tak jak ja ją rozumiem, przede wszystkim prawda, gdyż inaczej staje się on i niepewnym intelektualistą, i politykiem dość wątpliwym. Przypomina mi się coś: kiedy wróciłem z Paryża w roku '70, wyjawiałem pewne swoje zbuntowane myśli. Rozmawiałem też z Żółkiewskim. I kiedy postulowałem jakiś rozrachunek bezkompromisowy, Żółkiewski powiedział mi: ale to przecież wszystko się rozleci! On zresztą tego swojego stanowiska sprzed piętnastu lat nie zmienił.*

LIPSKI: — Wiesz, to było dla mnie bardzo negatywne przeżycie — rozczarowanie Andrzejem Walickim. Andrzej Walicki miał pewną swoją działkę, grządkę, na której mu zależało i traktował ją jako rodzaj posłannictwa. Z tym, że jednocześnie był stale zainteresowany sprawami, o których mówiliśmy. I Andrzej miał pewne szanse — mimo określonych mankamentów swojej umysłowości, które powodują, że nie stać by go było na powiedzenie czegoś, co by na pewien czas było ostatnim słowem, bo oczywiście nigdy nie ma ostatniego słowa. Ale byłoby go stać na bardzo dużo w tej dziedzinie. Myślę o jego książce na tle korespondencji z Miłoszem w wersji z '81 roku. Są to problemy tak skomplikowane, a Andrzej jest człowiekiem tak kompetentnym do oświetlenia ich strony filozoficznej. Uważałem, że tam jest próba — nie powiem, że bardzo mnie zadowalająca — ale w każdym razie poważna i godna szacunku. Tymczasem tak się głupio złożyło, że jak znalazł się na Zachodzie, to będąc już tam, uwikłał się przez swoje publikacje, niezwykle zresztą niemądre, tak się uwikłał, że wszelkie szanse, moim zdaniem, stracił nieodwołalnie. To jest dla mnie bardzo dziwaczne — stracił wówczas, gdy zdobył pełną szansę wywikłania się.

TRZNADEL: — *Swojego diabła wywozi się ze sobą w walizce. Na twój sąd o Spotkaniach z Miłoszem zgodziłbym się może w*

roku '81. Ale teraz, niezależnie od wcześniejszych publikacji politycznych i „memoriałów” Walickiego, także po uważnej lekturze tej książki uważam, że zapowiedzi tego uwikłania były dużo wcześniejsze, ale oczywiście nie musiało to doprowadzić do tych żałosnych i budzących we mnie grozę rezultatów — w Posłowie do tej książki, datowanym 1984, oraz w artykule z „Aneksu” 85, datowanym 1983. Powiedziałem sobie, że gdyby z tej jego postawy wyciągać wnioski działające wstecz wobec polskiej literatury i kultury w XIX wieku — to nie należałoby zakładać nawet towarzysztwa Filomatów. Ale to osobny temat.

Czy sądzisz, że docieramy do końca tej rozmowy?

LIPSKI: — Tak. Ja zawsze wiedziałem, jeśli chodzi o mnie, no, może jak byłem bardzo młody, to nie wiedziałem, że mnie się nie uda w życiu być na pewno Kantem, ani nie uda mi się być Abramowskim czy Ossowskim, to znaczy, że pewien typ intuicji intelektualnej, który by mi pozwolił na możliwość stworzenia jakiejś podobnej syntezy, nie jest mi dany, że tak powiem. Stąd i w ocenie okresu stalinowskiego nie jestem w stanie, i pewnie nigdy nie będę w stanie, wyjść poza to, co jest perspektywą po prostu bardzo przeżyciową. Wyobrażam sobie, że jeżeli tych wspomnień przekazałbym więcej, jakąś pełnię obrazu, to ten aspekt też może być potrzebny, ale to nie jest to, na co czekamy. I w związku z tym nie wydaje mi się, żebym miał tu coś więcej do powiedzenia.

TRZNADEL: — *Czyba jeszcze jedna rzecz tu wyszła bardzo wyraźnie. Że nasycenie społeczeństwa, zwłaszcza młodego pokolenia, wiedzą faktyczną i ogólnie intelektualną, informacją rzetelną, jest czymś, co decyduje o chwili obecnej i decydować będzie prawdopodobnie o przyszłej świadomości i stanie tego narodu. Ale właśnie w skromnym zakresie nad tym pracujemy. A gdy mówiłeś o tym, co według ciebie nie miało ci się udać, a na podsumowania jeszcze za wcześnie, pomyślałem, że jedna rzecz na pewno ci się udała: nazwałbym to intelektualizmem stosowanym, a mianowicie połączeniem — jak sądzę, modelowym — pewnej postawy intelektualno-badawczej z jej konsekwencjami życiowymi i dla siebie, i dla społeczeństwa. Nie takie to znów częste.*

ŚNIŁ MI SIĘ DYKTATOR BEZ BUTÓW

Rozmowa z Janem Józefem Szczepańskim

(9 października 1985)

TRZNADEL: — *Jest pan dość szczególnym świadkiem literatury polskiej w pierwszym okresie powojennym. Nie uległ pan wessaniu przez ten wir zachłannej ideologii, reprezentował pan postawę odległą od socrealizmu i ideologii totalitarnej. Do rozmowy oceniającej okres stalinizmu był pan, jak sądzę, przygotowany już w 1955 roku, gdy napisał pan swoją powieść Pojedynek.*

SZCZEPAŃSKI: — Mnie się wydaje, że pewien szczęśliwy zbieg okoliczności uchronił mnie od wciągnięcia w ten wir, o którym pan wspominał, i są tego różne przyczyny. Może najważniejszą jest to, że przez długi czas nie traktowałem na serio możliwości funkcjonowania w charakterze pisarza. Pisałem, ale uważałem to za rodzaj prywatnego hobby i wskutek tego nie podlegałem może tej nerwicy pośpiechu, że trzeba szybko wejść na ten rynek. Moją pierwszą książką, bo napisaną jeszcze w czasie okupacji, była *Polska jesień*, i perypetie z tą książką w pewnym stopniu zdecydowały o moich losach. Wytrąciły mnie z pewnego cyklu, wypadłem z takiego obiegu pokoleniowego. Nie debiutowałem równocześnie z moimi rówieśnikami, takimi na przykład jak Żukrowski czy inni, nie debiutowałem dlatego, że ta książka przez dziesięć lat nie mogła się ukazać. Nie mogła się ukazać, ponieważ żądano ode mnie pewnych korektur, na które ja się nie mogłem zgodzić. Oczywiście były tam sprawy czysto polityczne, takie jak 17 września, ale były także żądania, które mi się wydawały tak niepoważne i groteskowe, że w ogóle nie podejmowałem próby polemiki z nimi. Na przykład żądano ode mnie wprowadzenia pewnej systematyzacji socjologicznej, która polegałaby na tym, że

pozytywne postaci książki mogą występować w hierarchii wojskowej do podchorążego włącznie, ewentualnie podporucznika rezerwy, jeżeli był zaangażowany w działalność lewicową przed wojną. Natomiast wszyscy inni, cała kadra oficerska — już nie mówię o zawodowych, zawodowi wszyscy — to miały być czarne charaktery.

TRZNADEL: — *Przecież książka ma charakter dokumentu...*

SZCZEPAŃSKI: — No tak, to jest prawie że biograficzny zapis. Ja się na to oczywiście nie godziłem, ale myślę, że nie godziłem się także i dlatego, że brak mi właśnie było tego napędu ambicji zawodowej i myślałem sobie: no to nie będę pisarzem, będę robił co innego, nie muszę koniecznie tych książek wydawać. W każdym razie tak sobie tłumaczyłem. Poza tym wydaje mi się, że troszkę powodował mną rodzaj bezwładu. Ja to gdzieś napisałem: tak mi się zdaje, że gdybym żył w czasach chrystianizacji Polski, to pewnie byłbym wtedy ostatnim poganinem. Była jakaś nieufność do generalnych zmian postaw, zmian myślenia. Może dałoby się to nazwać lojalnością wobec tradycji, z której się wyrosło. Z tym, że gwoździ prawdy muszę powiedzieć, że nie było mi to takie całkiem obojętne. I patrzyłem z pewną zazdrością na tych moich rówieśników, którzy już wystartowali. Nawet sobie myślałem, że być może dałoby się wśliznąć w tę stawkę początkujących pisarzy jakimś stosunkowo tanim kosztem, ale ten koszt zawsze się okazywał za wysoki. Czegoś nie potrafiłem. Przytoczę taką anegdotę — wspomnienie. Kiedy zgłosiłem się do „Czytelnika” w sprawie *Polskiej jesieni*, zastałem tam Wojciecha Żukrowskiego, który wydawał właśnie rzecz też o polskim Wrześniu — *Dni klęski*. Wyszedł z redakcji i zaraz mi powiedział: Wiem o pana książce. Ona nie wyjdzie. Rozumie pan, 17 września i tak dalej... Bo wie pan, pan źle do tego podchodzi. Albo ma pan stosunek moralny, albo historyczny. A należy mieć do tego stosunek choreograficzny — ja odtączyłem i książkę mi wydają.

Właściwie moim debiutem było opowiadanie *Buty*, opublikowane w „Tygodniku Powszechnym”. I to też nie przyszło łatwo. Bo najpierw zwróciłem się do „Twórczości”, do Kazimierza Wyki, który mi wprost powiedział, że on się to boi opublikować, ten tekst.

TRZNADEL: — *Borowskiego też jakoś bał się opublikować...*

SZCZEPAŃSKI: — Ale to już było po opublikowaniu Borowskiego i widocznie miał jakieś doświadczenia, które go jeszcze bar-

dziej nastraszyły. Jednym słowem, odmówił, zresztą pan pamięta, że później napisał z tego recenzję, dosyć cierpką, nie powiedziałbym, że nieprzychylną, ale w każdym razie bardzo krytycznie na to spojrział. Turowicz się tego tekstu nie przestraszył, opublikował. Skutek był taki, że otrzymałem ponad trzysta listów, okropnie mnie rugających. To wywołało wielkie oburzenie, że to jest szarganie świętości, że to jest antypatriotyczne, że to jest zniesławianie Armii Krajowej. To są reakcje zupełnie zrozumiałe, zwłaszcza w perspektywie czasu. Teraz wydaje mi się, że dobrze się stało, że to był początek, który wprowadził mi nie ułatwił dalszego startu, ale w jakiś sposób wewnętrznie mnie skonsolidował. Po tym odzwie zorientowałem się, że trafiłem w jakiś ważny nerw — początkujący pisarz nie bardzo sobie zdaje sprawę, do czego ta zabawa prowadzi i co ma załatwić — więc zorientowałem się, że to są problemy, które trzeba ruszać, po prostu, żeby zapobiec jakiemuś zwapnieniu, zaskorupieniu pewnych spraw, które są chyba ważne z punktu widzenia narodowego i społecznego. Myślę, że to jakoś mnie ustawiło i skierowało na jakąś drogę.

TRZNADEL: — *Pańscy korespondenci nie domyślali się pewnie, że chodziło o dążenie do prawdy, po prostu, i że ono było ważne także w sytuacji panującego reżimu. Przypisali pana do tej fali wypowiedzi, które rzeczywiście szkalowały ten ruch.*

SZCZEPAŃSKI: — Tam nie brakło takich epitetów, jak czerwony pachołek i tak dalej..

TRZNADEL: — *Nie myśleli w tej chwili, że krytyka własnego domu jest ważna dla zdrowia obywatelskiego i społecznego, że bywa często dużo ważniejsza niż krytyka przeciwnika.*

SZCZEPAŃSKI: — Może ja nie potrafiłem wtedy tego tak jasno sobie wyłożyć, ale czułem to, to było bardzo ważne doświadczenie.

TRZNADEL: — *Przecież tu chodzi nie tylko o Buty, ale o całą serię opowiadań pana — widać to z obecnej perspektywy — które łączą się z niektórymi innymi wypowiedziami pisarzy, które też nie oferowały społeczeństwu prawd lukrowanych. Myślę na przykład o niektórych opowiadaniach z Medalionów Nałkowskiej. Pan współtworzy więc ten nurt, ukazujący także, co się stało ze społeczeństwem polskim.*

SZCZEPAŃSKI: — Myślę, że społeczeństwo w jakiś sposób przyzwyczało się do tego punktu widzenia, czy zaakceptowało go, bo

teraz tego rodzaju tekst nie jest skandalem. W tych późnych latach czterdziestych, czy wczesnych pięćdziesiątych miałem, jak teraz widzę, szczęście, że nie wszedłem wtedy do tego *establishment'u* literackiego, który w jakiś sposób ludzi bardzo rozmięczał. Nie wszedłem dzięki tym zbiegom okoliczności, o których tu mówiłem, nie dlatego że świadomie rękami i nogami się przed tym broniłem, tylko że po prostu jakoś nie mogłem się przełamać. Ale w tych latach miałem bardzo często takie niesłychanie przynębiające wrażenie zepchnięcia na margines. To zresztą było mi mówione *expressis verbis* w czasie rozmów z wydawcami. Pamiętam, właśnie w związku z pertraktacjami o wydanie *Polskiej jesieni*, któraś z redaktorek, bodajże pani Wilczkova, powiedziała: jak pan się nie zgodzi na podporządkowanie pewnym dyrektywom, zostanie pan zepchnięty do rowu historii...

TRZNADEL: — *Śmietnik historii...*

SZCZEPAŃSKI: — Śmietnik historii, tak. Historia będzie się dalej toczyć własną drogą, a ja będę tam gdzieś w jakimś rowie. Tego rodzaju obawy oczywiście miałem, a wynikały one między innymi z zupełnego przerwania jakichś szerszych więzi społecznych. Na przykład... Kończyłem studia po wojnie, bywałem więc pędzany na jakieś mityngi, i pamiętam takie przynębiające uczucie, jak stałem w tłumie, to było w Krakowie, robotników zwiezionych z jakichś zakładów, i absolutnie nie wiedziałem, co ci ludzie myślą, i podejrzewałem, że oni są wszyscy przeciwko mnie. Że ja należę do tej grupki nielicznych, którzy nie chcą zrozumieć, czy nie mogą zrozumieć, i rzeczywiście są na marginesie.

TRZNADEL: — *Czy pamięta pan krakowskie wypadki z 3 maja '46 roku?*

SZCZEPAŃSKI: — Pamiętam taką scenę, gdy postrzelili kogoś na Plantach i natychmiast ta plama krwi została pokryta kwiatami, stała jakaś staruszka oparta na lasce i ostrzegała ludzi, żeby omijali to miejsce, bo tu jest święta krew... „Nie chodźcie, bo tu jest święta krew!”.

Ale te jakieś dojścia do szerokiej opinii społecznej otwierały się jednak znacznie później. Październik to był ten początek. Później oczywiście przyszły te wszystkie daty, które znamy na pamięć, rok '68, '70, a zwłaszcza Solidarność, kiedy nagle okazało się, że wszyscy myślimy tak samo. Ale te początki to było błędzenie w ciemnościach. Pamiętam takie rozmowy, nie będę tutaj wymieniał nazwisk, z jednym z pisarzy, który wtedy bardzo głośno debiutował. W jednej z tych rozmów zachęcał mnie, żebym

się jednak ugiął, poszedł na jakieś koncesje. Ja wytaczałem swoje racje, dlaczego nie potrafię się na to zdobyć. A on mówił: — Słuchaj, to przecież nie jest wcale takie ważne, jakie polityczne poglądy czy oceny będziemy w naszym pisaniu propagować, najważniejsza rzecz, żeby przez tę ciemną noc przenieść czysty, nieskażony polski język. — No, ale ten argument nigdy nie trafił mi do przekonania.

TRZNADEL: — *To była koncepcja zupełnie katastroficzna. Poza tym nasuwa się pytanie, czy można przenieść czysty język, niezależnie od tego, co się mówi i wyraża tym językiem...*

SZCZEPAŃSKI: — Oczywiście. I dlatego ja nie potrafiłem wziąć na serio tej tezy.

TRZNADEL: — *To, co pan mówi, o tym mimowolnym jakby dokonywaniu się decyzji, przypomina mi bardzo wiersz Herberta Potęga smaku. Że działają w człowieku po prostu jakieś głęboko wbudowane impulsy, opory, przeświadczenia, i one w końcu decydują.*

SZCZEPAŃSKI: — Ja myślę, że charakter estetyczny i moralny tych spraw jest bardzo splątany. Trudno je rozgraniczyć. Wydaje się, że w pewnym momencie wartość artystyczna będzie przekreślona, jeśli nie będą spełnione jakieś zasadnicze warunki etyczne.

TRZNADEL: — *Czy to poczucie osamotnienia, o którym pan mówił, mogło być jakoś przewyciężane, myślę na przykład o „Tygodniku Powszechnym”?*

SZCZEPAŃSKI: — „Tygodnik Powszechny” na pewno mi pomógł, przede wszystkim mnie jakoś zaakceptował i przyjął, mimo że ja nie należałem ideowo do tej grupy, ale „Tygodnik Powszechny” był po prostu liberalny, całe to środowisko. Ja tam byłem akceptowany mimo to, że przez długi czas marzyłem, żeby móc się wypowiadać na innych łamach, nie określonych tak wyraźnie ideowo. Marzyło mi się jakieś takie medium bardziej laickie, świeckie, liberalne. I po prostu czułem się nie całkiem na swoim miejscu, zdawało mi się, że to jest swojego rodzaju uzurpacja, że ja występuję w tym katolickim piśmie, nie czując się całkiem do tego uprawniony. To dosyć długo trwało, właściwie przez cały czas jak pracowałem w redakcji, a pracowałem w redakcji „Tygodnika” do '53 roku, do przejścia „Tygodnika” przez PAX, a potem byłem, po oddaniu „Tygodnika”, związany z nim jako współpracownik. Pisałem recenzje filmowe, korzysta-

jąc z dużej swobody, jaką mi pozostawiono, i to był rodzaj azylu, gdyż nigdzie by mi tej swobody nie przyznano. To mnie jakoś z tym środowiskiem związało, a przestałem odczuwać zahamowania w stosunku do tego środowiska właściwie stosunkowo niedawno, dopiero jak Kościół przejął funkcje mecenasa kultury.

Jeśli chodzi o rolę Kościoła frapuje niesłuchanie takie zjawisko. Teraz Kościół przeżywa chyba w Polsce swoje złote czasy, ewoluuje intelektualnie, dorasta do pewnych zadań, które były poza jego horyzontem. Ale równocześnie to, co odrzucało inteligencję od Kościoła, taki jego ludowy, zgrzebny charakter, to w jakiś sposób okazało się teraz przydatne. Mnie na przykład kiedyś peszyła akcja wędrówek obrazu, tymczasem zaczynam teraz rozumieć, że Kościół bardzo wyraźnie zdawał sobie sprawę z największego zagrożenia, jakim byłaby utrata ludowego poparcia. I forsowanie tego ludowego, maryjnego charakteru wiary, to było bronienie najważniejszych strategicznych pozycji Kościoła, mówiąc już tym paskudnym językiem politycznym. I teraz dokonuje się jakaś synteza, która była trudna do przewidzenia.

TRZNADEL: — *To samo distingo, chociaż jego konkretne powody były nieraz różne i różne ich hierarchie, nie pozwalało panu wejść w falę debiutów powojennych, jak i utożsamiać się po wojnie z tym właśnie środowiskiem katolickim. Jakże to cenne. Ale ludzie byli wciągani w utożsamienia, przede wszystkim utożsamienie z nową władzą, modelem kultury. Gdyby pan mówił teraz nie tylko o sobie, dlaczego ten zachłanny proces wciągania mógł się odbywać?*

SZCZEPAŃSKI: — Ja na pewno, tak samo jak większość tak zwanych inteligentów, wchodziłem w ten okres z jakimś kompleksem win narzuconych, że należę do formacji, która była uprzywilejowana, a tutaj dzieje się coś, co jest często przerażające, niedoskonałe, odpychające, ale że w sumie dokonuje się akt sprawiedliwości społecznej. Ja myślę, że to było bardzo powszechne odczucie. Dlatego wydaje mi się, że w zasadzie była szansa zdobycia tych ludzi nie tylko mojego pokolenia, ale także mojego pokroju, gdyby to było robione mądrzej i bardziej przebiegle. Ja wchodziłem w ten okres w charakterze partyzanta, który się ujawnił, ujawniałem się pod afiszem „zapłuty karzeł reakcji”, potem zostałem wezwany na weryfikację, gdzie zostałem zdegradowany i pozbawiony nawet cenzusu podchorążego. Do dziś dnia w książeczce wojskowej figuruję jako plutonowy rezerwy. Zresztą przyjąłem to bez specjalnego żalu, nie miałem tu nigdy specjalnych ambicji, ale był to dla mnie jakiś sygnał, że ta władza jest

małostkowa. Bo w końcu zostałem tym oficerem na drodze normalnej pragmatyki wojskowej, ten cenzus zdobyłem składając maturę i robiąc studia, i nagle okazało się, że to wszystko jest nieważne, przekreślone. Pamiętam, że przy weryfikacji zadano mi pytanie, do jakiej partii należał mój ojciec. Mój ojciec był bezpartyjny, mimo że był urzędnikiem państwowym w służbie konsularnej. Jak powiedziałem, że był bezpartyjny, usłyszałem: możecie to swojej babci opowiadać! Takie bajeczki! — I wtedy zobaczyłem, że wchodzę w świat szufladek, gdzie usiłują człowieka wtłoczyć na siłę. Myślę, że właśnie te doświadczenia, ten „zapłuty karzeł”, to szufladkowanie ludzi nastawiło mnie „przeciw” — wtedy to się nie nazywało opozycyjnie — uniemożliwiło mi jakiegokolwiek próby flirtu z tym ustrojem.

TRZNADEL: — *Obok „zapłutego karła” wisiały też inne afisze: „nie matura lecz chęć szczera robi z ciebie oficera”. Ta władza od razu pokazywała swoją istotę. Mam poczucie, że to doświadczenie tamtych lat uformowało przede wszystkim pańską powieść Pojedynek. Nasuwa się tyle analogii z sytuacją polską, nawet w realiach, mimo że państwo to nazywa się Aquila.*

SZCZEPAŃSKI: — Mnie jest trudno w tej chwili powiedzieć, w jakiej mierze świadomie przeprowadzałem tę analogię i myślę, że w zasadzie chodziło o sprawę szerszą, niż akurat o konkretne polskie warunki. To był mój spontaniczny protest, czy zajęcie stanowiska wobec każdego typu władzy totalitarnej, quasi totalitarnej. Pamiętam, że jeszcze przed wojną w gimnazjum miałem takie przeżycie. Zostałem w domu wychowany w atmosferze zupełnie apolitycznej. O polityce się nie rozmawiało, oczywiście ojciec miał jakieś swoje preferencje, wiem, że nie lubił Piłsudskiego, kiedyś tam w młodości należał do „Zetu”, no ale później nie należał do żadnej grupy. Te sprawy były jakoś eliminowane z kręgu moich zainteresowań i świadomości. Zetknąłem się z tymi napięciami politycznymi w gimnazjum, w starszych już klasach. Na terenie Śląska, bo kończyłem gimnazjum w Katowicach, szaloną działalność wśród młodzieży gimnazjalnej zaczął rozwijać ONR. Ja byłem w klasie, w której uczyło się oczywiście kilku Żydów, i doszło do jakiegoś incydentu antyżydowskiego. Pamiętam, że podrzucono mojemu koledze komunistyczną ulotkę do teczki i spowodowano rewizję. Ja byłem świadkiem podrzucenia tej ulotki, przypadkowo to widziałem i stanąłem w jego obronie. Zrobiła się z tego olbrzymia awantura, nawet był taki moment, że wydawało się, że w stosunku do mnie będą wyciągnięte jakieś konsekwencje, że ja kłamię... Jakoś to się wszystko szczęśliwie

skończyło, w każdym razie ta cała sprawa znalazła swoje echo: pierwszy raz znalazłem się na takim szerokim forum publicznym, gdyż jakieś tajne pismo oenerowskie ogłosiło czarną listę „żydowskich pacholców”, na której figurowałem. I ten tekst został przedrukowany w „Camera obscura” w „Wiadomościach Literackich” z komentarzem Słomskiego, że „kolego Szczepański, gratulujemy”. To było moje pierwsze zetknięcie z polityką, chyba w ’37 roku, ustawiło mnie po jakiejś stronie, zobaczyłem czarno na białym, że jestem gdzieś przypisany, bardzo ogólnikowo, ale po jakiejś stronie. To miało później zresztą konsekwencje — na początku okupacji każdy, kto miał za sobą wojsko, szukał konspiracyjnych kontaktów. Nawiązałem je bardzo wcześniej, bo już w grudniu ’39 roku. To jeszcze było przed ZWZ-em, to była Służba Zwycięstwu Polski. Bardzo szybko udział w tym się skończył, bo doszło tam do wpadki. Szukałem więc później dalszych kontaktów, z tym że będąc zupełnie politycznie „nieświadomiony” i nieprzygotowany, pytałem po prostu o organizację wojskową. Nawet mi do głowy nie przychodziło, że są już jakieś wyraźne odcienie polityczne. Znalazłem się w takiej organizacji wojskowej, gdzie po pewnym czasie zorientowałem się, że to jest NSZ. To jeszcze wtedy nie był NSZ, to się nazywało Związek Jaszczurczy. Jak się zorientowałem, co to jest, wystąpiłem z tego, co — jak się dopiero po pewnym czasie zorientowałem — pociągało za sobą wtedy dosyć duże ryzyko. I wreszcie złapałem kontakt z powstającą AK. Daje to tylko jako przykład dezorientacji ludzi, którzy wyszli z tych samych tradycji i wchodzili w okres szczytowo upolitycznionego życia bez żadnego przygotowania i orientacji. Ale właśnie dzięki temu, że już wiedziałem, gdzie mam stać, gdzie jestem, zacząłem dokonywać wyborów. I myślę, że ten wybór już później trwał; jak nastąpiły te powojenne czasy, to byłem już jakoś zdeterminowany.

TRZNADEL: — *Ale te pana determinanty były bardzo konkretne, podczas gdy — jak sądzę — jednym ze źródeł nieszczęścia inteligencji liberalnej po wojnie było to, że ona była zdeterminowana swoją lewicowością jeszcze przedwojennego chowu i właśnie często ideologia decydowała, nie rzeczywistość.*

SZCZEPAŃSKI: — Ja podejrzewam, że większość tych ludzi, którzy wtedy zgłaszali swój akces, podlegała pewnej mistyfikacji narzuconej w sposób bardzo prymitywny, ale jednak funkcjonującej. Wprowadzono arbitralny podział na prawicę i lewicę, i oczywiście wszystko, co postępowe, humanistyczne, to musiała być lewica *en bloc*, i wtedy dokonując tych opcji człowiek miał tę

jakąś wygodę, moralną, że bez względu na to, jak to jest realizowane, dokonuje słuszných wyborów. To było wygodnictwo moralne połączone pewnie z jakimś zagubieniem. Tymczasem mnie ten podział na prawicę i lewicę wydawał się od początku fałszywy i sztuczny.

TRZNADEL: — *Przypomina mi się ciekawy wywiad Piłsudskiego opublikowany niedługo po zamachu majowym, w którym mówił, że podział na lewicę i prawicę nie jest już dla niego aktualny. Zwłaszcza na tle publicystyki Zachodu, bardzo przywiązanej do tej dychotomii, było to dalekowzroczne i Piłsudski wyciągał także wnioski ze swoich rozczarowań ideologią lewicy sowieckiej u władzy.*

SZCZEPAŃSKI: — Wygląda to szalenie prekursorsko.

TRZNADEL: — *Jeśli się po wojnie nie akceptowało tego podziału, a nie chciało się pretendować do „prawicy” — pozostawała jakby świadomość outsider’a, którą tak wmawiano.*

SZCZEPAŃSKI: — I na dodatek to wszystko było nieprawdą!...

TRZNADEL: — *Czy więc tradycja inteligencji polskiej przygotowywała do poczucia winy lub napiętnowania?*

SZCZEPAŃSKI: — Myślę, że tak. Z tym że równocześnie taką pewną rolę przygotowawczą odgrywał swoisty snobizm. W kręgach ludzi, którzy się interesowali życiem kulturalnym, pozycja „Wiadomości Literackich” była niesłychanie wysoka, stanowiła autorytet, i była pewna presja mody, że to co jest światłe, to jest lewica. Ta lewicowość była bardzo kawiarniana, powierzchowna, ale to oddziaływało. Z tym, że przed wojną inteligencja lewicowość też bywała piętnowana, a przez to jakoś utwierdzana. Moje wspomnienia przedwojenne, to są wspomnienia człowieka zupełnie niedojrzałego, ale gimnazjum, które kończyłem, miało charakter raczej proletariacki, moi koledzy to byli przeważnie synowie górników, robotników, i sam fakt, że się było inteligentem z urodzenia, jakoś człowieka wyodrębniał. I mimo nawet przyjaźni, bliskich kontaktów, człowiek był jakoś osobno i to budziło rodzaj podejrzliwości. On czyta „Wiadomości Literackie”, to jest prawie komunista. Ja byłem w redakcji takiego szkolnego pisma, pamiętam, że drukowałem tam takie opowiadanko bardzo jeszcze infantylne na temat Adama i Ewy, raju, gdzie w jakiś sposób sztydziłem z tradycji biblijnej, było to jakieś darwinowskie. Zostałem po tym przez katechetę szkolnego wypędzony z klasy z okrzy-

kiem: — Wynoś się, ty bolszewiku!!! — Nic to dla mnie nie znaczyło, oczywiście żadnym bolszewikiem nie byłem, ale to były takie automatyzmy. Przynależność do pewnego kręgu kulturowego człowieka piętnowała. To miało swój dalszy ciąg później. Ci ludzie, którzy czynnie uczestniczyli w tym życiu kulturalnym, już jak gdyby się poczuwali do przynależności do lewicy, ten arbitralny podział czarno biały już ich w jakiś sposób objął. Jak gdyby bez udziału ich własnej decyzji. To że ja tego uniknąłem, to jest kwestia po prostu pokoleniowej przynależności. Mnie to nie zdążyło objąć, bo jeszcze do tego nie dorosłem, a później jak się zaczynała ta fala powojennych debiutów, na skutek moich trudności z wydaniem pierwszej książki przeskoczyłem jakiś etap, wypadłem z mojego pokolenia. Było tu za wcześnie, tam za późno.

Ale, proszę pana, ten jakiś schematyczny sposób patrzenia na rzeczywistość nie był wyłącznie narzucany z tamtej, komunistycznej strony, on istniał także po drugiej stronie, przejawiając się równie groteskowo. Ja do dziś dnia wspominam jako dość osobliwe doświadczenie, jak tuż przed końcem wojny wyszedłem na urlop z mojego oddziału partyzanckiego. Urlop spędzałem u moich znajomych na wsi, tam była także grupa ludzi, którzy wyszli z powstania warszawskiego i tam się jakoś przechowywali, wśród nich był Miłosz. Już wtedy wyraźnie dawał do zrozumienia, że on się opowie po stronie nowej władzy. I pamiętam, że odnosił się do mnie ze szczególną niechęcią, jako do partyzanta. Przypisując mi na tej zasadzie, że ja wyszedłem z tego lasu, wszystkie cechy tradycyjnego Polaka-katolika, który poszedł do lasu dlatego, że reprezentuje tę tradycję nacjonalistyczną, ciasną, prawicową, co w stosunku do mnie nie miało żadnych podstaw. Ale on mnie już tak zaklasyfikował. Później Miłosz miał felieton w „Dzienniku Polskim”, podpisywany „Czmi”. Głównym leitmotywem było tam wyszydzanie tradycyjnych postaw inteligencji polskiej.

TRZNADEL: — Były wtedy takie cele ataków, jak na przykład u Gałczyńskiego. Władza to dobrze widziała. W związku z tym pewna refleksja, nie bardzo zresztą odległa. Pan potrafił spojrzeć na pewne rzeczy zupełnie zastygłe w inny sposób, myślę tutaj o pana Ikarze, czyli rzeczy o Berezowskim, pan ma do niego wiele sympatii i współczucia, a przecież wszyscy go potępili, łącznie z tak nieszablonowym Norwidem, który chcąc wsadzić szpilkę Matejce nazwał go Berezowskim malarstwa... Potem Berezowski został zapomniany. Czy można go przypisać do terroryzmu?

SZCZEPAŃSKI: — Tym co mnie może najbardziej u Berezowskiego zafrapowało, to jego samotność. To nie był akt terroryz-

mu, tak jak go dzisiaj rozumiemy, to był akt zupełnie indywidualny. Nie działał z ramienia żadnej organizacji, nie był to żaden spisek. To był indywidualny, herostratesowy gest, wynikający z sytuacji psychicznej popowstaniowej młodzieży. Mnie się to narzuciło jako taka alegoria, mówiąc trochę patetycznie, polskiego losu. Losu, tak jak napisałem, narodu niedorostka, który nie mając szans właściwie racjonalnego działania, całkowicie oddaje się we władzę impulsom. To jest ta racjonalizacja motywów tematu. Z tym że sam temat przyszedł zupełnie przypadkowo na skutek lektury pamiętników Władysława Mickiewicza, wspomina on tam listy Berezowskiego, które zresztą spalił. Dostał ich sporo, uważał, że Berezowski naraził na szwank narodową godność, ponieważ prosił przywódców emigracji, żeby się zwrócili do cara o pozwolenie przysłania mu kobiety, która by wyszła za niego za mąż, w momencie, gdy nie był już w obozie karnym, tylko był tam osiedlony. Na tamtejszym posiedzeniu... To szalenie zniesmaczyło Władysława Mickiewicza, cóż to za patriota, który chce cara prosić... I to był ten zapłon mojego pisania. To mnie jakoś poruszyło, tym bardziej że Władysław Mickiewicz cytuje, że on prosi, żeby ta kobieta była młoda, żeby nie miała więcej niż dwadzieścia lat i żeby była korpulentna, żeby była dosyć tłusta, chciałby jej mieć dużo. To jakoś od razu mówi o jego sytuacji, jego szalonej samotności.

TRZNADEL: — *Cenię to pana współczucie dla niedorostłego gestu, były w historii Polski takie gesty, które kwalifikujemy jako gesty młodzieńców, ta młodzież z lichymi dubeltówkami w powstaniu styczniowym, z której Berezowski się wywodził, ta młodzież niedorosta w za dużych hełmach w Powstaniu Warszawskim... Mam poczucie, że dopiero teraz zrozumiałem Ikara. Ten gest pojedynczego Polaka jest symbolem gestów polskiej zbiorowości, takich gestów, które nagle i bez szans poruszały zastygłą sytuacją Europy, jak właśnie w '63 roku, i wielu polityków miało za złe naruszanie tego status quo, nam, Polakom. Takich głosów za granicą nie brakło i w ostatnich latach. Także w kraju — władza ostrzegała, że naruszamy spokój Europy. Myślę także, że broni pan tutaj, jeśli nie jako strategii politycznej, to jako sytuacji moralnej w historii, prawa do historycznego anachronizmu. Bo czy nie jest tak, że całe pana doświadczenie lat powojennych, kiedy poszedł pan w jakimś sensie przeciw prądowi, ze względu na jakieś ogólne odczucie moralne — wyglądało na anachronizm z punktu widzenia logiki tych, co chcieli bronić tylko czystości języka, i tych, co chcieli się przystosować? Ale zawsze byli tacy, którzy słuchali także swoich głosów i impulsów moralnych. Już*

wiadomo, że wygrał pan na tym wszystkim jako pisarz. Ale to psuło panu obraz, jeśli istnieje jeden Berezowski, co na szlachetnym w intencji odruchu przegrał... I oto pan pochyła się nad Berezowskim i jeśli on u pana nie zwycięża, to przynajmniej los jego doznaje jakiejś katharsis. On czuł prawdziwie i to mu zostaje przyznane. Prawda.

Chciałbym jeszcze wrócić do pana powieści *Pojedynek*. Odnosi się ona do totalitaryzmu i porusza na kilkadziesiąt lat przed *Sołżenicynem* problem prawdy w takim ustroju. Jak panu się udało to wydać?

SZCZEPAŃSKI: — To było moje pierwsze bezpośrednie doświadczenie z cenzorem, bo miałem już kilka wydanych książek, stykałem się z ingerencjami cenzury, tylko miało to charakter bezosobowy. W tym wypadku książka, którą złożyłem w Wydawnictwie Literackim w momencie, kiedy zaczynała się odwilż, została w pierwszej chwili uznana przez redakcję za nie nadającą się do publikacji ze względów właśnie politycznych. Ale w momencie bezpośrednio po październiku cenzura praktycznie przestała funkcjonować, podobno nawet w jakimś pochodzie pierwszomajowym po październiku cenzorzy szli z transparentami: rozwiążcie nas! Nie wiem, czy to jest prawda, ale kursuje taka anegdota. Więc rzeczywiście cenzura nie funkcjonowała i wydawnictwo zdecydowało się książkę wydać, wszystko szło swoim normalnym trybem, zrobiłem korektę, i w momencie, kiedy ten proces wydawniczy dobiegał końca, cenzura zdołała się ocknąć i skonsolidować. I zostałem wezwany przez redaktora na rozmowę z cenzorem. Przyjechał cenzor z Warszawy, specjalnie w sprawie tej książki, żeby porozmawiać. Stawiłem się, zapytałem czy cenzor jest, powiedziano mi, że jest. Powiedziałem, że jestem gotów z nim rozmawiać. Na to redaktor — żeby uściślić sprawę, powiem, że tym redaktorem był wtedy Henryk Vogler — powiedział mi: owszem, cenzor jest, ale ma instrukcję, że nie wolno mu bezpośrednio rozmawiać z autorem. Wobec tego — on siedzi tam w pokoju, a ja będę między wami kursował i nosił karteczki. — Otrzymałem pierwszą taką karteczkę od cenzora, która składała się z samych cyfr. Były tam wymienione strony, co do których cenzura miała zastrzeżenia. Od razu na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że to jest mniej więcej jedna trzecia całego tekstu, wobec czego oświadczyłem Voglerowi, że rezygnuję z wydania książki, bo ja nie widzę możliwości dojścia do jakiegoś porozumienia. Vogler zaczął mnie prosić, żebym spróbował podjąć jakąś dyskusję, ponieważ wydawnictwo już zaangażowało środki finansowe w wydanie książki, a ona już jest w intrologatorni i dobrze by było ją

ocalić. W takiej sytuacji wypisałem na karteczce pytanie: jaki jest generalny zarzut przeciwko książce? — Na to otrzymałem odpowiedź, że książka jest antypaństwowa. Wtedy ponownie powiedziałem Voglerowi: widzę, że nie ma żadnych szans dojścia do jakiegoś kompromisu. — Ale on mnie nakłaniał, żebym tę dyskusję kontynuował. Napisałem więc, że wiem, że książka jest antypaństwowa, ale państwo, które opisuję, jest symbolem literackim, fikcyjnym, jest to państwo totalitarne po prostu, z którym ja w tej książce usiłuję polemizować. Na co po dłuższej tym razem chwili otrzymałem odpowiedź, krótką: to nie zmienia postaci rzeczy. — Wydawało się, że wszystkie możliwości dyskusji zostały wyczerpane, ale Vogler mi poradził, żebym zaproponował cenzorowi napisanie przedmowy, w której bym wyjaśnił, że nie miałem intencji zamieszczać aluzji do naszej rzeczywistości polskiej. Złożyłem więc taką propozycję. Ku mojemu zdumieniu została przez cenzora przyjęta. Po powrocie z wydawnictwa usiadłem i natychmiast napisałem krótki wstęp, na jedną stronę maszynopisu, i złożyłem w wydawnictwie. Po pewnym czasie zostałem znów wezwany, zjawiłem się w wydawnictwie, i Vogler powiedział, że są nowe kłopoty. Mianowicie cenzura oświadczyła, że skłonna jest puścić książkę pod warunkiem, że wycofam przedmowę, na co oczywiście z radością się zgodziłem. I w ten sposób książka się ukazała.

TRZNADEL: — Proszę pana, w *Pojedynku* bardzo mnie uderzyła, powiedziałbym nawet, że mnie wzruszyła, scena procesu na końcu powieści. Przecież byliśmy wtedy po tylu procesach patriotów, a nawet bohaterów. Jest tam poruszona sprawa totalitaryzmu i odpowiedzialności jednostki za prawdę. W świadomości europejskiej ostatnich lat przypomnienie tego przypisuje się zwłaszcza *Sołżenicynowi* i jego powiedzeniu: nie kłamać. Pan włożył bardzo piękne zdanie w usta oskarżonego, księgowego, gdy on mówi, że wydawało mu się, najpierw, że chodzi o to, żeby prawda zwyciężyła. Doszedł jednak do wniosku, że sama prawda i jej wypowiedzenie jest już zwycięstwem. Można tę formułę uznać za wieczną dewizę, ale jednocześnie w świadomości tej literatury na Wschodzie to jest bardzo dobitne i wczesne. Drugą książką, w której to się pojawia, w innym gatunku estetycznym, jest *Dziennik 1954 Tyrmanda*, który pana tak często wspomina. Należał więc pan do tej grupy osób, które ceniły prawdę samą, mimo beznadziejności perspektywy jej zwycięstwa.

SZCZEPAŃSKI: — Jest dla mnie ogromnie dużą pociechą pańska opinia o *Pojedynku*, bo ja zawsze uważałem tę książkę za nieuda-

na literacko, w którym to przekonaniu wzmacniało mnie wielu przyjaciół, i jeżeli mimo wszystko coś ważnego udało mi się tam powiedzieć, to jest dla mnie pociecha. Jest to jedyna książka, którą pisało mi się łatwo. Napisałem ją bardzo szybko, a wzięła się stąd, że kluczowa scena w magazynie — przyśniła mi się. Ten dyktator, który tam się ukrywa, jest już bez butów, i wskutek tego pozbawiony charyzmatu władcy. Ta scena to był mój sen. Miałem potem wrażenie, że to poszło za łatwo, że było za bardzo spontaniczne.

TRZNADEL: — *Pan jako realista miał pewnie opory, bo ta książka idzie nieco w kierunku powiastki alegorycznej, ale jednocześnie jest tam duże nasycenie realiami, jak choćby w pierwszym rozdziale z ukrywaniem transparentu z oficjalnego pochodu w krzakach. To jest bardzo ważne zwrócenie uwagi na charyzmę władzy — ustroj totalitarny wciąż nie jest pewny swej władzy, potrzebuje więc znaków, symboli i akcesoriów. Zdaje się, że ustroje demokratyczne tym się charakteryzują, że tam nie ma rozbudowywania symbolicznych akcesoriów jako rytuałów. A ten but, czy ręka w pozdrowieniu „Heil!”, czy uświęcony archaizm słowa „proletariusze” — czemuś służyły. Czy ten zalew czerwonych sztandarów.*

Proszę pana, pisarz śni o dyktatorze bez butów, a więc o końcu dyktatury. Pisarz czyni ze swego snu życie książki. Ja myślę, że społeczeństwo śni przez swojego pisarza, i ta jest nasza pociecha w tym szalonym trudzie, że ono coś zrobi z tego naszego trudu i snu — także z tej książki, przez pana napisanej — w swoim życiu, że społeczeństwo napisze kiedyś piękną powieść w prawdziwej historii, o dyktatorze bez butów i końcu dyktatury.

SPIS RZECZY

J.T.: Nota redakcyjna	7
Jacek Trznadel: <i>Hańba domowa</i>	9

ROZMOWY Z PISARZAMI

Zbigniew Kubikowski: <i>Inwazja z obcej planety</i>	40
Jerzy Andrzejewski: <i>Czerwony system pogardy</i>	69
Wiktor Woroszyński: <i>Myśmy żyli w literaturze</i>	86
Witold Wirpsza: <i>Wygonienie diabła Belzebubem, czyli artysta w stalinowskim getcie</i>	106
Jarosław Marek Rymkiewicz: <i>Nieśmiertelny Stalin i złowieszcze więzienie nudy</i>	120
Julian Strykowski: <i>Olbrzymia czarna przestrzeń</i>	148
Jacek Bocheński: <i>Byłem zahipnotyzowany</i>	162
Zbigniew Herbert: <i>Wypluć z siebie wszystko</i>	181
Marian Brandys: <i>Tragedia lewicujących liberałów</i>	224
Andrzej Braun: <i>Były we mnie jakby dwie osobowości</i>	247
Jan Józef Lipski: <i>Niezrozumiały i przerażający amok</i>	287
Jan Józef Szczepański: <i>Śnił mi się dyktator bez butów</i>	305

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 28 SEPTEMBRE 1986
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1986.

N° d'imprimeur 7717.

JACEK
TRZNADEL

HANBA DOMOWA

F. 120